

Dzień pokuty

Brown Sandra



calibre 0.9.43

BROWN SANDRA

DZIEŃ POKUTY

Rozdział pierwszy

- Wymiga się. - Burke Basile na przemian prostował i zginał palce prawej dłoni, zupełnie nieświadomy, że ostatnio nabrał takiego przyzwyczajenia. - Cienia szansy, żeby go skazali.

- Może i tak. - Kapitan Douglas Patout, szef Wydziału Narkotyków policji w Nowym Orleanie, westchnął ze zniechęceniem.

- Żadne może. Wykręci się - powtórzył Burke z przekonaniem.

- Nie rozumiem, dlaczego Littrell do tej akurat sprawy wyznaczył tego nowego. Przeflancowany z Północy, Wisconsin czy coś w tym rodzaju, mieszka w Nowym Orleanie ledwie parę miesięcy i nie jest w stanie wyczuć wszystkich... niuansów tego procesu.

Burke przestał wpatrywać się w okno i odwrócił do Patouta. - Wystarczy, że Pinkie Duvall je wyczuwa.

- Złotousty sukinsyn. Nic mu nie sprawia większej satysfakcji jak przyłożyć policji i udowodnić, że nie jesteśmy wiarygodni.

- Trzeba mu przyznać, że wygłosił porywającą mowę obrońcą - powiedział Burke, chociaż wiele go kosztował ten komplement. - Wystąpienie ostentacyjnie antypolicyjne, a jednocześnie ostentacyjnie praworządne. Cała dwunastka sędziów przysięgłych wprost spijała każde słowo z jego ust. - Zerknął na zegarek. - Obradują pół godziny. Założę się, że jeszcze najwyżej dziesięć i po sprawie.

- Naprawdę myślisz, że tak to piorunem załatwią?

- Naprawdę. - Burke usiadł na sfatygowanym drewnianym fotelu. - Jak się nad tym dobrze zastanowić, nie mieliśmy cienia szansy. Nieważne, jak tę pracę przewiercili na wszystkie strony w biurze prokuratora okręgowego, jak się obie strony przyłożyły i jak skomplikowanych prawniczych argumentów użyto. Fakt pozostaje faktem: Wayne Bardo nie pociągnął za spust. To nie on wystrzelił kulę, która zabiła Keva.

- Miałbym kupę pieniędzy, gdybym dostał pół dolara za każdym razem, kiedy Pinkie Duvall powiedział to w czasie procesu - stwierdził Patout z goryczą. - „To nie mój klient wystrzelił śmiertelnościaną kulę”. Powtarzał to jak mnich swoje modlitwy.

- Ale to niestety prawda.

Znaleźli się w punkcie wyjścia, jak setki razy przedtem - spekulując, analizując wciąż na nowo fakty, nieodmiennie dochodzili do tego samego niepodważalnego, nieprzyjemnego wniosku: technicznie rzecz biorąc, oskarżony Wayne Bardo nie zastrzelił sierżanta Kevina Stuarta.

Burke Basile przymknął powieki i ze znużeniem pomasażował gałki podkrążonych oczu, odgarnął do tyłu falujące potargane włosy, przyglądał wąsy, przesunął dłońmi niespokojnie po udach. Zacisnął i rozluźnił palce prawej ręki. W końcu oparł łokcie na kolanach, przygarbił bezbronne plecy i zapatrzył się nieobecny wzrokiem w podłogę.

Patout przyjrzał mu się krytycznie.

- Wyglądasz do kitu. Może byś się przeszedł na papierosa? Burke potrząsnął przecząco głową.

- Kawy? Przyniosę tutaj, tak że nie będziesz musiał stawiać czoła dziennikarzom.

- Nie, ale dziękuję ci.

- Nie przesądzajmy jeszcze przegranej - powiedział Patout, siadając na krześle obok. - Sędziowie są nieprzewidywalni. Uważasz, że przyszpiliłeś bydlaka, a on wychodzi z sądu jako wolny człowiek. Zakładasz unie:winnienie, a oni ogłaszają „winny” i wnioskuje o maksymalny wymiar kary. Nie dojdiesz z nimi do ładu

- Jestem pewien - powtórzył uparcie Burke z rezygnacją w głosie - że Bardo się wymiga. Przez jakiś czas nie przerywali ciężkiej ciszy.

- Dzisiaj jest rocznica ustanowienia konstytucji Meksyku - odezwał się w końcu Patout.

- Proszę? - Burke spojrział na niego.

- Konstytucji Meksyku. Uchwalono ją piątego lutego. Wyczytałem to dzisiaj rano w moim biurowym kalendarzu.

- Aha.

- Nie napisali, ile lat temu. Pewnie parę wieków... tak myślę.

- Aha...

Konwersacja zamarła i siedzieli już w milczeniu, każdy pogrążony we własnych myślach. Burke usiłował przewidzieć swoją własną reakcję po ogłoszeniu wyroku. Od początku wiedział, że proces się odbędzie - Pinkie Duvall nie miał powodu układać się z prokuraturą, skoro z całkowitą pewnością przewidywał dla swojego klienta wyrok uniewinniający. Wiedział też, że rozprawa potoczy się tak, jak nią pokieruje. Teraz nadchodził moment prawdy i Burke zbierał wszystkie siły, by - o ile jego przewidywania okażą się trafne - powściągnąć furję, która ogarnie go na widok Barda wychodzącego pewnym krokiem z sądu.

Żeby tylko nie zabił sukinsyna gołymi rękami, niech Bóg broni.

Nie wiadomo skąd o tej porze roku, w niewielkiej sądowej salce, gdzie niezliczona już liczba oskarżycieli i obrońców pocila się, wyczekując niecierpliwie werdyktów, pojawiła się wielka brzęcząca mucha, ogłupiała od środka owadobójczego. Podejmując desperackie próby ucieczki, z cichymi pacnięciami zderzała się samobójczo z szybą. Biedne ogłupiałe stworzenie, nie zdające sobie sprawy, że to już koniec. Zupełnie jak on, nieświadomy, jakiego robi z siebie głupka, wciąż podejmując bezowocne wysiłki...

Parsknął szyderczym śmiechem z samego siebie. To już dno: porównywać swoją bezradność z bezradnością muchy.

Gdy rozległo się pukanie, Patout i Burke wymienili spojrzenia, a potem obaj utkwili wzrok w drzwiach. Urzędniczka wetknęła głowę do środka.

- Wracają.

- Kurczę blade! - Patout spojrział na zegarek. - Dziesięć minut. Jak to zgadłeś? - Popatrzył na Basile'a.

Ale Burke w ogóle go nie usłyszał. Szedł korytarzem, całkowicie skoncentrowany na otwartych drzwiach sali sądowej. Publiczność i dziennikarze wlewali się przez nie podekscytowani niczym rzymscy obywatele, zmierzający do cyrku oglądać, jak lwy rozszarpują pierwszych chrześcijan - męczenników. Kevin Stuart, mąż, ojciec, świetny gliniarz i dobry przyjaciel też był męczennikiem, ofiarą zdrady, jak wielu przed nim w historii rodzaju ludzkiego. Ktoś, komu ufał, kogo uważał za

sojusznika, komu wierzył, że wspiera i jego, i sprawę - zdradził. Inny glina poinformował bandytów, że policjanci w drodze.

Jeden poufny telefon kolegi z Wydziału Narkotyków przypieczętował los Kevina Stuarta. Został zabity podczas pełnienia obowiązków. Zaszczyt, który nie przywróci go życiu. Umarł niepotrzebnie. Cholernie bezsensownie niepotrzebnie. Cały ten proces tylko to potwierdzał. Cały ten proces był kosztownym, rozwlekłym przedstawieniem, które zafundowano tak zwanemu cywilizowanemu społeczeństwu, żeby jego członkowie zachowali dobre samopoczucie po tym, jak oczyszczą z zarzutów pozbawionego skrupułów łajdaka i mordercę.

Skompletowanie ławy przysięgłych zajęło dwa tygodnie.

Pinkie Duvall, rzutki, świetny adwokat, niemal od początku procesu przechytrzył oskarżyciela; zapędził go w kozi róg praktycznie już przy kompletowaniu tej ławy i udało mu się wybrać ludzi, którzy jak można było przewidzieć, staną po stronie jego klienta.

Rozprawa trwała tylko cztery dni, ale czas jej trwania był odwrotnie proporcjonalny do zainteresowania, jakie wzbudziła. Spekulacjom na temat jej przebiegu praktycznie nie było końca.

Nazajutrz po tragicznym wydarzeniu gazety przytaczały słowa szefa nowoorleańskiej policji: Wszystkich nas osobiście dotknęła ta strata. Kevin Stuart zapracował sobie na szacunek kolegów, był też niezmiernie przez nich lubiany. Nie muszę zapewniać, że dołożymy wszelkich starań, by przeprowadzić drobiazgowo, staranne śledztwo w sprawie dotyczącej zastrzelenia tak znakomitego oficera nowoorleańskiej policji.

Proces powinien koniecznie być jawny - pisał wszechwiedzący komentator z Times Picayune. - Monstrualna pomyłka Wydziału Narkotyków zaowocowała śmiercią ich własnego człowieka. Tragiczne? Z pewnością. Ale dochodzić sprawiedliwości, przerzucając winę na kozła ofiarnego? Budzi to mój głęboki sprzeciw.

Forsując przeprowadzenie procesu opartego na wyssanym z palca oskarżeniu, prokurator okręgowy trwoni pieniądze podatników. I to tylko po to, by oszczędzić nowoorleańskiej policji upokorzenia, na które w tym przypadku w pełni zasłużyli. Wyborcy powinni dobrze zapamiętać tę farsę, by wystawić rachunek prokuratorowi okręgowemu Littrellowi, gdy zechce ponownie kandydować - grzmiał na łamach prasy Pinkie Duvall, którego klienta, Wayne Barda alias Bardeaux, określanego przez niego mianem „przykładnego obywatela”, policja aresztowała już przedtem wielokrotnie pod rozmaitymi zarzutami.

Udział Pinkie Duvalla w jakiegokolwiek rozprawie sądowej nieodmiennie przyciągał uwagę mediów. Zarówno urzędnicy państwowi, jak politycy koniecznie chcieli wykorzystać tę okazję, żeby zapewnić sobie darmową reklamę. Nie inaczej też było w procesie Barda - wszyscy czuli się w obowiązku wygłosić jakiś komentarz na forum publicznym, toteż „spontaniczne” wypowiedzi sypały się jak z rogu obfitości.

Porucznik policji Burke Basile natomiast - jakby dla kontrastu - zachowywał od nocy, kiedy zginął Kevin

Stuart, uparte, pogardliwe milczenie. Ani w czasie wstępnych przesłuchań, ani przy okazji składanych przez oskarżenie i obronę wniosków, w ogóle ani razu w czasie wrzawy wykreowanej wokół tej sprawy przez media, nie zacytowano niczego szczególnego, co by powiedział małomówny oficer Wydziału Narkotyków, którego partnera i najlepszego przyjaciela dosięgła kula w czasie nieudanej policyjnej obławy.

Teraz, gdy zmierzał z powrotem na salę sądową, by wysłuchać werdyktu, Burke Basile na

natarczywe pytania dziennikarzy, czy miałby wreszcie coś ciekawego do powiedzenia, rzucił wprost do podtykanych mu pod nos mikrofonów:

- Mam. Odwalcie się.

Otoczyli więc idącego za nim kapitana Patouta, w nadziei, że jako osoba oficjalna będzie musiał udzielić im odpowiedzi. Istotnie, jego wypowiedź była nieporównywalnie bardziej dyplomatyczna, niemniej wyraził stanowcze przekonanie, że za śmierć Stuarta ponosi odpowiedzialność Wayne Bardo i sprawiedliwości stanie się zadość wyłącznie w przypadku wyroku skazującego.

Burke zajął już swoje miejsce na sali sądowej, kiedy Patout ponownie do niego dołączył.

- To będzie raczej trudne dla Nanci - zauważył, siadając obok.

Wdowa po Kevinie Stuarcie zajmowała miejsce w tym samym rzędzie co oni, ale po drugiej stronie przejścia. U jej boku siedzieli rodzice. Burke wychylił się lekko i ich spojrzenia się spotkały. Skinął lekko głową, by dodać Nanci odwagi. Uśmiechnęła się blado w odpowiedzi, okazując równie pesymistyczne co Burke nastawienie.

- A jednak dzielna z niej zawodniczka - Patout pomachał Nanci ręką.

- O tak, można się było po niej spodziewać, że kiedy zastrzela jej męża, dorośnie do sytuacji. Patout zdumiał sarkazm Basile'a.

- Uwaga całkowicie nie na miejscu. Dobrze wiesz, co miałem na myśli. - Ponieważ Burke milczał, Patout zapytał po chwili ze sztuczną obojętnością: - Barbara przyjdzie?

- Nie.

- Myślałem, że będzie chciała cię wesprzeć duchowo, jeśli sprawa nie potoczy się po twojej myśli.

- Prosiła, żebym zadzwonił, kiedy się skończy - odparł Burke, nie chcąc wdawać się w wyjaśnienia, dlaczego żona nie miała zamiaru w tym wszystkim uczestniczyć.

Z obu przeciwnych obozów emanował zupełnie odmienny nastrój. Burke podzielał zdanie Patouta, że oskarżyciel nie popisał się, przygotowując proces. Przebrnął niemrawo przez całą procedurę i siedział teraz, pstrykając palcem w gumkę ołówka przymocowanego do notatnika, w którym nie nakreślił najmniejszej nawet uwagi. Potrząsał nerwowo lewą nogą, a minę miał taką, jakby każde miejsce, nawet fotel dentystyczny, było lepsze od tego, w którym się w tej chwili znajdował.

Odnosiło się natomiast wrażenie, że obrona i oskarżony opowiadają sobie po cichu dowcipy. Obydwaj chichotali, osłaniając twarze dłońmi. Burke nie umiałby powiedzieć, którego nienawidzi bardziej: Barda - zatwardziałego kryminalisty czy Duvalla - przestępczego adwokata.

W pewnym momencie uwagę Duvalla zajął urzędnik z jego biura, który podsunął mu do przejrzenia plik prawniczych dokumentów. Bardo odchylił się na krześle, podparł wyprostowanymi palcami podbródek i zapatrzył się w sufit. Nie wznosił oczu w modlitwie ku niebu, tego Burke był pewien. Jakby ściągnięty wzrokiem policjanta, Bardo odwrócił ku niemu głowę. Wyraz ciemnych bezlitosnych oczu nie wskazywał - tego Burke również był pewien - że ich właściciel wie, co to wyrzuty sumienia. Wąskie usta rozchyliły się w przerażającym uśmiechu, a potem Bardo puścił beczelnie oko.

Porucznik byłby się zerwał ze swego krzesła i rzucił w kierunku ławy obrońcy, gdyby obserwujący całą scenę Patout nie chwycił go za ramię i nie powstrzymał.

- Na litość boską, nie rób czegoś aż tak głupiego! - powiedział z naciskiem półgłosem. - Tylko czekają, żebyś wyszedł z siebie i potwierdził prawdziwość tych wszystkich oskarżeń, które rzucili na

ciebie podczas procesu. Jeśli tego rzeczywiście chcesz, droga wolna.

Burke nie uznał za stosowne w ogóle odpowiedzieć na reprimendę, po prostu uwolnił ramię z uścisku szefa. Bardo z zadowolonym z siebie uśmiechem odwrócił od nich twarz. W parę sekund później wezwano salę do powstania i sąd zasiadł za stołem. Głosem słodkim jak syrop wyciekający z kwiatów kapryfolium w środku lata sędzia ostrzegł zgromadzonych, by zachowali w czasie ogłaszania wyroku powagę godną miejsca, w którym się znajdują, po czym polecił przywołać sędziów przysięgłych.

Siedmiu mężczyzn i pięć kobiet zajęło miejsca na ławie przysięgłych. Siedmiu mężczyzn i pięć kobiet uznało jednogłośnie, że Wayne Bardo nie ponosi winy za śmiertelny strzał, od którego zginął sierżant Kevin Stuart.

Burke Basile właśnie tego się spodziewał, a jednak okazało się to cięższe do zaakceptowania, niż sobie wyobrażał.

Pomimo pouczeń sądu publiczność nie zadała sobie trudu, by powściągnąć czy ukryć swoje reakcje. Nanci Stuart krzyknęła przenikliwie, a potem zapadła się w sobie. Rodzice starali się, jak mogli, osłonić ją przed światłami kamer wideo i uchronić od fleszy napastliwych reporterów.

Sędzia podziękował ławie przysięgłych i rozwiązał ją. Ledwie ogłosił rozprawę za zamkniętą, nieudolny oskarżyciel wepchnął pośpiesznie dziewczyny notatnik do nowiutkiej aktówki i ruszył do wyjścia, jakby się paliło. Idąc omijał starannie wzrokiem Basile'a i Patouta. Jego mina mówiła wyraźnie: „Nie moja wina. Nie zawsze się wraca z tarczą, czasem na tarczy. Dopóki dostaje się czek z pensją co piątek, można to jakoś przeżyć”.

- Dupek - wymruczał Burke pod nosem.

Przy stole obrońców, jak było do przewidzenia, świętowano zwycięstwo i sędzia całkowicie przestał kontrolować sytuację. Pinkie Duvall zalewał elokwencją podsuwane mu mikrofony. Wayne Bardo z błogim znużeniem kołysał się na nogach obutych w drogie mokasyny. Strzepnął mankiety koszuli i w telewizyjnych reflektorach zalśniły kamienie spinek. Burke zauważył, że na śniadej skórze jego czoła nie ma nawet śladu wilgoci. Dobrze drań wiedział, że się z tego wywinie, jak i ze wszystkiego przedtem.

Patout, występujący jako rzecznik policji, starał się zadowolić reporterów, odpowiadając na ich pytania. Burke nie spuszczał oczu z Barda i Duvalla, kiedy obaj, otoczeni dziennikarzami, kroczyli do wyjścia. Nie unikali mikrofonów ani kamer. Duvall jako człowiek dbały o rozgłos, rozkoszujący się popularnością, wprost grzał się w świetle reflektorów. W przeciwieństwie do oskarżyciela nigdzie się nie śpieszyli - szli noga za nogą, zjednując sobie nowych zwolenników.

Bynajmniej też nie starali się uniknąć wzroku Burke Basile'a. Zwolnili jeszcze kroku, zbliżając się do rzędu krzeseł, gdzie stał Burke, na przemian zwierający i rozwierający palce prawej dłoni. Obaj postawili sobie najwyraźniej za punkt honoru spojrzeć mu prosto w oczy.

Wayne Bardo posunął się nawet do tego, że pochylił się ku Basile'owi i wyszeptał straszliwą, lecz niepodważalną prawdę:

- Nie ja zastrzeliłem tego gliniarza, Basile. Ty to zrobiłeś.

Rozdział drugi

- Remy?

Odwróciła się i odgarnęła grzbietem dłoni w rękawicy falę włosów z czoła.

- Och, cześć. Nie spodziewałam się ciebie.

Pinkie podszedł do niej główną ścieżką w szklarni, wziął ją w ramiona i mocno pocałował.

- Wygrałem.

- Tego się spodziewałam - odparła, odwzajemniając uśmiech.

- Znowu uzyskałem uniewinnienie.

- Gratuluję.

- Dzięki, ale tym razem nie było to takie trudne. - Szeroki zwycięski uśmiech przeczył pokorze słów.

- Dla mniej zdolnego adwokata pewnie byłoby trudne. Mile połączony, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Jadę do biura, muszę wykonać jeszcze parę telefonów, a kiedy wrócę, zaczniemy przyjęcie.

Roman postawił już wszystkich na nogi. Widziałem podjeżdżające samochody dostawcze.

Roman, ich kamerdyner, i cała służba czekali w pogotowiu od chwili, gdy rozprawa się zaczęła. Słynne były przyjęcia, które wydawał Pinkie Duvall, aby uczcić swoje prawnicze sukcesy; miały mu dodawać splendoru, podobnie jak sygnet z olbrzymim różowym diamentem, który nosił na małym palcu prawej dłoni i któremu zawdzięczał swój przydomek. Czekano na nie równie niecierpliwie, jak na same rozprawy, i tyleż „Pink” po angielsku znaczy „różowy”. same wzbudzały zainteresowania w mediach. Remy zastanawiała się czasami, czy sędziowie nie orzekają na korzyść jej męża tylko dlatego, żeby uzyskać osobiste zaproszenie na owe sławetne fety.

- Mogę ci w czymś pomóc? - Oczywiście nie było potrzeby i wiedziała o tym doskonale, zanim jeszcze zadała pytanie.

- Masz się po prostu pojawić tak olśniewająca jak zwykle. - Przesunął dłońmi po jej plecach, ścisnął pośladki i pocałował raz jeszcze. Kiedy ją puścił, otarł smużkę brudu z jej czoła. - Ale co ty tu właściwie robisz? Wiesz, że nie lubię, jak się tutaj za dużo ludzi kręci.

- Przecież nie kręcą się tu żadni ludzie, tylko ja jedna. Przyniosłam z domu paproć. Nie wygląda zbyt zdrowo i pomyślałam, że przyda się jej trochę czulej troskliwości. Nie martw się, niczego poza tym nie dotykam.

Szklarnia to było jego terytorium. Z zamiłowaniem uprawiał rośliny i traktował to hobby z taką samą powagą i akuracnością, jaką wkładał w przygotowywanie procesów i jaką odznaczał się we wszystkim, co w życiu robił. Przez moment z dumą lustrował wzrokiem rzędy roślin. Niewielu jego przyjaciół i ledwie paru wrogów wiedziało, że jedną z namiętności Pinkie Duvalla była hodowla orchidei.

Wszelkimi możliwymi środkami utrzymywano w szklarni optymalne dla ich rozwoju warunki. Komputerowo sterowane wyposażenie zapewniało stałą kontrolę i zachowanie odpowiednich warunków klimatycznych. Pinkie miał sporą wiedzę na temat orchidei, a co trzy lata jeździł na światowy kongres miłośników tych kwiatów. Wiedział, ile światła, jakiej temperatury i wilgotności potrzeba każdej odmianie, by mogła w pełni rozkwitnąć. Cattleya, laelia, cymbidium, oncidium - wszystkimi zajmował się z gorliwością świeżo upieczonej pielęgniarce z oddziału intensywnej terapii, zapewniając im właściwe nawilżanie, drenaż, wentylację. W zamian oczekiwał nadzwyczajnych, pokazowych kwiatów. Zwykle też takie rozkwitały, jakby nie chcąc rozczarować swego władcy...

Zwykle. Ale tym razem zmarszczył się na widok donic z oncidium varicosum. Nie były pokryte tak obficie kwiatami, jak sąsiadki.

- Pielęgnowałem je troskliwie tygodniami i co się dzieje? Wyjątkowo kiepski efekt.

- Może nie miały jeszcze dość czasu, żeby...

- Miały, ile należy.

- Czasami trzeba...

- Po prostu kiepskie okazy. Nie ma się czego doszukiwać. Podniósł jedną z doniczek i spokojnie rzucił ją na posadzkę.

Rozbiła się na kamiennych płytkach i zamieniła w kupkę skorup, poplątanych korzeni, oderwanych od szypulek kwiatów. W ślad za nią poszła następna.

- Pinkie, przestań! - Remy przykucnęła, usiłując zebrać dłońmi kruchą roślinę.

- Zostaw - powiedział obojętnie i rzucił kolejną doniczkę. Nie oszczędził żadnej i wkrótce wszystkie leżały w nieładzie na posadzce. Dopełnił zniszczenia, rozcierając kwiaty obcasami. - Psuły tylko wygląd szklarni.

Remy, pełna niesmaku dla tego obrazu zniszczenia, zaczęła uprzętać rośliny.

- Nie kłopotz się tym. Przyślę któregoś z ogrodników, żeby z tym zrobił porządek.

Wyszedł, wymógłszy na niej obietnicę, że zaraz pójdzie szykować się na przyjęcie. Ale nie poszła. Pozgarniała na szufelkę rumowisko doniczek, a potem starannie poukładała wszystkie narzędzia na stałych miejscach.

Do domu wiodła przez trawnik kręta kamienna ścieżka. Wypielęgnowane kwiatowe rabaty oceniały wielkie, omszałe dęby, które rosły tutaj od dawna, jeszcze zanim zbudowano obecny dom.

Remy weszła przez jedne z tylnych drzwi i udała się na górę schodami dla służby, omijając kuchnię, główną spiżarnię i jadalnię, skąd dochodził głos dostawcy żywności, wydającego lwieżłe polecenia swoim pracownikom. Do czasu przybycia gości męża wszystko miało być zapięte na ostatni guzik.

Nie zostało jej zbyt wiele czasu na toaletę, ale pokojówka uczyniła wszystko, żeby skrócić ten proces: kąpiel czekała, a ona sama stała w pogotowiu. Ustaliły, co Remy na siebie włoży, i gdy pokojówka wyjmowała rzeczy z szafy, Remy wykapała się pośpiesznie, wiedząc, że musi zostawić sobie sporo czasu na fryzurę i makijaż. Pinkie wymagał, by wyglądała nieskazitelnie w czasie jego słynnych przyjęć.

Pięćdziesiąt minut później, kiedy siedząc przy toalecie w garderobie dokonywała ostatnich korekt makijażu, usłyszała, że ktoś wchodzi do sypialni.

- To ty?

- No jeszcze by tego brakowało, żeby kto inny.

Weszła do sypialni i podziękowała mu, kiedy nagroził jej starania pełnym podziwu gwizdnięciem.

- Przygotować ci drinka?

- Poproszę.

Zaczął się rozbierać i gdy wręczała mu szklaneczkę szkockiej, stał już całkiem nagi. Mimo swoich pięćdziesięciu pięciu lat wciąż wyglądał imponująco dobrze. Ciało miał zwarte i jędrne dzięki codziennym, rygorystycznie wykonywanym ćwiczeniom i intensywnej pracy osobistego masażysty. Był niezwykle dumny, że udawało mu się utrzymywać w doskonałej formie mimo zamiłowania do rzadkich gatunków win i nowoorleańskiej kuchni, znanej zwłaszcza z ciężkich deserów, jak chlebowy pudding z sosem z whisky i śmietankowe praliny z siekanymi orzechami laskowymi.

Pinkie pocałował Remy w policzek, biorąc z jej rąk ciężką szklaneczkę i pociągnął łyceczek kosztownego trunku.

- Okazujesz niezwykłą powściągliwość, nic nie wspominając o prezencie, który ci przyniosłem. A przecież wiem, że go zauważyłaś.

- Sądziłam, że sam wybierzesz moment, kiedy zechcesz mi go wręczyć - powiedziała spokojnie. - A poza tym, skąd mogłam mieć pewność, że to dla mnie?

Zaśmiał się i wręczył jej opakowane w błyszczący papier pudełeczko.

- Z jakiej to okazji?

- Nie potrzebuję żadnej okazji, żeby dać mojej pięknej żonie prezent.

Rozwiązała czarną atlasową wstążkę i odwinęła złotą folię. Pinkie znowu zaśmiał się cicho.

- O co chodzi tym razem? - zapytała.

- Większość kobiet zdziera papier z prezentów.

- Wolę się rozkoszować podarunkiem.

- Dlatego, że nie dostałaś ich zbyt wiele jako mała dziewczynka. - Pogładził ją po policzku.

- Istotnie, dopóki ty się nie zjawiłaś.

W czarnym aksamitnym pudełeczku, wyściełanym białym jedwabiem, leżała otoczona diamentami akwamaryna z ośmiokątnym szlifem, na łańcuszku z platyny.

- Piękna - wyszeptała Remy.

- Zwrócił moją uwagę, bo kamień ma kolor twoich oczu. - Pinkie odstawił szklaneczkę na nocny stolik, wyjął wisior z etui i odwrócił Remy tyłem do siebie. - Chyba możesz się bez tego obyć przez jeden wieczór - powiedział zdejmując krzyżyk, który stale nosiła. Zawiesił wisior na jej szyi, popchnął ją w kierunku wysokiego osiemnastowiecznego lustra, które niegdyś zdobiło paryski buduar straconej na szafocie francuskiej arystokratki.

Przyjrzał się krytycznie odbiciu.

- Nieźle, ale jeszcze nie doskonale. Ta sukienka się nie nadaje. Czarna będzie dużo lepsza. Coś z dużym dekoltem, tak żeby kamień leżał na nagiej skórze.

Rozpiął sukienkę i zsunął ją z ramion Remy. Potem zdjął biustonosz. Wisior opadł między jej piersi i Remy spuściła oczy, krzyżując skromnie ramiona. Pinkie odwrócił ją do siebie i rozplótł jej rękę. Oczy mu pociemniały, czuła na ciele jego przyśpieszony oddech.

- Wiedziałem - powiedział niskim głosem. - Najpiękniejsza oprawa dla tego kamienia. - Poprowadził ją w kierunku łóżka, ignorując słaby protest:

- Pinkie, jestem już ubrana.

- Po to ludzie wymyślili bidety. - Popchnął ją napoduszki i ułożył się na niej.

Pinkie, zawsze w formie, odczuwał szczególnie silny popęd po wygranych procesach. Tego wieczoru był wyjątkowo podniecony i zakończył całą rzecz po paru chwilach. Remy leżała w butach i pończochach, potargana i z rozmazanym makijażem. Zsunął się z niej, sięgnął po drinka i dopił go, jednocześnie wstając z łóżka. Pogwizdując cicho, wyszedł do swojej garderoby.

Remy przekręciła się na bok, podkładając dłoń pod policzek. Cierpła na myśl, że będzie musiała ubierać się od początku. Gdyby jej pozwolono, zasnęłaby teraz i w ogóle nie poszła na przyjęcie. Obudziła się rano zmęczona i trwała w stanie półletargu przez cały dzisiejszy dzień. Ale za nic nie chciała, by Pinkie zauważył ten brak energii. Ciężył jej od tygodni i skrzętnie to przed nim ukrywała.

Zmusiła się do wstania. Napuszczała wody do wanny, gdy wrócił do sypialni, po prysznicu, świeżo ogolony, w nieskazitelnie skrojonym czarnym garniturze. Spojrzał na nią ze durnieniem.

- Myślałem, że będziesz do tej pory gotowa.

- Łatwiej zacząć od początku niż poprawiać - powiedziała, unosząc dłoń w obronnym geście. - Poza tym ja nie lubię bidetów.

Przytulił ją i cmoknął przekornie.

- Zdaje się, że zostawiłem cię o jeden semestr za długo w tej szkole. Nabrałaś strasznie świętoszkowatych manier.

- Nie robi ci różnicy, jeśli pojawię się trochę później, prawda? Poklepał ją lekceważąco, a potem puścił.

- Musisz wyglądać tak czarująco, żeby warto było czekać. - Już w drzwiach odwrócił się i dodał: - Tylko pamiętaj, masz włożyć coś seksownego, czarnego i wyciętego.

Zanurzyła się znowu w kąpiel. Słyszała muzyków strojących na dole instrumenty. Wkrótce zaczną napływać goście. Aż do świtu będą objadać się kalorycznym jedzeniem i popijać mocne drinki. Muzyka, śmiechy, tańce, flirty - aż do świtu. I nie kończące się rozmowy.

Westchnęła ze znużeniem. Czy ktoś w ogóle by zauważył, gdyby pani tego domu nie pojawiła się wśród gości?

Tak. Pinkie.

Żeby uczcić kolejny prawniczy sukces, kupił jej kolejny piękny klejnot - jeszcze jeden do kolekcji biżuterii, która i tak była dla Remy zawstydzająco pokaźna. Obraziłby się, gdyby się dowiedział, z jaką niechęcią uczestniczy w wydawanych przez niego przyjęciach i jak niewiele znaczą dla niej jego prezenty. Nie była w stanie cieszyć się szczodrobliwością męża; te prześliczne, drogocenne podarunki były tylko nędznym substytutem tego wszystkiego, czego jej odmówił.

Odwróciła opartą o brzeg wanny głowę i popatrzyła na toaletkę, na leżący w wyściełanym jedwabim pudełeczku klejnot. Nie poraziło jej piękno kamienia. Jego chłodny blask nie zachęcał, by go dotknąć. Cudownie oszlifowany, nie rozsiewał gorących iskier - połyskiwał lodowato zimnym światłem. Nasuwał myśl o głębokiej zimie, nie lecie. Zamiast szczęścia i spełnienia czuła beznadziejność i pustkę.

Żona Pinkie Duvalla rozplakała się cichutko.

Rozdział trzeci

Pinkie zrobił jej, oczywiście, wielkie wejście, kiedy w końcu zeszła na dół. Zaborczym gestem wziął ją pod ramię i ogłosił przyjęcie za oficjalnie rozpoczęte, skoro Remy wreszcie do nich dołączyła. Prowadził ją wśród tłumu, przedstawiał gości, których jeszcze nie знаła, również sędziów z ostatniego procesu, wyraźnie oszołomionych.

Wielu z tych ludzi było zamieszanych w skandale, wielu popełnione przestępstwo okryło niesławą, na części ciążyło I jedno, i drugie. Krążyły plotki o powiązaniach części z Metropolitan Crime Commission, czego jednak nie można było być pewnym, ponieważ przynależność do tej grupy była ściśle lajna. O jej nie ograniczonych możliwościach finansowych i nieograniczonej władzy krążyły legendy.

Byli wśród gości politycy zbijający kapitał na zaufaniu wyborców, rzutcy nuworysze i przedstawiciele starych, bogatych rodzin, od lat sprawujących bezwzględną kontrolę nad Nowym Orleanem. Kilku miało koneksje w świecie przestępczym. Przyjaciele, współpracownicy, byli klienci Duvalla. Wszyscy przybyli, by okazać, jak go szanują.

Remy znosiła służalczość gości męża z tego samego powodu, dla którego oni ją okazywali - żeby pozostać z nim w dobrych stosunkach.

Zauważono oczywiście nowy wisior, podziwiano go i zazdrozczono, a przy okazji - ku zażenowaniu Remy - oceniano również pierś, na której spoczywał. Nigdy nie lubiła być w centrum uwagi, wręcz nie znosiła męskich zalotnych spojrzeń; spojrzeń mężów, których żony przyglądały się jej ukradkiem z ledwie skrywaną pogardą i zazdrością.

Pinkie, jakby zupełnie tego wszystkiego nieświadomy, pysznił się nią niczym cennym żywym trofeum. Pod maską fałszywych uśmiechów taksujące spojrzenia dopatrywały się na jej twarzy oznak mijającego czasu. Remy wyczuwała w nich nieme pytanie: „Jak to możliwe, żeby tak niedobrana para przetrwała tak długo?”.

Rozmowa zeszła, co było nieuniknione, na temat procesu i ktoś zapytał Remy, co sądzi o wyroku.

- Jeszcze się nie zdarzyło, żeby Pinkie nie był stuprocentowo pewny wygranej - powiedziała. - Wyrok uniewinniający wcale mnie nie zaskoczył.

- Ale musisz, moja droga, przyznać, że w tym akurat wypadku łatwo było go przewidzieć - odezwała się, nie kryjąc protekcyjności, jakaś światowa dama, której grubą czerwoną szyję okalały diamenty.

Pinkie pośpieszył odparować cios w zastępstwie Remy:

- Nigdy nie da się do końca przewidzieć obrotu sprawy.

Ta akurat mogła się potoczyć całkiem inaczej. Lepiej mieć się na baczności, jeśli jako świadek występuje policjant.

- No, no Pinkie... - zaprotestował szyderczo jakiś mężczyzna. - Od czasu, gdy Mark Furhman

zeznawał w procesie O. J. Simpsona, policjanci jako wiarygodni świadkowie zostali całkowicie zdyskredytowani w oczach sądu.

Pinkie potrząsnął głową na znak, że się nie zgadza.

- Co do Furhmana masz rację, jego zeznanie wyrządziło oskarżeniu wiele szkody. Ale Burke Basile to zupełnie inny gatunek człowieka. Sprawdziliśmy dokładnie jego przeszłość, szukając czegokolwiek, co mogłoby go zdyskredytować. I okazało się, że ma nieskazitelny życiorys.

- Jeśli nie liczyć tego wieczoru, kiedy zastrzelił własnego człowieka - zarechotał któryś z gości, klepiąc adwokata po ramieniu. - Starłeś go na pył, gdy zasiadł na miejscu dla świadków.

- Wielka szkoda, że sędzia nie wpuścił telewizji na salę sądową - dodał ktoś inny. - Społeczeństwo powinno mieć możliwość śledzenia, jak demaskuje się policję, odkrywa jej prawdziwe oblicze.

- Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby zaraz po zeznaniu Basile'a sędziowie zwinęli kramik i ogłosili, że uważają cały proces za nie były - dorzucił następny.

- Rozmawiają państwo o śmierci człowieka! - wybuchnęła Remy, nie mogąc znieść tych grubiańskich żartów i śmiechów. - Niezależnie od wyniku procesu jest faktem, że pan Stuart by nie zginął, gdyby pan Bardo nie użył go jako żywej tarczy, prawda?

Śmiech nagle zamarł i wszystkie oczy zwróciły się na nią. - Tak, kochanie, absolutna prawda - odparł Pinkie. Nie twierdziliśmy, jakoby pan Bardo nie przytrzymał rannego oficera w momencie, kiedy oddano śmiertelny strzał, ale też daleki byłbym od stwierdzenia, że użył go jako żywej tarczy. Wydarzył się tragiczny wypadek, to fakt, ale nie daje to jeszcze podstawy do skazania niewinnego człowieka.

Remy nigdy nie bywała w sądzie, niemniej doskonale orientowała się w szczegółach akurat tego procesu, bo śledziła sprawozdania z jego przebiegu w mediach. Stuart i Basile, oficerowie z Wydziału Narkotyków, pojawili się jako pierwsi przy magazynie, w którym według wiedzy policji produkowano i rozprowadzano narkotyki. Przebywających w magazynie ktoś ostrzegł przed nalotem, i powitali obydwu policjantów ogniem. Stuart nie wytrzymał i nie czekając na wsparcie wtargnął do budynku. W strzelaninie zginął niejaki Toot Jenkins, Stuart był ciężko ranny. Kuloodporna kamizelka uchroniła go przed śmiercią, dostał postrzał w udo, ale kula szczęśliwie minęła o milimetry arterię. Miał też strzaskany łokieć.

- Lekarze zeznali w czasie procesu, że Stuart był prawdopodobnie w szoku, ale nie zmarłby od odniesionych ran powiedziała Remy. - Wprawdzie były ciężkie, ale nie śmiertelne.

- Pani mąż podważył wiarygodność lekarzy.

Pinkie uniósł rękę, jakby dając znak, że nie potrzebuje wsparcia, zwłaszcza by odeprzeć atak własnej żony.

- Postaw się na miejscu pana Barda, kochanie - powiedział. - Na podłodze leży martwy mężczyzna, drugi jest ranny i krwawi. Pan Bardo doszedł do wniosku, słusznego wniosku, że niespodziewanie znalazł się w bardzo niebezpiecznej sytuacji. I że ludzie na zewnątrz prawdopodobnie nie są policjantami, tylko konkurentami pana Jenkinsa, udającymi policjantów. Toot Jenkins miał do czynienia z azjatyckimi gangami, a ci ludzie potrafią być nadzwyczaj przebiegli, o czym przecież dobrze wiesz.

- Detektyw Stuart miał piegi i rude włosy. Raczej trudno było wziąć go za Azjatę. Jeden z gości zaśmiał się i powiedział:

- Touche, Pinkie. To fatalne dla oskarżyciela, że Remy nie występowała za niego w sprawie.

Pinkie śmiał się razem z innymi, ale chyba tylko Remy zauważyła, że był to odrobinę wymuszony śmiech. Zmierzył ją wzrokiem.

- Remy na sali sądowej? Trudno mi to sobie wyobrazić. Jest utalentowana w innej dziedzinie - oświadczył, obwodząc palcem wskazującym jej dekolt.

Nie było nikogo, kto by się nie roześmiał, a ją zalała fala gorącego gniewu i upokorzenia.

- Proszę mi wybaczyć, nic dotąd nie jadłam - powiedziała, odchodząc od grupki gości.

Nie było to zbyt roztropne - zdradzać się ze swoją opinią na temat wydarzeń tamtej nocy przed Pinkie i jego przyjaciółmi. Świątowali werdykt uniewinniający Barda, a nie jego niewinność, bo przecież te dwie rzeczy nie musiały iść w parze. Ani przez moment nie wierzyła, że Wayne Bardo czuł się zaskoczony, gdy rozpoczęła się strzelanina. Doskonale też wiedział, co robi, podnosząc rannego policjanta z podłogi i osłaniając się nim jak tarczą. Chciał, wychodząc z magazynu, ściągnąć na niego ogień ewentualnych agentów czekających na zewnątrz. A Burke Basile był na nieszczęście strzelcem wyborowym, i to obdarzonym doskonałym refleksem. W przekonaniu, że strzela do bandyty, wymierzył w głowę i trafił bezbłędnie. Orzeczenie sądu obarczało go całkowitą winą za ten czyn.

Żeby uprawdopodobnić kłamstwo o własnym głodzie, weszła do jadalni dla gości. Otwierał się tu raj dla łasuchów. Podgrzewane srebrne naczynia wypełnione były po brzegi parującymi homarami a l'etouffee, czerwoną fasolą i ryżem. Krewetki z grilla zanurzone w sosie tak ostrym, że od samego aromatu napłynęły jej łzy do oczu. Na tacach z lodem leżały w połówkach muszli świeże ostrygi. Kelner odkrawał cienkie plastry szynki i rostbefu z ogromnych kawałów pieczonego. Jajka po diabelsku, kraby po diabelsku, sałaty, przystawki, kielbaski, ciasta i desery - każdy mógł znaleźć coś dla uciechy podniebienia. Ale widok jedzenia i intensywne zapachy nie rozbudziły apetytu Remy, przeciwnie, poczuła lekkie mdłości.

Pinkie rozmawiał z członkami niedawno rozwiązanej ławy przysięgłych. Sprawiali wrażenie kompletnie nim oczarowanych, a ponieważ Pinkie uwielbiał się popisywać, chwilowo nie była mu potrzebna.

Niepostrzeżenie wymknęła się przez otwarte drzwi balkonowe w ciszę i odosobnienie ogrodu na tyłach domu. Rześkie powietrze zmieniało jej oddech w obłoczki pary, przyjemnie chłodziło odsłoniętą skórę. Poszła ścieżką do niewielkiej altanki. Zwieńczona kopułą koronkowa konstrukcja z kutego żelaza stała w odległym zakątku posiadłości. Było to jedno z jej ulubionych miejsc. Przychodziła tu zawsze, ilekroć potrzebowała chwili samotności, a przynajmniej jej pozoru.

Oparła się o kolumnę wsporczą, a właściwie przytuliła do niej, przywierając do zimnego metalu policzkiem, wciąż rozżalona publicznie wyrażoną uwagą męża. Podobne sugestie tylko potwierdzały to, co wszyscy o niej myśleli: rozpieszczana I.dobycz, głupawa żoneczka o ograniczonej inteligencji i trywialnych poglądach, której jedynym życiowym powołaniem jest służyć za tło dla błyskotliwego męża na forum publicznym i zaspokajać go w łóżku.

Uważali chyba także, że jest osobą pozbawioną uczuć i wrażliwości i że ich drobne złośliwości i zniewagi spływają po niej lak woda po kaczcze. I że jest szczęśliwa, skoro wiedzie bezpieczne życie, a jej zachcianki są zaspokajane.

Jakże się mylili.

W sto koni by stąd go nie odciągnął.

Burke Basile był skłonny przyznać, że tkwić tutaj nie należało do rzeczy roztropnych. Roztropnych? Ty dupku, pomyślał. Trzeba kompletnego głupka, żeby kulić się w cieniu wysokiego

żywopłotu z azalii, omiatając nienawistnym spojrzeniem posiadłość Pinkie Duvalla w willowej dzielnicy Nowego Orleanu.

Dom był śliczniusi i bielutki niczym tort weselny, cholernie w złym guście, zdaniem Burke. Żłocistożółte światło rozlewało się; z wysokich okien po starannie utrzymanym, przyszczyżonym równo jak dywan trawniku. Muzyka i śmiechy dochodziły aż tutaj z gwarnych pokoi.

Burke splótł na piersi ramiona w obronie przed wieczornym chłodem. Nie pomyślał o włożeniu marynarki. Jesień była i przeszła. Kończyła się łagodna nowoorleańska zima, ale Burke Basile nawet nie zauważył, że niedługo zmieni się pora roku i nadejdzie wiosna.

Te osiem miesięcy, które upłynęły od czasu śmierci Keva, zżarły go, pozbawiły energii, znieczuliły na otoczenie.

Barbara pierwsza zauważyła, jak bardzo to, co się wydarzyło, absorbuje jego umysł. Nic dziwnego, skoro z nim mieszkała. Kiedy żal przerodził się w obsesję, zaczęła się otwarcie uskarżać. Coraz częściej. Dopóki nie znudziło ją własne utyskiwanie. Ostatnio okazywała już tylko obojętność.

W miarę jak zbliżał się termin procesu Wayne Barda, dla wszystkich w wydziale stało się jasne, że Burke zupełnie stracił serce do roboty. Nie był w stanie skoncentrować się na sprawach, nad którymi aktualnie pracowali, bo wciąż żył sprawą, w której wyniku on i Kevin Stuart znaleźli się pod feralnym magazynem.

Ponad rok nękali dealerów, wylapywali jednego po drugim, krok po kroczku zawężali pole operacji, ale grube ryby wciąż się im wymykały. Być może śmiejąc do rozpuku z ich nieudolnych, skazanych na przegraną wysiłków i za nic mając zarówno lokalne, jak federalne władze.

Wszystkie naloty, które zorganizowali, kończyły się na niczym, a to tym bardziej pogłębiało ich frustrację i praktycznie redukowało ich sukcesy do zera. Nieważne, jak szczelna była sieć, w jak wielkiej tajemnicy utrzymywali całą operację - tamci zawsze dostawali cynk i zdążyli się na czas zwinąć. Zastawiali laboratoria produkujące narkotyki opuszczone, chemikalia porzucone w pośpiechu. Magazyny opustoszałe na moment przed ich wtargnięciem. Ich przeciwnicy mogli sobie pozwolić na stratę towaru, to było wliczone w koszty biznesu. Następnego dnia zaczynali po prostu w nowym miejscu.

Rozbiegali się szybciej niż karaluchy po zapaleniu światła, nieodmiennie robiąc gliny w konia. Po każdym takim rajdzie brygada rozliczała się z nieudanej akcji i podejmowała boleśnie frustrujące wysiłki, tepy wylapać płotki na nowo.

Burke zbyt wiele - lat przepracował w narkotykach, żeby mieć złudzenia. Znał to błędne koło, spodziewał się kroku do tyłu. Wiedział, że rozpracowanie siatki zajmie miesiące. Że działający w podziemiu faceci muszą trzymać się razem, a dotarcie do nich wymaga czasu i cierpliwości. Że przeszkody na drodze do sukcesu są nie do przewyciężenia, a sukces - jeśli nawet go osiągną - mizerny. Ale wiedzieć i akceptować to dwie różne rzeczy.

Cierpliwość nie była zresztą cnotą Burke Basile'a. Szczerze mówiąc, w ogóle nie uważał jej za cnotę. A czas, według niego, w tym wypadku był równoznaczny z klęską. Bo każdy dzień stracony na rzetelną pracę i gromadzenie solidnych dowodów dla prokuratury oznaczał dziesiątki dzieciaków zwabionych w narkotyczną pułapkę przez dealera z sąsiedztwa. Albo ogłupiałego od narkotyków yuppie, wgniatającego maskę swojego BMW w furgonetkę wiozącą emerytów na wycieczkę. Oznaczał przyjsście na świat kolejnych chorych dzieci. Nastolatka z sercem zniszczonym od zbyt dużej dawki. Ponurą, nędzną śmierć z przedawkowania.

Mimo to on i inni podejmowali wysiłki na nowo, ponieważ alternatywą było zaniechać wszelkich

wysiłeków. Starannie przygotowywali kolejne naloty. I ilekroć wydawało im się, że może jednak wreszcie trafili, że tym razem dokonają nalotu wszechczasów, przyłapią w końcu tych bydlaków na gorącym uczynku, przygwożdżą ich tak, że się już nie wywiną - kończyło się na niczym.

Mieli zdrajcę w Wydziale Narkotyków.

Musiał wśród nich być. Nie istniało inne wytłumaczenie, dlaczego tamtym zawsze udawało się o przysłowiowy włos. Zdarzyło się to zbyt wiele razy, by mówić o przypadku, karmie, nieszczęśliwym zbiegu okoliczności, zasranym szczęściu czy diabelskich sztuczках. Ktoś od nich pracował po niewłaściwej stronie.

Niech Bóg broni sukinsyna, jeśli on, Basile, odkryje, kto to jest. Bo to właśnie przez niego Nanci została wdową, a jej dzieci sierotami.

Burke błagał Keva, żeby się nie ruszał, dopóki nie nadjedzie reszta brygady z całym wyposażeniem - z taranami, bronią automatyczną, maskami przeciwgazowymi. Oni obaj wyprzedzili pozostałych o parę minut, Basile miał w kieszeni nakaz aresztowania. Ale Keva, sfrustrowanego perspektywą kolejnego nieudanego nalotu, poniósł gorący irlandzki temperament. Wtargnął do budynku przez otwarte na piętrze drzwi. Burke usłyszał strzały, zobaczył błyski, poczuł zapach prochu.

Potem dobiegły go krzyki.

Ktoś upadł, co do tego miał pewność. Zaczął szaleńczo nawoływać Keva. Nie było odpowiedzi.

Im dłużej czekał, tym większe ogarniało go przerażenie.

- Boże, Boże, nie - błagał. - Kev, odezwij się, ty cholerny Irlandcu!

W mrocznej gardzieli otwartych drzwi magazynu zamajaczyła sylwetka mężczyzny. W ciemnościach Burke nie był w stanie rozpoznać, dlaczego mężczyzna porusza się tak niezręcznie, ale nie miał wątpliwości, że broń jest skierowana w jego kierunku. Krzyknął, by tamten rzucił broń i uniósł ręce nad głowę, a wobec całkowitego braku reakcji powołał wezwanie.

W odpowiedzi rozległy się dwa strzały. Burke oddał tylko jeden.

I ten jeden wystarczył. Kev był martwy, zanim jeszcze Bardo opuścił jego dało na ziemię.

Biegnącego w kierunku przyjaciela Basile'a ścigał szyderczy śmiech Barda, odbijający się echem wśród żelaznych ścian. Że to był właśnie Bardo, Basile dowiedział się dopiero od policjantów, którzy przyjechali udzielić im wsparcia - zobaczyli go, jak uciekał zaułkiem na tyłach składu. Kiedy go złapali, na jego twarzy były jeszcze krople krwi i strzępy mózgu Kevina Stuarta, natomiast trzyczęściowy garnitur od Armaniego wyglądał nieskazitelnie. Jednym słowem, uszedł cało i czysty, dosłownie i w przenośni.

Nigdy nie znaleziono broni, z której strzelał. Zdołał się jej pozbyć w ciągu tych kilku minut, które upłynęły od strzału Basile'a do pojawienia się wsparcia. Tym samym zaistniały przesłanki do odparcia zarzutów Burke, że do niego strzelał.

Do końca też nie zdołano wyjaśnić przed sądem, jakiego rodzaju interesy łączyły Barda z Tootem Jenkinsem. Pinkie Duvall przekonująco dowodził, że to, co się wydarzyło, stwarzało sytuację pozornie świadczącą na niekorzyść jego klienta i mogło zaowocować niechęcią sędziów.

Pewne jak nagła śmierć - pomyślał Burke, wspominając teraz to wszystko - że powinno zaowocować niechęcią sędziów.

Tymczasem, podzielili stanowisko obrońcy. Nie było to zresztą takie znowu dziwne. Duvall niezwykle starannie pracował nad doborem ławy przysięgłych. Im więcej ma ktoś pieniędzy, tym silniej przemawiają jego argumenty, może też później liczyć na przychyłność tych, których na ławie

dla sędziów posadził. Zwłaszcza jeśli większość z nich siedzi w jego kieszeni.

Pinkie Duvall nie tylko w sądzie prowadził nieczyste interesy.

Wayne Bardo udał się do magazynu, na który robili nalot tamtej nocy, by pilnować spraw swojego szefa, Pinkie Duvalla.

Nigdy nie zdołali tego udowodnić, niemniej wszyscy w brygadzie podzielali mniemanie, że to właśnie złotousty adwokat jest głównym szefem, którego szukają. Miał więcej kontaktów z handlarzami narkotyków niż prostytutka okazji do zarażenia się opryszczką. Wszystkie tropy wskazywały na niego, ale wciąż brakowało im niepodważalnego dowodu. Burke był pewien, że bydlak jest bosem.

Celebrował sobie tu teraz, w swoim wykwintnym domeczku, wielkim ubawem śmierć Kevina Stuarta. Czyjeś pojawienie się w tylnych drzwiach domu przerwało te gorzkie rozmyślania. Burke wcisnął się głębiej między liście. Nie chciał, by zauważyła go idąca w kierunku altany kobieta.

Była sama. Na chwilę przyłgnęła do jednej z kolumn, potem powoli obesła altankę, przesuując palcami po obrośniętym bluszczem ogrodzeniu. Okrążywszy budynek, oparła się znowu o kolumnę, tym razem plecami.

Burke zobaczył wreszcie jej twarz. No, no, pomyślał. Czarne włosy połyskiwały opalizująco w zimnej srebrzystej poświacie księżycy, cerę miała bladą i przezrystą jak alabaster. Krótka koktajlowa sukienka odsłaniała wysoko nogi. Piersi kipiała nad głęboko wyciętym dekoltem.

Burke natychmiast sklasyfikował ją jako kosztowną dziwkę, jedną z tych, które wysiadują po barach ekskluzywnych hoteli, polując na przyjezdnych, którzy chętnie wydadzą kupę szmalu za godzinę lub dwie płatnej miłości z gorącokrwistą Kreolką. Uśmiechnął się ponuro. Mógłby się założyć, że ta należała do najwyżej opłacanych. Jestem droga, ale warta swojej ceny sugerował jej wygląd. I z pewnością mogła zadowolić klienta z forszą i pozycją Duvalla.

Ale może nie musiała. W końcu nie było powodu, by ktoś z taką górą szmalu, jak on, otaczał się brzydkimi kobietami. Może została wynajęta na tę jedną noc jako coś w rodzaju dekoracji. Może jest przyjaciółką któregoś z gości. A może przyssała się do niego i jego kompanii za drogie ciuchy i dobre narkotyki.

Utrzymywanie oficjalnej kochanki było powszechnie przyjętą praktyką w Nowym Orleanie, i to od chwili gdy założono to miasto. W miejscowościach, w których odbywają się targi i wystawy, rozwija się równolegle prawdziwy przemysł seksualny; Nowy Orlean z pewnością nie stanowił wyjątku od reguły. Każdy taksówkarz znał adres Ruby Bouchereaux. Jej dziewczyny miały opinię pierwszorzędną, a ona sama należała do najbogatszych kobiet w całym stanie.

Były też, oczywiście, uliczne dziwki uprawiające swój proceder w ciemnych alejkach za jedną działkę. Dzwiki rozmaitego rodzaju, jak w słynnym z prostytutce na cały świat Storyville. Niewybredne, twarde i nie narzekające na brak chętnych, niezależnie od klasy i ceny.

Ledwie te myśli przemknęły mu przez głowę, Burke zdał sobie sprawę, że ta nie wyglądała na zimną dziwkę. Prostitution i handel narkotykami często chodzą w parze, sporo się więc nauczył o tych dziewczynach. Potrafił bezbłędnie rozpoznać, którą życie zabije, a która jest na tyle drapieżna, by przetrwać.

Nie dałby głowy, że ta to potrafi. Była dziewczyną z klasą, zgoda. Ale nie sprawiała wrażenia zachłannej ani wyrachowanej. Wyglądała... smutno.

Nieświadoma, że ktoś ją obserwuje, oparła głowę o ozdobne kute żelazo i przymknęła oczy.

Potem powoli przesunęła dłońmi po ciele i przyłożyła je do łona.

Basile'owi zaschło w ustach, poczuł ciepło w podbrzuszu. Chłopcy pracujący w obyczajówce regularnie konfiskowali pornograficzne czasopisma, kasety wideo, filmy. Burke nie miał zwyczaju ich oglądać, ale był normalnym facetem i jak każdy inny na jego miejscu nie odwrócił głowy, czekając na to, co nastąpi.

Ale nie nastąpiło. Nie podniosła sukienki. Nie zaczęła się pieścić. Nie wydawała pomruków, nie jęczała, poruszając biodrami, nie dyszała przez rozchylone usta.

Mimo to wyglądała podniecająco. Wręcz zniewalała. Zdaje się, że nie on jeden tak myślał.

Przykuła tak mocno uwagę Burke, że zobaczył zbliżającego się do niej mężczyznę dopiero o ułamek sekundy wcześniej, niż ona sama. Tym mężczyzną był Wayne Bardo.

Rozdział czwarty

Bardo! Końce wąsów Basile'a opadły w dół, gdy wykrzywił usta w wyrazie pogardy.

Wziął ją mylnie za luksusową laskę, a tymczasem czekała na Bardo, króla mętów tej ziemi, kryminalistę, któremu dzięki udatnej pomocy Duvalla udawało się uniknąć pierdła.

Czy wiedziała, że Bardo zamordował prostytutkę, kiedy miał ledwie szesnaście lat? Bawili się w „zwiąż mnie i poczynaj sobie ostro”, ale pomylił jej nadgarstki z szyją i na niej zacisnął pończochy dziewczyny. Sądzone go jako nie letniego za nieumyślne spowodowanie śmierci. Odsiedział zaledwie rok, a potem wzięto go pod nadzór sądowy. Skoro pociągały ją tego rodzaju dreszczyki, nie zasługiwała na lepszy los, niż ją spotka.

Bardo górował nad nią, a ona zadrżała na jego widok. Burke odwrócił się z niesmakiem i przedarł przez krzaki do swojej toyoty, zaparkowanej między jaguarami i beemersami gości Duvalla.

- Łykamy świeże powietrze?

Remy drgnęła i otworzyła oczy. Serce podeszło jej do gardła, gdy zobaczyła Bardo. Stał przy wejściu do altanki. Specjalnie podkraść się po cichu, żeby ją przestraszyć. W mroku ledwie można było rozróżnić rysy jego śniadej twarzy. Zupełnie jakby zjawił się wprost z sennego koszmaru.

Natychmiast oderwała dłonie od sukienki, ale na widok jego porozumiewawczego uśmiešku zorientowała się, że zauważył, jak przyciskała je do brzucha. Zablokował ciałem wejście, tak że zupełnie nie miała którejdy uciec.

- Co pana tu sprowadza? - spytała, nawet nie starając się ukryć pogardy.

- Brakowało mi ciebie na przyjęciu, więc wyszedłem cię poszukać. - Zrobił krok do przodu, a Remy z trudem opanowała odruch, by się cofnąć. Zatrzymał się tuż przed nią i zmierzył obraźliwie taksującym spojrzeniem, a potem utkwiał oczy w jej piersi. Zniżył konfidencjonalnie głos. - No i proszę, jesteś.

W gruncie rzeczy był przystojny. Przypominał gwiazdora niemego kina. Czarne, gładko zaczesane do tyłu włosy odsłaniały wysokie czoło; miał doskonałą cerę o oliwkowym kolorze. Był szczupły i muskularny, ubierał się z ostentacyjną elegancją. Od pierwszej chwili, gdy go zobaczyła, Remy instynktownie nie dowierzała jego układnym manierom.

Bardo był częstym gościem w ich domu, ponieważ współpracował z Pinkie na długo przedtem, zanim ten podjął się go bronić w procesie o zabójstwo Stuarta. Remy traktowała go zawsze z chłodną grzecznością i unikała bliższych kontaktów. Od spojrzenia jego ciemnych oczu przechodziły ją ciarki.

Rzadko, ale udawało mu się czasem tak zaaranżować sytuację, że zostawali sami. Nigdy nie przepuścił okazji, żeby powiedzieć coś dwuznacznego i okraszyć na dobitkę nieprzyjemnym uśmiechem. Zachowywał się tak, jakby Remy dzieliła z nim jakiś brudny sekret.

- Pinkie będzie mnie szukał.

Chciała go wyminąć, ale jej nie przepuścił. Przyłożył dłonie do jej brzucha i pogładził go palcami.

- Nie lepiej, żebym ja to zrobił?

Nigdy dotąd nie ośmielił się jej dotknąć i na moment zamarła z lęku i odrazy. Zbyt często słyszała jego przechwałki, żeby się nie zorientować, jaką przyjemność sprawia mu przemoc. Wniosek, że z równym upodobaniem stosuje ją wobec kobiet, nasuwał się sam przez się. Co gorsza, obawiała się reakcji Pinkie na wiadomość, że inny mężczyzna jej dotykał.

Okazał jej tyle bezczelności akurat dzisiaj, bo po wygranym procesie uległ prawdopodobnie złudzeniu, że jest nietykalny. Poza tym chyba sporo wypił, czuła alkohol w jego oddechu. Jeśli okaże, że się go boi, tylko go podnieci. Poprosiła więc ostrym, opanowanym głosem, by zabrał ręce.

Rozciągnął w szerokim uśmiechu wąskie jak u gada wargi i przycisnął dłonie jeszcze mocniej do jej brzucha.

- Bo co, pani Duvall?

- Jeżeli natychmiast nie zabierze pan rąk... - zaczęła

przez zaciśnięte zęby. - Przeleciał cię, co? Odsunęła jego dłonie, a gdy spróbowała raz jeszcze go wyminąć, chwycił ją za ramiona i przycisnął plecami do kolumny.

- Dlatego się spóźniłaś na przyjęcie, tak? Pinkie cię zerznął.

Nic dziwnego. Dokładnie to samo bym robił, gdybyś do mnie należała. Dniami i nocami. I pewnego dnia tak czy owak do tego dojdzie. - Lubieżnie otarł się brzuchem o jej brzuch. Uważasz, że Pinkie jest dobry? Nie wiesz, jak to może smakować, bo nie byłaś ze mną. - Zatrzepotał obscenicznie językiem, a potem przeciągnął nim po jej szyi. - Dopadnę cię, pani Duvall. To tylko kwestia czasu.

Pokonała wzbierające mdłości i odepchnęła go ze wszystkich sił. Nic by to oczywiście nie dało, gdyby nie pozwolił jej się odepchnąć. Cofnął się o krok, śmiejąc się do rozpuku z jej wysiłków.

- Jeśli jeszcze kiedykolwiek się pan do mnie zbliży...

- To co, pani Duvall? Co takiego pani robi? No, słucham... - Pochylił się, opierając ramię na kolumnie, wysoko nad jej głową. Jego głos brzmiał szyderczo. - Wypapla pani mężowi? Nie sądzę. - Potrząsnął głową. - Jeśli się dowie, że cię dotykałem, może obwinić ciebie zamiast mnie. Bo widzisz... ufa mi. I wie, że potrafisz się zareklamować.

Odrząciła rękę wyciągającą się, by dotknąć jej piersi.

- Nie będę się trudziła opowiadaniem mężowi. Sama się tym zajmę.

- Zajmiesz się... tym? - zakpił gruboskórnice. - Jak miło to słyszeć.

Jej głos brzmiał chłodno, oczy rzucały zimne błyski jak kamień zawieszony na jej szyi.

- Czy pan nie popełnia czasem błędu, sądząc, że jest pan jedynym płatnym mordercą na usługach mojego męża?

Arogancki uśmiech przyblakł na moment, czarne oczy straciły nieco ze swej zwykłej zuchwałości. Remy wykorzystała ten krótki moment. Tym razem udało się jej go wyminąć.

Szła szybko i zdecydowanie ścieżką wiodącą do domu, mając nadzieję, że Bardo nie zauważy, jak drżą jej kolana. Wcale nie była pewna, komu w razie wątpliwej sytuacji Pinkie by uwierzył: jej czy jemu.

Barbara już spała, kiedy Burke wrócił do domu. Rozebrał się w ciemnościach, nie chcąc jej budzić. Ale kiedy wśliznął się do łóżka, odwróciła się do niego.

- Gdzie byłeś?

- Przykro mi, że cię obudziłem.

- Już chyba bardzo późno?

- Niewiele po północy.

- Gdzie byłeś? - powtórzyła.

- Pracowałem.

- Przecież mówiłeś, że Doug dał ci wolne do końca tygodnia.

- Bo dał. - Miał nadzieję, że nie będzie dalej drażzyła, ale wyraźnie wyczuł jej napięcie. -

Chciałem jakoś tę sprawę zamknąć, Barbaro. Nie uważasz, że to ostatnio bardzo modne sformułowanie? Zamknąć sprawę...

- Boże święty, Burke - prychnęła z dezaprobatą. - Kev nie żyje od miesiący. Proces Barda zakończył się wydaniem wyroku.

- Wiem.

- No to daj se wreszcie siana! - warknęła.

- Nie takie to łatwe.

- Może i niełatwe, zwłaszcza że sam sobie to utrudniasz.

Nie odciął się, chociaż co najmniej kilka cierpkich uwag przemknęło mu przez głowę. Przeciwiczyli już tę awanturę setki razy. Nie miał ochoty przerabiać tego znowu. Zawsze potem czuł się jak przepuszczony przez wyżymaczkę. Nie zniesie dzisiaj kolejnej porażki.

- To okropne, co się przydarzyło Kevinowi - powiedziała nieco bardziej pojednawczym tonem. -

Niemniej taka jest ponura rzeczywistość: policjanci giną. Ta praca zawiera w sobie ryzyko.

- Tylko że cholernie rzadko się zdarza, aby partner gliny stanowił dla niego ryzyko.

- To nie była twoja wina.

- Sędziowie musieli myśleć inaczej. W każdym razie nie przypisali winy Bardowi. - Przypomniał sobie rozjarzony światłami dom Duvalla, w którym bawiono się przy dobrym jedzeniu i alkoholu, w towarzystwie luksusowych kobiet, i zaczął nieświadomie zaciskać w pięść i rozluźniać palce prawej ręki. - On i Duvall wydają właśnie wielkie przyjęcie, żeby uczcić śmierć gliniarza. - Zrzucił kopnięciem prześcieradło i usiadł na brzegu łóżka, podpierając rękami głowę.

- Skąd wiesz, co właśnie robią. - Za jego plecami Barbara również usiadła na łóżku.

- Bo byłem tam i obserwowałem ich.

Nie widział jej, ale wyobraził sobie, jak ściąga brwi skonsternowana.

- Czyś ty całkiem stracił rozum? Chcesz, żeby cię zwolnili?

Naprawisz coś tym, że zmusisz Patauta, żeby cię zwolnił? Uszczęśliwi cię utrata pracy?

- Nie, to ciebie uszczęśliwi.

- A to co znowu ma znaczyć?

- Zupełnie jakbyś nie namawiała mnie do rezygnacji z tej pracy przez te wszystkie lata - powiedział, rzucając jej wymowne spojrzenie przez ramię.

- Ale nie chcę, żebyś odchodził w niesławie - odparowała ze złością.

- Ach tak - roześmiał się sarkastycznie. - Teraz rozumiem, dlaczego nie chciałaś być w sądzie podczas procesu. Nie chciałaś, żeby spłynęła na ciebie niesława, jaką okryła się policja, którą

zresztą, o ironio, latami wyszydzałaś.

Przez cały czas trwania ich małżeństwa jak bumerang powracał temat jego pracy. Barbara chciała, żeby rzucił robotę w policji i zajął się czymś poważniejszym i bardziej intratnym. Dyskusje zaczynały się burzliwie i przeradzały w głośne awantury, które niczego nie rozwiązywały, napęliając tylko oboje niechęcią i urazą.

Barbara zawsze uciekała się do argumentu, że gdyby ją kochał, wziąłby pod uwagę jej życzenia. Burke odcinał się, że gdyby go kochała, nie prosiłaby go o porzucenie pracy, którą uwielbiał. A gdyby on zaczął nalegać, żeby rzuciła nauczanie? To by było fair? Nie kończąca się wymiana zdań, w której oboje przegrywali.

Dzisiejszej nocy Burke był bardzo zmęczony, nie chciał się znowu angażować w bezsensowną kłótnię. Położył się z powrotem i utkwiał oczy w suficie.

- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało - powiedziała Barbara pojednawczym tonem po dłuższej chwili. - To o niesławie.

Szczerzy żal, który brzmiał w jej głosie, nie poruszył go. Nie pamiętał, od jak dawna powiedzieli czy zrobili coś, co by poruszyło to drugie. Odnosili się do siebie w poprawny, pozbawiony emocji sposób. Przynajmniej od śmierci Keva. Nie, już przedtem... Tak, na długo przedtem - Nic nie szkodzi, Barbaro - powiedział łagodnie, odwracając do niej głowę.

Lata niezadowolenia poznały bruzdami jej twarz, mimo to pozostała atrakcyjną kobietą. Uczyła w szkole wychowania fizycznego i zachowała prężną, szczupłą figurę, a współpracownicy Burke często robili zazdrosne, nie pozbawione lubieżności uwagi na ten temat. Uważali go za cholernego szczęściarza, skoro co wieczór idzie spać z Barbarą.

Burke ze smutkiem uświadomił sobie, że nie pamięta, od jak dawna szedł rzeczywiście z Barbarą do łóżka wyłącznie spać. W miesiącach poprzedzających proces był wykończony psychicznie i zbyt przepracowany, żeby w ogóle pomyśleć o seksie. Barbara, dostosowując się do jego braku nastroju, także nie inicjowała zbliżeń.

Proces Barda właśnie się skończył. Sprawa należała do przeszłości. Kev zginął, ale on, Burke wciąż żył. Może naprawdę należało zacząć znowu żyć... Seks mógł podziałać ożywczo. Może to mu uświadomi, że nie został pochowany razem z Kevinem. Kobięca miękkość ma uzdrawiające właściwości. Ciało kobiety niesie nie tylko fizyczne rozładowanie, koi także duszę. Nagle Burke zatęsknił za tego rodzaju ukojeniem. Za kilkoma chwilami zapomnienia. Za doznaniem uczuć innych niż poczucie winy i szarpiący żal.

Objął ręką kark żony i przyciągnął ją do siebie. Nie opierała się, ale wyczuł w niej napięcie zupełnie nie tego rodzaju, jakiego by oczekiwał. Łatwo było sobie wytłumaczyć ten brak entuzjazmu. Od tak dawna się nie kochali, musi dać jej czas, niczego nie przyśpieszać. Oboje potrzebują czasu, żeby atmosfera między nimi się ociepliła, muszą się na nowo do siebie przyzwyczaić, odnaleźć wspólny rytm. A może po prostu zrobiła się trochę nieśmiała. Może długi okres abstynencji naraził na szwank jej ego i potrzebowała dłuższych zalotów.

Zaczął całować ją intensywniej, w nadziei, że rozpali jej - i swoje - pożądanie. Pieścił przez materiał koszuli jej piersi, ale brodawki nie stwardniały. Przycisnął kolano do jej łona, ale nie rozchyliła ud. Wyszeptał jej imię między pocałunkami.

Upłynęło jeszcze kilka niezręcznych chwil i Barbara oswobodziła się z jego objęć.

- Muszę być wcześniej rano w szkole. Zaczynamy pierwszą turę rozgrywek siatkówki.

- Ach tak. - Odsunął się.

- Przepraszam, Burke...

- W porządku, nie przepraszaj.

- Naprawdę muszę wcześniej wstać, ale skoro...

- Nie rób z tego takiego halo, dobrze? - rzucił ostrzej niż zamierzał. - Przykro mi, że cię obudziłem. Postaraj się znowu zasnąć.

- Jesteś pewien, że nie...

- Jakoś to przeżyję. Nie umiera się od niesypiania z kobietą-

- Tylko mnie nie obwiniaj! - wybuchnęła. - Sam sobie to zawdzięczasz. Tak długo pielęgnowałeś w sobie żal... To nienaturalne. I dlaczego wciąż cię to dręczy?

Nie odpowiedział. Nie mógł jej tego wyjaśnić.

- No dobra - stwierdziła. - W takim razie dobranoc. - Dobranoc - mruknął niewyraźnie i zamknął oczy. Nie mógł jednak zasnąć. Zdenerwowała go jej odmowa, ale nie tak, jak by mogła. I to go dodatkowo zdenerwowało.

Kiedy nabrał pewności, że zasnęła, wstał i poszedł do kuchni zrobić sobie kanapkę. Potem usiadł przy stole, podparł głowę rękami i zapatrzył się nie widzącym wzrokiem w jedzenie, którego nie tknął.

Rozdział piąty

- Dwa do jednego. Przystanie przed nami i obrzuci nas wymownym wzrokiem. Stoi?

- Nie. - Burke potarł skronie. Wziął dwie tabletki, ale nie zlikwidowały bólu, który zagnieździł mu się w głowie, a teraz rozniecały go jeszcze bardziej bębny orkiestry dżezowej. Może powinien był przystać na propozycję Patouta i wziąć jeszcze tydzień urlopu, ale wolał nie przesiadywać w domu, gdzie miał zbyt wiele czasu na myślenie. - Opuść sobie, Mac. Nie mam ochoty grać dłużej.

Mac McCuen zaprezentował swój zniewalający uśmiech. - Daję ci szansę odzyskać trochę forsy, którą do mnie przegrałeś.

- Dziękuję ci bardzo.

McCuen gotów był się zakładać zawsze i o wszystko. Od wyniku światowych rozgrywek w piłkę nożną po rezultat wyścigu karaluchów. Rozczarowany brakiem entuzjazmu Burke, przeniósł uwagę na striptizerkę w stroju topless, która oczywiście przystanąła naprzeciwko niego. Biust jej podskakiwał w rytm muzyki, kiedy puszczała oko do przystojnego młodego gliniarza z Wydziału Narkotyków, ubranego jak top model, chociaż miał udawać niewyrobionego przybysza z prowincji, który kosztuje uciech nocnego życia na Bourbon Street.

Burke natomiast, jakby dla kontrastu, miał wymięty wygląd człowieka zmęczonego i w podłym nastroju, co zresztą było prawdą. Prawie całą noc spędził na przemian na roztkliwianiu się nad sobą i rozpamiętywaniu odmowy Barbary, podsycając jątrzącą się urazę do żony. Rano ograniczyli się do wymiany wrogich pozdrowień na dzień do bry i do widzenia, co go wprowadziło w dostatecznie złe nastrój. Starczy do końca dnia.

Z nachmurzoną miną przyglądał się teraz Macowi obserwującemu wyginającą się tancerkę. Ciekawe, jakie miał naprawdę imię? Jedyne, co o nim wiedział, to że wielokrotnie składał podania o przeniesienie do Wydziału Narkotyków, zanim go wreszcie niecały rok temu przyjęto. Burke doszedł do wniosku, że za bardzo rzuca się w oczy i jest zbyt wylewny, żeby być dobrym w tym fachu.

- Założę się o piąta, że ma silikonowe cycki - odezwał się McCuen, kiedy tancerka odeszła od nich, prężąc się dumnie. - Co ty na to?

- Ja? Że szkoda forsy. Jak byś to rozstrzygnął? Zapytałbyś ją?

McCuen nie dał się sprowokować. Natychmiast przywołał na twarz swój zniewalający uśmiech. Podniósł szklaneczkę i pociągnął łyceczek.

- Próbuję ci poprawić nastrój, Basile. Sprawić, żebyś się wreszcie uśmiechnął. Poza tym moja stara łeb by mi urwała, gdybym tylko podszedł do takiego towaru jak ta. Zazdrosna jak jasna cholera, chociaż nigdy nie dałem jej powodu. Może nie wygląda na to, ale nigdy jej nie zdradziłem, a jesteśmy ze sobą już trzy lata. - Miał taką minę, jakby aż tak rekordowy staż małżeński autentycznie go zdumiał. - A ty się kiedyś podbawiałaś, Basile?

- Nie.

- Nigdy?

- Nie.

- Jezu! Zdumiewające. Przy tych wszystkich kobietach, z którymi miałeś do czynienia. I zdaje się, że jesteś już od dość dawna żonaty... Jak długo?

- Długo.

- Szczęśliwie?

- Zamierzasz się przekwalifikować na terapeutę małżeńskiego?

- Czego się wściekasz? - Mac był wyraźnie urażony. Po prostu się pytam.

- No to nie pytaj. Przyszliśmy do roboty, a nie ślinić się na widok tancerek albo rozprawiać na prywatne tematy. Najlepsza droga, żeby dać się zabić, zapomnieć, że jest się w pracy...

- Nasz facet się pojawił - przerwał mu Mac, nie odrywając od Burke wzroku i wciąż się do niego uśmiechając. Może jednak był lepszym gliną, niż to Burke zakładał. - Idzie w naszą stronę. Ma na sobie obrzydliwy sraczkowatożółty płaszcz.

Burke nie odwrócił głowy, chociaż poczuł znajomy przypływ adrenaliny, jak zwykle przed dokonaniem aresztowania.

„Nasz facet” nazywał się Roland Sachel i tajny agent z wydziału od miesięcy kupował u niego narkotyki. Sachel sprzedawał wprawdzie tylko porcje po pięć dolarów, ale towar był bez zarzutu i na każde zawołanie. Wyglądało to tak, jakby uprawiał ten proceder dla dreszczyku emocji, a nie dla dochodu. Prowadził bowiem legalny biznes, małą fabryczkę produkującą damskie torebki.

Polem działania Sachela nie były ulice, lecz modne kluby.

Chętnie obracał się wśród ludzi znanych, zawodowych sportowców, ich fanów. Wiódł przyjemne życie i starał się przebywać w gronie sobie podobnych. Interesowali się nim, zakładając, że jeśli zdołają wnieść przeciwko niemu oskarżenie, doprowadzi ich do Duvalla. Tajniak rozpracowujący Sachela udzielił im dziś rano, podczas sekretnego spotkania, dodatkowych informacji.

- Jest ambitny i chciwy. Cały czas narzeka na szefa, a ponieważ w swojej fabryczce sam sobie jest szefem, rozumiem, że jego utyskiwania odnoszą się do bosa od narkotyków. Chyba nas do niego doprowadzi, jeśli zaproponujemy ugodę.

- Wymienił kiedykolwiek jakieś imię, nazwisko?

- Nigdy. Po prostu „szef”.

- Założę się o moją lewą półkulę, że to Duvall - oświadczył Mac.

- Jesteś pewien, że Sachel pójdzie na układ? - zapytał Patout.

- Jego chłopak gra w futbol - wyjaśniał tajniak. - Ma na jego punkcie fioła, nie przestaje się nim chwalić. Za rok jego syn ma grać w LSD i Sachel oczywiście marzy o tym, żeby go zobaczyć. Trudno mu będzie śledzić rozgrywki z miejsca, do którego trafi nawet po najmarniejszym wyroku za handel narkotykami.

Burke nie aprobował układów z ludźmi, którzy złamali prawo. W jego mniemaniu równało się to zawaleniu sprawy. Będą mieli i tak Sachela na głowie. Jak tylko go zwolnią, wróci do interesu.

Chciał jednak dopaść Duvalla. Za Duvalla był skłonny zostawić tę glistę w spokoju. Ustalili miejsce akcji, wiedząc, że ten właśnie klub należy do ulubionych terenów łowieckich Sachela, co zresztą było logiczne bo lokal słynął z dobrych striptizerek i odwiedzały go tłumy. Poza tym należał do korporacji, która stanowiła przykrywkę dla właściwej działalności Pinkie Duvalla.

Kątem oka Burke zobaczył, jak Sachel przystaje i zapala papierosa, utkwivszy wzrok w striptizerce ocierającej się krocem o mosiężną rurę. Sprawiał wrażenie kompletnie

zafascynowanego jej ruchami. Kiedy udała orgazm, dał entuzjastyczne brawo, a potem odwrócił się i poszedł przez zadymione pomieszczenie, wykrzykując pozdrowienia i wylewnie ściskając ryce. Najwyraźniej szukał kogoś i znalazł go wreszcie przy stoliku w odległym, ciemnym kącie.

Jego pierwszym klientem dzisiejszego wieczoru był dobrze ubrany yuppie, wychudzony niemal do granic wyniszczenia. Niespokojne ruchy i rozbiegane oczy świadczyły o tym, że czekał na spóźniony niuch koki. Sachel pomachał na kelnerkę i zamówił drinki.

- Cholera! - wykrzyknął McCuen, zrywając się na nogi. - Ta mała to było coś, nie? W życiu czegoś podobnego nie widziałem. Jest coś takiego w ogolonej cipce, że dostaję świra. Muszę iść do kibla.

Skierował się do toalet na tyłach sali klubowej. Burke również podniósł się z za stolika, udając, że sprawdza rachunek, który wręczyła mu piersiasta kelnerka.

Tuż przy drzwiach toalety McCuen upuścił pudełko zapalek i pochylił się, żeby je podnieść.

Burke zobaczył, jak yuppie podaje Sachelowi papierek wyglądający na złożony banknot. Sachel zgarnął go we wnętrze dłoni szybkim, zręcznym ruchem zawodowego szulera. Drugą rękę wsunął w kieszeń żółtego sportowego płaszcza.

Burke wykonał bieg między stolikami i znalazł się po przeciwnej stronie sali, zanim perkusista dżezowej orkiestry zdążył ponownie uderzyć w bębny. Z pistoletem w wyciągniętej dłoni krzyknął na Sachela, żeby się nie ruszał. McCuen już przy nich był, lufa jego pistoletu dotykała skóry za prawym uchem yuppie.

Pojawili się również dwaj inni policjanci, którzy dotąd udawali pijanych Turków i czekali na sygnał rozpoczęcia akcji, żeby asystować przyaresztowaniu.

Kiedy pouczano zatrzymanych, jakie mają prawa, anorektyczny yuppie wyszłochiwał trzęsąc się w ataku płaczu, że nie mogą go zamknąć w więzieniu, nie człowieku, zdechnę na głodzie w pierdlu. Sachel obsypywał przekleństwami funkcjonariusza zakładającego mu kajdanki i uwalniającego go od ciężaru pistoletu schowanego w kaburze przypiętej nad kostką nogi. Dopytywał się, czy aby policjanci wiedzą, co robią i z kim zadzierają. Potem zażądał widzenia ze swoim adwokatem, Pinkie Duvalem.

- Dziesięć do jednego, że sukinsyn zjawi się przed nami - powiedział McCuen, kiedy wychodzili z klubu.

- Masz wygraną w kieszeni, Mac - odpowiedział Burke.

- Porucznik Basile. Co za przyjemność widzieć pana znowu tak szybko.

- Nie musiałby pan znosić tej przyjemności, panie Duvall, gdyby pańscy przyjaciele kryminaliści nie zawracali panu gitary - odpalił natychmiast Burke.

Adwokat stawiał się, zanim nadeszli, dokładnie tak jak przewidział Mac. Któryś z lojalnych pracowników klubu musiał go niezwłocznie zawiadomić o przyłapaniu Sachela na handlu narkotykami.

- Wciąż urażony przebiegiem procesu Wayne Barda? Burke niczego nie pragnął bardziej, jak walnąć pięścią w tę przystojną, bezczelną twarz, zetrzeć z niej zadowolony z siebie uśmiech, naruszyć wypielęgnowane ząbki. Dochodziła północ i można się było spodziewać, że adwokat będzie nieco zaniedbany, tymczasem stał w nieskazitelnym trzyczęściowym garniturze I wykrochmalonej śnieżnobiałej koszuli. Pachniał kremem do golenia i ani jeden lśniący włos nie sterczał mu nieporządnie na głowie.

Patout, przewidując kłopoty, stanął między nimi.

- Zabieram pana Duvalla do jego klienta. Burke, na ciebie też czekają. - Pokazał głową na pokój przesłuchań, gdzie za szybą widać było yuppie zaciągającego się papierosem, jakby miał to być ostatni papieros w jego życiu.

- Jak on się nazywa? - zapytał Burke.

- Raymond... - Pat out spojrział na okładkę skoroszytu, zanim wręczył go Basile'owi - Hahn. - Karany?

- Wykroczenia, posiadanie narkotyków. Oddano go pod nadzór policyjny. Burke odwrócił się do wyjścia, a wtedy Duvall rzucił w ślad za mm:

- Po co go pan aresztował, Basile? Nie lepiej było zastrzelić?

Świadom, że Duvall chce go sprowokować do jakiegokolwiek reakcji, która dałaby mu podstawę do wystąpienia z oskarżeniem o naruszenie dóbr osobistych, Basile nie zatrzymał się, dopóki nie poczuł się w miarę bezpieczny za szczelnie zamkniętymi drzwiami pokoju przesłuchań.

Patrzył, jak Patout prowadzi Duvalla do podobnego pomieszczenia, w którym czekał Sachel. Adwokat na pewno doradzi mu, by nic nie mówił, na co zresztą wpadł i sam Sachel. Będą mieli jednak czas, by go zmiękczyć, i być może już jutro o tej porze Duvall znajdzie się za kratkami.

Na razie McCuen i dwaj policjanci w fezach rozmawiali z Raymondem Hahnem. Burke nalał sobie filiżankę letniej wystawej kawy, wziął krzesło i przysunął się z nim do aresztowanego mężczyzny.

- Pogadaj ze mną, Ray.

Policjant w cywilu podniósł skute rękę i zaciągnął się głęboko kurczącym się w szybkim tempie papierosem.

- Niepewna sprawa, tak? - Przesunął oczami po skierowanych na niego poważnych twarzach. - Niewiele przy nim znaleźliście. - Zatrzymał wzrok na jednym z Turków.

- Parę uncji. Prześwietlają mu samochód, ale wygląda na to, że jest czysty.

- Czyli nie ma co mówić o porządnej ugodzie - ciągnął Hahn. - Duvall i tak go wybroni od długiego wyroku. Nie ma czym straszyć, nie ma się o co układać. Moglibyście mi to wreszcie zdjąć? - zapytał, a kiedy jeden z oficerów podszedł i zdjął mu kajdanki, zaczął rozcierać nadgarstki, żeby pobudzić w nich krążenie krwi. - Śmiertelnie się przestraszyłem, jak runąłeś przez salę z pistoletem w garści - zwrócił się do Basile'a.

Wciąż wyglądał na wytrąconego z równowagi. Burke domyślał się, że naprawdę jest ćpunem i dlatego nie wzbudza żadnych podejrzeń u handlarzy.

- Rozmawialiśmy dzisiaj rano z dawnymi klientami Sachela, którzy właśnie odbywają odsiadkę - powiedział Burke. - Są gotowi zeznawać przeciwko niemu w zamian za wcześniejsze zwolnienie. To plus odraczenie terminu procesu powinno wystarczyć, żeby zatrzymać go dość długo w areszcie. W każdym razie wystarczająco długo, żeby nie obejrzał żadnego meczu ze swoim synem, chyba że w telewizji.

- Może zadziałać - powiedział Hahn, odgryzając zadartą skórę z palca - ale nie jestem pewien. To bufon z rozdętym ego, ale głupi nie jest niezależnie od tego, jak narzeka na Duvalla, przede wszystkim się go boi. Poza tym może wyjść za kaucją.

- Co za niespodzianka - powiedział Patout, wchodząc do pokoju. - Pan Duvall doradził swojemu klientowi, żeby trzymał język za zębami. Jedyna nadzieja, że masz coś na niego, Ray.

Zanim Hahn zdążył odpowiedzieć, odezwał się Burke:

- Wiecie, co myśłę? - Powoli podniósł się na nogi, pocierając pulsujące skronie. - Myśłę, że to

było głupie z naszej strony zdjąć Sachela za sprzedawanie pięciodolarowych porcji. Powinniśmy się wstrzymać do czasu, aż będzie możliwy nalot na jego fabryczkę i składy.

- Nie prowadzi tam narkotykowego interesu. Próbowałem tam coś od niego kupić, ale odmówił.

Trzyma się zasady, żeby nie mieszać tych dwóch rzeczy - wyjaśnił Hahn.

- Pewnie Duvall był jego nauczycielem - zauważył z goryczą Mac.

- Nie zapominaj, że tego już próbowaliśmy i nic nam to nie dało - zwrócił się Patout do Burke. -

Nie mamy podstaw, żeby wkraczać na teren, na którym prowadzi się legalną działalność. Żaden sędzia nie wyda nam nakazu.

- Chcę tylko powiedzieć, że...

- Zrobilibyśmy kolejny nieudany nalot, a nie przyskrzynili Duvalla. Jeśli to rzeczywiście Duvall.

- To jest Duvall - oświadczył Burke stanowczo.

- To tym bardziej musimy się przyczaić.

- Wiem, Doug, ale...

- Littrell nie ruszy sprawy, jeżeli nie dostarczymy niepodważalnych dowodów...

- ... na jej poparcie! - wrzasnął Burke. - Widzisz, załapałem. Bóg jeden wie, że słyszałem to kazanie wystarczająco często!

- Nie chcę żadnej więcej wpadki! - wybuchnął Patout. Ani ty, ani wydział nie może sobie już na nią pozwolić! Nikt tego nie zniesie! zapadła niezręczna cisza. Policjanci odwrócili od nich wzrok. - Dajcie spokój, chłopaki - wymamrotał Mac.

Było jasne dla wszystkich, nie wyłączając Basile'a, że Patout traktował go w specjalny sposób. Nie tylko dlatego, że uważał go za dobrego policjanta, ale także dlatego, że byli przyjaciółmi. Studiowali w akademii policyjnej w jednej grupie. Patout przedłożył karierę w administracji nad pracę w terenie, ale ranga, do jakiej doszedł, nie zachwiała ich przyjaźnią.

Do niedawna. Nadwerężyły ją wydarzenia związane ze śmiercią Keva. Burke czuł to wyraźnie. Ale też rozumiał przyczynę. Doug odpowiadał za nich, tłumaczył się przed przełożonymi z ich czynów i wyników pracy. Niełatwo być czyimś rzecznikiem, a już zwłaszcza gdy próbuje się bronić reputacji podwładnego, który jest jednocześnie przyjacielem.

Doug nie chciał, by kariera Burke skończyła się z powodu jednego tragicznego incydentu. Zbierał za niego cięgi, kiedy rozważano, czy porucznik Basile może dalej pełnić w sposób odpowiedzialny i zrównoważony swoje obowiązki. Wspierał go w czasie procesu - publicznie i gdy zostawali sami. Mimo gniewu, który nim w tej chwili władał, Burke rozumiał, że Doug próbuje go uchronić przed zrobieniem czegoś nieodwołalnego, co by dało powód do odebrania mu odznaki.

On i Doug patrzyli sobie teraz prosto w oczy. Burke, już opanowany, powiedział:

- Pozwól mi spróbować z Sachelem.

- Nie w nastroju, w jakim się teraz znajdujesz - odparł spokojnie Patout. - Być może jutro. - Jutro zerwie się już z haczyka.

- Będziemy zwlekać z kaucją.

Burke westchnął, potarł kark i obdarował kolegów cierpkim spojrzeniem.

- Wobec tego idę do domu.

- A co ze mną? - zapytał Hahn. Patout spojrzał na Burke.

- Ty, to odwołaj. To twoja sprawa.

- Moja. Jak jasna cholera moja - mruknął Burke. Zamkniemy cię na parę godzin - zwrócił się do Hahna.

- O Boże! Nienawidzę tego obrzydliwego miejsca.

- Przykro mi, Ray, ale nie możemy dopuścić, żeby cię rozszyfrowali, bo wtedy rzeczywiście damy się już wykiwać na dobre.

Pinkie wstał i zamknął z trzaskiem wieko aktówki.

- Wychodzisz? - zapytał Sachel z niedowierzaniem. Nie możesz tak po prostu wyjść. Co mam robić? - Spędzić noc w więzieniu.

- W więzieniu? To kiedy mnie stąd wyciągniesz?

- Z samego rana zacznę się starać o zwolnienie za kaucją. Na razie masz tu zapewniony nocleg.

- No cóż, wspaniale. Cholernie wspaniale.

- Parę chwil samotności w celi bardzo ci się przyda, Sachel. Może cię to skłoni do zastanowienia się nad własną głupotą.

Sachel przestał utyskiwać i spojrzał na Pinkie wojowniczo.

- A to co znowu ma znaczyć?

- To, że jak skończony głupek dałeś się aresztować w klubie za rozprowadzanie narkotyków. - Dopóki towarzyszyli im policjanci, Pinkie trzymał się na wodzy, ale gdy wyszli, by mu umożliwić swobodną rozmowę z klientem, jak nakazywało prawo, przestał się krępować.

- Przecież znałem faceta - bronił się Sachel. - Stały klient. Zaopatruję go od dawna. Nie widziałem żadnego niebezpieczeństwa...

- Zamknij się! - warknął Pinkie. - Od jak dawna sam bierzesz?

- Ja? Nie biorę. Nigdy nie brałem.

- Ale twoja dziewczyna tak.

- Dziewczyna? Pinkie, o czym ty, do diabła, mówisz? Jestem żonaty, dzieciaty, nie mam żadnej dziewczyny.

Pinkie nie znosił, gdy go okłamywano. A już zwłaszcza gdy kłamstwo było rażąco nieudolne, jakby zakładano, że jest zbyt głupi, by je przejrzeć.

- Ta striptizerka akrobatka. Kędzierzawe rude włosy. Kościsty tyłek. Mały biust z brodawkami wielkimi jak spodki. Wiesz, o kim mówię, Sachel.

Sachel z trudem przełknął ślinę. Pot wystąpił mu na czoło, skóra przybrała niezdrowy blady odcień, szczególnie widoczny przy krzykliwej barwie płaszcza.

- Posuwasz ją od trzech miesięcy - powiedział Pinkie łagodnie, niemal współczująco. - Obdarza cię względami w zamian za narkotyki. W zamian za moją własność. Dostaje je od ciebie za darmo. Kradniesz, Sachel. Co gorsza, skoro nie płaci, ćpa tyle, że najczęściej jest zbyt otumaniona, aby tańczyć. A jak wiesz, to najpopularniejsza striptizerka w klubie. Faceci siedzą, popijając drinki godzinami, żeby doczekać się jej występu. Zostawiają kupę szmalu, żeby zobaczyć jej słynny wypięty w finale tyłek, ale wychodzą wcześniej, jeśli zabawa jest odwołana. - Pinkie podszedł tak blisko, że Sachel poczuł zapach wody miętowej do płukania ust. - Twoje rżnięcia kosztują mnie fortunę, Sachel.

Na żółtym płaszczu pojawiły się mokre plamy pod pachami.

- Nigdy bym przeciwko tobie nie wystąpił, Pinkie. Przecież wiesz.

- Nie? - Adwokat potrząsnął osrebrzoną głową. - Dochodzą mnie rozmaite plotki, Sachel. O twoich ambicjach.

- Chyba nie wierzysz plotkom. - Sachel próbował się uśmiechnąć, ale wargi jak z gumy nie chciały mu być posłuszne. - Och wierzę. Zwłaszcza po dzisiejszej nocy wierzę.

- Co ty... co masz na myśli?

- Niby dlaczego taki cwany glina jak Burke Basile zdejmuje cię za parę uncji? Raz popełnił nieostrożność, ale, cholera, jest za inteligentny, żeby się pieprzyć z takim oślizłym drobnym dealerkiem jak ty. Chyba że zamierza coś od ciebie wytargować.

- Na przykład co?

- Informacje. Dowody.

- Powiem mu, żeby się odpieprzył!

Nie zwracając uwagi na ten wybuch nieszczerego oburzenia, Pinkie mówił dalej:

- Zamkną cię na noc lub dwie z naj gorszymi mętami, tak żebyś zrozumiał, jakie nieprzyjemne może być więzienie, a kiedy zmięknie, zaproponują ci układ. Według mnie zwolnienie ze wszystkich zarzutów w zamian za informacje o sposobie dystrybucji.

- Nie pójdę na żaden układ.

- Oczywiście - uśmiechnął się Pinkie. - Akurat w lo jestem skłonny uwierzyć.

- No jasne. Nigdy bym nie zdradził przyjaciela - zapewnił odprężony Sachel.

- Jestem przekonany, że nie. - Głos Pinkie brzmiał podejrzanie jedwabście. - Jestem przekonany, że wolałbyś odsiedzieć swoje, niż żeby coś się miało przytrafić twojemu synowi.

Pewność siebie natychmiast opuściła Sachela.

- Mojemu synowi? Boże święty, Pinkie. Nic. Ja... ja... Adwokat położył mu dłoń na ramieniu, chcąc go uspokoić i przerwać nieskładne mamrotanie.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę lwojcego chłopaka grającego z Tygrysami, i nie tylko ja jeden. - Delikatnie pomasaował napięte ramię Sachela. - Czy nie byłaby to prawdziwa szkoda, gdyby przypadkowo uległ poważnemu wypadkowi? Gdyby kariera tak dobrze zapowiadającego się futbolisty została gwałtownie przerwana, zanim jeszcze na dobre zaczęła się rozwijać?

Sachel rozplakał się.

- Za nic nie chciałbyś się dowiedzieć, że twój syn stał się ofiarą tragicznego wypadku, co Sachel? Szlochając jak dziecko, niepowstrzymanie, Sachel pokręcił głową.

Rozdział szósty

- Masz ochotę na jajka?

- Nie, dzięki, Pinkie. - Bardo podniósł oczy na Romana. - Ale chętnie napiję się kawy.

Wróciwszy do domu z policji, Pinkie stwierdził, że jest głodny. Obudził kamerdynera i polecił mu przygotować śniadanie. Roman ani myślał utyskiwać, że go wyciągnięto z łóżka. Przeciwnie, był szczęśliwy, mogąc wyświadczyć szefowi grzeczność. Czasami wyłuskanie kogoś z celi śmierci owocuje dozą lojalnością.

- Czy będę panu jeszcze potrzebny, panie Duvall? - zapytał, stając przy stole z dzbankiem kawy i filiżanką.

- Nie, dziękuję, Roman. Dobranoc.

Bardo patrzył znad brzegu filiżanki z chińskiej porcelany, jak stary dżentelmen oddala się do swojego pokoju.

- Niewiele już zostało na świecie takich czarnuchów.

- Nie powtórzę mu tej uwagi - powiedział Pinkie, zagłębiając widelec w żółtku sadzonego jajka.

- Kiedyś zdybał żonę w łóżku z innym mężczyzną i poczęstował oboje siekierą.

- Nie... - Na Bardzie najwyraźniej zrobiło to duże wrażenie. - Cholera!

Pinkie przeszedł bez dalszych wstępów do celu ich nie planowanego spotkania.

- Będziemy mieli trochę kłopotu z panem Basile'em.

- Ba!

Pinkie spojrzął na gościa, którego widelec zastygł w połowie drogi do ust. Był zadowolony, że tamten właściwie odczytał znaczenie wypowiedzianych słów.

- Pardon - wymruczał Bardo. - Nic chciałem wychodzić przed orkiestrę. To dlatego... no wiesz... miałem nadzieję, że nie popuścimy temu skaucikowi.

- Chciałem, żebyśmy wzięli się za niego w odpowiednim czasie, ale zmieniłem zdanie. Nie ma co dłużej czekać.

- Coś się stało?

Pinkie opowiedział o aresztowaniu Sachela.

- Najwyższy czas przesłać panu Basile'owi wiadomość - zakończył.

- Świetnie.

- Jasną, klarowną wiadomość, że skoro wchodzi nam w paradę, sam się prosi o kłopoty. I to o poważne kłopoty.

- Co byś chciał, żebym zrobił?

- Pinkie? - Na dźwięk głosu Remy obaj odwrócili głowy w stronę otwartych drzwi. Stała w nich, w szlafroku, z potarganymi włosami i zaspanymi oczyma. - Nie słyszałam, kiedy wróciłeś.

- Zaraz do ciebie przyjdę. - Pinkie zauważył, że Remy unika wzroku Barda i natychmiast zaczął

się zastanawiać dlaczego. - Musieliśmy omówić pewne sprawy.

- O tej porze?

- Pilne interesy.

- Aha.

- Wracaj do łóżka. Naprawdę za chwilę przyjdę.

Na ułamek sekundy skierowała oczy na Barda i wróciła wzrokiem do męża.

- Nie siedź za długo.

Dokończyli rozmowy przyciszonymi głosami, zanim adwokat zjadł jajka.

- Chciałbym, żebyś się tym zajął natychmiast.

- Oczywiście.

- Natychmiast - powtórzył Duvall z naciskiem. - To powinno być dla niego jak uderzenie pałąką po głowie. Tak żeby się wreszcie ocknął. Niech to będzie nauczka nie tylko dla pana Basile'a, lecz i dla wszystkich w Wydziale Narkotyków.

- Rozumiem.

- Co do twojego wynagrodzenia...

- Jak zwykle?

Duvall skinął głową na zgodę.

- Wyjdź tylnymi drzwiami, tak jak przyszedłeś.

Kiedy Barda wyszedł, adwokat włączył system alarmowy i udał się na górę. Remy leżała w łóżku, czuwając.

- O co chodziło?

- Mówiłem ci. Interesy. - Zaczął się rozbierać nie spuszcając z niej wzroku. - Dobrze się czujesz, Remy? Wyraźnie wprawił ją tym pytaniem w zakłopotanie.

- Oczywiście. Nie ma powodu, żebym się źle czuła.

- Ostatnio nie jesteś sobą.

- Przecież wiesz, że zawsze zimą trapi mnie lekka chandra. - Uśmiechnęła się do niego blado. - Czekałam na wiosnę. Wydaje się, że to jeszcze kawał czasu.

- Kłamiesz. - Wielu mężczyzn rozebranych do naga mogłoby się czuć odrobinę mniej władczo i pewnie. Ale nie Pinkie. Wziął się pod boki i spojrzał surowo na żonę. - Od tygodni snujesz się jak marek po piekle.

- Przecież ci powiedziałam...

- Te pierdoły oporze roku? I skąd się nałykałaś tych niezwykle oryginalnych mądrości? - Jakich oryginalnych mądrości?

- A tych, które tak ochoczo wypowiadałaś wobec naszych gości ostatniego wieczoru. - Ściszył głos niemal do szeptu. - Niebezpiecznie bliskich moim przeciwnikom, Remy.

- Ależ to śmieszne. Dobrze wiesz, po czyjej stronie jestem.

- Wiem?

- Owszem. Powinieneś wiedzieć.

Spojrzała mu spokojnie prosto w oczy. W jej spojrzeniu była sama szczerść, mimo to nie miał zamiaru zmieniać tematu. Nie na tym polegała jej rola, żeby wypowiadać opinie w ważnych kwestiach.

- Poza tym nie podoba mi się, że tak nagle zniknęłaś z mojego przyjęcia.

- Nie zniknęłam. Rozboliła mnie potwornie głowa i musiałam pójść na górę poleżeć.

- Rozboliła głowa? - powtórzył z powątpiewaniem. - Jakoś nigdy dotąd nie bolala cię głowa. Nigdy też nie byłaś tak ospała. Może jesteś chora? Może powinienem umówić cię z lekarzem?

- Nie!

Gwałtowność tego wykrzyknika zdumiała nawet ją samą. Pokryła to lekkim śmiechem.

- Naprawdę nic mi nie jest, Pinkie. Zły nastrój, nic poza tym.

- Jednego nie toleruję, Remy. - Usiadł przy niej na łóżku i pogładził jej kark. - Kłamstwa. - Jego palce znieruchomiały. - Masz mi, do cholery, natychmiast powiedzieć, o co chodzi.

- No więc dobrze! - wykrzyknęła gniewnie. Odrzuciła prześcieradła, wstała z łóżka i stanęła naprzeciwko niego. - Chodzi o tego faceta.

- O jakiego faceta? - Zerwał się na równe nogi.

- O Wayne Barda.

- Co?

- Ciarki mnie przechodzą na jego widok. - Skrzyżowała ramiona i pocierała nagą skórę. - Nienawidzę go. Nie mogę znieść jego obecności w tym samym pokoju.

- Dlaczego? Zrobił ci coś? Powiedział coś?

- Nie, nic w tym stylu. - Wyraźnie wzburzona odetchnęła głęboko i przeczesala palcami włosy. - Chodzi o uczucie, jakie wywołuje. Promieniuje od niego zło. Miałam nadzieję, że kiedy proces się skończy, przestanie się tutaj tak często kręcić. A dzisiaj zastaję go w kuchni za stołem.

Pinkie omal nie wybuchnął pełnym ulgi śmiechem. Większość kobiet uważała Wayne Barda za niezwykle atrakcyjnego mężczyznę, w każdym razie dopóki nie poznała go lepiej. Pochlebiali mu, że jego młodej, pięknej żony nie zauroczyła uroda południowca. Unikała go starannie nie dlatego, że ją pociągał. Czula do niego odrazę.

- Zlecam Bardowi różne uciążliwe zadania - powiedział, skrywając ulgę. - Odpracowuje w ten sposób swoje honorarium.

- Więc proszę cię, żebyś mu zlecał te zadania gdzieś poza domem.

- Dlaczego go tak nie lubisz?

- Nie powiedziałam jasno? Przeraża mnie.

Pinkie wreszcie roześmiał się szczerze i wziął ją w objęcia.

- On przeraża wielu ludzi. Właśnie dlatego jest mi tak pomocny.

- Wykorzystujesz go, żeby straszyć ludzi?

Skrzywił się ponad jej głową. Rzadko zadawała mu nawet niewinne pytania dotyczące prywatności. Ostatnio jednak przejawiała nienormalne zainteresowanie jego sprawami, a to mogło być groźne: nieojalne żony albo przyjaciółki, które wiedziały zbyt dużo, przysporzyły mu wielu klientów.

- A właściwie dlaczego tak cię interesuje, jakie mam sprawy do Barda?

- Nie interesuje mnie. Chodzi tylko o to, żeby do nas nie przychodził. Nie chcę go tutaj widywać.

- No... dobrze. Skoro jego widok tak cię obraża, postaram się, żebyście się ze sobą nie stykali.

- Dziękuję.

- Skoro to już postanowione, teraz ty mi obiecaj, że pozbędziesz się tej irytującej chandry.

- Spróbuję.

Ujął ją pod brodę i przechylił jej głowę do tyłu.

- Spróbuj. - Mówił cicho, ale nie musiał podnosić głosu; i tak wiedziała do czego zmierza. - Dałem ci jakieś powody do niezadowolenia, Remy? - Poczekał, aż potrząsnęła przecząco głową: - To dobrze. - Przeciągnął kciukiem po jej wargach. - Cieszę się z tego. Ponieważ chcę, żebyś była

szczęśliwa. Nie zniosę czegoś podobnego do Galveston.

- Od tamtej pory upłynęło dużo czasu.
- Nie tyle chyba, żeby zapomnieć.
- Nie. Ja nie zapomniałam.
- A jesteś szczęśliwa?
- Oczywiście.

Ujął jej rękę i położył sobie na podbrzuszu.

- No to mi pokaż jak.

Potem, gdy już zapadał w sen, powiedziała:

- Na pewno wizyta u Flarry poprawi mi nastrój. Pojadę ją jutro odwiedzić.
- Niezły pomysł. Podeślę ci Errola, żeby cię zawiózł.
- Nie rób sobie kłopotu, sama mogę pojechać.

Zastanawiał się przez chwilę. Właściwie ani ich rozmowa, ani to, jak się kochali, nie rozproszyły na dobre jego wątpliwości. Przyczyną gnębiącej ją ostatnio melancholii, choć jej wyjaśnienia zabrzmiały dość prawdopodobnie, na pewno nie była wyłącznie niechęć do Barda.

Podejrzenia mogą nadszarpnąć zdolność logicznego myślenia nawet rozsądnego mężczyzny. Nieufność i zazdrość działają destruktywnie i rozpraszająco. Fakt. Niemniej lepiej przesadzić z ostrożnością niż wyjść na głupka, zdecydował. Zwłaszcza jeśli człowiek ma do czynienia z kobietą.

- Zawiezie cię Errol.

II 1

- Słuchaj, na pewno tego chcesz?

Kobieta zrobiła nadąsaną minę i zaczęła się bawić guzikami jego koszuli.

- No pewnie, że chcę. Po co bym cię inaczej do siebie zapraszała.
- Ale przecież poznaliśmy się godzinę temu.

- Jakie to ma znaczenie? Nie potrzebowałam nawet tyle, żeby zdecydować, czy chcę cię dzisiaj w nocy.

- W takim razie nie ma na co czekać - powiedział z uśmiechem.

Wsparci na sobie, potykając się niepewnie, pokonali dwie kondygnacje schodów. Stary dom został przebudowany tak, żeby powstało sześć mieszkań. Jej nie było zbyt duże, ale bardzo przyjemne. Okna sypialni wychodziły na prywatne podwórze na tyłach domu.

Stojąc przed jednym z okien, wykonała przed nim niezdarne striptiz.

- Podobało ci się?
- Ślicznie - wymamrotał, przyciągając ją. - Ślicznie.

Nie miała żadnych seksualnych zahamowań i albo z tego powodu, albo dlatego że się tyle naćpała, było jej obojętne, co z nią robi. Wkrótce jednak się nasyciła, zmęczył ją, i zaczęła utyskiwać:

- Chce mi się spać.
- No to śpij - zgodził się. - Mnie to nie przeszkadza.
- Nie mogę spać, kiedy to robisz.
- Jestem pewien, że możesz. Sprowokował ją do krótkiego śmiechu.

- Jesteś nienormalny, wiesz?
- Tak mówią.
- Na pewno założyłeś gumkę?
- Przecież ci mówiłem, że tak.
- Ale nie widziałam. Nie, naprawdę, daj już spokój... Jestem zmęczona. Dokończymy innym razem, dobrze?
- Noc jeszcze młoda, kotku.
- Jak cholera - zamruczała z niezadowoleniem. - Za chwilę będzie czas wstawać.
- Po prostu robisz się przytomna. Potrzebujesz małego kopa.
- Nie dam raduż nic więcej dzisiaj wziąć. Za parę godzin powinnam zjawić się w pracy. Dajmy sobie spokój na dzisiaj, a... au! To boli!
- Tak? Bolało?
- Tak. Przestań. Nie przepadam za czymś takim. Au! Mówię na serio, do cholery! Przestań!
- Wyluzuj się, złotko. Nic lepszego nie może ci się przydarzyć. Nigdy nie jest tak dobrze, żeby nie mogło być lepiej. Sama się przekonasz.

Raymond Hahn prowadził, spoglądając bez przerwy we wsteczne lusterko. Jeśli był taki dobry w tej robocie, to dlatego że zachowywał maksymalną ostrożność. Dla pozorów pracował w trzysobowej firmie zajmującej się księgowością, ale płaciła mu policja. Z ostentacyjną gorliwością odwiedzał klientów, nawiązywał kontakty z sąsiadami, spotykał rozmaitych ludzi, pracowicie rozszyfrowując siatkę dealerów i ich klientów.

Niebezpieczną miał pracę. Miesiącami zarabiał na zaufanie paranoicznie podejrzliwego dealera, bezustannie narażając swój tyłek, a potem okazywało się, że cały wysiłek na nic. Ta cholerna wpadka w magazynie, gdzie zginął Kevin Stuart, była tego najlepszym przykładem.

Człowiek nie musiał być geniuszem, żeby się domyślić istnienia czarnej owcy w wydziale. Mieli informatora, który dawał im cynk o każdym nalocie. No, ale to ich problem. On miał inny. Musiał przeżyć i dlatego skrupulatnie dbał o to, żeby się nie odkryć.

Pracował tak już trzy lata. Chyba odrobinę za długo. Musiał bezustannie mieć się na baczności; musiał być podejrzliwy wobec innych ludzi; zmęczyło go to podwójne życie. Fantazjował ostatnio często, że przenosi się gdzie indziej i zmienia pracę. Ale zawsze niweczyło te fantazje jedno: w żadnym innym zawodzie nie miałby tak łatwego dostępu do narkotyków. Premia do jego obecnej pracy, na tyle istotna, żeby nie mieć wątpliwości, czy ją porzuci.

Dopiero kiedy się upewnił, że nikt go nie śledzi, otworzył! drzwi mieszkania, wszedł do środka i starannie zaryglował wszystkie zamki. Zawsze trudno przychodziło mu się pozbierać, jeśli musieli go przetrzymać w areszcie. Tak dobrze odgrywał swoją rolę, że czasami sam wierzył w realność tego, co mu się przytrafiło.

On i Burke Basile grali w tej samej drużynie, a mimo to ten facet śmiertelnie go przerażał. Strach pomyśleć, co by zrobił, gdyby się dowiedział o jego nałogu. Lepiej nie mieć tego gościa przeciwko sobie. Był koszmarnie serio. Tak bezkompromisowy, że właściwie nie zdobył sobie niczyjej przyjaźni w wydziale.

Branie łapówek było czymś powszechnie akceptowanym.

Raczej regułą niż wyjątkiem. Policjanci wychodzili z założenia, że skoro działają w świecie tak nasyconym przestępstwem, nie ma sensu rozdrabniać się na drobne nadużycia - należy skoncentrować

na czynach zagrażających ludzkiemu życiu.

Burke Basile uważał inaczej. Prawo to prawo. Coś było dobre albo złe, zgodne z prawem albo nie. Koniec, kropka. Nie wygłaszał im kazań. Nie musiał. Jego zachowanie wystarczało, żeby reszta mu nie ufała. Teraz, kiedy zginął Kev Stuart, porucznik Basile mógł uważać za przyjaciela i kumpla do drinka tylko Douga Patouta. Zrozumiało, że nie zwiększało to jego popularności wśród kolegów.

Sam Basile nie wyglądał na człowieka, któremu doskwiera to wykluczenie z fraternizującej się braci. Pod tym względem byli do siebie podobni. Hahn też lubił pracować w pojedynkę. Szczerze wątpił, czy Basile uronił kiedyś chociaż jedną łzę nad swoim brakiem popularności.

Rozebrał się w ciemnościach. Jego dziewczyna wściekała się, jeśli ją przebudził. Czuła się urażona, kiedy wracał późno po hulance, na którą jej nie zabrał. Ponieważ wiedziała, że pracuje jako księgowy, nie mogła zrozumieć jego zamiłowania do włóczenia się po nocnych klubach.

Ich rozkłady dnia bardzo się różniły, ale w gruncie rzeczy im mniej się widywali, tym lepiej. Łączył ich ze sobą jedynie pewien układ. Kiedy zaproponowała, żeby się do niej wprowadził, uznał, że wygodniej mu będzie zaakceptować tę propozycję, niż wyjaśniać powody, dla których odmawia. Lubili te same narkotyki. Wspólne branie łączyło ich ze sobą, tak to odczuwali. Poza tym jakoś się dogadywali, chociaż nie byli zbyt blisko, jeśli nie liczyć seksu.

Wiedział, że ją najbardziej pociągają w nim narkotyki, które przynosił do domu, ale nie dbał o to. Podejrzywał nawet, że go zdradza, ale ponieważ wracał zawsze po nocy, o to też nie miał zbyt wielu pretensji. Miał tylko nadzieję, że nie złapie jakiejś przekazywanej drogą płciową choroby. W telewizji bez przerwy ostrzegali przed związkami tego rodzaju. Ale co tam, do cholery, bardziej było prawdopodobne, że dopadnie go dealer, którego namierzył, niż że umrze na AIDS.

Wsunął się do łóżka z ulgą, że się nie poruszyła. Nie chciał żadnych scen. Nie po tym wszystkim, co przeżył dzisiejszej nocy. I jeszcze na dodatek te parę godzin w kiciu. Pieprzony cyrk!

Zamknęli go z dwoma braćmi, osiłkami o skórze pokrytej prymitywnie wykonanymi tatuażami, którzy podczas rodzinnej wymiany zdań otworzyli kluczem do konserw czaszkę trzeciemu bratu. Oprócz nich był jeszcze transwestyta, skulony w kącie i pochlipujący ze strachu przed osiłkami. Rozpłakał się tak mocno z powodu obscenicznych obelg, którymi go obrzucali, że odkleiły mu się sztuczne rzęsy, co wywołało nową falę szlochów i wyrzaskiwanych w odpowiedzi inwektyw.

Raymondowi zawsze trudno się zasypiało, ale tej nocy zupełnie nie mógł się zrelaksować i wyciszyć galopujących myśli. Wreszcie usiadł. Doszedł do wniosku, że może mu pomóc wypalenie skręta. Wyciągnął rękę ponad uszpioną dziewczyną, żeby zapalić nocną lampkę.

Jego wzrok nie zdążył w pełni zarejestrować tego, co zobaczył, kiedy wyczuł za sobą jakiś ruch. Skonał z cichym okrzykiem na ustach.

Rozdział siódmy

Burke wyczuł, że coś się stało, ledwie pojawił się w pracy.

Kiedy podszedł do automatu z kawą, kręcący się tam ludzie rozproszyli się natychmiast, mamrocząc pod nosem niewyraźne „dzień dobry” i unikając jego wzroku.

Zdażył zdjąć marynarkę, ale już nie odwiesić, bo w otwartych drzwiach biura stanął Patout i kazał mu natychmiast przyjść do siebie. Burke zostawił marynarkę na biurku, ale zabrał filiżankę z kawą.

- Co się dzieje?

- Siadaj - powiedział Patout, zamykając za nim drzwi.

- Daj spokój z tym siadaniem i powiedz, co się, do diabła, dzieje.

- Raymond Hahn nie żyje. Burke jednak usiadł.

- Znaleźli ich dzisiaj rano w łóżku. Raymonda i jego dziewczynę. Burke upił łyżeczek kawy.

- Nie umarli, oczywiście, naturalną śmiercią.

- Zostali zamordowani.

Patout wyjaśnił, że dziewczyna pracowała w banku jako kasjerka. Miała obowiązek odbić kartę o szóstej trzydzieści rano, a punktualnie o siódmej zasiadała przy okienku kasowym. Ponieważ się nie pojawiła ani nie zadzwoniła, że jest chora, jedna z koleżanek pojechała sprawdzić, co się z nią dzieje. Spodziewała się, że będzie naćpana albo na kacu, bo już raz przyłapano ją na używaniu narkotyków podczas rutynowego testu, przeprowadzanego od czasu do czasu przez bank wśród pracowników. Dano jej wtedy jeszcze jedną szansę, pod warunkiem, że zgodzi się poddać psychoterapii u specjalisty od uzależnień. Drzwi do mieszkania były otwarte, więc urzędniczka weszła do środka.

- Widok był... nieciekawym.

- Nie musisz mi oszczędzać szczegółów - powiedział Burke z irytacją. - Nie zemdleję.

- Za to dziewczyna z banku zemdląca. Przyjaciółce Raymonda zadano kilka ran kłutych. Ze wstępnego raportu koronera wynika, że każda z nich mogła po pewnym czasie spowodować śmierć. Morderca się nie śpieszył, rozkoszował się zabijaniem. Odbył też z nią stosunek analny, nie ustalono jednak jeszcze, czy przed, czy po śmierci. Hahn miał więcej szczęścia, choć to głupio brzmi. Dostał tylko jeden dobrze wymierzony cios w szyję. Zabójca był fachowcem, doskonale wiedział, gdzie uderzyć, żeby skutek był natychmiastowy.

Burke wstał z krzesła, podszedł do okna i zapatrzył się tępo w widok z drugiego piętra. Popijał kawę z kubka wymalowanego w różnokolorowe pławikoniki. Barbara kupiła mu ten kubek, gdy spędzali któryś z jego rzadkich urlopów na Florydzie. Właściwie nie pamiętał, kiedy to było. Wieki temu. Tak, coś koło tego. Nie był sobie w stanie wyobrazić w tej chwili siebie beztriosko chodzącego po plaży, kupującego śmieszne suweniry.

Od tamtej nocy, gdy zastrzelił Keva Stuarda, wszelka beztroška zniknęła z jego życia.

- Są jakieś ślady?

- Ekipa śledcza jest wciąż na miejscu, ale wygląda na to, że nic nie znajdują. Może autopsja coś wykaże. Pochwa i odbyty dziewczyny są opuchnięte i poranione, ale nasienia nie znaleziono.

Stracą tylko czas i środki w laboratorium. Nie będzie żadnych dowodów. Bardo lubił noże i wszystko to do niego pasowało. Brutalny seks, jego ulubiona rozrywka, ale nawet kierowany najohydniejszą namiętnością nie zapominał o kondomie. Za cwany, żeby zostawić ślady pozwalające ustalić jego kod DNA. Chociaż... może będą mieli szczęście i znajdą jakiś włos albo strzępek tkanki.

Zamknął Hahna ostatniej nocy w areszcie. Miotał się po celi pełnej mętów, kiedy Bardo gwałcił i mordował jego dziewczynę, czy wrócił już do domu i zastał ich oboje?

- Ślady walki?

- Absolutnie żadnych - odparł Patout. - Nie bardzo potrafię sobie wyobrazić, w jaki sposób udało mu się zabić ich oboje naraz. Uśmiercił Hahna, a potem męczył dziewczynę, zanim i ją zamordował?

- Może... - zastanowił się Burke. - A może najpierw wykończył ją, a potem zczekał na niego.

- Hahn leżał rozebrany w łóżku, kiedy go zadźgał - powiedział Patout z powątpiewaniem.

- Nie zapominaj, że wrócił bardzo późno. Morderca mógł czekać, aż Ray się położy, a on prawdopodobnie kładł się, nie zapalając światła. Ja też nie zapalam, żeby nie obudzić Barbary. Hahn nie wiedział, że dziewczyna jest martwa. Nie widział krwi, nie wyczuł niczego podejrzanego... - Burke ścisnął w dłoniach kubek z kawą. - To rzeczywiście do niego podobne.

- Do kogo?

- Bardo. Pewnie uznał za cholernie zabawne, że ofiara zamknie drzwi za nim zamiast przed nim.

- Dlaczego akurat Bardo?

- Aresztowaliśmy Hahna i Sachela. Duvall zjawił się natychmiast, w środku nocy. Wiemy, że Sachel potajemnie dla niego pracuje. Wiemy, że Bardo to płatny morderca na jego usługach. Robią naszemu agentowi kuku. Zastanów się. To nie jest przypadkowe.

- Oczywiście, że nie! - wykrzyknął Patout. Burke odwrócił się od okna, ale zanim zdążył się odezwać, Patout mówił dalej: - Wiesz równie dobrze jak ja, że Raymond był ćpunem. Wygląda na to, że dziewczyna również. Mógł go ktoś wykończyć, bo mu przez niego transakcja spaliła. W grę może wchodzić trójka miłośny. Możliwe też...

- ... że Duvall wiedział o Rayu i chciał go wyeliminować, a przy okazji dać nam dotkliwą nauczkę.

- No dobra, może - przyznał Patout, wstając. - Ale nie życzę sobie, żebyś do tego podchodził osobiście. Jakby to było wyłącznie przeciwko tobie wymierzone. Wszyscy czujemy się podle. Pracujemy razem, Burke. Musimy pracować razem. Parę niepowodzeń to jeszcze nie powód, żebyśmy pozwalali sobie na działanie poza wszelką kontrolą. Musimy kontynuować zwykłą, metodyczną pracę.

Pic na wodę, fotomontaż. Przedziwna, zupełnie niepodobna do Patouta przemowa. Jeśli już wygłaszał coś tak nadętego i pustego, to na odprawach całego wydziału. Z nim rozmawiał dołąd otwarcie.

- Co jeszcze? - zapytał Burke.

- A o co ci chodzi?

- To nie wszystko, prawda? O czym boisz się powiedzieć?

Patout potarł kark. Był szczupłym, zaczynającym łysieć mężczyzną, ale czoło miał gładkie, bez

zmarszczek. Dzisiaj It:unak wyglądał, jakby się nagle o lata postarzał.

- Za cwany jesteś, żeby dobrze skończyć.

- No dobrze, już to słyszałem - powiedział Burke zniecierpliwiony. - Więc o co chodzi?

- Sachel nie chce iść na układ.

- Daj mi z nim kwadrans pogadać.

- To się na nic nie zda, Burke. Odmówił, zanim w ogóle przedstawiliśmy mu nasze warunki. Nie dał nam żadnej możliwości negocjacji.

- Będzie ryzykował proces?

- Zamierza przyznać się do winy. Do wszystkich zarzutów.

- Sukinsyn! - zaklął Burke. - Duvaill go przyszpilił.

- Też sobie tak pomyślałem.

- Boże święty, ten facet jest nie do zdarcia! - Burke parsknął sarkastycznym śmiechem. - Za każdym razem jego na wierzchu.

- Nie gra fair. My musimy się trzymać pewnych reguł.

- Może właśnie czas przestać - wymamrotał Burke przez zaciśnięte wargi.

- Znowu zaczynasz?

- Słuchaj, Doug, muszę wyjść na jakiś czas.

- Burke...

- Będę cię łapał później.

Zamknął za sobą drzwi, złapał marynarkę przechodząc koło swojego biurka i pomaszerował do wyjścia, gdzie omal nie staranował McCuena.

- Cześć, Basile. Muszę z tobą pogadać.

- Nie teraz. - Nie, nie teraz. Nie był w nastroju do znoszenia niezniszczalnego optymizmu i tryskającej z McCuena energii. - Później, Mac - rzucił, nawet się nie zatrzymując.

- Cześć, Burke, wejdz. - Nanci Stuart pomachała mu, stojąc w drzwiach domu.

Wyraźnie miał skłonności do masochizmu, skoro zdecydował się tutaj pojawić, jakby mało mu było Hahna i Sachela. Ale kiedy nakrążył się samochodem po ulicach, i naklął, wciąż na nowo analizując całą sytuację, nagle odkrył, że właściwie nie ma nic lepszego do roboty. A zresztą, tydzień wolnego przed nim, więc może spieprzyć sobie ten dzień do końca.

Trawnik przed zbudowanym z cegły domem Stuartów nie był już tak starannie wypielęgnowany jak za życia przyjaciela. Kev lubił pracę w ogródku i każdemu się przechwalał, że u nikogo w okolicy nie uświadczysz zieleniejszej trawy... Okiennica przyoknie od frontu zwisała krzywo na jednym zawiasie, trzeba było koniecznie oddać do czyszczenia dywan z holu, żarówka pod wysoko sklepionym sufitem się przepaliła - rejestrował Burke. Będzie musiał sobie zarezerwować jakiś dzień, ponaprawiać i załatwić to wszystko Nanci.

- Chodźmy do kuchni - rzuciła przez ramię, prowadząc go przez hol. - Właśnie zaczęłam robić obiad. Musimy zjeść wcześniej, bo dzisiaj jest dzień otwarty w szkole chłopców. Chcesz się czegoś napić?

- Masz trochę kawy?

- Rozpuszczalnej, jeśli ci nie robi różnicy.

Robiło, ale potrząsnął przecząco głową. Kuchnia była zagracona i promieniowała domową atmosferą. W widocznym miejscu wisiał kalendarz z zaznaczonymi dniami, kiedy przypadała kolejka

Nanci na odwiezienie dzieci do szkoły, terminami wizyt u dentysty, wydarzeniami, jak dzisiejszy dzień otwarty. Magnesiki w kształcie słoików z musztardą i butelek do ketchupu przytrzymywały karteczki z notatkami i dwie fotografie klas szkolnych chłopców. Z kuchennej lady śmiał się do Basile'a pojemnik na ciasteczka w kształcie misia.

- Poczęstuj się - zaproponowała Nanci, idąc za jego spojrzeniem. - Kupiłam w sklepie, już ich teraz sama nie piekę.

- Nie, dziękuję - powiedział. - Wystarczy mi kawa.

Wróciła do robota kuchennego, w którym wyrabiała mieloną wołowinę. Obok czekał grubo zmielony zielony pieprz, pokruszone krakersy, posiekana cebula i puszka sosu pomidorowego.

- Klopsy? - zapytał.

- Skąd wiesz?

- Mama je stale robiła.

- Mama? - spojrzała na niego ze zdumieniem. - Boże, Burke, chyba pierwszy raz w życiu słyszę, jak wspominasz kogoś z rodziny.

- Nie lubię akcji odwetowych - wzruszył ramionami. - No, rozumiesz... Dlatego powstrzymuję się od opowiadania o rodzinie. Zresztą krótko byliśmy rodziną. Ojciec pracował na kolei. Kiedy byłem w trzeciej klasie, zginął zmiażdżony między lokomotywą a wagonem towarowym. Tak więc matka została samotnym rodzicem, zanim to się stało modnym sposobem na życie. Pracowała dla firmy telekomunikacyjnej. Umarła na raka. Mam jeszcze młodszego brata. Mieszka w Shreveport, ma żonę i dwójkę dzieciaków. - Uśmiechnął się gorzko. - Musiała poznać dziesiątki sposobów na powiększenie objętości funta mielonej wołowiny.

- Też to znam.

- Jak chłopcy?

- Dobrze.

Przełknął łyżeczek kawy; była gorsza, niż się spodziewał.

- Radzą sobie w szkole?

- Mieli ostatnio zupełnie przyzwoite stopnie.

- A oprócz stopni?

Zrozumiała, że pyta o ich stan psychiczny, i zawahała się, zanim udzieliła odpowiedzi.

- Też dobrze. Znośnie.

- No to w porządku. - Bawił się pojemnikami na sól i pieprz, ustawiał je obok siebie, rozdzielał, popychał znowu k u siebie. - Ostatnio było całkiem ciepło.

- Chciałabym, żeby to wróżyło koniec zimy, ale ona może nam się jeszcze dać we znaki.

- Aha. Niczego nie można być pewnym przed marcem. Ostatnio byli zdolni do prowadzenia wyłącznie takiej kulawej wymiany zdań. Unikali rozmowy o rzeczach ważnych. Zważywszy, że najtrudniejsze mieli za sobą, było to raczej dziwne.

To on przyniósł jej wiadomość o śmierci Kevina. Doug Patout chciał wziąć na siebie ten przykry obowiązek, ale Burke uważał, że to jego rola. Że musi być przy Nanci, gdy załamie ją ta wiadomość, stać przy jej boku podczas ceremonii pogrzebowej.

W ciągu następnych tygodni i miesięcy pomagał jej w załatwieniu formalności ubezpieczeniowych, wydębieniu odpowiedniej renty, przepisaniu na nią kredytu i konta bankowego, dostosowaniu budżetu domowego do nowej sytuacji.

Zadzwoniła do niego, żeby przyszedł, kiedy zaczęła porządkować szafę Kevina. Zaproponowała,

aby wziął co lepsze ubrania męża. Przyjął je, a potem, w drodze do domu, wrzucił 'do pojemnika z darami dla ubogich. Nie mógłby ich na siebie włożyć.

Jesienią posprawdzał u nich system grzewczy i wymienił filtry. Przyniósł im drzewko bożonarodzeniowe i pomagał chłopcom je ubrać. Kevin nie żył niemal od roku, ale on wciąż czuł się zobowiązany wpadać co parę tygodni, żeby sprawdzić, czy wdowa po przyjacielu czegoś nie potrzebuje. Kłopot polegał na tym, że w miarę upływu czasu rozmawiało się im coraz gorzej, nie łatwiej. Burke unikał jak ognia jakichkolwiek wzmianek o wydziale czy ludziach, których Nanci znała, a ponieważ praca stanowiła esencję jego życia, nie umiał wymyślić żadnego innego tematu - poza pogodą lub zdrowiem chłopców - który by wypełnił coraz dłuższe przerwy w rozmowie.

Witała go zawsze życzliwie, ale zmieniła się. Niemał niedostrzegalnie, ale jednak. Zachowywała się z większą rezerwą, niż kiedy żył Kevin. Wybuchali wtedy często gromkim śmiechem. Potrafiła im obu dołożyć w żartach, jak stary kumpel. Burke odkrył, że żonie łatwo przekomarzać się z przyjaciółmi męża przy mężu; kiedy nie słyszy się jego śmiechu, nie jest to już takie proste.

Przypomniawszy sobie, jak wiele czasu spędzili, spekulując na temat przebiegu procesu Barda. Skończyło się; ten przygnębiający rozdział w ich życiu został zamknięty. O czym mieli teraz rozmawiać?

- Myślę...

- Burke...

Musiała jej równie jak jemu ciążyć ta kulawa konwersacja, a teraz jeszcze dopełnili miary niezręczności, przerywając ciszę jednocześnie. Zachęcił ją gestem, by mówiła dalej.

- Nie, ty pierwszy - powiedziała.

Wybawili ich chłopcy. Zobaczywszy zaparkowany przed domem samochód Burke, wpadli jak burza do kuchni, wypełniając ją zapachem rozgrzanych chłopięcych ciał i radosną wrzawą. Zdjęli szybko kurtki i plecaki i rzucili się ku niemu, odpychając się nawzajem, żeby stanąć jak naj bliżej gościa.

Przekąsili coś naprędce, a potem zabrał ich na podwórze.

Taki był ustalony rytuał jego wizyt; starał się dać chłopcom coś z siebie. Mieli prawo wybrać rozrywkę, Dzisiaj zdecydowali się na grę w palanta.

- Tak dobrze, Burke? - zapytał Peter, młodszy.

Przyjął okropnie niezręczną postawę, mimo to Burke powiedział:

- Tak dobrze. Zaczynasz załapywać, chojraku. Chwyć kij Irochę mocniej. Zaraz zobaczymy, co potrafisz.

Rzucił piłkę tak, żeby nie minęła kija. Peter wydał okrzyk radości i popędził do wyznaczonej prowizorycznie bazy. Ze swojego miejsca Burke pokazał mu piątkę i uderzył otwartą dłonią w kij.

- Będziemy brać udział w rozgrywkach juniorów, może byś przyszedł raz popatrzeć, jak gramy? - zaryzykował David.

- Tylko raz? Planowałem kupić karnet na całe rozgrywki. Burke potargał żartobliwie miedziano rude włosy. Jak u ojca. Uśmiech rozjaśnił twarz chłopca. Wykapany ojciec. Burke ścisnęło w gardle. Zrobiłby z siebie głupka, gdyby nie to, że akurat w tym momencie pojawiła się w tylnych drzwiach Nanci, wołając na synów, by przyszli się umyć.

- Obiad za piętnaście minut - zapowiedziała.

- Na razie, Burke.

- Na razie, Burke - powtórzył Peter, naśladowując starszego brata, i obaj powlekli się niechętnie do

domu.

- Świetnie się rozumiecie - zauważyła Nanci.

- Łatwo być w komitywie z cudzymi dziećmi. Obawiam się, że dużo trudniej z własnymi.

- Dlaczego nie macie z Barbarą dzieci?

- Nie wiem. Jakoś nie wyszło. Zawsze był jakiś ważny powód, żeby to odsunąć w czasie. Na początku brak pieniędzy.

- A potem?

- Za mało pieniędzy. - Próbował dowcipkować, ale blado to wypadło.

- Nie wiem, co bym bez nich zrobiła. Są częścią Kevina. Z poważną miną kiwnął ze zrozumieniem głową. Nagle zdał sobie sprawę, że na przemian zaciska i rozluźnia palce prawej dłoni.

- Będę się zmywał - powiedział pośpiesznie. - Nie daruję sobie, jeśli przyszłe gwiazdy baseballu spóźnią się przeze mnie na dzień otwarty.

- Czuj się zaproszony na kolację.

To też należało do rytuału. Zawsze go zapraszała, a on zawsze się wymawiał.

- Nie, dziękuję. Barbara będzie na mnie czekać.

- Pozdrów ja ode mnie.

- Dziękuję.

- Burke... - zaczęła, patrząc w kierunku drzwi łazienki, zza których dochodziły odgłosy kłótni chłopców, a potem nagle skupiła poważne spojrzenie na nim. - Nie chcę, żebyś do nas więcej przychodził.

- Co? - Wydawało mu się, że źle usłyszał. A nawet kiedy to powtórzyła, spoglądał na nią jak ogłuszony.

Odetchnęła głęboko i wyprostowała się. Najwyraźniej to, co miała powiedzieć, kosztowało ją wiele namysłu. Ale skoro postanowienie zapadło i wreszcie wypowiedziała te obrzydliwie nieprzyjemne słowa, zbierała siły na ciąg dalszy:

- Nie mogę się powstrzymać, żeby nie myśleć o Kevinie, kiedy cię widzę... nawet kiedy jesteś w pobliżu. Za każdym razem jest tak, jakbym musiała przechodzić przez to od początku. Za każdym razem, gdy wpadniesz albo zadzwonisz, płaczę za tym, co minęło. Ogarnia mnie złość i rozczulam się nad samą sobą. To jest jak nawrót choroby, a ledwie wyzdrowieję, jesteś znowu, i wszystko zaczyna się na nowo. - Zagryzła wargi i przerwała na chwilę, żeby się opanować. - Próbuję żyć bez Keva. Uświadomić sobie, że naprawdę go straciłam. Na zawsze. I że mogę z tym żyć. Kiedy już prawie przekonam samą siebie, przychodzisz i... - Łzy zaczęły płynąć jej z oczu. Sięgnęła do kieszeni po chusteczkę. - Sam widzisz...

- Tak, widzę. - Nawet nie próbował ukryć goryczy w głosie. - I jeszcze musisz podawać kawę facetowi, przez którego owdowiałaś.

- Niczego podobnego nie powiedziałam.

- Nie musiałaś. - Wyminął ją w drodze do drzwi.

- Burke, proszę cię, zrozum! - krzyknęła za nim. - Proszę cię!

Przystanął i odwrócił się. Kiedy zobaczył jej znękaną twarz, cała złość z niego wyparowała. Jak mógł być taki głupi? Nie chciała go zranić, podejmując tę decyzję. To nie jego dotyczyło, tylko jej. Odezwał się w niej instynkt samozachowawczy, więc postanowiła go poprosić, by więcej nie przychodził.

- Cholera z tym wszystkim, Nanci. Rozumiem cię. Gdybym był w twojej sytuacji, tak samo bym to odczuwał.
- Wiesz, ile znaczysz dla mnie i dla chłopców. Wiemy, ile znaczyłeś dla Keva. Ale ja... Uniósł do góry obie ręce.
- Nie przypisuj sobie za to winy, dobrze? Masz rację. Tak będzie najlepiej. Chlipnęła, a potem wytarła nos chusteczką.
- Dziękuję za zrozumienie, Burke.
- Powiedz chłopcom... - Nie mógł wymyślić niczego, co by wyjaśniło, dlaczego on, jak przedtem ojciec, zniknął nagle z ich życia.
- Szloch wstrząsnął jej piersią.
- Dam sobie z tym radę. Zdumiewające, jak umieją się przystosować. - Uśmiechnęła się przez łzy.
- To okropne, że po tym wszystkim, co dla nas zrobiłeś, musiałam cię zranić. Jeśli ci to w czymkolwiek pomoże, wiedz, że to dla mnie straszliwie trudne. Czuję się, jakbym sobie obciąła prawą rękę, żeby ocalić życie. Byłeś prawdziwym przyjacielem.
- Wciąż jestem. Zawsze będę.
- Nie uwolnię się od tego, Burke, dopóki wszystko we mnie nie wygaśnie - powiedziała łagodnie.
- Rozumiem, Nanci.
- To samo odnosi się do ciebie. Kiedy się wreszcie z tym uporasz? Upłynęło kilkadziesiąt sekund, zanim powiedział:
- Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, wiesz, gdzie mnie szukać.

Rozdział ósmy

Zobaczył na podjeździe samochód Barbary. No, powinna być zadowolona: wrócił do domu na czas, a nawet przed czasem. Z poczuciem winy pomyślał, że on byłby zadowolony, gdyby rozgrywki w siatkówkę zatrzymały ją w szkole dłużej. Potrzebował chwili wyłącznie dla siebie, odrobiny samotności.

Dzień zaczął się podwójną bombą, którą uczył go Patout, potem Nanci Stuart powiedziała mu, żeby się odwalił - bo o to właściwie chodziło - i trzymał od nich z daleka. Jeśli jeszcze teraz dojdzie do awantury, nie wytrzyma. Najłżejsza sprzeczka, jedno złe słowo, i straci cierpliwość. Obawiał się, że w tym stanie emocjonalnym poirytowanie z powodu byle błahostki może przerodzić się w furię.

Wszedł kuchennymi drzwiami i zawołał ją. Nie było jej w kuchni ani żadnym z pokoi na parterze, ruszył więc schodami na górę. Na podeście usłyszał szum wody z prysznica i głosy z telewizora.

W sypialni stwierdził, że co do tego drugiego się mylił.

Głosy, które słyszał, nie dochodziły z odbiornika telewizyjnego.

Przeszedł przez sypialnię i otworzył drzwi do łazienki. Była porządnie zaparowana. Szarpnął drzwi kabiny prysznicowej.

Barbara, z plecami przyciśniętymi do kafelków i otwartymi ustami, nogami oplatała gwałtownie poruszające się biodra niskiego, krępego trenera piłki nożnej ze szkoły średniej.

Chwycił mężczyznę obiema rękami i szarpnął nim dziko.

Tamten zachwiał się, pośliznął na pokrytych mydlaną pianą płytkach i byłby upadł, gdyby Burke nie złapał go za kark.

Barbara krzyknęła przenikliwie i przyciskając dłonie do ust, patrzyła, jak jej mąż ciska jej kochankiem o ścianę, a potem zaczyna młócić go pięściami jak cepem, waląc raz za razem, z głuchymi plaśnięciami, w mokre ciało.

Trener futbolu był młodszy od niego jakieś piętnaście lat, lepiej umięśniony i w lepszej kondycji. Ale nie spodziewał się ataku. Burke rzucając się na niego, nie myślał oczywiście o żadnej strategii walki. Bił, oszalały, bo chciał zadać ból, przelać na tego zdrowego cudzołożącego jurnego sukinsyna własne cierpienie. Czuł satysfakcję, słysząc chrupnięcia chrząstek pod własnymi młócającymi pięściami.

Zmienił młodego mężczyznę w drżący strzęp człowieka, zanim zadał co up de grace - wymierzony z impetem rozjuszonego byka cios kolanem w jądra, po którym trener wydał cichy okrzyk agonii i zwinął się na podłogę, obejmując ze szlochom dłońmi zmiażdżoną męskość. Po jego zniekształconej twarzy płynęły przemieszane z krwią i śluzem łzy.

Burke pochylił się nad umywalką, ciężko dysząc. Umył ręce i splukał twarz zimną wodą, a kiedy się wyprostował, zobaczył odbitą w zaparowanym lustrze twarz Barbary. Włożyła szlafrok, jakby

chciała zachować pozory przyzwoitości, lecz ku jego zdumieniu nie przejawiała naj mniejszego zainteresowania poranionym kochankiem. Jak to? W ogóle o niego nie dbała? Może wzięła go sobie tylko po to, żeby podrażnić męża? Zdaje się, że sobie pochlebiał...

- Lepiej ci? - zapytała głosem naładowanym sarkazmem.

- Nie - odpowiedział zgodnie z prawdą, wycierając ręcznikiem twarz.

- Mnie też dołożysz?

Odwrócił się i popatrzył na nią, zastanawiając się, kiedy zrobiła się taka zimna i złośliwa. Zawsze taka była czy to lata rozczarowań i braku satysfakcji w życiu zmieniły ją w tę rozgoryczoną jędzę, która przed nim stała? Tak czy owak nie rozpoznałby w niej panny młodej, z którą rozpoczynał wspólne życie. Nie znał tej kobiety i nie sądził, by warto było ją poznawać.

- Nie będę się zniżał do odpowiedzi.

- I tak mi już dołożyłeś, Burke. Tyle że nie pięścią.

- Mów co chcesz. - Wyminął ją, poszedł do sypialni, wyciągnął spod łóżka walizkę i zaczął wrzucać do niej rzeczy z komody.

- Co ty robisz?

- Nie widać?

- Nie licz, że uda ci się osiągnąć rozwód, podając we wniosku jako przyczynę zdradę. Problemy w naszym małżeństwie zaczęły się dużo dawniej...

- Dawniej niż zaczęłaś się pieprzyć na stojąco z innymi pod moim własnym prysznicem?

- Zgadza się! - rzuciła mu prosto w twarz. - Ten nie był pierwszy!

- Nie interesuje mnie to. - Wepchnął do walizki parę ubrań z szafy i zatrzasnął zamki. - Dokąd masz zamiar pójść?

- Nie mam pojęcia.

- Powinnam wiedzieć, gdzie mogę cię znaleźć, nie?

- Słusznie - stwierdził, nie zamierzając wdawać się w dyskusję. - Co do wniosku, o którym wspomniałaś, czuj się do wszystkiego upoważniona, Barbaro. Niczemu nie zaprzeczę. Napisz, co chcesz: że nie łożyłem na dom, byłem brutalny, jestem świrem. Nie dbam o to.

Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy czegoś nie przeoczył, i z nagłym smutkiem pomyślał, jak łatwo i szybko przyszło mu się spakować. Nie mieszkali razem w tych pokojach, po prostu je zajmowali. Odchodził, nie zabierając ze sobą żadnej osobistej rzeczy. Wziął to, co konieczne i co mogło w gruncie rzeczy należeć do każdego. Nie zostawiał za sobą nic, co by było dla niego ważne. Odnosiło się to również do Barbary.

Nie był nawet pewien, czy ten dom wciąż tam jeszcze stoi.

Ale znalazł go między podobnymi do niego budynkami, skutecznie opierającymi się zachodzącym wokół zmianom.

Gwałtownie rozwijający się przemysł turystyczny zacierał bezpowrotnie niepowtarzalny charakter Nowego Orleanu. To, co stanowiło atrakcję dla setek zwiedzających, ginęło wraz z ich napływem - paradoks przeczący zdrowemu rozsądkowi.

Burke ucieszył się, że dom jeszcze stoi, bo mimo widocznych oznak postępującego zniszczenia, cechował go staroświecki urok. Jak starą ujmującą bogatą damę, która przestrzega uparcie kanonów mody sprzed dziesięcioleci i podkreśla z rodzajem przekornej dumy swój wiek. Na balkonie pierwszego piętra brakowało sporej części kutej w żelazie balustrady, ścieżkę z kostki wiodącą do

frontowych drzwi powybrzuszał czas, a w szczelinach po murarskiej zaprawie wyrastały chwasty, ale po obu stronach furtki pyszniły się dumnie w kamiennych misach bratki. Burke popchnął furtkę. Otworzyła się ze skrzypnięciem.

Pierwsze drzwi po lewej prowadziły do mieszkania administratora. Na dźwięk dzwonka stanął w nich przygarbiony starszy dżentelmen, wprawdzie inaczej wyglądający niż to Burke zapamiętał sprzed lat, ale nie zmieniony na tyle, by nie można go było rozpoznać. Z mieszkania za nim napłynęło duszne przegrzane powietrze, w którym wyraźnie dawało się wyczuć zapach kota. I rzeczywiście, dżentelmen trzymał w zagięciu ramienia wielkiego burasa. Gospodarz patrzył ciekawie na Basile'a mętными oczami niepoprawnego alkoholika.

- Czy ma pan wolne pokoje?

Studolarowy banknot na pokrycie czynszu za pierwszy tydzień był jedyną rzeczą, jakiej właściciel wymagał, by wynająć pokój.

- W cenę jest wliczona wymiana ręczników co trzeci dzień - powiedział i szurając kapciami zaprowadził Burke na pierwsze piętro do, jak się wyraził, narożnego apartamentu.

Apartament składał się z jednego pokoju. Mocno podniszczona zasłona oddzielała kąt z wanną i umywalką, podwójne łóżko miało wygnieciony rów pośrodku, w kąci kuchennym stała lodówka nie większa od skrzynki pocztowej, nad małym zlewem wisiała wąska półeczka. Właściciel wyraził nadzieję, że dwupalnikowa kuchenka elektryczna działa bez zarzutu.

- Nie zamierzam dużo gotować - zapewnił go Burke, biorąc klucz.

Przyczepiony łańcuchem do ściany czarnobiały telewizor był jedynym przedmiotem dodanym do wyposażenia od czasu, gdy wynajmował ten pokój dwadzieścia lat temu, po wyjeździe z rodzinnego Shreveport. Zaczął wtedy pracować w policji i miał zamiar zatrzymać się w tym domu tylko dopóki nie znajdzie bardziej odpowiedniego mieszkania, tymczasem uwiązał w nim na półtora roku.

Nie pamiętał zresztą niczego zbyt dokładnie, ponieważ prawie tu nie bywał. Spędzał na posterunku praktycznie wszystkie nie przeznaczone na sen godziny. Uczył się od starych wyg, ochoczo zgadzał na pracę po godzinach, rwał się do

papierkowej roboty, przekleństwa wszystkich policjantów świata. Był niby młody krzyżowiec pochłonięty misją oczyszczenia ziemi ze zbrodni i zbrodniarzy.

Dzisiejszego wieczoru znacznie mniej idealistycznie nastawiony Burke Basile napełnił gorącą wodą staroświecką wannę na nóżkach i zanurzył się w niej z otwartą butelką jacka danielsa. Popijał wprost z butelki, patrząc beznamiętnie na umykającego po pochlapanej wodą tapecie wielkiego jak jego kciuk karalucha.

Jeśli mężczyźnie przydarzy się złapać żonę in flagranti z innym mężczyzną, to przede wszystkim - po spuszczeniu łomotu tamtemu i kupieniu flachy z zamiarem wysuszenia jej do dna - powinien się upewnić, czy z nim jeszcze wszystko w porządku.

Doprowadził się więc do erekcji i zamknął oczy, próbując zastąpić obraz Barbary zabawiającej się z kochankiem jakimś wyobrażeniem, dzięki któremu byłby w stanie doznać kojącego orgazmu.

Natychmiast pojawił się w jego wyobraźni. Dziwka z altanki Duvalla.

Otrząsnął się ze złych myśli i skupił na fantazjowaniu o kobiecie w przylegającej jak druga skóra czarnej sukience, o jej czarnych lśniących jak skrzydło kruka włosach, piersi pieszczonej światłem księżycy.

Nie widział wyraźnie jej twarzy. Przybliżył ją do siebie w marzeniach. Patrzyła na niego zamglonymi oczami. Wypowiedziała jego imię. Poglaskała delikatną dłonią. Zaczęła pieścić ustami. Jej język...

Ekspłodował, wydając okrzyk przez zaciśnięte zęby.

Czuł się potem lekko rozkojarzony i omdlały, ale równie dobrze mogła to sprawić gorąca woda i alkohol, jak seksualne rozładowanie. No, na pociechę miał świadomość, że wciąż jest sprawnym mężczyzną. Na emocjonalne problemy niewiele mu to pomogło.

Gdy wygramolił się z wanny, był na najlepszej drodze, żeby się kompletnie upić. Owinąwszy się w pasie tandetnym ręcznikiem, przysiadł na brzegu łóżka, żeby się zastanowić nad swoją przyszłością.

Pewnie będzie musiał skontaktować się z adwokatem od rozwodów, zamrozić konta w banku, zastrzec karty kredytowe i różne tam takie, wszystko, co ludzie robią sobie na złość, kiedy ich małżeństwa przechodzą do historii. Ale nie czuł się na siłach podejmować usankcjonowanej prawem walki. Niech sobie bierze co chce z łupów zgromadzonych w czasie ich małżeństwa. Ocalił wszystko, czego potrzebował: trochę odzieży, oznakę, pistolet kalibru 9 mm.

Wygrzebał pistolet spośród kupki rozrzuconych na łóżku ubrań i zważył go w dłoni. To właśnie z niego wyszła kula, która zabiła Kevina Stuarda.

Jego życie osobiste legło w gruzach. To samo można było powiedzieć o jego karierze. Nie żywił już żadnych złudzeń co do takich pojęć jak odwaga czy obowiązek. Trzeba było być chłopcem, żeby w dzisiejszych czasach wierzyć w te bzdury. Przeszarzałe pojęcia, nie pasujące do współczesnego świata. Kiedy wstępował do akademii policyjnej, wyobrażał sobie, że leśt kimś w rodzaju rycerza, ale czasy Okrągłego Stołu przeszły do historii; odkrył to, zanim jeszcze zaczął na dobre pracować.

Burke Basile był pariasem, wrzodem na ciele nowoorleańskiego Wydziału Narkotyków. Bo zabił jednego spośród swoich. Bo domagał się sprawiedliwości, chociaż chyba poza nim nikogo to nie obchodziło.

Wayne Bardo przebywał na wolności po to, by znów zabijać.

I zabijał.

Duvall trwał bezpieczny w swojej wieży z kości słoniowej, otoczony służbą, wpływowymi, bogatymi przyjaciółmi, ich kosztownymi dziwkami.

Przyjaciele Burke Basile'a odtrącili jego współczucie, a jego lona pieprzyła się z młodym kochankiem pod jego własnym dachem.

Ponownie zważył pistolet w dłoni. Nie będzie pierwszym gliną na tyle zmęczonym daremnością swojej pracy, żeby strzelić sobie w łeb. Jak długo będą o nim pamiętać? Komu będzie go brakować? Patout? Mac? Może. A może w głębi serca im ulży, że rozwiązał za nich problem?

Kiedy zaczną wypełniać smrodem ten żaloszny mały pokój, kiedy kot właściciela zaczną skrobać do drzwi, odkryją jego ciało. Nikogo nie zdziwi, że odebrał sobie życie. Udało mu się zniszczyć nawet własne małżeństwo. Będą sobie powtarzać plotkę, że przyłapał swoją panią, tę wspaniałą zbudowaną kohitkę, jak wyczyniała dzikie numery pod prysznicem w ich własnym domu. Nieszczęsny dupek. Potrząsając głowami, będą ubolewać nad faktem, że nigdy nie zdołał otrząsnąć się po śmierci Stuarda. To od tego zaczęły się wszystkie jego kłopoty.

Wdowa po Stuarcie ledwie wiąże koniec z końcem, a pozbawieni skrupułów prawnicy i ich klienci kryminaliści wydają wystawne przyjęcia, żeby uczcić zwycięstwo nad prawem. Stary Burke nie wytrzymał tego. Nie był w stanie już dłużej znieść poczucia winy. No to bang! Wszystko Jasne.

Nagle dotarło do niego, że cholernie się nad sobą roztkliwia.

A niby dlaczego nie? Co to, nie ma prawa do poużalania się nad sobą? Decyzja Nanci głęboko go zraniła, chociaż rozumiał, że była konieczna. Musiała walczyć o swoje prawo do życia. Wspomnienie Kevina musi w końcu zblaknąć, Nanci pozna kogoś i powtórnie wyjdzie za mąż. Nie obwiniała go o ten wypadek, ale jego wizyty rozniecały wciąż na nowo bolesne wspomnienia.

Nie może myśleć o Barbarze wyłącznie jako zdradzającej go dziwce, niezdolnej zrozumieć, przez jakie piekło przechodził po śmierci swojego partnera. Nie byłoby to fair. Z pewnością nie była bez skazy, ale i on nie zachowywał się jak idealny mąż. I to na długo przed tym feralnym wypadkiem. Powinni byli rozwiązać swoje małżeństwo już parę lat temu, oszczędzić sobie udręki.

Wszystkie jego wybory były idiotyczne. Źle wybrał żonę.

Źle zawód. Po cholere mu były te wszystkie nadgodziny, cała ta ciężka praca? Nic nie osiągnął. Nic.

No, może nie całkiem. Udało mu się zabić Kevina Stuarda. Cholernie mu brakowało tego rudego Irlandca. Jego nieodpartej logiki, głupich dowcipów, niezachwianej pewności co jest dobre, a co złe. Nawet jego nie kontrolowanych wybuchów. Kevin prawdopodobnie akceptował śmierć przy wypełnianiu obowiązków. Być może nawet taką śmiercią pragnął umrzeć. Ale na pewno nie zaakceptowałby tego, że komuś to uszło bezkarnie. Przestępcy odpowiedzialni za jego śmierć uszli cało dzięki prawu, którego przestrzeganiu Kevin poświęcił życie. Czegoś takiego Kevin nie umiałby zaakceptować.

Ta nieoczekiwana myśl podziałała na Burke jak otrzeźwiający prysznic.

Odstawił butelkę na rozchwierutany stolik nocny i położył obok niej pistolet. Odwinął okręcony wokół bioder ręcznik i wyciągnął się na nierównym materacu, podkładając ręce pod głowę. Przez kilka godzin leżał, wpatrując się w sufit i rozmyślając.

Chociaż co tu właściwie było do myślenia. Wiedział, co powinien zrobić. Wiedział, kogo powinien zabić. Na pewno nie siebie.

Zasnął wreszcie kamiennym snem bez majaków, jakiego nie zaznał od miesięcy.

Rozdział dziewiąty

- Odchodzisz?

- Odchodzę - powtórzył Burke. Patout na moment zaniemówił.

- Po prostu tak sobie? Na litość boską, dlaczego?

- Nie tak sobie, Doug. Dobrze wiesz dlaczego.

- Z powodu Keva?

- Głównie. I z powodu Duvalla, Barda, Sachela. Mam wyliczać dalej?

- Jak możesz robić coś takiego? - Patout wstał z krzesła i zaczął spacerować między jednym a drugim końcem biurka. - Rzucając pracę, którą kochasz, przyznajesz, że wygrali. Cholernie łatwo dajesz im wygrać, Burke. Pozwalasz im rządzić twoim własnym życiem.

- Na pozór może to tak wyglądać. Właściwie żałuję, że moje motywy nie są aż tak proste i jasne. Patout przystanął i rzucił mu ostre spojrzenie.

- A co jeszcze się za tym kryje?

- Barbara i ja rozstaliśmy się.

Patout wpatrywał się przez kilkanaście sekund w podłogę, wreszcie spojrzął na niego z ubolewaniem.

- Bardzo mi przykro. Spróbujecie separacji?

- Nie, to już na dobre.

- Czułem, że macie jakieś problemy, ale nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo się między wami pogmatwało.

- Prawdę mówiąc, ja też nie - przyznał Burke szczerze. - Aż do ostatniej nocy. Nie zamierzam cię zanudzać szczegółami, zwyczajnie przyjmij do wiadomości, że doszliśmy do punktu, kiedy nie ma już odwrotu. Wyprowadziłem się i dałem jej wolną rękę. Niech składa pozew i podaje jakie chce powody. To małżeństwo jest definitywnie skończone.

- Bardzo mi przykro - powtórzył Patout, choć w rzeczywistości nie bardziej niż Burke żałował, że ich nieudane małżeństwo dobiegło kresu. Żałował natomiast, że musiało to nastąpić akurat w tak nie odpowiednim czasie.

- Jest w porządku - zapewnił go Burke. - Naprawdę. To wisiało w powietrzu od dłuższego czasu. Co do pracy, też się z tym od dawna nosiłem. Wypaliłem się, Doug. Nie na wiele ci się przydam z takim nastawieniem jak obecnie.

- Pieprzysz. Jesteś moim najlepszym człowiekiem.

- Dziękuję ci, ale robię to, co mi najbardziej w tej chwili odpowiada.

- Posłuchaj. Ten frustrujący proces dopiero co się skończył. Jesteś zdenerwowany z powodu Barbary. Nie jest to najważniejszy moment na podejmowanie życiowych decyzji. Weź sobie tydzień wolnego i...

Burke zaczął potrząsać głową i nie dał mu dokończyć.

- Naprawdę nie o to chodzi. Tydzień wolnego to jakby zakładać plaster z opatrunkiem, kiedy potrzebna jest operacja serca.

- Więc może zajmij się na jakiś czas robotą administracyjną - zaproponował Patout. - Na przykład jako doradca. Czymś, co cię trochę wyciszy.

- Przepraszam, Doug, ale podjąłem decyzję.

- W takim razie pozwól mi chociaż dać ci urlop bezpłatny. Będziesz miał wolną drogę, żeby wrócić, jeśli zechcesz. Praca będzie na ciebie czekała.

Kusząca możliwość, ale Burke zastanawiał się tylko przez kilka sekund, zanim znowu uparcie potrząsnął głową.

- Nie wyzwolę się, jeśli nie odetnę pępownicy. Za parę tygodni znajdę się znowu w punkcie wyjścia. Nie, Doug, powinienem to definitywnie przerwać.

Patout usiadł na krześle za biurkiem. Przesunął ręką po rzednących włosach.

- Nie mogę się z tym pogodzić, Burke. Jestem głową tego wydziału, ale ty jego sercem. Burke parsknął szyderczo.

- Zmiana taktyki, Doug? Pochlebne słówka?

- Kiedy to prawda.

- Doceniam komplement, ale mnie nie zmiękczył.

- W porządku - Patout wykonał porywczy gest dłonią. - Zapomnijmy o wydziale. Ale co z tobą? Czy rzeczywiście to przemyślałeś? Co ze sobą zrobisz?

- Zawsze jest element niepewności przy rzucaniu pracy, Doug. Nie mam żadnych konkretnych planów. Nigdy dotąd Burke nie skłamał przyjacielowi.

Budynek, w którym mieścił się burdel, wyglądał równie czcigodnie jak filia miejskiej biblioteki publicznej.

Był znacznie odsunięty od ulicy, chroniony płotem z żelaznych, ostro zakończonych prętów i rzędem efektownych drzew magnoliowych. Został zbudowany dla bogatej kreolskiej rodziny, która zajmowała się uprawą i importem bawełny na długo przed wojną, powszechnie tu określaną jako wojna agresorów z Północy.

Jankesi zarekwirowali wszystkie statki i składy rodziny, spalili plantacje, a dom, ten właśnie ich miejski dom, przeznaczyli na kwatery dla oficerów Unii. Dla rodziny była to ostateczna zniewaga; potem nie zdołała się już podnieść.

Po wojnie domowej budynek popadał w coraz większą ruinę, ponieważ nikogo nie było stać na kupno i zapłacenie podatku od nieruchomości. Około roku 1880 zachwycił się nim zamożny przedsiębiorca z Północy. Nie szczędził pieniędzy na odbudowę i w rezultacie dom zaczął wyglądać jeszcze korzystniej niż za czasów dawnej świetności. Taki stan rzeczy trwał, dopóki spadkobierca fortuny, wnuk przedsiębiorcy, nie został przyłapany na oszukiwaniu współników i nie tylko stracił rodzinny majątek, ale i życie w czasie „przypadkowej” strzelaniny.

Dom ponownie opustoszał, aż w początkowych latach prohibicji, w roku 1920, grupa inwestorów urządziła w nim tajny wyszynk. W pokojach na górze prowadzono działalność równie aktywną, o ile nie aktywniejszą, niż w eleganckich barach na dole. Ciały oferowano tak samo chętnie jak przemycany alkohol. Wkrótce madame zarobiła wystarczająco dużo, by wykupić udziały współników. Interes pod jej kierownictwem rozkwitł niebywale, a kiedy umarła, przeszedł na córkę.

Ruby Bouchereaux, obecna właścicielka przedsiębiorstwa, była trzecią z kolei. Prowadziła ten elegancki przybytek od lat sześćdziesiątych i prosperowała jeszcze lepiej niż babka i matka, a lokalne władze miały dla jej działalności wiele zrozumienia. Nie wtrącano się do jej spraw, chyba że w grę wchodziła dystrybucja narkotyków.

Bywało, że któraś z jej dziewcząt zwietrzyła okazję dorobienia na boku i obiecywała klientowi pełniejsze doznania i wzmożenie męskich sił, jeśli zażyje substancję opóźniającą reakcje. Ruby nie lubiła policyjnych nalotów, zakłócających - chwilowo, ale jednak - normalną działalność, ale jeszcze mniej podobała się jej perspektywa przymusowego zwinięcia interesu w razie śmierci któregoś z zamożnych klientów, spowodowanej uduszeniem lub ustaniem akcji serca w paroksyzmie ekstazy. Nie zachwycały jej też przejawy przedsiębiorczości dziewcząt, prowadzące do pozbawienia jej części dochodów. Akceptowała więc naloty policji jako zło konieczne i starała się zachować dobre stosunki z władzami.

Burke był w jej domu dwukrotnie, za każdym razem służbowo. Wyciągał z luksusowych łóżek nagich mężczyzn, usiłujących pozbiierać swoje trzyczęściowe garnitury i rolexy, i traktował ich z nie większym szacunkiem niż narkomanów o zapadniętych, podkrążonych oczach, żebrzących o groszowe datki na rogu Jackson Square. Przyłapany przez niego na braniu narkotyków klient Ruby Bouchereaux nie mógł liczyć na żadne pobbłażanie, bez względu na to, jak byłby bogaty czy jak wysokie zajmował w hierarchii publicznej stanowisko.

Drzwi zostały otwarte przez wykidajkę, który powitał Basile'a nachmurzonym, podejrzliwym spojrzeniem.

- Proszę powiedzieć pani Bouchereaux, że chciałby się z nią widzieć Burke Basile.

- Zdaje się, że pan jest gliną?

- A macie coś do ukrycia?

Zatrzasnął mu drzwi przed nosem i kazał czekać na progu pełne pięć minut, zanim pojawił się znowu.

- Prosi pana - powiedział, wyraźnie z tego niezadowolony.

Zaprowadził Basile'a do gabinetu, który wyglądał, jakby urzędował w nim ktoś ciężko pracujący, nastawiony na odniesienie sukcesu, ktoś, kto nie lubi powierzać spraw innym i chce mieć nad wszystkim pełną kontrolę. Telefon z dwiema liniami miejskimi, dwa faksy, komputer. Prostytucja w dzisiejszych czasach najwyraźniej wymagała skomplikowanego wyposażenia technicznego.

- Cóż za niespodziewana przyjemność widzieć pana znowu, poruczniku Basile - powiedziała siedząca za biurkiem kobieta, wskazując mu krzesło.

- Dziękuję, że zgodziła się mnie pani przyjąć, chociaż nie byłem wcześniej umówiony. Zaproponowała mu coś do picia, a kiedy odmówił, odprawiła wykidajkę.

- Mam nadzieję, że przyszedł pan ustalić wysokość kredytu, jakiego może się pan u nas spodziewać. Dziewczęta będą zachwycone. Pana surowy męski wdzięk... szczególnie, zdaje się, uwielbiają pana wąsiki - uśmiechnęła się - robił duże wrażenie, ilekroć pan nas zaszczycił swoją obecnością, chociaż były to niezbyt przyjemne, ściśle służbowe wizyty.

Była maleńką kobietką, ledwie pięć stóp wzrostu. Platynowe włosy podobno miały taki kolor z natury, a cera wyglądała, jakby nigdy nie zaznała promieni słonecznych: gładka i biała jak kwiaty gardenii w rozkwicie. Krążyły plotki, że poddała się operacji plastycznej pod znieczuleniem miejscowym, ponieważ chciała obserwować pracę chirurga, by mieć całkowitą pewność, że wypełnia jak należy jej precyzyjnie wyłuszczone żądania. Zanadto to było naciągane, by wierzyć,

choć o Ruby Bouchereaux krążyły jeszcze bardziej niewiarygodne plotki. Na pewno była to zdumiewająca kobieta.

Od momentu gdy wszedł do jej biura, nie spuszczała z niego spojrzenia błyszczących niebieskofioletowych jak kwiaty lawendy oczu. Doskonale zdawał sobie sprawę, że doskonaliła sztukę flirtu i prawienia komplementów przez lata, poza tym mogłaby być jego matką, mimo to poczuł, jak się czerwieni.

- Obawiam się, że nie stać mnie na usługi pani dziewcząt.

- Stosujemy ulgi dla miejskich urzędników. - Mierząc go z ciekawością wzrokiem, bawiła się naszyjnikami z kilku splecionych ze sobą sznurków pereł. - Będę zachwycona, mogąc przedyskutować z panem rozmaite możliwości udzielenia bonifikaty.

Roześmiał się i potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję. Ale doceniam pani ofertę.

- Dziewczęta będą niepocieszone - wydeła usta w grymasie żalu. - Podobnie jak ja. - Splotła dłonie na blacie biurka i zapytała, co go właściwie do niej sprowadziło.

- Pinkie Duvall.

W wyrazie jej twarzy zaszła pewna zmiana, ale tak subtelna, że ktoś mniej doświadczony w śledzeniu ludzkich reakcji niż Burke z pewnością by tego nie zauważył.

- O co chodzi?

- Był pani współnikiem. Wycofała się pani kilka lat temu, ale prowadziliście razem klub w French Quarter.

- Owszem.

- Co się wydarzyło?

- Pyta pan nieoficjalnie?

- Absolutnie.

- Pinkie chciał, żeby jedna z moich dziewcząt zaczęła się rozbierać w klubie. Nie była zainteresowana, więc uprzejmie odmówiła. Wkrótce potem złożył nam wizytę Wayne Bardo. Wybrał tę właśnie dziewczynę. Spędziła z nim godzinę i potem nie mogła chodzić, nie wspominając już o występach...

- Duvall go posłał, żeby dał jej nauczkę.

Kiedy potwierdziła jego domysł nieznacznym ruchem ręki, zapytał, czy pozwoli mu porozmawiać z dziewczyną.

- Niestety, to niemożliwe, poruczniku. Dwa dni potem przecięła sobie żyłką żyły w nadgarstkach. Nie wierzyła, że jej twarz odzyska dawny wygląd. Zresztą uczciwie mówiąc, nie wierzył w to również żaden lekarz, z którym się konsultowaliśmy. Była piękną. Pan Bardo postarał się, żeby nie tylko nie mogła uprawiać zawodu, ale i pokazać się w publicznym miejscu.

- Nie powiadomiła pani policji, prawda?

- Dziwka poturbowana w domu publicznym? - zaśmiała się chrapliwie. - Myśli pan, że władze byłyby skłonne poważnie się tym zainteresować? Nie mogłabym udowodnić, że doznała obrażeń właśnie tutaj ani że winien był Bardo, ani że wypełniał polecenia Duvalla. Poza tym nie posłużyłoby to moim interesom. Nie rozgłaszamy naszych nieszczęść i wpadek. Iak dziewczyna idzie do pokoju z mężczyzną, zawsze jest narażona na przemoc fizyczną. Razem z moimi ludźmi robię wszystko, żeby je od tego uchronić, ale wejść do pokoju i udzielić pełnych gwarancji nie mogę. Ryzyko związane z profesją.

- Pani Bouchereaux - Burke nachylił się ku niej - czy jako była współpracowniczka Duvalla wie pani coś o jego pokątnych Interesach?

- Rozumiem, że szczególnie interesuje pana handel narkotykami.

- Czyli wie pani o tym?

- Oczywiście, ale podobnie jak pan nie mogłabym niczego udowodnić. Jest wyjątkowo sprytny. Omawiał ze mną tylko sprawy dotyczące prowadzenia klubu. Nie wtrącał się do tego, co poza tym robiłam, i odwrotnie.

- Czyli rozumie pani mój problem? - zapytał Burke. - Prokurator okręgowy Littrell nie może dopaść Duvalla, jeśli nie dostarczymy mu przekonującego dowodu, a nie ma żadnej szansy, że ten cwaniak popełni najmniejszy błąd, który by nam dał możliwość jakiegoś manewru.

- Dlaczego pan uważa, że mogłoby mnie to interesować?

- Miałem nadzieję, że zgodzi się pani współpracować z Wydziałem Narkotyków. Pani nam pomoże, my pójdziemy na pewien układ.

- Na przykład żadnych więcej nalotów, dopóki nie przygwoździecie Pinkie Duvalla? - Coś w tym rodzaju. Patrzyła na niego uparcie, znowu bawiąc się perłami.

- Nie ma pan możliwości układać się w imieniu Wydziału Narkotyków. Nie pracuje pan już w policji.

Zapędziła go w kozi róg. Nie było sensu zaprzeczać. Odetchnął głęboko i odchylił się na oparcie krzesła, przyglądając się jej z rosnącym szacunkiem.

- Mimo wszystko warto było spróbować. Przykro mi.

- Pomyślałam, że to bardzo dziwne jak na policjanta zjawiać się przed południem. Kiedy pan na mnie czekał, zatelefonowałam do kogoś.

- Oddałem odznakę dziś rano.

- Dlaczego?

- Zapoluję na sukinsyna na własny rachunek.

- Naprawdę intrygujące. - Oczy jej się lekko zwęziły. - Rodzaj osobistej wendety.

- Można to tak określić.

- Bez wątplenia z powodu śmierci Stuarta. Śledziłam te wydarzenia. Skinął głową, ale nie podjął tematu.

- Wiedziałem, że pani spółka z Duvallem zakończyła się przykrym zgrzytem, założyłem więc, że uraza jest wciąż żywa. Dlatego dałem sobie szansę, przychodząc tutaj. Mam nadzieję, że pani nie zapomni sobie mojej wizyty, jeśli Duvallowi przytrafi się nieoczekiwanie coś przykrego.

- Ma pan na to moje słowo, panie Basile.

- Dziękuję.

- Jak mogę panu pomóc?

- Zechciałaby pani? Mimo że próbowałem wyprowadzić panią w pole?

- Powiedzmy, że cenię sobie namiętność we wszelkich jej przejawach. Odwzajemniwszy jej uśmiech, Burke nachylił się do niej skwapliwie.

- Gdzie Duvall może przechowywać jakieś dane, notatki? Nie myślę o praktyce adwokackiej, tylko o osobistych zapiskach.

- Tutaj - odpowiedziała postukując palcem w skroń. - Nie zapisuje niczego takiego, co pan chciałby wiedzieć. Ani na papierze, ani na dyskietce.

- Jest pani pewna?

- Owszem. Nie wyznaczył sobie pan łatwego zadania. Próbowałam odplacić Pinkie za to, co się przydarzyło mojej dziewczynie. Myślałam o szantażu, defraudacji, nawet jak go zabić - roześmiała się melodyjnie. - Widzę, że również powiedziałam panu sekrety, panie Basile.

- I również ma pani moje słowo, że nigdy nikomu nie powtórzę tej rozmowy. Jej uśmiech zamierał stopniowo.

- Nie zdołałam się zemścić. Obmyślałam wiele planów i wszystkie odrzuciłam, ponieważ jednak na mnie wskazywały.

- Widzi pani, w tym rzecz - powiedział Burke. - Ja nie mam nic do stracenia. Zupełnie nic.

- Może pana spotkać niespodzianka - powiedziała łagodnie, patrząc mu prosto w oczy.

- Nie sądzę.

- A ja mam nadzieję, że pan się myli. - Minęła dobra chwila, zanim wstała i podeszła do serwantki, w której stały kieliszki i alkohole. - Jest pan absolutnie zdecydowany się zemścić?

- Niezależnie od ceny.

- Może wyższej niż pan sobie wyobraża. Od tej chwili nie powinien pan nikomu ufać.

- Z panią włącznie? - zapytał żartobliwie, ale ona odpowiedziała poważnie:

- Ze mną włącznie. Pinkie aranżuje to tak, żeby jego byli klienci byli u niego zadłużeni. Jeśli nie nadążają ze spłatami, każe im odpracowywać długi. Ponieważ ma do czynienia z kryminalistami wszelkiego autoramentu, nie muszę panu tłumaczyć, że może być śmiertelnie niebezpieczny.

- Jestem świadomy niebezpieczeństwa.

Ostatniej nocy zdecydował, że postawi wszystko na jedną kartę. Będzie żył czy umrze, wszystko jedno, byleby pociągnął Barda i Duvalla za sobą. Ale byłby głupcem, odrzucając rady Ruby Bouchereaux.

Nalała dwie porcje bourbona i podała mu jedną szklaneczkę. Wziął ją i podziękował, chociaż wcześniej odmówił. Z namysłem pociągnęła łyżeczek ze szklanki o grubym dnie. Unosząc ją do ust postukiwała paznokciem w kryształ.

- Być może jest sposób, panie Basile. Piętą Achillesową Duvalla, jego jedyną słabością jest Remy. Burke przechylił swoją szklaneczkę. Burbon zapiekł go w gardle, w oczach. Kaszlnął.

- Co to takiego, remy?

Rozdział dziesiąty

- Nie muszę ci chyba przypominać, Remy, że to już trzeci raz w tym semestrze.

- Nie, siostrze Beatrice. Dobrze pamiętam o wszystkich wykroczeniach mojej siostry. - Remy, nieświadoma tego, co robi, wygładziła spódnice; gest wyrażający skruchę, który został jej jeszcze z czasów, gdy sama chodziła do zakonnej szkoły. Ja również uważam, że jej zachowanie jest niewybaczalne.

- Jesteśmy odpowiedzialne nie tylko za kształcenie powierzonych nam dziewcząt - ciągnęła zakonnica - ale także za ich duchową harmonię i równowagę emocjonalną. My tu, w Błogosławionym Sercu, traktujemy poważnie obowiązek wszechstronnego kształtowania studentek.

- Flarra została zapisana tutaj właśnie z powodu wysokiego poziomu szkoły.

- A jednak sprawia wrażenie, jakby chciała celowo łamać reguły ustanowione zarówno dla jej własnego bezpieczeństwa, jak wyrobienia w niej nawyku samokontroli. Jeśli to się jeszcze raz powtórzy, będziemy zmuszeni ją wydaląc z szkoły.

- Rozumiem - Remy miała wrażenie, że właśnie udzielił 0-
no jej surowej nagany.

Minęło wprawdzie dwanaście lat, odkąd opuściła Szkołę Błogosławionego Serca, ale głęboko wryły jej się w pamięć reprimendy, które jej tu z rzadka wygłaszano z powodu nieposłuszeństwa czy niewłaściwego zachowania. Niezależnie od okazywanej uczennicom zawodowo łaskawości zakonnice doskonale umiały wyolbrzymić ich drobne przewinienia, tak by czuły się, jakby popełniły ciężkie grzechy.

- Czy byłoby możliwe, żebym mogła się zobaczyć z nią teraz na osobności?

- Ależ oczywiście - powiedziała siostra Beatrice, wstając. - Udostępnię ci biuro na piętnaście minut. Przekaż proszę wyrazy szacunku dla pana Duvalla i podziękowania za jego ostatni dar. Jego hojność jest doprawdy niewyczerpana. Niech go Bóg błogosławi.

- Powtórzę mu.

Zakonnica ruszyła do drzwi, ale przechodząc koło Remy przystanęła.

- A ty jak się czujesz, Remy? - zapytała, kładąc dłoń na jej ramieniu.

- Dziękuję, dobrze.

- Szczęśliwa?

- Oczywiście.

Siostra Beatrice uczyła Remy angielskiego, zanim została dyrektorką szkoły. Była bardzo wymagająca, czasem wręcz surowa, ale też bardzo życzliwa. Poświęciła życie nauczaniu, gdyby jednak los zrzucił inaczej, mogłaby zrobić karierę jako psycholog. Albo detektyw. Z wrodzoną sobie spostrzegawczością spoglądała Remy głęboko w oczy.

- Często o tobie myślę, Remy. Zawsze się wtedy za ciebie modlę.

- Dziękuję, siostrze.

- Czasami zadaję sobie pytanie... - Pozwoliła myśli umknąć, nie wypowiedziała jej na głos; sformułowała to w inny sposób: - Kocham wszystkie dziewczęta, które Bóg powierzył mojej opiece. Ale jestem tylko człowiekiem. Co jakiś czas znajdzie się taka, która szczególnie przypadnie mi do serca. Na pewno cię to nie zdziwi, jeśli powiem, że należysz do tych paru moich ulubienic. Nie sądzę, żebym zdołała ukryć moją stroniczość przed kimkolwiek, zwłaszcza przed tobą, Remy.

- Wyczuwałam tę miłość, to prawda. Jestem wciąż bardzo wdzięczna za troskę, którą mi siostra okazała, kiedy tego najbardziej potrzebowałam.

- Bardzo bym chciała, żebyś była szczęśliwa. Martwię się na myśl, że twoje życie mogło nie potoczyć się tak, jak się tego spodziewałaś.

- Jeśli wyglądam dzisiaj trochę nieswojo, to dlatego, że zdenerwowały mnie ostatnie wyczyny Flarry. Siostra Beatrice wpatrywała się jeszcze przez chwilę w jej twarz, a potem poklepała ją po ramieniu.

- Nie martw się za bardzo o Flarrę. To wspaniała dziewczyna. Trochę bardziej uparta i impulsywna niż ty.

- Albo bardziej odważna.

- Być może - odpowiedziała zakonnica z lekkim uśmiechem. - Trafiłaś do nas znacznie starsza niż ona.

Lepiej poznałaś życie.

- To, co poznałam, nie miało dla mnie wiele uroku. Siostra Beatrice uśmiechnęła się współczująco.

- Flarra uważa niedostatek doświadczeń za przekleństwo, nie błogosławieństwo. Nie tyle jest nieposłuszna, co ciekawa. Uważa, że ją ograniczamy. - Zawahała się na moment i dokończyła: - Nie chciałabym jej utracić, ale może czas, żebyś się zastanowiła nad przeniesieniem Flarry do innej szkoły, gdzie będzie miała okazję spędzać czas w gronie rozmaitych młodych ludzi i nabierze nieco lepszego pojęcia o tym, czym jest świat.

- Przemyślę to.

Siostra Beatrice odeszła, poruszając się z gracją, powoli, cichutko; słychać było tylko szelest jej habitu i ciche stuknięcia paciorków różańca. Jakby dla kontrastu Flarra wpadła do pokoju jak bomba, zatraskując za sobą drzwi. Z buntowniczą miną usiadła z rozmachem na krześle i wbiła gorejący wzrok w starszą siostrę.

- No i co? Wywalają mnie? Oby.

- Nie miałaś aż tyle szczęścia.

Obrażona mina gościła na jej twarzy ledwie kilka sekund, a potem nagle z dziewczyny opadła cała buńczuczność, oczy wypełniły się łzami.

- Remy, ja tu dłużej nie wytrzymam!

- To dlatego wykradłyście się we cztery?

- Daleko nie uszłyśmy.

Zauważył je policjant, uznał, że są zbyt młode na marsze dobrze po północy, kazał wsiąść do samochodu, w którym patrolował okolicę, i odwiózł uciekinierki do szkoły.

- Dokąd się wybierałyście?

- French Quarter.

- O tej porze? Czy ty zdajesz sobie sprawę, jakie to było głupie i nieodpowiedzialne? To

niebezpieczna okolica.

- Skąd miałam wiedzieć? Nigdy tam nie byłam.

- Wiele razy. Ze mną i z Pinkie. Jadałaś w doskonałych restauracjach, robiłaś zakupy w najlepszych butikach.

- Z tobą i Pinkie. Też mi łaska. To przecież zupełnie co innego niż z przyjaciółmi. Remy przyznała jej w duchu rację i powiedziała nieco łagodniejszym tonem:

- Pewnie tak.

Flarra wyczuła zmianę nastroju siostry i zerknęła na nią.

- A ty się nigdy nie wykradałaś?

- Raz - przyznała Remy z łobuzerskim uśmiechem. - Z koleżanką. Ale nikt nas nie złapał. Wśliznęliśmy się z powrotem, zanim ktokolwiek się zorientował, że nas nie ma.

- Siostra Bea na pewno zadałaby ci jeszcze dzisiaj pokutę, gdybyś jej to wyznała.

- Prawdopodobnie - roześmiała się Remy. - Prawdę mówiąc, mniej byłam przerażona tym, że mogłaby nas przyłapać, niż tym, że Pinkie się dowie.

- Ile miałaś lat?

- Siedemnaście. Coś koło tego.

- Przecież wyszłaś za męża, kiedy miałaś siedemnaście lat.

- Uhm. Nazajutrz po skończeniu szkoły.

- Ale miałaś szczęście - powiedziała Flarra niewyraźnie, ponieważ opuściła głowę tak nisko, że niemal przycisnęła podbródek do piersi. - Trafić na mężczyznę tak szaleńczo w tobie zakochanego, że nie mógł już dłużej czekać. Wszystkie moje przyjaciółki mówią, że nigdy nie słyszały bardziej romantycznej historii. Został twoim opiekunem, płacił za szkołę i zaraz potem się ożenił.

Wtedy i Remy wydawało się to niezwykle romantyczne, a Pinkie e jawił się jej jako rycerz w złotej zbroi, przybywający, by uratować ją i Flarrę od nędzy wszetecznego życia i przypisanego im losu. Strasznie dawno to było, lata całe... Rzeczywiście lata. Jej życia.

- Pewnego dnia i ty trafisz na mężczyznę, który będzie cię szaleńczo kochał - zapewniła.

Z nich obu Flarra była ładniejsza. Jej żywe oczy miały kolor jasnej zieleni, jak pączki budzące się wiosną do życia. Włosy, czarne i lśniące jak włosy Remy, wiły się w nieujarzmionych lokach. Obie nie znały swoich ojców, wiedziały tylko, że pochodzą od różnych; matka nie przyznawała się do żadnej rodziny, tak więc nie miały pojęcia, po kim Flarra odziedziczyła tę kędzierzawą niesforność czupryny.

Flarra miała gibkie młode ciało, jędrne i szczupłe, ale też powabnie zaokrąglone. Szyty na miarę szkolny mundurek nie całkiem to skrywał. Z tego właśnie powodu Remy wzdrygnęła się na myśl o swojej młodej, niewinnej i niedoświadczonej siostrze, przechadzającej się późną nocą po ulicach Vieux Carre i nagabywanej przez awanturniczo nastawionych turystów, pijanych studentów i różnych lajdaków o zdeprawowanych umysłach.

- A kto miałby okazję zakochać się we mnie, skoro jestem tutaj uwięziona? - jęczała Flarra, zwracając myśli Remy z powrotem ku rozmowie.

- Jeszcze półtora roku i będziesz w college'u, a tam poznasz wielu nowych kolegów.

- Remy... - Flarra zsunęła się z krzesła i uklękła przed siostrą. - Duch tu we mnie zamiera. Żyję w tych murach, odkąd pamiętam. Chciałabym odkryć nowe miejsca, zobaczyć, jak to jest. Chciałabym poznać nowych interesujących ludzi. Chciałabym spotykać mężczyzn. Przecież mnie jeszcze nikt nigdy nie pocałował.

- Powiedziałaś, że na balu gwiazdkowym twój tancerz cię pocałował.

- To? - Flarra zmarszczyła twarz z niesmakiem. - To się w ogóle nie liczy. Złapał mnie i wcisnął swoje usta w moje, kiedy siostry nie patrzyły. Jakie to było prostackie! Spocił się cały z nerwów. Zupełnie mnie to nie ruszyło, tylko się wściekłam. - Przysunęła się bliżej i zniżyła głos do szeptu. - Myślałam o prawdziwym pocałunku, Remy. Chciałabym pójść na prawdziwą randkę, nie taką, kiedy zakonnice śledzą każdy mój ruch. Chciałabym...

- Romantyczne mrzonki.

- No i co w tym złego? - Flarra ujęła dłonie Remy i zamknęła je w swoich. - Proszę cię, proszę, pozwól mi mieszkać z tobą i Pinkie i chodzić do koedukacyjnej szkoły. Chociaż przez ostatni rok.

Rwała się, żeby poznać życie. Była ciekawa mężczyzn, ponieważ jej kontakty z nimi ograniczały się do szwagra, który traktował ją po ojcowsku albo jak kochający wujek. Jak u wszystkich nastolatek w jej wieku, hormony w niej wrzały. Naturalny psychiczny proces zaostrzała jeszcze osobowość Flarry - apetyt na życie, bujny temperament, żywa wyobraźnia, ogromna młodzieńcza ciekawość.

Remy rozumiała przyczyny niesforności siostry, jednak nie do końca. Trudno było jej się z nią utożsamiać, ponieważ na niej szkoła, kiedy do niej trafiła jako dorastająca dziewczyna, zupełnie nie wywarła wrażenia miejsca, w którym by ją ograniczano. Przeciwnie, była schronieniem - czystym, cichym, spokojnym. Rajem.

W porośniętych bluszczem murach zaznała wreszcie poczucia bezpieczeństwa i pogody, o których to doznaniach nie miała do tej pory pojęcia. Muzyka płynęła podczas mszy i modlitw albo kiedy śpiewały pieśni, a nie z ryczącego dzień i noc radia. Do pokoju, w którym spała, nie próbowali wtargnąć żadni przerażający osobnicy. Nie musiała unikać napełniających ją strachem lubieżnych spojrzeń, bać się narkotycznych wybuchów wściekłości, słuchać wulgarnego języka, unikać widoku pośpiesznych kopulacji na rozgrzebanym łóżku albo w wolnym akuracie kącie mieszkania. Nie była głodna, a dziecko, za które ona jedna czuła się odpowiedzialna, nie płakało.

Remy pociągnęła pieszczotliwie sprężysty lok czarnych włosów siostry, serce jej wezbrało miłością do tego chorego, płaczącego, całkowicie od niej zależnego maleństwa, któremu musiała dać wszystko - jedzenie, opiekę, miłość - i które musiała chronić, choć sama jeszcze właściwie była dzieckiem. Mimo trudnego niemowlęctwa Flarra wyrosła na niezwykle piękną i inteligentną młodą kobietę. Remy chroniła siostrę od chwili, gdy przyszła na świat, i miała zamiar ochraniać póki życia.

- Porozmawiam z Pinkie.

- Obiecujesz?

- Obiecuję porozmawiać - powiedziała Remy z naciskiem. - Nie obiecuję, że podejmie decyzję po twojej myśli. - Pinkie nie będzie chyba miał nic przeciwko temu, żebym z wami zamieszkała?

- Bo jesteś jego ulubioną szwagierką? - zakpiła Remy.

Prawda była taka, że miał wiele przeciwko temu. Umieścił Remy w Błogosławionym Sercu, a Flarze znalazł rodzinę zastępczą. Kiedy poślubił Remy, powiedział, że byłoby okrucieństwem pozbawiać to dziecko znowu domu. Prawdziwy powód jego odmowy był jednak inny. Chciał mieć żonę na wyłączność; nie podobało mu się, że będzie dzieliła czas i uwagę między niego i siostrę. A kiedy Flarra podrosła, umieścił ją również w Błogosławionym Sercu, przekonując Remy, że tylko w szkole z internatem dziewczyna może otrzymać stosowne wychowanie. Nie miała wyboru, musiała się zgodzić, a patrząc teraz z perspektywy czasu na swoje małżeństwo z Pinkie, rozumiała, że było to dla nich trojga najlepsze wyjście.

Być może przez te wszystkie lata Pinkie zmienił zdanie co do zamieszkania Flarry w ich domu, tego nie wiedziała. Nie pytała go o to, ponieważ teraz ona wolała, żeby siostra nigdy nie znalazła się pod ich dachem. Bóg jeden wie, czym by się skończyły kontakty wrażliwej, impulsywnej młodej dziewczyny z nikczemnymi współpracownikami jej męża... takimi jak na przykład Bardo.

Nie mogła absolutnie spełnić prośby Flarry, ale też nie mogła jej tego powiedzieć, z obawy, że siostra przejmie inicjatywę. Jak miała jej wyjaśnić powody swojego sprzeciwu, dyskutować o sprawach, których by nie rozumiała...

Nie mogła jej też przecież powiedzieć o Galveston. Postanowiła działać dyplomatycznie.

- Wiele zależy od twojego zachowania przez resztę semestru. Zamierzasz się do brze zachowywać?

Szesnastolatka uznała, że siostra odpowiedziała w ten sposób na jej prośbę „być może”. Zerwała się na nogi i zakręciła w pełnym gracji piruecie.

- Przysięgam na moje dziewictwo.

- Flarra!

- Nie denerwuj się. Ta przysięga sprzyja zachowaniu mojego dziewictwa. A co z ostatkami?

- Co z ostatkami?

- Zeszłego roku powiedziałaś, że być może w tym roku będę mogła ten wieczór spędzić u was na balu.

- Masz rację, powiedziałam „może”.

- Reeemy!

- Wspomnę o tym Pinkie, ale z niezbyt silnej pozycji prosisz o ten przywilej.

- Ale zapytasz go? - nalegała dziewczyna.

- Zapytam.

Flarra chwyciła ją w objęcia i uściskała.

- Dzięki, siostrzyczko. Kocham cię.

- Ja też cię kocham - wyszeptała Remy, przytulając ją mocniej. Kiedy się rozdzieliły, Flarra zapytała z posmutniałą nagle twarzą:

- Jak sądzisz, co by sobie o mnie pomyślała? O nas obu? Mogła mówić tylko o matce.

- Któż to wie. Ja w ogóle o niej nie myślę - skłamała Remy.

- Ani ja - skłamała Flarra.

Oczywiście, że myślały od czasu do czasu o kobiecie, która porzuciła je bez cienia żalu. Gdyby zresztą tego nie zrobiła, Harra prawdopodobnie nie dożyłaby swoich drugich urodzin. Co do Remy, dobrze wiedziała, jaki los czekał ją przy matce.

- Muszę iść - powiedziała, odwracając się do drzwi. - Pinkie wkrótce wróci do domu.

- Czy kochacie się każdej nocy?

- Nie twoja sprawa.

- Ja... i moje przyjaciółki też, myślimy, że tak. Kompletnie nadzy i przy zapalonych światłach.

Mamy rację?

- Nie powinniście przyłożyć się do geometrii, zamiast spekulować na temat mojego pożycia z mężem?

- Remy, czy ty się dobrze czujesz?

Flarra zwykle skakała z tematu na temat, jakby potrząsała kalejdoskopem. Ale tym razem kompletnie zaskoczyła siostrę.

- Ja? Czy się dobrze czuję? Oczywiście. Dlaczego pytasz?

- Ostatnio, kiedy się widzimy, wyglądasz... wyglądasz... no nie wiem, tak jakoś, jakbyś była zmęczona.

- Może trochę. Przedwczorajszej nocy wydawaliśmy przyjęcie. Późno poszłam spać. - Bo musiałam zeszkrobać z ciała dotyk Barda, dodała w duchu.

- Jeśli jesteś chora, nie okłamuj mnie.

- Nie jestem chora.

Oczy Flarry rozjarzyły się nieoczekiwanie, zniżyła poufnie głos.

- Może jesteś w ciąży?

- Nie jestem.

- Kurczę. A już myślałam... - Zagryzła dolną wargę. - Remy, nie masz raka ani nic takiego, co?

- Nie! Oczywiście, że nie. Przysięgam ci, że nic złego się ze mną nie dzieje.

- Ale powiedziałaś mi, gdyby coś złego, nawet okropnego się działo?

- Tak, powiedziałabym.

- Nie jestem już przecież dzieckiem. - Wiem.

- Gdybym cię straciła... - Flarra z trudem przełknęła ślinę. - Nie mogę cię stracić, Remy.

- I nie stracisz - zapewniła Remy z lekkim naciskiem. - Przysięgam, że zawsze będę przy tobie.

Dowiesz się, gdyby coś nie było w porządku, ale na razie nie ma powodu do zmartwienia, rozumiesz?

Dziewczyna odetchnęła głośno z ulgą, na jej usta wrócił promienny uśmiech.

- No to dobrze. Do zobaczenia w piątek.

- Niestety, Flarro, nie weźmiemy cię na kolację, tak jak to było zaplanowane.

- Jak to?

Stojąc już w drzwiach biura siostry Beatrice, Remy obejrzała się na zbitą z tropu siostrę.

- Sama się pozbawiłaś tej przyjemności, wybierając samodzielną wyprawę ostatniej nocy.

Rozdział jedenasty

- Ten sukinsyn! - przeklął Burke cicho, jakby wciąż jeszcze nie dowierzał. Kobieta, którą widział w altanie; była żoną Pinkie Duvalla.

Obserwował, siedząc w samochodzie, jak wchodziła do elitarniej szkoły dla dziewcząt. Nawet z tej odległości natychmiast ją rozpoznał.

Nie dłużej niż godzinę temu zapytał Ruby Bouchereaux:

- Co to takiego remy?

- Nie co, a kto. Żona Pinkie.

Rewelacja. Duvall był żonaty. Burke nie brał pod uwagę żadnej żony. Szczęście małżeńskie zupełnie mu nie pasowało do osobowości złotoustego adwokata.

Ledwie wyszedł z burdelu, wsiadł do samochodu i zaczął krążyć koło posiadłości Duvalla. Nie spodziewał się wcale, że zobaczy coś ciekawego, ale okazało się, że tym razem szczęście mu dopisało. Kiedy nawracał na końcu ulicy, ujrzał wyjeżdżającą tylną bramą limuzynę. Przejechała tuż obok niego. Założył, że o tej porze Duvall musi być w sądzie albo w swojej kancelarii, w limuzynie zatem powinna siedzieć pani domu.

Sledził samochód aż dotąd, do Szkoły Błogosławionego Serca, i nieco zbity z tropu obserwował, jak wysiada z niego eskortowana przez kierowcę kobieta, którą natychmiast rozpoznał. Kierowca i ochroniarz, pomyślał. Pani Duvall weszła do środka, a ochroniarz zaczął warować przy furtce. Burke nie był zdumiony tymi przejawami czujności. Ruby Bouchereaux uprzedziła go, że adwokat ma baczne oko na żonę*

- Nie wiedział pan, że jest żonaty? - zapytała, wyczuwając jego zdumienie. - Specjalnie mnie to nie dziwi. Pinkie trzyma ją dosłownie pod kluczem.

- Dlaczego? Coś z nią nie w porządku?

- Ależ nie - odpowiedziała Ruby z lekkim uśmiechem. - Widywałam ją od czasu do czasu. Niezwykle piękna. Jak jej matka, dopóki życie, jakie prowadziła, nie wycisnęło na niej piętna.

Burke słuchał w skupieniu opowieści o Angel, matce Remy. - Była striptizerką w jednym z nocnych klubów, których właścicielem jest Pinkie. Jakieś dwadzieścia lat czy trochę więcej temu. Angel Lambeth miała talent i obiecującą karierę przed sobą, ale zaszła w ciążę i musiała przerwać występy. Kiedy wróciła do pracy po urodzeniu dziecka, była uzależniona. Heroina, jak sądzę. Jej występy znacznie straciły na ekspresji, narkotyki zaszkodziły urodzie, została więc przeniesiona do klubu dla mniej wybrednej klienteli, właściwie speluny. Zna pan takie miejsca.

- A co z jej córką?

- Kiedy osiągnęła stosowny wiek, została narzeczoną Pinkie. Właściwie nic poza tym nie wiem o przeszłości tajemniczej Remy. Nikt nie wie.

- Jak się wiodło Angel?

- Nieciekawie. Zabroniono jej w końcu tańczyć i posadzono za kasą. Umarła krótko po ślubie Pinkie z córką. Przyjęto, że z przedawkowania.

- Przyjęto?

Ruby wymownie zmarszczyła czoło.

- Pinkie miał już wtedy szerokie wpływy w mieście. Czy zaakceptowałby uzależnioną teściową, która robiłaby mu numery, żeby zdobyć narkotyki?

- Uważa pani, że pozbył się Angel, bo chciał oszczędzić sobie kłopotu?

- Może kosztów leczenia. Pewnie uznał to za kiepski interes. Tak czy owak jej śmierć musiała być dla niego niezwykle wygodna.

Teraz, tkwiąc w samochodzie ze zdrętwiałymi od długiego siedzenia pośladkami, Burke przetrwał to, co usłyszał, żalując, że nie wie więcej i nie jest w stanie odpowiedzieć sobie na wszystkie pytania. Co pani Duvall robiła w tej szkole? Mieli dziecko?

Zaburczało mu w żołądku i uprzytomnił sobie, że nie jadł od wczorajszego śniadania. Przeszukał samochód i znalazł zapomniany batonik w schowku przy desce rozdzielczej.

Co ją tam zatrzymywało tak cholernie długo? Ochroniarz znalazł sposób na zapełnienie czasu: czyścił paznokcie składanym nożem. W pewnym momencie odkaszlnął i splunął w krzewy rosnące koło furtki. Kiedy skończył czyścić paznokcie, splótł ręce na piersi i oparł się o słup latarni gazowej. Burke nie widział dokładnie jego twarzy, ale gotów był się założyć, że facet zamknął oczy i drzemał na stojąco.

Po czterdziestu siedmiu minutach Remy Duvall wyszła ze szkoły. Nie odezwała się do kierowcy, dopóki nie doszli do samochodu. Dopiero wtedy przystanąła na moment i rzuciła mu coś przez ramię. Ochroniarz zdjął czapkę*

Oczywiście, proszę pani. Cokolwiek pani rozkaże, proszę pani. Pocałować w dupę? Wedle życzenia. Podskoczyć? Jak wysoko by pani sobie życzyła? Wywinąć koziołka? Może wykitować? Pani życzenie jest moim rozkazem, mamrotał Burke, z lekką pogardą obserwując uniżoność ochroniarza słuchającego wydawanych poleceń.

Uruchomił silnik toyoty i zachowując bezpieczny dystans, pojechał za limuzyną przez Garden District i Canal Street, a potem skręcił w lewo w Decatur Street prowadzącą do French Quarter.

Limuzyna zatrzymała się przy rzędzie parkometrów, a ponieważ wszystkie miejsca były zajęte, ustawiła się równolegle tuż przy okupujących je samochodach. U wylotu ulicy rozciągał się French Market. Kierowca wysiadł i zaczął się kontredans z otwieraniem drzwiczek przed panią*

Burke pojechał dalej i zaparkował, ignorując znaki mówiące, że to miejsce zarezerwowano dla samochodów dostawczych. Sięgnął po leżącą na tylnym siedzeniu miękką torbę* Po chwili wysiadł z auta, już nie w sportowym płaszczu, a w luźnej kurtce przeciwdeszczowej, czapce do baseballu i ciemnych okularach.

Z rękami w kieszeniach kurtki przechadzał się po chodniku; całkiem przeciętny mieszkaniec tego miasta, który ma akurat wolne popołudnie i wałęsając się bez celu, wpadł na pomysł, by kupić trochę świeżych warzyw i owoców na French Market, gdzie sprzedający oferowali wszystko, od lalek voodoo po portfele ze skóry aligatora.

Zaczął przebierać w palecie z cebulkami, a Remy Duvall w następnym rzędzie kramów wybierała pomarańcze. Oddalony od niej o osiem stóp Burke mógł po raz pierwszy przyjrzeć się jej dokładnie.

Nie miała dzisiaj głębokiego dekoltu, tylko garsonkę jak z lalki Barbie. Spódnica krótka i

obcisła, biust uwypuklony dopasowanym szczypankami pod talią zakietem przyciągał spojrzenia - w każdym razie jego spojrzenie. Nosiła wysokie obcasy, kolczyki w uszach połyskiwały, diament na palcu był wielkości gałki u drzwi. Wyglądała jak dziewczyny z rozbieranych pisemek, tylko włosy klóciły się z tym wizerunkiem. Nie wiły się, długie i splątane, ale opadały swobodnie, lśniące i gładkie. Za każdym razem, kiedy poruszyła głową, muskały jej policzek, jakby zachęcając, by go dotknąć. Pomalowane wiśniową szminką usta rozchyliły się w uśmiechu, gdy powąchała uniesioną pomarańczę.

Nie mogłaby bardziej emanować seksem, nawet kompletnie naga i z wytatuowanym PRZELEĆ MNIE na piersi, gdyby nie mały złoty krzyżyk wiszący na szyi.

Sprzedawca owoców był tak poruszony, że z trudem udało mu się włożyć dwie pomarańcze, które wybrała, do torebki. Ochroniarz wręczył mu pieniądze, ale straganiarz wcisnął torebkę z owocami w jej dłoń, dziękując przy tym wylewnie, że zechciała dokonać zakupu.

Poszła dalej, a tuż za nią szofer, omiatając czujnym spojrzeniem ulicę. Burke podziękował sprzedawcy i poszedł dalej wolno ulicą. Przystanął obok straganu z wyrobami afrykańskiego rzemiosła i ubraniami, tuż koło niewielkie go barku kawowego. Pani Duvall usiadła przy maleńkim okrągłym stoliku. Otworzyła brązową papierową torebkę i zaczęła obierać pomarańczę, wbijając długie paznokcie w miąższ owocu.

Burke zamówił w barze mrożony koktajl bananowy. Stał ramie w ramie z ochroniarzem. Mięśnie jego przedramienia miały obwód większy niż szyja Burke. Uniósł mięsistą dłonią filiżankę z cappuccino i zaniósł ją pani Duvall. Wrócił na moment do baru, żeby zabrać swoją kawę, ale tym razem nie podszedł do jej stolika. Usiadł przy sąsiednim, a ona przy swoim jadła pomarańczę, cząstka po cząstce, i popijała cappuccino.

Koktajl bananowy był jeszcze obrzydliwszy, niż się Burke spodziewał, ale pił go powoli, udając, że się rozkoszuje, i obserwował panią Duvall w lustrze nad barem.

Przyciągała uwagę przechodniów, ale unikała kontaktu wzrokowego z nimi, nie zachęcając do rozmowy. Odnosiło się wrażenie, że dla tej kobiety, z jej wyglądem, bogatym mężem, willą, limuzyną z prywatnym szoferem, rzecz tak codzienna jak siedzenie i zajadanie pomarańczy jest wydarzeniem. Żuła powoli każdą cząstkę i oczekiwała kilka chwil, zanim zabrała się do następnej.

Burke zaczął się zastanawiać, czy nie czeka na kogoś. Może Duvall posługiwał się nią jako kurierką w jakichś wyjątkowych wypadkach? Nikt jednak do niej nie podchodził, a ochroniarz nie siedział czujny i napięty - wręcz zatopił się w lekturze brukowej gazety.

Napój bananowy rozpuścił się na słodkawe pomyje i śmierdział jak olejek do opalania, zanim Remy Duvall zjadła pomarańczę i zawinęła skórki w papierową serwetkę. Kiedy wstała, żeby wyrzucić je do kosza na śmieci, ochroniarz złożył brukowiec i pośpieszył za nią. Poszli razem z powrotem do zaparkowanego wbrew przepisom samochodu.

- Hej, proszę pani! - Burke przeklął samego siebie za zbyt impulsywną reakcję, ale stało się. Oboje, pani Duvall i jej ochroniarz, przystanęli i obejrzel się na niego. Brązowa papierowa torebka z drugą pomarańczą wciąż leżała na stole. Burke podniósł ją i podszedł do nich. - Zapomniała pani.

- Dzięki - powiedział szofer, wrywając mu ją z ręki.

- Drobiazg - odwzajemnił się Burke, zwracając się do niej i kompletnie ignorując szofera.

Stał tak blisko, że mógł wyczuć drogie perfumy o zapachu kwiatów i pomarańczy. Jej oczy miały zadziwiająco jasny, czysty niebieski kolor, zwłaszcza przy tak czarnych włosach. Wiśniowa szminka

starła się przy jedzeniu, wargi poróżwiały naturalnie od kwaśnego soku pomarańczy.

- Dziękuję panu - powiedziała.

Ochroniarz natychmiast stanął między nimi. Burke miał wielką ochotę popatrzeć za nią, gdy będzie odchodziła, ale odwrócił się i odszedł powoli w drugą stronę. Odczekał, aż limuzyna zniknie mu z oczu, wrócił do samochodu, a potem siedział długo bez ruchu, oddychając głęboko, jakby właśnie przebiegł milę.

- I to wszystko?

Errol, ochroniarz i szofer, pocił się pod przenikliwym spojrzeniem, którym Pinkie obdarzał klientów, gdy zaczynali kłamać.

- Wszystko, panie Duvall, przysięgam. Zawiozłem panią do szkoły, a potem kazała zajechać na rynek. Kupiła dwie pomarańcze i piła kawę w tej małej kawiarence po przeciwnej stronie ulicy. Potem pojechaliśmy do kościoła. Siedziała tam pół godziny, jak zawsze. Potem odwiozłem ją do domu.

- I nigdzie więcej nie jeździliście?

- Nie, proszę pana:

- Cały czas miałaś ją w zasięgu wzroku?

- Tak proszę pana, poza tym, jak była w szkole.

Pinkie złożył dłonie i postukując palcami w wargi, mierzył zdenerwowanego ochroniarza surowym wzrokiem.

- Gdyby pani Duvall poprosiła, żebyś zawiózł ją gdzieś, gdzie nie poleciłem ci jej zawieźć, odmówiłbyś i natychmiast mi o tym zameldował, tak?

- Natychmiast, panie Duvall.

- Jeśli pojedzie gdzie indziej, niż to było ustalone, uda się na spotkanie, o którym bym przedtem nie wiedział, natychmiast mnie zawiadomisz, zrozumiałeś?

- Oczywiście, proszę pana, ale dlaczego...

- Nie chciałbym odkryć, że jesteś bardziej lojalny wobec mojej żony niż wobec mnie, Errol. To piękna kobieta. Z pewnością to dostrzegasz.

- Boże święty, panie Duvall, ja przecież...

- Moja żona może sobie okręcić wokół palca każdego mężczyznę* Sprawić, że zrobi dla niej coś, o czym wie, że tego bym nie zaakceptował.

- Klnę się na Boga, panie Duvall - zapewnił szofer, z trudem przelękając ślinę - że to się przenigdy nie zdarzy. Nie, proszę pana, nie ze mną. Pan jest moim szefem. Nikt więcej. - Świetnie. - Pinkie e nagroził ochroniarza szerokim uśmiechem. - Dobrze, że to słyszę, Errol. Możesz odejść.

Ochroniarz wysliznął się z gabinetu zdeprymowany i przygnębiony. Pinkie patrzył za nim, zastanawiając się, czy nie napadł na niego niepotrzebnie zbyt ostro, ale ostatecznie człowiek z jego pozycją w ten właśnie sposób musi wzbudzać i podsycać strach w ludziach, którzy dla niego pracują.

Weźmy na przykład Sachela. Czyż strach nie jest naprawdę potężnym motywem? Pinkie e pozwolił sobie zachichotać w zaciszu gabinetu na myśl, jak szybko Sachel skapitulował, kiedy dowiedział się, że kariera syna może lec w gruzach.

Chociaż właściwie nie było mu dzisiaj do śmiechu. Coś się działo z Remy i za cholerę nie mógł odkryć co to takiego. Nękało go to już od tygodni niczym uporczywy ból zęba. Była przedziwnie nieobecna. Przedziwnie, bo choć zdarzało jej się przedtem zamykać w sobie, i nic wtedy jej nie

poruszało - teraz jej z tego nie mógł wyrwać. Nie pomagały ani hojne prezenty, ani dokuczanie czy groźby, ani seks. Ten stan omamienia zwykle trwał krótko i jakoś przychodziła do siebie... Właściwie gdyby nie ta jedna skaza na charakterze, byłaby doskonała. Jak na kobietę.

Tym razem stan przygnębienia trwał już zbyt długo i był głębszy niż kiedykolwiek przedtem. Patrzył w jej oczy i były nieprzeniknione. Rzadko się ostatnio śmiała... a jeśli już, to wymuszonym śmiechem. Z roztargnieniem słuchała tego, co do niej mówił, a sama odzywała się niezbyt przytomnie.

Wyglądało na to, że nawet w łóżku nie potrafi jej dosięgnąć, nieważne, czy poczynął sobie nadzwyczaj czule, czy przeciwnie, gwałtownie. Nigdy mu, co prawda, nie odmówiła, ale była co najmniej bierna.

Wszystkie te symptomy mogłyby wskazywać na romans, gdyby nie to, że nie istniała taka możliwość. Było całkowicie nieprawdopodobne, żeby spotykała się z innym mężczyzną, a zresztą natychmiast by o tym wiedział; mógł ją wyliczyć z każdej minuty.

Wątpił, by Errol przeniósł na nią swoją lojalność. Za bardzo się go bał. A nawet gdyby zdołała przekupić albo w jakiś sposób przechytryć swojego ochroniarza, ktoś inny z rozległej siatki współpracowników musiałby mu powiedzieć. Wypytał już nawet służbę. Nie było innych telefonów poza telefonami do i od Flarry. Nie przyjęła w domu nikogo. Nie dostała żadnej paczki, żadnych prywatnych listów.

Trzeba skreślić romans.

Tylko w takim razie, o co tu, do diabła, może chodzić?

Dawał jej wszystko, czego tylko mogłaby chcieć kobieta, o czym tylko zamarzyć. Inna rzecz, uprzytomnił sobie, że według niej to tak może nie wygląda.

Pamiętał, jak się dąsała, gdy zaraz po ślubie oświadczył jej, że college nie wchodzi w rachubę. Pozapisywała się wtedy na jakieś kursy korespondencyjne, czytała wszystko, co jej wpadło w ręce. Poblązał tej żarłocznej pasji zdobywania wiedzy, dopóki nie stało się to wręcz męczące. Wymógł w końcu na niej, by ograniczyła te studia i czytała wyłącznie, kiedy on jest poza domem.

Parę lat później zaczęła go obsesyjnie nękać pomysłem pójścia do pracy, chociaż na część etatu. Wybił jej oczywiście z głowy tę zachciankę.

Może ten jej nieznośny nastrój jest związany z kolejną „damską rozterką” i zwyczajnie trzeba to przetrwać, zanim wszystko wróci do normy?

A jeśli to jednak coś poważniejszego?

Niecierpliwie wyszukał kartę adresową w rolodexie stojącym na biurku.

- Z doktor Caruth proszę.

Kiedy się przedstawił, połączono go z ginekolog Remy natychmiast.

- Słucham, panie Duvall.

Głupia suka. Powitała go cierpko, jakby chciała dać do zrozumienia, że ma ważniejsze rzeczy na głowie niż odpowiadanie na jego telefony. Słyszał od lekarzy, z którymi grywał w golfa, że to wkurwiająca baba, prawdziwe utrapienie dla całego szpitala. Jedna z tych, co to jakby specjalnie się trudzą, żeby wydać się jak najmniej przyjemne, zwłaszcza wobec mężczyzn.

Pinkie nigdy za nią nie przepadał, z wzajemnością zresztą.

Remy została jednak jej pacjentką, bo jednego był pewien bardziej niż śmierci: nie pozwolił żadnemu mężczyźnie, obojętne kim by był, na jakikolwiek intymny kontakt z jego żoną.

- Dzwoni pan w imieniu pani Duvall? - zapytała. - Mam nadzieję, że nic poważnego się z nią nie

dzieje?

- Właśnie to chciałbym wiedzieć: co się z nią dzieje.

- Nie wolno mi udzielać informacji na temat moich pacjentów, panie Duvall. To by naruszało zasady etyki lekarskiej. Jestem pewna, że jako adwokat świetnie pan to rozumie.

- Nie rozmawiamy o jakiejś pacjentce, tylko o mojej żonie.

- Co niczego nie zmienia. Jest chora?

- Nie. Niekoniecznie.

- Jeśli pani Duvall chce mnie odwiedzić, niech pan poprosi, żeby zadzwoniła rano do mojego biura i ustaliła termin wizyty. Na pewno ją skrupulatnie zbadam i wszystko wyjaśnię. Byłoby dla tomiast niewłaściwe, gdybym ciągnęła dłużej z panem tę rozmowę* Do widzenia. - Odwiesiła słuchawkę.

- Pieprzona lesbal

Doprowadziła go do furii obcesowymi manierami, ale właściwie uzyskał, co chciał. Zawsze gasiła go w pół słowa. Doktor Caruth z nikim nie rozmawiała inaczej, więc i dzisiaj nic nie było w tym niezwykłego. Gdyby ostatnio stwierdziła u Remy poważną chorobę, na pewno nie przyjęłaby jego telefonu tak spokojnie. Musiałaby odłożyć na bok wszelkie animozje i wypytać, jakie symptomy skłoniły go do tej rozmowy.

Strzelił w ciemno i dowiedział się, że problemy Remy nie wynikają z kłopotów ze zdrowiem. Były natury emocjonalnej. Coś naprawdę poważnego absorbowало jej umysł, na tyle poważnego, że chciała to przed nim ukryć.

Odkryje, co to takiego. Wydobędzie to z niej i zdusi - jak wszystko inne.

Te jej małe bunty nie miały żadnych konsekwencji. Trochę były dokuczliwe, mniej więcej jak ukąszenia moskita; swędziało cholernie parę dni, ale goiło się, nie zostawiając nawet blizny, która by coś przypominała.

Lepił ją jak świeżą glinę. Szybko zmieni jej nastrój. Wystarczy parę słów, żeby zapomniła o urojonych powodach do niezadowolenia. Umiał zgasić płomień buntu, jeśli zaczynał się rodzić w jej sercu

Wiedział, o kogo drżała.

Rozdział dwunasty

Pinkie przeglądał dokumenty dotyczące powierzonej mu sprawy, ale kiedy Remy wyszła ze swojej garderoby i położyła się obok niego w łóżku, zdjął okulary i odłożył teczkę na nocny stolik.

- Chciałbym wiedzieć, co się z tobą dzieje, Remy.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Wprawdzie nigdy jej dotąd nie uderzył, ale opanowała go niebezpiecznie silna pokusa, by zetrzeć wyraz fałszywej niewinności z tej twarzyczki. Chwycił ją za rękę i ścisnął mocno, choć nie tak mocno, by odzwierciedlało to jego uczucia.

- Zmęczyła mnie ta gra. Prawdę mówiąc, już dawno. Zamierzam dzisiaj wreszcie z tym skończyć.

- Gra?

- W sekrety.

- Nie mam żadnych sekretów.

- Przestań...! - Opanował się, zniżył głos i zaczął od początku: - Przestań mnie okłamywać.

- Nie okłamuję cię. Popatrzył na nią przeciągle.

- Planujesz znowu ode mnie uciec?

- Ależ nie!

- Bo jeśli tak, ostrzegam: nie próbuj. Raz przebaczyłem. Drugi raz nie mam zamiaru.

Chciała odwrócić głowę, ale uwięził jej podbródek w palcach i zmusił, by na niego patrzyła. Przeciągnął mocno kciukiem po w; dolnej wardze.

- Pragnąłem cię, odkąd na ciebie spojrzałem. I mogłem cię mieć od razu. Ale byłem cierpliwy. Nie zrobiłem nic, do czego nie miałbym prawa, zgadza się? Odpowiedz mi.

- Rzeczywiście nie.

- Mogłem cię wtedy wziąć, ale czekałem. Nie musiałem się z tobą żenić, kiedy osiągnęłaś wiek, gdy prawo mi już ciebie nie broniło. Czy ty kiedykolwiek pomyślałaś, Remy, co by się z tobą stało, gdybyś uciekła od kogoś innego? Co byś teraz robiła, gdybym nie był tak wyrozumiały?

- Nie wiem.

- Owszem, wiesz - wyszeptał, głaszcząc ją po policzku. - Zarabiałabyś jako dziwka, jak twoja matka.

- Na pewno nie. - Łzy nabiegły jej do oczu.

- Na pewno tak. Kiedy cię spotkałem, byłaś na najlepszej drodze, żeby stać się drugą Angel. - Przesunął po niej wzrokiem w sposób, jakiego nienawidziła. - Tak, Remy. Już wtedy byłaś pociągająca. Założę się, że klienci twojej matki napalali się na ciebie na długo przedtem, zanim ja się pojawiłem w twoim życiu. - Zacisnął mocniej palce wokół jej dłoni. Zbliżył do niej twarz i mówił dalej łagodnym tonem: - A może zasmakowałabyś w takim życiu? Może żałujesz, że wybawiłem cię od tych wszystkich mężczyzn? Może bardziej podobały ci się ich karesy i ciężkie oddechy niż

małżeństwo ze mną?

- Przestań! - Wyszarpnęła dłoń i wstała z łóżka. - Czym mi chcesz zagrozić, Pinkie? Że ujawnisz jakieś moje przestępstwo sprzed lat? Nie jestem jedną z twoich klientek. Ani jednym z twoich sługusów. Więc nie mów do mnie tak, jak z nimi rozmawiasz. Zaslługuję na coś lepszego niż ukryte groźby. Jestem twoją żoną.

- No to może ta moja żona wreszcie by mi powiedziała, dlaczego snuje się po domu niczym marek po piekle!

- wrzasnął.

- No więc dobrze. To przez Flarrę. Martwię się o nią. Flarra? O to chodzi? Po prostu Flarra? Depresja z tak zwyczajnego powodu? Z powodu siostry? Najpierw wyprowadzał ją z równowagi Bardo, teraz siostra. Podejrzewał ją o najgorsze, obawiał się, że może planować następną ucieczkę, a ona mu mówi, że jej przygnębienie wynika z tak błahego powodu jak troska o Flarrę? Znowu kłamie?

- No więc, co z nią? - zapytał szorstko.

Remy ze złością narzuciła na siebie szlafrok i nie dbałe przewiązała go paskiem w talii. Wyraźnie próbowała się uspokoić, pierś jej falowała i złoty krzyżyk połyskiwał w świetle lampy. Ucieszyło go, że się zdenerwowała. Szyderstwa na temat życia, jakie wiodła przedtem, musiały jej uzmysłować, ile miała szczęścia.

- Znowu wymknęła się ze szkoły - odezwała się Remy. - Dostałam reprimendę, kiedy tam dzisiaj byłam, żeby ją jak zwykle odwiedzić. - Opowiedziała mu o ostatniej eskapadzie Flarry i ostrzeżeniach siostry Beatrice. - Skarciłam ją ostro, ale nie wiem, na jak długo to wystarczy.

- Wygląda mi na to, że nie zaszkodziłoby jej parę klapsów.

- Jest już na to trochę za duża.

- Zdaje się, że muszę wprowadzić w jej życie trochę dyscypliny. Ty jesteś wobec niej zbyt miękka, Remy. Będę musiał postąpić stanowczo i cofnąć jej pewne przywileje. To ją powinno ostudzić.

Remy zdołała już opanować gniew. Teraz na jej twarz wpełzło rozczarowanie.

- Czyli mamy odpowiedź.

- Co?

- Nieważne. To tylko...

- Powiedz mi.

- Flarra nękała mnie tym od miesięcy - powiedziała Remy, wykonując nerwowy gest ręką. - Męczyło mnie to, ale byłam na tyle głupia, żeby spróbować to przed tobą ukryć. - Uśmiechnęła się do niego z poczuciem winy.

- Chciałabym, aby moja siostra była szczęśliwa, ale ty jesteś moim mężem i przede wszystkim powinnam liczyć się z twoimi życzeniami. Czuję się jakby między młotem i kowadłem. Dzisiaj rano wreszcie jej obiecałam, że cię poproszę. - Oblizwała wargi. - Prawdę mówiąc, Pinkie, wydaje mi się, że to nie jest taki głupi romysł. Przeciwnie, raczej sensowna prośba.

Rozłożył ręce na znak, że może mówić dalej, a on wciąż jest gotów słuchać.

- Flarra chciałaby zamieszkać z nami i pójść na ostatni rok do koedukacyjnej szkoły. Życ wreszcie trochę intensywniej. Poznać nowych ludzi. Doświadczać tego, co jest udziałem innych dziewcząt w jej wieku. Można to zrozumieć, prawda?

Patrzył na nią tak długo, że poczuła się niepewnie. Wreszcie poklepał ręką puste miejsce w łóżku obok siebie.

- No już, Remy.

- A co z Flarą?

- Przemyślę to. A teraz wracaj do łóżka. - Odkrył się, żeby jej pokazać, jak jest podniecony.

Jeszcze bardziej niż złość na nią, pobudziły go jej wypowiedziane z przejęciem prośby.

Kiedy się z powrotem położyła, nie pozostawił jej cienia wątpliwości, że należy do niego całkowicie. Że on nią dysponuje. Jej ciało, umysł, dusza należą do niego i może z nią zrobić, co mu się żywnie podoba.

A potem powiedział, że Flarra zostanie w Szkole Błogosławionego Serca, dopóki jej nie ukończy.

Przez moment milczała.

- Cokolwiek postanowisz, Pinkie, będzie najlepsze - odezwała się wreszcie.

- Twoja siostra jest jeszcze za młoda, żeby znać samą siebie - tłumaczył, głaszcząc jej włosy. - Do nas należy... a właściwie do mnie, bo ty zbyt jej pobłażasz, dopilnować, aby nie popełniła jakichś poważnych błędów, nie podjęła katastrofalnych decyzji. Wiem, co dla niej dobre. Tak jak wiedziałem, co jest dobre dla ciebie.

- Prosiła także, żebyśmy jej pozwolili bawić się u nas na balu ostatecznym.

- Niezły ma tupet - roześmiał się. - Będą sami znamienici goście.

- Właśnie dlatego tak bardzo chce przyjść.

- Zobaczymy.

- Bądź przygotowany na dąsy, kiedy się z nią następnym razem spotkamy.

- Jakoś to musi przeżyć - powiedział, osładzając groźbę uśmiechem. Zasympiał także z uśmiechem.

I z myślą: „Dzięki Bogu, na tym koniec”.

Burke zdecydował się na bibliotekę uniwersytecką, ponieważ czynna była dłużej niż publiczna, a on miał wiele do przejrzenia.

Godzinami przewijał mikrofilmy z Times Picayune. Parę lat temu w gazecie zamieszczono artykuł o naj słynniejszym w mieście adwokacie. Patrick Duvall pochodził z niższych warstw klasy średniej, ale rodzice pracowali ciężko, by zapewnić synowi wykształcenie w stosownych szkołach. Celował zarówno w sporcie, jak nauce. Dostał stypendium uniwersyteckie, studiował pilnie prawo i ukończył z pierwszą lokatą w swojej grupie. Terminował dziewięć lat w znanej firmie prawniczej, zanim dojrzał do założenia własnej.

Burke nie mógł się rozeznaczyć, co z tego było prawdą, a ile dodano, niemniej uznał, że artykuł w większości oparto na raktach, bo zbyt łatwo można by te wszystkie informacje zweryfikować. Wniosek sam się nasuwał: artykuł poświęcono prymusowi, który był zdecydowany wybić się ponad przeciętność klasy średniej i któremu rzeczywiście udało się tego dokonać.

Autor przedstawiał Duvalla jako filantropa, ani słowem nie wspominając o jego klubach i barach topless. Przytaczał też rozliczne opinie, które zebrał na temat naj szacowniejszego obywatela miasta w rozmaitych nieformalnych grupach i w kręgach zawodowych. A Burke cały czas pamiętał, ilu ludzi Duvall kazał wykończyć, wliczając w to ostatni przypadek: Raymonda Ilahna. Szacowny adwokat wiódł wygodne życie, grając na nosie przestrzegajacemu prawa ogółowi, który w zamian za to wychwalał go pod niebiosa.

I to go właśnie napędzało, wywnioskował Burke.

Duvall nie zajmował się handlem narkotykami wyłącznie dla pieniędzy; jego to rajcowało. Czuł,

że żyje. Prowadził grę i zwyciężał. Zabroniona prawem działalność pozwalała mu dowiedzieć swojej wyższości; nawet gdyby miał o tym wiedzieć tylko on sam.

O Pinkie Duvallu często pisywano na pierwszych stronach gazet. Jego nazwisko nieodmiennie pojawiała się na szpaltach kroniki towarzyskiej. Za to wzmianki czy fotografie jego żony trafiały się przedziwnie rzadko. Jeśli już było ją widać na przypadkowo zrobionym zdjęciu, stała zawsze w cieniu męża. Dosłownie w jego cieniu.

Nieśmiałość fotografa? Czy też po prostu nie było możliwe wypchnąć na plan dalszy kapturę tak spragnionego rozgłosu jak Pinkie, nawet jeśli się wyglądało olśniewająco?

Tak samo dziwne było, że prawie o niej nie pisano. Nigdy nie znalazła się w centrum uwagi dziennikarzy. Nigdy też nie przytaczano jej opinii. Może w ogóle nie miała zdania na żaden temat, może było tak głupie, że niewarte przytaczania w prasie, a może nigdy nawet jej nie zapytano, ponieważ wyryczał ją wygadany mąż, zawsze pod ręką, zawsze gotów powiedzieć reporterom coś efektownego...

Pan i pani Pinkie Duvall widnieli na wielu listach darczyńców na imprezach dobroczynnych, ale Remy Duvall nie miała swojego biura w żadnej fundacji, nie zasiadała w komitetach, nie pracowała w komisjach, nie celebrowała ani jednego balu dobroczynnego.

Remy Lambeth Duvall stanowiła zaprzeczenie osobowości własnego męża. Nie była nikim szczególnym.

Pinkie siedział, dopóki nie zamknęli biblioteki. Dosłownie zatrzasnęli za nim drzwi. Nagle zdał sobie sprawę, jaki jest głodny: zjadł dzisiaj tylko zjełczałego batonika i wlał w siebie tyle koktajlu bananowego, ile mógł znieść jego żołądek. Nie trzymał w domu jedzenia, w mniemaniu że zmniejszy w ten sposób populację karaluchów. Nie zdecydował się na pójście do restauracji. Pojechał do nocnego sklepu i kupił dwa hot dogi z mikrofalówki i big gulpa.

Odjechał spod sklepu, właściwie nie bardzo wiedząc, dokąd się udaje.

Ale już w drodze wiedział. Kiedy dotarł na miejsce, w domu było ciemno, świeciło się tylko w oknie na piętrze.

Parówki w hot dogach miały konsystencję gumy, a bułki były czerstwe, ale Burke żuł je mechanicznie i przełykał, nie czując smaku. Zastanawiał się, co pan i pani Duvall robią za zaciągniętymi żaluzjami.

Rozmawiają? Z tego, co wiedział i wyczytał, nie należała do gadatliwych. A może umiała prowadzić błyskotliwą konwersację tylko z mężem? Może jej opinie i wrażenia miały trafiać wyłącznie do jego uszu? Może zabawiała go wieczorami, rzucając cięte uwagi?

Aha, jasne, pomyślał szyderczo, zmiął opakowanie po hot dogach i rzucił je na podłogę samochodu. Zgoda, działała stymulująco na starego Pinkie, ale w regionach dalekich od jego umysłu.

Odbiło mu się kiepskim hot dogiem i splukał zły posmak haustem gazowanej coli.

Biedny Pinkie. Najwyraźniej omotała go ta dzidzia i żył w błogiej nieświadomości jej wyczynów z Bardem. A może nie. Może dzielił ją z klientami. Rodzaj dodatkowej grafiki.

Światło zgasło.

Burke nie przestawał wpatrywać się w ciemne okno. Zamknął oczy, usiłując powstrzymać wyraziste, natrętne obrazy, które cisnęły mu się pod powieki. Poczł kamień w żołądku. Przypisał to hot dogowi. Minęło pół godziny, zanim zapalił silnik i odjechał.

Było oczywiste, że Duvall dał się ogłupić żonie. Traktował ją jak najcenniejszy skarb. Ruby Bouchereaux powiedziała, że trzyma ją pod kluczem. Sam zresztą widział, jak pieczołowicie jest

chroniona i strzeżona.

Jaki stąd wniosek, Basile?

Uśmiechał się, wchodząc do swojego ponurego mieszkania.

Remy leżała nieruchomo, wsłuchując się w pochrapywanie męża. Zmówiła krótką modlitwę dziękczynną, że jej podstęp się powiódł. Odmówił prośbie Flarry, nawet nie podejrzewając, że właśnie tego chciała jego żona.

Nie po raz pierwszy użyła takiego chwytu, żeby nim manipulować. Przeważnie ją to zawodziło. Ale tym razem miała przewagę; wiedziała, jak niechętnie odniesie się do każdej osoby, która mogłaby im przeszkadzać i zajmować jej czas. A zwłaszcza do Flarry. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo kochała siostrę, i był zazdrosny o łączące je więzy.

Dziękuję ci, Boże, za jego zazdrość. Spraw, żeby dalej był zazdrosny. Uważaj, o co się modlisz.

I znowu, jak podczas tylu innych bezsennych nocy, napłynęły słowa siostry Beatrice, by ją prześladować. Rozumiała teraz, co stara zakonnica chciała jej przekazać. Czyż jako dziecko nie błagała Boga o życie wolne od ubóstwa i nadmiaru odpowiedzialności?

No więc, zostało jej to dane. Nigdy by się nie spodziewała, jak straszliwą przyjdzie jej zapłacić cenę za spełnienie naiwnych dziecięcych prośb.

Pinkie spał zadowolony, z ramieniem przerzuconym przez jej ciało. Wydało się jej, że jego ciężar ją zmiażdży.

Rozdział trzynasty

Toaleta dla mężczyzn była zbudowana z kwadratowych betonowych bloczków. Na jej wyposażenie składały się dwie zardzewiałe umywalki, trzy zapuszczone pisuary i wydzielona ubikacja, której drzwi wisiały krzywo na jednym zawiasie. Toaleta nie miała dachu, ale wnętrze, mimo że otwarte na świeże powietrze, cuchnęło straszliwie, od dawna nie czyszczone. Burke wstrzymał oddech i wszedł do środka.

Wewnątrz panował mrok, bo ktoś stłukł osadzoną w ścianie lampę. Prawdopodobnie nie powiadomiono o tym akcie wandalizmu służb porządkowych parku miejskiego. Niewielu bowiem trafiało się szaleńców gotowych pojawić się tutaj po zmierzchu, a jeśli już - lubili ciemności.

Oprócz niego we wnętrzu znajdował się tylko jeden mężczyzna. Stał przy pisuarze, odwrócony tyłem do wejścia. Wiedział, że ktoś wszedł, ale nawet nie zerknął przez ramię, słysząc coraz głośniejszy odgłos kroków.

Burke podszedł do sąsiedniego pisuaru. Mężczyzna obok skończył się załatwiać, ale stał dalej, nie zapinając rozporka. Skłonił głowę w kierunku Basile'a i z lekką nieśmiałością w głosie zauważył:

- Trochę upiorne miejsce.

- Cholernie upiorne - zgodził się Burke i zapiąwszy spodnie, odwrócił się twarzą do sąsiada. - Nigdy nie wiesz, kto tu na ciebie wyskoczy.

Gregory James zatoczył się na ścianę i zaczął mocować z rozporkiem.

- Basile... - jęknął.

- Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

- Cholernie.

- Czyli nie bardzo. - Burke złapał mężczyznę za szczupłe ramię i pociągnął w kierunku wyjścia.

George zaczął się wrywać.

- Nic nie zrobiłem. Nie możesz mnie aresztować.

- Powinienem cię zamknąć choćby za twoją głupotę. Skąd wiedziałeś, że to nie jakiś Kuba Rozpruwacz? Pewnego dnia będą musieli zeszkrobywać twoje szczątki do foliowej torby. Jeden fałszywy ruch, i źle wybrany facet posieka cię na kawałki.

- Nie nękać mnie, Basile - zaczął prosić młody człowiek. - Klnę się na Boga, że już dostałem wystarczającą nauczkę*

- A pewnie. I dlatego włóczysz się w ciemnościach nocy po publicznych toaletach w miejskim parku.

- Zwyczajnie zachciało mi się siusiu.

- Daruj sobie, Gregory. Kłamiesz jak najęty. Śledziłem cię i wiem, że szukasz rozrywki. I to bardzo intensywnie.

- Nieprawda! Już z tym skończyłem.

- Jak cholera. Chłopak, którego wczoraj nagabywałeś, wyglądał mi na nieletniego. Gdyby nie to, że zajmuję się czym innym, zasadziłbym się na ciebie i szybko miałbym harmonijkę zarzutów przeciwko tobie.

- O Jezu... - młody człowiek zaszlochał bez łez. - Jeśli mnie przymkniesz...

- Tym razem zamkną cię i wyrzucą klucz. Jesteś wyrzutkiem społeczeństwa, Gregory.

- Proszę cię, Basile - zaczął błagać młody człowiek, najwyraźniej przerażony - odpuść mi. Przecież oddałem wam pewne usługi. Przypomnij sobie, ile razy wam pomogłem.

- Żeby chronić własny tyłek.

- Proszę, Basile, odpuść mi.

Burke udawał, że się namyśla, a potem powiedział obcesowo: - Idziemy, chłoptasiu. Gregory zaczął lamentować.

- Zamknij się! - nakazał Burke, potrząsając nim. - Nie przymknę cię. Ale zabieram cię do domu i dopilnuję, żebyś przynajmniej przez resztę nocy nie zagrażał nikomu w okolicy.

Gregory dziękował mu wylewnie, gdy szli do samochodu.

Mieszkał sam, o parę przecznic od parku, w jednopiętrowym domu odnowionym według ostatniej mody. Dom i niewielki ogródek na tyłach były utrzymywane w nieskazielnym porządku, pomimo okresowych nieobecności właściciela, zmuszonego odsiadywać wyroki za przestępstwa seksualne.

Burke towarzyszył mu do oszklonych frontowych drzwi i wszedł razem z nim do holu.

- Nie musisz wchodzić - powiedział Gregory. - Dziś już nie wyjdę. Przysięgam.

- Wyniosłeś przecież dobre wychowanie z domu, Gregory. Powinieneś mi zaproponować filiżankę kawy czy coś w tym rodzaju.

Roztrzęsiony i najwyraźniej nie dowierzający jego intencjom, Gregory zgodził się pośpiesznie.

- Jasne. Oczywiście. Powiniennem sam na to wpaść. Bóg raczy wiedzieć, o czym ja myślę.

- Powiem ci o czym: jak się mnie pozbyć, że by znowu wyjść i spróbować jeszcze dzisiejszej nocy coś zaliczyć.

- Bardzo podejrzliwy z ciebie człowiek, Basile - stwierdził z łagodną naganą w głosie Gregory, prowadząc Burke do kuchni.

- Bo miałem do czynienia ze zbyt wieloma kłamliwymi kryminalistami w twoim rodzaju.

- Nie jestem kryminalistą*

- Och, nie? - Burke usiadł okrakiem na stołku przy barze kuchennym i obserwował, jak gospodarz uruchamia ekspres do kawy. - Sprawdźmy, czy mnie pamięć nie zawodzi. Przypominam sobie jakiś przypadek molestowania nieletniego.

- Miał szesnaście lat i zgodził się. Zarzut oddalono.

- Bo twój tatuś zapłacił rodzicom dzieciaka. Przypominam też sobie parę aresztowań za obnażanie się na widoku publicznym.

- To nie było nic poważnego. Wzięli mnie pod nadzór.

- Wy, pedały, sami się prosicie o kłopoty, wiesz o tym, Gregory?

- Jeśli będziesz mnie obrażał, złożę skargę o szykanowanie.

- Jak sobie życzysz. Zatelefonuję do tatusia i powiem mu, że wróciłeś do starych przyzwyczajień, a wtedy on przestanie płacić za to szykowne gniazdko, w którym cię zainstalował.

Gregory przygryzł wewnątrz policzka.

- Dobra, wygrałeś. Bydlak z ciebie, Basile.

- Już mi to mówiono.

Nie sprawiało mu przyjemności dręczenie Gregory'ego Jamesa, choć właściwie ów młody człowiek jakby sam się o to prosił. Klasyczny przypadek potomka bogatej rodziny, który nie dorósł do oczekiwań i nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Najstarszy z jego braci grał przez parę sezonów w pierwszej lidze baseballowej, a potem przejął zarząd nad rodzinnym imperium przemysłowym i dodał miliony do już zebranych bogactw. Średni został neurochirurgiem i cieszył się sławą światowej znakomitości w swojej dziedzinie.

Gregory przerwał pasmo rodzinnych sukcesów. Gdyby nie hojny dar ojca na rzecz uniwersytetu, w którym studiował, prawdopodobnie by go nie ukończył. Wstąpił potem do seminarium, ponieważ rada rodzinna ustaliła, że przyda się duchowny w rodzinie. Liczono, że zostanie co najmniej kardynałem.

Wytrzymał półtora roku, zanim wystąpił z seminarium, odkrywając, że jego seksualne skłonności zupełnie nie przystają do życia poświęconego religijnym obowiązkom. Żeby odsunąć od siebie źródło hańby, Jamesowie skazali go na zesłanie do Nowego Jorku, gdzie miał studiować aktorstwo.

I w tym wreszcie znalazł ucieczkę. Okazało się, że ma talent sceniczny i zdążył nawet zagrać w kilku przedstawieniach na Broadwayu, zanim go aresztowano za odgrywanie w budce telefonicznej na Pen Station aktu lubieżnego z innym mężczyzną. Bogaty tatuś zadziałał raz jeszcze i sprawę zdjęto z wokandy. Niemniej Gregory wrócił do domu owiany atmosferą skandalu.

Była to przysłowiowa ostatnia kropla dla Jamesów; stwierdzili, że umywają ręce od wszelkich spraw syna numer trzy, zdecydowali jednak dalej płacić rachunki za utrzymanie domu, w którym mieszkał. Burke doszedł do wniosku, że woleli raczej ponieść dodatkowe koszty niż pozwolić Gregory'emu mieszkać z nimi. Lepiej nie mieć na oczach rodzinnej zakały.

- Czy mam coś jeszcze podać? - zapytał Gregory, nalewając kawę. - Śmietankę, cukier, jakiś trunek?

- Nie, dzięki, wystarczy kawa. - Młody człowiek usiadł po drugiej stronie baru i Burke zobaczył, jak bardzo jego gospodarz jest zdenerwowany. - Coś ty taki podminowany, Gregory?

- Zupełnie nie rozumiem, po co do mnie przyszedłeś.

- Uznaj to za towarzyską wizytę. Sam przyznałeś, że znamy się nie od dzisiaj.

Gregory James był jednym z najcenniejszych informatorów Wydziału Narkotyków. Jako aktywny uczestnik nocnego życia w French Quarter chadzał tymi samymi ścieżkami co dealerzy narkotyków, choć sam nie był uzależniony. Chętnie udzielał informacji, licząc w zamian na pobłażliwość policji dla swoich występków.

- Mógłbyś być dla nas bardzo pożyteczny, gdybyśmy nie musieli cię zamykać do więzienia - stwierdził Burke, pociągając łyżeczkę kawy.

- Nazwałeś mnie kryminalistą. Uraziło mnie to, Basile - Gregory nie krył irytacji.

- Nie jestem kryminalistą*

- Tak? A kim?

- Pacjentem. Mam... mam problem.

- To pewne.

- Cierpię na poważne rozchwianie emocjonalne, które wzięło początek w moim dzieciństwie. Stosunki w naszej rodzinie były zakłócone. Zmuszano mnie wbrew mojej naturze do rywalizowania z braćmi. Okazali mi wiele okrucieństwa.

- Gregory, chwytasz mnie za serce.

- Ale to prawda! Psychiatra w więzieniu stwierdził, że mój problem jest natury psychologicznej.

- Coś podobnie jak z Tedem Bundym.

- To nie moja wina! - wykrzyknął młody człowiek. - To popęd, którego nie jestem w stanie kontrolować. Nic nie mogę poradzić na to, że... że czasami robię... to, co robię***

- Uhum. Niezwykle popularna linia obrony w dzisiejszych czasach. Bo mamusia kazała mi nosić białe skarpetki, a tatuś lubił dietetycznego doktora peppera. Więc zadźgałem ich oboje - szydził Burke. - Niedobrze mi, gdy patrzę na kogoś takiego jak ty. Jęczysz bez przerwy, obwiniając wszystkich, tylko nie siebie. Jesteś dorosłym człowiekiem, Gregory. Odpowiedzialnym za swoje czyny. - Nieoczekiwanie zerwał się na równe nogi i złapał za kołnierzyk koszuli gospodarza. - Zmieniłem zdanie. Idziesz ze mną.

- Nie! Nie, Basile! Proszę. Przecież obiecałeś.

- Ja?

- Tak.

- Nie przypominam sobie.

- Ale obiecałeś!

Burke puścił go po chwili i usiadł z powrotem na stołku.

Utkwił w Gregorym ciężkie spojrzenie i nie spuszczał z niego wzroku, aż tamten zaczął się wiercić niespokojnie na krześle. Patrzył bezradnie na Basile'a.

- O co chodzi?

- Tak sobie myślę... - Burke pociągnął łyżeczek kawy, wciąż nie spuszczać wzroku z młodego człowieka. Odstawiając liliżankę, powiedział: - Może bym przymknął oko na to, że widziałem cię z tym nieletnim wczoraj w nocy. Może bym zapomniał, że się do mnie przysuwałeś w parkowej toalecie dzisiaj w nocy. Może jeszcze raz puszczyć to płazem.

- Jeśli...?

- Jeśli oddasz mi małą przysługę. Wyraz twarzy Gregory'ego zmienił się.

- Jakiego rodzaju?

- Nie mogę ci powiedzieć, dopóki się nie zgodzisz.

- To nie fair.

- Cholernie nie fair. Na tym polega dowcip: zgadzasz się albo nie.

- Będę pracował z Macem McCuenem?

- A co? - mrugnął do niego Burke. - Zagiąłeś parol na Maca?

- Odczep się, Basile.

- Nie w tym życiu. Zauważyłem, że strzelasz do niego oczami, ale nawet jeśli oddałeś mu serce, zapomnij o nim. Ma seksowną żonusię, która uważa jego pałeczkę za czarodziejski Instrumencik. No, dobijamy targu czy nie? Bo oferta jest aktualna jeszcze tylko przez pół minuty.

- Jeśli powiem tak...

- Upiecze ci się i tym razem. Jeśli nie, jedziemy do miasta i przymykam cię.

- Na podstawie jakiego zarzutu?

- Nagabywanie o odbycie stosunku seksualnego w toalecie publicznej dla mężczyzn w parku miejskim. Dwadzieścia sekund.

- Nieprawda!

- Tylko dlatego, że nie dałem ci szansy.

- Czyli nie możesz mnie oskarżyć.

- Oczywiście, że mogę. Niby komu uwierzą? Tobie czy mnie?

- Szlag!

- Dziesięć sekund.

Gregory zanurzył palce w falujących czarnych włosach.

- Nie zostawiasz mi wyboru.

- Zostawiam. Możesz powiedzieć „nie”. Przecież nie musi być tym razem tak źle w więzieniu.

- Wiesz, co tam robią takim jak ja. - Gregory uniósł głowę i rzucił mu ostre spojrzenie.

Burke wiedział i nienawidził samego siebie za manipulowanie tym godnym pożałowania człowiekiem. Bo prywatnie uważał, że Gregory jest godny pożałowania. Ale jako glina pamiętał, że tamten kiedyś obnażył się na boisku przedszkolnym. Trudno było wykrzesać z siebie współczucie dla faceta, który wystawia się na widok dziecięcych oczu.

- Czas się skończył. No, to jak będzie?

- A jak myślisz? - zapytał Gregory z przygnębieniem.

- Świetnie. - Burke wstał i podszedł do ekspresu, żeby dolać sobie kawy. Wracając, poklepał Gregory'ego po ramieniu. - Nie miej takiej ponurej miny. To będzie pasjonujące zadanie. Zrobisz karierę*

- Jasne. Powiedz mi, Basile - zapytał Gregory, przyglądając mu się uważnie - jak, do diabła, dowiedziałeś się o tym wczorajszym facecie?

Prostoliniwnie postawione pytanie zasługiwało na uczciwą odpowiedź. Burke udzielił jej, patrząc Gregory'emu w oczy:

- Nie dowiedziałem się. Trafny domysł.

Kiedy tego ranka Burke zamknął drzwi mieszkania i odwrócił się w kierunku klatki schodowej, natknął się na pięść Barda.

Wylądował sromotnie na podłodze, a Bardo zaśmiewał się, stojąc nad nim. - Panuje opinia, że jesteś strasznym dupkiem, Basile. Zaczynam w nią wierzyć. Burke powoli podniósł się na nogi, szczeka mu się poruszała.

Niczego nie pragnął bardziej jak pochylić głowę i walnąć sukinsyna prosto w bebechy. Udałoby mu się pewnie wyprowadzić parę niezłych ciosów, ale ciekawość przeważała. Na razie postanowił odegrać się słownie.

- Przynajmniej nie chodzę ubrany jak ciota. Założę się, że ten, kto ci sprzedał tę szkarłatną koszulę, do tej pory chichocze z radości.

Uśmiech nie zniknął z twarzy Barda, ale Burke widział, że zniewaga go dotknęła. Odwzajemnił się sarkastycznym:

- Inteligentny docinek, Basile.

- Dzięki.

Burke nie zadał sobie trudu, żeby zapytać, jak go Bardo namierzył. Duvall dysponował bardziej skomplikowaną siatką detektywistyczną niż miejscowa policja, FBI czy jakakolwiek rządowa agentura - lokalna, stanowa lub federalna. Dlatego nigdy nie udowodniono mu niczego przed sądem. Istniał tylko jeden sposób, by powstrzymać Duvalla i jego maszynę, i Burke zamierzał z niego skorzystać.

Zaniepokoiło go, że wiedzą, gdzie mieszka. Musieli go pilnować. Czyżby się zorientowali, że śledził panią Duvall? Inaczej po co Bardo zjawiłby się tutaj tak wcześnie rano, taki radosny...

Jakby czytając w jego myślach, Bardo powiedział:

- Pan Duvall życzy sobie cię widzieć.

- Może mnie pocałować w dupę. Tak jak i ty.

- Świetnie. To lubię. - Bardo zrobił krok do przodu. - Zamierzasz mi utrudniać. Proszę bardzo. Z

prawdziwą rozkoszą wypruję z ciebie flaki i zostawię cię tu na klatce schodowej, żebyś się rozkładał w smrodzie.

Groźba nie przeraziła Burke, musiał się jednak zorientować, ile wiedzą.

- Prowadź - powiedział, wzruszając ramionami.

- Ty pierwszy - Bardo popchnął go ku schodom.

Burke stracił równowagę i zbiegł chwiejnie na parter. Kiedy wyszli przed dom, Bardo znów go popchnął w kierunku stojącego na ulicy najnowszego modelu cadillaca.

- Ty, Wayne, od kiedy to zdegradowali cię z nożownika do chłopca na posyłki? - zakpił Burke. - Duvall zabrał ci I woje sztyleciki?

- Zamknij się i trzymaj ręce na widoku.

- Nie jestem uzbrojony.

- Uważasz mnie za idiotę?

- Prawdę mówiąc, tak.

Doszli do samochodu. Bardo przesunął dłońmi po szwach spodni Basile'a. Nie znalazł niczego.

- A nie mówiłem? - powiedział Burke.

- Właż, ty przemądrzały dupku.

- Przyznaj, Wayne - Burke wyszczerzył zęby - założyłeś tenszkarłat, żeby mnie rozweselić.

Chciałeś mnie wprowadzić w lepszy nastrój.

Biuro Pinkie Duvalla było urządzone z taką samą ostentacją, jak jego dom, choć w zupełnie odmiennym stylu. Tutaj wszystko było nowoczesne i lśniące. Sekretarki i urzędniczki - długonogie i wspaniałe. Oczy klientów nie natrafiały na urządzenia biurowe, tylko na schludnie utrzymane powierzchnie z marmuru albo politurowanego drewna. Telefony nie dzwoniły - podzwaniały stłumionymi dzwoneczkami.

Pinkie siedział za biurkiem, kiedy sekretarka powiadomiła go, że przybył pan Basile. Przybył. Jakby nie doprowadzono go tutaj na siłę, jakby miał umówione spotkanie, jakby nie grożono mu naruszeniem nietykalności osobistej.

Duvall nie wstał na ich widok. Burke wiedział, że adwokat celowo okazuje mu lekceważenie: miał się poczuć jak plebejusz przed obliczem władcy.

- Dzień dobry, panie Basile.

- Dzień dobry, Duvall. - Mało oryginalne, ale niech też dostanie swoją porcję lekceważenia.

- Proszę usiąść. - Adwokat udał, że niczego nie zauważył. Burke usiadł na krześle naprzeciwko wielkiego jak stół do pingponga biurka. Stało na nim oprawione w rzeźbioną srebrną ramkę zdjęcie Remy Duvall. Burke udał, że nie zwróciło jego uwagi.

- Ma pan ochotę się czegoś napić? - spytał adwokat.

- Na przykład cykuty?

- Myślałem raczej o kawie - uśmiechnął się Pinkie.

- Nie mam na nic ochoty.

- Dziękuję, że pan przyszedł.

- Nie przyszedłem. Zostałem doprowadzony - odpowiedział Burke, opierając nogę w kostce na

kolanie drugiej nogi i obejrzał się przez ramię na Barda, który zajął miejsce na kanapie pod ścianą. Nie za bardzo podobało mu się, że siedzi odwrócony plecami do płatnego mordercy, z drugiej strony gdyby Duvall wysłał Barda dziś rano, żeby go sprzątnął, już dawno by nie żył.

Odwrócił się do Duvalla i wyraźnie wyczuł jego rozbawienie: adwokat czekał, żeby zapytał, czego, do cholery, ma dotyczyć to spotkanie. Ale Burke siedział jak skamieniały. Niby dlaczego miałby dawać Duvallowi satysfakcję, okazując ciekawość albo strach? To jego pomysł z tym spotkaniem. Do niego należy pierwszy krok.

Adwokat wytrzymał dłuższą chwilę, zanim się odezwał:

- Z pewnością zastanawia się pan, dlaczego chciałem się z panem zobaczyć. Burke wzruszył obojętnie ramionami.

- Dotarła do mnie zdumiewająca wiadomość - rzekł Duvall.

- Tak? Jaka?

- Że zrezygnował pan z pracy w policji.

- Miał pan zawsze fantastyczne źródła informacji.

- Pańska rezygnacja stanowi niepowetowaną stratę dla Wydziału Narkotyków.

- Wątpię*

- Jest pan zbyt skromny.

- I za bardzo zajęty, żeby tu siedzieć i pleść o czymś, co nie powinno pana obchodzić. Duvall i tym razem nie dał się sprowokować.

- Wcześniejsza emerytura?

- Może.

- Dlaczego pan oszedł?

- Nie pański interes.

- Co pan ma zamiar robić?

Burke z niedowierzaniem potrząsnął głową i rozłożył szeroko ramiona.

- Zmusza mnie pan, żebym się powtarzał.

- Sądzę - Duvall patrzył na niego uważnie - że złożył pan rezygnację, ponieważ wciąż czuje się rozczarowany wyrokiem w sprawie pana Barda. My wygraliśmy, pan przegrał i potraktował to jako osobistą klęskę. Czy słowo „cierpiętnik” dobrze przystaje do tej sytuacji, panie Basile?

- Podoba się panu ta myśl, prawda? Ależ by to podbudowało pańskie kolosalne wyobrażenie o sobie! Wiara że ma pan aż tak wielki wpływ na decyzje, które podejmuję. Cóż, muszę pana rozczarować, ale całkowicie się pan myli.

Uśmiech Duvalla świadczył, że rozszyfrował kłamstwo Burke. - Chciałby pan poznać cel tego spotkania?

- Nie muszę. Absolutnie mnie to nie interesuje.

- Skoro już nie стоимy po przeciwnych stronach, chciałbym panu zaproponować pracę w mojej organizacji.

Burke Basile nigdy nie miał nadmiernego poczucia humoru. Nigdy nie przebrał miary w dowcipach, nigdy nie stracił kontroli podczas ogólnej wesołości. Było powszechnie wiadomo, że raczej rzadko się uśmiecha. A jeszcze rzadziej wybucha śmiechem. Niespełnioną ambicją wielu jego kolegów było sprowokowanie go do wybuchu nieskrępowanej wesołości.

Toteż nie uwierzyliby w serdeczny śmiech, którym zaniósł się, gdy usłyszał absurdalną propozycję Duvalla.

- Może pan powtórzyć?

- Wyraziłem się chyba dostatecznie jasno. - Adwokat już zupełnie nie wyglądał na rozbawionego.

- Och, słyszałem, co pan powiedział. Po prostu nie mogę uwierzyć własnym uszom. Chce pan, żebym dla pana pracował. Co bym robił?

- Człowiek z pańskim doświadczeniem mógłby być dla mnie niezwykle cenny. Znacznie bardziej niż dla policji. - Sięgnął do szuflady biurka i wyciągnął plik spiętych ze sobą papierów. Podniósł plik tak, by Burke dobrze je widział. - Kopia pana zeznania podatkowego za ostatni rok. Zawstydzające, jakie nędzne grosze płaci społeczeństwo mężczyznom i kobietom powołanym, by je chronić.

Nie miał chyba zbyt wiele kłopotu z uzyskaniem tego zeznania. Mógł mu je przekazać ktokolwiek - od pracownika urzędu skarbowego zaczynając, na listonoszu kończąc. Burke nie dbał o to, że Duvall dowiedział się, jak dużo, a raczej jak mało zarabiał w policji. Zaniepokoiło go natomiast, że tak łatwo mógł go rozpracować. Miał wrażenie, że adwokat właśnie to chciał podkreślić.

- Nie jestem już gliniarzem, ale niech to pana nie zmyli, panie Duvall. Dalej pozostajemy po przeciwnych stronach barykady. A raczej na przeciwnych biegunach.

- Może pan poczeka z tym demonstrowaniem wysoce moralnej postawy, aż pan usłyszy, jaką pracę mam do zaproponowania?

- Nieważne, co to jest, ani ile pan płaci. Mimo całego tego nowoczesnego luksusu, którym się pan otacza - Burke obrzucił spojrzeniem wspaniale wyposażone biuro - jest pan wyrzutkiem społeczeństwa. Nie zadałbym sobie trudu, żeby pana obsikać, gdyby się pan palił, a co dopiero pracować dla pana. - Wstał i skierował się do drzwi.

Duvall kazał mu usiąść z powrotem. Bardo rzucił się w jego kierunku i zwarliby się ze sobą, gdyby Burke nie zastopował go ciosem w mostek.

- Spróbuj mnie raz jeszcze tknąć, a skręcę ci kark.

Ostrzeżenie zabrzmiało tak kategorycznie, że Bardo zastygł z ręką na piersi Burke i oczyma płonącymi nienawiścią.

Burke obejrzał się na Duvalla.

- Nie jestem zainteresowany tą pracą - powtórzył.

- Naprawdę? Bardzo dziwne. - Zupełnie nieporuszony adwokat splótł dłonie na blacie biurka. Uśmiechnął się nawet z pewną sympatią i powiedział łagodnie: - Bo mam powody mniemać, że jednak mogłoby cię to interesować. Przyznasz mi rację, Basile?

Popatrzyli na siebie. Dystans, który ich dzielił, skurczył się gwałtownie i Basile'owi zdawało się, że widzi swoje odbicie w oczach tamtego. Z czarnych źrenic patrzył na niego człowiek zaszczuty.

- Pieprz się, Duvall - powiedział, zdejmując rękę z piersi Barda.

- Powiem ci coś. - Duvall uśmiechnął się szerzej. Propozycja jest otwarta. Przemyśl to sobie i wróć tutaj.

- Aha. Zrobię to. Przyjdę. - Tylko nie tak, jakbyś się tego spodziewał, ty sprytny sukinsynu, dodał w myślach i spojrzał na Barda: - Nie widzę powodu, żebyś nachodził mnie w domu. - A w stronę Duvalla dorzucił: - Sam trafię do wyjścia.

Rozdział czternasty

Punktualnie o wpół do trzeciej po południu Remy Duvall weszła do kościoła. Spowiedzi słuchano wprawdzie między trzecią i piątą po południu, ale żonie tak hojnego darczyńcy, jakim był Duvall, wyświadczano grzeszność i mogła klęknąć przed konfesjonałem wcześniej. Pinkie tak to wszystko ustalił, że przed trzecią, gdy zaczynali przybywać inni parafianie, ona siedziała już bezpieczna w limuzynie w drodze do domu.

Errol zajął pozycję tuż przy drzwiach kościoła, skąd mógł obserwować Remy. Poszła boczną nawą i przyklękła, zanim usiadła w ławce. Wyjęła z torebki modlitewnik i zaczęła się modlić.

Skończyła odmawiać pacierze, ale nie podniosła głowy. Oczy miała przymknięte. Bardzo cenne były dla niej te pół godziny spędzane każdego dnia w kościele. Pinkie wyśmiewał ją, twierdząc, że przesadza z pobożnością, ale nie tylko z powodu wiary przychodziła regularnie się pomodlić. Przez te pół godziny była naprawdę sama.

Nawet jeśli zaszyła się w altance, zawsze krążyli wokół jacyś ludzie: zatrudnieni na stałe lub przychodzący na kilka godzin pracownicy, którzy wciąż mieli coś do roboty. Poślubiła Pinkie i nigdy nie była we własnym domu sama. Przedtem mieszkała razem z innymi dziewczętami w internacie Szkoły Błogosławionego Serca. A jeszcze przedtem dzieliła jedyny pokój z matką. Spędzała w nim samotne noce, gdy matka wychodziła do pracy. Ale była wtedy za młoda, by doceniać samotność, a poza tym przerażały ją hałasy dochodzące z ulicy i sąsiednich mieszkań.

We wnętrzu katedry wreszcie była sama i bezpieczna. Rozkoszowała się ciszą, spokojem. Uwielbiała patrzeć na zmienną mozaikę kolorów rzucanych przez witraże na ściany. Migotanie świec i cicha muzyka organów uspokajały. Cieszyła się czasem wolnym od czujnych, obserwujących oczu.

Dzisiaj prosiła Boga o mądrość i odwagę. Mądrość, żeby obmyślić plan, jak ochronić Flarę, i odwagę, żeby go zrealizować. Na razie siostra była bezpieczna w szkole i miało tak pozostać, dopóki jej nie ukończy. Co potem? Remy ufała w boską pomoc, mimo to nie przestawała się martwić.

Wreszcie poprosiła o przebaczenie, a raczej spróbowała poprosić, ale nie znalazła właściwych słów. Nawet przed samą sobą nie mogła wyznać grzechu, który tak ją nękał, że sprawiała na innych wrażenie chorej. Są grzechy zbyt straszne, by wyznać je przed Bogiem. Skoro ona sama sobie nie była w stanie wybaczyć, jak On mógłby zapomnieć?

Spojrzała w kierunku konfesjonału i zobaczyła zapalone światło. Ksiądz na nią czekał. Wstała z ławki.

- Pobłogosław mi, ojcze, ponieważ zgrzeszyłam. Ostatni raz byłam u spowiedzi tydzień temu.

Wyliczyła kilka pomniejszych przewinień, ale nie kończyła, zbierając się na odwagę, by wyznać Grzech. Nie chciała się tym dzielić z nikim, nawet z księdzem. Wyczuwała jego obecność po drugiej stronie kratki; czekał cierpliwie. Kaszlnął wreszcie cichutko, a potem odchrząknął.

- Czy jest coś jeszcze?

- Tak, ojciec.

- Więc wyznaj to.

Może odzyska choć trochę spokoju, jeśli powie. Ale na samą myśl o tym gardło jej się ścisnęło, a serce zaczęło ciężko bić. Łzy przesłoniły jej oczy. Przełknęła z trudem ślinę.

- Kilka miesięcy temu zaszłam w ciążę. Nie powiedziałam o tym mężowi.

- To grzech zatajenia prawdy.

- Wiem... - rozplakała się cichutko. - Ale... ale ja nie mogłam. Miałam sprzeczne uczucia, ojciec.

- Co do czego?

- Co do dziecka.

- Kościół zajmuje tu bardzo jasne stanowisko. Dziecko jest darem Boga. Nie chcesz mieć dziecka?

- Nie ma już dziecka - wyszeptala przez łzy, spuściwszy oczy na wielki diament na palcu lewej ręki. Łudziła się, że kiedy to wreszcie z siebie wyrzuci, poczucie winy się zmniejszy, ale nie doznała najłżejszej ulgi. Uczucie ucisku wzmoгло się, jakby serce za chwilę miało wyskoczyć jej z piersi. Z trudem chwytala powietrze. W konfesjonale slychać bylo jej krótki, urywany oddech.

- Wiesz także, co Kościół sądzi o aborcji.

- To nie była aborcja. Poroniłam w dziesiątym tygodniu. Rozmyślałam przez chwilę, a potem zapytałam:

- Więc w czym zgrzeszyłam?

- Ja to sprawiłam - głos jej się łamał. - Bóg mnie ukarał za niepewność i niewdzięczność.

- Znasz zamiary Boga?

- Chciałam dziecka... - Szlochając, przeciągnęła dłonią po brzuchu. - Kochałam je. Ale się bałam...

- Bałam? Czego?

Że Pinkie dotrzyma słowa i zmusi mnie do aborcji. Zbyt ohydne, żeby to wyznać nawet na spowiedzi. Pinkie po ślubie zapowiedział - jej dobitnie, że nie będzie miała dzieci. Koniec, kropka. Żadnej dyskusji. Temat zamknięty. Nie będzie miał żadnej konkurencji. Nie życzy sobie także, by straciła figurę, nawet na jakiś czas. Jeśli ma silną potrzebę nianczenia kogoś, może się opiekować nim; to przynajmniej nie zniekształci groteskowo jej ciała.

Nie powiedziała mu więc, kiedy antykoncepcja ją zawiodła i przypadkiem zaszła w ciążę. Bała się, że będzie należał na aborcję.

Ale równie mocno obawiała się, że nie będzie.

A jeśli dorósł do posiadania dziecka i zmienił zdanie? Jeśli myśli teraz już inaczej i z radością powita nowinę? Czy chciałaby, żeby jej dziecko wzrastało poddane wpływowi Pinkie?

Nie mogła rozstrzygnąć tego dylematu i nagle problem sam się rozwiązał. Owego przerażającego popołudnia, kiedy poczuła szarpiący ból w macicy, a po jej nogach popłynęła strużka krwi, zrozumiała, że tego właśnie życzyła sobie w głębi serca. Cud życia zaprzepaszczone przez jej tchórzostwo.

Ksiądz powtórzył pytanie.

- Piekła, ojciec. Bóg wiedział, że żywię sprzeczne uczucia co do swego dziecka, więc mi je zabrał.

- Zrobiłaś coś, co by mogło spowodować poronienie?

- Tylko we własnym sercu. Proszę, módl się za mnie, ojciec. - Wołając o zrozumienie i

wybaczenie, wyciągnęła bezwiednie rękę i przycisnęła ją do kratki konfesjonału, szlochając rozpaczliwie z pochyloną głową.

Nagle poczuła pod dłonią ciepło ludzkiego ciała, jakby ksiądz przyłożył rękę po przeciwnej stronie kratki. Przelotne doznanie, a kiedy podniosła głowę, na drewnianych listewkach rysowała się tylko jej dłoń.

Niemniej poczuła to dotknięcie, choć może nie było rzeczywiste. Spokój, którego pragnęła od miesięcy, rozlał się w jej duszy. Wina, kładąca się ciężarem na jej piersi, nie dławiła już tak mocno. Złapała kilka oczyszczających głębokich oddechów.

Ksiądz udzielił jej rozgrzeszenia, przemawiając spokojnym, pewnym głosem, i wymierzył pokutę - niezwykle umiarkowaną, wzięwszy pod uwagę ciężar grzechu, który popełniła. Nie sądziła, by ta pokuta go zmasała, ale to dopiero początek, pierwszy krok na drodze odkupienia.

Powoli opuściła rękę, otarła łzy z twarzy i wyszła z konfesjonału z cichym:

- Dziękuję ci, ojcze.

Burke pozostał w konfesjonale wypełnionym zapachem jej perfum.

Najwyższy czas się ruszyć. Nie może tu siedzieć, bo zara pojawi się prawdziwy ksiądz, żeby słuchać spowiedzi. Każda sekunda się liczy.

A jednak ociągał się z wyjściem. W maleńkiej zamkniętej przestrzeni konfesjonału dzielił coś w rodzaju specyficznej intymności z kobietą ze swoich fantazji, księżycową boginią z altany.

Z niewierną żoną Pinkie Duvalla, przypominał sobie. Wroga, którego poprzysiągł zniszczyć.

Ta myśl zaktywizowała go na tyle, że wreszcie zmusił się, by wstać. Wychodząc z konfesjonału, omiół spojrzeniem wnętrze świątyni, w nadziei, że jeszcze ją zobaczy, ale nie było jej w zasięgu wzroku. Popatrzył w kierunku drzwi. Ochroniarz, który towarzyszył jej także na French Market, zniknął. Musiała wyjść.

Wyciągnął chusteczkę z kieszeni czarnych spodni i wytarł pot z czoła, a potem znad górnej wargi, która wydała mu się dziwnie naga bez wąsów. Tego ranka, gdy skończył się golić, popatrzyła na niego z lustra obca twarz.

Wyszedł z kościoła bocznymi drzwiami. Gregory James czekał w samochodzie. Burke bez słowa usiadł za kierownicą i odjechał. Wnętrze auta wydało mu się koszmarnie gorące. 'Przełączył klimatyzację z grzania na chłodzenie i nastawił system na pełną moc. Czarna koszula przyłgnęła mu do pleców pod marynarką, koloratka drażniła. Szarpnął nią z irytacją*

- Nie poszło dobrze? - zapytał Gregory nerwowo.

- Znakomicie.

- Pani się pojawiła?

- Co do minuty.

Burke śledził Remy Duvall przez parę dni. Nigdy nie była sama. Albo przebywała w willi, zupełnie dla niego niedostępna, albo w towarzystwie męża lub ochroniarza. Zawsze miała kogoś u swojego boku. Samą można ją było zobaczyć tylko na modlitwie w kościele.

- Na modlitwie?! - wykrzyknął, kiedy Ruby Bouchereaux powiedziała mu, przy jakiej okazji widziała Remy Duvall.

Madame uniosła starannie umalowane brwi.

- A co pana tak zdumiało, panie Basile? To, że ona chodzi się modlić do kościoła czy że ja chodzę?

- Nie miałem na myśli nic złego - tłumaczył się zmieszany. - Ja tylko...

- Dajmy spokój. - Uniosła rękę na znak, że nie obraziło jej okazane zdumienie. - Często widywałam ją zatopioną w modlitwie. Nigdy nie zamieniłam z nią nawet słowa. Ani też nikt inny. Sprawia wrażenie szczerze pobożnej osoby i zawsze pierwsza podchodzi do konfesjonału.

Obserwował żonę Pinkie Duvalla w kościele przez kilka kolejnych dni, a kiedy upewnił się co do rzetelności informacji przekazanych przez Ruby Bouchereaux, powiedział sobie:

„Wspaniale”.

Czyż może być lepsza droga do poznania cudzych myśli i pragnień niż posłuchanie spowiedzi? Bierze narkotyki jak matka? Wyzna romans z Bardem? Jakie nikczemne grzechy może usłyszeć jej spowiednik i co z tego da się wykorzystać przeciwko jej mężowi?

Około soboty Burke powziął decyzję, że zasiądzie w konfesjonale i poczeka na jej spowiedź. Prosty, a zarazem znakomity plan. Miał tylko dwa wątpliwe punkty: trzeba było mówić jak duchowny i znaleźć się w konfesjonale, zanim się zjawi prawdziwy ksiądz.

Burke był u spowiedzi po raz ostatni przed pogrzebem matki i tylko po to, by uczcić jej pamięć. Zapomniał wielu formułek, ale jeśli kogoś od dzieciństwa wdrażano do odmawiania katolickich modlitw, nigdy ich tak do końca nie zapomina. Niemniej nawet gdyby udało mu się pomyślnie wykonać tę część planu, pozostawał problem, jak opóźnić przyście prawdziwego księdza.

Wtedy właśnie przyszło mu na myśl, aby posłużyć się Gregorem Jamesem, który uczył się zawodu i aktora, i księdza.

Teraz Gregory ponownie zapytał:

- Więc wszystko w porządku?

- Przerobiłeś to ze mną setki razy. - Burke przeklął jadącego powoli kierowcę, wyprzedzając go z rykiem silnika. - Powiedziałem ci już, że tak.

- Nie domyśliła się?

- Nie domyśliła się. - Żal w jej zniekształconym łzami głosie nie był udany, pomyślał.

- Bogu dzięki, że nie widziała tego ponurego grymasu na twojej twarzy. Księża rzadko robią taką minę.

- No więc nie widziała, odpręż się.

- Ja nie muszę. To ty ociekasz potem i prowadzisz jak wariat. - Co powiedziawszy, Gregory odchylił się na oparcie fotela i z uśmiechem zaczął wybijać palcami na kolanie rytm rozbrzmiewającej mu w głowie melodii. - Pięknie odegrałem swoją rolę. Zasadziłem się na księdza przed plebanią, tak jak mi mówiłeś. Powiedziałem, że próbuję złapać ojca Kevina, z którym studiowałem w seminarium. Nigdy o nim, oczywiście, nie słyszał. Spytałem go, czy jest tego pewny, bo ja doskonale pamiętam, jak jego matka mówiła, że skierowano go do parafii Świętego Michała w Nowym Orleanie... Te lekcje dykcji w Nowym Jorku naprawdę poprawiły moją południową wymowę - rzucił jakby na marginesie. - Na co odparł, że to całkiem prawdopodobne, nic akurat jesteśmy u Świętego Mateusza, i roześmieliśmy się obaj. Stwierdziłem, że taksówkarz musiał pomylić kościoły. Albo świętych”, powiedział i znowu się roześmieliśmy. Żeby go II'szcze trochę dłużej zatrzymać, spytałem, czy pochodzi z Nowego Orleanu. Odpowiedział, że jest tu od dziesięciu lat, ale zna parę dobrych restauracji. Nie żeby mógł sobie na nie pozwolić, pośpieszył zapewnić, że to niektórzy jego parafianie mogą i zapraszają go całkiem często. Paraparapapa. W ten sposób

Illarnowaliśmy z dziesięć minut. Wystarczyło?

- Z powodzeniem. Nie mógłbyś się na chwilę zamknąć? Nie miał ochoty gadać z Gregorem.

Chciał przeanalizować te kilka minut, kiedy siedział oddzielony od Remy Duvall, tylko cienką drewnianą ścianką z kratką pośrodku. Dość blisko, by czuć zapach perfum i słyszeć szlochy przerywające wyznanie grzechu, jakiego Burke się po niej nie spodziewał.

Narkotyki, pijaństwo, zdrada - nic z tego by go nie zaskoczyło. Ale poczucie winy, że poroniła? Tego nie oczekiwał i całkiem go to zbiło z tropu.

Nie przeszkodzi mu to jednak wykorzystać tego, co usłyszał, w walce z Duvalem. Wdychając zapach jej perfum, myślał o tym, jak to dobrze, że nigdy nie składał ślubów czystości, a jednocześnie zastanawiał się, jak przystało na policjanta, czy jej wyznanie pomoże mu w realizacji jego własnych zamiarów. W nagłym przypływie natchnienia - niekoniecznie zesłanego przez Boga - wymyślił pokutę, która zadośćuczyniła popełnionemu przez nią grzechowi i jednocześnie wspaniale pasowała do jego planów.

Nie poczuł się jednak z tego powodu szczęśliwy.

Żałował, że dowiedział się o stracie dziecka. To ją czyniło bardziej ludzką. Żałował, że dotknął przez kratkę jej ręki. To jego czyniło bardziej ludzkim.

- Słuchaj, Basile, prowadzisz jakieś badania nad religijnością, czy co?

Wyrwany z rozmyślań nieoczekiwanym pytaniem Gregory'ego, rzucił mu nieprzyjazne spojrzenie.

- Bo wiesz, twoje zachowanie jest co najmniej dziwne. Kiedy wyszedłeś z kościoła, miałeś minę, jakbyś tam zobaczył samego Pana Boga... No dobra, nieważne - powiedział, gdy Burke rzucił mu kolejne niechętnie spojrzenie. - To pewnie dlatego, że nie jestem przyzwyczajony do twojej twarzy bez wąsów i tych zaczesanych gładko do tyłu włosów. Rodzona matka by cię nie poznała. A jeszcze w tych okularkach...

Dopiero teraz Burke zorientował się, że wciąż ma na nosie okulary w prostokątnej oprawce. Zdjął je i rzucił na deskę rozdzielczą. Miały soczewki ze zwykłego szkła, ale i tak dziwne, że o nich zapomniał. Człowiek wystawia się na śmiertelne niebezpieczeństwo, przeocząc takie właśnie drobiazgi. Głina czy kryminalista - zawsze gubią cię drobiazgi.

Czas z tym skończyć, rozkazał sam sobie. Jeśli zacznie na nowo rozważać swoją decyzję, jego determinacja, by pomścić śmierć Kevina, może osłabnąć. A jest mu to potrzebne: jak powietrze. Albo przeprowadzi to, co uważa za swój obowiązek, albo zginie próbując. Prawa dłoń Burke zaciskała się rytmicznie i rozluźniała na kierownicy.

Dojechali wreszcie do domu Gregory'ego, Burke zatoczył tuk na podjeździe i wcisnął hamulec tak energicznie, że samochód zatrzymał się z szarpnięciem.

- Niechętnie, ale muszę przyznać, że było to ekscytujące - powiedział Gregory, kładąc rękę na klamce. - Do zobaczenia, Basile. Oczywiście, jeśli nie będę miał szczęścia...

Ku jego zdumieniu Burke także wysiadł i dołączył do niego na ścieżce prowadzącej do domu.

- Miło mi, że się dobrze bawiłeś. Tym bardziej że to jeszcze nie koniec zabawy, ojciec Gregory.

Rozdział piętnasty

Pinkie odkroił kawałek słabo wysmażonego befsztyka.

- Jak oni to nazwali?

Remy popatrzyła na krwistą strużkę sosu wyciekającą na jego talerz.

- „Dom dla Jenny”. Na pamiątkę trzyletniej dziewczynki, którą matka porzuciła. Dziecko umierało z głodu, kiedy je odnaleziono. Nie udało się jej uratować.

- Ależ to niewiarygodne! - wykrzyknęła Flarra. - Wśród Amerykanów, narodzie tłuściochów, którzy wydają fortuny na diety odchudzające, znaleziono zagłodzone na śmierć dziecko?

- Potworne, gdy o tym pomyśleć, prawda?

Remy rozmyślnie wybrała wieczór, kiedy spotkają się z Flarrą, żeby poruszyć ten temat z mężem. Wiedziała, że siostra stanie po jej stronie. Zawsze występowała przeciwko wszelkim przejawom niesprawiedliwości społecznej.

Pinkie obracał nóżkę kieliszka z merlotem.

- Ten ksiądz... ojciec...?

- Gregory - podpowiedziała Remy. - Zadzwoń, żeby zapytać, czy może się ze mną spotkać i porozmawiać o ich potrzebach.

- Czyli o pieniądzach. Skinęła zgodnie głową*

- Powiedział, że walczą o finanse na otwarcie i utrzymanie ośrodka.

- Tacy jak oni zawsze błagają o dotacje. Dlaczego nie jesz? - zapytał, pokazując na jej talerz.

- Nie jestem głodna.

- Straciłaś apetyt z powodu rozmowy o tej zagłodzonej małej. Moja żona, taka wrażliwa. - Sięgnął przez stół i pogłaskał ją po rękę. - Jeśli ma ci to polepszyć samopoczucie, każę sekretarce wysłać jutro czek dla ojca Gregory'ego.

- To nie wystarczy - stwierdziła, wysuwając dłoń spod jego dłoni. - Chciałabym się osobiście zaangażować.

- Nie masz czasu na takie rzeczy.

Uznał temat za wyczerpany i zabrał się znowu do jedzenia.

Ale Remy nie mogła dopuścić, żeby na tym się skończyło. Nie chodziło o zajęcie sobie czymś czasu. To wypływało z potrzeby duszy. „Może zaczniesz działać dla dobra innych dzieci”, powiedział spowiednik.

Wiadomość o Domu dla Jenny była jakby bezpośrednią odpowiedzią na jej modły. Prosiła, by dano jej możliwość pokuty, i oto objawiła się dzisiaj rano w postaci telefonu ojca Gregory'ego. Jeśli Bóg tego właśnie od niej żąda, nawet Pinkie Duvall nie może jej powstrzymać.

- Jest parę godzin w tygodniu, których nie mam czym zapełnić - rzuciła, starając się, by jej głos brzmiał obojętnie. - Myślę, że to na nią dobrze wpłynie, Pinkie - wtrąciła się Flarra. - Ostatnio była

taka przygnębiona.

- Nieprawda - zaprzeczyła Remy.

- Ty też zauważyłaś? - zwrócił się Pinkie do Flarry, ignorując protest żony. Skinęła energicznie głową, potrząsając czarnymi lokami.

- Od miesiący chodzi jak śnięta.

- Dziękuję - mruknęła Remy.

- No cóż, to fakt. Skoro nie uszło to ani mojej, ani mojego najulubieńszego szwagra uwagi, musi to być prawda. - Zatrzepotała rżęsami. - Mogłabym poprosić o trochę wina?

- Nie, nie mogłabyś - odpowiedziała za męża Remy.

- Jezu, żadnej publicznej szkoły, żadnych chłopców, żadnego wina. Równie dobrze mogłabym mieszkać na Marsie. - A siostra Beatrice mogłaby dostać ataku, gdybyśmy przywieźli cię do szkoły zawianą.

- Założę się, że siostra Beatrice lubi pociągnąć łyceczek po kryjomu. Możemy porozmawiać o ostatkach?

- Nie dzisiaj. - Pinkie do tej pory im nie przerywał. Remy niezbyt pewnie czuła się pod jego badawczym, utkwionym w niej wzrokiem. - O czym myślisz, Pinkie?

- O tym, że bardzo mi nie odpowiada pomysł, żeby moja żona ponizła się, zbierając datki.

- Jeszcze nawet nie wiem, co ojciec Gregory mi proponuje - przekonywała. - Może tylko chce uzyskać zgodę na umieszczenie naszego nazwiska na liście donatorów albo prosić, żebyśmy zachęcili przyjaciół do wpłacania pieniędzy. Jeśli się z nim nie spotkam, nie będę wiedziała, o co chodzi. Ale naprawdę chciałabym się w to zaangażować, a przynajmniej osobiście wręczyć mu nasz czek.

- Gdzie mają siedzibę?

- Właściwie tego nie powiedział. - Gdzie zaproponował spotkanie?

- Powiedział, że wybór miejsca należy do mnie.

- Dlaczego to jest dla ciebie takie ważne, Remy? - zapytał, postukując niecierpliwie palcem w kieliszek do wina.

Jej odpowiedź będzie miała decydujące znaczenie. Musi się spodobać mężowi, inaczej się nie zgodzi.

- Bo w życiu małej Jenny nie pojawił się na czas żaden Pinkie Duvall, żeby ją ochronić. Nie miała tyle szczęścia co ja i Flarra.

- Na samą myśl ciarki mnie przechodzą - dodała Flarra.

Pinkie, odprężony, dał znak Romanowi, żeby ponownie napełnił mu kieliszek.

- No dobrze, Remy, miej to swoje spotkanie. Tutaj, w domu. W ciągu dnia.

- Dziękuję, Pinkie.

- Ekstra - oświadczyła Flarra.

Ojciec Gregory odwiesił słuchawkę telefoniczną w budce i odwrócił się do Burke.

- Jutro po południu, u nich w domu.

W czasie poprzedniej rozmowy ojciec Gregory podał pani Duvall numer telefonu w męskiej toalecie jednego z klubów ze striptizem, którego jej mąż był współwłaścicielem. Wibrujące dźwięki instrumentów basowych dobiegały przez cienkie jak papier ściany.

- U nich w domu? - powtórzył Burke, pocierając kark. - Myślałem o spotkaniu w miejscu publicznym. - Ale nie mieliśmy tyle szczęścia - powiedział Gregory. - Tak że nic z tego. Musisz

zmienić plany. Po chwili zastanowienia Burke stwierdził:

- Właściwie teraz to może zagrać nawet lepiej. O której wyznaczyła spotkanie?

- Nie słyszałeś, co mówiłem, Basile?

- Słyszałem. Powiedziałeś: jutro, u nich w domu. A ja zapytałem: o której.

- To się nigdy nie uda.

- Uda się* Jeśli zachowasz zimną krew i zrobisz dokładnie to, co ci powiem, uda się.

- Pewnie myślisz sobie, że mnie znasz, Basile, ale to nieprawda. Jestem z natury tchórzem. W kryzysowej sytuacji zawsze myślę tylko o sobie.

- W porządku. Rzeczywiście pomyśl o sobie. Wyobraź sobie, jak zamykają cię do więzienia na długi, długi czas, jeśli nawalisz w krytycznej chwili albo puścisz parę z gęby i schrzanisz sprawę.

Gregory jęknął z rozpaczą.

- Obwinisz mnie, nawet jeśli coś pójdzie źle nie przeze mnie.

- Nie, przysięgam, że nie - zapewnił go Burke szczerze. - Jakkolwiek się to potoczy, wyjdiesz z tego wolny i czysty.

- Wolny i czysty? Z łap Pinkie Duvalla? - Gregory parsknął pogardliwie. - Mało się nie zesrałem, tylko dzwoniąc do jego domu. Pamiętam jeszcze z czasów szkolnych, jak moi starzy rozmawiali o nim przy obiedzie. Jest legendą, przerażającą legendą. Jeden z najbardziej wpływowych ludzi w mieście, o ile nie najpotężniejszy.

- Wiem o nim wszystko.

- No to i wiesz, że to przerażający człowiek. Krążą plotki, że zabija tych, którzy mu wejdą w drogę.

- To nie są plotki.

Gregory otworzył usta z niedowierzaniem.

- Mimo to spodziewasz się, że wejdę do jego domu, udając księdza, stanę przed jego żoną i wezmę od niej pieniądze?

- Chyba że wolisz iść do więzienia i zostać sympatią faceta o przezwisku Byk.

- Zgrane atu. Poszedłem z tobą do katedry i odegrałem swoją rolę* I to fantastycznie, muszę przyznać. To miało wyrównać nasze rachunki.

- Wcale tego nie twierdziłem - zaprzeczył Burke uprzejmym tonem. - Powiedziałem, że je wyrównasz, jeśli zgodzisz się odegrać rolę ojca Gregory'ego.

- Zrozumiałem, że mam się w niego wcielić tylko raz.

- No to źle zrozumiałeś. Jutro o której?

- Całkiem oszalałeś, Basile.

- Pewnie tak.

Miał rację. Jego plan był szalony. Dramatyczny, zgoda. Efektowny, z pewnością. Szalony - absolutnie.

Powziął go, gdy usłyszał wyznanie pani Duvall i przeanalizował wszystkie jego aspekty. Było cholernie prawdopodobne, że coś pójdzie nie tak, ale zabezpieczył się, jak mógł, przed niepowodzeniem. Zwolnił wynajmowane mieszkanie i przeniósł się pod fałszywym nazwiskiem w miejsce cieszące się równie złą sławą. Wymienił toyotę na starszy model. Jeżdżąc nowym samochodem, prawie nie spuszczał oka ze wstecznego lusterka. Odkąd to się zaczęło, miał się bezustannie na baczności.

Może Duvall odwołał swoje psy? Może go skreślił jako nieważnego pionka, gdy odtrącił ofertę

pracy dla niego? Może był zbyt pewny siebie, żeby obawiać się zemsty bezrobotnego gliny o zszarganej opinii? A nawet jeśli spodziewał się odwetu, to z pewnością krwawego.

I właśnie dlatego to mogło zagrać.

- Dlaczego jakiś inny glina nie może odegrać księdza? - skamlał Gregory. - Niby dlaczego jakiś tajniak nie może być ojcem Gregorym? - dopytywał się, pewien, że bierze udział w tajnej akcji policji.

- Bo jesteś lepszym aktorem niż ktokolwiek w wydziale.

- Rezygnuję. Nie chcę więcej odgrywać ojca Gregory'ego. Wolę więzienie, niż żeby Pinkie Duvall dobrał mi się do dupy. Burke pochylił się nad nim.

- Jeśli mnie teraz zawiedziesz, do twojej kościstej dupy będzie się dobierał z dziką rozkoszą każdy zboczeniec z okręgowego więzienia. Dopilnuję tego. - Młody człowiek stał przyparty plecami do poplamionej ściany męskiej toalety. Burke syknął przez zaciśnięte zęby: - Pytam ostatni pieprzony raz: jutro o której, ojciec Gregory?

- Spotkanie z panią to prawdziwa przyjemność, pani Duvall. - Gregory James uśmiechnął się rozbrajająco, wymieniając uścisk dłoni z gospodynią. - Dziękuję, że zgodziła się pani nas przyjąć.

Spojrzała ponad jego ramieniem na drugiego księdza.

- Ehem... to jest ojciec Kevin - wymamrotał Gregory Mój kolega i współzałożyciel Domu dla Jenny.

- To ja dziękuję obu ojcom, że zechcieli przyjść - powiedziała. - Czuję się zaszczycona, że znalazłam się na waszej liście.

Ogród zimowy, do którego zaprowadził ich kamerdyner, wychodził na trawnik na tyłach domu, skąd rozciągał się widok na altanę. Patrząc na nią Burke zauważył:

- Ma pani bardzo piękną posiadłość, pani Duvall.

Nie obawiał się, że rozpozna jego głos. W konfesjonale mówił stłumionym szeptem i kilka razy udał napad kaszlu. Na pewno też nie powiąże schludnego ojca Kevina ze zwyczajnie odzianym mężczyzną z wąsikami, w czapce do baseballu na głowie, który oddał jej zapomnianą torebkę z pomarańczą.

- Miło mi. Proszę, niech ojcowie siadają.

Usiedli jeden przy drugim na wiklinowej kanapie. Zajęła miejsce na krześle stojącym naprzeciwko i spytała, czy napiliby się kawy.

- Z przyjemnością - powiedział ojciec Gregory i uśmiechnął się do kamerdynera. - Bezkofeinową, proszę.

- Ja też poproszę - odezwał się Burke.

Kamerdyner wyszedł, zostawiając panią Duvall z księżmi. I ochroniarzem.

Szerokie barki Errola wystawały poza oparcie krzesła, wydawało się, że wiklinowe pręty naprężyły się pod jego ciężarem. Jego czarny garnitur zupełnie nie pasował do słonecznego, pełnego roślin pomieszczenia.

Wyglądał dziwnie nie na miejscu, flik mała przystrojona kwiatami.

Basile'owi drgnęło serce, gdy zobaczył znajomą twarz ochroniarza. Pani Duvall wprawdzie go nie rozpoznała, ale ten człowiek przecież był wyszkolony do specjalnej czujności. Burke uśmiechnął się do niego uprzejmie i lekko skinął głową. Osilek mruknął coś w odpowiedzi na powitanie, w jego oczach nie pojawił się najłżejszy błysk wskazujący, że rozpoznał gościa. Illkolek był jego

wynagrodzenie, Duvall stanowczo przeplacał.

Pani Duvall zwróciła się do niego po imieniu.

- Nie musisz zostawać. Na pewno znudzi cię ta rozmowa. Namyślał się przez chwilę, a zanim wstał, posłał każdemu z nich groźne ostrzegawcze spojrzenie.

- Dobrze. Będę stał zaraz przy drzwiach, jakby pani mnie potrzebowała.

- Zawsze taki jest? - zwrócił się do gospodyni oJciec Gregory, kiedy ochroniarz wyszedł. - Czy tylko czasami bywa nachmurzony?

Roześmiała się spontanicznie. Burke podziękował w duchu Gregory'emu za to, że ją rozluźnił. Jak do tej pory, wcielał się w rolę znakomicie. Gawędzili pogodnie z gospodynią, dopóki nie wrócił kamerdyner - ten nosił imię Roman - z wielką srebrną tacą. Ustawił ją na barku na kółkach i pani Duvall zaczęła ich osobiście częstować kawą i małymi ciasteczkami pokrytymi pastelowym lukrem. Ruchy miała płynne, niewymuszone, naturalne. Podnosiła ciężki srebrny dzbanek z równą gracją i lekkością, jak łyżeczkę do kawy, którą rozmieszała w filiżance odrobinę śmietanki.

- Nie mogę się doczekać, kiedy usłyszę coś więcej o Domu dla Jenny. Ojciec Gregory odchrząknął i przesunął się odrobinę na brzeg kanapy.

- Wpadłem na ten pomysł, kiedy...

Burke wyłączył się na czas, gdy Gregory z zaangażowaniem i swadą opowiadał o nie istniejącym schronisku dla bezdomnych dzieci. Udając, że bacznie przysłuchuje się każdemu słowu ojca Gregory'ego, przyglądał się twarzy Remy Duvall. Słuchała uważnie, reagując na słowa klucze, które Burke polecił Gregory'emu wpleść do opowiadania, tak jak przewidywali. Zadawała wnikliwe, inteligentne pytania. Kiedy Gregory przeszedł do fikcyjnej historii życia małej Jenny, łzy napłynęły jej do oczu.

- To naprawdę tragiczne.

Jej smutek wyglądał na tak szczery, że można było się poczuć paskudnie. Ale Burke natychmiast pomyślał o tym, jak poufale poczyniała sobie z Bardem w altanie. Kobieta, która z własnej woli zadawała się z Bardem, nie zasługiwała na współczucie.

Odstawił filiżankę na stół i wstał energicznie.

- Przepraszam, że przerywam, ojciec Gregory, ale muszę wyjść.

Gregory skręcił głowę tak gwałtownie, że aż chrupnęło mu w szyi. Spojrzał na Burke z wyraźną paniką. Tego nie było w scenariuszu. Burke celowo ominął tę część planu, żeby nie r>odsycić zdenerwowania młodego człowieka. Gregory odgrywał, jak do tej pory, swoją rolę tak swobodnie, że można go było zostawić z panią Duvall samego na tych kilka minut, których potrzebował.

- Łazienka jest tuż za schodami, przy wejściu - powiedziała gospodyni.

- Dziękuję*

- Może Errol ojcu pokaże?

- Nie, dziękuję, sam trafię.

Wyszedł swobodnym krokiem, ale ledwie zamknął za sobą drzwi, stanął w miejscu i rozejrzał się za ochroniarzem. Nie było go tuż przy wyjściu. Oglądał telewizję w przyległym pomieszczeniu. Siedział zwrócony plecami do drzwi. Najwyraźniej uznał, że ojcowie nie są groźni.

Burke wszedł do łazienki, zamknął za sobą drzwi, po chwili je otworzył i poszedł na górę, pokonując schody po dwa stopnie i krzywiąc się niemiłosiernie, gdy któryś z nich zatrzeszczał.

Pierwsze drzwi na piętrze prowadziły do małej łazienki. Po trzech sekundach już z niej wychodził z powrotem.

Ilu mogli mieć w domu służących? Nie było sposobu, żeby się tego dowiedzieć, ale lepiej założyć, że wielu. W każdej chwili mógł się nadziać na wojowniczo nastawionego faceta, który zażąda wyjaśnień, co też, do świętej anielki, święty ojczulek robi, węsząc po domu pani Duvall. Wrzawa zwabiłaby Errola, a Errol mógłby go zatrzymać do czasu powrotu chlebodawcy. Jutro leżałby już o tej porze na dnie zatoki jako smakowite danie dla drapieżnych ryb.

Otworzył drugie z rzędu drzwi i znalazł to, czego szukał: dużą sypialnię z oddzielnymi łazienkami i balkonem wychodzącym na frontowy trawnik. Nie znał się na antykach, ale każdy mebel w tym pokoju wyglądał na rzeczywiście stary. Forsa z narkotyków trafiała krętą drogą na ekskluzywną aukcję. Wysokie lustro w rogu odbiło obraz mężczyzny noszącego szaty duchowne i niepotrzebne mu okulary.

- Igrasz z ogniem, Basile - wymamrotał.

Zajrzał do pokoju, który najwyraźniej był garderobą gospodarza. Pokojówka musiała ją odwiedzić po wyjściu pana z domu; nic nie leżało na wierzchu.

W sypialni łatwo było rozpoznać, do kogo należą stoliki nocne. Pinkie e spał po lewej stronie łóżka. Na jego stoliku leżały okulary do czytania, egzemplarz Newsweeka i telefon bezprzewodowy. Burke sprawdził, czy da się ustalić numer, ale plastikowa osłonka na nazwę operatora była pusta. Prawdopodobnie prywatny, zastrzeżony numer.

Otworzył szufladę w nadziei, że znajdzie podręczny spis telefonów, notatnik, książeczkę czekową. Ale Pinkie był za sprytny, by trzymać w szufladzie nocnego stolika cokolwiek poza butelką maaloxu, długopisem, zapasowymi okularami i bloczkiem karteczek na notatki, na których nic nie zostało zaplansane.

Na stoliku pani Duvall leżał modlitewnik, stała czara z potpourri i kryształowa karafka na wodę, przykryta niewielkim, odwróconym dnem do góry kieliszkiem. W szufladzie papeteria. Nie było jednak notatnika z adresami. Do kogo pisywała?

Jak długo już go nie było w ogrodzie zimowym? Podejrzenie długo jak na to, że miał się tylko wysuszać? A jeśli w przerwie na reklamy Errol wetknął głowę do pomieszczenia i zobaczywszy jednego księdza, zapytał, gdzie się podział ten drugi?

Rusz się.

Wszedł do garderoby pani Duvall. Pokojówka nie zajrzała tu jeszcze, w każdym razie od czasu, gdy gospodyni przebierała się na spotkanie z ojcem Gregorym i ojcem Kevinem. Na wyściełanym atłasem stołku przed toaletką leżała bluzka. Burke podniósł ją i potarł palcami materiał. Jedwab. Położył ją z powrotem dokładnie tak, jak leżała przedtem.

Nacisnął miejsce, gdzie dostrzegł przerwę w lustrzanej ścianie nad półeczką, i część lustrzanej tafli uchyliła się, odsłaniając apteczkę. Szczoteczka do zębów, pasta do zębów, visine, stresstabs, qtips, tampony, aspiryna, pigułki antykoncepcyjne.

Zamknął szafkę i już się odwracał do wyjścia, gdy dostrzegł na marmurowej powierzchni toaletki delikatny pył talku. Puder do ciała stał w kryształowym okrągłym pojemniku ze srebrnym ozdobnym wieczkiem. Obok leżał wykwinny puszek. Podniósł go i powąchał. Znajomy, nie do pomylenia zapach. Przeciągnął koniuszkami palców po puszystej kuli, snując drażniące domysły, z jakimi cudownymi regionami się zetknęła.

Co, do diabła, wyrabiasz, Basile? Zjeżdżaj stąd, do cholery. Odłożył puszek na miejsce i wypadł z garderoby, jakby sam diabeł deptał mu po piętach. Nasłuchiwał chwilę. Za drzwiami sypialni panowała cisza, otworzył je więc i wyszedł na korytarz. Był w połowie schodów, gdy w holu na

dole pojawił się Erro!.

Rozdział szesnasty

Ochroniarz, który najwyraźniej zmierzał do łazienki, stanął jak wryty, kiedy zobaczył ojca Kevina zbiegającego po dwa stopnie ze schodów. Burke uśmiechnął się czarująco.

- Może się panu przydać, jeśli idzie pan do łazienki. - Rzucił w niego rolką papieru toaletowego. Errol, wciąż zdziwiony, złapał ją niezdarnie, przyciskając do piersi.

- Tutaj zabrakło papieru, musiałem więc skorzystać z tej toalety przy schodach na piętrze.

Ochroniarz otworzył drzwi łazienki i obrzucił spojrzeniem pojemnik na papier, z którego Burke zabrał świeżą rolkę, zanim poszedł na górę. Niósł ją ze sobą z powrotem, ale wyglądało to tak, jakby rzeczywiście znalazł ją w toalecie na górze.

- A tam doszedłem do wniosku, że założę ten papier tu, na dole. Człowiek nigdy nie wie, kiedy będzie musiał go użyć... - uśmiechnął się porozumiewawczo. - No, wie pan, zależy, jak pana przyprze.

- Taa... - powiedział Errol niepewnie. - Dzięki.

Burke skierował się ku drzwiom do ogrodu zimowego, ale nagle przystanął i odwrócił się, jakby właśnie wpadł na znakomity pomysł.

- Wie pan co, gdyby państwo Duvall zdecydowali się poprzeć ideę Domu dla lenny, może by pan także dał się namówić? Pomógłby pan nam zająć chłopców, organizował dla nich gry, takie rzeczy...

- Nie sądzę. Pani Duvall nie zostawia mi wiele wolnego czasu.

- No cóż, tak sobie tylko myślałem. - Burke odwrócił się i wreszcie wszedł do ogrodu zimowego, gdzie Gregory tokował w najlepsze.

- Ojciec Kevin i ja uważamy za niezwykle istotne, aby dzieciom przebywającym w schronisku przydzielać do wykonania jakieś codzienne obowiązki. Dzięki temu z pewnością będą się czuły bardziej jak w normalnym domu niż jak w instytucji dobroczynnej.

- Wspaniały pomysł, ojcze.

- Ojciec Kevin - Gregory popatrzył na Burke z wyraźną ulgą - i ja zgadzamy się co do tego, że wyrabianie w tych dzieciach poczucia odpowiedzialności i nagradzanie za drobne nawet osiągnięcia będzie pierwszym krokiem na drodze niwelowania negatywnych wpływów, jakim podlegały, a jednocześnie pozwoli na budowanie w nich poczucia własnej wartości.

Pani Duvall spojrzała na Basile'a, szukając potwierdzenia.

Skinął głową, ale w tej chwili potwierdziłby nawet teorię, że księżyc jest zrobiony ze śmietankowego sera. Cholernie trudno było wyglądać na świątobliwego księdza, jeśli przed chwilą trzymało się w ręce puszek, którym pudrowała ciało. Usiłował nie zerkać na krzyżyk zwisający z łańcuszka na jej piersi i toczył ciężką bitwę z własną podświadomością.

- Bóg błogosławił naszej wizycie, ojcze Kevinie. - Gregory uniósł czek na dziesięć tysięcy dolarów na rzecz Domu dla lenny.

- Jest pani niezwykle hojna, pani Duvall. Niech panią Bóg błogosławi.

- Niech Bóg błogosławi waszą misję, ojciec Kevinie.

- Nie możemy zajmować pani więcej czasu - powiedział Burke wstając.

- Oczywiście, nawet nie powinniśmy. - Gregory również podniósł się z miejsca. - Kiedy zacznę mówić o Domu dla Jenny, doprawdy, trudno mnie powstrzymać.

- Słuchałam z przyjemnością - stwierdziła. - Nie mogliby ojcowie zostać do powrotu mojego męża? Wiem, że chętnie by was zobaczył.

- Niestety, musimy uciekać - powiedział Gregory. - Mamy jeszcze parę telefonów do wykonania. Być może kiedy indziej.

- Jestem pewien, że chciałaby pani wiedzieć, jak postępują przygotowania. Proszę dzwonić, kiedy tylko pani sobie życzy. - Burke podał jej wizytówkę*

- Dziękuję, zadzwonię*

- A może sprawiłoby pani przyjemność, gdyby obejrzała pani nasze schronisko?

Propozycja odjęła mowę ojcu Gregory'emu. Wpatrywał się w ojca Kevina z ogłupiałą miną. Pani Duvall natomiast była wyraźnie zachwycona.

- Czy to możliwe?

- Nie.

- Oczywiście.

Obaj odpowiedzieli jednocześnie, ale Burke głośniej.

- Oczywiście, będzie jak sobie ojciec Kevin życzy - powiedział bojaźliwie Gregory. - Ja tylko myślałem, że zaczekamy z tym do oficjalnego otwarcia schroniska, kiedy wszystko będzie urządzone. Wie pani, wszyscy sponsorzy zostaliby zaproszeni razem - dodał niezręcznie.

- Jestem pewien, że pani Duvall wolałaby bardziej prywatną wizytę - powiedział Burke, patrząc jej głęboko w oczy.

- Nie oczekuję, by traktowano mnie w specjalny sposób - odparła - ale nie ukrywam, że z przyjemnością obserwowałabym postęp prac. Może mogłabym w czymś pomóc. - Pani dar stanowi dla nas już wystarczającą pomoc - pośpieszył zapewnić ojciec Gregory, a w jego głosie brzmiało lekkie zdenerwowanie.

- Życzliwa relacja mogłaby usposobić mojego męża do jeszcze hojniejszego daru. Burke uśmiechnął się*

- Czyli mamy jeden powód więcej przemawiający za pani prywatną wizytą. Proszę zadzwonić, kiedy będzie pani wygodnie. Będziemy do pani dyspozycji, gdy czas pani pozwoli.

Będziemy do dyspozycji, gdy czas pani pozwoli? Jezu, prędzej umrzemy...

- Skończysz wreszcie jójczyć? Głowa mnie rozboli.

- W co mnie wplątałeś, Basile? Nie podoba mi się to. Zgodziłem się oddać ci przysługę i wywiązałem się, tak? I to nie raz, a dwa razy, tak? Ale na tym koniec. Koniec! Brawa, brawa, kurtyna w dół. Światła gasną i wszyscy rozchodzą się do domów. Żadnych bisów. Odegrałem z tobą finałową scenę. Dostosowałem się do zmian w dialogu... I dokąd właściwie poszedłeś, kiedy cię nie było w pokoju?

- Wysikać się.

- Jasne. Ale ja myślę, że powęszyć. Mam rację?

- To jest właśnie jeden z twoich problemów, Gregory. Za dużo myślisz. Lepiej byś po prostu

brał, co życie niesie.

- Gdybym brał po prostu, co życie niesie, skończyłbym niesiony twarzą w dół przez fale królowej rzek, Missisipi. Może moje życie nie jest pasmem sukcesów, ale nie chciałbym jeszcze umierać. Skreślasz mnie z obsady. I to od zaraz.

Spierali się przez całą drogę do domu Gregory'ego. Burke pochylił się ku młodemu człowiekowi i otworzył drzwiczki po jego stronie.

- Idź do domu, usiądź z nogami do góry, wypij kieliszek lub dwa wina i spróbuj się uspokoić. Będę z tobą w kontakcie.

- Wycofuję się. Wy-co-fu-ję.

- Nie podają w więzieniu pinot noir do obiadu, Gregory.

- Przestań mnie straszyć tym więzieniem. Nic na mnie nie masz.

- Może nie dzisiaj. Ale daj mi tydzień albo dwa. Przyczepię się do ciebie jak rzep psiego ogona. Prędzej czy później ulegniesz temu neodpartemu impulsowi, którego, jak sam mówiłeś, nie jesteś w stanie kontrolować.

- Mój psychiatra i ja stale robimy postępy.

- Nie, on zwyczajnie robi pieniądze na kimś, kogo już dawno uznał za beznadziejny przypadek. Lukratywny przypadek, nic dziwnego, że się do ciebie przyssał.

Gregory zwiotczał na swoim siedzeniu.

- Jesteś łajdakiem, Basile.

- To już ustaliliśmy.

- Jesteś bardziej zdeprawowany niż ja. Dlatego trudno mi z tobą wygrać. Burke wyciągnął rękę, złapał Gregory'ego za włosy i obrócił twarzą do siebie.

- Słuchaj no, ty rozczulające się nad sobą zepsute zero. Wierz mi albo nie, być może przytrafia ci się najlepsza rzecz w całym twoim parszywym życiu. Wreszcie ktoś cię zmusza do tego, czego nigdy nie chciałeś. Daję ci szansę udowodnienia innym, że jesteś może jednak lepszy, niż myślą. Masz szansę stać się znowu mężczyzną.

Gregory przełknął łzy.

- Uczciwie mówiąc, Basile, nie sądzę, żebym nim kiedykolwiek był. Chciałbym, ale jak powiedziałaś: beznadziejny przypadek. Na twoim miejscu nie liczyłbym na kogoś takiego jak ja.

- Niestety, mogę liczyć tylko na ciebie - powiedział Burke niemal niegrzecznym tonem, puszczając jego włosy.

Gregory zastygł z jedną nogą opartą na chodniku. Po pewnym czasie powiedział:

- To nie jest akcja prowadzona przez policję.

- Nie - potwierdził Burke, patrząc mu prosto w oczy - nie jest. To moja osobista wendeta. Za przyjaciela, którego zabito w zeszłym roku.

- Domyślałem się czegoś takiego. Wielkie dzięki, że w końcu postawiłeś sprawę uczciwie.

- Och, drobiazg. - Burke odwrócił głowę i zapatrzył się w zaparowaną przednią szybę. Nie namyślał się długo. - Wybacz, Gregory - powiedział. - Nie powinienem cię w to wciągać. Okłamywałem cię i manipulowałem tobą na każdym kroku i rzeczywiście, jak to powiedziałaś, nie grałem fair. Mam zamiar zrobić coś szalonego i niebezpiecznego. Co do tego również miałaś rację. Pewnie byś w końcu wpadł w panikę i wszystko schrząnił, a w rezultacie zginął. Nie chcę mieć znowu czyjejś śmierci na sumieniu. Potrzebowałem twojej pomocy z tym księżowskim cyrkiem, ale teraz chyba powinienem się zmyć. Dziękuję, że mi pomogłeś.

- Jakby żegnając się z nim, dodał: - Nie chciałbym, żebyś całkiem spieprzył sobie życie, Gregory. Jeśli nie zmądrzejesz i znowu zapaskudzisz sobie konto, w końcu rzeczywiście dorwą cię i zamkną na ładnych parę lat. Pewnego dnia tatuś nie zdoła cię już wykupić, bo oskarżenie okaże się zbyt poważne, bulwersujące nie tylko dla zwykłych ludzi, ale i dla więźniów. Zgotują ci w więzieniu piekło, być może nawet zabiją. Myśl intensywnie o konsekwencjach następnym razem, gdy dopadnie cię ta neodparta potrzeba, zanim ją z kimś rozładujesz, zwłaszcza z dzieckiem. - Z szyderczym uśmiechem nakreślił znak krzyża. - Odejdź synu i nie grzesz więcej. - Położył rękę na dźwigni biegów i wrzucił wsteczny bieg.

- Poczekaj. - Na przystojnej twarzy Gregory'ego odbijało się niezdecydowanie. Przez chwilę żuł wnętrze policzka. - Mogę się wpakować w kłopoty? Ucierpieć fizycznie?

- Przysięgam ci, że będę się starał do tego nie dopuścić. Ale ryzyko istnieje, tak. Młody człowiek rozważał to jeszcze przez dłuższą chwilę.

Wreszcie westchnął.

- Pieprzę wszystko. Wchodzę w to. Więc w co jeszcze się pakuję?

Rozdział siedemnasty

- Jak to zniknął?

- Tak jak powiedziałem, Pinkie - odparł Bardo wzruszając ramionami. - Nikt go od tamtej pory nie widział. Poszedłem do tej rudery, gdzie mieszkał, i usłyszałem, że się wyprowadził. Przycisnąłem porządnie właściciela, ale przysięgał, że Basile po prostu zniknął w środku nocy. Wrzucił pieniądze i klucze do skrzynki na listy. W końcu to nie miejsce, gdzie goście zostawiają adres do przesyłania korespondencji... Zniknięcie w jego stylu. Jeden z naszych w policji węszy za nim. Twierdzi, że nie mieli o nim wiadomości, odkąd zwrócił odznakę*

- Powinieneś posłać kogoś, żeby go śledził.

- No tak, ale kto mógł przypuszczać.

Pozorne zniknięcie Basile'a zaniepokoiło Duvalla. Basile nie skwitował propozycji pracy, grzecznym: „Dziękuję, choć pochlebia mi pańska oferta”. Odmówił w sposób nie zostawiający żadnych możliwości dalszych negocjacji. Zdenerwowało to adwokata z dwóch powodów.

Po pierwsze, zezłościło go, że taki nikt, taki zwyczajny były glina ośmielił się odrzucić w obraźliwy sposób świetną propozycję. Pinkie wprawdzie po raz pierwszy usiłował wciągnąć Basile'a do narkotykowego biznesu, ale nie po raz pierwszy zarzucał na niego sieci. W końcu nie ma przecież lepszego sposobu na unieszkodliwienie wroga, jak przeciągnięcie go na swoją stronę.

Basile był wrogiem. Prawdziwym dla nich utrapieniem w Wydziale Narkotyków, ponieważ nastawał na szczegółowe rozpatrzenie każdej przeprowadzonej akcji, bez względu na to, czy zakończona była sukcesem, czy nie. Niezłomny rycerz, domagający się analizy błędów, szukający odpowiedzi „jak i dlaczego” przy każdej wpadce. Uosabiał nękający głos sumienia, przez co jego wydział był stosunkowo mało skorumpowany, choć, oczywiście, nie wolny od korupcji.

Sam wydawał się całkowicie nieprzekupny. Pinkie nasyłał na niego dostarczycieli wszelkiej maści pokus, próbując znaleźć słabe miejsce w jego moralnym pancerzu - bez skutku. Bukmacherzy, handlarze narkotyków, kobiety - wszyscy próbowali go zmiękczyć i nikomu się nie udało.

Przez lata całe Basile go nękał. Ustanowił siebie samowolnym generałem w krucjacie przeciw narkotykom i co gorsza, umiał zebrać wokół siebie niezłą drużynę. Po śmierci Kevina Stuarta zaczął traktować tę wojnę bardzo osobiście. Nie był w stanie się pogodzić z tą śmiercią i pomimo werdyktu sądowego nie uważał sprawy za zakończoną. Uznał, że nie Spocznie, dopóki nie pomści Stuarta. Wystąpienie z policji było tylko zasłoną dymną.

Ten ostatni fakt wiązał się z drugim powodem, dla którego Pinkie chciał skaptować Basile'a. Miał go dotąd pod stałą obserwacją. Dopóki Basile pracował w policji, wiedział o każdym jego ruchu. Teraz, gdy zniknął, nie wiadomo było ani gdzie się obraca, ani co zamierza. I to się adwokatowi Szczególnie nie podobało.

Człowiek nie dopracowuje się tak wysokiej pozycji jak Pinkie, nie zostawiając za sobą całej

armii wrogów po drodze. Nawet gdyby chciał, nie zliczyłby gróźb rzuconych przez te wszystkie lata pod jego adresem - gróźb realnych, które usiłowano spełnić. Drogo płacił za ochronę przed wszystkimi, którzy mogliby żywić do niego urazę. I czuł się bezpieczny. Niemniej był zbyt inteligentny, by sądzić, że jest całkowicie obroniony, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nikt, nawet prezydent państwa, nie jest nietykalny.

Burke Basile krążył gdzieś tutaj - rozchwierutane działo z zapalonym lontem, naładowane nienawiścią do Pinkie Duvalla. Byłby głupcem, gdyby to go ani trochę nie niepokoiło.

System, w którym Basile pokładał takie nadzieje, zawiódł go, IIgrał więc wszystkim na nosie i odszedł. Nie musiał się już trzymać przepisów prawa, skoro nie działał w ustanowionej przez prawo strukturze, a to go czyniło w dwójnasób niebezpiecznym.

Oczywiście Basile nie mógł mu zaszkodzić, sam nie doznając uszczerbku, ale słaba to była pociecha. Pytanie, do jakiego stopnia był szalony? Jak daleko gotów się posunąć, żeby się zemścić? Co miał do stracenia? Nie karierę przecież. Nie żonę i rodzinę. Żadnych dóbr materialnych. Nawet nie godność własną czy dobrą reputację, bo te już dostatecznie zszargały media.

To właśnie niepokoiło Pinkie najbardziej. Doświadczenie nauczyło go, że im mniej ma ktoś do stracenia, tym trudniej go zastraszyć.

- Chcę, żebyś go znalazł - powiedział do Barda z naciskiem.

- Co mam zrobić, jak go znaleźć?

Adwokat spojrział na niego wymownie. Bardo skinął głową, uśmiechając się krzywo.

- Z prawdziwą przyjemnością. Do drzwi zapukała sekretarka.

- Przepraszam, że przeszkadzam, panie Duvall, ale chciał pan zapoznać się z tymi informacjami, gdy tylko je zdobęde.

Adwokat zwolnił Barda, uznając, że doszli do porozumienia, i wziął od sekretarki raport dotyczący Domu dla Jenny. Kiedy wczoraj wrócił do domu, Remy wreszcie zaczęła się zachowywać jak dawniej. Była podniecona obrazem schroniska, który odmalował jej ojciec Gregory, i zaproszeniem, by je obejrzeć. Wydało mu się to nieszkodliwą rozrywką, zwłaszcza jeśli miało ją wyciągnąć z depresji.

Wypytał dokładnie Errola o przebieg wizyty i ze zdziwieniem dowiedział się, że na spotkanie przybyło dwóch księży. Starszy był bardziej rzeczowy, młodszy za to przystojny, ale, zdaniem Errola, homoseksualista. To właśnie on, ojciec Gregory, mówił niemal przez cały czas. Errol zapewnił, że siedział z nimi podczas całej wizyty i że obaj księża nie mówili o niczym innym, jak o schronisku dla dzieci.

Obracając w palcach wizytówkę, którą ksiądz wręczył Remy, Pinkie zapytał sekretarkę, czy dzwoniła pod umieszczony na mej numer.

- Tak, proszę pana. Odebrała kobieta.

- Jak się odezwała?

- Dom dla Jenny.

- Czyli to legalne przedsięwzięcie?

- Z pewnością, panie Duvall. Zapytałam, czy mogę mówić z ojcem Gregorym. Odparła, że niestety nie ma ani jego, ani ojca Kevina, ale chętnie przekaże wiadomość. - Sekretarka zaśmiała się*

- Myślała, że chcę im coś ofiarować. Opowiedziała mi o schronisku rzeczy, o które nie przyszłoby mi do głowy pytać. Nie zapisałam tego dosłownie, ale jeśli przejrzy pan mój raport, zobaczy pan, że notatki są dość szczegółowe.

- Świetna robota, Dixie. - Burke wyjął słuchawkę telefonu z ręki dziewczyny i odłożył ją na miejsce. Aparat wisiał w holu na piętrze czynszowego domu, w którym śmierdziało z rur.

- Warto było za czterdzieści dolców.

Zapłacił jej z góry, mimo to poszła za nim do pokoju, który wynajął tu na jeden dzień pod zmyślonym nazwiskiem. Wdrapała się na łóżko, wbijając w poplamioną pościel wysokie obcasy białych kozaczków na suwak. Kiedy się uśmiechała, widać było przylepioną do trzonowych zębów zieloną jabłkową gumę do żucia.

- Naprawdę myślisz, że mówiłam jak zakonnica?

- Mogłabyś nawet mnie wykiwać. Chcesz się napić?

- A pewnie.

Burke wyłowił z turystycznej lodówki puszkę - w pokojach nie było lodówek - i wręczył ją dziewczynie. - Jak powiedziałeś „napić”, myślałam..

- Nic z tego. Prawo zabrania cię częstować alkoholem.

Uznała to za szalenie zabawne. Oderwała kapsel na wierzchu puszki i siorbnęła wypływającej piany.

- Poważnie tak myślisz?

- To znaczy co?

- Że mówiłam jak zakonnica. Może ja się minęłam z powołaniem.

- Może.

- Ale jak się zastanowić, jestem kimś w rodzaju zakonnicy. Burke uniósł brwi na znak powątpiewania.

Podparła się na łokciu i biust o mało jej nie wypłynął z czarnej koronkowej bardotki, którą widać było pod rozpiętym dżinsowym żakietem.

- Mówię na serio.

- Zakonnice nie noszą czerwonych winylowych minispódniczek i nie używają duszących perfum, Dixie. Zapach gardenii miał być jej znakiem rozpoznawczym.

Klienci wyczuwali ją węchem - dosłownie. W niewielkim pokoju, w którym bez wątpienia zawarto tysiące cielesnych transakcji, unosił się słodkawy, ciężki, odrobinę mdlący zapach.

- Zakonnice służą facetom z ich branży. Co ja robię innego?

- Różnica polega chyba na sposobie, w jaki ty służysz.

- Cóż, pewnie tak, jeśli się chcesz wdawać w techniczne szczegóły... - siorbnęła napoju z puszki.

- Jesteś katolikiem, Basile?

- Wychowano mnie w tej wierze.

- Trudno sobie wyobrazić, jak się modlisz, i w ogóle tę całą resztę*

- Już dawno tego nie robiłem - powiedział pod nosem. Nie było trudno założyć, że Pinkie zechce się czegoś dowiedzieć o Domu dla Jenny, zwłaszcza gdy żona poprosi go o pozwolenie na odwiedzin w schronisku. Działając zgodnie z tym założeniem, Burke zamówił za dwadzieścia dolarów u przymierającego głodem plastyka projekt logo dla nie istniejącej fundacji na rzecz dzieci. Potem poszedł do samoobsługowego punktu i wydrukował sobie tuzin wizytówek z tymże logo i numerem telefonu wiszącego naprzeciwko pokoju, który wynajął. Właśnie jedną z tych wizytówek zostawił pani Duvall.

Rano, jeszcze przed spotkaniem, ruszył na poszukiwanie „sekretarki” i natknął się na Dixie. Była wykwalifikowaną prostytutką i znakomitą informatorką. Co do pierwszego, wierzył w tę opinię na

słowo, co do drugiego, sam wielokrotnie kupował u niej informacje i zawsze okazywały się warte swojej ceny. Pracowała na ulicy od trzynastego roku życia. Burke uważał za prawdziwy cud, że udało się jej osiągnąć zaawansowany wiek siedemnastu lat.

- Wiesz co? Ledwo cię poznałam dzisiaj rano - powiedziała obracając zimną puszkę na grubo umalowanych wargach. - Gdzie zgubiłeś wąsy?

- Zniknęły parę dni temu.

- Ale dlaczego?

- Tak mi wpadło do głowy.

- Pracujesz teraz jako tajniak?

- Można tak powiedzieć.

- Ta małpa, co dzwoniła, podobno pracuje w biurze u Duvalla. Co jest grane?

- Nie musisz wiedzieć.

- Jezu, Basile, z ciebie to trzeba wszystko wyciągać obcęgami.

- Chyba nie bardzo mam ochotę na rozmowę, Dixie. - Wyciągnął się na łóżku obok niej i podłożył sobie poduszkę pod głowę.

Przeturlała się natychmiast w jego stronę i przerzuciła udo przez jego nogi.

- Jak o mnie chodzi, w porządku, skarbie. Nie musimy rozmawiać.

Przesunęła ręką po jego piersi i zaczęła mu rozpinąć pasek u spodni. Nakrył jej dłoń swoją.

- Nie to miałem na myśli. Zarobiłaś już swoje czterdzieści doków, a ja nie mam zbyt okazałych funduszy. Zastanawiała się najwyżej sekundę. Przeciągnęła długim paznokciem po jego niedawno ogolonej górnej wardze.

- Co mi tam, do cholery, masz to gratis.

- Dzięki, ale nie dzisiaj.

- A to dlaczego? Masz być ostatnim wiernym żonatym mężczyzną?

- Już nie.

- Już niewierny?

- Już nieżonaty.

- No to co za problem? Daj spokój, Basile. Zadawałam się już z glinami. Z tuzinami glin. Podobno jesteś ostatni nie zdobyty, a ja mam opinię zdobywczyni. Możesz z ręką na sercu powiedzieć, że nigdy nie chciałeś mnie posunąć?

- Dixie, zwalasz z nóg - rzekł, uśmiechając się do niej. - Jestem pewien, że posuwanie cię to jedna z większych przyjemności. Ale mógłbym mieć córkę w twoim wieku.

- Co ma wiek do tego?

- Choćby to, że jestem zmęczony i muszę się przespać.

- W środku dnia?

- Późno się wczoraj położyłem.

- No to masz jeszcze jeden powód, żeby się rozerwać i zrelaksować. Sama wszystko zrobię. - Jej ręka powędrowała l, powrotem do sprzączki paska, a on znowu ją powstrzymał. - Nie tym razem.

Westchnęła z głębokim rozczarowaniem, wydechając powietrze o smaku jabłek.

- No dobra - powiedziała niechętnie. - Mogę tu przynajmniej poleżeć trochę z tobą i odpocząć?

Spojrzał na wydęte w grymasie niezadowolenia pomalowane różową szminką usta, na wylewający się z koronkowych miseczek biust.

- Nie sądzę, żebym ja odpoczął.

- Aha, to jednak się na mnie napalasz... - uśmiechnęła się figlarnie.

- Spływaj, Dixie. Daj mi się zdrzemnąć w spokoju. Odepchnął ją z czułością i Dixie zeskoczyła z łóżka.

- No dobra, przynajmniej nie można powiedzieć, że nie próbowałam. - Zatrzymała się przy drzwiach, z jedną ręką na klamce, drugą na biodrze. - Doigrasz się, jak będziesz się wpięprzał w sprawy Duvalla.

- Wiem.

- Nie ma za wielu porządnych facetów, Basile. Uważaj na siebie, dobrze?

- Ty też, Dixie.

Otworzyła drzwi i w tym samym momencie zaczął dzwonić telefon w holu. Basile wyskoczył z łóżka jak kamień z procy.

- Odbierz - powiedział do Dixie, popychając ją przez hol przed sobą. - Tak samo jak przedtem. Kiedy zdjęła słuchawkę po trzecim dzwonku, odezwała się zupełnie jak zawodowa sekretarka.

- Dzień dobry. Dom dla Jenny. - Słuchała przez chwilę. - Proszę zaczekać. - Zakryła dłonią mikrofon i wyszeptwała: - Ona chce mówić z ojcem Gregorym.

- Ona? Ta sama co przedtem?

- Nie, chyba nie.

- Powiedz, że nie ma ojca Gregory'ego i spytaj, czy życzy sobie mówić z ojcem Kevinem.

- I to ma być...?

- Ja.

Dixie popatrzyła na niego podejrzliwie, ale przekazała, co chciał. Po chwili podała mu słuchawkę.

- Dzień dobry, ojciec Kevin.

- Dzień dobry, tu Remy Duvall.

Przymknął na moment oczy. Jak do tej pory szło dobrze.

- Och, tak. Miło panią słyszeć, pani Duvall.

- Dziękuję. Czy zaproszenie do Domu dla Jenny jest nadal aktualne?

- Oczywiście. Kiedy możemy się pani spodziewać?

- Pojutrze? Po lunchu?

Pojutrze. Po lunchu. Niecałe dwie doby. Da radę przygotować wszystko do tej pory?

- Świetnie - usłyszał swój głos. - O trzeciej?

- Dobrze. Poda mi ojciec adres?

- Ehm... tak się składa, pani Duvall, że niełatwo tam trafić. Będzie prościej, jeśli zamiast udzielać pani wskazówek, pojedziemy z ojcem Gregorym i zawieziemy panią na miejsce. - Sama nie wiem...

Wyczuł, że się waha.

- Pani dar był jak odpowiedź z nieba na nasze modły.

Zrealizowaliśmy czek i kupiliśmy naprawdę niezbędny dla nas mikrobus. Chcielibyśmy się nim pochwalić. Dixie zawzięcie żuła gumę, patrząc na Burke na poły zdziwiona, na poły rozbawiona..

Cieszę się bardzo, że zrobili ojcowie z naszej darowizny dobry użytek - powiedziała Remy Duvall.

- Będziemy więc mogli po panią przyjechać?

- Cóż, myślę, że to się da zrobić. - I zaraz powtórzyła bardziej zdecydowanie: - Tak, proszę po nas przyjechać.

- Po nas?

- Mój... to znaczy Errol z nami pojedzie.

- Świetnie.

- W takim razie czekam o trzeciej, pojutrze.

Odwiesił słuchawkę, ale nie zdejmował z niej ręki. Stał nieruchomo, patrząc nie widzącym wzrokiem w przestrzeń, a jego umysł pracował jak oszalały. Dopiero po jakimś czasie zorientował się, że Dixie wciąż tu jest. Stała oparta o ścianę, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, i obserwowała go uważnie.

- Co z tobą, Basile?

- O co ci chodzi?

- Wyglądasz jak chłopak, który właśnie umówił się na randkę z królową piękności i nie wie, czy bardziej go to zachwyca, czy przeraża.

- Trudno by to nazwać randką, Dix - powiedział z roztargnieniem. Otrząsnął się z oszołomienia i podziękował jej raz jeszcze za pomoc. - Nic bym bez ciebie nie zrobił.

- A co zrobiłeś?

- Nieważne. - Zaczął się poklepywać niecierpliwie po kieszeniach, szukając czegoś do pisania. - Słuchaj, dam ci zaraz pewien adres i chciałbym, żebyś go nie wyrzucała. Idź ta, gdybyś musiała szukać jakiegoś bezpiecznego miejsca.

Znalazł w kieszeniach spodni stary rachunek ze sklepu i nabazgrał adres. Dixie ledwie rzuciła na kartkę okiem i schowała ją do kieszeni dzinsowej kurtki.

- Bezpieczne miejsce? A co miałyby mi się przytrafić?

- Nie bądź głupia. Takie jak ty dziewczyny nie żyją długo. - Postukał palcem kieszeń, do której wetknęła kawałek papieru. - Pamiętaj o tym.

Burke oparł głowę o zagłówek swojego nowego samochodu.

No, może nie takiego nowego, ale w każdym razie nie była to toyota. Choć z trudem, ale bronił się przed zamknięciem oczu. Bał się, że pokona go znużenie, zaśnie i przegapi coś ważnego.

Miał nadzieję, że po tych wszystkich trudnościach, jakie miał z jej umieszczeniem, cholerna pluskwa będzie jednak pracować.

Duvall prawdopodobnie kazał przeczesywać systematycznie dom w poszukiwaniu urządzeń podsłuchowych. Nie będzie wiedział, że to Basile przyczepił mały bezprzewodowy mikrofon pod nocnym stolikiem, z pewnością jednak weźmie pod uwagę jako podejrzanych dwóch księży.

Skomplikowany nowoczesny sprzęt był zbyt drogi na możliwości finansowe Burke, poprosił więc o przysługę policjanta, który zajmował się konserwacją urządzeń podsłuchowych. Kilka lat temu jego syn wplątał się w działalność w przestępczym gangu. Basile posłał drużynę, żeby zgarnęła go pod zarzutem posiadania narkotyków. Z błogosławieństwem ojca Basile przycisnęła chłopaka na tyle mocno, że, przestraszony, okazał się skłonny do dyskusji i w rezultacie poważnie się zmienił. Rodzina uważała, że jest winna Basile'owi dożygoną wdzięczność.

Urządzenie podsłuchowe zostało skonfiskowane kiedyś podczas jakiegoś nalotu; nikt się nim nie interesował, więc ojciec chłopaka „wypożyczył” je sobie. Wypróbowali je obaj z Basile'em; pracowało, choć jakoś nie była zachwycająca.

Od tamtej pory aż do dzisiejszego wieczoru nie miał możliwości ponownie go użyć. Obserwował sypialnię państwa domu przez półtorej godziny, ale okna pozostawały ciemne. Spojrzał na zegarek. Dwadzieścia po jedenastej, jak długo jeszcze wytrzyma? Był zmęczony. Musiał załatwić wiele spraw

od czasu porannej rozmowy z panią Duvall.

Ojcu Kevinowi nie robiono żadnych trudności w banku, kiedy pojechał zrealizować czek Duvalla. Zapłacił z tych pieniędzy niewygórowaną sumę za mikrobus, którego ofertę sprzedaży znalazł w odpowiedniej rubryce w dziale ogłoszeń codziennej gazety. Potem pojechał do warsztatu blacharskiego i zlecił lakiernikowi wykonanie ekspresowej pracy. Obiecali mu, że będą gotowi na jutrzejsze Popołudnie. Wrócił do wynajętego pokoju i wyciął z tektury szablon, z którego zamierzał skorzystać, malując logo Domu dla lenny na świeżo polakierowanych drzwiach furgonetki.

Obok przejechała cicho limuzyna.

Zanim się zorientował, że to limuzyna Duvalla, mógł już tylko oglądać tylne światła. Wstrzymał oddech i nie wypuścił powietrza, dopóki samochód nie zniknął w strzeżonej tylnej bramie posiadłości. Krótco potem zapaliły się światła w sypialni państwa domu.

Założył słuchawki i natychmiast rozległy się w nich głosy.

- w operze... usłyszał ją... i... forsa - mówił Duvall. Burke wyregulował głos w słuchawkach akurat na czas, by usłyszeć odpowiedź pani Duvall:

- ... dumni, że dostała się po pierwszym przesłuchaniu. Jest ich jedyną córką.

- Zanudziłem się na śmierć. Gorąco tutaj. Przykręć termostat.

Przez następne minuty w słuchawkach panowała cisza i wyobraził ich sobie w oddzielnych garderobach, przygotowujących się do snu. Znowu głos pani Duvall.

- Wyślę im jutro bilecik z podziękowaniami.

- Parę słów. Zdejmij z siebie to cholerstwo.

Światła przygasły. W słuchawkach rozległy się odgłosy układania się... Pinkie przysuwał się do nagiej żony, pieścił skórę upudrowaną perfumowanym talkiem ze szkatułki ze srebrnym wieczkiem...

Burke zamknął oczy.

- Wszyscy mężczyźni robili maślane oczy dziś wieczorem na widok mojej pięknej żony.

- Miło mi.

Nie ma co słuchać dalej, powiedział sobie Burke. Nie będą rozmawiali o potajemnych sprawkach Duvalla. Niczego się nie dowie, podsłuchując rozmowę o zupełnie prywatnym charakterze. I słuchał dalej.

- Przyłapałem starego Salleya na przyglądaniu się twoim cycuszkom. Zmiażdżyłem go wzrokiem i zaczerwienił się aż po cebulki swojego tupecik a - Duvall zaśmiał się z własnego dowcipu. - Przy deserze on i cała reszta używali serwet już tylko po to, żeby zasłonić erekcję.

- Nie mów tak.

- Dlaczego nie? To prawda.

- Nie wierzę.

- Ależ powinnaś, Remy. Kiedy mężczyzna patrzy na ciebie, może myśleć tylko o tych rzeczach. - Znowu szelest pościeli. - Sama zobacz. Zamruczała coś tak cicho, że mikrofon tego nie wyłapał.

Cokolwiek powiedziała, musiało to zadowolić jej męża, bo zachichotał, wyraźnie bardzo z siebie zadowolony.

- Wiesz, co z tym zrobić, kotusiu.

Chrząknął z zadowoleniem. Burke pochylał głowę i potarł mocno powieki. Po chwili, która wydała się Basile'owi długa jak wieczność, Duvall jęknął.

- Jezus, dziecinko, to mnie doprowadza do szaleństwa. Chodź tutaj... Co z tobą? Jak to, nie jesteś wilgotna? - Pozwól, że wstanę i coś na to poradzę.

- Nie warto. Podciągnij kolana... aha, tak. Dokładnie jak cię Pinkie uczył.

Burke odchylił głowę na zagłówek. Słuchał. Sprośności wypowiedzianych przez Duvalla, jego pomrukiwań i pojękiwań. Do końca. Dopóki Duvall nie eksplodował, wykrzykując wśród ciężkich oddechów.

Potem w słuchawkach rozlegał się tylko cichy poszum charakterystyczny dla pracujących urządzeń elektronicznych. Wsłuchiwał się w niego przez dobrych kilka minut. Rozbolała go żuchwa i wtedy zorientował się, że ma zaciśnięte zęby. Trzymał tak mocno kierownicę, że palce mu pobieleły. Odgiął je powoli. Zdjął słuchawki i z irytacją cisnął na puste siedzenie obok. Otarł rękawem spocone czoło.

Uruchomił wreszcie samochód i odjechał.

Rozdział osiemnasty

Burke zostawił świeżo polakierowany mikrobusik przy nieczynnej hurtowni, mając nadzieję, że jutro rano zostanie go nietknięty w tym samym miejscu. Zanim skręcił za róg, obejrzał się jeszcze i stwierdził, że rysunek zrobiony przez szablon wygląda jak trzeba. Logo Domu dla Jenny było z tej odległości ledwie widoczne. Sprawiało wrażenie roboty amatora, o co mu właśnie chodziło.

Szedł chodnikiem pogrążony w myślach i zauważył Maca McCuena, dopiero kiedy tamten zagroził mu drogę.

- Burke! Jezus Maria, człowieku, szukam cię po całym mieście.

Burke jęknął w duchu. Ostatnia rzecz, która mu potrzebna, to pogawędka z Macem dla zabicia czasu. Zmusił się do uśmiechu i zrobił minę, jakby był zadowolony ze spotkania.

- Cześć, Mac. Co słychać?

- Ledwo cię poznałem. Co z twoimi włosami? I gdzie się podziały wąsy?

- Ostatni raz widziałem je w umywalce.

- Trochę potrwa, zanim się przyzwyczaję. - Mac zmienił ton na oskarżający i spytał, co też Burke ostatnio wyrabia.

- Nic takiego. Jak mnie znalazłeś?

- Całkiem łatwo. Zacząłem o ciebie rozpytywać parę dni temu, ale nikt nie wiedział, gdzie jesteś. Albo nie chciał powiedzieć. Wtedy pomyślałem o Dixie. Przypomniała sobie, że cię widziała.

- Ile cię to kosztowało?

- Dziesiątka.

- Zapłaciłem dwadzieścia, żeby sobie nie przypomiała.

- Cóż - powiedział Mac, wzruszając filozoficznie ramionami - wiesz, jakie są dziwki.

Tak, wiedział, jakie są dziwki. Niektóre sprzedadzą przyjaciela za dziesięć dolarów, inne puszcza się za limuzyny i wille.

Wiedząc, że nie będzie mu łatwo pozbyć się Maca, przejął pałeczkę i zaproponował, że postawi mu piwo. Ku jego zdziwieniu, odmówił.

- Akurat się śpieszę. Ale szukałem cię, bo chcę cię zaprosić na kolację. Dzisiaj wieczorem. Coś w rodzaju pożegnalnego przyjęcia.

Trudno było wymyślić gorszy powód.

- Doceniam twoje intencje, Mac, ale dziękuję*

- Uspokój się. Nie będzie pochowanych za meblami dziesiątków ludzi, którzy wychyną, kiedy się pojawisz, z okrzykiem:

„Niespodzianka!”. Nic w tym stylu. Tylko ja, ty i Toni. Lubi gotować.

- Brzmi zachęcająco, ale...

Mac nie zamierzał tak łatwo dać za wygraną* Dźgnął Basile'a wskazującym palcem w pierś.

- Nie przyjmuję do wiadomości żadnego „nie”. Założę się o pięć dolców, że nie masz innych planów na dzisiaj. Masz przyjść. O siódmej. Wiesz, gdzie mieszkam? Zapisalem adres na odwrocie.
- Wcisnął mu na siłę wizytówkę służbową do ręki.

Dość dziwne zachowanie, nawet jak na faceta energicznego i entuzjastycznie nastawionego do życia. Burke złapał McCuena za rękaw, zanim zdążył się odwrócić.

- Nigdy przedtem mnie do siebie nie zapraszałeś, Mac. O co chodzi?

- O twoją przyszłość.

Burke pokręcił z niedowierzaniem głową, a McCuen powtórzył:

- Dziś wieczorem. - Uwolnił rękę i odszedł energicznym krokiem.

Burke odwrócił wizytówkę i przeczytał to, co było na niej napisane, a nie była to bynajmniej nazwa ulicy, przy której mieszkał Mac.

Był u McCuena tylko raz, kiedy podrzucił go do domu po pracy. Mac nie wziął samochodu, a nie chciał fatygować żony, naraził więc na fatywę jego.

Wtedy było całkiem ciemno i Burke nie przyjrzał się okolicy. Teraz zmierzch ledwie zapadał i zdumiało go, w jak dobrych warunkach McCuenowie mieszkają, w znacznie zamożniejszym niż on i Barbara czy Stuartowie otoczeniu. Domy stały od siebie w całkiem sporej odległości, oddzielone równo przyciętymi żywopłotami i wypielegnowanymi trawnikami. Na podjazdach najnowsze modele drogich samochodów.

Mac otworzył drzwi frontowe, zanim Burke zdążył do nich podejść.

- Cieszę się, że przyszedłeś, Burke. Poznaj moją żonę. - Uśmiechając się, ściskając mu rękę i poklepując po ramieniu, Mac wprowadził go do przestronnego holu. Nie zachowywał się dziwnie, zniknęła pewna nerwowość, z jaką go powitał, gdy się spotkali na ulicy.

Burke wręczył mu pojemnik z sześcioma puszkami importowanego piwa, a jego żonie bukiet kwiatów.

Była drobną blondynką, rzeczywiście ładną; mąż mógł się nią przechwalać. Podziękowała za kwiaty przesłodzoną głosem, z zaśpiewem charakterystycznym dla osób pochodzących z Południa.

- Tak się cieszę, że wreszcie mogę cię poznać. Burke Basile, chodząca legenda, według słów Maca.

- O mój Boże. Bardzo mi przyjemnie, Toni.

- Przepiękny wieczór. Może zasiądziecie z piwem na tarasie? Powiem wam, kiedy kolacja będzie gotowa. Nie powinno to potrwać długo.

Wyszli na zewnątrz i Mac pokazał Burke, gdzie planują wybudowanie basenu.

- Dałem Toni do wyboru: basen albo dziecko. Wybrała hasen. - Puścił oko. - Oczywiście, staram się wytrwale ją dopaść. Stawiam dziesięć do jednego, że zajdzie w ciążę, zanim basen będzie gotowy, ale co mi tam, do cholery.

Meble ogrodowe nie wyglądały na tanie i tandetne, kupione w nadziei, że wytrzymają chociaż jeden sezon. Zestaw do grilla sprawiał wrażenie rollsa wśród urządzeń ogrodowych. Burke doszedł do wniosku, że albo żyją ponad stan, biorąc kredyty, albo żona wniosła McCuenowi pokaźny posag w wianie, albo też on sam zasila kasę domową pokaźnymi sumami pochodzącymi z hazardu. Jedno było pewne: nie mogliby sobie żyć tak fajnie z pensji gliniarza.

Po znakomitej kolacji, na którą podała polędwiczkę wieprzową z różnymi dodatkami, Toni przegoniła ich w czarujący sposób z jadalni, żeby ją trochę uporządkować.

- Nie będzie ci za zimno na dworze? - zapytał Mac.

- Ani trochę.

Wrócili na taras z brandy i cygarami i przez chwilę rozkoszowali się w milczeniu jednym i drugim. Burke czekał, aż Mac rozpocznie rozmowę, najwyraźniej zaaranżowaną tak, by nie doszła do uszu jego żony. Nie zamierzał pytać, co miała znaczyć tajemnicza wzmianka o jego przyszłości, ani wypisane na odwrocie wizytówki ostrzeżenie: „Pilnuj się. Obserwuj”. To Mac uparł się wydać przyjęcie i zabawić gościa.

- Dlaczego oszczędłeś, Burke? - napłynęło z ciemności pytanie gospodarza. - Tylko nie opowiadaj mi pierdoł, że się wypaliłeś.

- To nie pierdoły. Odkąd zginął Kev, nie mam już do tego serca.

- Nie podobało ci się, gdy wskoczyłem na miejsce sierżanta Stuarta i przejąłem dowodzenie jego drużyną. Nie musisz odpowiadać - powiedział Mac szybko, widząc, że Burke chce zaprzeczyć. - Wiedziałem, że ci się to nie spodoba. Rozumiem to, co was łączyło.

- Mówisz, jakbyśmy byli kochankami. Mac zdusił śmiech.

- Wiem, że to było głębsze. Wiem też, jak ciężko przeżyłeś jego śmierć.

Basile' owi nie przyszła jakoś do głowy żadna sensowna odpowiedź, więc zmilczał. Nie miał zamiaru rozmawiać z Makiem o swoich naj skrytszych uczuciach, po pierwsze dlatego, że zachowywał je wyłącznie dla siebie, po drugie dlatego, że nie do końca mu ufał.

Nie miał zresztą po temu żadnego konkretnego powodu.

Wyłącznie wrażenie, że Mac pokrywa błyskotliwością i demonstracyjną przyjaznością jakieś ciemne rysy charakteru. Lepiej więc było zachować wobec niego ostrożność do czasu, aż przekona się, co to takiego.

- Chcę tylko powiedzieć - ciągnął gospodarz - że według mnie nie powinieneś odchodzić z powodu tego, co się przytrafiło Stuartowi.

- To nie jedyna przyczyna.

- Wiem, że rozstaliście się z żoną.

- Wieści szybko się rozchodzą.

- Zwłaszcza jeśli dotyczą legendarnych związków. Burke zaklął.

- Już drugi raz dzisiaj wieczór słyszę te bzdury. Zatrzymaj je dla siebie i przestań mnie wkurzać. Nie jestem żadną pieprzoną legendą.

Mac roześmiał się, ale zabrzmiało to odrobinę fałszywie.

Pochylił się, oparł łokcie na kolanach i zapatrzył w żarzący koniuszek cygara.

- Czy Kev był jedynym, Burke?

- Jedynym czym?

Mac uniósł głowę i spojrzał mu prosto w oczy.

- Źródłem przecieków w naszym wydziale.

Nie mógłby wprowadzić Burke w większe osłupienie, nawet gdyby mu zaproponował spędzenie nocy na miłosnych igraszkach ze swoją ponętą żoną. Po chwili szok przerodził się w gmew.

- Naprawdę tak myślisz?

- Nie ja. Powtarzam, co ludzie mówią.

- Jacy ludzie?

- No wiesz, ludzie - odparł, wruszając ramionami. - Wydział Wewnętrzny też chciał znać odpowiedzi na parę pytań.

Ci z kontroli wewnętrznej zainteresowali się sprawą? Czy to znaczy, że wreszcie wszczęli

dochodzenie, o które dotąd toczył boje? Zanudzał wszystkich, od Douga Patouta po komisarza, domagając się ściśle tajnego dochodzenia, które by prowadzono aż do wykrycia i unieszkodliwienia informatora. Cóż za Ironia losu, że podejrzewali właśnie Keva...

- Część chłopaków... ale nie ja - zapewnił pośpiesznie. - Więc... niektórzy spekulowali, że może odkryłeś zdradę Keva i kiedy nadarzyła się okazja, wystawiłeś go i załatwiłeś. Czy tak to się odbyło?

- Nie - odpowiedział Burke krótko.

- Albo... - Mac urwał.

- No, gadaj, Mac - ponaglił go Burke. - Jakie to jeszcze snuli spekulacje?

- Że to ty sam.

Burke na pozór nie zareagował, ale Mac musiał wyczuć emanujące od niego napięcie, i obawiając się wybuchu wściekłości, zaczął mówić z takim pośpiechem, że ledwie starczało mu tchu.

- Spójrz na to ich oczami, Basile. Daliśmy im niezłego łupnia, robiąc w jakiś czas potem kolejny nalot.

- Czytałem o tym. Moje gratulacje.

- Mogło więc wyglądać...

- ... na co najmniej mocno podejrzane, że gdy odszedłem, wszystko tak się od razu odmieniło na lepsze, niemal z minuty na minutę...

- Na pewno wyglądałoby dużo lepiej, gdybyś wrócił.

- Nie ma mowy.

- W takim razie powiedz mi, że się mylą! - Mac podniósł kłótliwie głos.

- Nigdy nie miałem ambicji być twoim idolem, Mac. Ani niczym, do cholery.

- To kto sprzedaje naszą skórę?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi - skłamał Burke.

- Możesz nie wiedzieć, ale na pewno cię obchodzi. I to cholernie. Zaryzykowałbym zakład o dupcię Toni, a bardzo jestem do jej dupci przywiązany.

- Nie bez powodu. - Burke usiłował się uśmiechnąć, ale nie za bardzo mu to wyszło, a Mac patrzył na niego płonąącym wzrokiem, domagając się odpowiedzi. - No więc dobrze, obchodzi. Ponieważ przez tego sukinsyna zginął Kev. Ale im usilniej próbowałem go znaleźć i zniszczyć, tym mniej popularny stawałem się w wydziale. Po tej sprawie z Sachelem i znalezieniu martwego Raya Hahna, byłem już tak zniesmaczony, że mogłem tylko pomyśleć: „pieprzyć to” i odejść. Lżej mi się od tej pory oddycha, tak że nie żałuję swojej decyzji.

Mac z namysłem wydmuchał dym z cygara.

- Tak brzmiało twoje oficjalne uzasadnienie. A jak brzmi nieoficjalne?

- Nieoficjalne? Kiedy znajdę tego, kto pracuje na dwa fronty, zabiję go. Popatrzyli na siebie przeciągle. Po pewnej chwili Mac jakby odrobinę się rozluźnił.

- Od razu mi się lepiej zrobiło. Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie. - Burke stanowczo potrząsała głową. - Kev był dla mnie kimś najważniejszym, był moim przyjacielem i zginął od kuli z mojej broni. To mój problem.

- No dobrze, rozumiem, do czego dążysz. Ale nie sądzę, żebyś to sam przeprowadził, zwłaszcza działając jako osoba z zewnątrz. Wróć do wydziału i pracuj jako jeden z nas.

- Nie mogę.

- Rezygnuje się wtedy, kiedy wszystko idzie jak należy - dowodził Mac - a nie wtedy, kiedy idzie gównianie. Twój przyjaciel marnie zginął. Małżeństwo ci się rozpadło. Atmosfera wokół ciebie była

dość gęsta. Jeśli więc coś się przydarzy któremuś facetowi od nas, kogo będą przede wszystkim podejrzewać?.

Argumenty Maca miały wiele sensu, mimo to Basile powiedział:

- Muszę zaryzykować. - Zmrużył oczy w obronie przed dymem unoszącym się z cygara. - Czy to Patout upoważnił cię do zrobienia mi tego wykładu?
- Nie. Ale na moim miejscu powiedziałby ci to samo.
- Rzeczywiście mi powiedział. Prawdę mówiąc, dzisiaj.

Burke odbył wcześniej rano pierwsze spotkanie z prowadzącym jego sprawę rozwodową adwokatem. Barbara nie zwlekała z pozwem, co mu zresztą odpowiadało. Za to zapłaciła adwokatowi z własnych pieniędzy, co go wkurzyło; wyraźnie jej przecież powiedział, że może mieć swojego trenera, rozwód i co się jej żywnie podoba.

- Patout zadzwonił do Barbary, wziął numer do mojego adwokata i zostawił wiadomość, żebym oddzwonił - wyjaśnił.

- No i?

- Namawiał mnie do powrotu, używając dokładnie takich samych argumentów jak ty. Obaj tylko niepotrzebnie marujecie ślinę. Wypisałem się z tego na dobre.

- Fajnie - powiedział Mac z irytacją. - Ale nie tylko..voja reputacja powinna być chroniona. Twoja kryjówka:akże.

- Aha, doszliśmy do ostrzeżenia z wizytówki. Myślałem, że gramy w detektywistycznym kawałku w telewizji.

- Może i byłem trochę zbyt melodramatyczny, ale jak się dziera z Duvalem..

- Kto ci powiedział, że zadarłem z Duvalem?

- Kupa ludzi o ciebie ostatnio pytała. Gdzie mieszkasz, że masz plany i tak dalej. Większość zwyczajnie z ciekawości albo życzliwego zainteresowania. Ale próbował mnie też wysondować facet związany z Wayne Bardem. Dodaj jedno do drugiego i wyjdzie ci Duvall. Obawiam się, że teraz, gdy już cię nie chroni status policjanta, planują dobrać się do ciebie.

- Duvall miał wobec mnie pewne plany, zgoda, ale raczej nie zamierzał się mnie pozbyć. Szukał mnie po to, żeby mi zaproponować pracę.

- Pracę?

Burke opowiedział Macowi o rozmowie z adwokatem.

- Praca - powtórzył Mac raz jeszcze. - Czyli przynajmniej tyle, że nie mają zamiaru cię zabić. Ale i tak mi się to nie podoba. Ci z wewnętrznego nie będą patrzeć na ciebie łaskawym okiem, jak się dowiedzą o jakichś układach z Bardem czy Duvalem.

- Dla ciebie to żaden powód do zmartwienia, Mac. - Burke zgasił cygaro. - Moja opinia o Duvallu jest powszechnie znana. - Wstał. - Zrobiło się późno. Będę się zmywał.

Mac podniósł się również.

- Gdzie teraz mieszkasz?

- Dlaczego pytasz?

- Na wypadek gdybym się czegoś dowiedział i chciał się z tobą skontaktować.

- Nie mam stałego adresu.

- Daj mi znać, jak będziesz miał.

- Aha.

- A co zamierzasz zrobić?

- Z czym?

- Z tym, o czym rozmawialiśmy - odpowiedział Mac ze zniecierpliwieniem. - Masz pieniądze?

Chodzą słuchy, że Barbara cię wyczyściła.

- Daję sobie radę. Prawdę mówiąc, myślałem o wyjeździe na jakiś czas.

- Kiedy?

- Wkrótce.

- Na jak długo?

- Nie wiem. Na tyle, żebym mógł uporządkować swoje sprawy, podjąć pewne decyzje.

- Dokąd pojedziesz?

- Jeszcze nie wiem.

- Za granicę?

- Jeszcze nie wiem - powtórzył Burke z rozdrażnieniem. Gdyby powiedział, że zostawia sprawę w spokoju i że pogodził się ze śmiercią Keva, Mac wiedziałby, że kłamie. Dlatego mówił o zemście. To niewątpliwie przemawiało do idealistycznie nastawionego Maca i utrwalalo go w mniemaniu, że Burke Basile to chodząca legenda. Krzyżowy ogień pytań, w który wziął go Mac, utwierdził go w podejrzeniach. Czy rzeczywiście zainteresowanie Maca jego osobą było tak szczere i niewinne?

Spojrzał w kierunku domu i przez szybę zobaczył krzątającą się po kuchni młodą śliczną żonę gospodarza. Dziewczyna Miesiąca, która umiała gotować i sprzątać i najwyraźniej lubiła rolę żony i strażniczki ogniska domowego. Chłopak miał szczęście; dostał wszystko.

Ta refleksja natychmiast nasunęła następną: skoro tak, dlaczego sprawiał wrażenie nienasyconego? Dlaczego przypominał raczej bezdomnego kota, podenerwowanego i goniącego za zdobyczą, niż sytego domowego burasa, przed którym zawsze stoi miseczka pełna śmietanki?

Jakby wyczuwając podejrzliwe myśli Burke, Mac posłał mu swój słynny beztroski, zaraźliwy uśmiech i poklepał go po plecach.

- Cokolwiek zamierzasz, zdecydowanie jesteś faworytem w zakładach. Wyjdiesz na prostą. Stawiam sto do jednego. - Akurat tę rundę możesz przegrać, Mac - odparł Burke ze śmiertelną powagą.

Temperatura zaczęła szybko spadać, ale Mac siedział na tarasie jeszcze długo potem, jak Burke, podziękowawszy Toni za kolację, pożegnał się i odjechał.

Kiedy Mac wstępował do policji, Burke Basile miał już ustaloną reputację. Nie cieszył się szczególną popularnością, ponieważ nie akceptował brania łapówek, niemniej go szanowano. Opowiadał się za używaniem mózgu, nie broni, ale tylko głupiec mógł podejrzewać, że jest tchórzem. Basile wolał przechytrzać handlarzy narkotyków, niż ich zabijać. W jego mniemaniu w pełni udana policyjna operacja to taka operacja, w której nikt nie ginie.

A jednak Mac wierzył, że Burke rzeczywiście, tak jak zapowiedział, zabije zdrajcę, jeśli go rozszyfruje.

- Mac? - Toni przyszła na bosaka. - Nie za zimno ci tu? Pocałował ją w rękę*

- Basile był pod wrażeniem. Doskonała kolacja.

- Miło mi. Nie idziesz do domu?

- Za minutkę*

- Nie zapomnij zamknąć drzwi na klucz. - Odeszła, ale w drzwiach przystanąła z wahaniem. -

Wszystko w porządku?

- Oczywiście, kochanie. W porządku.

- Podobał mi się ten Basile.

- Ja też go lubię*

- Okazał się miłszy, niż się spodziewałam. Opisywałeś mi go w taki sposób, że wydawał mi się człowiekiem trochę przerażającym.

Burke Basile był przerażający. Zwłaszcza dla wrogów. Nawet jego przyszłość jawiła się w tej chwili jako przerażająca.

Nie bardziej jednak niż przyszłość Maca.

Rozdział dziewiętnasty

- Mieliliśmy wiele szczęścia, że natknęliśmy się na ten budynek i akurat stał pusty. Leży na uboczu, z dala od zgubnych miejskich wpływów, co uważamy za prawdziwy plus - skwitował ojciec Gregory uwagę pani Duvall, która nie spodziewała się, że Dom dla Jenny stoi tak daleko od centrum miasta.

Gregory rozprawiał niestrudzenie na temat zalet nie istniejącego schroniska. Dwoje pasażerów zajmowało miejsca z tyłu. Errol, uosobienie zanudzonego na śmierć człowieka, gapił się bezmyślnie w okno. Remy Duvall słuchała z zainteresowaniem i od czasu do czasu zadawała pytanie.

Burke był bardziej niż zadowolony, że Gregory wziął na siebie trud rozmowy. Nie umiał prowadzić niezobowiązującej konwersacji, tamten natomiast wyraźnie miał do tego talent.

On sam nie wysiadł z samochodu, kiedy przyjechali po panią Duvall i jej ochroniarza.

- Zakładam, że Duvall jest w biurze - powiedział, parkując w ulicy naprzeciwko frontowej bramy willi. - Ale jeśli przypadkiem przyjechał do domu, ojciec Kevin musi pozostać poza zasięgiem jego wzroku.

Gregory, wyglądając na pogodzonego z Bogiem i ludźmi, poszedł powoli w stronę domu. Drzwi otworzył mu Errol machnięciem zaprosił do środka. Burke wyliczył w duchu wszystkie powody, dla których powinien natychmiast stąd odjechać. Argumenty nie do odparcia, przemawiające za zakończeniem tej sprawy, zanim popełni poważne przestępstwo.

Uporał się z nimi szybko i skupił na tym, dlaczego musi to zrobić: Peter i David Stuart. Ich istnienie wystarczająco uprawomocniało akcję. Dwóch chłopaków będzie dorastać bez ojca i nie kto inny, tylko Duvall jest za to odpowiedzialny.

Drzwi frontowe się otworzyły i cała trójka wyszła z domu.

Burke ominął wzrokiem Errola i spojrzał na kobietę. Śmiała się z czegoś, co powiedział ojciec Gregory. Jak jagnię na rzeź, przemknęło mu przez myśl. Ale zanim doszli do furgonetki, uciszył sumienie. Kiedy podpisała się jako pani Duvall, zaakceptowała ryzyko wynikające z bycia żoną kryminalisty.

Gregory prowadził pogawędkę gładko, miła za miłą. Świetnie odgrywał swoją rolę i sprawiał wrażenie człowieka zupełnie rozluźnionego. Nie byłby pewnie taki spokojny, gdyby wiedział, jak to popołudnie się zakończy. Burke nie omówił z nim wszystkich szczegółów. Zapewnił go tylko, że nie dozna żadnego uszczerbku i nie będzie miał kłopotów. Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z planem, powinien dotrzymać obietnicy.

- Przepraszam, ojcze Gregory - powiedziała pani Duvall, przerywając nie kończący się potok wymowy młodego człowieka. - Ojcze Kevinie, czy ten dym wydobywa się spod maski?

Burke już od paru mil zastanawiał się, kiedy ktoś poza nim to dostrzeże. Ojciec Gregory, odwrócony dotąd twarzą do tylnego siedzenia, wyprostował się.

- Dym?

- Para - sprostował Burke rzeczowo. - Sprawdziłem co mogłem, zanim kupiłem mikrobus, ale musiałem przeoczyć nieszczelny wężyk chłodnicy.

- I co teraz zrobimy? - Ojciec Gregory był wyraźnie przerażony. Zepsutej chłodnicy nie było w scenariuszu.

Burke uśmiechnął się do swojej trzódki najbardziej księżowskim uśmiechem, na jaki mógł się w tych okolicznościach zdobyć.

- Cóż, spróbujemy dotrzeć do miejsca naszego przeznaczenia.

- Jak to jeszcze daleko? - zapytała pani Duvall.

- Najwyżej parę mil.

- Nie myślę, żeby ten grat dał radę - stwierdził Errol, który nie odezwał się, odkąd wyjechali z dzielnicy willowej. Pochylił się do przodu, aby ocenić sytuację, i Burke czuł na szyi jego oddech. - Silnik się zatrze, jak będziemy tak dalej jechać.

Spokój Gregory'ego topniał coraz szybciej.

- Uh... może powinniśmy przełożyć naszą wyprawę, ojcze Kevinie, na jakiś inny dzień, kiedy mikrobusik zostanie naprawiony. Nie możemy narażać pani Duvall na niewygody.

- Proszę się nie martwić o moją wygodę - wtrąciła. - Nie chciałabym narażać waszego nowego nabytku na zniszczenie.

- Bóg niech panią błogosławi za brak egoizmu i wyrozumiałość - rzekł ojciec Gregory, a potem zwrócił się do Burke: - Zawróćmy do miasta.

- Tym się w życiu tam nie dojedzie - oświadczył Errol. - Podjedziemy tutaj, do stacji obsługi. Dacie chłodnicę do naprawy, a ja zadzwonię po Romana, żeby odebrał panią Duvall i mnie.

- Wygląda na to, że nie mamy wyboru, ojcze Kevinie - powiedział Gregory.

Bar Crossroads usytuowany był w trójkącie porośniętego bujnie chwastami terenu ograniczonego dwoma krzyżującymi się tutaj drogami stanowymi. Stacja benzynowa była wyposażona w sześć dystrybutorów i dwa garaże. Bar reklamował się zimnym piwem, kielbaskami i dużym wyborem przekąsek z krewetek. Nad budynkiem powiewały flagi: amerykańska, stanu Luizjana i Konfederatów.

Burke zahamował i wyłączył silnik. Spod maski wydobywały się kłęby pary. Woda i płyn chłodniczy wyciekały na asfalt.

- Sprawdźę, czy jest jeszcze jakiś mechanik - powiedział Burke wysiadając. - Ojcze Gregory, może ojciec zabierze panią Duvall do baru i zaproponuje coś do picia?

- Znakomity pomysł - ucieszył się Gregory, z ulgą witając nowe zadanie.

- Zadzwonię stamtąd do Romana - odezwał się Errol. - Ona nigdzie się beze mnie nie rusza.

Poszli w kierunku wejścia do restauracji, a Burke udał się na poszukiwanie mechanika. Był w garażu. Długie, dawno nie myte włosy spadały jak brudne konopie spod wyświechtanej czapki na kościste ramiona. Miał na sobie wysmarowany kombinezon i sandały. Na widok Burke na jego szczupłej twarzy pojawiło się zdumienie.

- Nie zauważyłem wczoraj, że pan jest księdzem.

- Cuda się zdarzają - oświadczył Burke, wciskając mu do ręki pięćdziesiąt dolarów. - Jak szybko może pan zaizolować ten przeciek?

Mechanik pokazał na krążek taśmy izolacyjnej.

- Jak tylko ostygnie. Jest pan pewien, że mam nie wymieniać chłodnicy? Da się zrobić, a taśma nie potrzyma długo.

- Wystarczy taśma. Ile to panu zajmie? Dziesięć minut? Cmoknął językiem o popsute żółte zęby.

- Żeby! Jest nieźle gorąca.

Burke podał mu dwadzieścia dolarów.

- Niech pan włoży rękawiczki. Kluczyki w stacyjce. Jak pan zrobi swoje, proszę wykręcić przodem do wyjazdu i zostawić motor na chodzie.

- Zrobi się. Jednego nie rozumiem. Po co komu przebijać własny wężyk w chłodnicy?

- Niezbadane są wyroki boskie.

Burke wszedł do zatłoczonej restauracji i zaczął się przeciskać między stolikami, żeby dołączyć do pozostałej trójki.

- Zamówiliśmy ojcu kawę.

- Dziękuję, ojcie Gregory.

- Czy rozmawiał ojciec z mechanikiem? - zapytała pani Duvall.

Rozdając uśmiechy, poinformował ich konfidencyjnym tonem, że mikrobus zostanie za chwilę naprawiony. Kelnerka przyniosła zamówione kawy. Burke pił małymi łydkami, rozglądając się po sali z pozorną niedbałością, ale z napiętą uwagą.

Zrobił wizję lokalną w barze wczoraj po południu, kiedy umawiał się z mechanikiem, który powiedział mu, że przebicie wężyka w chłodnicy zanim wyruszy, da mu gwarancję, że daleko nie ujedzie.

Miejsce było idealne dla przeprowadzenia jego planu. Wiejska okolica, do najbliższego posterunku lokalnej policji czy biura szeryfa co najmniej cztery mile. Przyjechał tutaj tuż po lunchu i zastał dwie zmęczone kelnerki, nie wyjmującego papierosa z ust kasjera wpatzonego w telewizor, gdzie nadawano właśnie operę mydlaną, oraz kilku przypadkowych gości, którzy postanowili coś zjeść. Burke doszedł do wniosku, że bardziej tłoczno może się tu robić dopiero wieczorem, kiedy wpadają okoliczni mieszkańcy. Poza tym uznał to miejsce za ciche, spokojne, wręcz sensne, nastawione na obsługę przejezdnych podróżnych, którzy zdecydują się wpaść coś przekąsić, zanim napelnią bak.

Niestety, przeliczył się. W godzinach popołudniowych w Crossroads sprzedawano taniej alkohol, i regularnie wpadali tu po pracy robotnicy na piwko lub dwa przed powrotem do domów. We wnętrzu panował tłok, którego się nie spodziewał. Z grającej szafy, niemej, kiedy tu był wczoraj, grzmiała na cały regulator muzyka. Zajęte były wszystkie stoliki, każdy stółek przy barze. Istniał jeszcze jeden problem: skład klienteli. Z wyjątkiem dwóch księży, jednej ślicznotki i jej ochroniarza stanowili ją naładowani testosteronem heteroseksualni mężczyźni o byczych karkach.

W centrum ich uwagi była żona Pinkie Duvalla. Oblizywali się, patrząc na nią, niektórzy dosłownie, wszyscy zaś sprawiali wrażenie zaintrygowanych, co też taka lalunia robi tutaj w towarzystwie dwóch klechów i głupawego mięśniaka.

Errol nie był jednak taki głupi, na jakiego wyglądał.

- Panu Duvall by się to nie spodobało - powiedział, rzucając groźne spojrzenie jednemu z wgapionych w nią byczków. - Zadzwoń do domu. Roman miał coś do załatwienia, ale powinien być z powrotem za... - zerknął na zegarek za jakieś dwadzieścia minut.

- Do tego czasu odjedziemy mikrobusem.

Zapewnienie Basile'a nie uśmierzyło ani obaw Errola, ani drgawek Gregory'ego. Jego kolano pod stołem podskakiwało w górę i opadało w dół z prędkością igły w elektrycznej maszynie do

szycia Singera. Te nerwowe ruchy rozpraszały Burke i już miał prosić, żeby ojciec Gregory się uspokoił, gdy ten odsunął z hałasem krzesło i wstał.

- Przepraszam - powiedział i odszedł od stolika w kierunku męskiej toalety.

- Może powinienem zadzwonić do pana Duvalla? - Errol sformułował ryzykowną sugestię w formie pytania do pani Duvall. - Mógłby wysłać po nas Barda albo kogoś innego. - Wolałabym go nie kłopotać.

- Martwisz się bez powodu, Errol. - Burke ledwo zdołał ożyć mięśnie twarzy w dobroduszny uśmiech księdza. - Mechanik obiecał, że załatwienie wężyka nie potrwa dłużej niż iziesięć minut. Będziemy w drodze, gdy tylko pani Duvall dokończy pić drugą filiżankę kawy, zgoda?

- No nie wiem... - powiedział zrzędliwie Errol. - Jedno, co wiem, to że pan Duvall nie będzie...

- Pieprzony pedał!

Wrzask został podkreślony brzękiem rozbijanego szkła. Jak wszyscy inni, Remy Duvall i Errol odwrócili się, aby zobaczyć, co spowodowało tak gwałtowny wybuch.

- Cholera! - Burke zerwał się na równe nogi.

Gregory skamlał, leżąc na podłodze w rozlanym piwie i zasłaniając się przed mężczyzną, który pochylił się, złapał go za kark i pasek i szarpnięciem podniósł na nogi.

Szorstkim, prostackim głosem wywrzaskiwał bezlitośnie głośno na cały bar:

- Stoję tam sobie, sikam, rozglądam się, a ten pokrecony skurwysyn wymachuje na mnie! - Wbił but w krzyż Gregory'ego i rzucił nim w zastawę na następnym stoliku. - Pożałuje śmierdziel, że się urodził!

Trzej mężczyźni, na których stoliku wylądował Gregory, zerwali się na nogi. Przekazywali go sobie po kolei, wymierzając mu kuksańce i obrzucając zniewagami. Wkrótce dołączyło do nich jeszcze dwóch.

- Zabierz ją stąd - rzucił Burke do Errola przez ramię. - Spotkamy się przy mikrobusie.

Rozpychając się łokciami, torował sobie drogę wśród tłumu okazującego wrogość homoseksualiście. Wszyscy stali wokół stolików, niektórzy na krzesłach, wykrzykując słowa zachęty pod adresem mężczyzn okładających pięściami Gregory'ego. Burke dotarł do epicentrum tej zawieruchy, pochylił głowę, rzucił się między mężczyzn, wyrządzając im nieco szkody, i stanął oko w oko z obiektem pożądania Gregory'ego. Miłość rzeczywiście jest ślepa, pomyślał, patrząc na brzydkiego, solidnie zbudowanego byczka, który dosłownie wrząc z wściekłości, wymierzył mu cios pięścią w brodę.

- Co, jeszcze jeden? - Byczek spojrział na Basile'a, który runął na podłogę. - Rzygać mi się chce na wasz widok, zboczeńcy w koloratkach!

Pochylił się, zamierzając podnieść księżula i dopiero wtedy porządnie mu dołożyć. Ale zaczerwieniona ze złości twarz zastygła o parę cali nad ofiarą i napastnik siłą inercji omal nie runął na leżącego na podłodze przeciwnika. Lufa pistoletu Burke dotykała mięsistego czoła.

- Odsuń się, dupku - powiedział policjant, podnosząc się na nogi.

- Co do...

- Każ się odsunąć swoim koleżkom albo udziele ci ostatniego namaszczenia.

Tymczasem wielu z nich zauważyło już wycelowaną w głowę robotnika broń. Zastygli - bardziej ze zdumienia niż z przerażenia. Na moment rozgardiasz ucichł, słychać było tylko muzykę z szafy grającej i pochlipywania Gregory'ego.

- Stań tutaj. - Osilek posłuchał natychmiast i przesunął się, potykając niezdarnie o własne nogi, z ramionami uniesionymi do góry. - Niech nikt się nie waży zrobić jakiegoś głupstwa - ostrzegł Burke spokojnym tonem, patrząc na krąg wrogich twarzy. - Zbliżył się do Gregory'ego i szturchnął go nogą. - Wstawaj.

Młody człowiek osłonił głowę ramionami i zaszlochał jeszcze głośniej. Burke kusilo, żeby mu porządnie przyłożyć. Ale tylko powiedział przez zaciśnięte zęby:

- Niech cię Bóg ma w swojej opiece, jeśli się natychmiast nie podniesiesz i nie pójdziesz w stronę drzwi. Zostawię cię na ich łasce. Zanim skończą, będziesz błagał, że chcesz do Włężlema.

Ostrzeżenie poskutkowało. Wciąż łkając, Gregory pozbierał się i wstał na nogi.

- Przepraszam, ja...

- Zamknij gębę.

- Dobrze, tylko mnie nie zostawiaj. - Otarł krwawiącą twarz rękawem i poszedł chwiejnie do wyjścia. Burke szedł za nim odwrócony tyłem, omiatając bar wyciągniętą ręką, w której trzymał broń.

- Wychodzimy. Nie chcemy kłopotów. Nikomu nic się nie stało. Zajmijcie się z powrotem swoimi sprawami. - Doszedł do drzwi i wypchnął przez nie Gregory'ego. Z ulgą powitał widok mikrobusu stojącego z zapalonym silnikiem. - Właż do środka! - wrzasnął i puścił się biegiem do biura stacji benzynowej, gdzie za okienną szybą Errol rozmawiał przez „lefon, gestykulując przy tym zawzięcie.

Wpadł do wnętrza, wyrwał ochroniarzowi słuchawkę z dłoni. walnął go w skroń. Cios nie wyrządził Errolowi zbyt wielkiej szkody, ale wprawił go na pewien czas w osłupienie, tak że Burke zdążył schwycić Remy Duvall za ramię i pociągnąć ją kierunku drzwi.

- Co ojciec robi? - zapytała, usiłując się oswobodzić.

Rozległ się wysoki, świdrujący krzyk kobiety, która płaciła właśnie za benzynę. Kasjer sięgnął pod ladę, gdzie jak Burke przypuszczał, musiał mieć schowaną broń.

- Nie rób tego! - krzyknął i kasjer zmarł w bezruchu. Podstarzały hippis z garażu stanął w drzwiach łączących warsztat z biurem i wycierając czoło upapraną szmatką, powtarzał monotonicznie:

- Niesamowite, niesamowite.

Burke wycofał się z biura. Żona Pinkie Duvalla usilnie walczyła o wolność. Złapał ją w tali i zaczął ciągnąć do mikrobusiku. Zapierała się obcasami, wymachiwała rękami, ale niewiele mogła mu zrobić, chociaż parę razy dostał w goleń kopniaka tak mocnego, że aż zaklął z bólu. Przeorała mu paznokciami grzbiet dłoni.

- Przestań! - Zacisnął ramię mocniej na jej tali i powiedział prosto do jej ucha: - Możesz sobie walczyć, ile chcesz, na nic się to nie zda. Jedziesz ze mną.

- Po co ksiądz to robi? Niech ksiądz mnie puści.

- Za nic.

- Mój mąż księdza zabije.

- Pewnie tak. Ale jeszcze nie dzisiaj.

Otworzył drzwi po stronie szofera, wepchnął ją na siedzenie i natychmiast sam się wdrapał do środka. Zatrzasnął drzwi, wrzucił bieg i wcisnął gaz do dechy. Opony przytarły asfalt, gdy mikrobus ruszał gwałtownie. Burke wziął ostro zakręt w prawo, na jedną ze stanowych dróg, i jechał wprost na spotkanie z nadjeżdżającą cysterną. Minęli się o włos.

Gregory wrzeszczał, na przemian modląc się i klnąc. Burke krzyknął na niego, żeby się przymknął.

- Szlag by cię trafił! Co ci strzeliło do głowy! Mogliśmy przez ciebie zginąć!

- To twoja wina - szlochał młody człowiek. - Dlaczego chodzisz z bronią? Nie było mowy o broni...

- Powinieneś być cholernie zadowolony, że ją mam ze sobą, inaczej nie mógłbym uratować twojej nieszczęsnej dupy. Nie wiem zresztą, po co to zrobiłem.

Nagle pani Duvall, która nadal dzieliła siedzenie z Burke, zanurkowała w tył między fotele i szarpnęła za klamkę przesuwanych drzwi przy siedzeniach pasażerów po prawej.

- Trzymaj ją! - wrzasnął Burke.

Gregory, choć roztrzęsiony, za bardzo się go bał, żeby nie wykonać rozkazu. Rzucił się za Remy, przygniótł ją i złapał za włosy.

- Pszepszszaszam, pszepszszaszam - bełkotał groteskowo spuchniętymi wargami; jego krwawiący nos przypominał rozkwaszoną gruszkę. - On jest bezlitosny. Nie chcę ci sprawić bólu, ale muszę robić, co każe, bo inaczej mnie zabije.

- Rozumiem to - powiedziała z podziwu godnym opanowaniem. - Proszę tylko puścić moje włosy.

- Nikt pani nie skrzywdzi - rzucił Burke przez ramię - jeśli będzie pani grzeczna. Zgoda? Kiwnęła głową, ale wątpił w szczerłość jej intencji.

- Zabiłaby się pani przy tej szybkości - ostrzegł ją przed skokiem z mikrobusu.

- Rozumiem.

- To dobrze. Gregory, puść ją i wracaj na miejsce. Pani usiądzie między nami na podłodze.

Gregory wdrapał się na fotel, a Burke czekał w napięciu, dopóki nie usiadła bezpiecznie między siedzeniami.

- Kim pan jest? - zapytała.

Oczy miała wypełnione łzami i strachem. Krew odpłynęła jej z twarzy. Czerwona strużka w kąciku ust podkreślała bladość skóry. Sama przegryzła sobie wargi czy to on uderzył ją niechcący w czasie szamotaniny? Zrobiło mu się nieswojo, odwrócił wzrok i spojrzał na drogę. W samą porę, bo zobaczył we wstecznym lusterku jadącego za nimi pikapa.

- Jasna cholera! - Co jeszcze im się przytrafi? Na razie miał krwawiącą panią Duvall i Gregory'ego, a na rurze wydechowej siedział mu wypełniony rozżartymi osiłkami pikap. - Gregory, weź broń.

- Co? Dlaczego?

- Zobacz, kto jedzie za nami.

Gregory spojrzał w boczne lusterko i wrzasnął przeraźliwie na widok pełnego młodych mężczyzn samochodu. Obiekt jego pożądania stał na siedzeniu, nachylony nad szoferką. Wspierał o jej dach wycelowaną w mikrobus strzelbę. Wydał mrozący krew w żyłach bojowy okrzyk. Wokół niego i w szoferce tłoczyli się żądni zemsty wrogowie homoseksualistów.

- O Jezu! O Boże! - zawodził Gregory. - Już po mnie...

- Sam cię zamorduję, jak się natychmiast nie weźmiesz w garść! - wrzasnął Burke. - Bierz to! - Wyciągnął rękę ponad panią Duvall i wcisnął pistolet w drżące dłonie Gregory'ego.

- Nigdy w życiu nie strzelałem...

- Masz tylko wycelować i pociągnąć za spust.

Burke miał nadzieję, że ten idiotyczny pościg obędzie się jednak bez wymiany strzałów. Że uda mu się utrzymać bezpieczną odległość od pikapa. Mikrobus nie był wprawdzie wozem wyścigowym, poza tym w każdej chwili o ich losie mógł zdecydować pośpiesznie załatany wężyk chłodnicy, ale pikap obciążało zbyt wielu siedzących w nim mężczyzn. Jego kierowca nie mógł rozwinąć odpowiedniej prędkości. Być może w końcu wściekła wataha zrezygnuje. Być może zmęczy ich pościg i stwierdzą, że lepiej zawrócić i spędzić ten czas przyjemniej nad następną kolejką piwka. Albo on da radę zgubić ich w zapadającym zmierzchu.

Albo będą ich gonić, dopóki nie złapią i nie pozabijają. Pikap zbliżał się do nich nieustannie i w końcu mieli go tuż przy tylnym zderzaku. Burke starał się zagrozić mu drogę, tak by tamci nie mogli się z nimi zrównać. Wkrótce przerodziło się to we współzawodnictwo między kierowcami: który okaże się lepszy w manewrowaniu. Burke zajeżdżał drogę pikapowi, koncentrując się jednocześnie na tym, żeby nie zjechać z wąskiej szosy. Jeden błąd i pograżyliby się w złowróbnym bagnie, rozciągającym się po obu stronach drogi.

Pochłonięty prowadzeniem, nie zauważył, że pani Duvall wyciąga rękę, żeby wyrwać kluczyk ze stacyjki. W ostatniej chwili nakrył dłonią jej dłoń. Zachnęła się z zaskoczenia i bólu, gdy główka kluczyka wbiła jej się w śródreczę.

- Proszę puścić! - rzucił Burke ostrzegawczo.

Prowadził teraz jedną ręką i mikrobus nagle niebezpiecznie się przechylił, spod kół poleciał deszcz żwiru; omal nie stracił panowania nad kierownicą. Gregory wrzeszczał ze strachu.

- Pan nas pozabija! - wykrzyknęła pani Duvall. - Niech pan zatrzyma! Jestem pewna, że zechcą z nami porozmawiać. - Odbiło pani? Nas obu zabiją od razu i rzucą na pożarcie krokodylom. Pani nie zabijają, dopóki nie zgwałcą po kolei. Niech pani puści ten cholerny kluczyk, bo inaczej...

Rozległ się huk wystrzału i tylna szyba się rozprysła. Gregory z wrzaskiem runął na podłogę, chociaż wysokie oparcia tylnych siedzeń zatrzymały większość odłamków. Pani Duvall, trzeba jej to było przyznać, nie zaczęła wrzeszczeć. Puściła natychmiast kluczyk i również padła na podłogę.

Burke wcisnął pedał gazu, chociaż ten już prawie opierał się o podłogę. Mikrobus nie przyspieszył ani na jotę, mimo to zobaczył ze zdumieniem oddalającego się we wstecznym lusterku pikapa. Dopiero po chwili zorientował się, że tamci zwolnili. Oddanie ognia ze strzelby było ich końcowym wyczynem. Uznali rachunki za wyrównane.

Pikap skurczył się w lusterku do rozmiarów kleksa, ale Burke nie zdjął nogi z gazu. Kiedy dojechał do miejsca, gdzie miał skręcić, wziął zakręt na dwóch kołach. Spoglądał bez przerwy we wsteczne lusterko jeszcze przez dobrych kilka minut, dopóki nie upewnił się, że naprawdę nikt ich nie ściga.

- Możecie wstać - powiedział. - Zdecydowali, że nie warto się dla nas wysilać. Gregory, pojękując, wygramolił się z powrotem na fotel.

Wcale nie przypominał przystojnego mężczyzny, który z takim powodzeniem udawał księdza. Twarz miał posiniaczoną, zniekształconą opuchlizną, pokrytą zakrzepłą krwią.

Jakby dla kontrastu krew na żakiecie pani Duvall była jasnoczerwona.

Rozdział dwudziesty

Pinkie otworzył drzwiczki po stronie pasażera, zanim Wayne Bardo zdążył na dobre zatrzymać wóz. Szeryf ze swoimi ludźmi już był na miejscu, ale z tym łatwo sobie poradzić, pomyślał adwokat. Jego wzrok padł na Errola. Stał pod ścianą, zgarbiony, z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie spodni i sprawiał wrażenie, jakby się miał za chwilę rozpłakać.

Nigdzie nie dostrzegł Remy, ale miał nadzieję, że schroniła się wewnątrz budynku, w biurze. Jego żona zamieszana w ordynarną burdę w barze... Nie do pomyślenia. Gazety będą miały używanie.

Ruszył w stronę Errola, rzucając Bardowi polecenie, żeby znalazł Remy i przyprowadził ją do samochodu.

- Im szybciej stąd znikniemy, tym lepiej.

Bardo skierował się do biura stacji benzynowej, gdzie szeryf przesłuchiwał świadków.

- Co się stało? - Pinkie stanął przed Errolem.

- No... no ten... ten mikrobus zniknął. Mówiłem mu, żeby się tu zatrzymał... - Komu?

- Ojcu Kevinowi. To on prowadził.

Pinkie kiwnął głową ponagłajaco. Jąkając się, Errol przedstawił swoją wersję wydarzeń, podkreślając, że ani na chwilę nie spuścił pani Duvall z oczu, zabrał ją ze sobą nawet wtedy, gdy poszedł dzwonić do Romana, żeby przyjechał ich stąd zabrać.

- Powinieneś zatelefonować do mnie.

- Tak, chciałem, ale pani Duvall się sprzeciwiła, nie kazała panu przeszkadzać. Nie podobało mi się to, ale...

- Jak się zaczęła awantura?

Słuchał ze wzrastającym niedowierzaniem.

- Chodzi o księdza, którego moja żona przyjęła u nas w domu?

- Mówiłem panu, że według mnie to pedał - przypomniał Errol.

- Ale nie mówiłeś, że jest zdolny zaczepić faceta w publicznej toalecie. Boże...

- Powiedziałem to, co zauważyłem, szefie.

- Dobrze, a co się potem stało?

- Ci faceci posyłali sobie ciosami pięści ojca Gregory'ego. Zacząłem się przesuwać z panią Duvall do drzwi, jak tylko to się zaczęło. Przyprowadziłem ją aż na stację benzynową i zadzwoniłem do pana biura. Wyjaśniałem wszystko pana sekretarce, kiedy...

- No dobrze. Potem mi to dokończysz. Zabieramy Remy i zmywamy się stąd do diabła.

- Ale... panie Duvall...

- Pinkie!

Adwokat odwrócił się do krzyczącego Barda. Biegł w ich stronę niezwykle podniecony.

- Nie ma tu twojej żony! Zabrali ją!

- Co? Niby kto? Szeryf? I dokąd?

- No więc... właśnie... właśnie nie miałem dotąd okazji tego wyjaśnić, proszę pana...

Pinkie odwrócił się z powrotem do ochroniarza, który miał minę człowieka stojącego przed plutonem egzekucyjnym.

- Zanim dodzwoniłem się do pana biura, już pan tu jechał.

Bardo nie miał ze sobą komórki, więc nie mogłem się z nim połączyć w samochodzie. Sekretarka powiedziała, że nie wziął pan pagera. Nie miałem żadnej możliwości...

Adwokat złapał go za kłapy i potrząsnął nim mocno.

- Daję ci dwie sekundy na sprowadzenie mojej żony.

- Nie mogę, panie Duvall... - powiedział Errol i zaczął płakać. - Oj... oj... ciec Kevin wyjął broń...

- Broń?

- Tak, proszę pana. On... walnął mnie w głowę i zabrał panią Duvall do mikrobusu.

Czerwona mgła przesłoniła oczy Duvallowi. Wyciągnął trzydziestkę ósemkę, którą zawsze nosił w kaburze przyczepionej z tyłu do paska spodni, i wcisnął krótką, upiłowaną lufę w miękkie ciało pod dygoczącą brodą Errola.

Szarpali się z jej bezwładnym ciałem, wyciągając je z furgonetki i to przywróciło jej przytomność. Miała uczucie, jakby jej plecy i ramiona zaatakował rój rozszalałych pszczół. Dokąś ją niesiono. Otworzyła oczy.

Było ciemno. Nad jej głową świeciły gwiazdy. Miliony gwiazd. Nigdy ich tylu nie widziała. Nigdy tak zdumiewająco jasnych. Gdziekolwiek byli, musiało to być daleko od miasta. Nieba nie zamazywały światła ludzkich siedzib. Powietrze było zimne, przesycone wilgocią*

- Dredd! Dredd!

Rozpoznała głos ojca Kevina. Potem uświadomiła sobie, że głucho dudniący dźwięk, który słyszy, to odgłos pośpiesznych kroków, i doszła do wniosku, że ksiądz niesie ją, stąpając po deskach mola. Przy jego końcu widać było dziwną budowlę, a raczej kilka budynków, przyklejonych do siebie bez żadnego planu.

Za oszklonymi drzwiami stał mężczyzna równie dziwny jak jego domostwo. Na wysokości pasa trzymał wycelowaną w nich broń.

- Kto tam?

- Potrzebuję twojej pomocy, Dredd.

- Jezus Maria!

Weszli w krąg bladego żółtawego światła, rzucanego przez umocowaną wysoko na belce żarówkę. Mężczyzna nazywany Dreddem najwyraźniej poznał ojca Kevina, bo odłożył strzelbę i otworzył przed nimi drzwi.

- Co cię tu przywiało? A z nią co jest?

- Postrzał.

- Śmiertelny?

- Nie.

- Poważny?

- Zdaje się, że bardzo. Gdzie ją mogę położyć?

- Mam tylko jedno łóżko. Wiesz, gdzie stoi.

Wniósł ją do środka, mijając Dredda, i poczuła swąd dymu.

To jego broda się tliła. Doszła do wniosku, że widocznie ma halucynacje. Ze ścian wychodziły na nią jakieś zwierzęta i gady z obnażonymi zębami. Na półkach stały gęsto słoje z mętną zawartością. Szkielety nie zidentyfikowanych stworzeń trwały zastygłe w niepokojących pozach. Ocierały się o nią jakieś skóry i sierści. Na wysokiej grzędzie przekrzywiła głowę sowa, wpatrując się w nią żółtymi oczami, a potem rozłożyła skrzydła, okazując zniecierpliwienie.

Ojciec Kevin skręcił ku wąskim drzwiom prowadzącym do niewielkiego pokoju. Goła żarówka zwisała z sufitu z nie heblowanych desek. Skąpe światło rzucało niesamowite cienie na wytapetowane gazetami ściany.

Położył ją na wąskim łóżku. Pościel pachniała nieświeżo, jakby jej dawno nie prano, o ile w ogóle prano. Chciała zaprotestować, ale nie miała siły.

- Ledwie cię poznałem - powiedział Dredd do ojca Kevina.

- Sam siebie ostatnio ledwo poznaję.

- Co to za facet?

Z pokoju, przez który przed chwilą przeszli, dobiegł ją żaloszny płacz ojca Gregory'ego.

- Później - usłyszała odpowiedź ojca Kevina.

- Wygląda, jakby biegł przez kolczaste krzewy.

- Nic mu nie będzie, chyba że ja go zabiję. Martwię Się o mą.

- No to daj mi ją obejrzeć.

Ojciec Kevin odsunął się i do łóżka podszedł ktoś naprawdę przedziwny. Jego widok tak zdumiał Remy, że nawet nie krzyknęła. Skóra nieznajomego była opalona tak mocno, że nie przypominała ludzkiej; kojarzyła się jej raczej ze skórą, które widziała w tamtym pokoju. Twarz miał pooraną zmarszczkami i głębokimi bruzdami. Był nagi do pasa, ale pierś przykrywała mu do połowy siwa falująca broda. Nie paliła się; trzymał w kąciku ust papierosa.

Wzdrygnęła się przed dotykiem jego stwardniałych dłoni.

Okazały się nadzwyczaj delikatne. Unosił jej prawy bark, dopóki nie legła niemal na boku. Jęczała z bólu, a gdy zaczął obmacywać bolące miejsce na plecach, krzyknęła przenikliwie.

- Przepraszam, mała - powiedział niskim głosem. - Wiem, że to boli, ale Dredd cię doprowadzi do porządku. - Delikatnie przekręcił ją z powrotem na plecy i odwrócił się od niej. - Zasłaniasz mi światło - powiedział gniewnie do stojącego tuż obok ojca Kevina i odsunął go na bok.

- Jest źle? Wyjdzie z tego? Poradzisz sobie?

- Teraz się pytasz? Nie pytałeś, kiedy tu wpadłeś z półprzytomną postrzeloną kobietą i nieźle poharatany księdzem. Teraz, jak mi zakrwawiła całe łóżko, pytasz się, czy dam radę?

- Poradzisz sobie?

- Pewnie. Ale dasz mi trochę czasu? Masz szczęście, że to tylko trochę śrutu w niej utkwilo. - Co mam robić?

- Zejść mi z drogi.

Remy zamknęła oczy. Dostała postrzał?

Nagle wszystko sobie przypomniała - zepsuty mikrobusik, bar, bójka, dzierżący broń ksiądz.

Szybko otworzyła z powrotem oczy. Stał przy łóżku, wpatrując się w nią bez zmrużenia powiek, jak przedtem sowa. Miał świeckie maniery, umiał walczyć, całe jego zachowanie zadawało kłam temu, że jego życiowym wyborem jest kapłaństwo. Zastanawiała się samokrytycznie, jak mogła być tak naiwna. Nie było w nim ani cienia pobożności, wystarczyło mu się przyjrzeć uważniej.

Emanował siłą, zupełnie nie przystającą do łagodności i spokoju ludzi, którzy poświęcili życie Bogu. Jego usta nie były stworzone do modlitwy. Ich rysunek był zbyt surowy, zbyt cyniczny; lepiej pasowały do szorstkich wyrazów. Kierował się pewnie pasją, ale nie mającą nic wspólnego z miłością do Boga czy rodzaju ludzkiego. Nawet kiedy stał nieruchomo, jak teraz, bił od niego żar wewnętrzny, który ją napełniał lękiem. Nie tylko o siebie samą, także o niego.

Mężczyzna, którego nazywał Dreddem, wrócił ze szklanką jakiegoś płynu w dłoni. Ojciec Kevin wyjął mu ją z ręki i powąchał podejrzliwie.

- Co to?

- Wtrącam się w twoje sprawy? - zapytał Dredd, odbierając mu szklankę.

- Posłuchaj, Dredd, ona...

- ... jest ranna. Chcę jej pomóc. Ale skoro mi nie ufasz, zabieraj sobie i ją, i tę nędzną imitację księdza, i pozwól mi żyć w spokoju. Nie prosiłem cię, żebyś mnie mieszał w swoje sprawy. Wymuszasz to na mnie. No, to jak ma być? - Uznał milczenie tamtego za przeprosiny. - W porządku. - Odwrócił się do niej, pochylił nad łóżkiem i przytknął jej szklankę do warg. - Wypij.

Płyn był ohydny. Próbowwała odwrócić głowę, ale przyłożył dłoń do jej policzka i przytrzymał mocno.

- No, spróbuj. Zaśniesz po tym. Nie będziesz nic czuć. Przechylił szklankę i miała do wyboru: połknąć to paskudztwo, wypluć albo się udusić. Pomyślała, że jeśli wypluje, wróci z nową porcją. Poza tym myśl o zapomnieniu była taka kusząca... Wypiła wszystko.

- Grzeczna dziewczyna. Zimno ci? - Okrył kocem jej nogi. - Zostawię cię teraz, muszę pozbierać swoje narzędzia. Pewnie zaśniesz, zanim wrócę, i niczym się nie martw. Zajmę się tobą, a kiedy się obudzisz, poczujesz się znacznie lepiej. - Poklepał ją po ręce i wyszedł, rzucając w przelocie: - Chciałeś mi pomóc. Rozbierz ją do pasa.

Została sama z człowiekiem, który ją porwał. Usiadł na brzegu łóżka i zaczął rozpinąć guziki jej zakietu. Nie miała siły protestować. Cokolwiek wypić, działało szybko i skutecznie. Jej dłonie i stopy już się rozluźniły. Z najwyższym trudem walczyła z zamykającymi się powiekami.

Głowa opadła jej bezwładnie, kiedy ją uniósł, żeby zdjąć zakiet. Skrzywiła się, gdy odrywał przesiąknięty krwią materiał od skóry, ale ból nie był tak przenikliwy, jak jeszcze kilka minut temu. Poczła się swobodniej i zrozumiała, że rozpiął jej biustonosz. Normalnie wprawiłoby to ją w panikę. W tej chwili nie miała nawet tyle energii, by uznać rzecz za ważną.

Położył ją z powrotem na plecach i zdołała otworzyć powieki w momencie, gdy ocierał pot z czoła. Na grzbiecie dłoni miał cztery krwawe ścieżki od jej paznokci.

- Boli? - zapytał, dotykając koniuszkiem małego palca kącika jej ust.

- Kim pan jest?

Ich oczy się spotkały. Zawahał się, ale odpowiedział:

- Nazywam się Burke Basile. - Patrzył jej w oczy przez kilka sekund, a potem położył ręce na barkach, żeby zsunąć III miączka biustonosza.

- Nie. Proszę.

- Słyszała pani - powiedział. - Mam panią rozebrać do pasa, tak żeby mógł zrobić porządek z pani plecami.

Nie dlatego protestowała. Usiłowała potrząsnąć głową, ale albo jej mózg nie przekazywał już poleceń, albo mięśnie odmawiały posłuszeństwa.

- Niech pan tego nie robi, panie Basile - wyszeptała. Przegrywając walnę z ciężkimi powiekami,

odetchnęła głęboko i dodała zamierającym głosem: - On pana zabije.

Rozdział dwudziesty pierwszy

- Bo widzi pan, szeryfie - tłumaczył Pinkie konfidencyjnym tonem - ojciec Kevin posłużył się pistoletem mojej żony, aby ją chronić. Właściwie śmieszne, jak o tym pomyśleć... Ksiądz z bronią.

Szeryf miał minę, jakby nie widział w tym nic śmiesznego. - Po co pana żona nosiła broń?

- W mojej pracy narobiłem sobie, jak pan się zapewne domyśla, szeryfie, wielu wrogów. Wprawdzie zatrudniałem dla żony ochroniarza, ale i tak namawiałem ją do noszenia pistoletu w torebce. Bogu dzięki, że miała go dzisiaj ze sobą.

- No nie wiem, panie Duvall. - Szeryf potarł dłonią podbródek. - Świadkowie utrzymują, że z nim walczyła.

- Cała ona - uśmiechnął się Pinkie poufale. - Jest uparta i nie znosi, żeby nią dyrygować. Ojciec Kevin usiłował ją odciągnąć, ale uparła się, że zostanie bronić ojca Gregory'ego. Bardzo mu współczuła z powodu... nazwijmy to uprzejmie słabością. Cóż, taka już po prostu jest. Zawsze po stronie nieudaczników, gotowa podjąć walkę z ich prześladowcami. Szczerze mówiąc, jestem zobowiązany ojcu Kevinowi za sposób, w jaki działał. Zabierając ją stąd, okazał dużą przytomność umysłu. Mam wobec niego dług wdzięczności.

- Jest pan pewien, że odwiózł pana żonę do domu?

- Absolutnie. - Pinkie wyciągnął rękę. - Nie będę twierdził, że przyjechałem tu z przyjemnością, ale dobrze wiedzieć, że mamy tu, w Jefferson, ludzi, którzy umieją tak szybko reagować w sytuacji zagrożenia.

- Dziękuję, panie Duvall. Robimy, co możemy.

- Do widzenia. - Adwokat skierował się do samochodu.

- Czy może mi pan wyjaśnić jeszcze jedno, panie Duvall?

Jak to się stało, że ten ksiądz przyłożył pana człowiekowi w głowę?

- Moim zdaniem ojciec Kevin dał się ponieść frustracji, bo ochroniarz kompletnie nie panował nad sytuacją. - Spojrzał w kierunku samochodu, a potem dodał stanowczo: - Zamierzam to natychmiast wyjaśnić.

Pomachał szeryfowi z przedniego siedzenia auta.

- Dokąd? - zapytał Bardo.

Duvalla kusilo, żeby popędzić w kierunku, w którym odjechała furgonetka, ale w ciemnościach, nie wiedząc dokąd właściwie jadą, błędziliby tylko godzinami po bocznych drogach, dopóki by się kompletnie nie pogubili.

- Do biura.

Bardo skręcił w kierunku miasta.

- Co powiedziałaś Barneyowi Fife?

- Wymyśliłem jakąś pieprzoną historyjkę.

- Kupił ją?

- Nie miał wyjścia. Gdybym pozwolił, żeby uznał to za kidnaping, musiałby zawiadomić FBI.

- Kiepsko dla naszych interesów.

- Fatalnie. A zresztą ci fedsi nie umieją zlokalizować nawet własnej dupy. Szybciej sam znajdę

Remy.

- Na szczęście nie oskarżą cię o morderstwo - powiedział Bardo, zerkając przez ramię na tylne siedzenie. - Powstrzymałem cię w samą porę.

Errol siedział wciśnięty w kąt tylnego siedzenia, wciąż roztrzęsiony po tym, jak otarł się o śmierć, i znękany traumatyczną falą wymiotów. Pinkie niemal już naciskał spust, kiedy Bardo wyrwał mu trzydziestkę ósemkę z ręki i przemawiał do rozsądku, dopóki adwokat się nie opanował.

- Nie żebym nie miał ochoty cię zabić! - wrzasnął do Errola wymiotującego przy ścianie na suche chwasty. - Żyjesz tylko dlatego, że potrzebna nam twoja pomoc, gdy ich będą szukać.

W tym właśnie momencie podszedł do Duvalla szeryf i przedstawił mu się. Potem zrelacjonował, co ustalili jego detektywi.

- Kasjer był w takim szoku, że ledwo mógł się porozumieć z dyżurnym z dziewięćset jedenaście, tak że właściwie moi chłopcy nie bardzo wiedzieli, do czego jadą. Już na miejscu zorientowali się, że nie chodzi o zwyczajne wezwanie w sprawie zakłócenia porządku. Z prawdziwą niechęcią to panu mówię, panie Duvall, ale wygląda na to, że pańską żonę porwano.

Dopiero po godzinnej dyskusji Pinkie zdołał go przekonać, że świadkowie zareagowali histerycznie i w gruncie rzeczy widzieli co innego, niż zeznali. Był w tym zresztą mistrzem. Doskonalił tę umiejętność w setkach kryminalnych procesów. Świadkowie, gotowi zrazu przysiąc, że widzieli właśnie to, zmieniali całkowicie swoje zeznania wzięci w krzyżowy ogień pytań adwokata.

- A mechanik? - dopytywał się szeryf. - Twierdzi, że ksiądz był tutaj wczoraj, w zwykłym ubraniu, i dopytywał, co zmajstrować, żeby chłodnica się zagotowała.

Pinkie wziął szeryfa na bok i wykonał pantomimę, mającą naśladować palenie skręta.

- Rozumie pan, o co mi chodzi?

Rozumiał i był skłonny przyznać, że trudno polegać na świadectwie mechanika, znanego ćpuna. Kobieta, która płaciła za benzynę, całkowicie pewna tego, co widziała, w końcu zaczęła wątpić, czy należy wierzyć własnym uszom i oczom. Kasjer, zbity z tropu wersją wydarzeń Pinkie, przyznał, że księdzu rzeczywiście zależało na wyciągnięciu pani Duvall ze stacji, i zupełnie nie wyglądało na to, że chce ją skrzywdzić. Co do osiłków, którzy ścigali mikrobus, rozpierzchli się natychmiast, gdy tylko zobaczyli przy Crossroads samochód szeryfa. Ci, którzy pozostali w barze, nic, ale to nic nie wiedzieli.

Pinkie Duvall był instytucją. Pierwsze słowa, jakie szeryf do niego powiedział, brzmiały:

- To prawdziwy dla mnie zaszczyt, panie Duvall. Widziałem pana w telewizji. Twarz z telewizji, przedmiot kultu przeciętnego człowieka.

Pinkie nie omieszkał wykorzystać zachwyty szeryfa. Poczucie obowiązku i zdolność logicznego dedukowania zaćmił bijący od Duvalla blask sławy.

Pinkie osiągnął, co chciał - zapobiegł śledztwu i zaangażowaniu policji w całym kraju w pościg - ale opłacił to stratą czasu. Porywacze Remy zyskali nad nim znaczną przewagę. Odwrócił się do Errola.

- Kim oni są?

Errol przełknął z trudem ślinę i uniósł wysoko w górę muskularne ramiona.

- Księżmi.

- Tylko mi nie powtarzaj, że są księżmi - powiedział

Pinkie cicho a złowieszczo. - Nigdy nie przemknęło ci przez tę kupę gówna, która robi za twój mózg, że nie są tym, za co się podają?

- Wiem tylko - odparł Errol, najwyraźniej ani trochę nie dotknięty - że to ci sami dwaj mężczyźni, którzy zjawili się parę dni wcześniej w domu.

- Jak wyglądali?

- Ci księ... - urwał, zobaczywszy, jak szefowi zwęziły się oczy. - Tak, jak mówiłem panu przedtem, panie Duvall, ojciec Gregory jest młody i przystojny. Szczupły, ciemne włosy i oczy. Pedał. Gęba mu się nie zamyka. Ojciec Kevin nie odzywa się często, ale to on rządzi. Nie ma wątpliwości.

- Jakie robi wrażenie?

- Cwany, nie budzi zaufania. Od początku mu nie dowierzałem. To właśnie jego przyłapałem...

- Co...?

Errol zerknął na Barda. Oblizął wargi. Przesunął dłońmi po udach.

- To właśnie jego przyłapałeś na czym? - powtórzył Pinkie, wymawiając wyraźnie każde słowo.

- No, ja... szedłem do łazienki. Tej przy drzwiach frontowych. I... i ja przyłapałem ojca Kevina na schodach... schodził na dół.

- Był na górze? Poszedł na piętro mojego domu i ty mi nawet o tym nie wspomniałeś?

Bardo gwizdnął cichutko przez zęby.

- Powiedział, że musiał iść tam do łazienki, bo na dole wyszedł papier toaletowy. Sprawdziłem. No i ten... ta rzecz na papier była pusta.

- Prawdziwy z ciebie detektyw - zauważył Bardo szyderczo.

- Cicho! - warknął Duvall. - Jak ten skurwysyn wyglądał?

Errol opisał go jako mężczyznę o wroście wyższym niż przeciętny, szczupłego, ale silnego, o regularnych rysach twarzy, bez żadnych blizn ani cech szczególnych, bez zarostu.

- Oczy?

- Trudno powiedzieć. Nosi okulary.

- Włosy?

- Ciemne. Zaczesane gładko do tyłu.

Pasowało to do setek mężczyzn z szerokiego kręgu znajomych, przyjaciół i wrogów adwokata.

Nikt nie poważy się sięgnąć po własność Pinkie Duvalla i ująć bezkarnie. A ten sukinsyn sięgnął po najcenniejsze dobro. Jeśli jej dotknie... Choćby małym palcem... Poczuł dreszcz rozkoszy na samą myśl, jak go zabija gołymi rękami.

- Nie ma to żadnego sensu - Bardo przerwał jego fantazje o morderstwie. - Dwóch księży, jeden z nich pedzio, i porywają kobietę. Niby czego by od niej chcieli?

- Nie chodziło im o Remy, tylko o mnie.

Nie miał na to żadnego dowodu, żadnej przesłanki do wyciągnięcia takiego wniosku. Ale wiedział, że jest trafny.

- Pchaj, do cholery!

- Pcham.

Gregory był mu równie użyteczny przy zatapianiu mikrobusu w bagnistym zalewisku, jak we wszystkim dotąd. Burke ponaglił go, by nacisnął raz jeszcze, mocniej. Obaj wyteżyli siły i wreszcie

udało się im przepchnąć samochód przez podmokły gąbczasty grunt. Potoczył się kilka jardów dalej i Burke myślał, że w końcu zniknie. Ale ugrzązł tylko w szlamie osadzonym na dnie zamulonej odnogi rzeki i utkwiał tak, zatopiony do połowy.

- No i co teraz?

- Zostawiamy go - odpowiedział krótko Burke. - W końcu go znajdą, ale do tego czasu Duvall już będzie wiedział, kto ma jego żonę.

Zignorował kompletnie utyskiwania Gregory'ego, gdy brnęli przez grząską ziemię z powrotem do pikapa Dredda. Przyjechał nim Burke, a Gregory przyprowadził w to odludne miejsce mikrobus. W czasie jazdy Burke nie spuszczał oka ze wstecznego lusterka. Zwalniał na każdym zakręcie i czekał, aż pokażą się światła mikrobusu. Bał się, że Gregory w każdej chwili może się znowu załamać. Nie sposób było przewidzieć, do czego w takim momencie byłby zdolny.

Na razie wdrapał się posłusznie do pikapa. Burke jechał, jak go prowadziła kręta droga wśród bagien. O parę stóp od jezdni po obu stronach wystawały z wody pnie pochylonych cyprysów. Nad głowami mieli baldachim z nisko wiszących omszałych gałęzi. We dnie przypominały rozłożone w ukłonie ramiona piękności, okryte rękawami z koronki, w nocy przybierały przeraźliwy kształt szkieletowa tych kończyn zombie, wymachujących poszarpanymi całunami. Od czasu do czasu reflektory samochodu wyluskiwały z ciemności żarzące się oczy nocnych stworzeń, które czmychały z drogi albo wślizgiwały się z powrotem w bagno.

Burke starał się jechać bezpiecznie, ale i szybko. Martwił się o pacjentkę Dredda.

Zniecził ją jedną z tych swoich mikstur domowego wyrobu, uwarzonych Bóg wie z czego. Jakikolwiek były jej składniki - podziałała. Spała cały czas, gdy Dredd ostrożnie usuwał śrut, który utkwiał w jej plecach po lewej stronie. Wyjął z nich także parę odłamków szkła.

Niewielkie ranki krwawiły obficie. Dredd oczyścił je starannie i zastosował maść, która według jego słów miała przyspieszyć gojenie i znacznie zmniejszyć ból. Burke nie odstępował ich na krok w czasie całego zabiegu, co dodatkowo zirytowało i tak skorego do gniewu gospodarza.

Dosłownie wypchnął go z pokoju, przypominając, że jeśli nie zatopi mikrobusu, cała południowa Luizjana będzie się jutro tłoczyła przy Dredd's Mercantile.

- Nic bardziej nie szkodzi interesom sklepiku, jak samochody glin zaparkowane od frontu - powiedział.

Nie pozostało mu więc nic innego, jak wyjść, choć niechętnie, zwłaszcza że przyznawał przyjacielowi rację co do pilnej potrzeby pozbycia się mikrobusu. Teraz, kiedy już się z tym uporał, chciał jak najszybciej znaleźć się z powrotem w domu Dredda i sprawdzić, co się dzieje z panią Duvall.

- Wykorzystałeś mnie.

- Co?

Gregory powtórzył oskarżycielskim tonem wygłoszone zdanie.

- Zaakceptowałeś warunki umowy - stwierdził Burke.

- Tylko że zawierając ją, nie wspomniałeś o użyciu broni i porwaniu.

- A myślałeś, że po co zabraliśmy ze sobą Remy Duvall?

- Myślałem, że chcesz wyciągnąć jak najwięcej pieniędzy na ten niby dobroczynny cel. Wykiwać Pinkie Duvalla, namotać intrygę, jak w „Żądle”. Nigdy bym nie pomyślał, że odważysz się na coś takiego jak porwanie jego żony.

- To tylko twoja wina, że zostałeś wmieszany w porwanie jego żony. Gdybyś nie flirtował z tym

wieśniakiem, zostawiłbym cię w Crossroads. Taki miałem plan: zgubić tam ciebie i Errola. Ale nie, musiałeś akurat wpaść w romantyczny nastrój. Nadymaj się, ile chcesz, i tak nie usłyszysz ode mnie wyrazów współczucia. Przez twoje zboczone skłonności pani Duvall została postrzelona i ledwie uszliśmy z życiem.

- Mnie też się dostało... - zaszlochał Gregory.

- Nie za bardzo. Gdybym nie miał czego innego do roboty, własnoręcznie bym cię udusił za to, co zrobiłeś. Zamknij się wreszcie albo zaraz to zrobię*

- Jesteś podły, podły, podły. Burke roześmiał się chrapliwie.

- Gregory, jeszcze nawet nie liźnałeś mojej podłogi. Młody człowiek znów zaszlochał i Burke poczuł dla niego cień litości. Całkiem go to przerosło. Odgrywanie scen jakby z filmowego scenariusza nagle przerodziło się w realny koszmar. Burke planował, że zawiezie Gregory'ego jutro do miasta i jeśli tylko nieszczęśnikowi uda się pozostać w cieniu, dopóki mu się twarz nie wygoi, będzie bezpieczny. Nikt nie miał pojęcia o jego prawdziwej tożsamości. Nigdy więcej w życiu zagra powtórnie roli ojca Gregory'ego. Nikomu nie przyjdzie na myśl podejrzewać potomka znamienitej rodziny o udział w zuchwałym porwaniu. Duvall będzie się uganiał za nim, nie za Gregorym. Nic mu się nie stanie.

Na razie dąsał się i mamrotał coś pod nosem, aż zasnął.

Burke potrząsnął nim, gdy dojechali na miejsce.

- Chcesz, żeby Dredd zrobił coś z twoją twarzą?

- Co ty? Nie dałbym się dotknąć temu trollowi. - Spojrzał na konstrukcję rysującą się przy końcu molo i wzdrygnął się nieznacznie.

- Jak uważasz - powiedział Burke wysiadając. - W pokoju od frontu stoi sofa. Radziłbym ci trochę odpocząć.

Zauważył, że Gregory z trudem wygramolił się z kabiny pikapa. Nie zważając na jego odmowę, poprosi jednak Dredda, by dał mu coś, co mu przyniesie ulgę. Został gospodarza przy łóżku pani Duvall.

- Jak się czuje?

- Śpi jak dziecko.

Burke skrzywił się. Przypomniało mu się jej wyznanie o straconym dziecku. Dredd pogasił światła, ale na komodzie z nie malowanego drewna migotała świeca. Leżała na brzuchu, głowę miała odwróconą, policzek przyciśnięty do poduszki. Odgarnięte z twarzy włosy spływały na poduszkę. Dredd pamiętał o wszystkim.

Rany przestały krwawić. Mimo bólu, jakiego jej przysporzyły, okazały się powierzchowne. Burke zastanawiał się chwilę, czy zostaną po nich blizny. Szkoda by było, bo miała nieskazitelną skórę, niemal świetlistą. Wrócił myślą do tej nocy, kiedy zobaczył ją w altanie. Nie sprawiała na nim wrażenia bardziej rzeczywistej niż wtedy.

- Cest une belle Jemme.

- Owszem, jest.

- Czy to zjawisko jakoś się nazywa?

Burke odwrócił się i spojrzał prosto w pomarszczoną twarz Dredda.

- Pani Pinkie Duvall.

Nie usłyszał żadnego wrzasku na temat swojej niepoczytalności, nawet okrzyku niedowierzania, żadnych pytań, żądań wyjaśnień. Dredd wpatrzył się w niego ciężkim wzrokiem, a potem skinął

głową.

- W tej szafce stoi butelka. Obsłuż się. - I ruszył do drzwi.

- Ten człowiek tam cierpi.

Dredd machnął ręką na znak, że słyszał, ale się nie odwrócił. Burke wyjął burbona Dredda, zadowolony, że będzie pił markową z opatrzonej etykietką butelki, a nie bimber nalewany wprost z gąsiora. Jedyne w pokoju krzesło miało rozchwierutane drewniane nogi i wyplatane siedzenie, napoczęte przez gryzonie, mimo to przyciągnął je do łóżka i usiadł na nim ostrożnie.

Nic nie jadł od wczorajszego śniadania, czyli prawie od dwudziestu czterech godzin. Powinien spenetrować kuchnię Dredda i znaleźć coś do jedzenia, ale był tak zmęczony, że sam sobie to wyperswadował. Siedział więc, patrząc na tę śpiącą kobietę, na łagodnie wznoszące się i opadające plecy, myśląc o jej piersiach i czując się jak skończony palant, bo wyobrażał je sobie rozpląszczone pod jej ciężarem.

Rozbierał ją, starając się zachować po rycersku i ze stosownym dystansem. Rozsądnie. Ale nie oznaczało to, że niczego nie widział. A zresztą, jak na to nie zwrócić uwagi? Mężczyzna, który ma okazję zobaczyć obiekt swoich fantazji nagi - pałrzy. Widzi piersi i nie może nie zauważyć, że brodawki są gładkie, jędrne, ale bardzo blade. Miałyby nie zauważyć, że Ilosi pończochy z koronką? Bądźmy realistami. Albo majtki lak przezjryste, że równie dobrze mogłoby ich nie być.

Przełknął jeden po drugim dwa łyki alkoholu. Rozlały się po pustym żołądku jak dwie ogniste kule.

Jej prawa ręka leżała wzdłuż ciała, wnętrzem dłoni zwrócona do góry. Zobaczył na skórze czerwony znak po kluczyku, znak, który zrobił, kiedy zacisnął na jej dłoni swoją* Nie mógł się powstrzymać, by nie przesunąć palcem po odcisniętych liniach. Jej palce zgięły się odruchowo. Szybko, z poczuciem winy, cofnął rękę*

Trzeci łyk nie palił już tak mocno.

Wrócił spojrzeniem do jej twarzy. Gałki pod powiekami nie poruszały się. Usta miała lekko rozchylone. Z kącika wypłynęło trochę śliny - wydawała się lekko różowa tam, gdzie zastygły krople krwi. Dotknął kącika warg małym palcem, jak to już raz dzisiaj zrobił, i czekał, aż ślad wilgoci na palcu wyschnie.

Pociągnął kolejny haust wprost z butelki.

No więc zrobił to. Popęłnił przestępstwo. Poważne. Jego życie zostało nieodwołalnie i całkowicie zmienione. Nawet gdyby Burke Basile zwrócił jutro Duvallowi żonę, nie może już powrócić do życia, jakie prowadził przedtem. Nie było odwrotu. Zatrzasnął za sobą wszystkie drzwi.

Oczekiwał, że będzie nim miało większe poczucie winy, wstyd i strach, niż to czuł w tej chwili.

Może upił się burbonem. Może jest zwyczajnie za głupi, żeby w pełni docenić przerażające konsekwencje tego, co zrobił. Zasypiał, wsłuchując się w cichy oddech Remy Duvall i wiedział jedno: cholernie dobrze mu z tym było.

Rozdział dwudziesty drugi

- Jak to uciekł?!

Po kilku godzinach snu na siedząco w niewygodnym krześle Basile'owi zeszywniał kark, plecy go bolały, jakby przeszła po nich kompania wojska, burbon zostawił po sobie tępe łupanie w głowie, a w świetle poranka dotarło do niego z całą siłą, że z obrońcy prawa przemienił się w człowieka, który je łamie.

- Nie wrzeszcz na mnie - warknął Dredd, przewracając widelcem o długich zębach kawałek mięsa skwierczący na żeliwnej patelni. - To twój ksiądz.

- Nie jest księdzem.

- Źle słyszałem?

Burke pomasaował skronie, krzywiąc nos na sarkazm brzmiący w głosie Dredda.

- Nazywa się Gregory James, jest bezrobotnym aktorem. Chociaż nie tylko.

- Czymkolwiek tam sobie jest - zrzędził Dredd - ohydny z niego złodziej. Zwiął z moim najlepszym czólnem. Basile'owi opadły ręce.

- Chcesz powiedzieć, że ruszył przez bagno? - Gregory James popychający żerdzią łódź przez pułapki moczarów to było coś nie do pomyślenia. - W życiu nie zbliżył się do żadnego bagnistego terenu z wyjątkiem ostatniej nocy, gdy próbowaliśmy zatopić mikrobus. W pojedynkę nie uda mu się tam przeżyć.

- Pewnie nie - odparł Dredd, potrząsając długim kucykiem siwych włosów.

Nieczuły na zmiany pór roku nieodmiennie nosił łachmaniaste drelichowe ubrania. Nie uznawał koszul ani butów. Jego zrogowaciałe stopy przypominały kopyta, kiedy szurał nimi po pełnym zadziórów linoleum, którym była wyłożona podłoga. Na ulicach miasta odwracano by za nim głowy, ale z tym miejscem, które sam stworzył, jego wygląd doskonale harmonizował. Wystrzępiony, wypłowiały sztandar wisiał w oknie w charakterze zasłony. Nie zabezpieczona kuchenka stała w jednym końcu lady, w drugim kasa z dzwonkiem, na której Dredd wybijał należność za papierosy, piwo i żywą przynętę, a opodal, w zasięgu wzroku, preparował zwierzęta do wypchania. Obrazek z koszmarów sennych inspektorów sanitarnych, ale niezbyt liczna klientela Dredda nie przejmowała się takimi drobiazgami.

Sceptycznie odniósł się do szans przeżycia Gregory'ego.

- Mam tylko nadzieję, że jak już nakarmi rybki, moja łódź przydryfuje z powrotem. Śniadanie?

- A co jest?

- Jesteś głodny czy wybredny?

- Głodny - przyznał Burke niechętnie.

Dredd włożył mięso na talerze i polał je sosem, który przyrządził z tłuszczu ze smażenia, mąki i odrobiny mleka. Podał biały chleb i mocną kawę, zaparzoną z dodatkiem cykorii.

- Zająrzałem do Remy, kiedy się myleś - powiedział niewyraźnie z pełnymi ustami, a Burke przestał jeść i spojrzał na niego pytająco. - Powiedziała mi, jak ma na imię.

- Przebudziła się?

- I zasnęła.

Burke wytarł kawałkiem chleba resztkę sosu, zdumiony, że talerz już pusty. Nie wiedział, z czego jadł mięso, ale okazało się nadzwyczaj smaczne. Dredd znalazł się na ziołach, korzeniach, przyprawach i miał to wszystko w domowych zapasach. Odsunawszy talerz na bok, Burke sięgnął po kawę.

- Wyglądało na to, że się nie poruszy przez całą noc.

- Napój uśmierający przestał działać, gdy nakładałem powtórnie maść na rany. Dałem jej następną dawkę. Powinna przespać większą część dnia.

- Kiedy będę mógł ją zabrać?

Dredd także uporał się ze swoją porcją mięsa i wstał, żeby poszukać papierosów. Znalazł paczkę, zapalił jednego, zaciągnął się i przetrzymał dłuższy czas powietrze w płucach.

- Nie mój interes, ale co ty, do diabła, wyprawiasz z żoną Pinkie Duvalla?

- Porwałem ją.

Dredd odchrząknął i zaciągnął się kilka razy z rzędu, wydłubując z brody okruchy chleba. W każdym razie Burke chciał wierzyć, że są to okruchy chleba.

- Z jakiegoś szczególnego powodu?

- Zemsta. - Opowiedział o wszystkim, począwszy od nocy, gdy Wayne Bardo zwiódł go tak, że strzelił do Keva Stuarta, a zakończywszy na opisie mrozącej krew w żyłach ucieczki przed bandą wściekłych osiłków. - Gdy zobaczyłem, że jest ranna, od razu pomyślałem o tobie. Nie wiedziałem, jak daleko może być do szpitala, a ty byłeś tylko o parę mil. Wiem, jak bardzo cenisz sobie swoje odosobnienie, Dredd. Cholernie mi przykro, że cię w to angażuję!

- W porządku.

- Poza tym tobie mogę ufać.

- Aha, więc mi ufasz? Na tyle, żebym ci mógł uświadomić, jak to wszystko wygląda?

Burke wiedział, co teraz nastąpi, ale zrobił gest na znak, że słucha.

- Całkiem ci musiało odbić, Basile. Władze postawią cię w stan oskarżenia, ale to betka w porównaniu z Duvallem. Wiesz, na kogo się porwałeś?

- Lepiej niż ty.

- Czyli nie dbasz o to, że Pinkie Duvali wypatroszy cię jak świnię i rzuci twoje ciało jak padlinę sępom na pożarcie?

- O Jezu! - Burke uśmiechnął się kwaśno.

Dredd jednak nie widział nic śmiesznego w swojej uwadze.

Potrząsając głową ze zniecierpliwieniem, zapalił następnego papierosa bez filtra.

- Ktoś padnie martwy, zanim się to wszystko skończy.

- Wiem - odparł Burke już bez uśmiechu. - Wolałbym, żebym to nie był ja, ale ... - Uniósł ramiona w wymownym geście.

- Nie masz po co ani dla kogo żyć. To mi chciałeś powiedzieć? Zabiłeś jednego z waszych, twoja kariera skończona, małżeństwo skończone, po diabła ci życie. Czy to mniej więcej oddaje twój punkt widzenia?

- Mniej więcej.

- Pie... - Dredd wypluł okruch tytoniu, który przyłgnał mu do języka - ... przenie. Każdy ma coś,

dla czego warto żyć... choćby kolejny wschód słońca. - Przechylił się nad stołem i potrząsnął przed nosem Burke papierosem, jak matka potrząsa karzącym palcem. - Zabiłeś Stuarta przypadkiem. Przekładem. Ty rzuciłeś policję, nie oni się ciebie pozbyli. Twoje małżeństwo i tak było kiepskie. Dawno już powinieneś uwolnić się od tej kobiety. Nigdy jej nie lubiłem.

- Nie zwierzałem ci się ze szczegółów mojego prywatnego życia, więc nie wykorzystuj teraz tego przeciwko mnie.

- Chrzań się, mądralo. Nawet jeśli przekraczam pewne granice, sam dałeś mi do tego prawo, kiedy tu wtargnąłeś ostatniej nocy i zważyłeś mi na głowę pokrwawioną kobietę. A zresztą - dodał zrzędlawie - mam słabość do takich jak ty i nie sprawia mi przyjemności patrzeć, jak się dajesz zabić.

- Nagana znikła na chwilę z twarzy potwora z bajek, a wyraz współczucia, który się na niej pojawił, kompletnie do niej nie pasował. - Wiem, o czym mówię, Basile. Wierz mi. Życie potrafi nieźle dopieprzyć, ale jest życiem, a śmierć... to coś nieodwracalnego. Jeszcze nie jest za późno, żeby zdjąć zdobycz z haczyka i dać sobie spokój.

Dredd był jednym z niewielu ludzi, których Burke szanował, i wiedział, że to szacunek odwzajemniony.

- Kiepska rada, Dredd. Rozumiem twoje intencje, ale niezależnie od konsekwencji muszę ukarać Wayne Barda i Pinkie Duvalla. Albo oni mnie wykończą, gdy będę próbował.

- Nie chwytam. Dlaczego?

- Mówiłem ci: zemsta.

- Nie kupuję tego - Dredd rzucił mu ostre spojrzenie.

- Cóż, przykro mi. - Burke uniósł kubek z kawą i upił łyk, jakby zamykał tym ostatecznie dyskusję.

Dredd także chyba pojął, że jest daremna. Przesunął papierosa w kącik ust, sprzątnął naczynia i wrzucił je do metalowego zlewu.

- Co masz zamiar z nią zrobić?

- Nic. Przysięgam. Nie moja wina, że ją zranili, i cholernie żałuję, że to się stało. Nigdy nie zamierzałem dotknąć jej nawet małym palcem. Nie zrobiłbym tego. Nigdy, na litość boską*

Dredd odwrócił zarośniętą głowę i spojrzał na niego wymownie.

- Co znowu? - zachnął się Burke.

- Cholernie gorliwie protestujesz, jak na takie niewinne pytanie.

- Nie chodzi o nią - powiedział Burke, odwracając wzrok od błyszczących rozbawieniem oczu Dredda - tylko o niego.

- Jasne. Wierzę ci. Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie ją zakamuflujesz, zanim przynęcisz Duvalla? Zgaduję oczywiście, ale zamierzasz użyć jej jako przynęty, żeby zatrzasnąć pułapkę?

- Coś w tym rodzaju. Chcę ją przetrzymać w domku rybackim.

Burke korzystał z niego raz lub dwa do roku, kiedy szczęśliwie udało mu się dostać parę dni wolnego i przyjechać na ryby. Zawsze wtedy zatrzymywał się przy Dredd's Mercantile, aby kupić trochę jedzenia, piwo i przynętę.

Sklep Dredda mieścił się z dala od utartych szlaków, ale był dobrze znany wędkarzom i myśliwym, obznajomionym z labiryntem szlaków zalewiska, i stanowił dla nich punkt odniesienia. Wiodła do niego wprawdzie zwirowana droga, jednak głównie przyływano tu na łodziach.

Dredd nie zarabiał wiele, ale i też niewiele potrzebował.

Największy dochód przynosił mu sezon polowań na aligatory. Zabijał je i sprzedawał skóry. Wypychanie gadów traktował jako działalność uboczną.

- Kto jeszcze wie o twojej chałupie?

- Tylko Barbara, ale nie wie, gdzie jest. Nigdy tu ze mną nie była, na samą myśl o tym niedobrze jej się robiło.

- Kto jeszcze?

- Mój brat Joe spędził ze mną parę weekendów na rybach. Tylko że było to już ładnych parę lat temu.

- Ufasz mu?

- Mojemu bratu? - roześmiał się Burke. - Oczywiście, że ufam.

- Sam wiesz najlepiej. A co z tym Gregorym?

- Nieszkodliwy.

- Za to z ciebie kompletny dureń - oznajmił Dredd opryskliwie. - Przypuśćmy, że będzie miał szczęście i wydostanie się z bagien, zanim jakieś zębiska go capną. Przypuśćmy, że zacznie się zastanawiać, co robi z nim Pinkie Duvall, jeśli go złapie. I co, jeżeli dojdzie do wniosku, że lepiej nie czekać, zdradzić twoją kryjówkę dla własnego bezpieczeństwa?

- Tym się nie martwię.

- Dlaczego?

- Bo to tchórz.

- Dość odważny, żeby ukraść mi łódkę i wypłynąć na moczary.

- Tylko dlatego, że bał się mnie bardziej niż natury.

Pewnie myślał, że zamorduję go za to, co zrobił w Crossroads. Tyle razy go straszylem, że mógł to wziąć poważnie. Myślę, że przeżyje. Wiedzie dość wygodne życie. Kiedy bagno go wypłuje, zwieje gdzie pieprz rośnie. Nie pójdzie do Duvalla.

- Jak się z nim zamierzasz skontaktować?

- Z kim? Z Duvallem? Błędne założenie, Dredd. To on się ze mną skontaktuje.

- Jak?

- Jego zmartwienie. W każdym razie siedząc tu, narażam cię na niebezpieczeństwo. Wróćmy więc do mojego pytania: kiedy mogę ją stąd bez szkody dla niej zabrać?

Doug Patout powoli zdjął nogi z biurka i opuścił je na podłogę. Kawa w kubku stojącym tuż przy jego łokciu zaczynała stygnąć. Przeczytał notatkę już trzykrotnie.

Nie była zbyt ważna. Zamieszczono ją na dwudziestej stronie Times Picayune i zajęła nie więcej niż kilkanaście wierszy na kolumnie. Zawierała krótki opis bójki, która się wywiązała w przydrożnym barze w Jefferson. Zamieszanych w nią było dwóch księży katolickich, żona znanego adwokata z Nowego Orleanu i jej ochroniarz. Rzecznik prasowy biura szeryfa twierdził, że incydent zażegnano, nie dokonując żadnych aresztowań.

Dwie rzeczy zwróciły uwagę Patouta. Pierwsza: ilu znanych adwokatów w Nowym Orleanie zatrudnia ochroniarza dla żony? Druga: któryś ze świadków zauważył dziwaczny nawyk u jednego z księży - zginanie i rozluźnianie palców dłoni.

Patout nacisnął guzik interkomu.

- Możesz tu wpaść na chwilę?

Beztrroski i ożywiony jak zwykle McCuen pojawił się w minutę*

- Co się dzieje?

- Przeczytaj. - Patout posunął gazetę w jego stronę i pokazał palcem na notatkę.

- No więc? - Mac przeczytał tekst i podniósł oczy.

- No więc, znasz kogoś z takim dziwnym nawykiem?

Mac usiadł na krześle stojącym naprzeciwko biurka zwierzchnika. Jeszcze raz przebiegł notatkę wzrokiem.

- Taa. Tylko że on z całą pewnością nie jest księdzem.

- Kiedy go ostatni raz widziałeś?

- Nie pamiętasz? Mówiłem ci. Był u mnie na kolacji parę dni temu.

- Jakie zrobił na tobie wrażenie?

- Ten sam stary Basile.

- Ten sam stary Basile, żywiący wciąż tę samą urazę do Pinkie Duvalla?

- Cholera! - McCuen spojrział na gazetę.

- No właśnie. - Patout potarł łysiejące czoło, jakby kłębiły się pod nim niepokojące myśli. -

Wspomniał przypadkiem, co ostatnio porabia?

- Niewiele. Ale przecież zawsze tak było. Nigdy nie odkrywał kart. Powiedział tylko, że ma zamiar wyjechać i przemyśleć pewne sprawy.

- Sam?

- Tak twierdził.

- Dokąd?

- Powiedział, że jeszcze nie wie.

- Wiesz, jak się z nim można skontaktować?

- Nie - roześmiał się nerwowo McCuen. - Posłuchaj, Patout, to nie ma sensu. Facet ze śmiesznym nawykiem był księdzem. Poza tym z tego nie wynika, że może chodzić o panią Duvall. To wręcz nie mogła być ona. Z ochroniarzem czy bez, Duvall nie pozwoliłby Basile'owi zbliżyć się do niej na pięćdziesiąt jardów.

- Fakt. Są zaprzysiężonymi wrogami.

- Nawet gdyby nie byli. Z tego co słyszałem, prawdziwy z niej delikatesik i w dodatku jest dużo młodsza od Duvalla.

Patout uniósł brwi, dając mu znak, by wyrażał się jaśniej.

- No, Burke to typ silnego, małowównego faceta. Za takimi kobiety szaleją. Toni, na przykład, uważa go za bardzo atrakcyjnego. Wprawdzie uważałem, że wąsy dodają mu seksapilu, ale wyraźnie ma to coś, co tylko baby umieją...

- Zgolił wąsy? - Żołądek podszedł Patoutowi do gardła.

- Nie mówiłem?

Patout wstał i zdjął kurtkę z biurowego wieszaka.

- Co się stało? - spytał podejrzliwie McCuen. - Dokąd się wybierasz?

- Do Jefferson - rzucił zwierzchnik przez ramię, wychodząc.

Brudna woda z rynsztoka opryskała opony samochodu Barda, kiedy parkował przy kruszącym się krawężniku.

- To tutaj.

Pinkie spojrział na budynek z niesmakiem. To samo otoczenie, taki sam dom czynszowy, w jakim Remy mieszkała z matką i przyrodnią siostrą. „Plugawy”, właśnie ten przymiotnik najlepiej to określał.

Całą noc się głowił, próbując rozszyfrować, kim mogą być porywacze w przebraniach księży. W siatce jego tajnych współpracowników wrzało od pogłosek o porwaniu. Wyzначył pokaźną nagrodę za przekazanie mu istotnych informacji.

Gdy po raz kolejny analizowali przebieg wydarzeń, Errol przypomniał sobie coś jeszcze:

- Ten facet, co się podawał za ojca Kevina, w pewnym momencie o mało sam nie znokautował tego drugiego. Mówił coś o więzieniu.

- O więzieniu?

- Tak. Nie pamiętam dokładnie, bo byłem zajęty wypełnianiem swoich obowiązków i wyprowadzałem właśnie panią Duvall. W każdym razie z jego słów wynikało, że ojciec Gregory zrobił już kiedyś coś podobnego i siedział w więzieniu.

Ochroniarz tak bardzo chciał się zasłużyć, że Pinkie powątpiewał, czy może polegać na jego spostrzeżeniach. Było prawdopodobne, że któryś z zaufanych kryminalistów adwokata powziął do niego urazę i teraz próbował długo odwlekanego odwetu, ale było równie prawdopodobne, że Errol wymyślił tę historię, usiłując chronić własny tyłek. Niemniej Pinkie doszedł do wniosku, że nie może pominąć żadnego tropu, i polecił jednemu ze swoich ludzi w policji sporządzić listę mężczyzn często popełniających tego rodzaju przestępstwa seksualne.

Pracownik kompanii telefonicznej, opłacany przez Pinkie, dostał polecenie, żeby rozszyfrować, do kogo należy numer telefonu wydrukowany na wizytówce Domu dla Jenny - nie istniejącego w rzeczywistości, teraz Pinkie to wiedział. Jego sekretarka została wystrychnięta na dudka przez jakichś spryciarzy.

Mniej więcej pół godziny temu nadeszła wiadomość, że ów numer to numer aparatu telefonicznego wiszącego w korytarzu budynku, przed którym właśnie stali. Razem z nimi przyjechało czterech pośpiesznie zwołanych przez Barda mężczyzn.

Pinkie uparł się pojechać z Bardem. Chciał widzieć oczy tych fałszywych księży, co poważyli się sięgnąć po jego żonę, kiedy będą umierali. Podminowany adrenaliną i oburzeniem wysiadł na zaśmiecony trotuar. Bardo skierował dwóch ludzi do frontowych drzwi, dwóch posłał na tyły budynku, na wypadek gdyby porywacze chcieli tamtędy uciekać z Remy.

Weszli do środka, przestępując w drzwiach nad śpiącym w alkoholowym upojeniu człowiekiem. Pinkie miał dziwne uczucie, że dał się podprowadzić, że robi dokładnie to, czego chcą porywacze. Nietrudno ustalić numer telefonu. Jeśli ktoś planuje tak skomplikowaną akcję, nie przeocza czegoś aż tak elementarnego. Chyba że przeoczenie jest celowe. Chociaż... Pinkie znał setki przykładów, kiedy najprzebieglejsi przestępcy wpadali na takich właśnie głupich drobiazgach.

Po lewej stronie wejścia stała lada recepcji, ale nikt za nią nie siedział. Bardo przeszedł przez zapuszczony hol do wiszącego na ścianie aparatu telefonicznego i sprawdził numer. Potrząsnął głową. Pinkie pokazał na schody.

Stąpali cicho. Na podeście drugiego piętra, w połowie wąskiego, pokrytego graffiti korytarza, wisiał na ścianie telefon. Było tak mroczno, że Bardo chcąc odczytać numer, musiał zbliżyć płomień zapalniczki do plastikowej plakietki na aparacie. Pokazał Pinkiemu uniesiony w górę kciuk.

Krew w adwokacie zawrzała. Zadarł brodę w kierunku drzwi na końcu korytarza. Nie było odzewu na wypowiedzianą cichym głosem komendę, by otworzyć, Bardo wyważył więc drzwi kopnięciem. W środku leżał rozciągnięty na łóżku, pogrążony w pijackim śnie mężczyzna. Śladu Remy. Zresztą, sądząc po liczbie stojących przy łóżku butelek po ryżówce, mężczyzna nie mógł być winowajcą. Poza tym był niski i gruby, rumiany, dobiegał sześćdziesiątki, nie pasował więc do

wizerunku żadnego z fałszywych księży.

W drugim pokoju nie zastali nikogo, nie wyglądał też tak, jakby ktoś w nim ostatnio mieszkał. W trzecim cofnęła się przed nimi ze strachem kobieta i zaczęła lamentować szybko i głośno po hiszpańsku. Bardo uderzył ją grzbietem dłoni w usta.

- Zamknij się, suko - nakazał paskudnym szeptem. Zamilkła i ogarnęła ramionami gromadkę wynędzniałych dzieci, żeby nie zaczęły płakać.

Czwarty i ostatni pokój również nie był zajęty. Ale na łóżku bała oparta o poduszkę biała koperta z nazwiskiem: Pinkie Duvall.

Schwycił ją i rozdarł. Na brudny dywan wypadła kartka papieru. Podniósł ją i przeczytał napisaną na maszynie wiadomość.

Ryknął z wściekłości tak, że zatrzęsły się szyby w oknach.

Bardo wyjął mu notatkę z ręki. Zaklął, kiedy ją przeczytał.

- Nie, nie odważyli się*

Pinkie wypadł z pokoju i zbiegł, przeskakując po trzy schody. Tuż za nim Bardo. Rzucił swoim ludziom, że mają jechać la nim. Wtłoczyli się do samochodu i ruszyli pośpiesznie, żeby dogonić umykający pierwszy wóz.

Pinkie nie starał się ukryć miotającej nim furii. Oczy mu się żarzyły morderczym blaskiem.

- Pozabijam. Już są martwi. Martwi.

- Ale kto to może być? - zapytał Bardo, skręcając ostro, il:by uniknąć zderzenia z dostawczą ciężarówką. - Kto mógłby zrobić coś takiego Remy?

Remy. Jego Remy. Wykradziona. Odważne skurwysyny, kimkolwiek byli. To im musiał przyznać. Aż szkoda, że tyle odwagi się zmarnuje. Bo niedługo umrą* Powoli. Boleśnie. Blagając o litość, a wreszcie o śmierć. Za to, że zabrali mu coś, co do niego należy, co sam stworzył... Umrą*

Przed cmentarzem Lafayette dwa samochody zatrzymały się z piskiem opon i wyrzuciły ze swego wnętrza sześciu mężczyzn. Duvall i Bardo pierwsi wbiegli przez wysokie furty z żelaza. Pinkie nie czekał na pozostałych. Szukał rzędu wymienionego w notatce, skręcając w alejki między grobami, aż stanął przed właściwym. Pobiegł ścieżką, żwir chrząścił mu pod butami, usta wydychały obłoczki pary.

Nie był w stanie odgadnąć, co zobaczy. Szczątki Remy porzucone tutaj w zamykanej na suwak plastikowej torbie? Świeżo otwarty grób, krople jej krwi rozprysnięte na kamiennym pomniku? Pudełko od butów z prochami w środku? Ofiarę obrzędu wudu?

Przestał lekceważyć nieznanego wroga. Był inteligentny i przebiegły, znał Pinkie Duvalla i doskonale wiedział, gdzie uderzyć. Skazał go na to makabryczne uganianie się za własnym skarbem i miało się to zakończyć... Właśnie, czym?

Pośliznął się na żwirze, zatrzymując gwałtownie i natychmiast pojął, gdzie stoi.

Nie zobaczył niczyjego ciała ani krwi, ale wiadomość była jasna i wyrazista. Z zaciśniętymi pięściami, czując łomot w skroniach, czytał wygrawerowane na tabliczce nazwisko. Stał nad miejscem wiecznego spoczynku Kevina Michaela Stuarta.

Rozdział dwudziesty trzeci

- Czy on chce mnie zabić?

Dredd wlał łyżkę zupy do ust Remy, a ponieważ parę kropel pociekło jej po brodzie, zaczął skwapliwie osuszać je papierową serwetką. Mamrotał przy tym coś o tym, jaki jest obrzydliwie niezręczny, wyraźnie uchylając się od odpowiedzi na pytanie.

- Nie udawaj, że nie słyszałeś, Dredd - powiedziała, powstrzymując jego rękę, gdy znów sięgnął łyżką do miseczki z zupą. - Nie wpadnę w panikę. Po prostu chciałabym wiedzieć. Ma zamiar mnie zabić?

- Nie.

Nie wyczytawszy z jego twarzy nic, co by mogło wzbudzić jej wątpliwości, ułożyła się z powrotem, odprężona, na poduszkach, które podłożył jej dla wygody pod plecy. Uparł się ją nakarmić i chociaż z początku twierdziła, że da sobie radę sama, teraz była z tego zadowolona. Poranione plecy nie bolały już tak dokuczliwie jak przedtem, ale głowę miała ciężką od długiego, otumaniającego snu. Nie starczyłoby jej energii, żeby samodzielnie zjeść więcej niż kilka łyżek, a czuła zdumiewająco silny głód. Zupa, eourtbouillon jak ją nazwał Dredd, została ugotowana na rosółku z ryb z dodatkiem pomidorów, cebuli i ryżu. Była gorąca i bardzo smakowita.

- Chodzi mu o okup?

- Nie, cher. Basile nie dba o dobra doczesne. - Rozejrzał się po pokoju urządzonego meblami jak ze składu starzyny. Mrugnął do niej: - W tym jesteśmy do siebie podobni.

- W takim razie dlaczego?

- Wiesz o przyjacielu Basile'a, o procesie Wayne'a Barda, o tym wszystkim?

- Zemsta?

Stary człowiek odpowiedział coś niewyraźnie zniekształconym francuskim, ale wzruszenie ramion było aż nadto wymowne.

- Mój mąż go zabije.

- On o tym wie. Spojrzała pytająco.

- Basile nie dba o to, że umrze, jeśli pociągnie Duvalla za sobą. Próbowałem mu dzisiaj rano przemówić do rozumu, ale bez skutku. Diabeł go opętał.

W nadziei, że sobie go zjedna, wzięła Dredda za rękę i uścisnęła ją mocno.

- Proszę, zawiadom władze, proszę cię, Dredd. Jeśli nie ze względu na mnie, to na pana Basile'a. Jeszcze nie jest za późno, żeby się wycofał. Albo nie. Zadzwoń do mojego męża. Basile może przecież zniknąć, zanim on się pojawi. Wymogę na Pinkie, żeby nie wysuwał oskarżenia. Proszę, Dredd.

- Naprawdę z wielką chęcią bym ci pomógł, Remy, ale Burke Basile jest moim przyjacielem. Za nic bym nie zawiódł jego zaufania.

- Nawet dla jego własnego dobra?

- On by tego tak nie odebrał, cher'. - Delikatnie uwolnił rękę* - Dla niego to coś... to misja.

Poprzysiągł pomścić śmierć Keva Stuarta. Nikt mu tego nie wyperswaduje.

- Znasz go na wylot.

- Nie lepiej niż wszyscy. Niełatwo go przejrzeć.

- Co z niego za człowiek?

Dredd w zamyśleniu podrapał policzek przez gęstą SIWą brodę*

- Był sobie taki facet, który systematycznie bijął żonę i dzieci. Ile razy się upił, spuszczał im porządny łomot, czyli trzeba powiedzieć: bił bez przerwy. Ale zawsze gdy go aresztowano, jego lumpowata rodzina i przyjaciele wyciągali go z więzienia. Którejś nocy ktoś zadzwonił do dziewięćset jedenaście z meldunkiem o kolejnej awanturze i powiedział, że tym razem pijak musi ich żywcem obdzierać ze skóry, bo wrzask dzieci słyhać w całym sąsiedztwie. Gliniarz, którego akurat zastał ten telefon, wyruszył, nie czekając na wsparcie, bo po pierwsze, dzieci w niebezpieczeństwie, a po drugie, nie zakładał, żeby była mu potrzebna pomoc do poskromienia jednego pijaka. W rezultacie jest tak: strzelanina skończona, damski bokser leży martwy na podłodze, żona i dzieci cieszą się spokojem, jakiego nigdy w życiu nie zaznały, a funkcjonariusza, który zastrzelił sukinsyna, nękają ci z wewnętrznego. No, bo widzisz, paru mądrali zza biurka wykoncypowało sobie, czy przypadkiem ten gliniarz nie był już tak zmęczony i znudzony tym kretyńcem, co używał żony i dzieci w charakterze worka treningowego, że wykorzystał okazję, kiedy się nadarzyła, i zastrzelił pijaka, udając, że to w samoobronie. Tamten wprawdzie wyskoczył na niego z nożem rzeźnickim długim jak ramię mężczyzny, ale co ich to obchodziło. No i fatalny szum w mediach: podejrzany zabity przez policjanta, który miał go tylko aresztować. Kto by sobie odmówił przyjemności i nie porozwodził się nad brutalnością policji... Nikt nie stanął po stronie tego gliny. Nikt poza Basile'em. Basile nie opuścił go nawet wtedy, gdy inni przestali się do niego odzywać. Inni gliniarze nie chcieli mieć nic do czynienia z kolegą, przeciwko któremu toczy się dochodzenie, a Basile jakby postawił sobie za punkt honoru okazywać mu przyjaźń, gdy tego najbardziej potrzebował i gdy nikt poza nim nie chciał mu jej okazać.

Uznał opowiadanie za skończone, zabrał z jej kolan tacę i odstawił na komodę.

- Co się stało z tym funkcjonariuszem? - spytała Remy.

- W końcu zmuszono go do złożenia rezygnacji.

- I prowadzi Dredd's Mercantile? Odwrócił się do niej twarzą*

- To się zdarzyło osiem lat temu. Nie golilem się od tamtej pory. - Broda drgnęła, kiedy się uśmiechnął.

- Ale to było w samoobronie?

- Tak, ale nie o to chodzi. Basile zinterpretował wątpliwości na korzyść oskarżonego Dredda Michoud. Nie miał wtedy jeszcze żadnej rangi, mimo to nie robił tajemnicy z tego, że stoi po mojej stronie, a to nie było ani popularne, ani polityczne.

Wrócił do łóżka, niosąc butelkę w kolorze kobaltu. Odkorkował ją i wpuścił kroplę płynu do filiżanki z herbatą, która stała na skrzynce i zastępowała nocny stolik.

- Masz, wypij to teraz, cher. Musiałem cię kompletnie zmęczyć tym gadaniem. Czas, żebyś trochę pospała.

- Co mi dałeś? - zapytała.

- Po co ci nazwa, i tak nic by ci nie powiedziała.

- Pewnie aspiryna Bayera rozpuszczona w wodzie. - W drzwiach stanął człowiek, o którym rozmawiali. - Niezły chwyt, Dredd - dodał prowokująco. - Tajemnicza butelka i od razu sprawiasz wrażenie fascynującego alchemika.

- Od razu widać, jakiś mądry - Dredd rzucił mu gniewne spojrzenie. - Jeden łyk zwałiby cię z nóg, przenikliwcu, i unieszkodliwił na co najmniej tydzień.

Zatłoczony rupieciami Dredda pokój skurczył się jeszcze, kiedy Basile wtłoczył się między komodę a łóżko.

- Jak ona się czuje?

- Zapytaj ją.

Remy była akurat zadowolona, że nie zwrócił się bezpośrednio do niej. Postanowiła go ignorować.

- Gdzie się nauczyłeś leczyć ludzi, Dredd?

- Od babci. Słyszałaś kiedyś o traiteur?

- Znachorach?

- Zna pani francuski? - spytał ze zdumieniem Basile.

- I hiszpański - odpowiedziała spokojnie i natychmiast zwróciła się znów do Dredda.

- Dialekt cajun różni się od literackiego francuskiego, prawda?

- No, trochę - zachichotał. - Kiedy rozmawiamy między sobą, inni ludzie nie rozumieją ani słowa.

Dlatego tak nam się to podoba.

- Jaka była twoja babcia?

- Troszeczkę przerażająca. Już niemłoda, kiedy się urodziłem jej ostatniemu synowi. Nigdy nie odkryłem, z jakiego powodu akurat ja przypadłem jej do serca. Zabierała mnie ze sobą, kiedy wyruszała na bagna zbierać składniki do swoich mikstur. Warzyła ich dziesiątki. Ludzie przychodzili do niej po lekarstwo na wszystko, od żółtaczkę do zazdrości.

- Musiała być fascynującą kobietą. Skinął kudłatą głową.

- Odkąd są tutaj Cajunowie, są i ich znachorki. Niektórzy uważają, że to czarownice parające się czarną magią. W rzeczywistości są kobietami obdarzonymi specjalną mocą uzdrawiania i znajdują się na ziołach.

- Kobietami?

W większości. Ja jestem wyjątkiem - oświadczył niemal chępliwie. - Nie zdążyłem się nauczyć wszystkiego od babci Michaud, ale jak tylko się tu przeprowadziłem, zacząłem przygotowywać co mniej skomplikowane mikstury.

- I pewnego dnia wreszcie kogoś otrujesz.

- Ale jeszcze nie dzisiejszej nocy - odciął się Dredd. I jakby chcąc podkreślić, że ostatecznie utarł nosa Basile'owi, przysunął filiżankę do ust Remy. - Wypij, cher.

Basile mógł mieć rację. Herbata mogła być zatruta i ona zaśnie po niej tak głęboko, że już nigdy się nie obudzi. Wypiła jednak do końca, instynktownie ufając Dreddowi. Postawił liliżankę na tacy obok miseczki po zupie i poszedł do drzwi. Zatrzymał się w nich i burknął ostrzegawczo do Basile'a:

- Nie męcz jej.

Zostali sami. Remy pilnowała się, żeby na niego nie spojrzeć.

Wydawał jej się bardziej złowieszczy niż stojąca za nim na komodzie czaszka aligatora czy długi na sześć stóp wąż, przyczepiony do wytapetowanej gazetami ściany. Woląла w tej chwili patrzeć na makabryczne ozdoby Dredda niż na Basile'a. Zaczynało ją ogarniać przyjemne uczucie senności, ale

jednocześnie nie chciała, całkowicie bezbronna, zamknąć oczu i wystawić się na jego spojrzenie. Znad rąbka przybrudzonego prześcieradła wystawały jej nagie ramiona. Nie pamiętała, jak to się stało, że jest rozebrana. Nie chciała pamiętać.

- Nie przywiózłbym pani tutaj, gdybym rzeczywiście myślał, że mógłby panią otruć.

Mówił cicho, a mimo to w małym pokoju jego głos brzmiał nienaturalnie głośno. Chyba mikstura Dredda stępiła jej umysł, ale wyostrzyła zmysły.

Zwalczyła pokusę, żeby na niego spojrzeć, nie mogła jednak oderwać wzroku od nóg łóżka. Stał lekko pochylony, dłonie trzymał na żelaznej poręczy i wydawało się, że zaciska je mocno, jakby się obawiał, że się uniesie w powietrze.

- Gdyby mnie pan nie przywiózł tutaj, panie Basile, co by pan ze mną zrobił? Wyrzucił gdzieś na poboczu?

- Nie miałem zamiaru pani nic zrobić.

- Tylko że stało się. - Milczał uparcie, ale przecież nie oczekiwała przeprosin. - Pana przebranie doskonale wprowadzało w błąd.

- Dziękuję*

- Ojciec Gregory jest prawdziwym księdzem?

- Nie. Aktorem, którego sterroryzowałem, żeby to wszystko przeprowadzić. Została pani ranna wyłącznie z jego winy. Według mojego planu mieliśmy opuścić Crossroads tylko we dwoje.

- Co pan mu zrobił?

- Nic mu nie zrobiłem - warknął. - Uciekł, zanim się ktokolwiek obudził. Musiał się wyśliznąć sporo przed świtem.

Nie wiedziała, czy mu wierzyć, ale doszła do wniosku, że gdyby chciał coś zrobić ojcu Gregory'emu, zrobiłby to wczoraj, kiedy był na niego taki wściekły.

- Nie ujdzie to panu na sucho, panie Basile.

- Wcale tego nie oczekuję.

- A co pan chce osiągnąć?

- Spokój sumienia.

- I to wszystko?

- To bardzo wiele.

Spojrzała na niego w końcu, ale niczego nie wyczytała z tej twarzy.

- Co będzie ze mną?

- Zostanie pani przy życiu, żeby móc o wszystkim opowiedzieć.

- Pinkie pana zabije.

Stał z boku łóżka. Wyciągnął do niej rękę z czterema paskudnymi zadrapaniami, które na niej zostawiła.

- Nie! - krzyknęła i pokonując uczucie znużenia, złapała go za nadgarstek.

- Proszę puścić.

- Co pan chce zrobić. Niech mnie pan nie krzywdzi.

- Proszę puścić - powtórzył.

Posłuchała, bo nie miała siły z nim walczyć. Śledziła przerażonymi oczami jego rękę zbliżającą się do jej głowy. Palce dotknęły włosów, dłoń zaczęła się cofać i Remy zobaczyła, że Basile obraca między kciukiem a palcem wskazującym piórko, które wyszło z woniejącej stęchlizną poduszki Dredda - białe, delikatne, zakręcone.

- Boi się mnie pani?

Utkwiła wzrok jak zahipnotyzowana w kręcącym się powoli piórku. Oderwała wreszcie od niego oczy i podniosła je na mego.

- Tak.

Przyjął to do wiadomości i nie pośpieszył z zapewnieniem, że nie ma najmniejszego powodu.

- Boli coś panią?

Powieki jej opadły, jakby tym pytaniem przypomniawszy jej, że dostała coś na sen.

- Nie.

- Nic?

- Nie.

- A warga nie boli, tam gdzie ją sobie pani wczoraj przegryzła?

- Przegryzłam?

- Wczoraj krwawiła.

- Rzeczywiście, przypominam sobie. Nie boli.

- Lekarstwo Dredda nie zaszkodziło pani na żołądek?

- Wcale.

- Zastanawiałem się, że może nie powinna pani tego pić. Może to szkodzi na... Chciałem spytać, czy powinienem mu powiedzieć o dziecku, które pani straciła?

- Gdybym była w ciąży, może by to miało jakieś...

Nagle wróciła jej przytomność, ale powieki nie chciały jej słuchać, a kiedy wreszcie rozchyliła je z trudem, obraz Basile'a rysował się nieostro.

Stał wciąż przy łóżku, nieruchomy, tylko palce prawej dłoni ginały się i rozginały. Utkwił w niej spojrzenie i chyba był dolny czytać w jej sercu i umyśle.

- Skąd pan wie o moim dziecku?

Kiedy Doug Patout wrócił do biura, ze zdumieniem stwierdził, że czeka na niego Pinkie Duvall. Nie zdążył zamknąć za sobą drzwi, a Duvall już przypuścił atak:

- Gdzie byłeś cały boży dzień?

Patout, trafnie rozpoznając nastrój swego gościa i znając Wgo przyczynę, oszczędził im obu zwyczajowych powitalnych lormulek. Zrzucił płaszcz, odwiesił go i usiadł za biurkiem.

- W Jefferson. Zdziwiający, jakie to się zrobiło interesujące miejsce od wczoraj. Zdaje się, że też je odwiedziłeś wczorajszego wieczoru?

- Więc wiesz?

- Wiem. Nie mam natomiast pojęcia, dlaczego dałeś ten popis na użytek szeryfa. Dlaczego nie pozwoliłeś im ruszyć w pościg, dopóki ślad nie wystygł?

- Sam rozwiązuję swoje problemy i według własnego uznania.

- To, zdaje się, coś znacznie bardziej poważnego niż zwykły problem...

- Wpuściłeś się poza swój teren, Pa to uL Zwojowałeś coś z tymi wieśniakami?

- Tyle co ty, Duvall. Poza tym spędziłem kilka godzin w biurze szeryfa. Z zawodowej solidarności pozwolili mi przejrzeć protokoły z przesłuchań naocznych świadków. Rozmawiałem też z policjantami, którzy się pierwsi pojawili na miejscu. Ich mogłeś przekonać, że nie było żadnego incydentu, tylko dziwaczna seria źle zinterpretowanych wydarzeń, ale dla mnie jest oczywiste, że porwali ci żonę, Duvall. Nie sądzisz, że powinno wiedzieć o tym FBI? - dokończył gmewme.

- Nie. Kiedy już złapię Burke Basile'a, chcę go zabić własnymi rękami.

Jego arogancja przstraszyła, ale i zdenerwowała Patouta. - Masz cholerny tupet, żeby przyjść do mojego biura i ogłosić coś takiego. - Szarpnął dolną szufladę biurka i wyciągnął butelkę jacka danielsa. Wylał pokryte kożuszką męty zapomnianej porannej kawy do plastikowego kosza na śmieci i nalał do filiżanki burbona. - Gdzieś tu powinny być jakieś dodatkowe filiżanki.

- Dziękuję* Nie pijam z glinami.

- Aroganckie i obraźliwe. - Patout uniósł filiżankę w milczącym toaście, pokrzął się alkoholem, dolał sobie, znów wypił i dopiero wtedy zwrócił się ponownie do najbardziej wpływowego adwokata w mieście, który przed chwilą beczelnie zapowiedział, że zabije glinę, nieważne, czy byłego glinę, bo mu porwał żonę. - Jakim cudem pani Duvall mogła mieć coś do czynienia z tymi fałszywymi księżmi?

Adwokat opowiedział mu O Domu dla Jenny i porannym prywatnym śledztwie, które doprowadziło go do nędznej czynszówki. Kiedy doszedł do cmentarza, Patout uśmiechnął się kwaśno.

- To do niego podobne. Wyjaśnia też motyw jego działania. - Potrząsając głową ze zmartwienia, dodał niewyraźnie: - Jezu, chyba oszalał.

- Nie oszalał - zaprzeczył Duvall. - Gdyby oszalał, może miałbym dla niego trochę litości i zabił go od razu.

To przebiegły sukinsyn, który doskonale wie, co robi. Wydrę mu żywcem serce z piersi.

- Doradzałbym ci, żebyś się trochę hamował, Duvall. Nie zapominaj, gdzie jesteś.

- Wiem, gdzie jestem. I co z tego? Nic, co powiedziałem, nie wyjdzie poza ten pokój. Tak samo jak mnie nie zależy ci na zaangażowaniu się w tę sprawę fedsów czy tego przygłupiego szeryfa, bo chcesz chronić reputację Wydziału Narkotyków i twojego przyjaciela Basile'a.

- Odszedł. Nie jest już związany z wydziałem, a tym samym nie odpowiadam za niego.

- Oficjalnie nie. Ale skoro palma odbiła mu tak ciężko tuż po złożeniu rezygnacji, ludzie zaczną się zastanawiać, jak można było przeoczyć symptomy jego nerwowego załamania. Pytać, dlaczego nie oddano go pod opiekę psychologa, kiedy zastrzelił Stuarta. Dlaczego jego przełożony nie miał pojęcia, w jakim dołku psychicznym znalazł się jeden z podległych mu ludzi. Rozumiesz, do czego zmierzam, Patout? Jeśli się nie dobiorę do Basile'a zanim dobiorą się do niego władze, obudzisz się z ręką w nocniku.

- Dość tych pogróżek, Duvall.

- Ja po prostu mówię, jak się rzeczy mają.

- Jeśli Burke złamał prawo, zostanie odpowiednio do swojego czynu ukarany.

- Co do tego masz cholerną rację.

Przez moment Doug pożałował, że Burke nie może tego zobaczyć. Ucieszyłby się, widząc wreszcie nietykalnego dotąd Juvalla wyprowadzonego z równowagi. On sam czuł ogromną satysfakcję z tego powodu. Zasalutował w duchu przyjacielowi, że do czegoś takiego doprowadził.

- Może nie będzie ci tak łatwo zabić Basile'a, jak to sobie wyobrażasz - powiedział. - Może nie zdajesz sobie sprawy, z jakim człowiekiem masz do czynienia. Nie tańczy, jak mu grają. Kieruje się honorem.

- Coś podobnego! - rzucił adwokat z pogardą. - Chyba jednak nie znasz Basile'a tak dobrze, jak

to sobie wyobrażasz...

- Może nie - przyznał Patout. - Nie spodziewałem się, że pójdzie na aż takie ryzyko i dokona aż tak dramatycznego czynu, przez co zresztą znalazłeś się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Basile na pewno nie liczy na polubowne załatwienie sprawy. Nie zamierza skrzywdzić twojej żony. O to jestem całkowicie spokojny. Boję się, że to ty nie jesteś bezpieczny.

- Zupełnie mnie nie przeraża ten przegrany gliniarz, wałęsający się po świecie w przebraniu księdza.

- A powinien. Basile jest przebiegły. Znacznie bardziej niż ja, może i nawet niż ty, Duvall, choć wiem, że w to nie uwierzysz. W dodatku popycha go do działania zemsta. Potężna motywacja. Byłbyś głupcem, gdybyś się go nie obawiał.

Duvallowi rozjarzyły się oczy, ale nie podjął rękawicy; puścił mimo uszu zarówno obraźliwe sformułowanie, jak charakterystykę Basile'a.

- Kim jest ten drugi facet?

- Drugi ksiądz? Nie wiem.

- Gdzie mógłbym zacząć szukać Basile'a?

- Tego również nie wiem. Ale nie zajechał pewnie daleko tym swoim mikrobusiem. Sądząc z opisu, zbyt łatwo byłoby go rozpoznać.

- Już go znaleźli.

Wiadomość zelektryzowała Patouta.

- Gdzie? Kto go znalazł?

- Wysłałem paru ludzi na poszukiwania. Natknęli się na niego dwie godziny temu. Tkwił do połowy zatopiony w zalewisku między Nowym Orleanem a Houmą.

- Gdzie jest teraz?

- Tego się nie dowiesz.

- Stanowczo nalegam, Duvall, żebyś przekazał go władzom jako dowód rzeczowy.

- Stanowczo nalegam? - powtórzył adwokat szyderczo. - Zapomnij o mikrobusie, Patout. Żebyś nie wiem jak sobie nalegał, już go nie ma.

Patout wytrzeszczył oczy na Duvalla, potrząsając głową ze zdumieniem.

- Jesteś tak samo szalony jak on. Nie zamierzam tego dłużej tak zostawić. - Sięgnął po słuchawkę telefonu, ale adwokat wytrącił mu ją z ręki. Policjant zerwał się na równe nogi. - To naprawdę zaszło za daleko, nawet jak na ciebie, Duvall. Powinieneś zawiadomić FBI.

- Ktoś taki jak Pinkie Duvall nie potrzebuje FBI.

- Nie potrzebuje czy nie chce? - Pat out dźgnął go wskazującym palcem w pierś. - Nie chcesz angażować FBI, bo masz zbyt wiele do ukrycia. Jak się zaczną grzebać w twoich interesach, zapomną o porwaniu, szczęśliwi, że wreszcie trafili na aferę stulecia.

Policjant wiedział, że patrzy w oczy potwora całkowicie wyzutego z sumienia, ale nie spodziewał się, że potwór się uśmiechnie. Głos adwokata zabrzmiał cicho, niemal jedwabście i złowieszczo:

- Uważaj, Patout. Nie chcesz mnie przecież zdenerwować, co? - Odsunął rękę policjanta. - Wiem doskonale, jak sobie cenisz swoją obecną pozycję w Wydziale Narkotyków. Wiem też, że całym sercem pragniesz zostać inspektorem. Dlatego radzę ci, żebyś natychmiast zaczął szukać tego swojego chłoptasia, Basile'a, i nie ustawał w poszukiwaniach, aż go znajdziesz, jeśli nie chcesz zaprzepaścić widoków na dalszą karierę.

Kariera była dla Patouta wszystkim. Wcześniej doszedł do wniosku, że jego aspiracje kłócą się z udanym życiem rodzinnym, poświęcił więc małżeństwo i dzieci, żył samotnie, całym sercem oddany pracy. Nie żałował, że wyznaczył sobie karierę jako jedyny cel życiowy. I jednego był pewien: nie chciał tego stracić.

Wiedział, jakie szerokie powiązania ma Duvall, i nie mógł lekko traktować jego pogróżek. Wiedział również, że za tymi, które adwokat wypowiedział, kryją się nie wypowiedziane, i te właśnie martwiły go najbardziej.

- Jeśli ich odnajdę - powiedział powoli - i jeśli Basile zgodzi się dać spokój tej nedorzecznej wendecie, dasz mi słowo, że go zostawisz?

Adwokat namyślał się chwilę, a potem wyciągnął rękę nad biurkiem i uścisnął dłoń Patouta, jakby dobili targu.

- Nie ma mowy - odparł. - Ten sukinsyn porwał moją żonę, więc umrze.

Rozdział dwudziesty czwarty

- Wszystko gotowe - powiedział Burke, ignorując niechętnie milczenie tamtych dwojga.

Remy Duvall siedziała na zardzewiałym ogrodowym krześle na ganku przedwiojnej budowli Dredda. Ich gospodarz, z papierosem przyklejonym w kąciu ust, wyrzucał przynętę, żeby zwabić ryby. Dym z papierosa unosił się kółeczkami i mieszał z mgłą ścielącą się nad bagnami.

- Uprzeć się na coś takiego może tylko skończony głupek - dogadywał pod nosem, nabijając na haczyk żywą krewetkę*

- Usłyszałem to już z tysiąc razy. - Burke pomachał z mola do Remy i wskazał na małą łódkę, do której pakował towary ze sklepu Dredda.

- Nie widzisz, że jest słaba jak kurczak? - Dredd odłożył zrobiony przez siebie wiecierz i podszedł do niej. Wziął ją pod ramię, pomógł jej wstać i przeprowadził obok sedesu z porcelany, który w lecie służył jako rozsadnik, a teraz jako zbiornik na niedopałki i drobniejsze śmieci. Przeszli oboje pomostem do pala, przy którym stała przycumowana łódź.

Burke wszedł do niej pierwszy i wyciągnął rękę do Remy.

Zauważył, że się zawahała, podała mu jednak dłoń i ostrożnie weszła na chyboczącą się łódź. Burke asekurował ją, gdy siadała na szorstkiej niewygodnej ławeczce z nie oheblowanych desek, łączących metalowe burty płytkiego kadłuba. Rozłożyła ręce i złapała się kurczowo burt po obu stronach, patrząc na mgłę ścielącą się nad powierzchnią mętnej wody.

- Przyłynę za jakieś dwa dni, może dzień, po resztę zapasów - zapowiedział Burke Dreddowi, odwiązując linę z palika.

- Jesteś pewien, że się nie zgubisz?

- Jestem.

- Gdyby jednak...

- Nie zgubię się.

- No dobrze, już dobrze - powiedział gderliwie Dredd i przeniósł wzrok na Remy. - Zwróć uwagę, cher, czy opiekuje się tobą jak należy. Bo jak nie, odpowie mi za to.

- Jesteś bardzo miły, Dredd. Dziękuję ci.

Powiedziała to miękko i łagodnie i Burke poczuł się jak przysłowiowe piąte koło u wozu.

- Gdyby rana się otworzyła... - zaczął Dredd.

- Przecież mi już powiedziałaś, co mam wtedy zrobić - przerwał Burke zniecierpliwiony.

Gospodarz zamruczał pod nosem coś, czego Burke nie dosłyszał. Na szczęście, pomyślał. I tak mógłby powtórzyć, słowo po słowie, zdanie po zdaniu, co stary ma mu do powiedzenia.

Dredd był samotnikiem. Z nikim nie łączyły go bliższe więzy.

Ale Remy Duvall okazywał bezsensowne oddanie, które śmieszyłoby może lekko Burke, gdyby go tak cholernie nie irytowało. Najwyraźniej ta kobieta oddziaływała na każdego mężczyznę, którego

spotkała; może w inny sposób, ale, zdaje się, z podobną siłą.

Mimo wszystko nie chciał się rozstawać z Dreddem w nieprzyjaźni.

- Dzięki za wszystko - zawołał do niego.

Stary człowiek splunął do wody o parę cali od Burke.

- Trzymajcie ręce z daleka od wody. Trochę na nie za wcześnie, ale muszą być porządnie głodne, i to już od jakiegoś tygodnia albo dwóch.

Burke słyszał o dwóch aligatorach, które Dredd upodobał sobie tak bardzo, że nie chciał ich zabić i traktował jak przyjaciół domu. Nie dałby głowy, czy to nie legenda wykreowana przez samego Dredda, aby trzymać intruzów z dala od domu, niemniej odpływając zamachał ręką na znak, że przyjął do wiadomości ostrzeżenie.

Dodał trochę gazu, skręcił ster i łódź popędziła, rozcinając mgłę. Zanim wypłynął na dobre na rozlewisko, obejrzał się. Dredd siedział na krańcu mola łowiąc ryby. Siwa broda spoczywała na piersi, bosa stopy kiwały się nad taflą wody, niewidoczne pośród oparów unoszących się kłębam do jego łydek.

- Czy on nie zmarznie?

Remy Duvall także się na niego oglądała.

- Ma twardą skórę. Nie widziałem, żeby nosił inne ubranie, odkąd tu zamieszkał. Zimno pani?

- Nie.

- Proszę mi powiedzieć, jeśli pani zmarznie. Dam pani koc.

Nie sądził, by marzła opatulona w stare ubranie od Dredda i zawinięta w winylowe poncho, ale coś dziwnego się z nią działo. Siedziała sztywno, jakby kij połknęła, obydwoma rękami wczepiona w deski ławeczki, jak gdyby jej życie miało od tego zależeć.

- Uwaga na drzazgi.

- Proszę?

- Jeśli dłużej będzie pani zaciskała dłonie na tym drewnie, drzazgi pani wejdą w dłonie. Proszę się odprężyć. Nie popłyniemy już szybciej. Niekoniecznie trzeba mieć łódź pierwszej klasy, żeby przedostać się przez bagna.

- Nie doceniłabym różnicy. Pierwszy raz siedzę w łódce.

- Płynąc przez bagno?

- Nie, w ogóle w łódce. Roześmiał się z niedowierzaniem.

- Mieszka pani w mieście praktycznie położonym na wodzie i nigdy nie pływała łódką?

- Nie. Nigdy nie pływałam łódką. Można to jeszcze wyraźniej powiedzieć?

Ostry ton jej głosu sprowokował pelikana do lotu. Zerwał się ze swego schronienia z głośnym łopotem skrzydeł. Pani Duvall wzdrygnęła się.

- Spokojnie - powiedział Burke.

Wielki ptak musnął taflę wody tuż obok nich, a potem jakby się zdecydował, że gdzie indziej są lepsze tereny łowieckie, wzniosł się ponad mgłę i poszybował jak żywy symbol Luizjany, by zniknąć ponad wierzchołkami drzew.

Zależnie od punktu widzenia bagno można uważać za ziemię świętą lub przeklętą* Burke, choć w pełni świadomy jego pułapek, kochał je. Poznał jego tajemnice w czasie studiów, gdy spędzał tu z kolegami obficie zakrapiane piwem weekendy, przemierzając mile bezkresnego zalewiska i jego moczarów.

Z perspektywy czasu zrozumiał, jak bardzo byli lekkomyślni, wręcz głupi, podejmując te

wyprawy, ale jakimś cudem zawsze uchodzili cało, bez następstw groźniejszych niż kace, poparzenia słoneczne, ukąszenia insektów.

Postanowił wtedy, że jeśli kiedykolwiek dochrapie się jakichś porządnych pieniędzy, kupi sobie za nie właśnie w tym miejscu Lrochę spokoju. Podzielili się z bratem kosztami i w ten sposób obaj stali się właścicielami wędkarskiego azylu. Joe cieszył się bardzo weekendami, które tu razem spędzali, ale zupełnie nie podzielał nabożnego uwielbienia Burke dla pierwotnej tajemnicy bagna.

Tego akurat poranka wyglądało szczególnie złowieszczo: surrealistyczny, monochromatyczny pejzaż malowany wolią i mgłą, ze sztywnymi omszałymi drzewami o powykrzywianych gałęziach, wymierzonych błagalnie w złowróżbne chmury, płynące po ołowianym niebie.

Dla oczu nie zapoznanych z jego szczególnym pięknem bagno musiało wyglądać jak majak z koszmaru sennego. Zwłaszcza jeśli oglądało się je po raz pierwszy w życiu, i to w towarzystwie kogoś, komu się nie ufało, przed kim czuło się strach.

Spojrzał na nią i ku swemu zmieszaniu stwierdził, że mu się przygląda.

- Skąd się pan dowiedział o moim dziecku?

Ostatniej nocy udało mu się uniknąć odpowiedzi. Wpatrywała się w niego tylko kilka sekund, zanim zaczął działać czarodziejski eliksir Dredda. Potem zamknęła oczy, jej głowa zapadła się w poduszkę i Remy pograżyła się w głębokim śnie.

Wczoraj w ciągu dnia przyszło mu do głowy, że może nie powinna zażywać niektórych lekarstw tuż po poronieniu. Może któraś z mikstur wywoła skurcz, ponowne krwawienie? Przerazająca perspektywa. Co się dzieje z kobietą, która straciła dziecko? Jak długo trwa, zanim dojdzie do siebie, i co jest niebezpieczne? Za cholerę nie wiedział.

Odkąd poznał seks w wieku szesnastu lat, wiele razy zgłębiał mapę kobiecego ciała i nieźle się w niej orientował. Lata małżeństwa zdecydowanie go pod tym względem rozwinęły. Przez samo obcowanie z kobietami przyswoił sobie i rozumiał pewne pojęcia. Miał elementarną wiedzę o cyklu miesięcznym, podwiązaniu jajowodów, estrogenie, wyłyżeczkowaniu i usunięciu macicy. I nie chciał wiedzieć więcej. Bo jeżeli nie liczyć profesjonalistów, czy jakikolwiek mężczyzna pragnie tak szeroko poznać tajemnice kobiet? Zgłębić to, co od chwili Stworzenia przygotowuje o mękę i fascynuje zarazem? Wszystkie galaktyki świata nie wzbudzały w mężczyźnie tego zachwyty lub grozy, nie wywoływały tylu spekulacji.

Nie było przyciągania bez tajemniczości - przynajmniej dla Burke Basile'a. Nie chciał, by jego iluzje się rozwiały. Nie pragnął nadwątlenia swoich poetycznych wyobrażeń o kobiecości.

Niemniej musiał zapytać o poronienie. Dla spokoju własnego sumienia musiał wiedzieć, czy medykamenty Dredda jej nie zaszkodzą*

- Proszę mi odpowiedzieć - domagała się teraz. - Skąd pan wie o moim dziecku? Nikt poza moją lekarką nie wie. Nie wyznałam tego żadnej żyjącej istocie.

- A jednak komuś pani wyznała.

Obserwował jej twarz i natychmiast poznał, kiedy znalazła odpowiedź. Jej usta rozchyliły się w bezgłośnym okrzyku. Oczy, patrzące na niego jakby był antychrysem, zaćmiły łzy. Pojedyncza kropla przelała się przez powiekę i ściekła po policzku. Pamiętał strużkę krwi biegnącą od kącika jej ust. Poczul jeszcze większą gorycz.

- Słuchał pan mojej spowiedzi?

Odwrócił głowę, niezdolny spojrzeć jej w oczy.

- Jak to było możliwe?

- Czy to ma teraz jakiegokolwiek znaczenie?

- Rzeczywiście, nie ma znaczenia, jak pan tego dokonał. Zrobił pan to. - Po chwili dodała: - Jest pan wcieleniem zła, panie Basile.

Nie był zbyt dumny z samego siebie. Żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia, zaczął z niej szydzić:

- Ciskamy kamieniem, pani Duvall? Trochę śmieszne, co?

Zwłaszcza że mowa o kobiecie, która zrobiła z siebie dziwkę, sprzedając się bogatemu mężczyźnie.

- Co pan o tym wie? Co pan wie o mnie? Nic!

- Szz... - Burke uniósł dłoń.

- Nie wiem, co pan o mnie myśli, i nie obchodzi mnie...

- Cicho! - warknął.

Wyłączył silnik i zaczął nasłuchiwać. Trudno byłoby nie rozpoznać dźwięku nadlatującego helikoptera. Klnąc, zapuścił motor i otworzył całkowicie przepustnicę, sterując w kierunku zwartej kępy cyprysów. Zrąb kadłuba walnął o splątane korzenie, wystające z wody jak stalagmity. Burke położył dłoń na głowie Remy i przygiął ją do jej kolan, chroniąc przed uderzeniem nisko zwisających gałęzi. Gdy tylko się pod nimi zaszyli, natychmiast znowu zgasił silnik i złapał za korzeń cyprysa, żeby unieruchomić łódź. Na szczęście mgła kryła kilwater.

Remy napierała na jego rękę, próbując podnieść głowę*

- Tylko spokojnie.

Z dłonią przyciśniętą do głowy Remy utkwiał oczy w niebie.

Helikopter, tak jak się spodziewał, leciał nisko nad koronami drzew. Był zbyt mały, żeby transportować pracowników na platformę wiertniczą, nie było też na nim żadnych oznaczeń policyjnych. Mógł to być jeszcze instruktor, pokazujący kursantowi bagno z lotu ptaka, ale czy to prawdopodobne w dzień lak mglisty jak dzisiejszy?

Niewątpliwie Pinkie Duvall wysłał wynajętych zbirów na poszukiwanie żony i porywacza. Pani Duvall ręką próbowała oderwać jego dłoń od swojej głowy.

- Już poleciał. Proszę mnie puścić - udało się jej powiedzieć dość głośno, chociaż głos był stłumiony warstwą bezkształtnych ubrań, w które przystroił ją Dredd.

- Proszę siedzieć spokojnie. - Wytężył uszy, nasłuchując, czy helikopter nie zawraca.

- Nie mogę oddychać. - Zaczęła z nim walczyć na serio.

- Powiedziałem, proszę siedzieć spokojnie. Jeszcze...

- Puść mnie!!!

Posłuchał, wyczuwając, że wpadła w panikę* Chciała wstać, ale uderzyła głową w konar drzewa i przewróciła się na plecy. Łódź zakołysała się niebezpiecznie, a ona schwyciła się burty, zwiększając niebezpieczeństwo. Burke złapał ją za Tamiona.

- Siedz spokojnie, do cholery! Nie chcesz chyba, żebyśmy się wywrócili do góry dnem.

Spojrzała w kierunku, który wskazał ruchem brody. Nie dalej niż o dziesięć jardów od łodzi sunął, rozcinając mgłę, cichy i groźny aligator. Ponad powierzchnię wody wystawały tylko szpary gadzich oczu.

Przestała walczyć, ale nadal łapała powietrze krótkimi, urywanymi haustami.

- Nie mogłam złapać tchu.

- Przepraszam.

- Proszę puścić moje ręce.

Obserwując ją uważnie, powoli zwolnił uścisk. Przycisnęła dłonie do piersi, jakby chciała powstrzymać jej gwałtowne falowanie.

- Niech pan... niech pan robi, co chce, ale proszę mnie nie dusić.

- Nie chciałem pani udusić, tylko ochronić przed uderzeniem głową w gałęzie. Spojrzała na niego z rezerwą.

- Nie jestem głupia, panie Basile. Chciał pan mnie unieruchomić, żeby nie machała na helikopter.

- Fakt. Przytrzymałem pani głowę, żeby nie mogła pani machać na helikopter. Proszę jednak więcej ze mną nie walczyć. O mało nie wywróciła pani łódki. Następnym razem możemy mieć mniej szczęścia.

- Z całą pewnością nie chciałabym wylądować w wodzie. Nie umiem pływać. Prychnął szyderczo.

- Też nie jestem głupi, pani Duvall.

- To on! To ten! Ojciec Gregory. - Uśmiechając się triumfalnie, Errol postukiwał palcem w fotografię twarzy Gregory'ego Jamesa. Od kilku godzin przeglądał w prywatnym gabinecie Duvalla nielegalnie uzyskaną od policji kartotekę*

- Gregory James - zaczął czytać Pinkie, wciąż sceptycznie nastawiony. Podejrzewał, że ochroniarz wymyślił tę część historii, żeby chronić samego siebie. - Nie używa pseudonimów. Aresztowania za obrazę moralności publicznej. Prośba o ulaskawienie, warunkowe zawieszenie. - Odwrócił się do czekającego urzędnika. - Sprawdź, co teraz robi.

- Jest z Burke Basile'em i z panią Duvall - powiedział Errol, kiedy tamten wyszedł wypełnić polecenie adwokata.

- Nie rozpoznałeś Basile'a, chociaż widziałeś go na procesie Barda. Skąd mam mieć pewność, że rozpoznajesz ojca Gregory'ego?

- Widziałem Basile'a z dużej odległości. Poza tym wyglądał wtedy inaczej niż ojciec Kevin. Co do ojca Gregory'ego jestem pewny. Użył nawet własnego imienia.

- Zobaczmy - powiedział Pinkie, nadal nie przekonany. Errol spocił się jak mysz do czasu powrotu urzędnika.

- To się zgadza, panie Duvall. Gregory James siedział w areszcie parę miesięcy temu. Postępowanie zawieszono warunkowo.

- Widzi pan, mówiłem!

- Cóż, chyba jestem ci winien przeprosiny, Errol. Zdaje się, że dzięki tobie tożsamość ojca Gregory'ego nie jest już dla nas zagadką*

Errol promieniał. Pinkie pozwolił mu odejść, ale nakazał pozostać gdzieś w pobliżu, na wypadek gdyby był potrzebny. Ochroniarz wyszedł, gnąc się w ukłonach. W drzwiach minął Barda, który akurat wchodził do gabinetu adwokata.

- Del Ray zdążył już doprowadzić wszystkich do szau.

Siedzi od godziny i upiera się, że ma ważne informacje, ale może je przekazać wyłącznie tobie. Możesz go teraz przyjąć?

Nie okazując entuzjazmu, adwokat polecił go wprowadzić.

Dei Ray Jones nie stronił od żadnej działalności przestępczej, ale specjalizował się w ściąganiu długów. Przegranych klientów przybytków hazardu nie brakowało, interes kwitł i Jones utwierdził się w niewspółmiernym do rzeczywistości przekonaniu o swojej potędze. Był zdeprawowanym,

podstępny okazem pospolitego rzezimieszka, niezwykle zręcznie władającego nożem.

Pewnej nocy posunął się nieco za daleko w przyduszaniu zwlekającego z zapłatą klienta i podciął mu gardło. Po raz pierwszy popełnił morderstwo i trzęsąc się ze strachu przybiegł do adwokata prosić o radę. Pinkie poradził mu zniknąć na parę tygodni i zapewnił go, że podziemny świat Nowego Orleanu nawet nie zauważy braku jednego z pomniejszych hazardzistów.

Miał rację. Morderstwa nie wykryto, poza Pinkie nikt nie wiedział, gdzie pogrzebano ciało. Teraz, kiedy życie adwokata zostało przewrócone do góry nogami, Del Ray wprost płonął chęcią odwzajemnienia przysługi i zademonstrowania swojej lojalności i użyteczności. Bardo wprowadził go do środka, a Pinkie przystąpił od razu do rzeczy:

- Nie mam zbyt wiele czasu. Mam nadzieję, że go nie zmarnuję*

- Nie, panie Duvall - zapewnił gość, przeciągając językiem po drobnych, spiczastych zębach. - Spodoba się panu to, co pan usłyszy.

Pinkie wąpił. Dei Ray był tupeciarzem i drobnym cwaniaczkiem, takim małego formatu Sachelem bez stylu. Dla dolara posłałby na ulicę własną matkę.

W miarę jednak jak adwokat słuchał tego, co Jones mówił nieprzyjemnym, piskliwym głosem, jego zainteresowanie wzrastało. Kiedy tamten zakończył, Pinkie spojrział na Barda, który zawyrokował:

- Może to i niegłupie.

- To jest niegłupie, panie Duvall - zapewnił Dei Ray.

- W takim razie zabierajcie się do roboty.

Dei Ray, eskortowany przez Barda, wyszedł pośpiesznie z pokoju z uśmiechem zadowolonego z siebie Szczura.

Pinkie, zostawszy sam, wyprostował pobolewające plecy.

Wziął wczesnym rankiem prysznic w łazience przylegającej do gabinetu, a Roman przyniósł mu z domu czystą bieliznę. Odświeżył się nieco, ale bynajmniej nie czuł się wypoczęty. Pod powiekami czuł piasek z niewyspania.

Nalał sobie drinka. Podrażniając podniebienie wydelikaczone popijaniem starych win, przełknął łapczywie potężny łyk czystej szkockiej najlepszego gatunku. Drugiego drinka popijał już małymi łykami, przemierzając w zamyśleniu gabinet.

Co mógł przeoczyć? Co jeszcze można było zrobić? Do kogo jeszcze się zwrócić z prośbą o przysługę, żeby przyspieszyć odnalezienie Remy i śmierć tego sukinsyna?

Wykorzystał wszystkie dostępne mu możliwości. Postawił w stan pogotowia wielu ludzi. Precyzyjnie, niczym grupa dobrze wyszkolonych tajnych agentów, przeczesywali miasto i przyległe okęgi, wypytyując miejscowych i wysłuchując plotek. Żaden z nich nie natrafił na najmniejszy ślad wskazujący na miejsce pobytu jego żony. Kilku zbierało informacje wyłącznie o Burke Basile'u - jego zainteresowaniach, silnych stronach, słabostkach. Wynajęty helikopter przeszukiwał bagna, ale jak dotąd natknął się wyłącznie na porzucony mikrobusik.

Ze śladami krwi w środku.

Gregory'ego Jamesa? Może. Jeśli wierzyć świadkom, te mięśniaki nieźle mu dołożyły. Ale mikrobus miał strzaskane tylne okno. W tapicerce utkwili kilka ziaren śrutu. Możliwe, że to była również krew Remy. Pinkie nie mógł zaryzykować wszczęcia śledztwa, które by to wyjaśniło. Zniszczył mikrobus, chcąc mieć pewność, że żadne władze - federalne ani lokalne - nie zaangażują się w sprawę.

Jeśli Remy żyje, ale jest ranna, jeśli przebywa na bagnach, musi być przerażona.

Musi?

Do świadomości Pinkie torowała sobie powoli drogę, niby podstępnie drażący robak, nieprzyjemna myśl. Na początku przelotna jak ukłucie niepokoju, nieokreślonego i przemijającego, ledwie przecucie, że coś jest nie tak, że sprawy zmierzają ku gorszemu, nie lepszemu. W miarę jak mijały godziny bez jakiegokolwiek informacji o Remy czy jej porywaczu, bez żadnej wiadomości z żądaniem okupu, ta myśl zaczęła go zżerać jak rak.

A jeśli Remy wcale nie została porwana? Jeśli z własnej woli uciekła z Basile'em?

Absurdalny pomysł. Zatrwożyło go, że mógł wpaść na tak dziwaczną hipotezę w sprawie tak oczywistej. Nie było po temu żadnych przesłanek. Najmniejszych. Nie miała powodu, by go opuścić. Kochał ją do szaleństwa. Dawał jej wszystko, czego pragnęła.

Nie, to nie do końca była prawda.

Pragnęła małżeństwa w kościele i odmówił jej tego. Małżeństwo dla kogoś tak religijnego jak Remy było wielkim wydarzeniem, było sakramentem. Pinkie utrzymywał, że to nonsens, jak większość katolickich obrzędów. Religię stworzono dla kobiet i słabych mężczyzn. Tak więc zostali poślubieni w obecności sędziego, bez tego całego cyrku.

Tylko że według Remy żyli w grzechu.

Pragnęła także dziecka. Skrzywił się z niesmakiem na samą myśl ojej wyдутym jak balon brzuchu. Dziewięć miesięcy porannych wymiotów, postępującego zniekształcenia i beznadziejnego seksu i co dostajesz w zamian? Dziecko. Rany boskie!

Wystarczyło mu, że musiał się dzielić Remy z jej młodszą siostrą. Ich wzajemne uczucia prowadziły tylko do zadrażnień i niewygodnych sytuacji. Sądził o rodzinie dokładnie to samo, co o religii. Nie była potrzebna żadnemu niezależnemu mężczyźnie.

Z drugiej strony wzajemne przywiązanie Remy i Flarry działało także na jego korzyść. Wykorzystując je, mógł sterować Remy we właściwym kierunku, ilekroć przyszło jej do głowy zboczyć z drogi, którą on wyznaczył.

Natychmiast po powrocie z Jefferson, gdzie ostatni raz widziano jego żonę, sprawdził, jak się ma sytuacja w Błogosławionym Sercu. Nie wspominając o porwaniu, zapytał o Flarrę i z ulgą usłyszał, że jego młoda szwagierka wciąż przebywa w klasztornych murach.

Remy nie ruszyłaby się nigdzie bez Flarry. Co rozbijało w gruzy całą teorię o dobrowolnej ucieczce z Basile'em. A zresztą gdzie miałyby go poznać? Jak mieliby uzgodnić tak skomplikowany plan? Pinkie potrząsnął głową, jakby sam przed sobą przyznawał się do pomyłki. Nie uciekła; zabrał ją siłą i wbrew jej woli.

Ten Burke Basile. Ten skurwysyn, co rozeźmiął mu się w twarz, kiedy usłyszał propozycję swego życia. Teraz ma jego żonę.

To już wiedział. Pytanie, co Basile zamierza z nią zrobić. Mógł sobie to wyobrazić.

Na samą myśl o tym, oszalały, cisnął szklaneczką przez cały pokój. Rozprysnęła się na przeciwległej ścianie, po której zaczęła ściekać droga whisky. Errol wpadł do gabinetu, myśląc, że szefowi grozi niebezpieczeństwo.

- Wynocha!

Przestraszony ochroniarz wycofał się od progu, zamykając za sobą szczelnie drzwi.

Pinkie przemierzał pokój, jakby szukając ujścia dla wściekłości. Od dnia kiedy ułożył się z Angel o córkę, Remy była jego. Umieścił ją w Błogosławionym Sercu, aby mieć pewność, że pozostanie

czysta. Normalny program szkolny był konieczny, ale w jego głębokim przekonaniu mniej ważny od innego rodzaju wiedzy. Toteż od początku nalegał, by poznawała zasady etykiety, doskonaliła maniery, język. Spodziewał się, że kiedy już pokaże się z nią publicznie, Remy doda mu splendoru.

Po ślubie nauczył ją tego wszystkiego, co kobieta naprawdę powinna wiedzieć, czyli jak zadowolić mężczyznę. Jej garderoba odpowiadała jego gustom. Uformował ją na własną modłę, wykreował tylko dla siebie.

Żona Pinkie Duvalla musiała być równie doskonała jak jego orchidee, wina, kariera. Dlatego rozsadzała go wściekłość. Remy była dla niego stracona. Nigdy już nie będzie się nią cieszył.

Nawet jeśli Basile jej nie dotknął... Ale dlaczego miałby nie dotknąć.

Zresztą, i tak wszyscy będą się tego domyślać, a to wystarczy. Nie zniesie, żeby ktokolwiek mógł podejrzewać jego żonę o pieprzenie się z jego wrogiem. Nie zniesie. Nie mógłby. Nie może stać się pośmiewiskiem.

Od chwili gdy ją porwano, przestała być nieskazitelna, nie będzie już świecić dawnym blaskiem, a tym samym nie sposób jej dłużej akceptować.

A więc musi umrzeć razem z Basile'em.

Rozdział dwudziesty piąty

Chata stała na palach w kępie rosnących na bagnie drzew, oblanych wodą koloru i konsystencji grochówki.

- Nie jest to Ritz - oznajmił Basile, dopływając do starego drzewa, przygiętego do pali. Wszedł na nie, przywiązał linę do słupa i pomógł jej wysiąść. - Mam tu drugi pomost łączący chatę z półwyspem - pokazał ręką na prawo - ale zimą jest zalany, bo poziom wody się podnosi. A zresztą, i tak prawie się rozpada.

Spojrzała przed siebie na splątaną gęstwę drzew podszytą zaroślami i obrysowaną szuwarami. Ani skrawka suchego łądu. Wyglądało to tak, jakby wszystko tutaj, nawet drzewa, wyrastało wprost z wody.

- Jak głęboka jest woda?

- Dość głęboka - odparł szorstko i podał jej brązową papierową torbę z zakupami. - Drzwi nie są zamknięte na klucz. Proszę to ze sobą wziąć i wejść do środka.

Zostawiła go przy rozładowywaniu łodzi i układaniu paczek na pomoście, wystającym ledwie trzy stopy nad wodę. Jej kroki dudniły głucho na zniszczonych deskach, kiedy szła do budowli określanej przez niego mianem chaty, podczas gdy bardziej adekwatne byłoby „chałupina”.

Nacisnęła kłamkę i otworzyła drzwi. We wnętrzu panował mrok, wszystkie żaluzje były zaciągnięte. Pachniało pleśnią. Nawet w najlepszych domach południowej Luizjany walczono z niszczycielskim wpływem wilgoci. Ta chałupina najwyraźniej wystawiona była na nią już od dość dawna.

- Ostrzegałem panią, że tu nie ma luksusów - powiedział, stając za nią, i popchnął ją lekko, by weszła do środka. - Proszę na razie położyć torbę na stole. Muszę sprawdzić, czy nie ma karaluchów, zanim się zainstalujemy.

Zrobiła, co kazał, i rozejrzała się po wnętrzu. Był tu chyba tylko jeden pokój, chociaż zobaczyła w głębi drzwi z wymalowanym księżycem w kwadrze, prowadziły jednak prawdopodobnie do toalety.

- Działa, w każdym razie na ogół - powiedział jej. - Nieczystości spływają do zbiornika za półwyspem. Jest bieżąca woda, ale lepiej, żeby pani piła tylko butelkowaną* Do ściany po zachodniej stronie przylega zbiornik na wodę do mycia. Nie polecałbym kąpieli ani pływania w zalewisku.

Posłała mu chłodne spojrzenie, podeszła do okien i odsunęła żaluzje. Dzień był szary i światło skąpe, ale i tak ponure wnętrze rozjaśniło się nieco.

Pod ścianą stała wyściełana kanapa, która wyglądała jak siedem nieszczęść. Pośrodku kuchenny stół, jeszcze z lat pięćdziesiątych, z blatem z laminatu i zardzewiałymi żelaznymi nogami. Nogi trzech krzeseł w tym samym stylu również pokrywała rdza, miały za to wyściełane siedzenia, pokryte

jasnoniebieskim winylem. Kuchenka gazowa o dwóch palnikach, lodówki nie było.

- Nie ma światła - powiedział, jakby czytał w jej myślach - ale jest piecyk na gaz do ogrzewania.

Wziąłem od Dredda pełny zbiornik. Jest pani zimno?

- Chłodno.

Zaczął manipulować przy piecyku, a ona rozglądała się dalej. Poza małą gablotką, paroma stolikami i półkami miał jeszcze podwójne łóżko. Sterczały z niego zardzewiałe sprężyny, a materac pokryty płótnem w białoniebieski wzór był obrzydliwie poplamiony. Wisiała nad nim zwinięta w kłęb siatka na moskity.

Jakby w ślad za jej wzrokiem na łóżku wylądowała wypchana poszwa na poduszkę*

- Przywiozłem kilka czystych prześcieradeł. Może pani to powyciąga i pościeli, kiedy będę walczył z robactwem.

Zadowolona, że ma coś do roboty, wytrząsnęła zawartość poszwy na łóżko i stwierdziła z ulgą, że oprócz czystych białych prześcieradeł zabrał także cienką kołdrę*

- Jak długo tu zostaniemy?

- Dopóki pani mąż nas nie znajdzie.

- Na pewno znajdzie.

- Na to liczę.

- Ale nie liczy pan na to, że pana zabije.

Układał metodycznie puszki, które wyjmował z papierowej torby, na półkach z surowego drewna. Zastygł na moment, postawił konserwę na niższej półce, precyzyjnie wyrównał jej pozycję w rzędzie innych i odwrócił się powoli.

- Może to będzie fair, jeśli się pani tego dowie. Parę tygodni temu trzymałem przystawiony do głowy pistolet i zastanawiałem się, czy nie palnąć sobie w łeb. Nie zrobiłem tego tylko z jednego powodu: zamierzam zabić człowieka odpowiedzialnego za śmierć mojego przyjaciela. Nie dbam ani trochę, co się potem ze mną stanie.

- Boję się, że się pan myli, panie Basile. Kiedy już dojdzie do tego, że będzie pan miał do wyboru życie albo śmierć, wybierze pan życie.

- Niech pani będzie - stwierdził obojętnie i wrócił do układania puszek.

- Co z pana rodziną?

- Nie mam żadnej.

- Nawet żony?

- Już nie.

- Rozumiem.

- Nie, nie rozumie pani. - Zmiał w kulę pustą torbę. - Nie powiedziałem pani tego dla podtrzymania konwersacji, tylko dlatego, żeby dała pani sobie spokój z tą taktyką wzbudzania we mnie strachu, którą próbuje pani stosować. Nie zadziała. Wiem, jakim wielkim groźnym bossem jest pani mąż. Wszystko jedno co zrobi, i tak nie odwiedzi mnie od pomszczenia śmierci Keva Stuarta.

Cisnął papierową kulę w kąt i wyszedł do łodzi po kolejne pakunki. Od piecyka zaczęło się rozchodzić ciepło i Remy zrzuciła wełniany żakiet w szkocką kratkę, nadgryziony przez mole. Dokończyła słać łóżko i wtedy dostrzegła zwiniętą pod nim w pudle kołdrę. Wyciągnęła pudło i wyjęła kołdrę. Powąchała ją ostrożnie i zdecydowała, że w zasadzie nadaje się do użycia, trzeba ją jednak wytrzepać.

W otwartych drzwiach zderzyła się z Basile'em niosącym worek żeglarski.

- Dokąd się pani wybiera?

- Chcę ją wytrzepać.

- Ja to zrobię - powiedział, zdejmując torbę z ramienia i odstawiając ją. Zaniósł kołdrę na brzeg pomostu i potrząsał nią mocno, dopóki nie był pewien, że nie ma w niej insektów czy robaków. - Proszę, nie powinno tu już być żadnego paskudztwa. - Oddał jej kołdrę*

- Dziękuję*

Odwróciła się do drzwi i usłyszała, jak zaklął cicho.

- Niech pani to odłoży.

- Dlaczego? Co się stało?

- Proszę to zrobić.

Ale nie czekał, aż wypełni jego polecenie. Zabrał jej kołdrę, rzucił ją przez otwarte drzwi na łóżko i szybko odwrócił Remy plecami do siebie. Wyciągnął flanelową koszulę, którą miała na sobie, ze spodni, też od Dredda, i zanim zdążyła zaprotestować, odsłonił jej plecy.

- Co pan robi?!

- Ma pani plamy krwi na koszuli. Rany się otworzyły. Dredd mnie zabije, jeśli wda się w to infekcja. Proszę usiąść. - Podsunął jej jedno z chromowanych kuchennych krzeseł i nacisnął dłonią jej ramię, próbując ją zmusić, by usiadła, a ponieważ się opierała, zapytał: - O co pani chodzi?

- Zostałam porwana przez mężczyznę, który dopiero co wyjawiał mi swój zamiar zamordowania paru osób. Trochę się zrobiłam nerwowa, ot co.

Zaklął.

- Nie chcę pani zrobić krzywdy, rozumie pani? Niech się pani przestanie wreszcie wzdragać, ile razy przejdę koło pani. A teraz proszę usiąść i pokazać mi plecy.

Przysiadła na samym brzeжку krzesła.

Dredd zapakował wszystko, co im się mogło przydać, do worka żeglarskiego. Burke położył go na stole, a potem zrolował flanelową koszulę na jej plecach i podsunął ją wysoko na kark, żeby mu nie przeszkadzała. Remy przytrzymała podniesioną koszulę na piersiach rękami. Nasączył wateę środkiem antyseptycznym i zaczął dotykać tamponem krwawiących miejsc.

- Piecze?

- Nie - skłamała. Piekło okropnie, ale zniesie to z godnością*

W milczeniu czyścił ranki, jedną po drugiej, a potem zaaplikował maść. Nie robił tego ani pewnie, ani fachowo; nie miał delikatności i wprawy Dredda, nie umiał też tak jak on prowadzić znieczulającej pogawędki. Niezręczna cisza doskwierała jej jeszcze bardziej niż ból.

- Często pan tu przyjeżdża?

- Nie na tyle, żeby ktoś mnie tu szukał. Tak że niech się pani nie spodziewa jakiegoś przypadkowego gościa.

- Nie spodziewam się.

- To dobrze.

- Przyjeżdża pan tu zawsze sam?

- Czasem z bratem.

- Strasznie ciasno jak na dwóch mężczyzn.

- Gramy w orła i reszkę, kto zajmie łóżko.

- Przegrany śpi na kanapie?

- Aha. - Z hałasem zakręcił wieczko pojemniczka z maścią, dając znak, że skończył. - Musiały się

otworzyć, kiedy rozkładała pani pościel. Lepiej niech pani uważa na siebie przez resztę dnia.

- A co będzie ze mną?

- Co ma być?

- Będę rzucać monetą o łóżko?

Nie odpowiadał, więc odwróciła głowę. Ręce trzymała wciąż przyciśnięte do piersi, ale wysoko podciągnięta koszula odsłaniała plecy. Kiedy na niego spojrzała przez nagie ramię, zdała sobie sprawę - zbyt późno - że odebrał jej pytanie jako prowokacyjną propozycję.

- To jak by sobie pani to wyobrażała, pani Duvall? Reszka, przegrywam i idę na kanapę. Orzeł, wygrywam łóżko i panią? - Odetchnął głośno, z pogardą. - Powinno mi to pewnie pochlebiać, bo Duvallowi sprzedała się pani znacznie drożej, ale mimo to dziękuję, nie.

- Pani Duvall?

Del Ray Jones przybliżył twarz do twarzy swego klienta.

- Mówiłem niewyraźnie?

- Nie, Dei Ray. Masz niezwykle przykry zwyczaj opluwania ludzi, kiedy mówisz. Mamusia nie zadbała w porę, żeby ci założyć klamerki, i masz teraz taki zgryz, że człowiek się czuje, jakby mówiła do niego główka od prysznic.

Wąskie jak paciorki oczy Jonesa zwęziły się jeszcze bardziej.

- Jestem pewien, że jak wyteżysz mózgowicę, przyjdzie ci coś do głowy na temat pani Duvall.

- Żony Pinkie Duvalla?

- Słuchaj no, wiesz nawet więcej, niż ci się zdaje.

- Co to za domysły! - Mężczyzna wzruszył ramionami tak energicznie, jakby chciał, by mu odpadły. - Jeśli mowa o pani Pinkie Duvalla, to w życiu nie śmiałbym nawet podnieść na nią oczu, tak że o co ci właściwie, do cholery, chodzi?

- Ojoj! - Dei Ray przekrzywił głowę i uśmiechnął się prowokująco. - Daj se spokój z okłamywaniem starego Raya. Za długo jesteśmy przyjaciółmi.

- Przyjaciółmi? Zaraza z takim przyjacielem.

- Ranisz mi serce. - Jones przyłożył dłoń do piersi. - Przysięgniesz, że nic nie wiesz o pani Duvall?

- Przysięgam.

- Nie słyszałeś, że znikła?

- Znikła?

- Dobrze. Naprawdę dobrze. Szczere. Gdybym nie wiedział, że to nieprawda, uwierzyłbym w twoje zdziwienie. Mężczyzna znowu wzruszył ramionami.

- No dobra, coś tam słyszałem. Jakieś plotki, żadnych faktów. Zejdź mi wreszcie z oczu. Jesteśmy umówieni na piątek. Do piątku nie mam ochoty oglądać twojej gęby.

Już się odwracał, by odejść, gdy uzbrojona w sprężynowy nóż ręka Jonesa wystrzeliła ku niemu i koniusek ostrza znalazł się na jego policzku.

- Możesz sięgnąć po broń - już bez uśmiechu powiedział Jones - ale spieprzę ci buźkę, zanim wystrzelisz.

- Dałeś mi czas do piątku - odpowiedział mężczyzna, ledwie poruszając ustami. - Dostaniesz swoją forszę.

- Już raz mnie zwiodłeś.

- Nie tym razem. Postarałem się o gotówkę.

- Nie wciskasz mi kitu?

- Przysięgam na Boga.

- Powiem ci coś. - Jones odsunął nóż i zaczął uderzać ostrzem na płask w grzbiet dłoni, jakby zastanawiał się nad czymś, co mu właśnie przyszło do głowy. - Może byś wyszedł razem ze mną, spróbuję kogoś przekonać, żeby zapłacił twój dług.

- Zapłacił za mnie dług?

- I ty mówisz, że nie jestem twoim przyjacielem. Nie wstyd ci? - Pokazał na zaparkowanego przy ulicy cadillaca. - Pan Duvall chce z tobą rozmawiać.

- Pinkie Duvall chce ze mną rozmawiać?

- No. Czy to nie miłe z jego strony zaprosić cię w tak osobisty sposób?

- Cieszę się, że mógł pan przyjść tak od razu, pame McCuen.

Mac wszedł do prywatnego gabinetu ekskluzywnej kancelarii Pinkie Duvalla. DeI Ray Jones i Wayne Bardo deptali mu po piętach.

Jak do jaskini lwa, pomyślał McCuen, bo jak by inaczej to jeszcze określić? No i zgadnijmy, kto tu jest Danielem?

Usiłując sprawiać wrażenie całkowicie swobodnego, usiadł na wskazanym mu krześle. Bardo i Jones stanęli po jego obu bokach. Popatrzył adwokatowi prosto w oczy.

- W każdym razie jestem. Czego pan chce, panie Duvall?

- Odzyskać żonę.

- Odzyskać? - Mac roześmiał się z przymusem. - Więc ją pan stracił? Tak? Nie ma jej u mnie, ale może pan przeprowadzić rewizję, jeśli pan chce.

Wydało mu się, że Duvall nie docenił tego specyficznego żartu.

- Nie ma w tym nic zabawnego. Została porwana.

- Niemożliwe! - Mac spojrzał ukosem w górę, najpierw na Jonesa, potem na Barda, uniesieniem brwi okazując, że docenia ważność spotkania. Przeniósł wzrok z powrotem na adwokata i powiedział: - Kidnaping to działka federalnych. Czego pan ode mnie oczekuje?

- Na pewno nie rozwikłania zagadki. Wiem, kto ją porwał. Burke Basile.

Mac spodziewał się, że to właśnie usłyszy. Przygotował się na to, a nawet przepowiedział to sobie w myślach, ale teraz wypowiedziane głośno przez Duvalla słowa nabrały zupełnie mnej mocy.

Doug Patout był wytrącony z równowagi od chwili, gdy przeczytał w gazecie sprawozdanie z dziwnego incydentu w Crossroads. O mało go nie pogryzł, kiedy zapytał, co odkrył w Jefferson. On, McCuen zasypał go pytaniami, a Doug konsekwentnie uchylał się od odpowiedzi, twierdząc, że jak się okazało, nie jest to sprawa należąca do gestii policji. Może i nie była to oficjalnie sprawa policji, ale przynajmniej wyjaśniła się przyczyna tak dużego zdenerwowania Patouta - podejrzenia Maca co do Basile'a potwierdziły się*

Basile miał poważny powód, by mścić się na Duvallu. Ale zdecydował się to przeprowadzić w cholernie dramatyczny sposób. Mac wątpił, by jedynym motywem jego działania była zemsta, a myśl, że poza oczywistą przyczyną kryją się jeszcze inne, była niepokojąca. Zdecydował, że najlepszym sposobem na wyciągnięcie informacji od Duvalla jest grać głupka dalej.

- Dlaczego uważa pan, że to Basile ma pańską żonę? Co by chciał przez to osiągnąć? Ach! - udał nagłe olśnienie. - Zemsta za Kevina Stuarta. Założę się*

Duvall popatrzył na Barda i wzruszył ramionami w sposób, który poważnie zaniepokoił Maca. Jakby mówił: „Próbowałem być miły dla faceta, ale to nie działa”.

- McCuen, jestem zmęczony, zmartwiony i wpięprzony. Przejdę więc do rzeczy.

- Świetnie. Też mam coś lepszego do roboty.

- Chociaż ma pan niezwykle lukratywne zajęcie u boczne, jest pan winien Delowi Rayowi pięćdziesiąt tysięcy dolarów, prawda?

Mac wpadł w pętlę zadłużenia, kiedy banki zagroziły cofnięciem kredytu, jeśli nie pokryje znacznego debetu. Nie mógł się przyznać Toni, że zamiast pokryć długi, puścił się na hazard. Ani zakazać jej używania kart kredytowych.

Desperacko potrzebując gotówki, szukał pomocy wszędzie i przyszła w szkaradnej postaci Dela Raya Jonesa. Pożyczył mu on pewną sumę, którą Mac natychmiast przegrał. Ponieważ nie mógł spłacić pierwszej pożyczki, Del Ray udzielił mu następnej. A potem następnej.

Przysiągł sobie teraz, że jeśli wyjdzie z tego gmachu o własnych siłach, na własnych nie okaleczonych nogach, nigdy - póki życia - nie będzie grał. Nie będzie robił zakładów na wyścigach. Blackjack, poker, kości - wyklęte. Do diabła, nie rzuci nawet do końca życia monetą*

Ale skoro Duvall wie o jego długach, może się równie dobrze sam do nich przyznać.

- Raczej jakieś trzydzieści pięć tysięcy.

- Po dzisiejszej nocy doszły do pięćdziesięciu - poinformował go Duvall. - Jutro jeszcze wzrosną... Chyba że... - przerwał, żeby się upewnić, czy Mac uważnie słucha. - Chyba że zostaną skasowane. Zapłacone w całości. Wybór należy do pana.

Za dobrze znał metody działania Duvalla, by się ludzi, że brzmi to przyjaźnie. Serce mu nie drgnęło z radości.

- W zamian za?

- Basile'a.

Mac roześmiał się z niedowierzaniem.

- Nie wiem, gdzie on jest.

- Musi pan coś wiedzieć.

- Nie za bardzo mi ufał, kiedy razem pracowaliśmy. - Mac usłyszał swój własny głos, podszyty nagle piskliwą nerwowością. - Trudno żeby się to teraz zmieniło.

- Był u pana na kolacji w wieczór poprzedzający porwanie mojej żony. Mac przełknął ślinę. Jezu! Facet wie chyba wszystko.

- To był taki gest z mojej strony. Pożegnalna kolacja. To wszystko.

- Nie wyjawiał panu planu porwania?

- Boże święty, nie! Niech pan posłucha, panie Duvall. Basile nie ufa nikomu. A już zwłaszcza od śmierci Keva Stuarta zrobił się cholernie małomówny. Nikt nie był z nim blisko. W gruncie rzeczy nawet Patout. Basile jest samotnikiem.

- O tak - zadrwił Duvall. - Właśnie przebywa sam na sam z moją żoną.

- Cóż, naprawdę nic o tym nie wiem. Marnuje pan tylko czas. - Mac podniósł się do wyjścia, ale Del Ray zagroził mu drogę* - Trzeba było oszczędzić sobie podróży do śródmieścia, ty dupku - rzucił. - Mówiłem ci, że nic nie wiem o sprawie. Dostaniesz swoją forszę w piątek, dokładnie jak powiedziałem. - Odsunął lichwiarza z drogi i podszedł do drzwi.

- Niech się pan z tym prześni, McCuen - rzucił za nim Duvall. - Pogrzebie w pamięci. Może Basile zostawił jednak jakąś wskazówkę, którą trudno panu sobie tak ad hoc przypomnieć.

- Nie wiem, gdzie on jest - powiedział Mac, naciskając klamkę i otwierając drzwi. - Proszę mnie o to więcej nie nękać.

- Panie McCuen?

- Tak? - Mac był zły i wystraszony. Skąd, u diabła, wytrzaśnie pięćdziesiąt tysięcy dolarów? I to do piątku. Nawet jeśli będzie musiał błagać Jonesa o prolongatę, Duvall nie ma z tym nic wspólnego. Odwrócił się i spojrzał adwokatowi w twarz z pewnością siebie, której nie czuł. - O co chodzi, panie Duvall?

- Proszę przekazać wyrazy szacunku żonie. Serce o mało nie wyskoczyło McCuenowi z piersi. -
Mojej żonie? - wychrypiał nieswoim głosem.

- Toni to urocza dziewczyna.

Mac przeniósł oczy na Barda, który cmoknął obscenicznie. Del Ray zachichotał. Mac powoli zamknął drzwi prowadzące do gabinetu Duvalla, nadal stojąc w środku.

Rozdział dwudziesty szósty

Przez moment Gregory miał wrażenie, że znowu stoi na deskach scenicznych, chociaż światła reflektorów były dziwacznie rozproszone i mocno przyćmione. Słyszał oklaski. Brzmiały nieco inaczej niż zwykła owacja, ale były ciągłe, i to było pocieszające.

Kiedy wreszcie mrugając powiekami zlokalizował źródło światła, przekonał się, że nie ma ono nic wspólnego z lampami teatralnymi; patrzył na niego księżyc i to jego blask padał na mokradła. Woda uderzała rytmicznie w łódź, która ugrzęzła na jakimś solidnym obiekcie czyhającym pod powierzchnią, i właśnie ten odgłos wziął za oklaski. Ciekawe, czy utknęła na pniu zatopionego drzewa, czy na ciele olbrzymiego potwora. Nie wiedział i właściwie go to nie obchodziło. Groza sytuacji paradoksalnie stępiła uczucie strachu.

Bagno trwało jakby poza czasem, co było szczególnie widoczne w pochmurne dni, kiedy światło między świtem a zmierzchem prawie się nie zmieniało, następowały tylko subtelne zmiany w stopniu szarości. Gregory zaczął analizować te trzydzieści sześć godzin, które upłynęły, odkąd uciekł z Dredd's Mercantile, zostawiając właściciela makabrycznego domostwa chrapiącego w swoim sklepiku.

Basile spał w pokoju na tyłach, siedząc w krześle obok łóżka pani Duvall, z głową zwieszoną na pierś. Gregory widział go przez okno, obok którego musiał przejść, gdy skradał się na molo. Bał się nawet śpiącego Basile'a, ale w końcu nie bez powodu. W prawej ręce Burke wciąż tkwił pistolet, którym się posłużył, porywając panią Duvall.

Przewyciężywszy dreszcz niepokoju, Gregory poszedł, stąpając cichutko, na koniec mola i wsiadł do przycumowanej przy oślizłym paliku łódki, którą upatrzył sobie już wcześniej. Dopiero gdy odwiązawszy linkę, odepchnął się od przystani zdał sobie sprawę, że jest przeraźliwie mała. Kiedy zdał sobie sprawę także z faktu, że nie wie, jak na niej żeglować, ogarnęła go panika. Zaczął podejrzewać Basile'a, że posunął się do ekstremalnych metod europejskich odkrywców nowych lądów - niszczyli oni własne statki, żeby uniemożliwić ciemnym załogom ucieczkę z nowych miejsc.

Przez pierwsze kwadransy spędzone na wodzie rozważał co najmniej ze sto razy, czy nie zawrócić. Bardziej niż bagna bał się jednak Basile'a. Wybrał przerażające nieznanne, choć mogło go zniszczyć, bo co do Basile'a był pewien, że ten go zabije.

Mniej więcej po półgodzinie uwierzył wreszcie, że Burke nie przedziurawił kadłuba, i on, Gregory, nie pograży się w błotnej topieli. Łódź nie była wyposażona w silnik, musiał więc wprawiać ją w ruch wiosłem i wkrótce jego plecy i ramiona płonęły żywym ogniem. Każdy nieznan dźwięk przerażał go śmiertelnie. Każdy poruszający się cień wzbudzał panikę. Cudownie byłoby pograżyć się we łzach i rozpaczy, ale zamiast tego wiosłował niezmordowanie, prowadząc łódkę na oślep przez żeglowne pasma wody, wmawiając sobie, że zorientuje się, dokąd płynąć, gdy świt rozjaśni niebo.

Ale wschód słońca tylko wzmógł twogę. Dzień odsłonił niebezpieczeństwa litościwie skrywane przez noc. Każda zmarszczka na powierzchni bagna wywoływała w jego mózgu wizję jadowitego węża albo czyhającego na zdobycz aligatora, obserwującego go spod lustra wody. Rozdrażnione ptaki o monstrualnych skrzydłach nurkowały nisko, skrzecząc.

Jednostajność pejzażu przyprawiała o szaleństwo. Parł do przodu, w nadziei, że za linią horyzontu otworzy się widok przełamujący tę piekielną monotonię. Ale choć zdawało mu się, że zostawił za sobą dziesiątki mil, nic się nie zmieniało - oprócz niewiele różniących się od siebie połaci pejzażu ogarniętych na przemian światłem i mrokiem.

W południe pierwszego dnia zrozumiał, że się beznadziejnie zgubił. Był wyczerpany brakiem snu ostatniej nocy. W miarę upływu czasu coraz boleśniej odczuwał skutki pobicia. Jedno oko opuchło mu tak, że prawie nie widział. Oddech wydobywał się ze świstem przez zniekształcony nos, z którego co jakiś czas znowu zaczynała płynąć krew. Ostrożnie obmacawszy opuszkami palców usta, upewnił się, że są groteskowo napuchnięte.

Posiniaczony dosłownie i wewnątrz dałby milion dolarów za tabletkę aspiryny, a i tak musiałby ją przełknąć na sucho. Wyruszał w mniemaniu, że za godzinę lub dwie przybije w cywilizowanym miejscu, pokrzepi się jedzeniem i piciem i wynajmie środek transportu do Nowego Orleanu, nie zabrał więc żadnych zapasów, nawet wody.

To, że nie miał jedzenia, wydawało się zresztą nic nie znaczącą błażostką w porównaniu z myślą, że umrze samotnie, przez nikogo nie kochany, zagubiony w dzikiej głuszy. Jakiż nie sławny koniec dziecka, któremu Ameryka zaoferowała najlepsze, co ma do zaoferowania swoim pięknym i bogatym.

Nawet jeśli wydawało mu się, że natrafił na stały grunt, ani przez chwilę nie rozważał, czy ryzykować i wyjść z łodzi. Najupiorniejsze dni swego życia - wyjąwszy te ostatnie - spędził na letnim obozie, gdzie wysłano go wbrew jego woli, by okrzepł. Nie zdobył nawet najelementarniejszych skautowskich sprawności. Po dwóch tygodniach sfrustrowana starszyzna obozu zatelefonowała do rodziców, obiecując zwrot części opłaty, byleby tylko przyjechali i zabrali go ze sobą.

Każdego roku nieprzyjazne ludziom bagno pochłaniało myśliwych i wędkarzy - albo samo, albo zabijały ich zamieszkujące je bestie. Czytywał notatki o zatrważających śmierciach. Niektórzy nieszczęśnicy znikali bez wieści, i rodziny nawet nie wiedziały, jaki straszliwy los ich spotkał. Skoro Gregory James nie zdzierzył na letnim obozie, to na pewno nie był wyposażony w emocjonalne, duchowe ani fizyczne cechy sprzyjające przeżyciu na moczarach, a próba mozolnego przedzierania się przez ten ląd na własnych nogach równała się z pewnością samobójstwu.

Szansę ma tylko, jeśli pozostanie w łódce. Może nie zasługiwała na miano łodzi, ale jednak stanowiła pływającą oazę względnego bezpieczeństwa. Chroniła go przed bezpośrednim kontaktem z żywiołem, z jadowitymi zębami.

W miarę upływu godzin jego szanse na przeżycie topniały, nadzieja - i tak słabiutka - bladła. Nie pamiętał, w którym momencie się poddał - odłożył wiosła i rozciągnął na dnie obrzydliwie śmierdzącej łódki, czekając na śmierć. Mogło być to nawet wczoraj, bo nie przypominał sobie, by noc minęła.

Czy deszcz z nisko wiszących chmur padał już wczoraj, czy zaczął padać dopiero dzisiaj? Stracił rachubę*

W każdym razie teraz była noc. Słaby blask księżyca przesączał się przez chmury, i to było przyjemne. Niestrudzony księżyc przydający trochę romantyzmu jego śmierci. A jeśli zapadnie z

powrotem w sen, może mu się znowu przyśni to: stoi w światłach rampy, grając w naj świeższej sztuce na Broadwayu, a przed nim zachwycona publiczność robiąca mu owację na stojąco.

Nagle został wyrwany z majaków promieniem światła tak ostrego, że omal nie przewierciło mu czaszki. Odruchowo uniósł dłoń, by osłonić oczy. Zasypał go grad słów, ale nie rozumiał żadnego. Próbował się odezwać i odkrył, że stracił głos.

Potężne ramiona wyłoniły się gdzieś spoza źródła światła, sięgnęły po niego, wyciągnęły z łódki i bezceremonialnie rzuciły na podmokłą ziemię. Błoto było rozkosznie miękkie. Będzie leżał w błocie, z policzkiem przyciśniętym do niego jak do poduszki, i śnił dalej.

Ale ktoś przewrócił go na plecy i szarpnięciem zmusił, żeby usiadł. Coś dotknęło jego ust, krzyknął ze strachu i bólu. Strużka wody pociekła do jego ust i spłynęła do gardła. Przełykał chciwie, dopóki się nie zakrztusił.

Kiedy opanował kaszel, znowu spróbował się odezwać.

- Dziękuję. - Usta miał wielkie, jak z gumy, zupełnie jakby spędził cały dzień na fotelu u dentysty. Przeciągnął po nich językiem i poczuł smak krwi.

Światło, które wyrwało go z omdlenia, zostało litościwie zgaszone, i w naturalnym blasku dnia zobaczył wysokie do kolan, oblepione błotem buciory stojących nad nim samarytan. Nogawki spodni mieli wepchnięte w cholewy i Gregory pomyślał bezsensownie, że nigdy w życiu nie nosił w ten sposób spodni, do żadnych butów.

Przeprowadził skomplikowane dzielenie w pamięci: cztery pary butów równa się dwóm mężczyznom.

Rozmawiali między sobą niezbyt głośno i wciąż nie mógł rozróżnić ani jednego słowa. U niósł głowę, by im podziękować za ratunek, ale kiedy zobaczył ich twarze, słowa zamarły mu na spuchniętych wargach i znowu pogrążył się w omdleniu.

- Która godzina?

Na dźwięk jej głosu Burke odwrócił się od kuchenki. Siedziała na krawędzi łóżka, przecierając oczy.

- Dochodzi szósta.

- Spałam tak długo?

- Widocznie lekarstwa Dredda jeszcze na panią działają.

Poszła do ubikacji, a kiedy stamtąd wyszła, nalała sobie szklanek wody i wypila ją powoli.

- Tłuszcz jest za gorący - powiedziała po chwili milczenia. Może i nie był szefem kuchni, ale usmażył parę ryb w życiu i jakoś były jadalne.

- A panią kto nauczył gotować? - zapytał szyderczo.

- Sama się nauczyłam. Chrząknął z powątpiewaniem.

- Może trochę zapomniałam. Ostatnio nie miałam zbyt wiele okazji, żeby gotować, ale na pewno umiem. Jeśli nie zmniejszy pan płomienia, panierka się spali, zanim ryba dojdzie. Z przyjemnością za pana dokończę.

- Nie wątpię. Ocknę się z twarzą oblaną gorącym tłuszczem.

- Na razie jestem głodna, panie Basile. Wolalabym coś zjeść, zanim podejmę śmiałą próbę ucieczki. Nie jestem tylko pewna, czy dam radę unieść obiema rękami tę żeliwną patelnię.

Dwa rybne filety smażące się na gorącym tłuszczu pokrywały się chrupiącą skórką chyba rzeczywiście za szybko. Spojrzał na nią i doszedł do wniosku, że naprawdę jest za słaba, żeby go unieszkodliwić, prędzej unieszkodliwi siebie. Odsunął się na bok na znak, że ustępuje jej miejsca.

- To pan złowił ryby?

- Dziś po południu.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zacznę od początku. Mógłby pan zabrać patelnię z ognia?

Zrobił, o co prosiła. Zgasiła ogień i zdjęła łypatką przypalone filety z dymiącego tłuszczu. Kiedy stygł, przesiała między palcami panierkę, którą zrobił, mieszając mąkę z mączką kukurydzianą*

- Dodał pan soli?

- Hmm... nie.

- Jakichś przypraw? Potrząsnął głową.

Na wąskiej półeczce nad kuchenką stało kilka pojemniczków z przyprawami. Sięgnęła po pieprz cayenne. Burke cofnął się szybko o krok, a ona wybuchnęła śmiechem.

- Lokalny glina ulega pieprzowi - powiedziała, dosypując przyprawy do panierki. - Już widzę te tytuły.

- Nie jestem już gliną.

- Rzeczywiście nie. Przeszedł pan na drugą stronę i zaczął popełniać przestępstwa.

- Jak dotąd tylko jedno... Jak dotąd.

- Porwanie to trochę za mało ambitne jak na kryminalny debiut?

- Prowokuje mnie pani, pani Duvall? Według pani to śmieszne? Odwróciła się, zdumiona jego tonem.

- Może panią bawi, że Wayne Bardo zabił już dwoje ludzi od czasu, gdy za sprawą pani męża go uniewinniono? To 'I.naczy dwoje, o których wiemy. To ci dopiero cholernie podniecające, co? A może uzna pani za wesołe, że Kevin Stuart umierając osierocił dwóch dorastających chłopaków, którzy już nigdy się nie dowiedzą, jakim wspaniałym facetem był ich tata. Niech sobie pani to przypomni następnym razem, kiedy przyjdzie pani ochota do śmiechu.

- Na tym polega praca mojego męża. Po to są adwokaci, by uzyskiwać uniewinnienie dla swoich klientów.

- Proszę, proszę, widzę, że nieźle panią wyszkolił. No, ale też zdolna musi być z pani laseczka. Pomimo młodego wieku Illusiała się pani sporo nauczyć od mamusi, skoro udało się pani zastawić sidła na tak bogatego i wpływowego faceta.

- Nie ma pan kompletnie pojęcia, o czym pan tu rozprawia.

- Myli się pani, pani Duvall. Wiem wszystko o Angel, o jej legalnej pracy striptizerki i lukratywnym zajęciu ubocznym, prostytutce. Co jej pozwalało na kupowanie narkotyków.

Nie umiałby określić, jakie uczucia w niej wzbudził. Zdziwienie, że wie tak dużo? Złość, że wywleka przeszłość, o której l;hciałaby zapomnieć? Była zażenowana czy wściekła? Nie wiedział. W każdym razie napadła na niego.

- Skoro pan o tym wie, jak pan może mnie obwiniać, że dlciałam uciec od takiego życia? Gdybym nie spotkała Pinkie, Flarra i ja...

- Flarra?

- Moja siostra.

Siostra? Dlaczego to przeoczył? Nagle sobie przypomniał, że widział ją wchodzącą do ekskluzywnej szkoły.

- Ile ma lat?

- Szesnaście. Była jeszcze całkiem malutka, gdy Pinkie nas zabrał od matki.

- Angel dała wam tak po prostu odejść?

- Niezupełnie.

- A dokładnie? W jaki sposób to się odbyło?

Odwróciła głowę, ale stanął tuż przed nią i musiała na niego spojrzeć.

- Jak do tego doszło, że się pani związała z Duvalllem?

- Myślałam, że pan wie wszystko na ten temat, panie Basile - zakpiła.

- Chyba mogę sobie dośpiewać to, czego nie wiem.

- Niech się pan nie krępuje.

- Angel pracuje w którymś z jego klubów, ale jest opłacana nie tylko za rozbieranie się. Pinkie jest jednym z jej klientów. Pewnego dnia wpada mu pani w oko i Duvall odkrywa, że podoba mu się pani bardziej niż mamusia. Angel każe pani zastosować coś z arsenału sztuczek, jakich panią nauczyła, i obiecuje, że jeśli pani jej posłucha, złapie pani bogatego faceta. Zgadza się?

Spuściła głowę, jak mu się wydawało, w geście poddania i wstydu, ale trwało to moment. Podniosła ją buntowniczo, w jej oczach błysnęły łzy gniewu.

- Ma pan rację, panie Basile, Angel rzeczywiście mnie uczyła. Jako sześciolatka umiałam kraść dla niej papierosy tak, by mnie nie przyłapano. Jako ośmiolatka udoskonaliłam umiejętności i kradłam jedzenie, żebyśmy mogły zjeść kolację. Ale wnoszenie puszek i pudełek nie było zbyt wygodne, więc Angel poprosiła jednego z klientów, żeby nauczył mnie fachu kieszonkowca. Twierdził, że jestem bardzo utalentowana w tym kierunku. Że mam zręczne palce. Praktykowałam u niego, dopóki nie przerosłam mistrza. Jak się okazało, w sam czas, bo przyszła na świat Flarra, i pieniądze, które kradłam, przydały się na mleko i inne potrzebne jej rzeczy. - Przerwała na chwilę, by otrzeć łzę z policzka. - Chociaż nigdy nie było na wszystko, a czasami zdarzało się, że matka zabierała mi pieniądze, żeby kupić narkotyki, zanim ja zdążyłam je wydać na Flarrę* Musiałam kraść częściej, bezczelniej i pewnego dnia sięgnęłam do niewłaściwej kieszeni. Pinkie Duvall szedł za mną do domu, bo chciał, żeby mnie aresztowano. Ale kiedy zobaczył, jak żyjemy, zmienił zdanie.

- Złożył Angel propozycję. Zapomni o złodziejstwie w zamian za panią.

- Za nas obie, za mnie i Flarrę. Matka się zgodziła, żeby został naszym opiekunem.

- Spodziewam się. Wiedziała, czego chce Duvall. Zauważyła, jak się oblizywał na widok jej rozkwitającej młodej córeczki.

- To nie było tak - upierała się, potrząsając głową.

- Pinkie Duvall został pani opiekunem z czystej dobroci serca czy z chrześcijańskiego miłosierdzia? - roześmiał się. - Nawet pani w to nie wierzy, więc dlaczego sądzi pani, że ja uwierzę?

- Nie musiał przyjmować na siebie odpowiedzialności także za Flarrę.

- Musiał, skoro miało to wszystko pójść gładko i zgodnie z prawem. Sędzia mógł nie przełknąć Pinkie Duvalla jako opiekuna prawie dorosłej kobiety. Co innego dwie narażone na wykorzystywanie, zaniedbane siostry. Znacznie gładsza sprawa.

Może to wspomnienie rodziny Kevina, która odrzuciła jego przyjaźń, może drgnienie litości, którą poczuł dla niedorosłej Remy i jej malutkiej siostrzyczki Flarry, a może poczucie winy, które męczyło jego sumienie, rozpałiło ten gniew i doprowadziło do wybuchu. Czuł, jak rośnie w nim mroczne, podłe uczucie. Chciał ogłuszyć Remy Duvall zniewagami, zniszczyć okrucieństwem. Chciał, żeby ktoś jeszcze na tej ziemi doznał takiego bólu serca jak on. Jakby wbijano w nie ciernie. Najwyższy czas, pomyślał, żeby ktoś jeszcze doświadczył piekła, w jakim się żyje ze świadomością, że zabiło się przyjaciela.

Zrobił kilka kroków, aż nie miała się już gdzie cofnąć, i stał tak blisko, że widział swój obraz w jej źrenicach.

- Postarała się pani wyrzucić to ze swojego mózgu, ale dobrze pani wiedziała, czego trzeba Duvallowi. Młodej dziwki, która będzie się uczyć od starego rozpustnika.

- Dlaczego pan mnie tak nienawidzi?

- Założę się, że pani dziewictwo było pewne. Inaczej Duvall zwróciłby panią Angel.

- Nie podoba mi się, że pan tak do mnie mówi.

- Poczekał dzień lub dwa czy od razu panią wypróbował?

Złapała łyżkę z patelni, rzuciła nią w niego i uciekła. Gorący tłuszcz przysnął mu w oko. Przycisnął dłoń do oczodołu i potykając się, rzucił się biegiem do drzwi. Ledwie przez nie wybiegł, coś ciężkiego uderzyło go w tył głowy. Cios zwałił go na kolana i natychmiast poczuł drugie uderzenie.

Przewrócił się twarzą na molo i stracił przytomność.

- Nanci?

Nanci Stuart uciszała synów kłócących się na tylnym siedzeniu. Odwróciła się na dźwięk swego imienia i wykrzyknęła ze zdziwieniem:

- Doug?! Co ty tu robisz, na Boga?

- Przyszedłem trochę poćwiczyć. Podobno rośnie ci dwóch nie byle jakich ligowców.

- Uważam, że jest jeszcze za zimno na baseball, ale trenerzy uparli się na szybki początek sezonu.

- Masz chwilkę?

- Właściwie... - zawahała się. - Mieliśmy właśnie jechać na spotkanie drużyny przy pizzy.

- Aha. - Pat out rozejrzał się, potem wpatrzył się w ziemię i zaczął czubkiem buta rozrzucać żwir.

- Przepraszam, że cię nachodzę w ten sposób, ale muszę przedyskutować z tobą coś, co nie nadaje się na telefon.

Niepokój zagościł na ładnej twarzy Nanci.

- O co chodzi?

- Basile. Gdzieś się urwał. Muszę go znaleźć.

Chłopcy zaczęli marudzić, że się spóźnią. Nanci otworzyła drzwi samochodu i dała znak, żeby wysiadali.

- Jedźcie z Haileyami. Powiedzcie pani Hailey, że zaraz za wami wyruszę. I uspokójcie się!

Nie zastosowali się oczywiście do ostatniego polecenia i popędzili na łeb, na szyję przez parking do mikrobusu zatłoczonego takimi samymi urwisami. Czyjaś mama zaokrętowała ich na pokładzie, a potem pomachała do Nanci, sygnalizując, że przekazali jej wiadomość.

- Chłopcy tęsknią za Burke - powiedziała Nanci, odwracając się do Patouta. - Stale o niego pytają. Wolałam, żeby nie słuchali naszej rozmowy.

- Tęsknią? - zapytał skonsternowany. - Myślałem, że jest jak członek rodziny.

- No tak, ale poprosiłam go, żeby więcej nie przychodził. - Wyjaśniła Patoutowi, z jakich powodów. - Wiem, że go uraziłam, Doug, ale te wizyty sprawiały mi ból. Jego widok boleśnie przypominał o śmierci Keva i o tym, jak zginął. Chciałam, żeby to odeszło w przeszłość.

Patout zapytał, kiedy widzieli się po raz ostatni, a gdy usłyszał odpowiedź, zmarszczył się.

- W tym mniej więcej czasie złożył rezygnację.

- Rezygnację? Odszedł z wydziału?

Opowiedział jej, jak to się odbyło, jak Burke spokojnie, ale stanowczo obstawał przy swoim, mimo jego namów.

- Nie wiedziałam, że on i Barbara się rozeszli - powiedziała zmartwiona. - Nie wspomniał mi o tym.

- Nie przeżył tego ani w połowie tak ciężko jak śmierci Keva. Wciąż go to dręczy. Nie zdawałem sobie sprawy, jak hardzo, dopóki... do tej pory.

- Co się stało, Doug? Co miałeś na myśli, mówiąc, że się urwał? Czy to znaczy, że gdzieś zniknął?

- Na to wygląda. Przyłożyła drżące palce do ust.

- Nie myślisz chyba, że coś sobie zrobił?

- Nie, to nie to, ale nie mogę ci nic więcej powiedzieć, byłoby to nie fair wobec Burke, bo wciąż mam za mało danych.

- Danych? Na jaki temat? Czy on... Chyba niczego nie zrobił?

- Wolałbym o tym nie rozmawiać, Nanci - powiedział Patout z rezerwą. - Wydarzyła się pewna rzecz, ale na razie Ilie zajmuję się tym oficjalnie, ponieważ druga strona woli zachować dyskrecję. Ale to się prawdopodobnie zmieni, Nanci. Jeśli będę miał szczęście i szybko odkryję, gdzie on jest, być może zapobiegnę prawdziwemu nieszczęściu. Jeśli nie, wszystko wskazuje na to, że koniec z nim.

- To moja wina - jęknęła, załamując ręce.

- Nie, nie twoja. Był bliski załamania, więc i tak by do tego doszło, nawet gdybyś go nie poprosiła, żeby nie przychodził.

Zupełnie nie przekonana, zapewniła go, że postara się mu pomóc.

- Powiedz mi, dokąd mógł pojechać. Może wspominał ci o jakimś konkretnym miejscu, do którego jeździł?

- Sama nie wiem. Wspominał, zdaje się, o jakiejś chacie i wędkowaniu, ale... - Potarła czoło, jakby mogła tym pobudzić pamięć. - Nawet jeśli kiedykolwiek mówił; gdzie to jest, nie pamiętam. Barbara powinna tu pomóc.

- Nigdy nie mogłem jej zastać w domu - powiedział Patout z kwaśną miną - więc w końcu zadzwoniłem do szkoły, w której uczy, i dowiedziałem się, że ona i jej przyjaciel wzięli parę dni urlopu i pojechali na Jamajkę. Nie było ich już w mieście, gdy Burke zniknął. Ona nic o tym nie wie.

- Żałuję, że nie mogę pomóc. - Nanci miała zrozpaczoną minę* - Kochaliśmy Burke. Był naszym najbliższym przyjacielem, moim i Keva. Dużo mnie kosztowało powiedzieć mu, żeby nie przychodził... Rozumiesz moje powody, prawda?

- Rozumiem. I jestem pewien, że on także. - Dotknął jej ręki w pożegnalnym geście i przeprosił, że ją zatrzymał. - Zadzwon do mnie, gdybyś sobie o czymś przypomniała - rzucił na odchodnym.

- Rozmawiałaś już z jego bratem? Patout przystanął.

- Bratem?

Rozdział dwudziesty siódmy

Burke był nieprzytomny parę minut, ale Remy Duvall zdołała w tym czasie oddalić się łodzią o jakieś dwadzieścia, trzydzieści jardów. Usiłowała teraz zapuścić silnik.

Przeszedł na czworakach do końca pomostu i zawołał ją po nazwisku. Błyskawica bólu przeszła mu mózg i zastanowił się, czym go mogła uderzyć i skąd w takiej wiotkiej kobiecie tyle siły.

Kierowała się ku lądowi, to znaczy w tę stronę, którą jej wskazał, ale wtedy celowo wprowadził ją w błąd - stary pomost znajdował się po przeciwnej stronie.

- Pani Duvall, zginie pani, nawet jeśli uda się pani dostać na stały ląd. Zgubi się pani i nigdy nie odnajdzie właściwej drogi.

Dała sobie spokój z silnikiem i wzięła się z powrotem do wiosł. Burke rozważał przez moment, czy nie puścić się za nią w pogoń. W niektórych miejscach bagna woda sięgała ledwie po kolana, ale tutaj przykryłaby go z głową. Kiedy indziej nie byłoby to żaden problem. W minutę podpłynąłby do łodzi. Ale czuł się oszołomiony, było mu niedobrze i nie wiedział, czy w wodzie nie straci przytomności. Mógłby nawet utonąć. Co z resztą i ją wystawiłoby na niebezpieczeństwo, bo, do cholery lasnej, kiedy ją ostrzegał, że na samotną, zagubioną na mokradłach osobę czyha wiele pułapek, mówił przecież serio.

Pozostało mu tylko jedno i było to naprawdę sukinyńskie. Nie widział jednak innej możliwości, żeby ją zatrzymać. Z trudem wstał na nogi. Zachwiał się i musiał na chwilę zamknąć oczy, dopóki horyzont nie przestał się kołysać i nie wrócił na swoje miejsce. Kiedy fala mdłości minęła, poszedł chwiejnym, kołyszącym krokiem w kierunku chaty. Kiepska parodia Johna Wayne'a, pomyślał.

Pistolet był tam, gdzie go ukrył.

Poruszając się tak szybko, jak mu na to pozwalało zachwiane poczucie równowagi, dotarł do końca mola i trzymając broń w obu rękach wycelował w łódkę.

- Ma pani zawrócić i przypląć z powrotem, pani Duvall. - Zignorowała go oczywiście. - Jeśli pani nie posłucha, narobię dziur w burcie i łódź zatonie.

Obejrzała się na niego, zobaczyła pistolet, ale zupełnie jej to nie zaniepokoiło.

- Nie narobi pan, panie Basile.

- Niby dlaczego?

- Bo strzały mogłyby kogoś zaalarmować, a pan tego nie chce.

- Nie słyszała pani o tłumikach?

To na niej wreszcie zrobiło wrażenie. Opuściła wiosła.

- Nie jest pan mordercą, panie Basile. Nie zatopi mnie pan przecież razem z łodzią.

- Proszę się zabrać z powrotem do wiosł i wracać. Nie posłuchała.

- Niech pan pamięta, że nie umiem pływać - powiedziała.

- A pani, że nie jestem głupi.

Wystrzelił tak, by jej nie trafić, i zrobił rząd precyzyjnych otworów w burcie o cal pod powierzchnią wody.

Dopiero później dotarło do niego, że nie krzyknęła, jak się tego można było spodziewać. Albo zagłuszył ją wrzask ptaków, które zdążyły już pozasiadać na nocny odpoczynek w gniazdach założonych na wyższych gałęziach pobliskich drzew, i teraz podniosły głośny protest. Pomimo tłumika wystrzały wydały się niezwykle głośne w ciszy otulającej bagna nocą.

Woda przeciekająca do środka wprawiła ją w panikę. Zaczęła przyciskać dłonie do dziur zrobionych przez kule, ale oczywiście daremnie.

- Niech pani skacze, pani Duvall. Może pani od razu przyholować łódkę, jak będzie pani płynąć z powrotem.

- Nie umiem.

- Ależ umie pani. Trzeba po prostu trzymać linkę.

Była coraz bardziej przerażona i z tej odległości wyglądało to przekonująco. Burke podejrzewał jakiś trik. Robiła wrażenie równie niebezpiecznej i podstępnej jak mała szara myszka, a mimo to zwiodła go wielokrotnie - szarpiąc boczne drzwi mikrobusu podczas szalonej ucieczki; usiłując wyciągnąć kluczyki ze stacyjki; rzucając w niego ociekającą gorącym tłuszczem łopatką. W dodatku niemal rozłupała mu kijem głowę, kiedy wybiegł z chaty. Nie da się więcej nabrać na tę pozorną bezbronność i niewinność.

Musiał przyznać, że to był jej najlepszy występ. Wyglądała lla całkowicie owładniętą paniką, kiedy stanęła w niebezpiecznie kołyszącej się łodzi.

- Proszę, panie Basile. Ja utonę.

- Nie utonie pani.

- Proszę!

Wyciągnęła ramię, jakby chciała się go schwycić pomimo odległości. Łodzią zachybotano i wywróciła się do góry dnem, wyrzucając ją do mętnej topieli. Woda rozprysła się wokół niej i pani Duvall zniknęła. Nie wypływała. Burke nigdzie jej nic widział. Zdenerwowany, wstrzymując oddech, prześlizgiwał się wzrokiem po powierzchni wody i wreszcie zobaczył jej głowę*

Odetchnął głęboko. Kolejny podstęp.

Ale ukazała się na powierzchni tylko na sekundę i łapiąc ciężko oddech zanurzyła z powrotem. I tym razem nie wypłynęła.

- Cholera - wyszeptał Burke. A po chwili powtórzył głośnie: - Cholera!

Zapominając o oparzonem oku i ewentualnych konsekwencjach wstrząśnienia mózgu, które u siebie podejrzewał, rzucił pistolet na molo i skoczył.

Zupełnie jakby płynął w tłustej mazi. Jak w koszmarze sennym: im dłuższe wykonywał pociągnięcia ramionami, im silniej odpychał wodę nogami, tym wolniej się poruszał. Kiedy dopłynął do wywróconej łodzi, płuca i mięśnie płonęły mu żywym ogniem. Przytrzymując się rękami kadłuba, odetchnął kilka razy głęboko, a potem zanurzył się w wodę.

Robił koła o coraz większym promieniu, macając na oślep, dopóki nie musiał się wynurzyć, by nabrać powietrza. Wtedy zobaczył jakieś dziesięć jardów przed sobą wydobywające się wody pęcherzyki powietrza. Wziął głęboki oddech i zanurkował w tamtą stronę.

Jej włosy musnęły jego ramię - jakby pod powierzchnią bagna rosły jedwabiste wodorosty - ale kiedy wyciągnął rękę, zagarnął w pięść tylko wodę. Macał rękami jak oszalały. Wreszcie ją znalazł. Rozrywało mu już prawie płuca, lecz oplótł ją ramionami i odepchnął się od grząskiego dna

zalewiska. Nie było głęboko, mimo to wydawało mu się, że nigdy nie wypłynie z gęstej jak zupa wody.

Wynurzył się w końcu, złapał haust powietrza i nie czekając, aż odzyska oddech, popłynął z powrotem do pomostu, ciągnąc za sobą Remy Duvall. Nie poruszała się, nie usiłowała mu przeszkodzić, gdy ją ratował, jak to często robią ludzie, którzy się topią* Wolał nie myśleć dlaczego. Zmusił się, by spojrzeć na jej twarz. Była nieruchoma a i biała jak maska pośmiertna, pokryta szlamem.

Dopłynął do pomostu i wtedy pojawił się następny problem: jak się na niego wspiąć i jej nie wypuścić. Pośpiech był najważniejszy. Leżała bezwładnie, przerzucona przez jego lewe ramię* Jak długo już nie oddychała?

Czas naglił. W końcu znalazł w sobie dość siły, aby wyciągnąć prawą rękę i ucześcić się jednego z kołków. Dwukrotnie bezskutecznie próbował podciągnąć się wyżej i zarzucić prawą nogę na pomost. Wreszcie mu się to udało. Wisiał tak, z piętą na pomoście przez kilka sekund, zbierając siły i usiłując zmusić mięśnie do pracy.

Herkulesowym wysiłkiem przesuwając prawą nogę po deskach, aż wreszcie mogła mu, tak jak ręka, także służyć za dźwignię. Wywindował się w końcu na górę. Kiedy dotknął desek brzuchem, niemal jęknął z ulgi.

Podciągnął Remy Duvall i ułożył ją na pomoście. Do jej warg przylgnęły kosmyki włosów. Odgarnął je i natychmiast zaczął akcję ratowniczą. Ucisnąć, ucisnąć, ucisnąć, przerwa. Raz, dwa, trzy, przerwa. Zacisnąć nozdrza, dech w usta. Ucisk, ucisk, ucisk, przerwa.

Jak długo to trwało? Była pod wodą nie dłużej niż dwadzieścia sekund, gdy skoczył. No dobra, może trzydzieści. Czterdzieści pięć sekund, może trochę więcej, zanim dopłynął do łodzi. Minuta pod powierzchnią, to trzeba dodać... do czego?

Ucisk, ucisk, ucisk, przerwa. Ucisk, ucisk...

Odkasznęła, wypluwając wodę. Położył dłoń na jej policzku i przekręcił głowę na bok, żeby się nie udusiła, wymiotując wodę, którą połknęła. Dopiero po kilku minutach jej oddech wrócił do normy i znikło fioletowe zabarwienie z warg.

Rozwarła powieki i miała go wprost na linii wzroku. Nie mogła uniknąć spojrzenia mu w oczy, a on jej oskarżycielskiego wzroku.

- Przepraszam, że pani nie wierzyłem. Myślałem, że to jakiś podstęp. - Nie przyszło mu do głowy nic, co mógłby leśszce powiedzieć, więc tylko powtórzył: - Przepraszam.

Ze znużeniem wstał i popatrzył na ciemną wodę. Wywrócona do góry dnem łódź wciąż się na niej unosiła. Musi ją przyprowadzić z powrotem, inaczej zaczną się kłopoty. Zaraz, zanim dopadnie go wyczerpanie i nie będzie w stanie się ruszyć.

Ponownie wskoczył do wody.

Nie przepelniała ich życzliwość do rodzaju ludzkiego, ale jednak go nie zabili. Jeszcze nie.

Gregory starał się ze wszystkich sił wyglądać na całkiem nieszkodliwego osobnika, co zresztą nie było trudne, ponieważ nie tylko był rzeczywiście całkowicie nieszkodliwy, ale i całkowicie bezradny. Miał poważne wątpliwości, czy sam Kuba Rozpruwacz przestraszyłby tych facetów. Mogliby mu poderżnąć gardło dla zabawy, ale nie dlatego, że się zlekli.

Co do niego, trzewia mu się skręcały ze strachu. Pewnie wyczuwali jego strach nawet poprzez aromat zupy, która gotowała się na kuchence. Kobieta mieszkająca w tym domu przyniosła mu

miseczkę tej zupy i postawiła naczynie niezręcznie na stole, z głuchym stuknięciem.

Nie zachowywała się przyjaźniej niż mężczyźni - mąż i kilkunastoletni syn, jak przypuszczał Gregory - którzy dosłownie przyciągnęli go tutaj przez las, a ona i dwie dziewczyny poddały go podejrzliwym oględzinom. Może i powinien być wdzięczny, że uratowali go, zanim umarł z głodu, pragnienia czy zimna albo poszedł na mięsko dla krokodyli.

Wybawili go od niebezpieczeństw bagna, ale ich gościna pozostawiała wiele do życzenia. Niechęć, którą mu okazywali, w każdej chwili mogła się stać groźna. Stanowczo nie byli ludźmi, z którymi chciałoby się mieć do czynienia.

Uśmiechnął się do gospodyni, próbując zmienić nastrój panujący w tym domu na bardziej przyjazny. - Wygląda bardzo smakowicie. Dziękuję pani.

Warknęła coś, odsłaniając dziurę po kilku zębach, a potem wróciła się do męża w dialekcie kajun. Zaburczał gburowato w odpowiedzi. Dzieci były równie małomówne jak rodzice. W milczeniu obserwowały, jak Gregory unosi do ust łyżkę z zupą.

Był piekielnie głodny, ale po paru łykach przekonał się, że powinien był spróbować zupy, zanim zaczął ją tak łapczywie łykać. Była esencjonalna, gęsta od rozmaitych skorupiaków, cebuli, pomidorów, piżmianu i ryżu, ale kucharka nie żałowała przypraw, które dosłownie przepalały mu przełyk.

Wypił potężny haust wody i zaczął jeść wolniej. Żołądek mu się skurczył; nie był w stanie zjeść więcej niż pół porcji.

- Dziękuję bardzo - powiedział, poklepując się po brzuchu. - To przepyszne, ale już się nasyciłem.

Sprzątnęła miseczkę i łyżkę bez komentarza, ale zostawiła mu szklanekę z wodą. Mężczyzna usiadł naprzeciw niego. Był potężnie owłosiony. Grube czarne włosy sterczały mu z nozdrzy i uszu, nawet ze stawów na palcach. Czuprynę miał przyplaszczoną czapką, ale policzki przesłaniała mu gęsta broda; spływała na szyję i kładła się na owłosionej piersi widocznej w rozcięciu rozpiętego kołnierzyka.

- Jak się nazywasz?

Gregory zaskoczony tym, że mężczyzna odezwał się po angielsku, wyjąkał:

- Ee... Gregory.

- Ojciec Gregory?

Gregory na chwilę zapomniał języka w gębie, ale w porę przypomniał sobie, że wciąż jest w koloratce.

- Ee... tak. Tak, ojciec Gregory. - Może księdza potraktują inaczej, pomyślał. Na przykład spotka go szybka i bezbolesna śmierć zamiast powolnych tortur.

Jego kłamstwo wzbudziło nieoczekiwany oddźwięk. Najwyraźniej podekscytowani obecnością sługi bożego, zaczęli z ożywieniem rozmawiać. W końcu głowa domu wydała przeraźliwy gwizd i wszyscy zamilkli.

- Co z twoją twarzą? - zapytał gospodarz, mierząc Gregory'ego podejrzliwym wzrokiem.

- To gałęzie drzew.

Mężczyzna uniósł sceptycznie futrzaste brwi, wyglądające jak dwie gąsienice przyklepione do czoła.

- Proszę posłuchać, zgubiłem się - powiedział Gregory, a ponieważ wyraz twarzy mężczyzny się nie zmienił, zaczął tłumaczyć: - Razem z ee... przyjacielem wybraliśmy się na biwak. Wyruszył

pierwszy samochodem z całym naszym ekwipunkiem. Ja miałem wziąć łódkę i spotkać się z nim w wyznaczonym miejscu. Ale się zgubiłem. Nie uważałem, gdzie płynę, no i rozorałem sobie twarz gałęzmi. Idiotycznie się walnałem. Nie pamiętam, jak długo dryfowałem ani kiedy łódź osiadła tam, gdzie mnie znaleźliście. - Zrobił znak krzyża. - Niech was Bóg błogosławi, przyjaciele. - I na zakończenie monologu dodał: - Mój towarzysz, też ksiądz, na pewno umiera ze zmartwienia. Prawdopodobnie zbiera ludzi, teby mnie szukać.

Kudłaty mężczyzna spojrział na żonę i zabełkotał coś niezrozumiale, na co ona wciągnęła z mokrym sykiem powietrze przez dziurę po siekaczach.

Gregory przejął się straszliwie ich niedowierzaniem. Zachciało mu się płakać. Dosięgnął już samego dna i widział przed sobą tylko jedno wyjście: zdać się na łaskę rodziców. Umyli wprawdzie od jego spraw ręce, i to nie raz, zawsze jednak przychodzili mu z pomocą, gdy sytuacja stawała się beznadziejna, a już bardziej beznadziejnej nie mógł sobie wyobrazić.

Musi wymyślić, co by im takiego powiedzieć, żeby poruszyć si runę rodzicielskiej troski... no, ostatecznie poczucie obowiązku. W końcu kto go spłodził, jak nie oni? Powinni bez oporów sfinansować mu jakąś podróż. Może do Europy. Albo Orient. Na pewno wyślą go gdzieś daleko, jak naj dalej, byle się go pozbyć i uniknąć kłopotów związanych z jego obecnością w Nowym Orleanie.

Wyjedzie może nawet jutro. Ojciec to zaaranżuje. Minie parę godzin i będzie bezpieczny, daleko od Burke Basile'a i Pinkie Duvalla i całego tego bałaganu. Gorzko żałował dnia, kiedy się w to wplątał, ale teraz zaświtała mu nadzieja ratunku. Trzeba tylko zadzwonić.

- Bardzo byli państwo mili. Czy mógłbym skorzystać z telefonu i...

- Nie ma telefonu - powiedział mężczyzna szorstko.

- Aha... tak... dobrze.

Aparat wisiał w zasięgu wzroku na ścianie w kuchni, ale Gregory uznał, że nie byłoby roztropne zwracać na to uwagę, zwłaszcza że właśnie rozgorzała następna rodzinna dyskusja.

Miał blade pojęcie o francuskim, w dodatku żadne ze słów, k łorych się wyuczył, nie brzmiało podobnie do tego, co teraz słyszał, nie mógł więc śledzić debaty, która zakończyła się jak poprzednia: sygnałem danym przez ojca, by zamilkli.

- Dasz ślub temu tutaj chłopakowi.

- Proszę? - zapytał Gregory z niedowierzaniem.

- On chce się ożenić. - W skazał na krępego młodego chłopaka, który pomógł go uratować. - Dasz mu ślub, oui?

Zupa bulgotała znowu, tym razem w żołądku Gregory'ego.

Za dużo zjadł po tylu dniach głodowania. Pocił się prawie tak obficie jak pani domu, która bez przerwy ocierała górną wargę kuchenną ścierką przewieszoną przez ramię.

Sytuacja komplikowała się z minuty na minutę. Będzie musiał przywołać wszystkie swoje aktorskie umiejętności, żeby wyjść z tego cało. Chłopak wyglądał na osiemnastolatka i zapowiadał się na tak samo kudłatego jak ojciec. Gregory uśmiechnął się do niego dobrotliwie.

- A więc pragniesz się ożenić, mój synu?

Chłopak spojrział na ojca, żeby za niego odpowiedział. Owłosiony mężczyzna przestraszył Gregory'ego, wyrzaskując jakiś rozkaz w dialekcie.

Otworzyły się drzwi dużego pokoju i ukazała się w nich nieprawdopodobnie młoda dziewczyna. Nieprawdopodobnie młoda jak na to, by chodzić z brzuchem wzdętym zaawansowaną ciążą.

- O Jezu... - zajęczał Gregory, bynajmniej nie zaczynając modlitwy.

Rozdział dwudziesty ósmy

Burke, holując łódź, płynął równie składnie jak ktoś, komu przywiązano do szyi młot kowalski. Głowa bolała go, jakby w nią dostał drewnianym pobijakiem. Kiedy dotarł do pomostu, resztkami sił wyciągnął z wody łódkę. Podniósł pistolet, ale nie trudził się ocenianiem zniszczeń w kadłubie. Bardziej niepokoił go w tej chwili stan żony Duvalla niż łodzi.

Leżała w tym samym miejscu, gdzie ją zostawił, ale na hoku, skurczona z zimna. Pochylił się nad nią i krople wody z jego mokrego ubrania ściekły na jej twarz. Nie poruszyła się. Wcisnął dłoń za kołnierzyk jej koszuli, żeby sprawdzić puls.

- Dlaczego nie ułatwił pan sobie sprawy i nie dał mi utonąć? Dopiero kiedy to powiedziała, otworzyła oczy.

- Niepotrzebna mi pani śmierć. - Jego głos brzmiał dziwnie chropawo. Nagle uświadomił sobie, jak bliska była śmierci, i osłabł z ulgi.

- Nie chce się pan zemścić?

- Nie chcę, żeby Duvall panią pochował, tylko żeby tu za panią przyszedł. Zrobiła ostatnią rzecz, której by się w takiej sytuacji spodziewał - roześmiała się. Ze złością cofnął rękę i zostawił ją: niech się sama weseli.

Świetnie się czuła, skoro mogła chichotać. Nic jej nie będzie, nawet jeśli się trochę podtopiła. Trzeba kompletnego kretyna, żeby tak do tego emocjonalnie podchodzić.

Kłapiąc mokrymi butami po deskach, poszedł na drugi koniec pomostu, przestępując po drodze żelazny pręt - niewątpliwie nim go walnęła. Stał po zachodniej ścianie chaty i nie zważając na zimno, rozebrał się do naga.

Umył się starannie mydłem i wodą ze zbiornika na deszczówkę. Umył szamponem włosy i dokładnie oczyścił uszy końcem namydlonej ściereczki, w nadziei, że powstrzyma tym mikroorganizmy od dalszej penetracji. Kiedy uznał, że jest dostatecznie czysty, wszedł do chaty wysuszyć się przed piecykiem, zanim się ubierze.

Wymacał na głowie guza wielkości gęsiego jaja, gdy wmasowywał w skórę szampon. Bolało jak diabli, ale nie miał zaburzeń widzenia ani pamięci, więc uznał, że nie było jednak wstrząśnienia mózgu. Łyknął kilka aspiryn, żeby stępić ból, i wyszedł z chaty.

Pani Duvall przestała chichotać. Zdaje się, że zasnęła.

- Ej! - Szturchnął ją stopą w kolano. - Musi się pani doprowadzić do porządku. Jęknęła, podciągając kolana bliżej piersi.

- W tej wodzie jest pełno wszelkiego paskudztwa. Nie będzie mi tu pani umierała z zakażenia.

Wziął ją za rękę i spróbował podnieść, ale dalej leżała bezwładnie. Zakławszy po nosem, pochylił się i zmusił ją, by usiadła.

- Też jestem zmęczony, szanowna pani. Sama pani to na siebie ściągnęła. Gdyby nie wyrabiała

pani głupot, nie czułaby się pani teraz tak źle.

Podniósł ją w końcu na nogi i na poły prowadząc, na poły niosąc, zaciągnął pod zbiornik na deszczówkę. Napełnił wiadro czystą wodą i wcisnął jej do ręki mydło.

- Niech się pani dokładnie cała wymyje - instruował. Uszy, nos, wszystko. Niech pani trze mocno. Ma pani być czysta jak pupka niemowlaka, kiedy pani skończy. Potem zajmę się ranami na plecach. - Bał się infekcji. Otwarte rany to wrota dla bakterii, a bagno jest wylegarnią jednokomórkowych morderców.

Zostawił ją, żeby się myła, i wrócił do chaty, gdzie woniało nieprzyjemnie rybą. Zebrał surowe i nadpalone filety i zawinął je szczelnie w plastikową torebkę. Przykrył patelnię pokrywką; później usunie tłuszcz. Stracił apetyt i podejrzewał, że ona też. Ale może powinien zapytać.

Zgarnął po drodze kołdrę z łóżka i zabrał parę dodatkowych ręczników. Poszedł z tym na róg chaty.

- Pani Duvall! - zawołał. Nie odpowiedziała, więc zaczął nasłuchiwać. Nic nie usłyszał. Ani chlupotu rozpryskującej się wody, ani odgłosów jakiegokolwiek ruchu. - Pani Duvall? Ponieważ nadal nie odpowiadała, wyjrzał zza rogu.

Niepotrzebnie się martwił, że wyjdzie na podglądacza. Siedziała w ubraniu na niskiej ławeczce przy ścianie, z głową zwieszoną na piersi - ręce spoczywały beczynn timer na kolanach. W prawej dłoni trzymała kostkę mydła.

- Co się stało? - Podchodził do niej ostrożnie; może tylko pozornie nie zwracała uwagi na otoczenie, może to kolejna sztuczka. Dopiero gdy podszedł blisko, zauważył, że drży. - Wiem, że jest zimno, ale naprawdę musi pani zmyć IO wszystko z siebie. Im szybciej, tym lepiej.

- Chciałam umrzeć.

- Co?

- Chciałam...

- Słyszałem, co pani powiedziała - rzucił kąśliwie. - Cholernie piękna śmierć, utonąć w tym gównie.

- Nie - zaprzeczyła potrząsając głową. Włosy miała splątane, mokre i pokryte rzęsą. - Gdy byłam małą dziewczynką, modliłam się co wieczór przed snem i błagałam Boga, żeby anioły zstąpiły z nieba i zabrały mnie ze sobą, zanim się przebudzę.

Wreszcie zrozumiał, że jej śmiech na pomoście był objawem hysterii. Teraz weszła w następną fazę. Była przerażona bagnem, tym, że się topiła, i nim samym. Potrząsnąć nią, uderzyć czy rozładować sytuację humorem? Zdecydował się na lo ostatnie.

- Wszystkie dzieci się o to kiedyś modlą. Zwłaszcza jeśli są złe na rodziców i chcą ich ukarać za zbytnią surowość.

- Ja się wstydziłam.

- Że chciała pani umrzeć?

- Nie. Z powodu tego, co robiła Angel i czego mnie chciała nauczyć.

Jeśli miała zamiar wzbudzić w nim litość, cholernie dobrze to rozgrywała. Mówiła przytłumionym głosem, rzeczywiście zupełnie jak skulone pod kołdrą dziecko, błagające anioły, by po nie przyszły.

- Na pewno dlatego Bóg odebrał mi dziecko. Żeby mnie ukarać za modlenie się o niewłaściwe rzeczy. Burke miał dosyć.

- No już, niech pani wstanie.

Podniósł ją i rozpiął pasek jej spodni. Były sporo za duże i opadłyby same na dół, gdyby nie przemokły i nie przylepiły się do jej ud. Musiał uklęknąć przed nią i ściągnąć nogawki na dół.

- To się nie odbywa w ten sposób - mówił, podnosząc jej nogę w kostce i wyjmując stopę z nogawek. - Bóg ma za dużo do roboty, żeby każdemu wystawiać rachunek. - Odsunął spodnie na bok i zaczął rozpinąć guziki koszuli Dredda, zaczynając od dolnego. Teraz już mówił, żeby nie zwracać uwagi na gładki brzuch. - Całe to idiotyczne poczucie winy w końcu panią zeżre. Niech mi pani wierzy, wiem, co mówię. Albo pani przestanie się zadreć, że jest pani odpowiedzialna za utratę dziecka, albo pani oszaleje jak ja. To czysto biologiczne. Nic poza tym.

- Nie musi się pan trudzić.

Podniósł głowę i spojrzał jej ostro w oczy. Patrzyły przytomnie. Kryzys minął. Wstał z klęczek, nadal trzymając ją w talii.

- Zaczęła pani tracić nad sobą kontrolę.

- Już w porządku.

- Jest pani pewna?

- Boi się mnie pan zostawić samą po tym, jak wyznałam, że chciałam umrzeć?

- Może.

- Gdybym wciąż chciała umrzeć, nie wołałabym o ratunek. Nie chciałam się utopić.

- Ani ja tego nie chciałem. Stałoby się to przeze mnie, bo nie mogłem uwierzyć, że nie umie pani pływać.

- A pana sumienie i tak już jest obciążone, czy tak?

- Coś w tym rodzaju.

Pozwolił mijać bezcennym sekundom, bo wreszcie okazała mu trochę zainteresowania - w każdym razie nie uciekała przed nim wzrokiem - a także dlatego, że z bolesną intensywnością czuł ciepło jej skóry pod dłońmi. Zdała sobie chyba z tego sprawę, bo spojrzała na jego ręce. Puścił ją i cofnął się o krok.

- Błoto zaczyna wysychać - zauważył. - Będzie je trudno zmyć. Proszę się przechylić nad barierką, pomogę pani umyć włosy..

Minę miała niepewną, jakby się nad tym zastanawiała. Trochę zirytowany jej nieufnością dodał:

- Wiadro wody jest ciężkie, zwłaszcza jeśli człowiek musi unieść je sobie nad głowę, nie uważa pani?

Nie wdając się w dyskusję, przesunęła się na koniec pomostu i przechyliła nad barierką. Burke wylał jej na głowę pół wiadra wody, potem zaczął wmasowywać szampon, aż pokrył jej włosy pianą od czubków po końce. Zmył z grubsza brud i użył ponownie szamponu.

Pienił się pod jego palcami, wsuwającymi się w jej włosy, piana ściekała po jej szyi i za uszy. Perlista mydlana strużka pociekła po gardle, prześliznęła przez złoty łańcuszek, na którym nosiła krzyżyk, i znikła za kołnierzykiem szkaradnej flanelowej koszuli Dredda, by spłynąć na piękne - to akurat wiedział - piersi.

Dopiero gdy uporał się całkiem z brudem, przestał wmasowywać szampon i właściwie zrobił to niechętnie. Ponownie napełnił wiadro wodą. Rozmowa wydawała mu się - nie wiadomo dlaczego - zupełnie niepotrzebna. Otoczył dłonią jej podbródek na znak, że trzeba pochylić głowę, i powoli splukiwał deszczówką włosy, naciskając lekko dłonią jej brodę, gdy chciał, żeby skrzyła szyję w jedną lub w drugą stronę.

Wreszcie nadszedł moment, kiedy w wiadrze nie było ani kropli wody.

Burke cofnął się. Przez moment stał wpatrzony w jej pochyloną głowę, potem znowu nappełnił wiadro i postawił je przy niej na pomoście.

- Na stołeczku za panią leży ręcznik. Będzie pani zimno, jak się pani umyje. Może będzie się pani chciała owinać kołdrą. - I odszedł.

W chacie stanął pośrodku izby, ciężko oddychając i przyciskając dłonie do oczu. Ból przemieścił się z guza na głowie do oczodołów, pulsował w gałkach jak potężnie rapujący zespół. Burke pocił się obficie, jakby to był czerwiec, nie luty.

Niezgrabnie porozstawiał przybory z apteczki na stole. Przysuwał stół i jedno z krzeseł bliżej piecyka, gdy pojawiła się w drzwiach, owinięta jak w sari kołdrą i w turbanie z ręcznika na głowie.

- Zostawiłam ubrania namoczone w wiadrze. Wypiorę je rano. Wskazał jej krzesło.

- Równie dobrze można to zrobić, zanim pani się ubierze.

- Dobrze.

Usiadła tyłem do niego, a on zsunął kołdrę, odsłaniając plecy. Przyjrzał się ranom i z ulgą stwierdził, że się nie pootwierały i nic nie wskazuje na to, żeby ostatnio krwawiły. Starając się zachować obojętność, przemył je środkiem antyseptycznym i wysmarował maścią Dredda.

Nie rozmawiali. Nic też nie zagłuszało ciszy - żadne radio czy telewizor. Słyszał tylko ich oddechy. Kiedy skończył, podciągnął niezręcznie kołdrę i przykrył jej ramiona.

- Już cieplej?

- Tak.

- Ja... ehm... przywiozłem ze sobą parę rzeczy, których może pani potrzebować, dopóki tu jesteśmy. Są w torbie podręcznej w łazience. - Wiedział, że musi się spakować na parę dni, gdy wyjeżdżał z Nowego Orleanu na wycieczkę do Domu dla Jenny. Ona nie.

- Dziękuję.

- Drobiazg.

Poszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi. Burke otworzył butelkę z wodą i wypił prawie całą zawartość. Ramiona i nogi wciąż mu lekko drżały i wciąż miał zawroty głowy, a w uszach mu dzwoniło. Przypisywał to aspirynie wziętej na pusty żołądek, wysiłkowi związanemu z ratowaniem Remy i holowaniem łodzi, uderzeniu w czaszkę - wszystkim, tylko nie tej właściwej przyczynie..

Wyszła z łazienki już bez ręcznika na głowie, mokre włosy zczesła za uszy. Miała na sobie szary dres, który kupił dla niej przed wyjazdem z miasta.

- Chciałem go pani dać rano, lecz Dredd obudził panią pierwszy i ubrał po swojemu. Był w takim nastroju, że nie śmiałem niczego zmieniać.

Patrzyła wprost na niego. Miał wrażenie, że jego słowa do niej nie dotarły. Zrazu pomyślał, że może znowu zaczyna popadać w jakiś półka ta t oniczny stan, ale zrozumiał jej nieme zdumienie, gdy opuścił oczy na wyciągniętą ku niemu rękę.

Pudełko z pudrem nie było kryształowe i nie miało srebrnego wieczka. Nie było ani trochę tak luksusowe jak to, które widział na jej toalecie, ale zawartość pachniała tak samo ten sam zapach, który doleciał go na French Market i w konfesjonale.

Wzruszył ramionami.

- Powęszyłem trochę tego dnia, gdy przyszedłem z wizytą z ojcem Gregorym. Postawiła pudełko na stole i obwiodła koniuszkiem palca wytłoczone na nim znajome logo.

- Jak w ogóle mogłam wziąć pana za księdza? Oczekiwała odpowiedzi? Nie był pewien, więc milczał.

- Tego dnia w konfesjonale... - zaczęła, nie odrywając oczu od pudełka.

- Tak?

- Nie, nic. - Wzruszyła leciutko ramionami.

- O co chodzi?

- Nieważne.

- Proszę mówić. O co chodzi?

- Czy pan... - wzięła głęboki oddech. - Czy pan dotknął mojej ręki?

Bardzo długo trwało, zanim ich oczy wreszcie się spotkały.

Czas biegł tak wolno, jakby miał się zatrzymać. Jej słowa wisały w powietrzu niby ostatnia wibrująca nuta skrzypiec. Kiedy wreszcie przebrzmiały, zapadła duszna cisza pełna znaczenia.

Serce Burke biło szybko i mocno. Coś delikatnego się rodziło, wolał tego nie nazywać. Przestrzeń między nimi skurczyła się, choć nie przypominał sobie, żeby zrobił nawet krok. Ona również się nie poruszyła. Jedna jej ręka wciąż spoczywała na pokrywce pudełka, drugą trzymała swobodnie opuszczoną.

To właśnie tę musnęła grzbietem dłoni jego ręka. Leciutko. Dłoń się odsunęła. Zawahała. Dotknęła znowu. Ręce poruszyły się jednocześnie. Wnętrze dłoni dotknęło wnętrza dłoni. Ręce zamarły. Trwały nieruchomo, potem przycisnęły się do siebie. Palce splotły się powoli.

Burke zgiął łokieć, przekreślił nadgarstek i jej dłoń znalazła się na wierzchu. Spojrzał na nią i zachwycił delikatnością skóry, szczupłością palców.

Serdecznego palca.

- Zniknął pani pierścionek zaręczynowy - powiedział.

- Zsunął się do wody.

Zsunął się do wody. Ale wciąż była żoną innego mężczyzny.

Nie innego mężczyzny. Jego najbardziej znienawidzonego wroga. Jeśli Duvallowi przysłała ochota pocałować to pulsujące miejsce na szyi, miał do tego pełne prawo. Jeśli chciał na nią patrzeć, dotykać jej, posiąść, miał do tego prawo. Co tak zdenerwowało Burke, że postanowił się wyładować na niej. - Kupi sobie pani inny diament. Za pieniądze z polisy Duvalla na życie.

- To wstrętne! - krzyknęła, wyrywając dłoń.

- Wie pani, co bym zrobił, gdybym rzeczywiście był wstrętny.

Musiał jej przyznać, że nie okazała strachu. Przeciwnie, zadarła wyzywająco podbródek.

- Pewnie się pan spodziewa podziękowań, że mnie pan nie zgwałcił?

- Niczego się po pani nie spodziewam. Nic pani do tego. To sprawa między mną a Duvalliem. Pani jest tylko przynętą.

- Musi pan przegrać, panie Basile - powiedziała ze smutnym uśmiechem, potrząsając głową. - Jestem w stanie pojąć tok pana rozumowania, ale źle pan to skalkulował, jeśli chodzi o mojego męża. Nie połknie przynęty. Nie przyjedzie mnie zabrać. Nie przyjmie mnie z powrotem po tylu dniach i nocach spędzonych z panem.

Parsknął śmiechem.

- Niezła teoria. - Sięgnął jedną ręką do tylnej kieszeni spodni, drugą ujął jej dłoń.

- Co pan robi?

- Przykuwam panią - powiedział, zatrzasnął kajdanki zdecydowanym ruchem.

- Do czego?

- Do siebie.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Pinkie zostawił resztki kanapki na biurku i podszedł do okna. Odgiął listewki żaluzji i popatrzył na nocne niebo.

- Dlaczego, do diabła, nie sposób ich odnaleźć? Przecież nikt nie znika bez śladu.

- Wygląda na to, że oni tak - wybełkotał Bardo z pełnymi listami. Zamówił sobie porządny obiad na wynos.

Od czasu znalezienia mikrobusu nie natknęli się na żadną wskazówkę co do ewentualnego miejsca pobytu Basile'a i Remy. Niczego nie wyśledzili ludzie kontrolujący środki komunikacji z i do Nowego Orleanu. Pilot helikoptera także nie zauważył nic godnego uwagi. Żaden z informatorów Duvalla rozrzuconych po południowej Luizjanie nie miał nic ciekawego do przekazania.

- Jesteś pewny, że ta prostytutka mówiła prawdę? Rzeczywiście nic nie wie?

- Dixie? - Bardo podniósł dłoń do ust i beknął. - Dałem jej wycisk, kiedy się dowiedziałem, że pomogła Basile'owi. - Uśmiechnął się, zobaczywszy spojrzenie adwokata. - Nie, tym razem nie posunąłem się tak daleko. Pewnie wróciła już znowu na ulicę. Ale przyłożyłem się porządnie, tak że gdyby coś wiedziała, na pewno bym z niej to wydusił.

Duvall zapatrzył się z powrotem w okno. Światła miasta przyćmiewały mgła i wilgoć, ale i tak patrzył na nie, nie widząc, całkowicie pochłonięty nurtującym go problemem. Jego życie, świetnie zorganizowane, perfekcyjne, zawaliło się, od kiedy odebrał telefon Errola z Crossroads. Klienci zeszli na drugi plan. Sędziowie załatwiali mu odroczenia terminów spraw z powodu „choroby w rodzinie”. Odwołał wszystkie spotkania, zarówno zawodowe, jak prywatne, odrzucił wszystkie towarzyskie zaproszenia. Nie odpowiadał na telefony, chyba że dotyczyły tej jednej sprawy.

Niech szlag trafi Burke Basile'a choćby za to, że zmienił jego uporządkowane życie w chaos.

Zapłaci mu sukinsyn, i to sownie. Tylko gdzie jest, do cholery? On, Pinkie przeraził nie na żarty Patouta i co uzyskał? Wiadomość, że żona Burke Basile'a przebywa poza granicami kraju ze swoim przyjacielem, co jego ludzie już dawno ustalili.

Szósty zmysł, pomagający mu wyczuć, czy ktoś kłamie, mówił, że Patout rzeczywiście nie zna miejsca pobytu Basile'a. Mógłby go mimo to podejrzewać o współdziałanie z Basile'em, gdyby nie jedna rzecz: miłość Patouta do stanowiska, które zajmował. Patout nade wszystko pragnął wejść do ścisłej czołówki policji nowoorleańskiej. Poradzić sobie z Patoutem to nie była bułeczka z masłem, ale też nie był takim głupcem, by od razu się nie zorientować, że zbyt wiele ryzykuje, narażając się Pinkie Duvallowi.

Mac McCuen również zagra w jego drużynie; na pewno docenił znaczenie groźby Duvalla. Chociaż... kto wie? Może się okazać równie lojalny wobec Basile'a, jak tamten wobec Stuarta.

- Pieprzone gliny - wymamrotał.

- Nie usłyszałem - powiedział Bardo.

- Nic ważnego.
- Słuchaj - odezwał się po chwili Bardo. - Zastanawiałem się nad jedną rzeczą.
- Jaka?
- Ile twoja żona wie o naszych interesach.
- O co ci chodzi? - zapytał Pinkie, powoli odwracając się od okna.
- O to, że Basile potrafi być cholernie przekonujący, jak mu na tym zależy. Zwłaszcza wobec kobiet.

Nieświadomie dotknął najskrytszych obaw adwokata. Pinkie nigdy nie rozmawiał z Remy o swoich ubocznych zajęciach, ale mogła połapać drobne nici informacji, które, umiejętnie splecione, utworzą sznur na jego szyję. Prawdopodobnie wcale nie zdawała sobie sprawy z tego, ile wie. Nawet przypadkowe uwagi mogą się okazać bezcenne dla kogoś, kto latami pracując w policji, rozwinął i udoskonalił wrodzoną zdolność dedukcji. Bóg jeden wie, ile mogła sobie przypomnieć o interesach i powiązaniach męża. Jeden więcej powód, żeby ją odnaleźć i uciszyć.

- Jeśli Basile omami ją gładką gadką, nawklada bzdur do uszka, może wypaplać - snuł domysły Bardo. - Co o tym myślisz?

- Myślę - powiedział Duvall spokojnie - że wyrwę ci język z gęby, jeśli jeszcze raz odezwiesz się w ten sposób o mojej żonie. - Do niego należało spekulowanie o lojalności Remy; nikt inny nie miał takiego prawa.

- Jezu, Pinkie, nie wkurz aj się tak. Chciałem tylko...
- Muszę się przewietrzyć - powiedział nieoczekiwanie adwokat.
- Dokąd chcesz iść?
- Do miasta.
- Pójdę z tobą.
- Zostajesz. Masz coś do zrobienia. Nie zapomniałeś?

Duvall otworzył drzwi gniewnym szarpnięciem i przemierzając wielkimi krokami hol, przeszedł do oficjalnej części biura. Śpiący w fotelu Errol uniósł nieprzytomnie głowę i natychmiast się ocknął.

- Dokąd pan sobie życzy, panie Duvall?
- Idę na spacer. Sam.

Zjechał windą na parter, minął strażników, nie zaszczycając ich nawet spojrzeniem, potem drzwi ze szkła, które jeden ze strażników otworzył przyciskiem na ladzie recepcjonisty.

O dwie przecznice dalej przywołał jedną z nowoorleańskich taksówek, słynnych z horrendalnie wysokich opłat. Podał dziewczynie za kierownicą adres, a ona rzuciła mu wesołe spojrzenie w lusterku.

Miłośnicy karnawałowych rozrywek nie omijali oczywiście przybytku Ruby Bouchereaux. Aż do północy tłustego wtorku, kiedy zaczynał się Wielki Post, panowie musieli się ograniczyć do jednej godziny pobytu na górze, chyba że chcieli słono przepłacić. Ruby często przypominała dziewczętom, że im więcej rundek, tym większy dla wszystkich dochód.

Ostatki zawsze stanowiły okres nadzwyczajnej prosperity.

Nocami dom przepelniali stali klienci, którzy po wielkich balach i przyjęciach szukali dodatkowej rozrywki - już nie w towarzystwie żon - i przybysze spoza miasta, ściągający do Nowego Orleanu na karnawał. Mężczyźni od lat osiemnastu do osiemdziesięciu, spragnieni wesołości i swawoli w najlepszym burdelu najlepiej bawiącego się miasta w kraju.

Większość wieczorów Ruby spędzała na galerii nad głównym salonem. Z tego dogodnego punktu obserwacyjnego kontrolowała sytuację, zdając się zresztą w znacznej mierze na swój wspaniały personel. Pykając cygara i pociągając brandy, szacowała spodziewany zysk z trwającej nocy i uśmiechała się z zadowoleniem do przeprowadzanych w duchu obliczeń.

Jej uśmiech przygasł, gdy zobaczyła Pinkie Duvalla.

Nie odzywając się do nikogo, podszedł do baru i zamówił drinka. Wypił szybko i zamówił następnego. Dla Ruby jedną z najzabawniejszych jego pretensji była chęć uchodzenia za konesera win. Zadając kłam temu wyobrażeniu, wlewał teraz w siebie ciężki alkohol, niczym marynarz po sześciomiesięcznym pobycie na morzu.

Ściągnęła wzrokiem jedną z dziewcząt i wskazała jej Duvalla.

Wysmukła blondynka była jedną z najszycowniejszych dziewcząt Ruby. Córka dyplomaty, podróżowała swego czasu z rodzicami i pobierała nauki w najekskluzywniejszych szkołach wielu krajów. Mówiła swobodnie kilkoma językami i mogła rozmawiać na rozmaite tematy. Radziła sobie z nudnawym intelektualistą, potrafiła też ograniczyć się wyłącznie do kokieterii. Żadna fantazja erotyczna nie wydawała się jej dziwaczna, jeśli miała zadowolić klienta, chociaż stanowczo odżegnywała się od gier z zadawaniem bólu lub poniżaniem. Pozbawiona wstydu, nie mająca zahamowań, traktowała seks jak sztukę i z zapałem praktykowała egzotyczne metody, których nauczyła się za granicą, realizując swoje własne wyobrażenie o związkach między narodami.

Nieprzyjemny incydent w Burmie - gdy jeszcze nazywała się Burmą - z udziałem wysokiego członka miejscowego rządu spowodował odwołanie jej ojca do Stanów i zwolnienie z dyplomacji. W odwecie wyrzekł się córki. Zostawszy bez grosza, otoczona aurą skandalu, wybrała wręcz narzucający się w jej sytuacji rodzaj kariery i nigdy tego nie żałowała. Klienci nie wahali się drogo płacić za jej usługi. Zdołała się wzbogacić, nawet płacąc stosowny procent Ruby, a ponieważ wyglądała bardzo młodo, miała karierę zapewnioną co najmniej do trzydziestki. Występowała pod imieniem Isobel.

Łatwo było ustrzelić dzisiejszej nocy Pinkie. Transakcja przy barze została zawarta w minutę. Piękność poprowadziła go za sobą po szerokich schodach. Ruby zostawiła tłące się cygaro w kryształowej popielniczce i przecięła im drogę na podeście.

- Dobry wieczór, Pinkie. - Mimo urazy, jaką do niego żywiła, uśmiechnęła się czarująco.

Witał ją z nie większą ochotą niż ona jego i prawdopodobnie zdenerwował się, że go zmusza do rozmowy.

- Ruby.

- Nie widziałam cię od czasu, gdy Bardo pociął jedną z moich dziewcząt. Jak to miło z twojej strony, że nas zaszczycasz swoją obecnością.

Zignorował kąśliwą uwagę.

- Interes kwitnie. Ale kurestwo zawsze popłacało. Uśmiech Ruby stał się nieco wysiłony, w jej oczach pojawiły się złośliwe błyski.

- Bo też zawsze będą mężczyźni, którzy muszą za to płacić.

Co mnie zmusza do zastanowienia, dlaczego się tu zjawiłeś? Żona nie miała nastroju? Remy, tak? Odmówiła ci dziś swej uwagi?

Została nagrodzona widokiem pulsujących żył na jego skroni. Obsesowym gestem pokazał Isobel, żeby szła na górę. Ruby obserwowała ich uważnie.

W kawalerskich czasach przychodził kilka razy w tygodniu.

Po ślubie przestał zasilać kasę w znaczący sposób, chociaż nie zrezygnował całkiem z bywania w pokojach na górze. Czasami wpadał rozerwać się, czasem rozładować, ale nigdy nie widziała go tak podnieconego jak dzisiejszej nocy. Ciekawe...

- Panno Ruby?

Odwróciła się. Służąca, jedna z tych, które pracowały już wtedy, gdy Ruby dorastała, powiedziała cichym głosem z melodyjnym akcentem zachodnich Indii:

- Kazała mi pani przyjść, kiedy to biedne dziecko się obudzi.

Poszły galerią i skręciły na prawo w korytarz prowadzący na tyły domu, do pokoju położonego na poddaszu.

- Jak się czuje? - zapytała Ruby, przystając przed zamkniętymi drzwiami.

- Bardzo przestraszona.

Pokój był wygodnie umeblowany, chociaż za mały, by w nim pracować. Zwykle przeznaczano go dla dziewcząt chorych albo tych, które trzeba było odosobnić, dopóki mogły stanowić źródło zakażenia, lub nowicjuszek, które musiały gdzieś spać, zanim je wyszkolono i pouczono o zasadach panujących w domu.

Ruby podeszła do łóżka i pochyliła się nad dziewczyną z troską kochającej matki.

- Jak się czujesz?

Dixie ostrożnie dotknęła koniuszkiem języka kącika ust, gdzie krew zastygła na otartej głęboko śluzówce.

- Nieźle mnie zlał ten łobuz, co?

- Lekarz twierdzi, że masz nie uszkodzone kości twarzy.

- Bił mnie tak, a naprawdę nie wiem dlaczego. - Łzy wypełniły jej oczy. - Wyglądam jak przekrecona przez wyżymaczkę?

- Znacznie lepiej - powiedziała Ruby, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Odzyskasz dawny wygląd, nie gryź się. Lekarz zostawił środki przeciwbólowe. Możesz zostać, aż wyzdrowiejesz. Według mnie dwa tygodnie, może trzy.

- Dwa, trzy tygodnie? - Dixie chciała się roześmiać, ale tylko skrzywiła się z bólu. Poruszając jedynie oczami, ogarnęła wzrokiem Ruby, krzątającą się służącą, pokój. - Jeśli nie pracuję, nie jem. I jak miałabym pani zapłacić?

- Kiedy tu przyjechałaś, powiedziałaś, że przysłał cię Burke Basile. Jest twoim klientem?

- Niestety nie - powiedziała niewyraźnie Dixie. - Płaci mi, ale za informacje. Nic poza tym. Ostatnim razem, kiedy go widziałam, powiedział, że jeśli wpadnę w tarapaty, mogę tutaj przyjść. Czy to pani przyjaciel?

- Powiedzmy, że darzymy się wzajemnym szacunkiem i mamy wspólny cel.

- Aha. Jeśli będzie musiał za mnie zapłacić, to właściwie należy mu się. To przez niego ten Bardo...

- Wayne Bardo? - Twarz Ruby stwardniała. - On ci to zrobił?

Dixie skinęła głową.

- Najpierw mnie zmusił, żebym mu obciągnęła. Potem rozkwasił mi twarz i perswadował, żebym mu powiedziała, co wiem o Basile'u.

Ruby przysiadła na brzegu łóżka i przyjrzała się dziewczynie doświadczonego okiem. Jej twarz była pokiereszowana, ale rysy nie wyglądały źle, a kiedy ją rozbierano, uwagi Ruby nie uszła ponętna figura. Ruby zwykle z góry dyskredytowała dziewczyny pracujące na ulicach, ale Basile

musiał uważać ją za lepszą od innych, skoro ją tu przysłał.

Wymagała szlif. Imię trzeba będzie zmienić na bardziej tajemnicze, intrygujące. Koniec z oblewaniem się tandetnymi perfumami o zapachu gardenii. Srebrne paznokcie i czerwona spódniczka z winylu też odchodzą w przeszłość.

Trzeba ją kompletnie zmienić, ale zdecydowanie ma spore możliwości.

Ruby odgarnęła włosy z czoła, na którym Bardo odcisnął swoje pięści.

- Dlaczego Bardo wypytywał o pana Basile'a?

- Szukał go.

- Powiedział po co?

- Nie. Domyślam się tylko, że to ma coś wspólnego z... Nie, zaraz, może jednak nie powinnam tego mówić. Basile mi zapłacił, żebym trzymała gębę na kłódkę-

- Na pewno nie miałyby nic przeciwko temu, żebyś powiedziała mnie. W końcu przysłał cię tutaj. - No tak, może... Więc dobrze. Myślę, że to ma coś wspólnego z żoną Pinkie Duvalla. Z udawaną obojętnością Ruby słuchała pasjonującej historii.

- Naprawdę? Ksiądz? Dixie prychnęła.

- Może sobie to pani wyobrazić? Wszystkie kobiety w kościele ścisnęłyby kolana, gdyby Basile odprawiał mszę.

- A czy mogłabym dostać coś do picia, skoro mnie to kosztuje? - Ależ oczywiście. - Ruby odwróciła się do służącej i poleciła jej przynieść filiżankę herbaty.

- Tak naprawdę nie herbatę miałam na myśli - zauważyła Dixie, kiedy tamta wyszła.

- Wypijesz herbatkę, weźmiesz lekarstwo i odpoczniesz - powiedziała Ruby z pobłażliwym uśmiechem. - Jeśli będziesz robić dokładnie to, co ci powiem, być może to bicie okaże się błogosławieństwem dla ciebie. Ale o tym porozmawiamy później, jak się lepiej poczujesz.

Ruby zostawiła dziewczynę pod opieką służącej i wróciła na swoje miejsce na galerii, chcąc przemyśleć to, co usłyszała. Czy to możliwe, żeby Burke Basile był odpowiedzialny za podły nastrój Duvalla? Czy przeprowadzając swoją prywatną wendetę, posłużył się piękną młodą żoną adwokata? Czy dlatego tak usilnie starał się dowiedzieć, co Ruby wie na jej temat?

- Sprytnie z pana strony, panie Basije. - Ruby zaśmiała się gardłowo i uniosła pękaty kieliszek do brandy w milczącym toaście na cześć byłego oficera Wydziału Narkotyków.

Jaka szkoda, pomyślała, że nie pożyje długo.

Na pewno nie, skoro ośmielił się zbliżyć do żony Duvalla.

Mac wyszedł do pracy wcześniej niż zwykle. Toni powiedział, że ma do nadgonienia trochę papierkowej roboty. Myślał, że ominie poranne korki, ale ruch na 1-10 był już spowolniony z powodu pogody. Front niskiego ciśnienia nasunął się w nocy od zatoki, przynosząc ulewny deszcz.

Dojechał do gmachu policji, zaparkował, ale nie wszedł do budynku. Zmagając się z parasolem, poszedł do baru o kilka przecznic dalej i zamówił filiżankę kawy. Wypił ją, nie czekając, aż wystygnie, i sparzył sobie język. Odebrał resztę od kasjera, podszedł do telefonu i wykręcił numer, który wynotował wczoraj wieczorem z papierów Basile'a.

- Słucham?

- Joe Basile?

- Tak.

Mac w duchu podziękował Bogu za szczęśliwy traf. Minęły już całe lata, odkąd Basile podał

nazwisko brata jako drugiej po żonie osoby, którą należy zawiadomić w razie pilnej potrzeby. Joe mógł od tego czasu przeprowadzić się lub zmienić numer. Mac uznał, że ma cholerne szczęście, trafiając tak za pierwszym podejściem.

- Nazywam się Mac McCuen. - Starał się mówić swobodnym przyjacielskim tonem, nie okazując podekscytowania. - Pracuję z pana bratem. To znaczy pracowałem. Dopóki nie złożył rezygnacji.

- W Wydziale Narkotyków?

- Właśnie. Czy Burke panu o mnie wspominał?

- Przejął pan jedną z drużyn, gdy Kevin Stuart zginął.

- Tak, to ja. - Zastanawiał się, jak Basile o nim mówił. Uskarżając się? Chwaląc go? Nie odważył się zapytać. - Sporo się od pańskiego brata nauczyłem i zupełnie mi nie pasowało, że tak nieoczekiwanie odszedł.

- Miał dosyć. Przynajmniej mnie poczęstował tą wymówką. Zawsze wygadywał na pracę w policji, ale wcale mnie nie zdziwi, jeśli wróci. Może niekoniecznie do Nowego Orleanu.

- Jeśli tak, to na pewno gdzieś na świecie sprawy pójdą ku lepszemu. - Nie chcąc przesadzić z pochlebstwami, co mogłoby wzbudzić podejrzenia, Mac przeszedł do rzeczy: - Burke był u mnie niedawno na kolacji i wspominał, że chce wyjechać na chwilę. Przyjeżdża moja teściowa i pomyślałem sobie, żeby też prysnąć na parę dni, zostawić jej i żonie dom do dyspozycji. Mógłbym się przyłączyć do niego. Pobiwakować, wypić parę piw, pogadać o starych dobrych czasach... no, wie pan...

- Uhm - odpowiedział wymijającym chrząknięciem Joe.

- Tyle że nie wiem, jak się z nim skontaktować.

- Może on nie chce, aby ktokolwiek się z nim kontaktował?

Przenikliwość była najwyraźniej wspólną cechą charakteru członków tej rodziny. Joe nie był gliną, ale i nie naiwniakiem.

- Wtedy żałował, że nie może z nim jechać. A skoro teraz mogę, to myślę, że z przyjemnością powitałby jakieś towarzystwo.

Zapadła cisza i Mac nerwowo żuł dolną wargę. Błądził oczami po barze, usiłując się zorientować, czy wśród porannych klientów nie ma kogoś nasłanego przez Duvalla lub Dela Raya Jonesa. Nikt nie przejawiał ani odrobiny zainteresowania dla nerwowego mężczyzny, który wisiał u aparatu telefonicznego.

- Obawiam się, że nie mogę panu pomóc - odezwał się wreszcie Joe Basile. - Kiedy ostatnio rozmawiałem z Burke, był mocno pod kreską. Też mi wspominał o wyjeździe i prawdę mówiąc, odniosłem wrażenie, że chce być sam.

Zapominając o poprzednich modłach dziękczynnych, Mac zaklął w duchu.

- Rozumiem.

- Myślę, że zrobimy tak. Jeśli Burke do mnie zadzwoni, przekażę mu od pana wiadomość. Skontaktuje się z panem, jeśli zechce, żeby pan do niego dołączył. Dobrze? Wydaje mi się, że tak będzie najlepiej.

Mac przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć, że Burke popełnił poważne przestępstwo. Może to by zmiękczyło Joe. Ale porzucił ten zamysł niemal natychmiast. Duvall nie życzył sobie nagłaśniania sprawy porwania żony. Gdyby wieść się rozeszła i adwokat powiązał to z nim, zabiłby go wcześniej czy później.

- Przepraszam, panie McCuen - powiedział Joe Basile. - Miło się z panem rozmawia, ale muszę

kończyć. Jeśli Burke się odezwie, powiem mu, że chętnie się pan do niego przyłączy. Do widzenia panu, życzę miłego dnia.

Rozłączył się i McCuen został z głuchą słuchawką w dłoni.

Odłożył ją na miejsce i ze znużeniem podszedł do baru. Poprosił o drugą kawę, usiadł i zapatrzył się w nią przygnębiony.

Jezu, jak to wszystko szybko się obróciło na złe.

Jeszcze parę tygodni temu czuł się wspaniale i podobało mu się własne życie. Miał dług u Jonesa, ale bywał już przedtem zadłużony. Zawsze można zrobić pieniądze, całkiem spore pieniądze, jeśli człowiek wie, jak się do tego zabrać. Fakt, suma była wyższa niż kiedykolwiek przedtem, ale w końcu to tylko kwestia liczby zer. Fakt, głupio zrobił, że się zadał z Delem Rayem - łądak cieszył się naj gorszą opinią ze wszystkich lichwiarzy - ale to tylko symptom przejściowego kryzysu, rozwiązanie czeka za progiem. Był pewien, że wszystko się rozplącze.

Tymczasem wszystko się zawaliło. Basile wkurzył się i odszedł, za nic sobie mając wszystkich w Wydziale Narkotyków. Wydział Wewnętrzny zdecydował się na kolejne dochodzenie, co wprawiało wszystkich, także Maca, w nie najlepszy humor. Patout był rozkojarzony i zmartwiony rezygnacją i wplątaniem się Basile'a w porwanie. Dei Ray Jones zaczął się stawiać, podpierając Duvalliem, przez co jego groźby przybrały całkiem realny kształt.

Jedyną nadzieją Maca na ocalenie własnego tyłka było odnalezienie Basile'a, a jego jedyna nadzieja na odnalezienie Basile'a właśnie życzyła mu miłego dnia.

- Pieprzona sprawa - zamamrotał pod nosem, wygrzebując z kieszeni kilka banknotów i rzucając je na ladę.

Pinkie dał mu dwadzieścia cztery godziny. Zanim zapadnie noc, musi się dowiedzieć, gdzie Basile zaszył się z jego żoną, albo...

Ponura perspektywa.

Joe Basile odłożył słuchawkę na miejsce, zastanawiając się nad dziwną rozmową, którą właśnie odbył z McCuenem. Nie mógł jednak rozmyślać zbyt długo, ponieważ w kuchni siedział, popijając kawę z jego żoną Lindą niespodziewany gość. Linda nie spodziewała się, że przyjdzie jej pełnić tak wcześnie rano rolę gospodyni. Kiedy dźwięk dzwonka wyciągnął ją z łóżka, narzuciła na siebie najcieplejszy, ale i naj starszy szlafrok. Oczy miała wciąż podpuchnięte od snu.

- Kto dzwonił? - zapytała, kierując na niego wzrok, gdy wrócił do kuchni.

- Dzwonili z biura, żeby spytać, o której przyjdę. Spojrzała zdziwiona, ale nic nie powiedziała i zwróciła się do porannego gościa z propozycją śniadania.

- Nie, dziękuję pani Basile - zaprotestował Patout. Zjadłem coś w przelocie, kiedy do państwa jechałem. Jeszcze raz bardzo przepraszam, że tak wcześnie zapukałem do państwa drzwi.

- Nic nie szkodzi.

- Jechał pan po nocy z Nowego Orleanu? - zapytał Joe.

- Tak. Wyjechałem późno i wracam jak najszybciej. Założyłem, że to będzie szybka podróż w tę i z powrotem. - Dlaczego pan po prostu nie zadzwonił?

- Mogłem, ale uznałem, że powinniśmy jednak porozmawiać osobiście.

- To takie ważne?

- Tak uważam. Pański brat narobił sobie wielu wrogów, pracując w policji. Nie tylko wśród kryminalistów, ale także wśród współpracowników. Dlatego uznałem, że lepiej nie rozmawiać przez telefon.

- To niepokojące, co pan mówi, panie Patout - powiedziała Linda. - Czy Burke coś się stało?

- Właśnie tego nie wiem, a chciałbym się dowiedzieć. Złożył rezygnację, a parę dni później zniknął w dość tajemniczych okolicznościach.

- Kiedy dzwonił, mówił mi, że wyjeżdża, bo musi przemyśleć parę spraw. Biorąc pod uwagę rozstanie z Barbarą i złożenie rezygnacji, nie widzę w tym nic tajemniczego oznajmił Joe.

- Bo nie zna pan wszystkich okoliczności.

- Takich jak...?

- Przykro mi, ale nie mogę tego panu wyjaśnić, Joe. To poufne policyjne informacje. - Patout oparł złożone ręce na stole i zaapelował do nich: - Jeśli macie jakiegokolwiek pojęcie, gdzie on mógł pojechać, proszę, powiedzcie mi. Muszę to ustalić, zanim ktoś inny do niego dotrze, to nadzwyczaj istotne. Nawet sobie nie umiecie państwo wyobrazić, jakie to ważne.

- Czy to ma znaczyć, że coś zagraża jego życiu? - zapytała Linda.

- Być może.

Czyli tak, pomyślał Joe. Przeczuwał, że to poważne ostrzeżenie. Widywał się z bratem ledwie raz czy dwa w roku, ale łączyły ich więzy znacznie bliższe, niżby na to wskazywały nieczęste wizyty. Zaryzykowałby nawet stwierdzenie, że się kochali.

Poruszyłby niebo i ziemię, żeby pomóc bratu, gdyby wpadł w tarapaty. Ale miał poważny problem: nie wiedział, co zrobić. Nie wiedział, czy Burke chce, czy nie chce, żeby go odnaleźli. I czy mają to być McCuen lub Doug Patout.

Miał jednak nieodparte wrażenie, że gdyby Burke nie chciał być sam, powiedziałby, dokąd jedzie. A poza tym, czy rzuciwszy pracę w policji, nie pokazał jasno, że nic go nie obchodzą poufne policyjne informacje? I dlaczego McCuen i Patout szukali go każdy na własną rękę? Żaden nie wspomniał o drugim. Skoro sytuacja była tak krytyczna, jak obaj utrzymywali, dlaczego działali w pojedynkę?

- Przykro mi, panie Patout, ale nie umiem panu pomóc zakończył rozmowę tak jak tę z McCuenem.

- Burke mi nie powiedział, dokąd jedzie.

- I nie domyśla się pan?

- Nie.

- A gdyby pan wiedział, powiedziałby mi pan?

- Nie - odparł Joe uczciwie.

Patout westchnął. Spojrzał na Lindę i natychmiast zrozumiał, że żona w pełni respektuje decyzję męża. Uśmiechnął się krzywo.

- Jest pan bardzo podobny do brata, Joe.

- Dziękuję za komplement.

- Jeśli zmieni pan zamiar - powiedział Patout, wstając i kładąc na stole wizytówkę - proszę się ze mną skontaktować, obojętnie o jakiej porze. Jeszcze raz przepraszam, pani Basile, za wtargnięcie tak rano bez uprzedzenia. Dziękuję za kawę.

Stanęli oboje we frontowych drzwiach i patrzyli, jak odjeżdża. Linda odwróciła się do męża.

- Nigdy nie dzwonią z twojego biura pytać, o której przyjdiesz.

- Telefonował McCuen, jeszcze inny glina. Zgadnij, czego chciał?

- Wiedzieć, gdzie jest Burke.

- Otóż to. I ten PatouL Przyjechał aż do Shreveport.

- Joe, co się dzieje? Co to wszystko znaczy?

- Niech mnie cholera, jeśli wiem. Ale się dowiem.

Wrócił do kuchni i zaczął przerzucać kartki notesu z telefonami, szukając numeru Dredd's Mercantile.

Dredd, nie zważając na deszcz, poszedł sprawdzić, co się złapało na wędki. Przykucnął na końcu mola i oprawiał od razu złapane ryby, wyrzucając wnętrzności z powrotem do wody, gdy nieoczekiwanie usłyszał dzwonek telefonu.

Zaklął i pobiegł truchtem swoim kołyszącym się krokiem w kierunku domu, plaskając bosymi nogami o deski mola.

- Już jestem, nie rozłączaj się - wrzasnął otwierając oszklone drzwi. Zasapany złapał za słuchawkę i wydyszał: - Halo!

W odpowiedzi usłyszał tylko sygnał. Rzucił słuchawką.

- A niech to najjaśniejszy szlag!

Nienawidził telefonów i nie żałował, że rozmowa się nie odbyła. Jak ktoś ma coś ważnego, zadzwoni jeszcze raz.

Rozdrażniło go wyłącznie to, że gdy sięgał po słuchawkę, spojrzął przez okno i zobaczył pelikana porywającego sobie śniadanie z mola.

Pomimo deszczu turyści stali w kolejce przed staroświeckim parowcem z kołem łopatkowym, żeby odbyć wycieczkę widokową i obejrzeć stare domy plantatorów jeszcze sprzed wojny secesyjnej. Manipulując broszurami, parasolami, kapeluszami od deszczu, aparatami fotograficznymi i kamerami wideo, przesuwali się wolno po trapie.

Zaokrętowanie przedłużało się z powodu niepogody, trzeba było także pomóc wejść na pokład grupie starszych osób, wymagających pomocy.

Ustało na dobre, kiedy rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk.

Wydała go kobieta, która wsparłszy się na zdumionym mężu, wskazywała trzęsącym się palcem na błotniste wody Missisipi. Błądziła po nich do tej pory roztargnionym wzrokiem, drepcząc powoli w kolejce.

Pasażerowie stłoczyli się przy barierce, żeby zobaczyć, co tak zdenerwowało kobietę. Niektórzy wzdrygnąwszy się, cofali się z odrazą. Inni przyciskali dłonie do ust, powstrzymując falę mdłości. Pozbawieni nerwów robili zdjęcia i filmowali. Kilku zaczęło szeptać modlitwę.

Przyciągając więcej uwagi po śmierci niż kiedykolwiek za życia, Errol dryfował na plecach, spoglądając w niebo zmętniałymi oczami.

Rozdział trzydziesty

Burke stał w otwartych drzwiach chaty, popijając kawę i wpatrując się w deszcz, kiedy usłyszał za sobą jej kroki. Obejrzał się, niemal pewny, że niesie ze sobą żelazny pręt albo jakieś ostre narzędzie, żeby mu rozplatać głowę.

Nie zareagowała wczoraj za dobrze na to, że ją zakuł w kajdanki, i stoczyła z nim małą bitwę, której wcale tak łatwo nie wygrał, ponieważ nie chciał sprawić jej bólu. „Nie byłoby to potrzebne, gdyby nie próbowała pani uciec - powiedział jej. - Nie będę ryzykował, że mnie pani ogłuszy albo zabije we śnie”, a ona: „Nie przyszłoby mi to do głowy”. „Za to mnie przyszło - odparł, kładąc się na łóżku i pociągając ją za sobą. - Mam za sobą długi, męczący dzień. Zamierzam się wyspać. Pani też radzę”.

Uparła się, że się nie położy i siedziała na skraju łóżka, wrząc z oburzenia. Zignorował ją i zamknął oczy. W końcu jednak zmogło ją zmęczenie, położyła się i zasnęła na długo przed nim. Rano odpiął kajdanki i wstał, nie budząc jej. Teraz stała za nim, wyraźnie nadąsana, ale nie skradała się z żadną bronią.

- Kawa stoi na kuchence - powiedział.

Odwrócił się nonszalancko i wrócił do medytacji nad pogodą. W bagna siekł gęsty deszcz i nie zanosilo się na to, że wkrótce zelżeje. Dobrze, że przywiózł wystarczająco dużo zapasów. Nie popłynąłby dzisiaj do Oreda. Inna rzecz, że nie mógłby nigdzie popłynąć, dopóki w łodzi były dziury po kulach.

Pogoda uwięziła ich w chacie. Czy to wystarczy, żeby zatrzymać w domach także wszystkich innych? Czy Duvall był już bliski odkrycia miejsca ich pobytu? Kiedy się pojawi?! W ciągu dziesięciu minut? Czy potrwa to jeszcze tydzień?

Burke miał nadzieję, że raczej to pierwsze niż drugie. Chata wyraźnie się kurczyła wokół nich i zaczynało go to męczyć. Leżąc obok niej ostatniej nocy, słyszał każdy jej oddech. Czuł każde jej poruszenie. Jego sen zakłócało każde jej westchnienie. Teraz, chociaż stał odwrócony tyłem, dokładnie wiedział, co ona robi.

W Nowym Orleanie nosiła ubrania, które sygnalizowały, że jest tylko obiektem seksualnym. Jej garderoba była kosztowna i ocierała się o szmirę.

W zwyczajnym szarym dresie z domu towarowego wyglądała subtelniej i - paradoksalnie - o wiele bardziej seksy. Nawet bardziej niż w czarnej kusej i wydekoltowanej sukience wtedy w altanie. Bez makijażu, z policzkami zaróżowionymi snem, z potarganymi włosami, wyglądała niewinnie jak mały ciepły kotek, którego człowiek miałby ochotę pogłaskać. Cholernie seksownie.

Nie mógł już dłużej udawać sam przed sobą, że nie czuje coraz większego pożądania, że nie czuł go, gdy pierwszy raz na nią spojrział. Zawiądnęło nim tamtej nocy, kiedy ją zobaczył, i nie straciło na sile, nawet gdy odkrył, że eteryczna bogini z altany jest żoną Pinkie Duvalla.

Dlaczego, kiedy już się dowiedział, kim ona jest, nie miał na tyle rozumu w głowie, żeby znaleźć sobie jakąś chętną kobitkę i spędzić z nią noc tylko po to, aby to stępić? Przez ostatnie miesiące ich małżeństwa on i Barbara nie spali ze sobą. Wystarczająco długo, żeby mu się pod czaszką zaczęło gotować. Powinien wziąć Dixie, w końcu złożyła mu nawet ofertę zabawienia się na koszt firmy... Albo posłuchać Ruby Bouchereaux. Godzinka z którąś z jej utalentowanych dziewczynek działałaby cuda. Ale nie, on powiedział: nie, dziękuję. Coś z nim było nie tak? Zapisał się do szlachetnych czubków?

Niestety, obawiał się, że nawet najzręczniejsza w cielesnych uciechach dziwka, nawet gdyby zastosowała wszystkie znane jej sztuczki, nie ugasiłaby akurat tego płomienia.

Gdzie, do cholery, był Duvall?!

Czy opinia o tym, że sprawował olbrzymią władzę, była przesadna, ukuta tylko po to, aby wzbudzić strach we wrogach? Pogłoski o pracującej dla niego armii - fikcyjne? A jeśli prawdziwe - byłyby to tylko banda niekompetentnych najemników? Albo z niego, Burke, porywacz nad porywaczami, nie mający równych sobie. Nigdy by się nie podejrzewał o podobny talent.

Mniejsza o powód, trzeba było sobie jasno powiedzieć: mija czwarty dzień spędzony z zakładniczką i jest mu coraz trudniej, a nie łatwiej, ogarnąć to wszystko rozumem.

Wylał mętny osad z dna kubka prosto w padający deszcz i zapytał:

- Jest pani głodna?

- Jestem. Jakoś nie udało nam się usiąść wczoraj do kolacji.

Posłał jej spojrzenie mówiące: „A czyja to wina”, ale powiedział tylko:

- Zobaczę, co mamy do jedzenia.

- Chleb i krakersy - wyliczał, robiąc przegląd puszek zdjętych z półek Dredd's Mercantile - sardynki, solone orzeszki, tuńczyk, gorczyca, chili, zupa pomidorowa, konserwy mięsne, fasola, wołowina, ananas, znowu fasola, masło orzechowe.

- Gorczyca...?

- Uważam, że nawet ciężko pracującym na świeżym powietrzu niezbędne są ostre przyprawy.

- Chciałabym kanapkę z masłem orzechowym i trochę ananasa. Kiedy jedli, zapytał ją o rany na plecach.

- Obejrzałam je w lusterku nad umywalką w toalecie. Chyba się goją.

- Uważa pan, że trzeba je znowu opatrzyć?

- Dredd nie da mi żyć, jeśli wda się w to infekcja. Lepiej niech mi pani pozwoli je obejrzeć, przynajmniej dzisiaj.

- Wydaje mi się, że sama mogę to zrobić.

Wziął już od niej pusty papierowy talerz, żeby sprzątnąć, ale teraz rzucił go z powrotem na stół.

- No dobra, skończmy z tym. Nie o lekarstwo pani chodzi, tylko o to, że będę pani dotykał.

- Wcale nie powiedziałam...

- Moje ręce są co najmniej tak czyste jak ręce Barda, a nie wyglądało na to, że się pani brzydziła, kiedy panią obłapywał, więc niech pani przestanie wciskać mi ten kit.

- Bardo? - wykrzyknęła.

- Bardo. Widziałem panią z nim w altanie tego wieczoru, gdy ogłoszono wyrok uniewinniający.

Duvall wydał przyjęcie, ale wy świętowaliście prywatnie.

- Nie wiem, co się panu wydawało, panie Basile, ale źle pan widział.

- Dosyć widziałem. Odszedłem, zanim widok stał się żenujący. - Odsunął z hałasem krzesło i zerwał się z niego gwałtownie. - Zauważyłem też, jak pani krzyżuje ręce na piersiach, jakbym je mógł sprofanować samym wzrokiem. Widziałem, jak niemal wylewały się pani z dekoltu, tak że nie zrobił na mnie wrażenia ten nadzwyczajny gest skromności. Nie usposabia mnie to do pani ani trochę bardziej przyjaźnie, pani Duvall, przeciwnie: wkurza jak jasna cholera. Zakończywszy na tym przemowę, wymaszerował godnie z chaty.

Deszcz nie deszcz, doprowadzi tę pieprzoną łódź do porządku.

Gregory, nie otwierając oczu, wmawiał sobie, że miał jakieś ohydne, dzikie sny. Albo się za dużo napił, albo napalił, albo zrobił sam nie wie co, że jego podświadomość była w stanie wyprodukować coś tak dziwnego, jak awanturę z udziałem Burke Basile'a, Pinkie Duvalla, odludka mieszkającego na bagnach i obdzierającego aligatory ze skóry, pięknej kobiety i dla dopełnienia idiotycznego zestawu bohaterów jego samego w roli księdza.

Bogu dzięki, że ten koszmar wreszcie się prześnił.

Otworzył oczy, ale nie został nagrodzony widokiem zasuniętych żaluzji w oknie wychodzącym na podwórze domu w mieście. Zobaczył brzydkie zasłony, zwisające nierówno z oksydowanego mosiężnego pręta. Skąpe, szarawe światło przesączało się przez wypłowiały perkal. Grube jak groch krople deszczu spadały z podstrzeszy domu, w którym spędził noc.

Błogosławił swoich wybawców za ratunek. Dziękował im wylewnie za gościnność. W zamian om poprosili, aby pobłogosławił ich syna i jego ciężarną cioteczną kuzynkę. Ojciec Gregory nie widział innej możliwości, jak tylko zgodzić się na poprowadzenie ceremonii zaślubin.

Zaplanowano ją na dzisiaj. Miał nadzieję, że nie zapomniał właściwych słów. Seminarium... to było lata temu. Jego własne życie... to też było lata temu. Skończyło się w tę noc, kiedy Basile zatrzymał go w toalecie dla mężczyzn w miejskim parku.

Co go podkusiło, żeby krążyć po parku akurat tamtej nocy? Dlaczego nie poszedł sobie do kina?

A co by to miało za znaczenie, rozmyślał ponuro, wkładając zabłocone ubranie. I tak wcześniej czy później Basile wciągnąłby go do swojej prywatnej wojny z Duvallem. Basile poirzebował kogoś takiego jak Gregory, z rzadką kombinacją dwóch zawodów. Gdyby nie zaczepił go wtedy w parku, zrobiłby to gdzie indziej.

Gregory spojrział w zmętniałe lustro, żeby sprawdzić, jak wygląda, i wyszedł z sypialni. Rodzina zgromadziła się w dużym pokoju, oddzielonym od kuchni barem. Pan młody siedział przy barze, siorbiąc lucky charms, panna młoda nawijała włosy na lokówki.

Przygotowania do wesela trwały pełną parą. Wetknęto mu w dłoń filiżankę z kawą i zaczęto przedstawiać babciom, ciociom, siostrzenicom, które właśnie się schodziły, deklarując chęć pomocy, by wszystko było gotowe na przybycie gości. Wyrzekano dobrodusznie na deszcz i proszono go, żeby wstawił się u Pana Boga i wyprosił słońce w ciągu dnia. Uśmiechajcie się niepewnie, obiecał przedłożyć Panu ich prośby.

Z kuchni dolatywały wspaniałe aromaty, krzepcy krewni z męskiej linii znosili na barkach skrzynki piwa. Starając się jak najmniej rzucić w oczy, Gregory chodził od okna do okna i usiłował wypatrzeć drogę ewentualnej ucieczki. Wczoraj wydawało mu się, że dom leży na wyspie. Dzisiaj z ulgą stwierdził, że zbudowano go na krańcu półwyspu i że do stałego lądu wiedzie od tego wąskiego jak zakrzywiony palec skrawka ziemi droga z tłuczni.

Okolo południa zaczęli napływać przyjaciele i krewni. Wszyscy przynosili coś do jedzenia:

gulasze, krewetki, raki, kielbaski, czerwoną fasolę, ryż, wędzonkę wieprzową, nawet piętrowy biały tort kokosowy z plastikową panną młodą i panem młodym na wierzchniej warstwie.

Gregory wyłapał zaledwie parę znajomych słów z ich ożywionej konwersacji. Było oczywiste, że są ze sobą wszyscy niezwykle zżyci, a on jest jedyną nie należącą do ich kręgu osobą.

- Każdy, kto nadszedł, przyglądał mu się podejrzliwie. Usiłował więc rozwiać ich podejrzenia, rozdając anielskie uśmiechy, chociaż obawiał się, że nie wygląda przekonująco z tą pokiereszowaną twarzą. Nikt z rodziny ani z gości nie zapytał go, dlaczego zgodził się odprawić ceremonię, skoro inni księża odmówili z powodów moralnych. Gdy podpisał akt ślubu, ojciec pana młodego wymamrotał jakieś podziękowanie.

Nie dopuszczali obcych do komitywy, ale szczerze cieszyli się swoim własnym towarzystwem. Wydawało się, że wrzawa rozsadzi ściany domu, szczególnie gdy muzycy zaczęli stroić instrumenty.

O drugiej po południu panna młoda nieśmiało weszła do dużego pokoju. Miała na sobie długą sukienkę w kwiaty, którą przedtem przerabiała pośpiesznie jedna z babć, zapewne po to, by zmieścić w nią wydęty brzuch. Drużbowie podprowadzili potykającego się, na pół pijanego pana młodego do boku spłonionej panny młodej.

Ojciec Gregory rozpoczął ceremonię od wezwania, by Bóg błogosławił rodzinę i przyjaciół zgromadzonych z tak radosnej okazji. Nie byli na tyle trzeźwi, żeby zauważyć, gdyby coś pomylił.

Po pięciu minutach szczęśliwa para młoda wymieniła pocałunek, którym przypieczętowała ze wszech miar nielegalnie zawarte małżeństwo. Ojciec Gregory marzył tylko o jednym: zwać stąd w cholerę, zanim zostanie zdemaskowany jako oszust.

Zasiadł z nimi do jedzenia. Wypił jedno piwo. Nie okazali, oczywiście, takiej wstrzemięźliwości i wlewali w siebie niezliczone butelki. W miarę jak się upijali, muzycanci grali coraz głośniej i tańczono coraz bardziej ochoczo. Wywiązały się dwie bójki na pięści, ale stłumiono je, zanim krew poląła się na serio. Kiedy zapadł zmierzch, powietrze w domu zgęstniało od parujących w kuchni potraw, potu wydzielanego przez ich ciała i pasji, którą chyba wkładali we wszystko, co robili. Ktoś pootwierał drzwi, żeby przewietrzyć dom.

I wtedy ojciec Gregory wyśliznął się, zabierając wełnianą kurtkę i czapkę któregoś z kuzynów.

Deszcz go chłostał, gdy puścił się szaleńczym biegiem w kierunku szopy, gdzie stała łódź, w której go tu wczoraj przywieźli. Obok przycumowali łódkę, którą skradł Dreddowi, ale nawet przez chwilę nie myślał, żeby do niej jeszcze raz wsiąść. Żadnych więcej bagien, Bóg zapłać. Odtąd będzie się puszczał na ryzyko tylko na stałym lądzie. Też obfitował w niebezpieczeństwa, ale przynajmniej znane. Spojrzał w kierunku domu. Nic nie wskazywało na to, że ktoś zauważył jego ucieczkę. Wybiegł z szopy w deszcz. Biegł po drodze z tłucznia tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu, wkładając w to maksimum energii, dopóki płuca nie odmówiły mu posłuszeństwa. Zaszlochał z niewypowiedzianej radości, kiedy droga z tłucznia się skończyła.

Dochodziła do dwupasmowej autostrady publicznej. Pochylił się, opierając dłonie na kolanach i łapał długie hausty powietrza, a potem poszedł szybkim krokiem w kierunku, jak mu się zdawało, najbliższego miasta. Wiedział, że nie może zająć daleko. Miał jednak nadzieję, że nadjedzie jakiś samochód, zanim goście weselni odkryją jego ucieczkę i ruszą go szukać. Ostatecznie nie był im w tej chwili do niczego potrzebny, skoro już pobłogosławił grzeszników.

Kiedy dosięgły go światła nadjeżdżającego z tyłu samochodu, serce w nim zamarło. Mógł należeć do uczestnika wesela, wysłanego, by go sprowadzić z powrotem. Mogła to być policja szukająca porywaczy żony Duvalla. Albo ktoś opłacany przez samego Duvalla, w dodatku mający nadzieję na

pokażą nagrodę za odnalezienie żony.

Ale mogła to też być okazja powrotu do cywilizacji. Proszę cię, Boże, modlił się w duchu, unosząc kciuk ku górze i odwracając twarz. Pikap zwolnił, kierowca obrzucił go spojrzeniem, a potem wyminął, opryskując błotem. Gregory zaszlochał. Płakał jeszcze pięć minut później, kiedy nadjechał następny samochód. Musiał wyglądać tak żałośnie, że wzbudził litość, bo kierowca, który zrazu go minął, zatrzymał się jednak.

Podbiegł do auta truchcikiem. Po stronie pasażera siedziała nastolatka. Za kierownicą dziewczyna, która wyglądała jeszcze młodziej. Przyglądały mu się z zainteresowaniem.

- Gdzie pana samochód, szanowny panie? - zapytała pasażerka.

- Zatopiłem go w bagnie, gdy odegrałem rolę księdza w celu porwania żony bogatego i znanego człowieka. Zachichotały, uznając to za dobry kawał.

- Superancko - powiedziała pasażerka i pokazała głową na tylne siedzenie. - Wsiadaj.

- Dokąd jedziecie? - zapytał ostrożnie.

- Orlean - padła odpowiedź. - Jedziemy na imprezkę.

- Superancko - powtórzył, wsiadając.

Dziewczyna za kierownicą wcisnęła gaz do dechy, samochód zakołysał się na śliskiej nawierzchni i pomknął w wilgotną ciemność.

Nie więcej niż piętnaście lat, doszedł do wniosku, ubrane tak, że Madonna by się zarumieniła. Przezrocyste bluzki, podnoszące biust staniki z koronki. Uszy, nosy, wargi przekłute. Ostry makijaż na wampa podkreślał oczy i usta.

Poprosił, żeby się zatrzymały, kiedy dojechali do French Quarter, a one zaczęły go przekonywać, żeby się do nich przyłączył.

- Pokażemy ci, na czym polega dobra zabawa - powiedziała jedna.

- Nie myśl sobie, że tego nie umiemy - przechwalała się druga.

- W tym właśnie problem - odparł zdobywając się na czarujący uśmiech. - Wy, dziewczyny, jesteście dla mnie zbyt doświadczone.

Pochlebstwo spełniło swoją rolę. Wysadziły go na skrzyżowaniu. Zdmuchnął z koniuszków palców całusy. Odjechały. Nie mógł się nadziwić ich lekkomyślności. Czy rodzice nigdy ich nie ostrzegali przed zabieraniem autostopowiczów? Nie oglądały wieczornych wiadomości? Równie dobrze mógł być zboczeńcem.

Jest zboczeńcem, przypomniał samemu sobie smętnie. Przeszedł kilka przecznic dzielących go od domu, unikając wzroku licznych przechodniów, których pogoda nie odstraszyła od ostatnich zabaw. Nastrój mu się od razu poprawił, gdy się znalazł na swojej ulicy. Ostatnie dwadzieścia jardów przebiegł truchtem. Klucz leżał tam, gdzie go schował tego ranka, kiedy wybrał się z Basile'em zabrać panią Duvall na wycieczkę do Domu dla Jenny.

- Głupek i naiwniak - zamruczał samokrytycznie.

Jego zdjęcia krążą już pewnie za pośrednictwem FBI po całym kraju i za granicą. Ścigany. Wyznaczyli cenę za jego głowę jako winnego porwania i Bóg wie jeszcze jakich przestępstw. To już wkurzy ojca na amen. Wydziejczy go i przeklnie.

Wobec tego jaki przyjąć plan gry? Po pierwsze: butelka chłodnego wina i długi ciepły prysznic. Przenocuje, a rano pakowanie i zjeżdża dodgem.

Nie bardzo sobie co prawda wyobrażał, w jaki sposób sfinansuje podróż bez pomocy ojca. Może jednak powinien zdać się na litość starego drania jeszcze ten ostatni raz? Może porozmawia najpierw

z matką, odwoła się do jej instynktu macierzyńskiego, o ile ta wiedźma ma jakiś.

Prześpi się z tym, zdecydował i zapalił górne światło.

- Cześć, Gregory.

Krzyknął. Dwóch policjantów siedziało rozpartych na kanapie w jego salonie. Czyhali na niego w ciemnościach jak dwa olbrzymie pająki.

Jeden z nich odezwał się, jakby chciał to potwierdzić:

- Najwyższy czas, żebyś się zjawił. Czekamy od dwóch dni. - Przyjrzał się badawczo twarzy Gregory'ego. - Jezu. Podle wyglądasz. Skończył się piękny chłoptaş.

- Życie ściganego nie jest dokładnie takie jak w kinie, co? - powiedział drugi. - No, eskapada zakończona. Kariera kryminalisty zakończona, zanim ją na dobre zaczęłaś, co Gregory? Zduszona w zarodku, jak to pięknie mówią. Ot co! pstryknął palcami tuż przy spuchniętym nosie młodego człowieka.

Gregory oparł się bezradnie plecami o ścianę, zamknął oczy i pojękując kręcił głową. Nocny koszmar wcale się nie skończył.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Deszcz osłabł, ale ciemne chmury dalej wisały ponuro nad zalewiskiem. Remy stała w otwartych drzwiach chaty i patrzyła, jak Basile opuszcza łódź na wodę.

Łatał dziury po kulach, używając materiałów z głębokiej drewnianej skrzynki stojącej pod ścianą. Według niej była to smoła i taśma izolacyjna. Beznadziejna robota najwyraźniej wymagała beznadziejnego łańcuszka przekleństw. Chyba jednak zakończyła się sukcesem, bo łódka nie zatonięła. Przywiązał ją do mola i podszedł do chaty.

- Teraz jest szczelna? - zapytała.
- Chyba nie zacznie przeciekać, zanim tam dopłynę.
- Dokąd?
- Do Dredda.
- Kiedy?
- Rano. Jeśli deszcz ustanie. Mogłaby mi pani przynieść ręcznik? Zaleję wodą całą podłogę, jeśli wejdem w takim stanie.

Pracował z uporem maniaka w ulewnym deszczu, w samych dzinsach i koszuli, teraz przemoczonych na wylot. Wziął z jej rąk ręcznik, rzucając lakoniczne „dzięki”, i schował się za róg, żeby się wytrzeć. Pojawił się z powrotem z ręcznikiem okręconym wokół bioder. Bez słowa wyjął ubranie na zmianę i zniknął w łazience.

Zauważyła, że ma piegi na ramionach. Wyszedł z łazienki.

- Co to jest? - Patrzył na stół.
- Kolacja. - Nakryła na dwie osoby. Znalazła nawet świecę w szufladzie z przyborami kuchennymi. Przylepiła ją woskiem do dna pękniętego spodka, ale i tak łagodziła prymitywność wnętrza. - To tylko chili i fasola, ale pomyślałam, że będzie pan głodny, skoro nie jadł pan lunchu.
- Uhm... Cóż, dziękuję.

Usiadł, a ona podała jedzenie. Pudełko krakersów i butelka wody dopełniały menu. Jedli jakiś czas w milczeniu. Odezwał się pierwszy:

- Przywykła pani do czego innego.
- Odłożyła łyżkę do miseczki i rozejrzała się wokół. Chata była umeblowana nie pasującymi do siebie meblami, których ktoś chciał się pozbyć, ogrzewał ją piecyk, oświetlała lampa Colemana, ale była zaciszna i sucha, dawała schronienie na niebezpiecznym terytorium.
- Rzeczywiście przywykłam do czego innego, ale nawet mi się podoba. Może dlatego, że to się różni od wszystkiego, co do tej pory widziałam.
- Żaden kawaler nie zabrał pani na randkę do swojego wędkarskiego ustronia?
- Nigdy nie byłam na randce i nigdy nie miałam kawalera. - Odgryzła kawałek krakersa, odłożyła go na brzeg miseczki i sięgnęła po szklanekę z wodą. Złapała jego zdumione spojrzenie i zapytała: - O

co chodzi?

- Nigdy pani nie była na randce?

- Nie, chyba że liczyć Pinkie. Zostałam przeniesiona od matki do Błogosławionego Serca, a stamtąd prosto do domu Pinkie. Nie było miejsca na chłopców. Nie chodziłam nawet na szkolne tańce.

- Jak to?

- Mieszkałam z Angel w jednym pokoju - powiedziała cicho. - Mężczyźni dali mi się poznać z nie najlepszej strony. Wcale nie pragnęłam tych tańców. A zresztą Pinkie i tak by nie wyraził na nie zgody.

Znowu zapadła cisza, przerywana tylko postukiwaniem łyżek o fajansowe miski. Wreszcie zapytał:

- Myślała pani kiedykolwiek, żeby zostać zakonnica? Pytanie chyba ją rozbawiło, bo roześmiała się cicho.

- Nie, Pinkie miał inne plany.

- Wycofać zainwestowane pieniądze.

- Może pan to tak nazwać. Poślubił mnie tego samego wieczoru, kiedy skończyłam szkołę. - Nie poszła pani do college'u?

- Chciałam, ale Pinkie by nie pozwolił.

- Pinkie nie wyraziłby zgody. Pinkie miał inne plany. Pinkie by nie pozwolił.

Zdziwił ją jego urażony ton. - Nie rozumie pan tego?

- Nie, nie rozumiem.

- Nie jestem nieukiem. Skończyłam różne korespondencyjne kursy, które oferują college'e. - Nie uważam pani za nieuka.

- A i owszem, panie Basile. Aż nadto wyraźnie daje pan odczuć, jak nisko mnie pan ocenia.

Miał minę, jakby chciał się spierać, ale wyraźnie zmienił zamiar i powiedział, wzruszając ramionami:

- Nie moja sprawa. Po prostu nie mogę zrozumieć, jak człowiek, wszystko jedno czy mężczyzna, czy kobieta, może tak podporządkować swoje życie komuś innemu. Jakbym słyszał: proszę, przeżyj je za mnie, zgoda? Nigdy pani nie podjęła żadnej samodzielnej decyzji?

- A podjęłam. Wbrew życzeniom Pinkie i w sekrecie przed nim ubiegałam się o pracę w galerii. Studiowałam sztukę, kochałam ją i zdołałam przekonać właściciela w czasie rozmowy, że znam się na tym i to lubię. Zatrudnił mnie. Pracowałam dwa dni.

- Co się stało?

- Galeria spłonęła doszczętnie. Cały budynek. Wszystko uległo zniszczeniu. - Spojrzała na niego znacząco. - Nigdy nie znaleźli podpalacza, a ja nigdy więcej nie starałam się o pracę.

Nie jadł już, przyłożył złożone dłonie do ust i patrzył na nią uważnie znad splecionych palców. Ma też piegi na kościach policzkowych, zauważyła. A oczy wcale nie piwne, jak myślała, tylko zielone, ale tak ciemne, że z daleka wyglądały na piwne.

- Chce pan dokładkę?

Wydawało się, że z początku nie' rozumiał pytania, ale potem spuścił wzrok na pustą miseczkę i powiedział:

- Tak, proszę.

Zjadł drugą porcję w milczeniu. Kiedy skończył, posprzątała ze stołu. zaproponował, że

pozmywa, a ona, nie oponując, wzięła się za wycieranie.

- Nigdy się nie zetknąłem z kimś takim jak pani - powiedział. - Rano dosłownie błagała mnie pani, żebym odesłał panią do męża, a tymczasem z tego, co pani mówi, wynika, że Duvall wywiera na panią emocjonalną presję. Jest pani więźniem we własnym domu. Nie podejmuje pani żadnych decyzji. Pani opinia się nie liczy, nawet jeśli ma dotyczyć pani własnej przyszłości. Jest pani własnością Duvalla, czymś do popisowywania się...

- Jak jego orchidee.

- Orchidee?

- Spędza całe godziny w cieplarni, pielęgnując orchidee.

- Żartuje pani.

- Nie, ale odbieглиśmy od tematu. Proszę, niech pan dokończy swoją myśl.

- Moją myśl? No więc myślę, że nie ma pani nic przeciwko temu, żeby być czymś w rodzaju rzeczy, skoro tyle dostaje pani w zamian. Ekstra ciuchy. Biżuterię. Limuzynę i szofera. Jaka matka, taka córka. Pobiera pani po prostu większą opłatę niż Angel.

Ubodło ją to bardziej, niż gdyby ją uderzył. Rzuciła ścierkę do naczyń i odwróciła się, ale złapał ją mokrą ręką za nadgarstek.

- Proszę mnie puścić.

- Sprzedała pani ciało i duszę Duvallowi i czuje się pani usprawiedliwiona, ponieważ miała matkę dziwkę. To nie przejdzie, pani Duvall. Dzieci nie wybierają sobie rodziców, ale jako dorośli możemy wybierać.

- Tak?

- Nie zgadza się pani?

- Może pańskie wybory były bardziej proste, panie Basile.

- Och, myślę, że to pani wybory były bardzo proste. Gdybym był piękną, godną pożądaną młodą kobietą, może też bym mógł zaoferować siebie temu, kto da więcej.

- Naprawdę tak pan myśli?

- Powiedziałem: może.

- Nie. Chodzi mi o to, czy pan naprawdę myśli, że jestem piękna i godna pożądaną.

Miał minę, jakby mu wymierzyła szcztuka w nos. Puścił jej nadgarstek, ale więził ją spojrzeniem. Wreszcie powiedział:

- Tak. Naprawdę. I myślę, że pani dokładnie o tym wie. Używa pani swojej seksualności jak czeku gotówkowego, a każdy mężczyzna, który stanie na pani drodze, chciałby go zrealizować. Od stetryczalego zrzędy w rodzaju Dredda po jękającego się z wrażenia sprzedawcy pomarańczy na French Market.

Rozchyliła usta w niemym zdziwieniu.

- To ja leciałem za panią w baseballowej czapce z tą idiotyczną torebką z jedną pomarańczą - przyznał ze złością. Szpiegowałem panią wtedy, a także tej nocy, kiedy miała pani schadzki z Bardem w altanie.

- Nie miałam schadzki z Bardem. Ani tej, ani żadnej innej nocy. Skóra mi cierpnie na jego widok.

- Wcale na to nie wyglądało.

- Szybki pan w sądach i bardzo pewny siebie. Trochę mnie to dziwi, bo zdawałoby się, że tacy jak pan najlepiej wiedzą, że rzeczy często mają się inaczej, niż na to wygląda. Powinien pan wiedzieć, jak czasem

okoliczności zaciemniają sytuację.

- O czym pani tutaj znowu mówi? - zapytał, zbliżając się do niej na krok.

- Zabił pan swojego partnera. Kula wystrzelona z pańskiej broni spowodowała śmierć.

Technicznie rzecz biorąc, właśnie to się zdarzyło. Ale nie byłoby fair sądzić pana wyłącznie na podstawie tych faktów. Istnieją okoliczności dodatkowe. J dopiero gdy się je weźmie pod uwagę, okazuje się, że można pana oczyścić z zarzutów.

- Aha. I co z tego wynika?

- To, że nie zna pan wszystkich faktów z mego życia, więc jak pan śmie prawić mi kazania na temat moich wyborów!

- Pani Duvall? - powiedział spokojnie.

- Co?

- Spróbowała pani kiedyś krzyknąć tak na swojego męża? - Nieoczekiwane pytanie i spokojny ton głosu, jakim zostało zadane, zbiły ją z tropu.

- Nie? - zapytał, unosząc brwi ze zdziwieniem. - No to może pani powinna. Może by przestał wzniecać pożary, gdyby pani powiedziała: „jak śmiesz!” i zagroziła odejściem.

- Odejściem?! - wykrzyknęła i roześmiała się gorzko. Cóż za oryginalny pomysł, panie Basile. Dlaczego ja sama o tym nie pomyślałam? Dlaczego...

- Szszsz... - Zrobił krok i objął ją jedną ręką w tali, a drugą przycisnął jej do ust. Próbowwała się wyrwać, ale ścisnął ją mocniej w tali. - Szszsz...

Znowu usłyszał odległy hałas, który doszedł jego uszu parę sekund przedtem. Jakby silnik łodzi.

- Ponieważ nie wiemy, kto to jest - powiedział cicho radzę pani zachowywać się cicho.

Nie zapomniała o mężczyznach, którzy ścigali ich z Crossroads, skinęła więc głową. Wtedy ją puścił.

- Proszę zgasić świecę.

Zdmuchnęła ją, a on sięgnął do lampy i przygasił ją tak, że ledwie się żarzyła.

- Niech się pani nie pokazuje.

Położył jej rękę na głowie, jak wtedy w łodzi, kiedy nadleciał helikopter, nacisnął, żeby się schyliła, i dał znak, że ma wejść pod stół. Wpełzła pod mebel skulona.

Przemknął jak cień do gablotki i zobaczyła, jak wyjmuje zza górnej półki pistolet. Jedno z niewielu miejsc, w których go dzisiaj nie szukała, kiedy był zajęty naprawianiem łodzi. Wetknął broń za pasek dżinsów i wyszedł. Stał w otwartych drzwiach.

Hałas pracującego silnika stawał się coraz wyraźniejszy.

Wkrótce przez omszałe gałęzie zaczęło przeświecać migoczące światło, a na falującej powierzchni wody pojawił się jasny krąg, który się rozszerzał w miarę jak łódź się zbliżała. Ze swojego stanowiska pod stołem widziała wystarczająco dużo, żeby stwierdzić, że jest mniej więcej taka jak ta, którą tu przyplłynęli.

Jakiś mężczyzna zawołał coś do Basile'a w zniekształconym francuskim, na co ten odpowiedział:

- ... bry wieczór.

Remy czuła wibracje, gdy łódź podpływała do pomostu i uderzyła w jedną z przyczepionych do pali opon, służących za bufory. Wpełzła spod stołu i na czworakach zbliżyła do okna. Podniosła głowę ostrożnie, żeby tylko czoło i oczy wystawały ponad parapet. W łódce tłoczyło się trzech mężczyzn.

Nie wiedziała, czy ma się im pokazać i zaalarmować, że została porwana, czy mimo wszystko

pozostać w ukryciu. Musi wrócić do Nowego Orleanu, ale czy ci trzej zapewnią jej bezpieczny powrót? Może bezpieczniejsza jest z Basile'em?

Tymczasem Basile wypytywał przybyszów, czy ryby biorą.

Więc nie są z policji. A może pytanie Basile'a to tylko fortel, bo chce, żeby tak myślała? Zerknęła ostrożnie jeszcze raz. Mężczyźni, ledwie widoczni w mroku, wyglądali dość prostacko i raczej nie na stróżów prawa, a ich łódź nie nosiła żadnych oznaczeń. Rzecznik całej trójki powiedział po angielsku, że bynajmniej nie wybrali się na ryby.

- Szukamy kogoś. Księdza.

- Wszystko jedno jakiego czy konkretnego? - zapytał

Basile swobodnym tonem, ale Remy wiedziała, że to swoboda pozorna.

- Ten ksiądz... ojciec Gregory, mógł mieć kłopoty. Kto to wie? - Ten w łodzi wzruszył ramionami. - Nie chcemy żadnych kłopotów, jakby miał jakichś wrogów.

- Dlaczego uważacie, że mógłby mieć wrogów?

Basile słuchał opowieści mężczyzny bez komentarza. Dopiero kiedy tamten skończył, powiedział:

- Zgubił się na bagnie? Biedny głupek. W każdym razie jestem tu już parę dni i nie widziałem, żeby ktoś tędy przepływał.

Naradzili się szeptem, potem ten wydelegowany do mówienia podziękował Basile'owi, życzył mu dobrej nocy i odepchnęli łódź od pomostu. Zakręcili i odpłynęli tą samą drogą, którą przybyli.

Remy pomyślała, że ma ostatnią okazję wybiec i zawołać ich, ale się nie zdecydowała. Co w nich było takiego, że wystraszyli ojca Gregory'ego bardziej niż pułapki bagna? Skoro im nie zaufał, musiał mieć po temu jakieś powody.

A może bał się tylko, żeby nie przekazali go władzom? Zerwała się i pobiegła do drzwi, ale stał już w nich Basile, zagradzając jej drogę.

- Może pani krzyczeć, na pewno wrócą - powiedział cicho, ale dobitnie. - Nie ma pani jednak żadnej gwarancji, czy pani nie skrzywdzą.

- A jakie mam gwarancje, że pan mnie nie skrzywdzi?

- Skrzywdziłem panią dotąd?

Nie widziała jego oczu, mimo to czuła na sobie jego wzrok i wiedziała, że ma rację. Miała ograniczony wybór; lepsze było znane zło.

Wyczuł chyba, jaką podjęła decyzję, bo wszedł do środka i zgasił lampę. Chata pograżyła się w ciemnościach.

- To na wypadek gdyby się przyczaili za zakrętem i obserwowali nas.

- Jak pan myśli, co się stało z ojcem Gregorym, gdy uciekł z wesela? - zapytała szeptem.

- Bóg raczy wiedzieć. Ale w każdym razie wiemy, że na razie mu się udało.

Gregory pogodził się z myślą, że niedługo umrze.

Nie dostanie kary śmierci za rolę, jaką odegrał w porwaniu żony Duvalla, ale w więzieniu długo nie pożyje. Tacy jak on są tam zdobyczą, a przeważają łupieżcy. Jego życie może się skurczyć do paru miesięcy. Ale nawet po tak krótkim czasie spędzonym w celi śmierć będzie tylko gorąco wyczekiwany wybawieniem.

Zajął tylne siedzenie w nie oznakowanym policyjnym samochodzie, serce trzepotało mu się w klatce piersiowej. Ku jego zdumieniu nie pojechali w kierunku Vieux Carre.

- Wieziecie mnie do dzielnicy willowej?

Policjanci zignorowali pytanie i spokojnie rozmawiali dalej o planowanym przyjęciu

ostatkowym. Minęli siedzibę policji, nawet nie zwalniając, i Gregory'ego opanował strach nie do zniesienia.

- Dokąd mnie zabieracie?!

- Zamkniesz się wreszcie? - odwrócił się do niego mężczyzna siedzący przy kierowcy.

- Nie słyszysz, że rozmawiamy?

- Jesteście z federalnej?

Roześmieli się i tym razem odezwał się kierowca.

- Właśnie. Z federalnej - powiedział szyderczo. Gregory zaczął drżeć.

- Basile zmusił mnie do współuczestnictwa. Jest gorszy niż sam diabeł. Groził, że mnie zabije, jeśli mu nie pomogę. Ja wcale nie wiedziałem, co on ma zamiar zrobić. Ja... ja nie miałem pojęcia, że to porwanie, dopóki to się nie stało. - Jego zapewnienia o niewinności najwyraźniej przeszły bez wrażenia, zastosował więc inną taktykę: - Mój tata jest bogatym człowiekiem. Zapłaci wam dobrze, jeśli odwieziecie mnie do jego domu. Bez dwóch zdań. Wystarczy, że powiecie ile. Przysięgam, że jest bogaty.

- Wiemy o tobie wszystko, Gregory - powiedział ten za kierowcą. - Przytrzaśnij jadaczkę, bo zaczynam się ździebko denerwować.

Gregory zdusił w sobie błagalny krzyk, który cisnął mu się na usta, i zaczął cicho płakać. Stało się dla niego oczywiste, że nie zabrali go funkcjonariusze policji, a resztki wątpliwości rozwiały się, gdy wjechali do podziemnego parkingu biurowca. O tej porze w nocy garaż był prawie pusty, stało w nim zaledwie kilka samochodów.

Podziemny garaż... Przez mózg Gregory'ego przemknął kalejdoskop scen z niezliczonych filmów, pokazujących dokonywane w takich garażach morderstwa. Ustawią go twarzą do betonowej ściany i strzelą w tył głowy. Twarz nie do rozpoznania, a ciało znajdą jutro rano urzędnicy, którzy przyjdą najwcześniej do pracy.

- Proszę... - kwilił, wciskając się w tylne siedzenie, gdy otworzyli drzwi - proszę, nie, proszę...

Mężczyźni, których wziął za policjantów, złapali go za koszulę i wyciągnęli z samochodu. Padł na kolana, błagając o życie, ale postawili go na nogi i popchnęli szturchańcami w kierunku windy.

Czyli nie zabiją go na parkingu. Na pewno nie chcą, żeby krew poplamiała im ubrania. Zawiozą go na dach i zrzucą, pozorując samobójstwo. Biorąc udział w porwaniu, Gregory James przekroczył granice. Dosłownie.

Winda zatrzymała się jednak na którymś z kolei piętrze, nie dojeżdżając do dachu. Wyciągnęli go z ciasnej kabiny i ze zdumieniem zobaczył wyłożony dywanem korytarz z ciągiem mahoniowych drzwi po obu stronach. Surowo wyglądający korytarz zamykały w głębi podwójne drzwi z wygrawerowaną tabliczką.

Gregory przeczytał wyryte w mosiądzu nazwisko, kolana się pod nim ugięły i osunął się na podłogę.

- Wstawaj - powiedział jeden z eskortujących go mężczyzn.

- No, szybko! Przestań zgrywać dupka!

Gregory leżał skulony w embrionalnej pozycji i jęczał żałośnie. Podwójne drzwi się otworzyły i usłyszał dudniący po całym korytarzu głos:

- Co tu się dzieje?

- Nie chce wstać. Co mamy z nim zrobić, panie Duvall?

To było jeszcze gorsze niż zobaczyć je wypisane na metalowej tabliczce - usłyszeć to nazwisko.

Gregory zakrył dłońmi uszy.

Ale patrzył na parę lśniących na zielonym dywanie mokasynów ze skóry krokodyla, rozmiar chyba jednaście, które były coraz bliżej jego oczu. Zatrzymały się tuż przy jego głowie.

- To nie my mamy coś z nim zrobić, panowie - powiedział stojący nad nim Pinkie Duvall. - Od tej chwili los pana Jamesa zależy wyłącznie od tego, co on zrobi.

Rozdział trzydziesty drugi

- Panie Duvall? Przepraszam pana bardzo, że przeszkadzam, ale dzwoni panna Flarra. Jest bardzo zaniepokojona. - Dziękuję, Roman. Odbiorę telefon. - Duvall podniósł słuchawkę, gdy tylko kamerdyner wyszedł z gabinetu. - Harra? Co słyhać, kochanie?

- Jestem chora ze zmartwienia, to chyba słyhać! Co się dzieje? Musiałam błagać Romana, żeby mi pozwolił z tobą porozmawiać. Powiedział, że dostał polecenie nie łączyć żadnych rozmów. Gdzie jest Remy? Dlaczego nie przyjechała mnie odwiedzić? Już od tylu dni nie mam z nią żadnego kontaktu! Coś strasznego się wydarzyło, ja to wiem.

- Uspokój się. Nie wydarzyło się nic strasznego.

- To co się dzieje? Remy przychodziła do mnie co tydzień i nigdy jej się nie zdarzyło zapomnieć. Jak dzwonię do was do domu, ciągle mnie zbywają.

- Twoja siostra ma nawrót zakażenia paciorkowcem w gardle.

- Jak się czuje? - zapytała, wyraźnie przejęta.

- Parę dni odpoczynku i będzie w porządku.

- Dlaczego nikt mi nic nie powiedział?

- Remy nie chciała cię niepotrzebnie martwić, więc poprosiła służbę, żeby ci o tym nie wspominali. Dostaje antybiotyki i już widać znaczną poprawę, chociaż gardło ją wciąż boli. Mówienie przychodzi jej z trudnością. Ja jestem całkowicie pochłonięty pewnym przypadkiem i na nic nie mam czasu. Niemniej przepraszam cię, że nie zadzwoniłem, to niewybaczalne z mojej strony. Pinkie wsłuchiwał się w ciszę po drugiej stronie słuchawki, gdzie Harra przetrawiała jego kłamstwo. Gdyby jej powiedział prawdę, miałby na karku histeryczną nastolatkę, co by tylko skomplikowało problem. Flarra była impulsywna i nieprzewidywalna, nie wiadomo, jak by zareagowała na wiadomość o porwaniu siostry. Wkrótce poinformuje ją o śmierci Remy, na razie nie będzie wychodził przed orkiestrę.

- Czy mogę przyjść jutro ją odwiedzić? - spytała.

- Obawiam się, że nie, kochanie. To zaraźliwe. Przecież wiesz, że nie chciałyby cię zainfekować. A siostra Beatrice nigdy by nam nie wybaczyła, gdybyśmy wywołali małą epidemię paciorkowca w szkole.

- Czy to doktor Caruth przepisała Remy lekarstwo?

- A co za różnica?

- No nie wiem, Pinkie, ale... Remy była ostatnio taka wyczerpana...

- No i?

- Więc pomyślałam sobie... ja tylko zgaduję, oczywiście, ale czy ona nie jest w ciąży?

Pinkie wpatrzył się nie widzącym wzrokiem w stojący na biurku kryształowy przycisk do papieru. Nagle wszystko przestała do niego docierać oprócz absurdałnej sugestii szwagierki. Być

może wcale nie takiej absurdalnej.

- No, bo jeśli tak - kontynuowała Flarra, nieświadoma jego reakcji - to czy powinna brać antybiotyki?

- Nie jest w ciąży.

- Na pewno?

- Nie sądzisz, że to moja żona i wiedziałbym o tym? - warknął zirytowany.

- Nie musisz od razu na mnie burczeć. Nie chcę wściubiać nosa w nie swoje sprawy, Pinkie. Po prostu wiem, że Remy skrycie bardzo pragnie dziecka i boleje nad tym, że nie może zajść w ciążę. Miałam nadzieję, że właśnie z tego powodu była ostatnio taka słabowita. Nawet pytałam ją o to.

- I co ci odpowiedziała?

- Że nie.

- To chyba wyczerpuje sprawę. Dlaczego miałyby kłamać?

- Właściwie masz rację. Tak sobie tylko myślałam. - I zapytała, czy mógłby pójść ze słuchawką do Remy, przyłożyć ją jej do ucha. - Powiem tylko dzień dobry, nie będzie musiała rozmawiać. - Śpi teraz.

- Ach tak, chyba nie powinieneś jej budzić... - Flarra była wyraźnie niepoczyszona.

- Powiem jej o twoim telefonie, na pewno doceni twoją troskę.

- Martwię się z jeszcze jednego powodu - powiedziała z namysłem. - Musi być porządnie wyprowadzona z równowagi Errolem.

- Już o tym słyszałaś?

- Przeczytałam w gazecie. Remy na pewno się przestraszyła.

- Prawdę mówiąc, do tej pory nie wie. Jest taka chora, że nie miałem serca przekazywać jej złych wiadomości.

- Czy policja ma już jakieś poszlaki?

- O żadnych nie wiem. Obawiam się, że to jedna z tych przypadkowo dokonanych zbrodni, których sprawcy pozostają do końca nie wykryci.

- Erral był silny jak byk - rozmyślała na głos Flarra. W jaki sposób mógł go tak załatwić jakiś zwykły rzezimieszek?

- Nieładnie źle mówić o zmarłych, ale fizyczne siły Errola znacznie przewyższyły jego możliwości umysłowe. Powinien wiedzieć, że nie chodzi się nocą na samotne przechadzki po nadbrzeżu.

- Rzeczywiście, ale jednak dziwne...

- Flarra, kochanie - przerwał jej, znudzony rozmową - musisz mi wybaczyć.

- Czy miałeś czas pomyśleć o wtorku? No wiesz, czy będę mogła przyjść na wasze przyjęcie?

- Owszem, myślałem o tym, ale jeszcze nie podjąłem decyzji i naprawdę nie mogę w tej chwili rozmawiać.

Spodziewam się ważnego telefonu dotyczącego sprawy, którą właśnie prowadzę. Przekażę Remy całusy od ciebie.

- Dobrze - odpowiedziała z wyraźnym brakiem entuzjazmu. - Poproś, żeby do mnie zadzwoniła, jak tylko poczuje się na siłach. No to pa.

Ledwie odłożył słuchawkę, polecił Romanowi wezwać Barda. Kiedy przyszedł, wręczył mu kartę adresową wyjętą z rolodexa.

- Wyznacz jednego ze swoich najlepszych ludzi. Ma być dyskretny, ale chcę wiedzieć wszystko,

nawet jakiego mydła używa.

Bardo skinął głową i schował kartonik.

- Nasz pseudoksiądz zdecydował się współpracować?

- Daliśmy mu trochę czasu na rozmyślenia - uśmiechnął się Bardo złośliwie.

- Co z McCuenem? Macie już coś?

Policjant nie przyszedł wieczorem na umówione spotkanie. W jego domu nie było nikogo, wewnątrz panował bałagan, jakby gospodarze wyjeżdżali w pośpiechu.

- Wysłałem ludzi na poszukiwania. Wpadną na ślad zapewnił Bardo jak zwykle buńczucznie. Ale zaraz zapytał już znacznie mniej pewnym głosem: - Co będzie, jeśli ani ten pedał, ani McCuen nic nie pomogą?

Pinkie spojrział na telefon, myśląc o swojej ostatniej rozmowie. Pogłaskał słuchawkę palcem i uśmiechnął się jak szuler, który trzyma asa w rękawie.

- Spróbujemy czegoś innego.

- Boże święty, a któż to znowu może być?

Joe Basile uznał, że jego żona ma wszelkie prawo do okazywania złego humoru. Dzień zaczął się fatalnie już o świcie nie zapowiedzianą wizytą Patouta. Teraz, w środku nocy, obudził ją telefon. Joe zaczął szukać po omacku słuchawki i znalazł ją po piątym dzwonku.

- Panie Basile, tu znowu McCuen. Proszę, niech pan się nie rozłącza, dopóki pan nie usłyszysz, co mam do powiedzenia. - O co chodzi, panie McCuen? - powiedział Joe ze zniecierpliwieniem.

- Kłamałem dzisiaj rano. Joe usiadł na brzegu łóżka. - Co do czego?

- Mówiłem, że Basile zaprosił mnie do swojej samotni. Nie zaprosił. Ale muszę się z nim skontaktować. Nie chciałem pana w to wplątywać i dlatego kłamałem. Niestety, w tej chwili nie mam już wyboru.

- Wplątywać mnie w co?

- Pana brat narobił sobie od grama kłopotów. Mniej elegancko niż Patout, ale sens ten sam.

- Mówiąc „kłopoty” ma pan na myśli „niebezpieczeństwo”?

- Śmiertelne. Jeśli pan wie, gdzie on jest, powinien mi pan powiedzieć. Muszę to ustalić, zanim ktoś inny do niego dotrze.

Teraz już niemal dosłownie to samo co Patout. Po dwukrotnych bezowocnych próbach dodzwonienia się do Dredd's Mercantile Joe nie podjął trzeciej. W tej chwili tego żałował. Jeśli Burke szukał odosobnienia, prawdopodobnie zaszył się w ich wędkarskim azylu. Dredd powinien wiedzieć, czy Burke jest gdzieś w sąsiedztwie.

Prawdę mówiąc, siwowłosy wypychacz zwierząt i jego upiorne domostwo działały Joe na nerwy, ale Burke i Dredda łączyły silne więzi. Joe zakładał, że kto jak kto, ale Dredd powie mu prawdę, jeśli tylko ją zna. Szkoda, że go nie złapał.

- Panie Basile... Joe, niech mi pan powie - nalegał McCuen - czy pan wie, gdzie on jest?

- Już panu powiedziałem dzisiaj rano, że nie wiem.

- Tak pan powiedział, ale czy pan wie?

Ton jego głosu zupełnie nie pasował, według Joe, do treści rozmowy.

- Niech mi pan wybaczy, panie McCuen, ale to pan sprawia wrażenie zdesperowanego człowieka w kłopotach, nie Burke.

McCuen odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Przepraszam, że zarzucałem panu kłamstwo. Na pana miejscu też bym kłamał. Doceniam pańską lojalność wobec brata. Ale niech mi pan wierzy, wyrządza mu pan wiele szkody, nie mówiąc mi, gdzie on jest.

- Będę się powtarzał: nie wiem, gdzie on jest - oświadczył jeszcze raz Joe.

- Musi pan się domyślać - upierał się McCuen. Joe zawahał się tylko na ułamek sekundy i McCuen natychmiast to wykorzystał: - Jak mam pana przekonać, żeby zechciał mi pan pomóc? Jak mam pana przekonać?

Basile zwykle miał lekki sen. Dlatego dziwił się potem, czemu się nie obudził, dopóki nie zaczęła szarpać ręką. Próbowwała unieść prawą dłoń, ale nie mogła, ponieważ była przykuta kajdankami do jego lewego nadgarstka. Dopiero mocne szarpnięcia i ucisk nieustępliwego metalu wyrwały go z głębokiego snu.

- Ej, dosyć tego! - powiedział, mylnie oceniając przyczynę jej zmagania.

Kiedy trochę oprzytomniał, zrozumiał, że Remy nie walczy, żeby się od niego uwolnić. Siatka przeciwko moskitom spadła spod sufitu i oblepiła jej twarz. To właśnie z niej usiłowała się wyzwolić chaotycznymi ruchami.

- Spokojnie. Wyplączę panią.

Oczy miała otwarte, ale albo nadal władał nią senny koszmar, albo panika pozbawiła ją zdolności myślenia, bo kiedy zbliżył rękę do jej twarzy, żeby zdjąć przejrzystą zasłonę, zaczęła stawiać opór. Gdy spróbował unieść jej głowę, rzucała ją na boki, i siatka zacisnęła się mocniej na jej twarzy. Uderzyła Burke lewą ręką, wciąż usiłując wyrwać prawą z nieustępliwego krążka metalu. Przygniótł ją prawą nogą, broniąc się przed wściekłymi kopniakami. Znowu chciała krzyknąć, ale siatka wypełniała jej usta i wydała z siebie tylko zduszony charkot.

- Niech się pani uspokoi na litość boską. Usiłuję pani pomóc.

W końcu udało mu się szarpnąć mocno moskitierą i rozedrzeć ją. Nie opinała już jej twarzy, ale strzępy materiału muskały skórę jak pajęczyna. Omiała ją dłonią, aż przestały jej dotykać. Oddychała głośno i szybko, z wysiłkiem.

- W porządku - przemawiał łagodnym, kojącym głosem. - Już po wszystkim. Już w porządku. - Wyciągnął dłoń, żeby odgarnąć splątane kosmyki jej włosów, a wtedy uderzyła go z całej siły lewą ręką. - Spokojnie - powiedział, wykonując ruchy poklepywania w powietrzu. - Siatka na moskity spadła. Tylko tyle.

Patrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem, a jej oddech powoli się uspokajał.

- Chce się pani napić?

Kiwnęła głową. Wcześniej postawiła szklankę wody na chwiejnym stołeczku o trzech nogach zastępującym stolik nocny. Burke sięgnął ponad nią po naczynie.

- Może pani usiąść?

Podparła się łokciami i zaczęła pić ze szklanki, którą przytrzymał jej przy ustach.

Deszcz wciąż bębnił monotonnie w dach z ocynkowanej blachy falistej. Mimo to przez okna wpadało słabe, zabarwione szarawo światło księżyca.

Gdy trzech mężczyzn odpłynęli, stał czujny i napięty w drzwiach chaty jeszcze pół godziny. Nie wyczuł w ich zachowaniu niczego groźnego, byli raczej zaciekawieni, dlaczego ksiądz, którego wyratowali z opalów, zniknął w czasie wesela.

Ale wolał zgrzeszyć ostrożnością niż zaniedbaniem, zwlekał więc z ponownym zapaleniem lampy

i nasłuchiwał, dopóki nic zdobył pewności, że znikli na dobre.

W końcu zdecydował, że mogą położyć się spać. Znowu przykuł ją do siebie i znowu doszło do sprzeczki, którą zakończył oświadczeniem, że woli nie dopuścić do nowej próby ucieczki, skoro naprawił łódź. Teraz, kiedy przeżyła ten potworny koszmar, czuł się podle, że ją zakuł w kajdanki. Bo zrobił to niekoniecznie, aby mieć pewność, że mu nie ucieknie - także dlatego, że chciał koło niej leżeć.

Piła chciwie; woda spływała jej stróżką z kącika warg. Wypiła do dna, odstawił pustą szklanę na stolik.

- Już lepiej?

Znowu skinęła głową w milczeniu.

Patrzył na jej brwi, potem policzki, nos, usta. Wahał się sekundę, ale przeciągnął poduszeczką kciuka po jej dolnej wardze i podbródku. Na palcu zostały ślady wilgoci.

- Nie mam zamiaru pana kopać.

Z jakiegoś powodu, może z pożądania, ciężko mu się myślało.

- Co?

Poruszyła się niezręcznie i wtedy zorientował się, że wciąż przyciska ją prawą nogą do materaca. Jego stopa, łydka, wewnętrzna strona uda dotykały jej, jak mógłby dotykać kochanek. Brzuch miał przyciśnięty do jej biodra. Jego oczy przywarły do jej warg. Dotknął ich znowu kciukiem. Wciąż były wilgotne. I niewiarygodnie delikatne.

- Nie, Basile. Proszę.

Rozdział trzydziesty trzeci

Słowa były ledwie szeptem, ale ich sens był jednoznaczny.

Prośba, żeby przestał, natychmiast obudziła w nim gliniarza i przyszło mu na myśl co najmniej sześć wykroczeń, których by się dopuścił. Opanował się więc nadludzkim wysiłkiem, zdjął z niej nogę i położył się na plecach. Przez jakiś czas leżał pogrążony w żalu nad sobą. Wyrwał się wreszcie z tego stanu, uświadomiwszy sobie, że Remy masuje lewą ręką nadgarstek prawej.

- Boli? - zapytał.

- Trochę.

- Tak mocno pani szarpała, że mnie to obudziło. Mam zaaplikować coś, co by pani ulżyło?

A to co znowu, wzorowy skaut? Nie dość, że ją puścił, bo poprosiła, to jeszcze ofiarowuje się z pomocą. Chce sobie zasłużyć na medal za godne zachowanie czy na playgirl roku?

- Skoro tak się pan troszczy o mój nadgarstek, to może by mi pan zdjął kajdanki?

- Nie ma mowy.

- Proszę.

- Nie, i niech mnie pani więcej nie prosi.

Pieprzyć dobrego skaucika. Wystarczy mu, że słyszy jej każdy oddech, a pożądanie nie mija na komendę. Wystarczy, że dzieli ich mur nie do przebycia. I wcale nie najbardziej ważne było w tym wszystkim to: „Nie, Basile”. Jest porywaczem, ale przecież nie gwałcicielem.

W dodatku to żona innego mężczyzny. No, fakt, trudno uznać zdradę za rzadki, nie akceptowany przez większość grzech. Gdyby rzeczywiście uparto się karać ją publicznym ukamienowaniem, rodzaj ludzki przestałby zaludniać naszą piękną planetę. Ze wszystkich grzechów zdrada jest grzechem najbardziej pospolitym.

Względy religijne nie miały dla niego znaczenia. Tyle że uważał się za kogoś lepszego niż Barbara i jej piłkarski trener. Druga strona powiedziała „nie”, więc się to w żadnym wypadku nie zdarzy, najlepiej przestać wreszcie o tym rozmyślać i zasnąć.

Długo leżał całkowicie rozbudzony i nie mógł się rozluźnić.

Zdaje się, że i jej ponowne zaśnięcie przychodziło z równą trudnością. Nie był w nastroju do rozmowy, ale w końcu zaczął się obawiać, że jeśli nie przerwie napiętej ciszy, szczęka mu pęknie.

- Czy to był jakiś koszmar senny?

- Coś w tym rodzaju - powiedziała. - Raczej... Nie, niech będzie koszmar senny.

- Czuje pani lęk przed uduszeniem?

Wyczuł skinięcie głową. Nie musiał się zbyt intensywnie zastanawiać nad kolejnym pytaniem:

- Co się pani przydarzyło?

Uznał, że nie zamierza odpowiedzieć, tak długo milczała. Ale kiedy w końcu zaczęła mówić, słowa płynęły niepowstrzymanie.

- Miałam dwanaście lat. Był jednym z regularnych klientów Angel. Bardzo wcześnie zrozumiałam, że kiedy w domu pojawia się mężczyzna, mam siedzieć spokojnie i cicho. Nie płakać. Nie grymasić. O nic nie pytać, nie zwracać na siebie uwagi. Starłam się uczynić niewidzialna, najpierw ze strachu przed karą, potem żeby mnie nie zauważono. Żałowałam, że naprawdę nie jestem niewidzialna...

Tego klienta akurat trudno mi było ignorować. Stale był gdzieś w pobliżu, dokuczał mi, robił na mój temat do Angel uwagi, których najpierw nie rozumiałam, a potem zaczęłam niestety rozumieć aż za dobrze. Którejś nocy przyprowadził go do domu po pracy. Było bardzo późno, spałam, ale ich śmiechy mnie obudziły. Byli już niezbyt przytomni i nadal sobie nie żalowali. Nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi. W końcu padli na łóżko Angel, a ja zasnęłam z powrotem. Nie wiem, ile czasu minęło... Gdybym się obudziła wcześniej, mogłabym go odepchnąć i uciec z mieszkania. Ale kiedy się obudziłam, leżał już na mnie, przytrzymując mi ręce nad głową. Miałam na sobie podkoszulek i majtki. Zadarł podkoszulek i nakrył mi nim twarz.

Burke zamknął oczy i leżał nieruchomo. Upłynęła chwila, zanim podjęła opowieść bezbarwnym głosem.

- Zaczynałam się dopiero rozwijać. Piersi miałam bardzo wrażliwe. On... szeptał obrzydliwe rzeczy. Oddech miał śmierdzący, palce twarde, nie mogłam oddychać. Włożył mi rękę pod majtki i... sprawiał mi ból. Próbowałam krzyczeć, ale miałam zakrytą twarz i nie mogłam oddychać... - Znowu zaczęła dyszeć i przyłożyła rękę do piersi. Stopniowo opanowała uczucie paniki. - Angel się obudziła i zobaczyła, co się dzieje. Narobiła wrzasku i wyrzuciła go.

- Doniosła na niego? Aresztowali go?

Jednocześnie odwrócili głowy ku sobie. Remy patrzyła na niego dziwnym wzrokiem.

- Angel nie była zła na niego, tylko na mnie. Zwymyślała mnie, że zwabiłam jej gościa do swojego łóżka.

- Boże święty.

- I tak miałam szczęście, że się obudziła, zanim zdążył zrobić coś więcej. W każdym razie to zdarzenie podsunęło jej myśl, żeby puścić mnie w obieg. Myślę, że dostrzegła w nieletniej prostytutce lepsze źródło dochodów niż w nieletniej złodziejce kieszonkowej... Nigdy mi wprawdzie nie powiedziała o swoich zamysłach, ale były dla mnie wystarczająco jasne. Stale łapałam ją na tym, jak mnie taksowała wzrokiem.. Od tej nocy zaczęłam sypiać z rzeźnickim nożem. Skaleczyłam nawet dwóch jej znajomych, a paru przestraszyłam. Ale wiedziałam, że to tylko kwestia czasu i wreszcie któryś mnie zgwałci. I wtedy Angel zaszła w ciążę. Kiedy to odkryła, wpadła w furję, ponieważ było już za późno na skrobankę. W miarę rozwijania się ciąży rozprowadzała coraz więcej narkotyków, żeby zrekompensować sobie utracone dochody ze striptizu i... inne. Po urodzeniu Flarry zepchnęła na mnie obowiązek opiekiowania się dzieckiem, a sama wróciła do pracy. Jakoś nie znalazła czasu, żeby zrealizować swoje plany co do mnie. Miałam szczęście.

- Dlaczego to nigdy nie wyszło na jaw? Co robili ci z organizacji mających chronić dzieci?

- Przychodziła regularnie agentka z opieki społecznej. Kupowała od Angel narkotyki, dopóki w opiece się nie zorientowali i nie wyrzucili jej. Ale nie przysłali nikogo w zamian wyjaśniła Remy ze smutkiem zabarwionym goryczą.

Burke zakrył oczy prawym ramieniem. Znaczna część dzieciństwa upłynęła mu bez ojca, ale jak pamiętał, jego problemem było odrabianie na czas lekcji i utrzymywanie połowy pokoju, który dzielił z Joe, w jakim takim porządku, żeby uniknąć kazania od matki. Pracowała ciężko na ich utrzymanie,

ale mimo to poświęcała chłopcom wiele uwagi i okazywała, że ich kocha.

Remy każdego dnia walczyła o przeżycie. Skurwysyn, który postanowił ją popieścić, gdy miała dwanaście lat, zostawił jej po sobie koszmary, patologiczny lęk przed uduszeniem i dziwaczną nieśmiałość. Teraz rozumiał, dlaczego tak często krzyżowała ramiona na piersiach.

Nie, coś tu zgrzytało. Chodziła w wydekoltowanych sukienkach, wybierała to, co podkreślało jej rozkwitłą kobiecość... Podparł się na łokciu i spojrzał na nią.

- Po co mi to pani opowiedziała? Wymyśliła pani tę historię, żeby wzbudzić litość?

- To się zdarzyło, ale wszystko mi jedno, czy pan wierzy w każde słowo, czy nie wierzy w żadne.

- Dopóki dzięki tej historyjce będę się trzymał od pani z daleka, tak?

- Do diabła z panem - powiedziała ze złością.

Pierwszy raz usłyszał, żeby się tak wyraziła i ze zdumienia oprzytomniał. Wierzył jej. Już trzykrotnie widział, jak wpadła w panikę, gdy miała trudności z oddychaniem. Poza tym kto by coś takiego wymyślił? Zbyt okropne, żeby nie było prawdziwe.

- No dobrze - powiedział odrobinę skruszony. - Dlaczego mi to pani opowiedziała?

- Bo zakuł mnie pan w kajdanki - odparła gwałtownie. - Jestem ofiarą i nie podoba mi się to. Nie życzę sobie być pana ofiarą, panie Basile.

- Przecież pani nie skrzywdziłem.

- Nie skrzywdziłem? - powtórzyła i roześmiała się z niedowierzaniem. - Niczego pan nie rozumie, prawda? Jak na łebskiego oficera Wydziału Narkotyków nie okazuje pan zbytnej bystrości. Nie, nie zbił mnie pan, nie zgwałcił, nie zagłodził na śmierć ani w żaden sposób nie skrzywdził fizycznie. Ale czy naprawdę pan myśli, że człowiek tak wymagający jak Pinkie przyjmie mnie z powrotem?

- A po co, do cholery, chce pani do niego wracać? - zapytał, wpadając w słuszną złość. - Trzyma panią przy sobie w jakimś średniowiecznym związku! Nie myślałem, że coś podobnego można jeszcze spotkać w wolnym świecie. Dlaczego pani, na miłość boską, wciąż jest z tym sukinsynem?

- Myśli pan, że nie próbowałam uciec?! - wykrzyknęła. - Próbowałam. Raz. Zgromadziłam dość pieniędzy, żeby kupić bilet na autobus... tak, panie Basile, właśnie tak. Nie mam własnych pieniędzy. Dostaję pewną sumę. Na drobne wydatki: Mogę sobie kupić pomarańcze na rynku, ale niewiele więcej. Trwało kilka miesięcy, zanim uciułałam na bilet, a udało mi się, bo kradłam co jakiś czas po parę dolarów z portfela Pinkie, tak żeby nie zauważył. Miałam wtedy ochroniarza, który się nazywał Lute Duskie. Uciekłam mu, kiedy byliśmy w Maison Blanche. Dojechałam do Galveston w Teksasie, gdzie dostałam pracę przy podlewaniu sadzonek. Znalazłam niedrogi pensjonat, w którym wynajmowano pokoje na tydzień. Spacerowałam całymi godzinami po plaży, rozkoszując się wolnością i snując marzenia, jak to poślę po Flarrę i zaczniemy nowe życie. Byłam na własnym utrzymaniu przez cztery dni. Piątego podniosłam głowę i zobaczyłam Pinkie Idącego w moją stronę alejką w szklarni, gdzie podlewałam begonie. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Uśmiechał się.

- Pogratulował mi sprytu. Nieczęsto mu się zdarza, żeby ktoś go nabrał, powiedział. Powinnam się czuć dumna. Oczywiście osłupiałam. Myślałam, że będzie wściekły. Tymczasem stwierdził, że jeśli nie życzę sobie pozostawać z nim dłużej w małżeństwie, nie będzie mnie na siłę zatrzymywał. Mogłam go poprosić i pozwoliłby mi odejść, nie chowając urazy. Skoro chcę wolności, mogę być wolna.

- Była w tym jakaś pułapka - stwierdził.

- Tak. Była. - Jej głos brzmiał ochryple. - Poprosił, żebym poszła z nim do samochodu.

Wystarczyło mi jedno spojrzenie przez szybę na tylne siedzenie limuzyny, żeby zrozumieć, jaką cenę mam zapłacić za wolność. Przywiózł ze sobą Flarrę. Była mniej więcej w tym wieku co ja, kiedy faceci matki zaczęli zwracać na mnie uwagę. Mogę iść swoją drogą, oświadczył Pinkie, ale Flarra zostaje z nim. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Mówił pan o wyborach, panie Basile. Jaki miałam wybór?

Zaklął pod nosem.

- Może miała panią zastąpić?

- To by było najlepsze, czego mogłabym się dla niej spodziewać.

- Najlepsze?

- Pinkie mnie rozpieszcał, od dnia kiedy został moim opiekunem, ponieważ uznał, że mnie kocha.

Nie żywił takich uczuć wobec Flarry. Był dla niej miły i hojny. Ale tylko po to, żeby mnie spacyfikować, i nie miało to nic wspólnego z przywiązaniem. Wiedział, że kocham siostrę bardziej niż kogokolwiek na świecie. Gdybym go kiedyś opuściła, posłużyłby się nią, żeby mnie ukarać. I boję się, że zrobi to teraz, bo dałam się porwać. Aha, i jeszcze jedno. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się coś zjeść. Pinkie poszedł z Flarrą, a mnie poprosił, żebym została pomóc Errolowi, następcy Lute Duskie. Jak się okazało, Errol musiał wyjąć kilka ciężkich plastikowych toreb z bagażnika limuzyny. Wrzucił je do pojemnika na śmieci za restauracją. Nigdy więcej nie widziałam pana Duskie ani o nim nie słyszałam. - Popatrzyła na Burke przenikliwie. - Najlepsze, czego może się pan spodziewać, panie Basile, to szybkiej śmierci.

Wyraźnie miała to być noc, kiedy wszystko działo się po ra pierwszy. Zaczęła płakać. Przez cały ten czas nie uroniła ani jednej łzy. Widział, jak napływały jej do oczu, ale nigdy dotąd nawet nie zaszlochała.

Już jej prawie dotykał, ale w porę się opamiętał i cofnął rękę. A potem zobaczył spływające z kącików oczu po skroniach łzy, ginące na linii włosów. Przysunął dłoń do jej twarzy i otarł je. Nie odwróciła głowy, więc wytarł łzy również z drugiej strony twarzy.

- Nie chcę, żeby Flarze coś się stało z mojego powodu wyszeptala z naciskiem. - Kocham ją. Od dnia, kiedy się urodziła. Zawsze ją chroniałam. Jest wszystkim, co mam na tej ziemi. Nawet moje własne dziecko zostało mi odebrane.

Burke nagle zrozumiał, że gest, który wziął w altanie za erotyczny, mówił o żalu nie do zniesienia po utracie dziecka. Powtórzyła go teraz, przyciskając lewą rękę do podbrzusza.

Impulsywnie, zupełnie nie kierując się rozumem, nakrył swoją dłonią jej dłoń. Zaskoczona intymnym gestem, przestała płakać. Nie zdziwiło to Burke; raczej to, co sam zrobił. Wpatrywał się w ich złączone ręce, jakby chciał potwierdzenia, że dotyk nie kłamie. Znieruchomieli oboje, każde świadome, że to drugie wstrzymuje oddech. Serca im biły nierówno, ale w

przedziwny sposób razem, ciepło rozlewało się pod skórą, ręka czuła ucisk ręki. Podniósł głowę i spojrzał na nią. Ciemność nie przeszkodziła szukającym się spojrzeniom.

- Kochałeś swoją żonę?

Wyszeptala pytanie tak cicho, że ledwie je słyszał poprzez bicie własnego serca.

- Barbarę?

- Kochałeś ją?

Barbara zrobiła na nim większe wrażenie niż jakakolwiek dotąd kobieta w życiu. Stymulowała go, wprowadzała w stan podniecenia. Czuł się lepiej z nią niż bez niej. Ale ani w okresie narzeczeństwa, ani wspólnego życia, nawet gdy się z nią kochał, przed i w czasie małżeństwa,

podczas żadnej z ich przesyconych goryczą kłótni ani w okresach pogody - nigdy nie doznał tego co teraz. Uczucia kompletnej, totalnej, przenikającej i wszechogarniającej namiętności do drugiej ludzkiej istoty. - Myślałem, że tak - powiedział zmieszany tym, że tak błędnie rozpoznał uczucia. - Ale może nie.

Przekreślił się powoli, aż ich ręce - te dwie skute razem i te dwie wolne - splotły się po obu stronach jej głowy i poczuł, jak jej pierś wznosi się i opada pod jego piersią, a jej oddech uderza w jego twarz. Przyłożył policzek do jej policzka, dotknął nosem płatka ucha, wdychając jej zapach. Wyobraził sobie złączone usta, błędzące dłonie, przyjmujące go ciepłe wnętrza.

Wyobrażenie było tak realne, że aż jęknął z pożądania. Ale opadł z powrotem na plecy. Otworzyła oczy, wciąż lśniąca od łez. I zakłopotana.

- Basile?

- Bóg jeden wie, jak cię pragnę - powiedział chrapliwie. - Ale cię nie tknę. Nie dam ci powodu, żebyś mnie nienawidziła.

Rozdział trzydziesty czwarty Dredd zobaczył, że Burke podpływa, i przystanął w oczekiwaniu na skraju mola.

- Najwyższy czas, żebyś się zjawił. Już myślałem, że cię skasowali.

- Jak widzisz, nikt mnie nie zabił. Deszcz mnie zatrzymał.

- Co się stało z moją łodzią? - zapytał Dredd, dostrzegłszy prymitywną łataninę na burcie.

- Przecież mnie tu dowiozła, nie? - powiedział Burke zaczepnie.

Dawno nie miał tak podłego nastroju. Im szybciej przyjaciel to zauważy, tym lepiej dla nich obu. Powinni odłożyć poważną rozmowę, po co potem czuć do siebie niepotrzebne urazy.

Ten podły nastrój rósł, w miarę jak mijala noc, a on leżał obok Remy, usiłując dotrzymać własnego postanowienia, że jej nie tknie. To, co jej powiedział, było tylko po części prawdą. Mogłaby go rzeczywiście znienawidzić, gdyby się z nią kochał. Zrównałby się z tymi wszystkimi mężczyznami, którzy chcieli ją wykorzystać, z mężem włącznie.

Była jednak i odwrotna strona medalu - on znienawidziłby siebie.

Jeszcze pięć dni temu czuł dla niej pogardę, że żyła w związku, nieważne jakiego rodzaju, z łajdakiem takim jak Duvall. Pogarda chroniła go przed jej urokiem. Ale teraz, kiedy wiedział, jak wyglądało jej życie przedtem i potem, jak Pinkie e w nie wkroczył, wszystko się zmieniło. Kompletnie. I to było niepokojące. Nie mógł się już podeprzeć pogardą w swoich wysiłkach zachowywania się jak człowiek honoru.

- Co słyhać?

- Nawet nie pytaj - odparł, rzucając Dreddowi sznur z dryfującej wzdłuż mola łodzi. Dredd przesunął papierosa w drugi kącik ust.

- Hmm... Faktycznie nie ma co pytać, łatwo można zgadnąć. Elektryzuje cię, co?

Burke, wspinając się na molo, rzucił przyjacielowi nieprzyjemne spojrzenie.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Nie urodziłem się wczoraj, stąd mi przyszło do głowy. Nawet gdyby była podstarzałym ohydny babsztylem, nie byłoby mądrze z nią tam siedzieć. A biorąc pod uwagę jak wygląda...

- Teraz za tobą nadążam.

Dredd zaniósł się śmiechem przerywanym kaszlem notorycznego palacza.

- Wnoszę z ponurej, bolesciwej miny ojca Kevina, że jeszcze nie złamał ślubów czystości, choć pewne jak diabli, że czuje taką pokusę.

Burke puścił mimo uszu złośliwość i poszedł w kierunku domu.

- Masz kawę?

- O Boże! Zupełnie jakbyś się pytał, czy aligatory srają do wody.

- No, nie mam pojęcia. A srają?

- Gdzie Remy?

- Zostawiłem ją w chacie.

- Samą?

- Nic się jej nie stanie.

Na widok pełnej powątpiewania miny przyjaciela poczuł się jeszcze niepewniej niż w momencie, gdy podejmował decyzję.

- Jak długo cię nie będzie? - zapytała, zanim wypłynął.

- Tyle, ile potrzeba na dotarcie do Dredda, załadowanie zapasów i powrót.

- Całe godziny.

- Nic się nie stanie.

- Zabierz mnie ze sobą.

- Kiepski pomysł.

- Dlaczego?

- Bo nie wiem, co tam zastanę. Może będę musiał... zmienić plany i nie mogę się martwić, czy ci się coś nie stanie.

- Tu mi się też coś może stać.

- Nie wychodź, gdyby się pokazała jakaś łódka.

- A jeśli cię zaaresztują i zostaną tu uwięziona?

- Powiem im, gdzie cię mają szukać.

- A jeśli cię zabiją, a ja zostanę tu uwięziona?

- Dredd wie, gdzie cię szukać.

Spierali się z pół godziny, ale pozostał niewzruszony. Teraz popijał mocną jak zwykle kawę Dredda, i prześladował go widok Remy, stojącej w drzwiach chaty z miną zagubionej małej dziewczynki i patrzącej za nim, jak odpływa. Dopiero kiedy tam wróci i zobaczy, że rzeczywiście nic się jej nie stało, odetchnie spokojnie. Nie zapomniał o ludziach szukających księdza.

Zagadnął Dredda o Gregory'ego:

- Nie pokazał się tutaj przypadkiem?

- Po tym, jak mi ukradł łódź? Na szczęście nie. Z miejsca bym go zastrzelił. Burke przekazał mi opowieść ludzi szukających fałszywego księdza.

- Niech mnie kaczki! - Dredd zachichotał. - Ślub?

- Tak powiedzieli. - Burke wskazał na przedpotopowy czarnobiały telewizor. Dredd lekceważył sobie związki z zewnętrznym światem i włączał go tylko, jeśli groził huragan. Burke wyjeżdżając poprosił go, żeby zaczął słuchać lokalnych wiadomości. - Coś o nas mówili?

- Ani słóweczka.

- Tak jak się spodziewałem. Nie chce, żeby ktokolwiek się dowiedział o porwaniu. Kiepska reklama.

- Na to wygląda. Ale jak długo jego żona może się nie pokazywać, żeby to nie zostało zauważone?

- Służba na pewno trzyma język za zębami, jeśli Duvall tak polecił. Co prawda, Remy ma siostrę.

Zacznie się o nią martwić, o ile już nie zaczęła.

- Oho, to ona już jest Remy?

Burke po raz kolejny zignorował drwinę, wyjął kartkę z kieszeni dzinsów i rzucił ją z trzepnięciem na ladę.

- Lista zakupów. Masz coś świeżego?

- Na przykład?

- Warzywa. Owoce. Ona lubi pomarańcze.

- Ona lubi pomarańcze - powtórzył Dredd, zaciągnął się po raz ostatni papierosem i zdusił niedopałek w wydrążonym brzuchu ceramicznego aligatora. - Burke, gdybym był młodszy i silniejszy i gdybym nie lubił cię tak bardzo, powaliłbym cię na ziemię i związał jak cielę, żebyś dał sobie spokój z tą sprawą. Ale jestem stary, nie mam już tyle siły w kiedyś i lubię cię, więc spróbuję cię spacyfikować paroma słowami ostrzeżenia. Nie lubię się wtrącać w nie swoje sprawy, ale...

- ... właśnie to robię.

- Tak. Właśnie to robię. - Dredd dmuchnął chmurą dymu, który przetrzymywał w płucach. - Dlaczego nie zabierzesz stąd tej pięknej kobiety? Skoro ona ci się podoba, a ty jej, dlaczego po prostu nie znikniecie? Zmywajcie się, póki możecie. Dlaczego nie zostawisz tej chrzanionej sprawy i nie wyjedziecie gdzieś we dwoje?

- Nie mogłaby ze mną uciec, Dredd. A nawet gdyby ona mogła, ja nie zostawię tej chrzanionej sprawy, jak to nazywasz, nie rozwiązanej.

- No i czym to ma się skończyć? Do czego to zmierza?

- Nie wiem.

- Ale ja wiem, jak to się nie skończy - oświadczył Dredd, dźgając Basile'a sękatym palcem, żeby dodać mocy swoim słowom. - Niczym przyjemnym, oto jak się nie skończy.

- Zgadzam się.

Dredd z rozdrażnieniem szarpnął brodę.

- Zemściłeś się już na Duvallu - powiedział podnosząc głos. - Odebrałeś mu żonę. Przeleciałeś ją czy nie, i tak masz nad nim przewagę. Skończ z tym, Burke.

- Skończę, jak Duvall padnie martwy.

- Po co to robisz? Po co?

- Bo muszę! - wrzasnął Burke. I dodał ciszej, z irytacją: - Zapakuj mi te rzeczy, żebyem mógł się stąd wynieść, dobrze?

Dredd złapał listę i mruczając coś pod nosem, zaczął zdejmować towary z półek i wrzucać je z gniewem do papierowej lorby. Burke podszedł do telefonu, wrzucił monetę i wykręcił numer. Słuchawka została podniesiona po drugim dzwonku.

- Dzień dobry, Duvall - powiedział. - Tak myślałem, że cię złapię rano.

- Basile.

Wypowiedziane przez Duvalla jego nazwisko zabrzmiało jak przekleństwo. Świetnie. Może Bóg pozwoli, żeby dzięki niemu, Basile'owi, dopełniło się przeznaczenie adwokata.

- Popełniłeś potworną pomyłkę, Basile, znacznie gorszą niż Stuart, kiedy samobójczo wtargnął do tamtego magazynu.

Kevin nie wiedział, czemu ma stawiać czoła. Ja wiem. - No to wiesz, że cię zabiję.

- Zabijesz? Najpierw mnie znajdź, skurwysynu.

Odwiesił słuchawkę i przez kilka minut patrzył na nią z namysłem. Facetowi porwano żonę.

Zniknęła parę dni temu z innym facetem, który poprzysiągł tamtemu zemstę. Tymczasem Duvall nawet się nie zająknął, jak się żona czuje.

- Ty skurwysynu - powtórzył Burke, tym razem z prawdziwą zawziętością.

Buczący dźwięk w słuchawce rozbrzmiał w uszach Pinkie.

- Niestety, bardzo mi przykro panie Duvall, nie trwało to wystarczająco długo, żeby ustalić numer - powiedział asystent z sąsiadującego pokoju. - Możemy kazać to ustalić naszemu człowiekowi z centrali, ale będzie potrzebował trochę czasu.

- Nieważne. - Ku konsternacji asystenta Duvall zaczął się śmiać, najpierw cicho, potem coraz głośniej, złowieszczo. A potem spojrzał na siedzącego naprzeciwko uśmiechającego się Barda. - Mówił, jakby był cholernie z siebie zadowolony. Nie wie sukinsyn, że już go mamy - powiedział.

Bardo, w równie dobrym jak Duvall humorze, położył na biurku dużą sztywną kopertę.

- Na dobry początek z rana. Pinkie rzucił okiem na naklejkę.

- Już? Jestem pod wrażeniem - stwierdził, wytrząsając zawartość na biurko.

Fotografie były czarnobiałe, ziarniste, robione ze zbyt dużej odległości, ale tożsamość uchwyconych na nich osób nie pozostawiała wątpliwości. Pinkie cmoknął.

- Co za wstyd, doktor Caruth. Powiedz temu nowemu, żeby przyprowadził samochód - zwrócił się do Barda.

- Zamierzam pojechać z wizytą.

Dredd zaczął układać zapasy w łodzi, zanim Burke wyszedł na molo.

- Znalazłem parę pomarańczy - powiedział burkliwie.

- Dzięki.

- Powinno wam to wystarczyć na dobrych parę dni. Burke kiwnął z roztargnieniem głową. Myślał o czym innym. - Dredd, właśnie podpuściłem Duvalla, tak że uważaj na siebie. Jeśli zwietrzysz kłopoty, nie czekaj, zgub się na hagnach.

- Daję sobie radę, synku. Może jestem stary i siwy, ale nie niedołączny.

- Posłuchaj mnie. - Burke nie zaczął mówić, dopóki nie nabrał pewności, że przyjaciel rzeczywiście słucha. - Nie wpieprz się w nic z tymi od Duvalla. Przysięgnij mi, że znikniesz, jeśli ktokolwiek podejrzany pojawi się na horyzoncie. Nie daj się zaskoczyć.

- Dobra, dobra... cholera, telefon!

- Zobaczymy się za parę dni, może nawet jeszcze szybciej.

Dredd już szedł w kierunku swojej budowli, klnąc soczyście albo z powodu dzwoniącego telefonu, albo jego ostrzeżeń. Burke nie był pewny. Gdyby mu się coś stało, nigdy by sobie nie darował, że go w to wplątał.

- Burke!

Głos Dredda doszedł go przez hałas silnika, ledwie przepłynął dwadzieścia jardów. Odwrócił się i zobaczył, że przyjaciel daje mu znaki, żeby wracał. Zawrócił łódź i wrzasnął:

- Co jest?

- Telefon do ciebie.

Serce w nim zamarło. Czyżby źle obliczył czas? Duvall mógł namierzyć rozmowę tak szybko? Jechał już tutaj? Poczul przypływ adrenaliny. Wyskoczył na molo, zanim łódź się na dobre zatrzymała.

- Kto to?

- Twój brat.
- Joe?
- A ilu ich masz?
- Czego chce? Skąd wiedział, że ma mnie tutaj szukać?
- Może byś jego zapytał?

Burke pobiegł do sklepiku i oddychając ciężko, złapał słuchawkę.

- Joe?
- Cześć. Aż trudno uwierzyć, że to ty. Właśnie chciałem przekazać przez Dredda wiadomość, żebyś do mnie zadzwonił, jak się pokażesz.

- U ciebie w porządku?
- W jak najlepszym, drogi bracie. To zdaje się ty masz kłopoty, a przynajmniej wszyscy tak sądzą.
- O kim mówisz?

- Na początek zjawił się wczoraj o pierwszym brzasku Doug Patout. Jechał przez większą część nocy, a minę miał tak ponurą, że chyba bardziej ponurej w życiu nie widziałem.

- Z jakiego powodu?
- Twojego tajemniczego zniknięcia. Trochę ponawijał, zanim wreszcie przeszedł do rzeczy i powiedział, że wpadłeś w tarapaty. Pytał, czy wiem, dokąd pojechałeś.

- Na co mu powiedziałeś...
- Prawdę. Że nie wiem. Mogę się domyślać, ale lojalność wobec członka rodziny nie pozwala mi podzielić się z nim domysłami.

- Świetnie. Dziękuję, Joe.
- Wstrzymaj się. To nie wszystko. Kiedy Linda zabawiała go w kuchni, przeprowadziłem rozmowę telefoniczną na osobności. Z Makiem McCuenem.

- Jezu. A ten czego chciał?
- Tego samego. Tylko dochodził do tego w bardziej skomplikowany sposób...
- Cały Mac.

- Powiedziałem mu dokładnie to, co Patoutowi: że nie mogę pomóc. Po wyjściu Patouta dwukrotnie próbowałem się skontaktować z Dreddem, na wypadek gdybyś jednak pojechał na ryby i chciał się z nimi widzieć. Nie dodzwoniłem się i zaczęło mnie nękać przeczucie, że rzeczywiście grozi ci niebezpieczeństwo.

- Nie grozi.
- To dlaczego Patout i ten McCuen są przekonani, że tak? McCuen zresztą nie zrezygnował.
- Mogłem się tego spodziewać.

- Zatelefonował jeszcze raz w środku nocy. I sprawiał wrażenie nawet bardziej podminowanego niż przedtem. Powiedziałem mu, żeby się odwalił.

- To dobrze.
- Ale zadzwonił znowu dzisiaj rano i Linda wpadła w histerię, że już nie żyjesz albo spotkało cię coś złego. Błagał, przysięgał, że ci dobrze życzy, groził, że jeśli mu nie powiem, możemy zacząć robić przygotowania do pogrzebu. Jeśli go nie naprowadzę na miejsce twojego pobytu, umrzesz jak amen w pacierzu, tak się wyraził. Więc to zrobiłem.

- Co zrobiłeś?
- Naprowadziłem go.

Burke oparł się plecami o ścianę i walnął w nią mocno głową. - Co się dzieje, Burke? Zrobiłem

coś nie tak?

Nie mógł winić brata za zdradzenie tajemnicy. McCuen potrafił przekonywać i nie ustępował łatwo, a Joe nie był przecież człowiekiem bez serca.

- Tym się nie martw.

- Co się dzieje? Mogę jakoś pomóc? Patout powiedział, że to tajna sprawa.

- Coś w tym rodzaju.

- Burke, jeśli masz kłopoty...

- Posłuchaj Joe, przepraszam, ale nie mam za dużo czasu. - Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Zaczął mówić szybko: - Nie przerywaj mi, proszę. Zrób, co ci powiem. Wyjedź z miasta na parę dni. Zabierz rodzinę. Jedź samochodem, płac gotówką. Żadnych kart kredytowych, nie korzystaj ze środków publicznego transportu.

- Co do...

- Zrób to! - krzyknął Burke. - Kocham ciebie, Lindę, dzieciaki. Zrób to!

Po chwili wahania Joe zgodził się niechętnie:

- Dobrze. Na jak długo?

- Zadzwoń do twojego biura i zostawię wiadomość na sekretarce. Zmień kod odsłuchiwania.

Nie mów nikomu, dokąd jedziesz. Jasne?

- Jasne.

- I zatelefonuj do Nanci Stuart.

- Wdowy po Kevie?

- Tak. Powiedz, żeby wzięła chłopców i też dokądś wyjechała. Te same instrukcje. Tak samo pilne. Zrozumiałeś?

- Tak.

- Dzięki, Joe. O której rozmawiałeś z McCuenem?

- Niecałą godzinę temu.

- Był w Nowym Orleanie?

- Chyba tak.

- Wytłumaczyłeś mu, jak dojechać do Dredda?

- Nie, chciał go ominąć i pojechać prosto do naszego domku rybackiego. Cholera!

- Joe, naprawdę muszę kończyć. Uważaj na siebie.

Odwiesił słuchawkę i popędził do drzwi. Dredd stał na ganku, blokując mu przejście. Burke wyminął go ze zwinnością zawodnika NFL i wpadł, nie zmieniając tempa, na molo.

- Joe powiedział McCuenowi, jak dojechać do naszego domku - krzyknął przez ramię.

- Cholera by to. Po czyjej stronie McCuen pracuje?

- Nie wiem i to mnie martwi.

- Może ktoś z nim być?

- Nie zdziwiłbym się. Tak czy owak muszę się tam dostać przed nim.

- Jechać z tobą?

- To ja mam problem, Dredd. Rozwiąż tę linę, błagam - powiedział wskakując do łodzi.

- Też miałem kiedyś problem. Pomogłeś mi.

- Ty też mi pomogłeś. Nigdy ci tego nie zapomnę. - Zapuścił silnik. - Na pewno będziesz zadowolony, że twoje lekarstwa podziałały. Rany Remy pięknie się goją. Jeśli coś się mi przydarzy, koniecznie jej powiedz

... To znaczy... Powiedz, że przepraszam ją za wszystko.

Rozdział trzydziesty piąty

Mac McCuen analizował ewentualne korzyści, jakie mogły się wiązać ze zniknięciem z miasta, i doszedł do wniosku, że mogą być znaczne.

Wynajął łódź od faceta, który miał więcej brodawek niż zębów i który zarzekał się, że nigdy nie słyszał o żadnym Basile'u ani jego domku rybackim. McCuen podejrzewał, że facet kłamie, i był zadowolony, że dokładnie zanotował wskazówki Joe Basile'a. Miejscowi najwyraźniej traktowali bagno jako terytorium należące wyłącznie do nich i nienawidzili wszelkich przybyszów.

Co do McCuena, mogli sobie z powodzeniem zachować tę swoją zakazaną krainę dla siebie. Zupełnie nie mógł pojąć piewców naturalnego piękna zalewiska i bagien. Roilo się na nich od robactwa, węży, aligatorów, rysi, knurów i innych (worów dzikiej przyrody, z którymi w ogóle nie chciał mieć do czynienia. Przecież nawet jako dziecko nie przepadał za zabawami na świeżym powietrzu. Mógł co najwyżej przebywać w pobliżu toru wyścigów konnych. No, i jeszcze ewentualnie na podwórzu za domem.

Myśl o domu przywołała obraz Toni. Boże, co ona sobie musi wyobrażać! Wczorajszej nocy, tuż przed planowanym spotkaniem z Jonesem i Bardem, pakował walizki swojej młodej, pięknej żony udającej się do mamusi do Jackson w stanie Missisipi. Kiedy zaczął upychać jej rzeczy w torbach, wkurzyła się, oczywiście, odrobinę i zażądała wyjaśnień, co to ma znaczyć.

Wyjechał z kretyńską opowiadką o nalocie na handlarzy narkotyków, którzy w odwecie zagrozili ukaraniem rodzin. „Pewnie skończy się na gadaniu, ale Patout kazał jednak przedsięwziąć pewne środki ostrożności”.

Kupiła oczywiście jego kłamstwo. Ale i tak nie miał zamiaru zostawić jej żadnego wyboru. Musiała wyjechać dla swojego bezpieczeństwa z miasta, kropka, koniec dyskusji. Prolongata od Duvalla się kończyła i Mac doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ujdzie mu to ot, tak sobie, na sucho. Będą na niego polować z determinacją i myśliwskim instynktem psów gończych.

Aluzja na temat Toni wzburzyła go dokładnie tak, jak się tego adwokat spodziewał. Mac wiedział, co Bardo jest zdolny zrobić kobiecie. Widział na własne oczy miejsca zbrodni, o których popełnienie podejrzewano Barda, chociaż nigdy mu ich nie udowodniono. Wyekspediował więc Toni z miasta i zostanie w Jackson, aż ta awantura między Basile'em i Duvalem się zakończy. W taki czy inny sposób.

Szlag by to trafił. Jakim cudem wplątał się w tę kabałę? No więc dobrze, wiedział jak. Hazard. To przez ten nałóg podjął wszystkie złe decyzje, a podjął ich niemało. To za podszeptem nałogu dopuścił się tych wszystkich przestępczych czynów. Powszechnie wiedziano, że zawierał a to jeden, a to drugi zakładzik, ale nikt nie zdawał sobie sprawy z ich prawdziwej liczby i wysokości długu, jaki zaciągnął na ich pokrycie - ani rodzice, ani żona, ani ludzie, z którymi pracował. Nikt. Tylko on. I sumienie go gryzło.

Przysięgł Bogu, że jeśli wyjdą z tego z Toni cało, nigdy, póki życia, o nic więcej się nie założy. A zanim zdążył wziąć następny oddech, założył się z sobą samym - jeden do stu że złamie tę przysięgę.

Nagle zobaczył chatę.

O mało się nie roześmiał na cały głos. W siadał do łodzi, nie wierząc, że jego modły o odnalezienie tego miejsca zostaną wysłuchane, ale płynął wypełniając instrukcje Joe Basile'a co do joty i masz! - była, dokładnie taka, jak ją Joe opisał. Nawet te opony przyczepione do pomostu.

Za późno, żeby można się było zbliżyć ostrożnie. W tej przenikliwej ciszy Basile musiał słyszeć silnik na mile, zanim zobaczył łódź. Pewnie go teraz obserwuje przez przesłonięte żaluzjami okna. Serce tłukło się Macowi w piersi, jakby wiedziało, że widać je w krzyżyku optycznego celownika.

Wyłączył silnik i mała łódź zaczęła dryfować wzdłuż poIIlostu.

- Jestem sam, Basile! - zawołał. - Muszę z tobą porozmawiać. - Złapał obiema rękami kołek, przyciągnął do niego łódź, wdrapał się niezgrabnie na pomost i przywiązał linkę.

Dzień był zimny, ale Mac pocił się obficie ze zdenerwowania.

Kiedy płynął, czuł na sobie wrogie, żądne zdobyczy oczy śledzące go z trylionów kryjówek zalewiska, ale żadne nie były groźniejsze od oczu Basile'a.

Jego kroki rozlegały się głośnym echem, gdy szedł po pomoście w kierunku siermiężnie wyglądającej chaty. Policyjny trening wyczuwania oznak niebezpieczeństwa nie na wiele mu się przydał. Wylądował na nieznanym lądzie, obcym i niepojętym jak sam Neptun. Czuł się niekompetentny, niezręczny i nic nie wiedział, jak taki jak on policjant mógłby sobie poradzić z kimś takim jak Basile.

Doszedł do oszklonych drzwi i przełknął ślinę, bo w gardle mu zaschło.

- Burke, to się na nic nie zda. Pozwól mi wejść, porozmawiamy. Zgoda?

Trzymając ręce tak, by było je widać, popchnął drzwi. Druga para nie była zamknięta na klucz. Otworzył je, zawahał się i wszedł do środka.

Obrzucił wzrokiem wewnątrz, dokonując pobieżnej inspekcji. - S.ukinsyn!

Czuł się jak głupiec, jego frustracja wzrosła do niebezpiecznych granic, bo chata była opuszczona i rzucało się w oczy, że od dawna nikt w niej nie przebywał. Nie ludzie w każdym razie. Jakieś robaki wyżarły kawał poduszki w fotelu. Karaluchy szukały w pośpiechu schronienia. Pająk zignorował go kompletnie i dalej prządl sieć przy lampie wiszącej na haku. Woda kapiała przygnębiająco z kranu na zażółcony kuchenny zlew.

Joe Basile mylił się. Albo był równie podstępny jak jego slarszy brat i wyczuwając, że Burke grozi niebezpieczeństwem, 'c!owo wpuścił łatwowiernego Maca w maliny.

Co teraz? Co on, Mac, ma teraz do jasnej cholery zrobić?

Nie może wrócić bez Basile'a... Lepiej o tym nie myśleć. Przerazające śmierdzące bagno jest niczym w porównaniu z piekłem, które mu zgotują w Nowym Orleanie, jeśli wróci, nie przywożąc im Basile'a.

Odwrócił się rozżalony. Zamarł w miejscu i zatchnął się powietrzem, kiedy zobaczył rysującą się w drzwiach sylwetkę.

Dredd nadziewał przynętę na haczyki, gdy na drodze z tłuczni, prowadzącej od głównej szosy, pojawił się samochód. Obserwował go, jak nadjeżdża, zwalnia ledwo się tocząc, wreszcie staje. Kierowca wysiadł i zobaczywszy Dredda, pomachał ręką.

- Cześć, Dredd. - Gregory James, uśmiechając się niepewnie, szedł ostrożnie po molu. - Co

słyszeć?

- Ty dziękuję! - warknął Dredd. - Gdzie moja łódka? Powinienem cię wypatroszyć, miałbym flaki na przynętę.

Potrząsnął nożem, którym kroił przynętę.

- Przepraszam, że wziąłem łódkę. - Gregory uniósł dłonie w geście poddania. - Zapłacę ci za nią. Mój ojciec jest bogaty.

- Po co tu przyjechałeś? Fatalnie, że się trochę spóźniłeś. Rozmawiałeś się ze swoim przyjacielem Basile'em.

- Gdzie on jest?

- Chciałbyś wiedzieć?

- Możemy wejść do środka i porozmawiać?

- Mam lepsze rzeczy do roboty - powiedział Dredd, odwracając się od niego.

- Dredd, proszę, spójrz na mnie.

Dredd przerwał pracę i przyjrzał się dokładniej twarzy gościa. Wciąż spuchnięta i zniekształcona. Dość mocno posiniaczona. Ale skóra nie poznaczona siniakami była niezwykle blada, a rysy ściągnięte w wyrazie napięcia.

Mamrocząc pod nosem określenia uwłaczające osobom o miękkim sercu, Dredd dał znak Gregory'emu, żeby poszedł za nim do sklepu. Ledwie znaleźli się w środku, Gregory powiedział z podnieceniem:

- Mam tylko dziesięć minut.

- Dopóki?

- Dopóki oni za mną nie przyjadą. Zamierzają cię trzymać pod bronią, torturować i sam nie wiem jeszcze co. Nie wrócą do domu bez Remy Duvall i Burke Basile'a. Ty masz ich zaprowadzić do kryjówki.

- A pewnie.

- Więc cię zabiją.

- Kto?

- Faceci, co pracują dla Duvalla.

- Bardo?

Gregory potrząsnął głową.

- Bardo został w mieście. To inni dwaj faceci. Czekali na mnie w domu, kiedy wróciłem.

- No, słucham, słucham.

- Zawarłem ugodę z Duvallem wczoraj w nocy. Albo wyląduję w więzieniu z gwarancją zamknięcia w celi z agresywnymi pedałami, powiedzieli, którzy dotąd mnie będą maglować, dopóki jelito mi nie pęknie i nie wykrwawię się na śmierć, albo zaprowadzę tych wyduszczy w' miejsce, gdzie po raz ostatni widziałem Basile'a i żonę Duvalla.

Dredd parsknął z pogardą.

- Wygląda na to, że łatwo się zgadzasz, ty przekupny pedziu.

- Gdybym na serio zawarł z nim ugodę, czy przyszedłbym tu ostrzec cię? - zapytał Gregory piskliwym ze zdenerwowania głosem. - Inna rzecz, że jak im już nie będę potrzebny, mnie też wykończą.

- Aha, czyli dlatego przyszedłeś mnie ostrzec. Mam cię przed nimi obronić, tak?

- Pewnie o to mi chodziło, ale sam nie wiem... - Gregory pociągnął palcem dolną wargę,

rozkrwawiając nie zasklepione skaleczenie. - Nie najlepiej bym się czuł, gdybym spieprzył plan Basile'a. Pani Duvall przeze mnie dostała postrzał... A może to dlatego, że zawsze postępowałem jak tchórz i teraz chcę to odkupić.

- Poczekaj z tym do spowiedzi - zakpił Dredd. - Do Środy Popielcowej jeszcze dwa dni. Wtedy sobie odprawiaj pokutę-

- W porządku. Trudno mi cię winić, że mi nie dowierzasz. Ale zostało nam siedem minut. Czekają przy drodze. Jeśli nie wrócę, będzie to znaczyło, że nie ma innych klientów w sklepie, a wtedy zjawią się tutaj, udając wędkarzy, i zaskoczą cię nie przygotowanego.

- Skoro jesteś ze mną taki szczery - powiedział Dredd z namysłem, drapiąc się po policzku przez brodę - dlaczego ich tutaj doprowadziłeś?

- Bo chciałem mieć szansę na jakąś walkę o swoje życie.

- Skąd mam wiedzieć, że mnie nie wrabiasz? Może to mnie chcesz zdradzić, udając, że zdradzasz Duvalla?

- Naprawdę uważasz, że jestem taki zdolny? Dredd popatrzył na niego krytycznie.

- Dobre pytanie.

- Więc mi wierzysz?

- Chyba jestem kompletnym głupkiem - powiedział pod nosem Dredd - ale zdaje się, że tak.

- Co zrobimy?

- Jeszcze nie wiem. Siadaj, zanim upadniesz. Denerwujesz się jak dziwka w kościele. Chce ci się pić? Mam doktora peppera.

Gregory z ulgą usiadł na krześle. Kątem oka Dredd dostrzegł, jak odsuwa się od powleczonych szelakiem głów małych aligatorów, których jakiś tuzin sechł na stole.

- Masz - podsunął mu otwartą puszkę z chłodnym napojem. Tamten złapał ją drżącymi dłońmi i upił łyk.

- Jaki mamy plan? - dopytywał się między łykami.

- Ja będę łapał ryby na molo.

- Dobrze - zgodził się Gregory. - A co ja będę robił? Dredd zajrzał głęboko w oczy swojemu gościowi. - Hmm...

- Ja powie... powiedziałem... co do... - Gregory stracił przytomność i runął głową na stół o cal od połyskujących otwartych paszczy aligatorów.

- Ten chłopak nie umie nawet utrzymać puszek z piciem. Dredd podszedł do leżącego od tyłu, wziął go pod ramiona i zaciągnął do sypialni, gdzie wcisnął go między łóżko i ścianę. Nienadzwyczajna kryjówka, ale w końcu tymczasowa.

Będzie go bolała głowa od tego walnięcia w stół, ale poza tym nie odczuje żadnych skutków środka nasennego, który mu Dredd zaaplikował. Mała dawka, tyle żeby go pozbawić przytomności; niech nie wchodzi mu w paradę, dopóki się nie upora ze zbirami Duvalla.

Poczuł przyływ adrenaliny i było to wspanialsze niż wszystkie narkotyki, które stworzyła matka natura czy człowiek. Nie tęsknił za policyjną robotą, za jej ograniczeniami, ale tęsknił za stanem podekscytowania. Nawet nie zdawał sobie dotąd sprawy, jak mu tego brakowało. Wprost nie mógł się doczekać na to, co nastąpi.

Jeśli Gregory mówił prawdę i jeśli on, Dredd, dobrze to oblicza, ma cztery minuty, zanim pojawią się „wędkarze”. I sporo do zrobienia.

- Cześć, Mac. Co cię tu sprowadza?

- Przestraszyłeś mnie jak jasna cholera. Burke otworzył oszklone drzwi i wszedł do chaty. - A kogo się spodziewałeś zobaczyć?

- Nikogo. To znaczy ciebie z panią Duvall.

- Naprawdę?

- No tak. Twój brat...

- Wiem, rozmawiałem dzisiaj rano z Joe. Opowiedział mi o twoich nerwowych telefonach. Nie podoba mi się taktyka I, astraszania, jaką wobec niego zastosowałeś, Mac.

- Nie miałem wyboru.

- A co cię tak przypiliło?

- Do diabła, Burke, skończ z tymi głupotami! - wykrzyknął Mac. - Przegiąłeś pałę. Porwałeś Duvallowi żonę i ukrywasz ją w tym swoim domku wędkarskim.

- To nie całkiem prawda - oświadczył Burke uprzejmie. - Może i przegiąłem pałę, a na pewno porwałem panią Duvall, miałem jednak na tyle rozumu, żeby jej tu nie przywozić.

To Dredd mu poradził, żeby nie zabierał Remy do swojego domku, argumentując, że ktoś ich tam jednak może szukać. Namówił go, by pojechali do chaty, która była własnością Dredda i którą czasami wynajmował. Była mniej więcej podobnie wyposażona, ale położona w bardziej odległym, bardziej niedostępnym miejscu, tak bagnistym, że rzadko zapuszczały się tam łódki. Burke posłuchał rady przyjaciela. Ich kryjówka pozostawała dalej nie odkryta, znał ją tylko on i Dredd.

- Jeśli szukasz tutaj pani Duvall, Mac, nie trafiłeś. Zimno, zimno, całkiem zimno. Poza tym wkroczyłeś na cudze terytorium. Zmywaj się.

- Burke, posłuchaj, błagam. Wiem, że nigdy mnie nie cenileś. W porządku. Działam ci na nerwy i uważasz, że jestem kiepskim gliną. Też w porządku. Myśl sobie o mnie, co chcesz, ale ten jeden raz uwierz, że wiem, co mówię. On cię zabije.

- Jak rozumiem, mówisz o Duvallu.

- Sam sobie nie pobrudzi rąk. Przyniosą mu twoją głowę na tacy, chyba że umrze, zanim do tego dojdzie.

- Na to właśnie liczę. Umrze, zanim do tego dojdzie.

- A ty spędzisz resztę życia w więzieniu.

- Znam prawo obowiązujące w stanie Luizjana, ale mimo to dzięki za odświeżający pamięć krótki wykład i za dobre rady. No, jestem trochę zajęty. Cześć, Mac.

McCuen minął Burke i stanął w otwartych drzwiach, zagradzając mu drogę.

- Czy z nią wszystko dobrze?

- Z nią wszystko dobrze - odparł Burke gniewnie. - Co, myślisz, że skrzywdziłbym kobietę?

- Nie, ale też nigdy nie myślałem, że jakąś porwiesz! odpalił Mac, zaraz jednak przywołał się do porządku i mówił dalej spokojnym przekonującym tonem: - Próbuję nie dopuścić, żebyś zrujnował sobie życie. Tkwisz po uszy w gównie, ale jeszcze nie jest za późno się wycofać. Oddaj Duvallowi żonę. Potem może uda się to wszystko jakoś z moją pomocą rozwiązać.

Burke się roześmiał.

- Duvall nigdy nie zapomni ani nie wybaczy, że mu porwałem żonę. Śnisz na jawie, Mac.

- W porządku. Przekaż ją mnie, a ja zawiozę ją do domu. Ty znikasz. I po sprawie.

- Po sprawie to będzie, jak Duvallowi przestanie bić serce. I jak Bardo zginie. A zanim do tego dojdzie, wskażą mi glinę, który nas wystawia, i jego też zabiję.

- Będziesz teraz mordercą?

- Egzekutorem. Wykonawcą kar za popełnione przestępstwa.

- Może byś to zostawił tym z kontroli wewnętrznej?

- Tak samo skorumpowani, jak cała reszta - Burke roześmiał się gorzko. - Myślisz, że jak zwęszą zdrajcę, przekaż'ł sprawę prokuratorowi okręgowemu? Nikomu w Wydziale Narkotyków nie podobnego w głowie nie postanie. Zatuszuj II sprawę i napchają sobie kieszenie.

- Są jeszcze uczciwi policjanci, Basile. O jednego mniej, odkąd zrezygnowałeś.

- Paru niczego nie zmieni.

- Przywrócisz życie Kevinowi Stuartowi, zabijając innych?

Nagle Basile'a uderzyło, że nie widział do tej pory Maca mówiącego tak żarliwie. Sprawiał wrażenie człowieka zdecydowanego na wszystko i był wręcz roztrzęsiony; twarz mu drgała jak w nerwowym tiku.

- Mac, po co tu jesteś?

- Już ci mówiłem.

- Same bzdury. Nie nadstawiałbyś karku, bo mnie lubisz. Nie łączą nas braterskie więzy krwi. Coś tu nie gra w tym obrazku. Co?

Mac odwrócił na kilka sekund oczy.

- Zalegam lichwiarzowi na pięćdziesiąt tysięcy - powiedział, podnosząc wzrok z powrotem na Burke.

- Rozumiem. - Burke w końcu powiązał rozmaite nici. - Wreszcie zaczyna mieć to jakiś sens. Duvall odkrył, że masz długi i zaproponował spłatę w zamian za dostarczenie mnie i żony. To także wyjaśnia twoją desperację.

- Co mogłem zrobić, Burke? Zagrozili, że zrobią krzywdę Toni. Burke złapał go za koszulę.

- Przyprowadziłeś ich tutaj ze sobą?

- Nie, do cholery! - Mac uwolnił się szarpnięciem. Miałem się z nimi spotkać wczoraj, ale celowo nawaliłem. Chciałem cię znaleźć, zanim oni cię znajdą. Nie wiedzą, gdzie jestem.

- Ale na pewno się dowiedzą. Cześć, Mac. Powodzenia. Burke chciał go wyminąć, ale McCuen i tym razem zagroził mu drogę.

- Basile, przysięgam ci na Boga, że nie pchałbym się na to przeklęte bagno, gdyby chodziło wyłącznie o pieniądze. Moi Icściowie pokryją dług, jeśli ich poproszę. Kryje się za tym coś, o czym nie wiesz.

- Jestem pewien, że to byłby temat na interesującą rozmowę, ale chwilowo nie bardzo mam czas.

- Burke niepokoił się o Remy, zostawioną samotnie w chacie Dredda na bagnisku.

Poza tym doszedł do wniosku, że Mac go nie przekona, nieważne, co powie. Facetowi nie można było ufać. Nie miał żadnej gwarancji, że nie napuści na niego Barda i jego bandy płatnych morderców. Zabiera łódkę z kryjówki przy brzegu i natychmiast wraca do chaty Dredda. Bez obawy, McCuen za nim nie popłynie. Nic łatwiejszego, jak zgubić go w labiryncie szlaków zalewiska.

- Basile, mogę ci pomóc. - Mac złapał go za ramię. Wspólnie możemy sobie pomóc.

- Chodzi ci tylko o to, żeby pomóc sobie. Zejdź mi wreszcie z drogi, do cholery!

- Nie pozwolę ci tak odejść.

- Nie możesz mnie zatrzymać.

Burke chciał go odsunąć od drzwi, a wtedy Mac sięgnął do tyłu za pasek spodni.

- Jezu, Mac, nie!

Niepotrzebnie się zaniepokoił. Zanim McCuen zdążył wyciągnąć broń, rozległ się huk wystrzału.

Mac popatrzył na Burke z bezgranicznym zdumieniem, potem jego oczy stały się puste i upadł do przodu.

Rozdział trzydziesty szósty

Dredd usłyszał, że zbliża się samochód.

- Ledwo trzech klientów przez cały tydzień - powiedział do siebie. - A dzisiaj rano ruch tu jak w urzędzie hipotecznym.

Ludzie Duvalła zjawili się punktualnie, tak jak zapowiedział Gregory. Może chłopak zasługiwał jednak na odpuszczenie grzechów.

Rozległ się dźwięk otwieranych dwóch par drzwiczek, a potem zamknięto je z trzaskiem. Na żwirze zachrząściły dwie pary stóp.

- Dzień dobry! - zawołał jeden z mężczyzn.

- Tak samo dla mnie, jak dla ciebie, dupku - powiedział Dredd pod nosem, nie za głośno wszakże.

- Biorą dzisiaj? - odezwał się drugi.

Dredd i na to nie odpowiedział. Tak to urządził, żeby zbiry Duvalła zobaczyły odwróconego do nich plecami starego mężczyznę, siedzącego na pomoście z nogami zwieszonymi nad wodą i trzymającego w ręce wędkę. Chciał, aby odnieśli wrażenie, że stary przyk nie dosłyszcy.

Nie mieli zamiaru zapuszczać się do wnętrza sklepu, najwyraźniej pewni, że zastaną tam Gregory'ego, czekającego na rozwój akcji. Weszli na pomost i ruszyli prosto w stronę starego z wędką.

- Ty pewnie jesteś Dredd. Dredd czekał w bezruchu.

- Czego używasz na przynętę?

Ocecił, że mają jakieś dziesięć stóp do końca pomostu. Blisko, ale jeszcze niewystarczająco blisko.

- Głuchy czy jak? - odezwał się któryś półgłosem.

- Ej, panie starszy - rozległ się głos pierwszego. - Jedziemy na ryby. Chcemy kupić parę rzeczy.

Dredd wciąż czekał - cichy i nieruchomy. - Chyba naprawdę głuchy, biedny skurwiel.

- Może ćwok nas ignoruje. Ej, stary, mówię do ciebie!

Pracując w policji, Dredd wielokrotnie posiłkował się znajomością ludzkiej natury dla przeprowadzenia własnych zamierzeń. Homo sapiens działa w zgodzie z odwiecznymi impulsami, które dają się przewidzieć. Dredd liczył, że bydlak nie oprze się okazji poznać się nad słabszym.

- Może trzeba mu dać prztyczka - padła sugestia.

- No - zachichotał ten cięższy - chyba by się przydało.

Kopnął czubkiem buta starego głuchego człowieka, łapiącego ryby na wędkę, w kręgosłup, tuż poniżej zebranych w ogonek włosów. Kopniak nie był mocny, mimo to, ku jego zdumieniu, starzec wpadł do wody.

Kapelusz rybacki spadł mu z głowy. Siwowłosa peruka również. Odplynęła broda. Maskę na

Halloween wpatrzyła się w nich pustymi otworami na oczy.

Jeden z goryli pochylił się, chcąc się jej lepiej przyjrzeć.

- Ki diab...

Ukryty pod pomostem Dredd wyciągnął ramię i złapał go za kostkę - Mężczyzna zamachał rękami, chcąc złapać równowagę, ale pogrążył się w wodzie. Dredd zatoczył nożem łuk pod jego podbródkiem - był martwy, zanim jego ubranie zdążyło nasiąknąć wodą.

- Według Dredda byli ludzie, którzy nie powinni żyć wśród innych porządných ludzi. Stał się zwolennikiem tej filozofii właśnie tamtej nocy, gdy wezwano go do domowej awantury z udziałem faceta notorycznie bijającego rodzinę. Widział na ciele jego żony i dzieci krwawe oznaki jego wybuchowego temperamentu. Łajdak nie dotrzymywał wielokrotnie składanych obietnic poprawy. Kosztowny produkt systemu, w którym możliwe było wypuszczanie na wolność wyrzutka co rusz trafiającego do więzienia, jakby tylko po to, by mógł dalej maltretować rodzinę, zadreć emocjonalnie i fizycznie wszystkich wokół siebie.

Zrób ludzkości przysługę i kropnij sukinsyna, przemknęło wtedy Dreddowi przez głowę, gdy naciskał spust. Pomimo licznych nieszczęść, które ściągnęło na niego to wydarzenie, nie żałował, że go zastrzelił. Gdyby sytuacja się powtórzyła, zrobiłby dziś to samo. Człowiek, który leżał bezwładnie w jego ramionach, zabijał.

I dzisiaj też by zabił - jego i Gregory'ego, jak już przestaliby mu być potrzebni. Dredd nie miał żadnych skrupułów, uderzając pierwszy. Nawet na sekundę nie zakłóci mu to snu w nocy. Jeśli dożyje nocy.

Wziął głęboki wdech, wciągnął ciało pod wodę i przyczepił do haka na pal. Wypłynął w samą porę, aby złapać oddech.

- Charlie? Charlie?

Tak jest, góro tłuszczu, grunt to zdradzić własną pozycję. Dredd ostrożnie przesunął się pod pomostem w kierunku głosu.

- Charlie...? O Jezu...

Dredd nie musiał się zastanawiać, dlaczego głos tłuszczocha 'I mienił się z pytającozdziwionego na przerażony. Za dobrze był z nimi obznajomiony, żeby nie wyczuć ich ruchów, nawet jeśli akurat były zanurzone i niewidoczne. Studiował ich zachowania, obserwował w naturalnym środowisku. Do diabła, rzecież dzielił z nimi ich naturalne środowisko.

Aligatory.

Jego pupile spędzały zimę w stanie półkatatonii, niewidoczne, nie jedząc, nic nie robiąc, czekając, aż pierwszy słoneczny, wystarczająco ciepły dzień pobudzi je do życia po miesiącach letargu. Dzisiaj był taki dzień. Wyczuwał je, czujne i skoncentrowane jak na drapieźniki przystało, gdy zbliżały się pod wodą do świeżej krwi trupa.

Dredd nie poddawał się panice. Czekał. Czekał. Czekał. - Charlie?

Szczerze przerażenie brzmiało w głosie grubasa. Dredd mógł czytać w jego myślach. Ten facet najchętniej by stąd uciekł, byle dalej od tego piekielnego miejsca, do diabła z Duvallem i szukaniem jego żony. Ale pracowali z Charlie razem od tak dawna. Zaraz po nim Charlie był najfajniejszym sukinsynem, jakiego znał. A teraz zniknął praktycznie na jego oczach. To lakże leżało w ludzkiej naturze: chęć dowiedzenia się, co się rrzytrafiło staremu kumpłowi. Natura ludzka...

Kiedy grubas pochylił się, żeby zajrzeć pod pomost, Dredd zrobił ze wszystkich sił nożycowy ruch nogami i wyskoczył z wody z impetem potwora morskiego. Przyjaciel Charlie ważył od niego co

najmniej siedemdziesiąt funtów więcej, ale zaskoczenie dało Dreddowi przewagę. Wczepił się dłonią w tłusty kark i pociągnął mężczyznę pod wodę. Kiedy tamten przechylił się do przodu, nóż Dredda przebił mu jabłko Adama.

Gregory odzyskał przytomność i zobaczył, że leży oko w oko z długim na dwadzieścia stóp aligatorem. Zerwał się z wrzaskiem na nogi i walnął głową w żelazną ramę łóżka. O włos od zawału, z tętniącym szybko pulsem, łapiąc pośpiesznie oddech, przeczołgał się przez łóżko, na którym ledwo parę dni temu Dredd pielęgnował Remy.

Znalazłszy się po drugiej stronie pokoju, zerknął pod łóżko, żeby się upewnić, czy aligator pod nim jest naprawdę wypchanym, a nie żywym przedstawicielem gatunku. Uwierzyłyby we wszystko, co dotyczyło Dredda, nawet że trzyma żywego gada pod wyrkiem.

Złowrogie oczy były szklane. Trochę uspokojony Gregory przeszedł szybko przez makabryczne pomieszczenia Dredd's Mercantile. Stół, przy którym gospodarz jadał posiłki, zaścielony był pokrytymi błyszczącym szelakiem głowami aligatorów. Dredd był na zewnątrz i zmywał ogrodniczym wężem pomost. Odwrócił się, usłyszawszy kroki Gregory'ego. Miał mokną brodę, ubranie zresztą też.

- Przedrzemałeś się? - spytał uprzejmie.

- Co się stało? Dlaczego leżałem na podłodze za łóżkiem? Nie pamiętam... Nie, poczekaj, pamiętam. - Mgła otulająca jego mózg zaczynała się rozrzedzać. - Dałeś mi doktora peppera. Dodałeś czegoś? - Nagle pamięć mu wróciła z pełną siłą. Rozejrzał się wkoło i zobaczył auto zaparkowane obok jego samochodu. - Są tutaj? - zapytał piskliwie, ogarnięty paniką.

- Gdzie są? Co im powiedziałaś? Dlaczego mnie otumaniałeś?

- Uspokój się, chłopcze. Tak wiele znowu nie straciłeś. Nie ma ich.

- Jak się ich pozbyłeś? Co im powiedziałaś?

- Tak się składa, że nie miałem przyjemności się z nimi spotkać. Prowadzili rozmowę wyłącznie z tym tutaj moim przyjacielem.

Gregory odwrócił się w kierunku wskazanym przez Dredda i wytrzeszczył oczy na kukłę, usadowioną na ganku, kukłę w mokrym kapeluszu rybackim, z mokrą, trochę krzywo nasadzoną peruką na halloweenowej masce i brodą z mchu.

- Zrobiłem go parę lat temu, żeby zwabić złodzieja - wyjaśnił Dredd. - Ten dupek nawiedzał mój sklep za każdym razem, kiedy wybrałem się na ryby albo na polowanie. Zrobiłem więc kukłę i puściłem ją na wodę w jednej z moich łódek. Złapałem faceta na gorącym uczynku i o mało duszy z niego nie wytrząsałem. Nigdy więcej się nie pokazał. Przywiązałem się do mojego przyjaciela i zdecydowałem się go zachować. Słucha, kiedy potrzebuję towarzystwa... - zachichotał. Cholernie brzydki, ale nie bardziej niż ja, powiedziałbym. Bardzo się dzisiaj rano przydał.

Gregory podszedł do niego powoli. Popatrzył na świeżo wyszorowane moło, spojrzął z niechęcią na wodę, na dwa monstrualne aligatory wygrzewające się na odległym brzegu, na Dredda, który odwzajemnił mu się prowokującym spojrzem.

Łatwo było odgadnąć, jaki los spotkał obu towarzyszących mu mężczyzn. Gregory przełknął ślinę z odrazą, ale wiedział, że zawdzięcza Dreddowi życie. Niemniej pamiętny determinacji adwokata wiedział też, że to tylko czasowe odroczenie.

- Duvall przyśle następnych.

- Bardzo prawdopodobne - powiedział Dredd, wzruszając filozoficznie ramionami. - Dlatego najlepiej będzie, jeśli ruszysz w drogę.

- Co z ich samochodem?

- Zajmę się tym.

Nie wyjaśnił tego dokładnie, ale Gregory był pewien, że auto zniknie na zawsze.

- Ja... Dziękuję, Dredd.

- Całkiem się dobrze spisałeś, mój chłopcze. - Dredd wypuścił kłęb papierosowego dymu. -

Kiedy spotkam Basile'a, nie zapomnę mu powiedzieć, że naprawiłeś swoje błędy.

Gregory był tak poruszony pochwałą starego człowieka, że aż wprawilo to ich obu w zakłopotanie. Dredd zauważył lśniąco w oczach młodego człowieka łzy i natychmiast zaczął zrzędzić:

- Nie stercz tu, do licha. Basile byłby na mnie wściekły, gdybyś przeżywszy jakoś to wszystko, co ci się przytrafiło, zginął akurat teraz. Albo został ranny czy trafił za kratki. Zmywaj się.

Burke odruchowo złapał McCuena, kiedy ten padał.

- Mac!

Ale Mac nie miał już nigdy nikomu odpowiedzi - nie żył. I chociaż Burke o tym wiedział, kładąc go na podłogę, wciąż powtarzał jego imię. Podniósł głowę, usłyszawszy czyjeś kroki, i zobaczył Douga Patouta biegnącego do chaty po pomocy.

- Nie żyje?

- Do diabła, Doug - powiedział Burke gniewnie. - Nie miał nawet czasu westchnąć do Boga.

- Ty też byś nie miał, gdyby ci strzelił prosto w pierś. Patout ukląkł i dotknął tętnicy szyjnej Maca. Po chwili wstał, jakby unosił na barkach tysiącfuntowy ciężar. Zaklął cicho i przeciągnął dłonią po zmęczonej twarzy. Potem położył dłoń na ramieniu Burke i spojrzał na niego z niepokojem.

- Dobrze się czujesz?

- Dobrze? Jezu, Doug. Nie. Nie czuję się dobrze, bo przed chwilą znowu zastrzelono na moich oczach jednego z naszych.

- Mac sięgał po broń. Ty albo on.

Mac rzeczywiście wyszarpnął broń z kabury przypiętej na plecach. Leżała tuż przy jego prawej ręce. Mimo tak oczywistego dowodu, Burke nie mógł uwierzyć, że McCuen zastrzeliłby go z zimną krwią.

- Był trefny - powiedział Patout - Zawarł umowę z Duvalem.

- Przyznał się do tego.

- Powiedział ci, na jakich warunkach?

- Spłacenie pięćdziesięciu tysięcy długu w zamian za mnie.

- To tylko część prawdy. Umowa obejmowała spłacenie długu plus większą działkę, jeśli cię zabije.

- Działkę?

- Właśnie tego faceta szukałeś. - Patout pokazał głową na ciało Maca. - Mamy niezbitą dowody, że McCuen pracował dla Duvalla.

Burke popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Mac kawalarz, bałaganiarz, nudziarz?

- Część jego gry. Cwańszy niż się wydawało. Dawał się lubić, wykonywał swoje obowiązki poprawnie, ale niczym się nie wyróżniał. Ubiegał się uparcie o przyjęcie do Wydziału Narkotyków i był człowiekiem Duvalla od pierwszego dnia, kiedy do nas przyszedł.

- Zawsze było jakieś „ale” - zastanawiał się na głos Burke. - Żył na poziomie nijak się mającym do pensji gliny. Uznałem, że albo cholernie dobrze wychodzi na hazardzie, albo ma kupę szczęścia.

- No, dzisiaj go opuściło...

- Powiedziałeś, że masz niepodważalny dowód na jego współpracę z Divallem.

- Wewnętrzny od miesiący prowadzi utajnione dochodzenie. Wyłącznie ja o tym wiedziałem. Zdawałem sobie sprawę, że jesteś sfrustrowany pozornym brakiem jakichkolwiek działań, prowadzących do odkrycia zdrajcy, ale zostałem zobowiązany do zachowania tajemnicy i nie mogłem ci nic powiedzieć. Chociaż miałem taką pokusę - przyznał bo może byś wtedy nie odszedł. W każdym razie po miesiącach intensywnej pracy powiązali nieudane naloty z McCuenem. Także ten, w którym zginął Kev - dodał łagodnym tonem.

Burke spojrział na niego przenikliwie, a Patout kiwnął głową-

- To prawda. Chciałeś mieć faceta, który dał wtedy cynk handlarzom narkotyków i przez którego zginął Kev. Masz winowajcę.

Burke wbił wzrok w swojego rozmówcę, nie dowierzając temu, co usłyszał. Kiedy wreszcie dotarł do niego w pełni sens słów Patouta, kolana się pod nim ugięły, oparł się o ścianę i powoli osunął się po niej, siadając w kucki.

Patout dał mu chwilę na refleksję. - Wreszcie zapytał:

- Wszystko w porządku?

- Tak... W porządku. Myślałem... - Burke musiał odchrząknąć, żeby móc mówić dalej - myślałem, że się będę czuł inaczej, kiedy się dowiem, kto to był.

- A jak się czujesz?

- Wypalony.

Na moment zapadła cisza. Burke spostrzegł, że kałuża krwi wyciekająca spod Maca przestała się powiększać. Wkrótce zacznie krzepnąć. Tyle krwi. Maca. Kevina. Spojrział wreszcie na Patouta.

- Jeśli narkotykowy interes Duvalla kwitł dzięki informacjom przekazywanym przez Maca, to jaki był sens narażać kogoś tak cennego na niebezpieczeństwo i posyłać go za mną? - Najwyraźniej dla Duvalla najważniejsze stało się to, żeby cię dopaść. Mac był z tobą blisko, mogłeś mu uwierzyć, że przynosi dobre wieści. A poza tym nie jest niezastąpiony.

- Nie, bo Duvall ma niewyczerpane możliwości. Prawdopodobnie już zastąpił Maca innym gliną.

- Pewnie masz rację - powiedział ponuro Patout.

Burke popatrzył na tężejące rysy Maca i pomyślał o wszystkich nieznośnych przyzwyczajeniach tego młodego mężczyzny i o jego niezaprzeczalnym wdzięku, o młodej pięknej żonie, o tym, że wszystko to zostało zaprzepaszczone. Miał nieprzepartą ochotę kogoś uderzyć.

- Skąd wiedziałeś, że Mac przyjedzie tu dzisiaj rano? zapytał Patouta.

- Deptaliśmy mu po piętach, obserwowaliśmy każdy jego ruch. Dowiedzieliśmy się niedawno, że się zadłużył u lichwiarza nazwiskiem Dei Ray Jones.

- Wiem, co to za jeden.

- Kiedy Jones zabrał Maca na spotkanie z Divallem przedwczoraj wieczorem, nietrudno było zgadnąć, co z tego wyniknie.

- Niezbyt to przekonujące, Doug - Burke wstał. - Skąd mogłeś wiedzieć, że Mac nie przyjechał mnie ostrzec albo przekazać wiadomości od Duvalla?

- Sięgnął po broń. Zapomniałeś? Wolałbyś, żebym poczekał, aż cię zabije? Punkt dla ciebie, przyznał w myślach Burke.

- A zresztą wiedziałem, po co on tu jedzie - ciągnął Patout - bo rozmawiałem z Divallem. Zadzwoniłem do niego rano i powiedziałem, że Mac jest skończony. Dał do zrozumienia, że uważa

jego misję za wypełnioną. Chełpił się też, że nawet jeśli Mac cię nie dostał, ma zastępczy plan.

- Blefował. Też z nim rozmawiałem dzisiaj rano. Nadal gorąco pragnie się do mnie dobrać. Kiedykolwiek przyjdzie, w jakiegokolwiek formie ma się objawić ten jego zastępczy plan, jestem gotowy.

- Jezu, człowieku, szkoda że nie możesz słyszeć sam siebie! - krzyknął Patout. - Nie wiadomo, który z was jest bardziej wkurwiający, ty czy Duvall! Jak dwaj gówniarze z podstawówki. Ocknij się, Burke, i spójrz wreszcie na to z boku. Musiałem z powodu całego tego bałaganu zabić jednego z moich i nie jest to najprzyjemniejsze. Zdradził czy nie, był jednym z moich ludzi. Błagam cię, skończ z tym - powiedział zmieniając ton. - Dostałeś faceta, którego chciałeś wykryć, a więc masz zabójcę Keva Stuarta. Zabierzmy panią Duvall, gdziekolwiek ją przetrzymujesz, i dopilnujmy, żeby bezpiecznie trafiła do domu.

- Tylko wtedy, jeśli zobaczę wywrócone białkami do góry oczy Duvalla.

- No dobra. Dostaniesz Duvalla i Barda i wylądujesz w celi śmierci. Komu zrobisz na złość?

- Nie oddam mu jej.

- Gorszy scenariusz. Duvall nie ginie, a ty lądujesz w więzieniu. Uważasz, że ci odpuści? Nigdy. Dowali ci na wszystkie możliwe sposoby. Pamiętasz Sachela i jego syna? Duvall nie zna litości. Co go powstrzyma przed napuszczeniem Barda na Nanci Stuart? Posłuży się ludźmi, na których ci zależy, żeby cię przyprawić o męki. Poznałem twojego brata. Miły facet. Nie będziesz mógł ich chronić, Burke. Nie w więziennej celi.

- No, to tym bardziej żaden z tych dwóch nie powinien przeżyć.

- Cholera, Burke, posłuchaj mnie wreszcie!

- To ty mnie wreszcie posłuchaj! - odpowiedział Burke również krzykiem. - Zacząłem to i doprowadzę do końca.

- Jesteś aresztowany.

- Za co?

- Za porwanie.

- Napisałem jakiś list z żądaniem okupu? Jaki masz dowód, że użyłem wobec pani Duvall siły? Może upichciłem to razem z nią, bo chciała uciec od tego tyranizującego ją sukinsyna?

Patout spojrzał na niego z rezerwą.

- Nie jest za późno, żeby to odwrócić. Duvall odwiedził mnie krótko po porwaniu i ostrzegł, że cię zabije. Chcesz się upierać, będziesz zdany wyłącznie na siebie. Wrócisz ze mną, będziesz pod ochroną Wydziału Narkotyków.

- Nie, dziękuję. W wydziale...

Zanim zdążył cokolwiek zrobić, Patout uderzył go pistoletem mocno w skroń. Burke zrobił chwiejny krok w kierunku drzwi, ognie rozbłyły mu w oczach. Molo wydłużyło się o kilometry, jakby patrzył na nie odwrotną stroną lornetki. Pole widzenia zmniejszyło się, jakby obwodziła je ciemność. W końcu zapadła.

Jego ostatnia myśl pobiegła ku Remy. Siedziała sama, czekając na jego powrót.

Rozdział trzydziesty siódmy

Dobiegły go ludzkie głosy, ale słów nie mógł rozróżnić.

Przytomność wracała mu powoli i dopiero po pewnym czasie orientował się, że leży na boku w jakimś zamkniętym pomieszczeniu, ręce ma skute z tyłu, a głowa boli go jak sto diabłów.

Nie wiedział, gdzie jest, ale na zewnątrz trwała intensywna krzątanina. Nie widział świateł samochodu służb bezpieczeństwa, lecz czuł ich pulsowanie na zamkniętych powiekach. Zdecydował, że poleży z zamkniętymi oczami, udając nieprzytomnego, dopóki nie zorientuje się w sytuacji.

Wreszcie rozpoznał jeden głos.

- Ruch tu dzisiaj jak na dworcu kolejowym - mówił Dredd. - Przyjeżdżają, odjeżdżają, nie będzie żadnego wędkowania co najmniej przez tydzień.

- Na przykład kto?

- Co na przykład kto?

Jeszcze na pół otumaniony Burke od razu się zorientował, że Dredd odgrywa głupka. Zastanawiał się, czy Patout również się zorientował.

- Kto tu dziś przyjeżdżał? - zapytał PatouL

- No chociażby dwóch facetów z samego rana dopytywało się o Burke Basile'a.

- Co za dwóch facetów?

- Przecież ich nie znam, ale ci powiem jedno: nie tęsknię za tym, żeby wrócili. Wróżyli kłopoty.

- Skąd wiesz? Co takiego zrobili?

- Nic szczególnego. Zwyczajnie miałem przecucie, chyba to znasz? Od dawna przestałem być gliną, Patout, ale instynkt gliniarza jeszcze mnie nie opuścił. - Dredd przerwał, żeby zaciągnąć się papierosem, jak się Burke domyślał. Byli ubrani jak wędkarze, ale jeśli tych dwóch złapało chociaż jedną rybę w życiu, zaczną jadać aligatory; które tu pływają.

- Przecież jadasz aligatory, które tu pływają. Dredd zachichotał.

- Jasne, Patout, ale wiesz, co chciałem powiedzieć. Skasowałem ich najszybciej, jak mogłem na szóstaki z piwem i byłem zadowolony, kiedy zniknęli mi z oczu.

- Co im powiedziałaś o Basile'u?

- Nie miałem więcej do powiedzenia niż to, co usłyszałeś. Burke przejeżdżał tędy parę dni temu.

- Którego to było?

- Nie pamiętam dokładnie, nie obchodzą mnie daty w kalendarzu, chociaż wiem, że jutro ostatki. W mieście pewnie aż huczy...

- Co do Burke...

- Ano tak. Basile wpada czasem jak po ogień, a że nie jest gadatliwy, to sam wiesz. Kupił parę rzeczy i odjechał.

- Była z nim kobieta?

- Kobieta to nie jest właściwe słowo. Fiu-fiu-fiu! - Dredd zniżył głos i dodał: - Dwa razy trzepałem kapucyna, jak wyszli. Co to za jedna?

Patout zreferował zwięźle to, co Dredd już dawno wiedział.

- Hm... - powiedział, kiedy Patout skończył. - Nigdy bym nie pomyślał, że jest zakładniczką Basile'a. Nie wyglądało to tak, jakby ją do czegoś zmuszał. Sama wsiadła do samochodu.

- Odjechali samochodem?

Dredd zaczął szczegółowy kłamiwy opis nie istniejącego samochodu; określił markę, kolor i model. Gdyby okoliczności nie były tak ponure, Burke parsknąłby ze śmiechu.

- Nie widać stąd szosy, więc nie wiem, w którą stronę pojechali.

Patout zapytał, czy nie było z nimi innego mężczyzny, być może księdza. Dredd roześmiał się i odparł, że nie, on raczej unika kontaktu z osobami duchownymi, a i Basile nie zrobił na nim wrażenia religijnego.

Patout poprosił, by Dredd opisał, jak wyglądał Burke.

- Jak zawsze - padła odpowiedź. - Zaraz, teraz sobie przypominam, że jakoś inaczej. Zgolił wąsy. - Chwilę milczał i dodał: - Nie wyobrażam sobie Basile'a jako porywacza.

- Ja też nie, ale wszystko na to wskazuje.

- Powiedz mi jeszcze raz, Patout, jak się nazywa ten gliniarz, którego zastrześliłeś?

- Detektyw sierżant McCuen.

- Twój człowiek.

- Tak - przyznał Patout z goryczą. - Zawarł umowę z Duvallem, że przywiezie mu żonę i Basile'a. Śledziłem go, i dobrze, bo został wysłany, żeby zabić Burke. - Poinformował Dredda skrótowo o przeciekach w wydziale.

- Zabiłeś kiedyś człowieka, Patout?

- Raz. Pełniąc obowiązki służbowe. Nie jest łatwo przejść nad tym do porządku dziennego.

- Ja wiem... zależy chyba od tego, czy facet zasługiwał na śmierć - powiedział były policjant. Burke wyobraził sobie, jak wzrusza opalonymi ramionami. - Oczyszczyłeś wydział ze sprzedajnego gliny. Wygląda na to, że zaoszczędziłeś wszystkim kupę kłopotów i czasu.

- Nie przepełnia mnie radość, jak ktoś musi umrzeć. Mam przynajmniej nadzieję, że skończę całą tę rzecz pokojowo. A w każdym razie uchronię Basile'a przed popełnieniem błędu, za który płaciłby do końca życia. Robię mu przysługę, nawet jeśli on tak nie myśli.

Dredd parsknął sceptycznie.

- Jakoś wątpię w to, że uzna zakucie go w kajdanki za przysługę.

- Będziesz miał za swoje, jak się ocknie.

- Na pewno będzie wkurzony - zgodził się Patout - ale zrobiłem to dla jego własnego dobra. Chrzanię jego upartą zabawę w chowanego. - Przerwał i powiedział: - Mamy karetkę.

Do uszu Burke doszedł odgłos odsuwania krzeseł, szurania nogami..

- Lepiej pójde dopilnować transportu ciała Maca i wypełniania papierków. Jak tylko wyekspeduję karetkę, przyjdę po Basile'a.

- Co z żoną Duvalla?

- To będzie pierwsza rzecz, o jaką zapytam Basile'a, kiedy oprzytomnieje. Trzeba ją natychmiast zabrać do domu.

Burke poczekał, aż kroki Patouta ucichną, i otworzył oczy. Jego przypuszczenia się potwierdziły: leżał na kanapie w dużym pokoju Dredda.

- Od jak dawna jesteś przytomny? - zapytał gospodarz szeptem.

Stał przyoknie, odwrócony plecami do Basile'a, paląc spokojnie papierosa i obserwując przez brudne okno trwające na molu zamieszanie. Burke zastanowił się - nie po raz pierwszy - czy aby na pewno przyjaciel nie jest czarownikiem wyposażonym w nadprzyrodzone talenty. Nie dość, że miał moc uzdrawiania, to jeszcze najwyraźniej oczy z tyłu głowy.

- Na tyle długo, żeby wysłuchać sprawozdania Patouta.

- Rzeczywiście tak było?

- Dokładnie. Dopłynąłem do swojej chaty tuż przed Makiem i zdążyłem ukryć łódkę w szuwarach. Kiedy stanęliśmy oko w oko, przyznał, że zawarł ugodę z Duvalem. Uważał, że da się z nim negocjować i jakoś wszystko rozwiązać.

- Pieprzyć to.

- Zareagowałem tak samo. Ale chodziło o przyszłość Maca, więc nie przyjął „nie” do wiadomości. Sięgnął po broń. Patout go śledził i był na miejscu. Musiał mieć Maca na celowniku, bo kula trafiła w samo serce. Teraz gimnastykuje się, żeby przeprowadzić całą resztę zgodnie z przepisami.

- Nie tylko z nim masz problem. Duvall puścił w ruch całą maszynę. Jest już na twoim tropie, synu.

Pozornie całkowicie pochłonięty obserwacją karetki, w której umieszczano ciało, opowiedział, jak Gregory przyszedł do sklepu i ostrzegł go przed towarzyszącymi mu rewolwerowcami.

- Czyli opowieść o dwóch facetach udających wędkarzy była prawdziwa?

- Prawie - przyznał Dredd. - Zjawili się tu, ale już nie odjechali.

Słowa zabrzmiały tak złowieszczo, że nie było co dalej zadawać pytań. Burke pomyślał, że nie wykazał się zbyt wielką przenikliwością, pytając o los tej dwójki.

- Co z Gregorym?

- Jest jeszcze nadzieja dla tego chłopaka. Mógł nas nieźle obu wpieprzyć, ale jakoś mu się udało przeprowadzić to, co chciał. Poradziłem mu, żeby zwiewał, i zastosował się do mojej rady.

- To dobrze. - Burke szarpnął kajdankami. - Uwolnij mnie od tego cholerstwa.

- Właśnie wkładają ciało, a Patout konferuje z szeryfem - powiedział Dredd, odwracając się od okna. - Mamy może półtorej minuty, żebyś stąd zniknął.

- Gdzie moja broń?

- Patout ją zabrał. Pożyczę ci swoją.

Dredd wyjął magnum 357 z szuflady, sprawdził, czy wszystkie komory są załadowane, dorzucił jeszcze pudełko naboju i pomógł Basile'owi wstać. Burke szedł chwiejnie, głowę miał jak bania, w dodatku chybotąca mu się niepewnie na szyi, gdy przemierzał za Dreddem przedziwnie niekształtne pokoje, zmierzając do tylnego wyjścia.

Dredd wygrzebał parę szczypiec przegubowych ze skrzynki na narzędzia, w której mieściło się chyba wszystko, co wynaleziono od epoki żelaza, i przeciął kajdanki. Wręczył przyjacielowi broń i naboje i wyciągnął spod pomostu łódkę.

- Zużywasz moje łódki jak rozparzony nastolatek prezerwatywy. Jeśli to dalej pójdzie w tym tempie, wypadam z interesu.

- Wynagrodzę ci to, Dredd.

- A pewnie, pewnie. Tylko nie daj się zabić do tego czasu. Łódź ma silnik, ale lepiej go nie zapuszczaj, zanim nie zrobisz z pół mili. Dasz radę tak długo wiosłować?

- Nie mam wyboru. Remy jest tam sama.

- Basile, czy ty polubiłeś tę dziewczynę?

Przyjaciele wymienili spojrzenia, ale Burke powiedział tylko:

- Jeszcze raz dziękuję, Dredd.

- Drobiazg... Życzę ci szczęścia i... No cóż, cholera, nienawidzę tej części zabawy.

Burke uderzył go pięścią w podbródek i nawet bujna broda nie złagodziła ciosu. Kiedy Dredd padł na plecy, Burke walnął go dodatkowo w głowę, żałując, że musi to zrobić tak, by uprawdopodobnić wersję, iż pokonał niemłodego już mężczyznę. W każdym razie starał się nie uderzyć zbyt mocno, aby nie narażać przyjaciela na ból głowy po fackie.

Wskoczył do łodzi i odepchnął ją od mola.

Sięgał po wiosła, gdy usłyszał, że ktoś biegnie krzycząc. Do diabła z wiosłowaniem. Zapуścił silnik i odpłynął.

Remy zaczęła go wyglądać mniej więcej w południe. Nie zjadła nawet lunchu, bo sądziła, że wróci głodny i zjedzą razem. Dwunasta minęła, a on się nie pojawił.

Odważyła się wyjść z chaty, żeby sobie skrócić długie popołudnie, i próbowała się cieszyć pierwszym w jej życiu słonecznym dniem na bagnach, ale nie mogła się odprężyć i w pełni pojąć obcego jej piękna, ponieważ głowę miała zaprzątniętą zastanawianiem się, co tak długo zatrzymuje Basile'a.

Nadszedł wieczór, a ona denerwowała się coraz bardziej.

Przemierzała pomost niczym żołnierz na warcie, nasłuchując, czy nie wychwyci odgłosu silnika wśród dźwięków nocnego życia na rozlewisku. Już ją przestały przerażać, brzmiały wręcz znajomo, a nawet uspokajająco.

Zmierzch ustąpił nocy i wtedy wreszcie weszła do domku.

Dla bezpieczeństwa nie zapalała lampy, czuwając w kompletnych ciemnościach. Nic nie jadła od śniadania, ale nie czuła głodu.

Co się wydarzyło, gdy Basile zjawił się w Dredd's Mercantile?

Może po drodze został wciągnięty w zasadzkę przez tych trzech mężczyzn, którzy podpłynęli do nich wczoraj wieczorem i udawali, że szukają ojca Gregory'ego?

A może Pinkie wysłał ludzi, żeby na niego czekali u Dredda? Co będzie, jeśli Dredd został zabity i nikt się nie dowie, gdzie ona jest?

Ponure wizje nękały jej umysł. W końcu wyczerpana położyła się. Zamknęła oczy. Myślała, że nie zaśnie, tak była rozgorączkowana, więc kiedy przebudziła się gwałtownie, zdziwiło ją najpierw, że zasnęła.

Dopiero potem zastanowiła się, co ją mogło przebudzić.

Serce jej waliło, leżała nieruchomo, zupełnie jak za czasów, gdy budzili ją Angel i któryś z jej niezliczonych klientów.

Co ją wyrwało ze snu? Jakiś dźwięk? Zatrważający odgłos ruchu w ciemnościach? Przeczucie niebezpieczeństwa?

Wyteżyła słuch, ale nic nie usłyszała. Może obudziły ją wibracje spowodowane uderzeniem łodzi o pal pomostu?

Ma tak po prostu leżeć, udając, że jest niewidzialna, jak udawała egzystując w odrażającym

świecie Angel? Nie jest już dzieckiem. Obiecała Basile'owi, że nigdy więcej nie przyjmie roli ofiary. Co albo kto mogło być bardziej przerażające niż mężczyzna, z którym żyła przez dwanaście lat? Skoro wytrzymała okrucieństwo Pinkie, wytrzyma wszystko inne.

Wyśliznęła się z łóżka, przeczołgała na czworakach do stołu i wymacała nóż kuchenny. Był tępy, ale stanowił jedyne narzędzie obrony, bo Basile zabrał pistolet. Po namyśle wzięła także lampę naftową i pudełko zapalek, a potem podeszła do najbliższego okna i wyjrzała przez nie ostrożnie.

Dostrzegła jakąś postać - właściwie tylko ciemniejszy cień pośród innych cieni - skradającą się po pomoście. Postać przystanęła, nasłuchując, a potem zaczęła znowu bezszelestnie podchodzić do chaty.

Remy opadła na podłogę, zaciskając dłoń na nożu. Zastanawiała się, w jaki sposób można użyć lampy jako oręża.

Zardzewiałe zawiasy przy drzwiach zaskrzypiały i intruz zawahał się na moment, zanim uchylił je ostrożnie i wśliznął się do środka.

- Remy?

Serce jej załomotało, tym razem z ulgi.

- Burke?

Zerwała się na nogi, żeby do niego podbiec, ale stanęła jak wryta, zobaczywszy broń w jego ręce.

Burke poczuł tak ogromną ulgę, widząc ją całą i żywą, że omal nie złapał jej w objęcia. Nagle zauważył nóż w jej ręce, lampę w drugiej.

Nie używał silnika przez ostatnią milę, wiedząc, jak daleko niesie głos po wodzie. Nie chciał doprowadzić ludzi, którzy mogli go szukać, do kryjówki na bagnach. Przez cały ten czas robił wszystko, żeby tu wrócić, i w głowie mu nie powstało, że sama Remy może dla niego stanowić zagrożenie.

Ale nóż spadł z brzękiem na podłogę, lampę postawiła na stole.

Zabezpieczył magnum i położył obok lampy. Popatrzyli na siebie.

- Dobrze się czujesz? - odezwał się pierwszy. Pokiwała energicznie głową.

- Przestraszyłam się.

- Czego?

- Z początku nie wiedziałam, że to ty.

- Bałam się, że cię tu nie ma.

- A dokąd miałabym pójść? Dlaczego się tak zakradałeś?

- Żeby mnie nie schwytano.

- Schwytano?

- Ścigają mnie.

- Za co?

- Dłuższa historia.

- Jesteś spocony.

- Wiosłowałem.

Stali patrząc na siebie w ciemnościach.

- Okropnie długo cię nie było - powiedziała w końcu.

- Wiem. Przepraszam. Nie mogłem wrócić.

- Wszystko w porządku. Ja tylko...
- Nic na to nie mogłem poradzić. Gdybym mógł...
- Co się stało?
- Ktoś się tutaj pojawił?
- Nie.
- Nikogo nie widziałaś?
- Nikogo przez cały dzień. O mało nie oszalałam.
- Ze strachu?
- Ze zmartwienia.
- Zmartwienia?
- Że coś ci się stało.

Dzieląca ich przestrzeń nagle się skurczyła. Później nie mógł sobie przypomnieć, czy jej dotknął z pełną świadomością. Nie pamiętał, jak wyciągnął ręce, by ją objąć. W jednej sekundzie pragnął ją trzymać w objęciach, w następnej już w nich była. Przytulił ją do siebie mocno. Wydała mu się niezwykle drobna i delikatna. Schował twarz w jej włosach, przylgnął policzkiem do jej szyi. Przygarnął dłonią jej głowę, tak że twarz Remy przylgnęła do jego szyi.

- Nie wiedziałam.
- Wiedziałaś, Remy.
- Skąd miałam wiedzieć?
- Bo ci obiecałem, że wrócę.

Jego usta na oślep szukały jej ust. Całował ją mocno, rozgniatając jej wargi. Był niezręczny, nawet niezdarny. Ale wygłodzeni mężczyźni nie jedzą z wdziękiem. Całował ją żarłocznie, nie finezyjnie. Smakował ją po raz pierwszy i w jego piersi rósł głuchy jęk - jęk wdzięczności i pożądania.

Oderwał się od niej w końcu, wsunął palce między jej włosy i odchylił jej głowę. Wpatrzył się w tę twarz; chciał sprawdzić, czy nie odczytał źle jej reakcji. Ale zobaczył ten sam wyraz pożądania i zmieszania, jaki musiał się malować i na jego twarzy.

Podniosła rękę i nieśmiało dotknęła palcami jego ust. Burke zamknął oczy i znów przylgnął do niej. Ugiął kolana, żeby lepiej dopasować się do trójkąta jej ud. Położył dłonie na jej biodrach i mocno przycisnął do siebie. Jej ręka, spoczywająca na jego włosach, pokierowała jego głową i pocałowali się znowu, z większą niż poprzednio namiętnością i mniejszym skrępowaniem.

Cofał się, potykając się niezręcznie, w stronę łóżka, pociągając ją za sobą. Gdy jego łydki dotknęły materaca, usiadł rozkładając kolana i niecierpliwie ściągając jej bluzę przez głowę. Luźne dresowe spodnie spadły na podłogę i Remy z nich wystąpiła. Jego oczy, a potem ręce przesunęły się po niej - po ramionach, piersi, talii, biodrach, udach - dotykając, czego tylko mogły, i tak szybko, jak mogły.

Przyłożył rozpalony policzek do jej brzucha, a ona objęła ramionami jego głowę. Pieścił jej łydki i uda. Ścisnął pośladki. Całował wzgórek łonowy przez jedwab majtek, pocierał go brodą i nosem.

Ułożył ją na łóżku, rozciągnął się przy niej i włożył rękę pod jedwab. Kędzierzawe runo owinęło się wokół jego palców. Rozdzielił nabrzmiałe wargi. Była wilgotna, wsunął głęboko palce, cofnął je i pomasaował delikatnie najwrażliwsze miejsce.

Wypowiedziane z cichym westchnieniem jego imię zabrzmiało jak przyzwolenie. W sekundę rozpiął spodnie i pochylił się nad nią. Kiedy w nią wszedł, omal nie zaszlochał z rozkoszy. Nie

chciał się śpieszyć, ale doznania były tak silne, tak długo wyczekiwane, tak często wyobrażane, że zawładnęły nim całkowicie i nie był się w stanie dłużej powstrzymać.

Wszystko przeszło zbyt szybko. Uniósł głowę, na wargi cisnęły mu się słowa przeprosin. Ale rysy jej twarzy były rozluźnione, miękkie. Kropelki potu pokryły górną wargę, oczy miała zamknięte. Piers jej falowała, brodawki stwardniały. Potarł je leciutko kciukiem. Poczul, jak brzuch jej zafalował na moment przedtem, nim zagryzła dolną wargę.

Przytulił się do niej mocniej i został w niej, dzieląc z nią każde falowanie, każdy pulsujący ucisk. Kiedy się uspokoiła, położył się na boku, i znów przygarnął ją mocno do siebie, przyciskając jej głowę do swojej piersi i głaszcząc jej plecy. Leżeli tak długo, chciał, żeby to się nigdy nie skończyło. Ale przecież należało jeszcze coś powiedzieć:

- Wiem, że jesteś bardzo religijna. Prawdopodobnie uważasz zdradę za grzech śmiertelny. Możesz więc uważać, że cię przymusiłem. Po prostu... Remy, nie czuj się źle z tego powodu. Nie chciałbym, żebyś o tym źle myślała. O mnie.

Uwolniła głowę, żeby móc mu spojrzeć w twarz. Przyłożyła dłoń do jego policzka i wpatrzyła się w jego oczy. - Nie musisz się o to martwić. Nie jestem tak naprawdę mężatką.

Rozdział trzydziesty ósmy

Pinkie obserwował z okna swojego biura rozbawioną ciżbę na zewnątrz. Parada na cześć Orfeusza już się skończyła, ale tłum wciąż przelewał się ulicami, śpiewając i bawiąc się zapamiętałe. Za niespełna dobę miał się zacząć post.

Odwrócił się na odgłos otwieranych drzwi. Bardo niemal wkradł się do pokoju, sprawiając przedziwne - jak na niego - wrażenie człowieka pokonanego.

- Moi ludzie nie dotarli na miejsce. Twierdzą, że jest tam wciąż za gorąco. Aż roi się od zwykłych glin, zastępców szeryfa, policji stanowej, koronerów. Dodaj do tej listy, co chcesz.

- Potwierdzili, że McCuen nie żyje?

- Martwy na amen. Wersja jest taka, że Patout zabił go, stając w obronie Basile'a.

- Co z Basile'em?

- Nie uwierzysz. Patout go aresztował, a on uciekł. Duvall zaklął z wściekłością.

- Basile obezwładnił to stare dziwadło, które prowadzi sklepik z przynętą na ryby.

- Obezwładnił? Gówno prawda! - wrzasnął Duvall. - I Patout to kupił?

- Nie wiem.

- Czy ten typak Gregory nie powiedział nam, że Basile i Dredd czy jak-mu-tam znajdują się jak łyse konie? Skoro tak tam gorąco, to nawet cudotwórca Basile nie dałby rady zwać z tego kotła bez pomocy. I co jest, do cholery, z tym Gregorym i facetami, których z nim posłałeś? Masz jakieś wiadomości?

Bardo potrząsnął głową.

- Żadnych.

- Myślę, że się nawet nie zbliżyli do Dredd's Mercantile. Wykiwali nas.

- To moi dwaj najbardziej zaufani ludzie - zaprotestował Bardo. - Powiedziałem im, co mają robić, więc to zrobili, mur beton.

- Rodzina Gregory'ego Jamesa jest bogata. Przekupili ich, żeby go puścili. Siedzą pewnie teraz w Vegas, pieprząc prostytutki, po dwie na raz.

- Nie daliby się przekupić - upierał się Bardo.

- To mi powiedz, gdzie są?

Bardo wzruszył ramionami, a Pinkie znowu zaklął. Nie pamiętał, żeby mu kiedyś ktoś tak krzyżował plany.

Miał dwie bardzo realne szanse na schwytanie Basile'a i obie zawiodły. McCuen najwyraźniej postanowił działać na własną rękę, za plecami Dela Raya Jonesa. To akurat nie martwiło Duvalla. Właściwie nawet podobała mu się samodzielność McCuena. Tyle że plan mu nie wypalił, bo dał się zabić. Piękne dzięki, Patout, pomyślał Pinkie. Przyjdzie czas i na ciebie. Gregory James zniknął, a razem z nim dwóch doświadczonych rewolwerowców. Jak, do cholery, temu płacziwemu

zbożeniowi udało się czegoś takiego dokonać? Gdziekolwiek był Basile, pewnie zaśmiewał się do rozpuku z tych partackich prób pozbawienia go życia. Ciśnienie skakało Duvallowi niebotycznie, kiedy o tym pomyślał.

- Tylko się na mnie nie wyzywaj, że ci to wszystko powiedziałem - przerwał mu rozmyślenia Bardo. Pinkie najeżył się, ale Bardo nie zrażony jego spojrzeniem, ciągnął:

- Basile mógł zabić twoją żonę i wrzucić ciało do bagna jeszcze tego samego dnia, gdy ją porwał. Równie dobrze może być już martwa, ale...

- Ale co?

- Do diabła, Pinkie, pomyśl o tym. Pomieszkują sobie z Basile'em razem już przez tydzień, więc może... no wiesz... może to go tak zaczęło interesować, że zapomniał o zemście. Albo mści się w inny sposób.

Pinkie patrzył na niego nieprzeniknionym, niebezpiecznie zimnym wzrokiem.

- Więc stawiasz hipotezę, że albo moja żona nie żyje, albo pieprzy się do utraty tchu z Basile'em.

- Znasz je przecież. - Bardo rozłożył w wymownym geście ramiona. - Są jak psy. Kochają cię tak długo, jak długo jł' żywisz i rozpieszczasz. Myślisz, że na darmo nazywają jł' sukami?

- Nigdy tak o tym nie myślałem.

Bardo jakby nie zauważył, że adwokat z trudem trzyma się na wodzy. Niefrasobliwie mówił dalej.

- Mam złe przeczucia. Od początku ta sprawa dobrze niłwróżyła. Jakby wszystko się przeciw nam sprzysięgło..

- Przestań kluczyć. O co ci chodzi?

Bardo włożył rękę do kieszeni i zaczął pobrzękiwać monetami.

- Wypisuję się, Pinkie.

- Aha. Pewnie.

- Słuchaj, nie mam zamiaru dać się zabić, zwłaszcza za dupę, której nigdy nie spróbuję.

Pinkie poczerwieniał, skoczył do przodu i złapał go za klapy garnituru za dwa tysiące dolarów. Remy prawdopodobnie zasługiwała na lekceważenie, ale on, do cholery, nie, Nikt nie będzie odmawiał mu usług dla własnego widzimisię. Skąd u Barda taka niesłychana bezczelność...

- Będziesz robił, co ci każę albo do uszu Littrella dotrze słówko o wyczynach pana Wayne Barda.

- Jesteś moim adwokatem. Nie możesz obrzucić mnie błotem u prokuratora okręgowego, żeby cię nie skreślili z listy adwokatów.

- Słusznie - przyznał Pinkie łagodnym głosem, którym zawsze posługiwał się w sądzie, gdy miał podważyć wiarygodność świadka. Jeden z podziwiających go dziennikarzy określał to zjawisko jako cios aksamitnego obucha... - Nie mogę zdradzić poufnych informacji, ale ktoś inny może. Znajdziesz setki osób gotowych na jedno skinienie oddać mi tę przysługę. Nie zdążyłbyś ruszyć nawet małym palcem. Byłoby po tobie, Wayne. Żadnych kociaków, tam gdzie cię wpakują. Pozbawią cię biżuterii, śliczniutkiego samochodu, pięknych ubrań. Zamkną na cztery spusty i będziesz szczęśliwy, jak się wysrasz, ogolisz i weźmiesz prysznic raz na miesiąc. - Nie dopuszczając Barda do słowa, zbliżył się do niego tak, że omal nie dźgał go nosem. - Ta nie najlepiej wróżąca sprawa, jak to określiłeś, skończy się wraz ze śmiercią Basile'a. Zrozumiałeś?

Nie powie mu jeszcze o swoich planach co do Remy. Barda nie ograniczały żadne skrupuły, gdy miał zabić kobietę, ale po co przedwcześnie rozbudzać jego apetyt.

- Na razie mam dla ciebie taką jedną drobną robotę - Duvall cofnął się i wygładził klapy

kosztownego garnituru. Tą akurat powinieneś się rozkoszować. - Poklepał pieszczotliwie Barda po policzku.

- Pinkie nie chciał wziąć ze mną ślubu w kościele. Skoro Kościół nie uznaje nas za małżeństwo, to i ja nie czuję się żoną. - I dodała szeptem: - Co, jak sądzę, potwierdza twoje oskarżenie, że jestem dziwką-

- Nie jesteś żadną dziwką. - Basile pogłaskał ją po twarzy. Leżeli cały czas ciasno do siebie przytuleni - wstał tylko na chwilę, żeby się rozebrać - a ich namiętność była zabarwiona rozpaczą. Potarła policzkiem jego nagą, nie owłosioną pierś.

- Co z nami będzie, Basile?

Uśmiechnął się, słysząc, że bezwiednie zwróciła się do niego po nazwisku. Ale pytanie przywołało go do rzeczywistości.

Westchnął.

- Nie wiem.

- Musisz mi pozwolić odejść. Ja muszę wrócić. Potrząsnął przecząco głową.

- Ale...

Uniósł głowę, żeby na nią spojrzeć.

- Nie - powtórzył i pocałował ją zaborczo.

Kiedy się wreszcie rozdzielili, zapytała go o jego małżeństwo z Barbarą - Dlaczego ze sobą zerwaliście?

- Nie umiałem jej uszczęśliwić.

- A czy ona cię uszczęśliwiała?

- Nie - odpowiedział, nagle zdając sobie sprawę, że wina za ich niezbyt udany związek nie leżała wyłącznie po jego stronie. Barbara również kroczyła własną drogą - - Żyliśmy w związku, który jakoś funkcjonował. Jak większość ludzi... tak myślę - Ale przecież nie musi tak być.

- Nie, nie musi. - Przyglądał się jej przez chwilę, badając wzrokiem rysy twarzy. - Gdybyś mogła wybierać, kim albo czym byś była?

- To znaczy, gdyby wielkoduszność Pinkie była rzeczywista? - Skinął głową, a ona odparła bez wahania: - Pracowałabym w galerii sztuki. Studiowałam starych mistrzów, sporo też wiem o sztuce współczesnej. Byłabym bardzo dobra.

- Na pewno - powiedział z przekonaniem.

Podłożyła ręce pod policzek, na jej twarzy pojawił się wyraz zadumania.

- Jak by to było, gdybyśmy się spotkali w innym czasie i miejscu, w całkiem zwyczajnych okolicznościach? Załóżmy, że ja pracuję w jednej z tych ekskluzywnych galerii na Royal Street, a ty wchodzisz i mnie zauważasz.

Od razu mogę ci powiedzieć, że nie stać mnie na to, żeby nawet postawić nogę na progu którejś z tych galerii.

- To jest gra „co by było gdyby”, Basile. Wszystko się może zdarzyć.

- No dobrze. Wchodzę i spostrzegam cię, tak? - Skinęła głową, więc mówił dalej: - Najpierw zapominałam języka w gębie, potem zbieram się na odwagę, żeby się do ciebie odezwać.

Roześmiała się.

- Wciągasz mnie w rozmowę. Dobrze. I co dalej.

- Nic. Z miejsca byś się zorientowała, że jestem kompletnym ignorantem.

- Dlaczego?

- Bo może bym poznał, że to Mona Lisa, ale na tym kończy się moja wiedza o sztuce. Z miejsca straciłabyś dla mnie zainteresowanie.

- Wątpię. - Uśmiechnęła się nieśmiało i wyznała cichutko: - Ojciec Kevin wywarł na mnie duże wrażenie.

- Ten ponury księżulo?

- No, był bardzo na serio, tak. Sporo jednak o nim myślałam.

- A co takiego?

- Same niegodziwości.

- Ojej.

- Uhm. Doszłam do wniosku, że stanowi pokusę dla wszystkich kobiet w parafii.

- Dobra, dobra.

- Ależ naprawdę - zapewniła. - Uważałam, że jest zbyt atrakcyjny jak na świętego męża.

- Nie jestem święty.

- Ale ja wtedy nie wiedziałam o tym. Myślałam też, że jest niewiarygodnie seksowny.

- Rzeczywiście?

- Tak. A zważ, że to było, zanim zobaczyłam piegi na jego ramionach. Śmiał się z radości, że mu okazuje uwagę, że z nim flirtuje.

- Wcale nie mam piegów.

- Masz - odparła, śmiejąc się razem z nim.

Spędzili następne godziny na pocałunkach i pieszczotach, na wzajemnym odkrywaniu swoich ciał z tą przepojoną rozkoszą ciekawością, zarezerwowaną dla świeżych kochanków, zachwycających się każdym odkryciem.

Dali się ponieść wyobraźni: oto spotkali się w innym czasie i miejscu, wolno im śmiać się radośnie i przekomarzać, bo sprawia im to przyjemność. Droczyli się bez umiaru, ale zapadała też na długie chwile cisza, gdy jedno tylko patrzyło na drugie.

- Jesteś taka piękna - powiedział w pewnym momencie. - Nie do wiary, że mogę być z tobą.

- Lubię twoją twarz - wyszeptała w odpowiedzi. - Jest taka uczciwa, tylko...

- Tylko?

- Masz takie mroczne oczy, Basile. - Zajrzała w nie. - Co tam chcesz okryć ciemnością?

- Moje grzechy i wady.

- Nie może ich być aż tak wiele.

- Sama się zdziwisz. A może właśnie się nie zdziwisz - roześmiał się cicho.

- Tu widać twój uśmiech - obwiodła jego wargi koniuszkiem palca - a w oczach nie. Dlaczego tak jest? Dlaczego nie jesteś szczęśliwy?

Trochę go zmartwiło, że tak łatwo w nim czyta, a jednocześnie zrobiło to na nim wrażenie. A więc ona chce go poznać głębiej. Chciał jej powiedzieć, jak wiele to dla niego znaczy. - Remy... - Spojrzał na nią i nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Pocałował ją tylko, przytulił i niechętnie przypomniał, że powinni spróbować się trochę przespać.

Odwrócił ją na bok, objął ramieniem w talii i przyciągnął do siebie, tak by jej pośladki dotykały jego brzucha. Zupełnie poważnie myślał, że zasną w tej pozycji. Ale nie trzeba było długo czekać, żeby ogarnął go pożar.

Jego napięta męskość leżała między jej udami. Sięgnął do jej piersi i gładził brodawki, aż

stwardniały. Całując jej kark, wyczuł, że jest uległa i otwarta i wszedł w nią, mamrocząc niewyraźnie jej imię, gdy przyjęło go wilgotne gorące wnętrze.

Zaczął się w niej poruszać i już się zatracił w rytmie ruchów, gdy cichy dźwięk wyrwał go z erotycznego oszołomienia.

Wycofał się i przekręcił ją na plecy. Płakała. Otarł łzy z jej policzków.

- Przepraszam, Remy. Przestanę. Już dobrze.

- Nie chcę, żebyś przestawał. Przełknął z trudem ślinę.

- To dlaczego?

- Wiesz, jak wyglądało moje życie z Pinkie - powiedziała, ujmując jego twarz w dłonie. - Wiesz, dlaczego zabrał mnie jak swoją własność, co ze mnie zrobił i czym dla niego prze te wszystkie lata byłem..

Nie było wątpliwości, co chciała powiedzieć. Skinął posępnie głową.

- Byłam z nim na komendę - mówiła, jakby chciała się przekonać, czy zrozumiał.

- Wiem.

Wciągnęła ze szlochaniem powietrze.

- I wciąż mnie chcesz? - Czy cię chcę? - powtórzył z niedowierzaniem. - Czy cię chcę?

Nakrył ją swoim ciałem i wszedł w nią jednym płynnym ruchem. Wsunął palce w jej włosy i mówił niskim, nalegającym głosem:

- Mogę umrzeć, zanim zrobię to, co chciałem. Albo spędzić resztę życia za kratami. To nie ma znaczenia. Ale nie zniosę, ebyś do niego wróciła. Jestem gotów zaakceptować wszystko, na co sobie zasłużyłem. - Zacisnął powieki i przycisnął czoło do jej czoła. - Ale ty nie możesz wrócić do Duvalla. Nie możesz. Wszystko, wszystko, tylko nie to.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

- Pan Pinkie Duvall?

- Kto mówi?

- Doug Patout. Pańska żona się znalazła.

Roman przyniósł bezprzewodowy telefon do jadalni, gdzie Pinkie jadł śniadanie.

- Gdzie? - zapytał Duvall z ożywieniem.

- W Dredd's Mercantile. Są z nią zastępcy szeryfa. Zaraz tam jadę.

- Co z Basile'em?

- Zostawił panią Duvall i zniknął.

Adwokat wyczuł, że Patout niechętnie udzielił mu tej informacji.

- Jak ona się czuje?

- Jeśli polegać na słowach pana Michoud, dobrze. Nie może się doczekać powrotu do domu.

- Chcę, żebyście znaleźli Basile'a. Żebyście przeszukali każdą piędź Luizjany, znaleźli go i postawili przed obliczem sprawiedliwości.

- Szczerze wątpię, żeby pan szukał sprawiedliwości powiedział Patout z wysoce denerwującym spokojem. - Nigdy nie uważał pan tego za porwanie, inaczej zmusiłby pan samego szefa FBI, żeby szukał pańskiej żony. Ale mogę zadzwonić do federalnych, żeby ją przesłuchali, skoro pan tak nalega.

Pinkie tak ścisnął słuchawkę, że kostki palców mu pobielwały.

Sygnet z diamentem uwierał go boleśnie w mały palec. Bał się rozmawiać z Patoutem swobodnie i wiedział, że tamten jest tego świadomy.

- Mogę być szczery? - Nie czekając na zezwolenie, Patout mówił dalej: - Wszystko wskazuje na to, że to sprawa rodzinna. Jej rozwiązanie nie leży w gestii władz. To sprawa wyłącznik pana i pańskiej żony. I być może Basile'a. Sugerowałbym, żeby państwo załatwili to między sobą.

Kiedy o tym później myślał, Pinkie nie bardzo wiedział, jak zdołał się opanować, dokonał tego jednak jakimś nadludzkim wysiłkiem. Jego reakcja na świętoszkowate, obłudne uwagi Patouta dowiodła ponad wszelką wątpliwość, jak wspaniale potrafi trzymać nerwy na wodzy.

- Dziękuję za rady, panie Patout, ale nie potrzebuję od pana pouczeń, jak postępować z żoną. Chciałby pan uważać sprawę za zamkniętą? Zawiązać teczusię na kokardkę i uznać sprawę za zamkniętą i skończoną? Bo przez cały ten czas chronił pan swojego kumpla Basile'a i teraz panu ulżyło, że cała rzecz rozlezie się po kościach?

Nękaną obsesją, że ma telefony na podsłuchu, Pinkie rozmawiał z Patoutem oficjalnie i ostrożnie. Nie zdradzi mu swoich planów; wystarczy, że już mu raz wspomniał, być może nieroztropnie, o zamiarze unieszkodliwienia byłego oficera Wydziału Narkotyków. Nie ma sensu tego bez przerwy powtarzać. Nie może natomiast pozwolić, żeby Patout myślał, iż jego niechęć i odmowa współpracy

nie zostały zauważone.

- Może się pan pożegnać ze swoimi ambicjami na najwyższy fotel w nowo orleańskiej policji, PatouL Począwszy od tej minuty wrogowie zaczną pana zasypywać oskarżeniami. Ma pan to jak w banku.

Trzeba było przyznać Patoutowi, że nie stracił zimnej krwi. - Poleciałem przygotować policyjny helikopter, żeby zawiózł mnie do Jefferson. Osobiście odwiozę panią Duvall do domu.

Bezprzewodowy telefon zamilkł w dłoni adwokata. Roman podszedł i zapytał niepewnie:

- Czy pani Duvall wraca dzisiaj do domu, proszę pana?

- Tak, Romanie.

- Chwała Bogu.

- Ehm... Tak. - Pograżony w myślach Pinkie gwałtownie zabębnił palcami w nakryty obrusem stół. Po chwili spojrzął na kamerdynera i uśmiechnął się. - Myślę, że w taki dzień aż się prosi o huczne przyjęcie, nie uważasz?

- Czyżby pan zapomniał, że dzisiaj ostatki, proszę pana? Ostatni dzień na przyjęcie, przynajmniej na jakiś czas.

- Nie, Romanie, nie zapomniałem. Po prostu byłem bardzo zajęty. Mam szczerzy zamiar wydać dzisiaj bal. Tu, u nas. Dzisiejszego wieczoru. Dopilnujesz przygotowań?

- Wszystko przygotowane, proszę pana.

Kamerdynier wyszedł pośpiesznie podzielić się radosną wiadomością z resztą służby. Pinkie, waląc palcem w cyfry, wystukał numer telefonu komórkowego Barda.

- Remy się znalazła.

- Gdzie?

- Potem przekażę ci szczegóły. Patout ją eskortuje.

- Basile?

- Sprawa w zawieszeniu.

- Co chcesz, żebym zrobił?

- To, co omawialiśmy wczoraj w nocy.

- Mimo że pani Duvall wraca do domu?

Pinkie wpatrzył się w puste krzesło, na którym zwykle zasiadała Remy.

- Zwłaszcza dlatego, że pani Duvall wraca do domu.

Siostra Beatrice wyduła wargi z dezaprobatą*

- To wbrew wszelkim zasadom regulaminu.

- Może i wbrew, ale właśnie tego życzy sobie pan Duvall.

Arogancka odpowiedź Barda miała jej uświadomić, że nie robi na nim wrażenia ani jej habit, ani świątobliwe otoczenie. Jeszcze jeden awanturujący się babsztyl, ot co. Obejdzie ją albo usunie z drogi, ale nie przeszkodzi mu ta baba w wykonaniu tego, za co Duvall płaci.

- Zamierzam zatelefonować do pana Duvalla i porozmawiać z nim osobiście.

- Jasne. Niech siostra dzwoni. - podsunął zakonnicy jej własny aparat telefoniczny i demonstrując całkowity brak szacunku, usiadł bez zaproszenia na krzesło naprzeciwko biurka, opierając nogę w kostce na kolanie drugiej nogi. Pogwizdywał nieskładnie przez zęby, kiedy wybierała numer do rezydencji adwokata.

- Chciałabym rozmawiać z panem Duvallem. Mówi siostra Beatrice z Błogosławionego Serca. Proszę powiedzieć, że to bardzo ważne.

Bardo słuchał z uśmiechem słów zakonnicy, która upewniała się, czy opiekun Flarry rzeczywiście po nią kogoś posłał.

- Czy pani Duvall również to aprobuje? - zapytała, a po chwili powiedziała cicho: - Ach tak. Cóż, dobrze, panie Duvall. Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale na pewno pan rozumie moją troskę o bezpieczeństwo Flarry - mówiąc to spojrzała na Barda, który dla odmiany obdarzył ją czarującym uśmiechem.

- Wszystko gra? - zapytał, kiedy odwiesiła słuchawkę.

- Tak, wszystko w porządku - powiedziała lodowatym tonem i wyszła zza biurka, szeleszcząc habitem. Paciorki różańca uderzały jeden o drugi, gdy szła do drzwi. - Powiem Flarze, żeby się spakowała. Za chwilę do pana dołączy.

„Za chwilę” trwało dwadzieścia minut. Stopniowo otoczenie, w jakim się znalazł, zaczęło działać Bardowi na nerwy. Kiedy przemierzał w tę i w tę w tę gabinet siostry przełożonej, ukrzyżowany krwawiący Chrystus na obrazie wodził za nim pełnymi uczucia oczami. Aniołowie i święci, wyłaniający się z różowawych chmur, patrzyli potępiająco z połączonych ram. Przysięgłby, że ustawiona w kącie rzeźba jakiegoś świętego wojownika uniosła na niego w pewnym momencie karzący miecz. Tyle tych religijnych idiotyzmów, że każdemu by się zrobiło nieswojo.

Kiedy drzwi gabinetu wreszcie się otworzyły, przypominał kłębek nerwów. Odwrócił się gwałtownie i wykrzyknął:

- Boże święty!

Na dźwięk łagodnego bluźnierstwa siostra jak-jej-tam wydeła usta z jeszcze większą dezaprobatą, ale Bardo nie mógł się powstrzymać, chociaż Pinkie uprzedził go przecież, że może się spodziewać nie tylko sowitej zapłaty; wypełnienie akurat tego zadania powinno mu sprawić wiele przyjemności.

Przyjemności? Mało powiedziane. Zrobi to z cholerną rozkoszą. Przemknęły mu przez głowę rozliczne możliwości zażycia zdeprawowanych uciech z niewinną siostrą Remy.

Policzki miała zarumienione z podekscytowania. Podeszła do niego z wyciągniętą ręką.

- Dzień dobry, panie Bardo. Miło mi.

- Mnie również, panno Lambeth. - Chyba pierwszy raz w życiu uścisnął dłoń kobiecie, ale z przyjemnością skorzystał z okazji, żeby dotknąć tego niewiarygodnego stworzenia.

- Czy to prawda, co powiedziała siostra Beatrice? Naprawdę będę się mogła bawić na przyjęciu ostatekowym?

- Najszczęsza prawda. Pan Duvall doszedł do wniosku, że już dostatecznie długo siedziałaś tu w zamknięciu. Bez obrazy, siostró - rzucił przez ramię. - Twój szwagier życzy sobie, żebyś się pokazała dzisiaj wieczoru. Powiedział, że to ma być bal na twoją cześć. Wchodzisz w towarzystwo.

- I Remy się zgodziła?

- Taa... Też chce, żebyś wystąpiła dzisiaj wieczoru. Osobiście wybierała kostium dla ciebie. Flarra przyłożyła rękę do piersi, do sterczących zawadiacko cycuszków i zaszczebotała trzpiotowato:

- Pozwolili mi! Pozwolili! Nie mogę w to uwierzyć! Bardo podniósł walizkę i podał jej ramię.

- Uwierz, uwierz, skarbie.

Pinkie czekał na nich przy frontowych drzwiach. Otworzył je, zanim Patout zdążył zadzwonić. Wciąż jeszcze istniał cień szansy, że zmieni plany, które właściwie zaczęto już realizować, i że on i

Remy będą dalej żyć, jakby nic się nie zdarzyło.

Ale nadzieja zgasła, ledwie spojrzał jej w oczy. Uśmiechnęła się wprawdzie - choć niezbyt promiennie - i rzucała mu się w ramiona, wypowiadając drżącym głosem jego imię, ale on i tak od razu wiedział, że Basile ją miał.

Równie dobrze ten sukinsyn mógł pozarażać jego bezcenne orchidee albo nasikać do butelki Chateau Lafite Rothschild. Zbeczczył Remy. Olśniewająca dziewczyna, którą wychował na kochankę doskonałą - stracona.

- Bogu dzięki, moje kochanie, że wróciłaś. - Odsunął ją od siebie, skrywając wstęt. - Kiedy pomyślę o tym, co przeżyłaś... - przerwał, udając, że nie może mówić ze wzruszenia. - Czy zrobił ci jakąś krzywdę?

Wysłuchał opowiadania o postrzale śrutem, kiedy uciekali z Crossroads.

- Rany się już prawie zabiły. Czuję się bardzo zmęczona...

- Basile nie...

Potrząsnęła głową kłamliwie.

- Chciał się z tobą porachować, Pinkie. To wszystko. Nie traktował mnie źle.

- Pani Duvall nie chciała ze mną rozmawiać w podróży o swoich przeżyciach. - Patout, który do tej pory stał z boku, nie chcąc im przeszkadzać w spotkaniu, zrobił krok do przodu. - Teraz jednak chciałbym poznać jej wersję wydarzeń i zadać kilka pytań, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

- Mam - powiedział adwokat niegrzecznie. - Jeszcze dzisiaj pouczał mnie pan, że to prywatna sprawa. Uznałem, że ma pan rację* - Zatrzasnął drzwi tuż przed nosem Patouta.

- Pan Patout obawia się, że planujesz zemstę na Basile'u - mówiła Remy, gdy prowadził ją na górę. - To nieprawda, co, Pinkie?

Uśmiechnął się leciutko i poklepał ją delikatnie po ramieniu.

Roman przyniósł na górę tacę z jedzeniem, ale niczego nie ruszyła. Kiedy zostali sami, Pinkie zaczął ją wypytywać o szczegóły związane z porwaniem.

- Chciałbym zobaczyć ten domek wędkarski, gdzie cię trzymał. Jesteś w stanie mnie tam zaprowadzić?

- Obawiam się, że nie. Całe bagno wygląda dla mnie tak samo.

- Dlaczego cię wypuścił?

- Nie wiem - odparła stłumionym głosem. - Obudził mnie dzisiaj o świcie i powiedział, że mnie uwolni. A cały czas powtarzał, że jestem przynętą, na którą ty masz się złapać, i nie obchodzi go, jak to długo potrwa. Nie wyjaśnił mi, dlaczego tak nagle zmienił plany, wspominał coś tylko o policjancie, którego wczoraj wieczorem zabito. I o Dredzie. Mówił, że nie chce, żeby Dreddowi czy Patoutowi, czy któremuś z jego dawnych kolegów coś się stało przez niego. Mówił, że czas to odwołać, zanim ktoś jeszcze ucierpi albo zostanie zabity.

- O tym powinien pomyśleć przedtem. Teraz już za późno.

- Co to znaczy?

- Nieważne. Próbowalaś mu uciec?

- Oczywiście! - wykrzyknęła i opowiedziała o tym, jak się o mało nie utopiła. - Zakuwał mnie potem w kajdanki. - Podniosła na niego te swoje piękne, wyraziste oczy, położyła rękę na jego ramieniu i ścisnęła je mocno. - Ale jestem już bezpieczna przy tobie i tylko to się liczy. Patrzę na to jak na koszmarny sen, o którym szybko zapomnimy. - Objęła go za szyję* - Pinkie, proszę, posłuchaj Patouta. Nie przedłużaj w nieskończoność tej wojny z Basile'em. To bez sensu. Chciał tylko tobą

wstrząsnąć, a skoro mu się udało, nigdy więcej o nim nie usłyszymy ani go nie zobaczymy. Skoro Basile zrezygnował, to my też chyba możemy, co? Zapomnijmy o tym.

Przerwał te prośby o życie kochanka mocnym pocałunkiem, ale szybko go przerwał. Była wyraźnie zdumiona. Ta dziwka naprawdę wyobrażała sobie, że weźmie ją po tym wszystkim do łóżka? Najchętniej roześmiałby się jej głośno prosto w twarz, ale po co ją przedwcześnie wprawiać w osłupienie; czeka ją jeszcze wiele niespodzianek.

- Prześpij się trochę - powiedział, poklepując Remy po policzku. - Chciałbym, żebyś wspaniale dzisiaj w nocy wyglądała.

- Dzisiaj w nocy?

- Na balu.

- Na balu?

- Remy, czy to od Basile'a przejęłaś ten irytujący zwyczaj powtarzania dopiero co usłyszanych słów?

- Przepraszam. Ale jaki bal?

- Ostatkowy. Zapomniałaś, że to tłusty wtorek? Jutro będziemy żałować za grzechy, ale dzisiaj jeszcze możemy sobie pobłażać. Naprawdę zamierzam...

- Nie mogę wziąć dzisiaj udziału w balu.

- Kolejne denerwujące przyzwyczajenie, którego nabyłaś - powiedział robiąc niezadowoloną minę. - Wpadanie mi w słowo.

W obawie, aby mu nie przerwać, odezwała się dopiero po chwili. Głos jej drżał z lekka.

- To tylko ze zdumienia, że mam pełnić rolę gospodyni pierwszej nocy po powrocie do domu.

- To właśnie świetny sposób, żeby uczcić twój powrót.

- Wolalabym świętować go we dwoje.

- Jakie to urocze, moja droga! Ale nie mogę z tego powodu odwołać zabawy. Rozczarowałbym zbyt wiele ludzi. - Uszczypnął ją w policzek. - Także Flarrę. Zaprosiłem ją do wzięcia udziału w uroczystościach.

Krew odpłynęła jej z twarzy. Przełknęła konwulsyjnie ślinę, jakby powstrzymywała mdłości.

- Naprawdę? - zapytała z łatwo wyczuwalnym fałszywym zdziwieniem.

- Przemyślałem argumenty, którymi szermowałaś podczas naszej ostatniej dyskusji na jej temat.

Są nie do odparcia. Czas przerwać jej to leniuchowanie w szkole. A poza tym... to już rzeczywiście nie dziecko, lecz piękna, młoda kobieta.

- Myślałam się, Pinkie. To ty miałaś rację. Zawsze masz rację w takich sprawach. Pinkie zrobił zasepioną minę.

- Trochę za późno zmieniłaś zdanie, Remy. Nie mogę rozczarować Flarry, skoro ją zaprosiłem. Sama byś tego przecież nie chciała. To by było okrutne. Teraz zdrzemnij się - powiedział wstając. - Może to ci trochę ożywi cerę. Wybacz, że ci to mówię, ale niezbyt dobrze wyglądasz. Pewnie jesteś strudzona.

- Wyobrażam sobie, jak muszę wyglądać. Włosy i paznokcie mam w opłakanym stanie. Każę je sobie zrobić przed dzisiejszym wieczorem.

- Sama sobie z tym poradzisz, jak się prześpisz i wypoczniesz. - Ruszył ku drzwiom. - Och, byłbym zapomniiał. Kazałem zabrać telefon, żeby ci nikt nie przeszkadzał.

Spojrzała na nocny stolik i z uczuciem szczerzej przyjemności zobaczył na jej twarzy wyraz przestachu.

- Chciałabym zadzwonić do Flarry. Nie rozmawiałam z nią już ponad tydzień, na pewno się zastanawia dlaczego.

- Nie musisz się martwić. Opowiedziałem jej niewinne kłamstwo o twoim zarażonym paciorkowcem gardle. Już wie, że wyzdrowiałaś i nie możesz się doczekać spotkania z nic) dzisiejszego wieczoru.

- Ale ja muszę z nią pomówić.

- Wystarczy, jak z nią pomówisz wieczorem. Pouczyłem służbę, że mają ci zapewnić absolutny spokój. Tylko ja mam do ciebie dostęp dzisiejszego dnia. - Przesłał jej całusa i demonstracyjnie wsadził klucz do zamka od strony korytarza, zanim zamknął za sobą drzwi.

Remy podbiegła do drzwi i obiema rękami schwyciła gałki klamki. Poruszała nią w górę i w dół, potem na boki, ale ani drgnęła. Osłabła z wrażenia i osunęła się po drzwiach na podłogę*

Wracając do Pinkie, kierowała się na pozór paradoksalnym założeniem: musi to zrobić, żeby móc od niego naprawdę uciec. Wiedziała, że przyjdzie jej użyć wszystkich aktorskich umiejętności, by go przekonać, jakim wyczerpującym przeżyciem było porwanie i jak bardzo pragnie zapomnieć o tym przykrym epizodzie, wrócić znowu do dawnego trybu życia. Była gotowa ciągnąć tę grę, aż zyska pewność, że Pinkie nie dosięgnie Flarry; była gotowa posunąć się nawet do tego - Boże odpuść - by dzielić z nim łóżko, choć to przed Basile'em przemilczała.

Pinkie nie zaciągnął jej natychmiast do łóżka, co było tak niezwykle, że alarmujące. Mógł być tylko jeden powód jego powściągliwości: podejrzewał, że kochała się z Basile'em. A jeśli tak, jej życiu, jak również życiu Basile'a i Flarry, zagrażało niebezpieczeństwo.

Odgadł od razu, gdy ją pocałował, a może nawet wcześniej, że wróciła do domu zmieniona. Musiał się natychmiast zorientować, że ma do czynienia z inną osobą*. Jeśli w sekundę potrafił zauważyć, że jedna z jego orchidei kwitnie nie tak, jak powinna; jeśli mógł wyczuć, że wino podaje mu się o stopień za ciepłe lub za zimne - to jak miał nie wyczuć tej ogromnej przemiany, która zaszła w niej na bagnach, gdzie pokochała Burke Basile'a, i co ważniejsze, siebie samą*

Czy będzie żyła sto lat, czy umrze dzisiaj, powinna być wdzięczna, że zostały jej dane te dni odosobnienia w egzotycznie pięknym, pierwotnym miejscu. Zmusiło ją to do krytycznego przyjrzenia się samej sobie i przyznania, że była tym, czym ją nazwał Basile - dziwką. Prostytuowała się ze szlachetnego powodu - chciała chronić siostrę*. I wszystko zostało w rezultacie poświęcone: jej duma, poczucie własnej wartości, jej dusza. Zaprzedała się całkowicie i co dobrego z tego wynikło dla Flarry? Dla kogokolwiek?

Pogardzała panią Pinkie Duvall, bierną i lękliwą, której jedyną bronią były kobiece sztuczki i manipulacje. Za to rósł w niej szacunek dla Remy Lambeth, która miała własne zdanie, była silna i odważna, umiała walczyć o przeżycie, kochać mężczyznę, nie tracąc godności i pozostając uczciwą*

Basile! Musi go zaalarmować, że ich plan spalił na panewce.

Ale żeby spróbować zadzwonić, najpierw musi się wydostać z tego pokoju.

Któryś z facetów matki nauczył ją, jak otwierać standardowe zamki. Ale technologia produkcji zamków do drzwi poszła naprzód, jak wszystko inne, a Pinkie zawsze chciał mieć to, co najlepsze. Kiedy odnawiano kilka lat temu dom, uczynił z ich sypialni twierdzę, miejsce, w którym można się zamknąć, nawet gdyby nieproszeni goście złamali system alarmowy. W drzwiach na korytarz zainstalowano zamek szyfrowy. Nie można go było otworzyć, jeśli nie znało się właściwej sekwencji cyfr. Otwierał się, oczywiście, i od wewnątrz, ale intensywne poszukiwania, które przeprowadziła

Remy (także w garderobie Pinkie), nie dały rezultatu. W przypiływie rozpaczy użyła nożyczek do manikiuru, pilniczka do paznokci i szpilki do włosów, ale tak jak się spodziewała, zamek był zbyt skomplikowany dla amatorki i tego typu narzędzi.

Pomyślała więc o oknach. Odsłoniła zasłony i żaluzje, by ku swemu rozczerowaniu zobaczyć, że zewnętrzne okiennice są zamknięte. Coś takiego zdarzyło się tylko raz, dawno temu, kiedy zapowiedziano nadciągający huraganowy wiatr. Tera też zabezpieczono okna sztabami i światło dzienne przedzierało się przez nie z trudem.

Zresztą nie miało to znaczenia. Zamki w oknach były zwyczajne, ale system alarmowy nie. Nawet gdyby otworzyła okna, przerywany brzęczyk alarmu postawiłby na nogi całą służbę i zaczęto by sprawdzać, gdzie został przerwany obwód. Ktoś oczywiście zawiadomiłby Pinkie.

Porzuciła myśl o ucieczce przez okno i zaczęła przemierzać pokój. Musi znaleźć inną drogę wyjścia. Przez kanały wentylacyjne? Odsunęła kratkę wlotu powietrza. Za wąskie.

Do góry, przez wylot kominka? Raczej nie da rady. Nie jest dymem, żeby się przesączyć przez szparę pod drzwiami albo przeniknąć przez ściany.

Dym!

Dom został wyposażony nie tylko w antywłamaniowy system alarmowy, ale również w czujniki dymu i ciepła, podłączone do systemu monitorującego przedsiębiorstwa ochroniarskiego i brygady lokalnej straży pożarnej. Gdy alarm się włączał, wysyłano wozy strażackie. Sygnał był traktowany absolutnie poważnie - nie dopuszczano możliwości fałszywego alarmu. Żaden z wozów strażackich pod żadnym pozorem nie opuszczał domu, dopóki nie sprawdzono każdego czujnika.

Detektor dymu zamontowano nad drzwiami prowadzącymi do jej garderoby. Wyciągnęła szuflady z nocnego stolika i przeciągnęła go pod drzwi. Zapaliła świecę zapachową, zrzuciła z nóg pantofle i weszła na stolik. Wyciągnęła ramię i udało się jej unieść świecę o parę cali od detektora.

- Nic z tego nie będzie, Remy.

Zaskoczona upuściła świecę, która natychmiast wypaliła dziurę w dywanie. Pinkie podszedł do świecy, rozgniół ją obcasem, a potem spojrział w górę z naganą i zarazem rozbawieniem w oczach.

- Minę masz raczej głupią, Remy, ale muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem twojej pomysłowości. Objawiłaś więcej rozumu przez ostatnie pół godziny niż przez te wszystkie lata, odkąd cię poznałem.

Wyciągnął rycersko ramię, żeby pomóc jej zejść. Zaśmiał się, kiedy zlekceważyła jego gest i sama zeszła na podłogę*

- Nie przeoczyłbym czegoś tak elementarnego jak alarm przeciwpożarowy, moje kociątko, chociaż przyznaję, jestem przyjemnie zaskoczony, że okazałaś się na tyle sprytna, aby na to wpaść.

- Zawsze miałam więcej inteligencji, niż byłbyś skłonny to przyznać, Pinkie.

- W każdym razie wystarczyło tej inteligencji na ukrycie ciąży i poronienia, co? Zdumiona? Doktor Caruth nadzwyczaj pośpiesznie wszystko wyśpiewała, kiedy jej pokazałem parę kompromitujących fotografii: ona i jej kochanka, nota bene pielęgniarka, którą zatrudnia. Jestem wyrozumiały wobec seksualnych preferencji innych ludzi. Myślę jednak, że te pacjentki, które przedkładają doktor Caruth nad jej męskich kolegów, mogłyby doznać szoku, poznawszy szczegóły jej prywatnego życia. Nawet jeśli się czegoś domyślały, nie będą zachwycone, gdy zostanie to potwierdzone publicznie, bo zmusi je to, rzecz jasna, do bojkotu lekarki. Zaraz, o czym to myśmy mówili? Aha, o twoim ilorazie inteligencji. Obdarzanie inteligencją takich kobiet jak ty jest zwykłym marnotrawstwem, Remy. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że i Basile się z tym zgadza. Bardzo wątpię,

czy konwersował z tobą na jakiś poważny temat, zanim cię przerznął. Bo pieprzył się z tobą, prawda, Remy?

- Kochał się ze mną - odpowiedziała, rzucając mu wyzwanie. - Pierwszy raz w życiu kochałam się z mężczyzną*

Uderzył ją grzbietem dłoni w twarz. Cios był tak silny że zatoczyła się, ból ją oślepił. Kolana się pod nią ugięły i osunęła się na podłogę*

- Jesteś zwykłym kurwiszonem, Remy. Zawsze byłaś i będziesz, bo jesteś córką dziwki. Może ci się wydawać, że spędziłaś niezwykle romantyczne chwile z Basile'em, tylko ty i on w dzikiej głuszy, w przytulnej chałupce. Nie okłamuj samej siebie. Basile jest mężczyzną, a każdy mężczyzna natychmiast się zorientuje, kim jesteś. Pieprzył cię tylko dlatego, że chciał osiągnąć mnie. I w ten sposób dochodzimy do właściwego pytania: gdzie on jest?

- Nie wiem.

Kopnął ją w nerki. Omal nie zemdląca z bólu, ale przewyciężając mdłości, starała się za wszelką cenę zachować przytomność.

- Gdzie on jest?

- Wysadził mnie u Dredda i odjechał.

- Łodzią czy samochodem?

- Łodzią. - Łzy zabłyśły w jej oczach, gdy przypomniała sobie ostatnie chwile, które ze sobą spędzili, oboje pełni żalu, że nie ma innego sposobu na rozwiązanie ich problemu. - Nie chciałam, żeby mnie zostawiał, ale

Pinkie przerwał jej pogardliwym parsknięciem.

- Ale było tak, jak ci powiedziałem, Remy. Dostał od ciebie to, co chciał, a ciebie, ty głupie biedactwo, zostawił ze złamanym sercem.

Popatrzyła na niego płonąącym wzrokiem.

- Nie możesz mnie tu trzymać w zamknięciu w nieskończoność, Pinkie. Wcześniej czy później, w taki czy inny sposób wydam się.

- Remy, zanim ta noc się skończy, będzie ci wszystko jedno, czy wyjdiesz z tego pokoju. Będzie ci wszystko jedno, co się z tobą stanie.

- To znaczy, co zamierzasz? Bić mnie, dopóki sama nie będę wiedziała, czy już umarłam, czy jeszcze żyję? - Uniosła dumnie głowę. - Możesz spróbować, Pinkie. Ale sam się zdziwisz, jaka się zrobiłam wytrzymała. Nie jesteś w stanie mnie zranić. Nie jestem taka, jak powiedziałaś, wiem to. Tracisz czas, próbując mnie obrazić. Uodporniłam się.

- Miłość cię tak uskrzydliła? - zakpił.

- Tak.

- Coś podobnego! Niezwykle odważna przemowa, Remy. Zobaczymy, co zostanie z tej odwagi, gdy usłyszysz, że ktoś, kogo nienawidzisz, plugawi właśnie kogoś, kto jest ci nadzwyczaj drogi.

Pierś jej o mało nie pękła od wzbierającego w niej szlochu. - Nie waż się jej dotknąć.

- Zgadłaś od razu. Uroczą Flarra. - Pocałował koniuszki palców. - Właśnie rozkwitająca, taka chętna poznać życie.

Remy zacisnęła dłonie na stoliku nocnym i wstała. Skoczyła Duvallowi do oczu z pazurami. Powalił ją ciosem pięści na łóżko.

- Temperament aż kipi w tej dziewczynie, prawda? - rzekł z satysfakcją, jakby rozmawiał o koniu wyścigowym. - I wcale lego nie skrywa. Aż skry od niej leca. Potrafiłaby nawet lepiej od ciebie

zadowolić mężczyznę. Jakież to podniecające posiąść ją po raz pierwszy.

Remy ześliznęła się z łóżka. Przyczołgała się do niego na kolanach i objęła ramionami jego uda.

- Proszę, Pinkie - błagała ochryłym głosem - nie krzywdź jej. Błagam cię. Zrobię wszystko, co chcesz. Wszystko. - Czepiając się jego ubrania, podciągnęła się do góry i stanęła na nogi. Pocałowała go i zaczęła pieścić przez spodnie. - Zrób ze mną, co chcesz, ale jej nie krzywdź.

Wykręcał głowę, unikając jej pocałunków.

- Przestań, Remy - powiedział, odsuwając jej ręce.

- Błagam cię, Pinkie, błagam - szlochała - nie dotykaj jej.

- Wcale nie mam zamiaru, kochanie. Czyżbyś powzięła błędne mniemanie, że zamierzam zastąpić cię w łóżku Flarrą? Nic podobnego. - Pogładził ją po policzku. - Dałem ją w prezencie Bardowi.

Drzwi się za nim zamknęły, a ona stała jeszcze przez chwilę jak wryta, chwiejąc się lekko, ogłuszona jego słowami.

Bardo. Z Flarrą.

Zgięta w pasie przycisnęła ręce do brzucha. Zdusiła przenikliwy okrzyk, który wrywał jej się z ust, przygryzając dolną wargę. Potem podziękowała szeptem Panu Bogu za to, że dał jej szansę na odwrócenie biegu wydarzeń.

Rozgięła palce i popatrzyła na leżący w jej dłoni klucz, który wyciągnęła z kieszeni męża, udając, że błaga go o litość.

Rozdział czterdziesty

- o co chodzi? Dlaczego nie jedziemy prosto do domu Remy?

Naiwność dziewczyny była równie podniecająca, jak wyobrażanie sobie, że zdejmuje z niej mundurek szkolny. Kusząca, pachnąca słodko Flarra... Za moment będzie przeżywał najprzyjemniejsze chwile w swoim życiu. Na razie postara się nic oblizywać w oczekiwaniu na to, co ma się zdarzyć.

- W domu panuje rozgardiasz - wyjaśnił jej. - Dekorują go na przyjęcie. Roi się od robotników jak od pszczoł w ulu. Dlatego twoja siostra prosiła, żebym cię przywiózł tutaj. Będziesz się mogła ubrać w spokój.

- To bardzo dziwne jak na Remy. Przecież nie widziałyśmy się dłużej niż tydzień. Może powinnam do niej zadzwonić?

Wyczuwał jej wahanie, gdy ją prowadził do motelowego pokoju, w którym się przedtem zameldował. Początkowo myślał o wynajęciu pokoju w dobrym hotelu, ale zrezygnował. Po co wyrzucać pieniądze na zbędne luksusy jak obsługa czy pachnące mydło, skoro i tak przebieg popołudnia jest przesadzony.

Poza tym, jeśli dziewczyna podniesie wrzawę, zignorują ją raczej tutaj, gdzie nikt nie zadaje pytań, nawet gdyby człowiek się zameldował jako Myszka Miki, dopóki płaci gotówką, z góry.

Westchnął i w nadziei, że rozwieje jej obawy, przynajmniej dopóki nie dotrą do pokoju, powiedział:

- Miałem ci nie mówić, ale nie dajesz mi wyboru.

- O czym?

- Planują dla ciebie niespodziankę. Coś naprawdę ekstra.

Dlatego poprosili, żebym cię trzymał z dala od domu, dopóki wszystkiego nie przyszykują.

- Naprawdę? - zapiszczała, obdarzając go tysiącwatowym uśmiechem. - Ciekawe, co to takiego?

- Wiem, ale przysiągłem dotrzymać sekretu.

- Proszę mi chociaż coś podpowiedzieć. Proszę, panie Bardo...

- Za nic. Oboje, i szef, i pani Duvall, obdarliby mnie ze skóry, gdybym się wygadał. I tak już za dużo ci powiedziałem. Obiecuj mi, że będziesz udawała zaskoczenie.

- Obiecuję*

Otworzył drzwi kluczem i wprowadził ją do środka. Pudło z jej kostiumem trzymał pod pachą. Pinkie nie przeoczył najdrobniejszego szczegółu. Ledwo wsiedli do samochodu, Flarra uniosła wierzch pudła i zajrzała do środka, ale nie odrzuciła tekturowej pokrywy i nie zaczęła rozgrzebywać wyściełającej wnętrza bibułki. Kiedy zapytał, na co czeka, odparła, że delektuje się oczekiwaniem. Teraz jednak wyrwała mu pudełko i położyła je na łóżku.

- Dłużej nie mogę wytrzymać.

Rzuciła tekturowe wieko na bok i rozchyliła pastelowe bibułki. Usłyszał entuzjastyczne „ach!”, gdy zobaczyła migocący przejrzysty materiał wyszywany cekinami i ozdobiony kolorowymi kryształami. Podparła nawet brodę złożonymi dłońmi, jak mała dziewczynka odmawiająca modlitwę dziękczynną przed kolacją.

- Taki piękny, że aż boję się dotknąć. Co to jest?

- Wyjmij i sama zobacz.

Wyjęła z pudełka dwie części kostiumu i uniosła je ostrożnie, jakby trzymała święte relikwie, chociaż przebranie nie przywodziło na myśl niczego świętego. Staniczek składał się z dwóch nabijanych świecidełkami stożków połączonych sznureczkami w kolorze ciała. Dolną część kostiumu stanowiły haremowe spodnie i błyszczące od cekinów bikini. Nogawki spodni były przezroczyste, zebrane w kostce sznurkiem świecących kamyczków. W pudle znajdowała się także okrągła sztywna czapeczka z przejrzystą zasłoną na twarz i para skórzanych złocistych pantofelków z dzwoneczkami na czubkach.

Jej oczy rozszerzył zachwyty przemieszany z niepokojem.

- To na pewno dla mnie? Może zabrał pan nie to pudełko.

- Nie podoba ci się?

- Ależ tak, bardzo. Wspaniały - i dodała wzdychając: - Tylko że strasznie skąpy.

- Tak uważasz? Może go przymierzysz. Jeśli ci nie będzie odpowiadał, zdążymy to jeszcze wymienić na coś innego. - Zmierzył ją krytycznie wzrokiem, marszcząc brwi. - Może i masz rację. Rzeczywiście troszeczkę ryzykowny jak na dziewczynę w twoim wieku.

Jego wybieg zdziałał oczywiście cuda. Zadarła nos do góry, złapała kostium i zniknęła w łazience, zamykając za sobą szczelnie drzwi i dla pewności przekręcając klucz. Bardo roześmiał się ciCho. Cholernie łatwo przejrzeć baby; człowiek nie musi nawet być specjalnie przenikliwy, żeby mieć z nich niezłą zabawę. Stare, młode, ładne, brzydkie, kościste, tłuste, białe, czarne czy tam o jakiej chcesz skórze - obrażone, nawet w najlżejszym stopniu, zawsze starały ci się udowodnić, że nie miałeś racji. Choćby ta Flarra. Pewnie nie może się doczekać, kiedy wyjdzie i udowodni mu, jaka jest dorosła, odważna i wyrafinowana.

Zaciągnął zasłony w oknach, sprawdził, czy założył łańcuch w drzwiach. Usiadł na brzegu łóżka i teraz on rozkoszował się oczekiwaniem.

Minęło pełne dziesięć minut, a ona nie wychodziła i Bardo zaczął się niecierpliwić.

- Flarra? Mam ci pomóc? Wszystko w porządku?

- Nie. To znaczy nie potrzebuję pomocy. Owszem, wszystko w porządku.

- Kostium na ciebie pasuje?

- Uhum.

- No to pokaż się.

Jeszcze moment wahania i drzwi łazienki się otworzyły.

Bardo zamarł w oczekiwaniu, ale nawet on, który widział w swoim życiu tyle kobiet, nie był przygotowany na widok zjawiska ze snów, które przeszło przez drzwi w pantofelkach cichutko podzwaniających przy każdym kroku. Zasłona skrywająca nos i usta podkreślała czarującą skromność malującą się w jej oczach. Małe miseczki stanika ledwie zakrywały piersi.

- Boję się, że Remy nie zdawała sobie sprawy, jakie to skąpe - powiedziała, przykładając z zażenowaniem ręce do odsłoniętego brzucha. - Myśli pan, że tak ma być?

Jeden cekin mniej i byłoby widać włoski na łonie, pomyślał.

- Dokładnie tak. - Język niemal przysechł mu do podniebienia. - Wyglądasz wspaniale.

- Poważnie?

W stał i podszedł do niej.

- Poważnie. Prawdę mówiąc wyglądasz tak, że można by cię zjeść.

Jego uśmiech najwyraźniej nie wzbudził jej zaufania, bo roześmiała się nerwowo i cofnęła o krok.

- Dziękuję. Ubiorę się z powrotem w moje rzeczy. To włożę, aż przyjdzie czas na przyjęcie. - Odwróciła się ku drzwiom łazienki.

Złapał ją za ramię*

- Już czas, słoneczko. To jest nasze przyjęcie.

Zerwał jej czapkę z zasłoną i przycisnął usta do jej rozchylonych z przestachu warg. Wepchnął jej język w usta, otoczył ramieniem obnażoną talię i przycisnął podbrzusze do jej brzucha. Zaczęła z nim walczyć, ale to tylko wzmogło jego podniecenie. Uderzyła go nawet w twarz, więc przycisnął ją mocniej i jał się z nią zmagać, aż w końcu wykręcił jej rękę do tyłu.

- Co pan wyrabia! Niech pan przestanie! - krzyknęła. - To boli!

Pochylił głowę i ugryzł ją w pierś przez stanik. Krzyknęła.

- Zamknij się. - Scisnął boleśnie jej szczękę między dwoma palcami. - Spróbuj jeszcze raz, a postaram się, żeby cię naprawdę zabolalo. Zrozumiałaś?

Rozplakała się. Na widok łez zawsze się podniecał. Uwielbiał, kiedy płakały, wszystko jedno czy ze strachu, czy z bólu.

- Jeśli mnie pan skrzywdzi, Pinkie pana zabije. Roześmiał się*

- Ależ oczywiście, koteczku.

- O co panu chodzi?

- A jak myślisz, kociątko? - zapytał, wkładając jej dłoń między nogi i zaciskając ją* Wstrząsnęła się z odrazy. Jeśli o niego chodzi, działało to równie dobrze jak dreszcz rozkoszy. - Oo... ni wiedzą, że jestem z panem - zająknęła się* - Będą mnie szukać.

- Jeszcze nie załapałaś, malutka? Twój szwagier zaaranżował to nasze przyjęcie. - Kłamię pan. Pinkie by nigdy...

- Ależ tak. Jemu zawdzięczasz całą tę przyjemną zabawę ze mną.

- Moja siostra...

- Ma własne problemy. Nie będzie się miała kiedy o ciebie martwić.

Chyba powoli zaczęła rozumieć, w jakiej sytuacji się znalazła. Łzy popłynęły obficie. Bardzo zlizal je z policzków.

- Odpręż się, skarbie. Rób tylko, co ci każę, a kto wie, może zostaniesz taką samą dobrą dziwką jak twoja mama? Tak, wiem wszystko o Angel. Zostałaś do tego zrodzona. Masz wspaniałe zadatki na fantastyczną dziwkę.

- Proszę przestać - wyszlochała, usiłując wywinąć się z jego uścisku.

Wyjął nóż sprężynowy z kieszeni spodni. Otworzył się z przerażającym kliknięciem. Znowu krzyknęła. Przyłożył koniuszek ostrza do jej dolnej wargi.

- Co użyte, to zużyte, znasz taką grę? Jeden więcej krzyk i zaczynamy. Kapujesz? To by zresztą było fatalne, bo mam zupełnie inne pomysły na wykorzystanie twoich usteczek.

Wsunął ostrze pod ramiączko staniczka i przeciął je. Nie podtrzymywana miseczka opadła, odsłaniając pierś. Jęknęła, wargi zaczęły jej drżeć niepowsztrzymanie, ale nie krzyknęła. Przeciął w

ten sam brutalny sposób drugie ramięczko.

- No, co my tutaj mamy - powiedział, jakby gaworzył z dzieckiem. Przycisnął ostrze do brodawki. Popukał w nią lekko i otoczka stwardniała.

- Co za wstyd. Co za wstyd - zakpił. - Taka porządna katolicka uczenniczka. Co by na to powiedziała siostra-jak-jej-tam?

Drzwi za plecami Barda otworzyły się z trzaskiem.

- Rzuć nóż i puść dziewczynę!

Burke Basile stał w rozkroku, w wyciągniętych rękach trzymał beretkę. Kiedy później o niej myślał, nie pamiętał dokładnie, co się zdarzyło w następnym ułamku sekundy. W uszy wdarł mu się przenikliwy kobiecy krzyk. Wystrzelił do Barda, ale łajdak miał szczęście - akurat się pochylił. Kula minęła jego głowę i rozorała tapetę w obrzydliwy kwiatowy wzorek. Burke nie wystrzelił po raz drugi w obawie, że zrani dziewczynę.

- Jesteś aresztowany, Bardo! - krzyknął.

- A ty cholernie zabawny, Basile - wrzasnął Bardo w odpowiedzi i rzucił w niego nożem.

- Hej, dupku! - powiedział strzelec wyborowy, który zmateriałizował się za Basile'em.

Bardo osłupiał na sekundę, a potem kula zrobiła mu dziurkę między oczami. Upadł bez jednego jęku. Rękojeść jego noża, który o włos minął Basile'a, wciąż wibrowała w futrynie.

Wokół zaroilo się od oficerów operacyjnych, wbiegających do pokoju. Burke podszedł do dziewczyny patrzącej ze zgrozą na krwawą masę, w którą zmieniła się głowa Barda, zdjął płaszcz i okrył nim jej ramiona.

- Dobrze się czujesz?

Popatrzyła na niego z osłupieniem, tak jak przedtem patrzyła na zwłoki. Musiał powtórzyć pytanie. Wreszcie skinęła niepewnie głową.

Jeden z mężczyzn odłączył się od reszty. - Najlepiej zabierz ją stąd, Basile.

- Dzięki. - Wymienili uścisk rąk. - Twój człowiek wykonał kawał dobrej roboty. Od chwili gdy go zaczął śledzić do tej - Burke wskazał ciało Barda.

Oficer zaszalutował mu nonszalancko.

Basile wziął dziewczynę za rękę i pociągnął ją do wyjścia.

Kiedy doszli do zatłoczonego służbowymi samochodami parkingu, wepchnął ją na siedzenie pasażera nie oznakowanego auta, obiegł maskę i zasiadł za kierownicą. Koła zapiszczały, gdy wymijali karetkę pogotowia.

Przejechali może pół przecznicy, gdy dziewczyna zaklęła:

- Jasna cholera, co to tak długo trwało! Co za odrażający sukinyś! I jak on śmiał mi powiedzieć, że mam zadatki na fantastyczną dziwkę!

Rozwścieczona Isobel, najzdolniejsza dziewczyna Ruby Bouchereaux, ściągnęła z głowy kruczowłosą perukę.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Isobel była inteligentna, miała żyłkę ryzykantki i zupełnie nie wyglądała na swój wiek. U Ruby Bouchereaux specjalizowała się w odgrywaniu postaci ucieleśniających fantazje klientów, o ile oczywiście mogli sobie pozwolić na opłacenie jej usług. Burke nie mógłby znaleźć nikogo lepszego, kto by się wcielił w Flarrę Lambeth i pomógł mu zrealizować jego plan.

Dziewczyna została, naturalnie, sownie wynagrodzona. Burke wręczył jej opiewający na pokaźną sumę czek i rozstał się z nią przed drzwiami gabinetu Ruby. Właściwie nie miał czasu, ale byłoby niegrzecznie odmówić wypicia drinka w towarzystwie madame, skoro tak wiele zrobiła, żeby Bardo wpadł w pułapkę.

- Tak więc wszystko przebiegało zgodnie z planem? - zapytała Ruby, podając szklaneczkę.

- Idealnie. - Wychylił drinka. - Podśluchiwałem rozmowę w biurze siostry Beatrice. Nawet ja miałem złudzenie, że mówi niewinna uczennica.

- Była nią - dawno temu - powiedziała Ruby i roześmiała się cichutko. - Cieszę się, że podstęp się udał. Dobrze pan zna swoich wrogów, panie Basile.

Wpatrzył się w szklaneczkę, kiedy Ruby nalewała mu następną porcję alkoholu.

- Remy była absolutnie pewna, że Pinkie będzie chciał jej dosięgnąć, mszcząc się na siostrze, chociaż oczywiście nie polegaliśmy tylko na jej zdaniu. Cały czas śledziliśmy Barda. Jego poranna rozmowa z Duvallem została podsłuchana, dobrze więc wiedzieliśmy, że pojedzie po Flarrę, i co ma jej zamiar zrobić.

- Ten człowiek zasługiwał na śmierć.

- Zgadzam się z panią w pełni - powiedział Burke ponuro. - Przyjechałem z Isobel do Błogosławionego Serca na jakieś pół godziny przed nim. Kiedy wyszła z Bardem ze szkoły, śledziliśmy ich aż do motelu. Nie czekałem zbyt długo z wkroczeniem do akcji, chociaż Isobel natarła mi uszu, że za długo.

- Gdzie jest w tej chwili Flarra?

- Pod opieką policjantów... Nieskorumpowanych policjantów - podkreślił.

- A więc Bardo nie żyje...

- Z całą pewnością - odparł Burke spokojnie i dokończył drugiego drinka.

- Wielka szkoda, że mi pan nie przyniósł kawałka jego ucha czy innej części ciała. Zostawiłabym sobie na pamiątkę. - Uniosła szklaneczkę w kierunku Basile'a i wypita łyk. - Dziękuję, że zgodziła się pani wysłać z nami Isobel. Po raz kolejny jestem pani dłużnikiem.

- Nonsens. Śmierć Barda całkowicie wyrównuje nasze rachunki. Tak na marginesie, powinnam panu podziękować za przysługę. Za przysłanie do mnie Dixie. Zdaje się, że przyniesie niezły dochód przedsiębiorstwu.

- Miałem nadzieję, że dojdzie z nią pani do porozumienia - uśmiechnął się Burke. - Szkoda że

zwlekała z przyjściem, dopóki Bardo jej nie pobił.

- Szybko przychodzi do zdrowia. - Zachęciła go gestem do wypicia jeszcze jednej szklaneczki, ale potrząsnął przecząco głową. - Zasłużył pan sobie na moją wdzięczność, panie Basile, niech pan również korzysta z gościnności mojego domu, ilekroć przyjdzie panu ochota.

- Dziękuję, ale nie sądzę, żebym kiedyś skorzystał z kredytu. Madame niemal zamruczała z zadowolenia.

- Pan i pani Duvall?

- Remy - sprostował.

Dzisiaj rano przeżył jedną z najtrudniejszych chwil w życiu. W nocy kochali się i rozmawiali długo, przytuleni do siebie, oceniając sytuację, która wydawała im się beznadziejna.

Wraz ze świtem przyszło nie nastrojające optymistycznie przekonanie, że Remy na jakiś czas musi wrócić do Duvalla. Ona z dużo większym spokojem zaakceptowała ten plan niż Burke, który przysięgał, że nie pozwoli, by Remy kiedykolwiek przestąpiła próg domu Duvalla. „Nie pozwolę, żebyś do niego wróciła. Nawet na jedno popołudnie. Na godzinę”. Ale już mówiąc to, wiedział, że nie ma innego wyjścia. „Nie cieszę się z tego, ale dam sobie radę”, powiedziała. „Może nie mogłabym sobie dać rady tydzień temu albo nie chciała dać. Ale teraz wiem, że mogę i chcę. Pilnuj Flarry i proszę, bardzo cię proszę, uważaj na siebie”.

Siedzieli przytuleni, aż Dredd przyszedł ich ostrzec, że najwyższy czas zacząć realizować plan i że jeśli się natychmiast nie ruszą, wszystko spali na panewce. Zostawił ją więc pod jego opieką do czasu przybycia Patouta.

Burke uważał prokuratora okręgowego Littrella za uczciwego w gruncie rzeczy człowieka, gotowego wykorzystać wszelkie szanse, aby rozwiać powszechnie panującą opinię, że policja nowo orleańska jest jedną z najbardziej skorumpowanych instytucji w kraju.

Littrell natomiast nie miał wysokiego mniemania o poruczniku Burke Basile'u, zwłaszcza że złą opinię o nim podtrzymywały krążące pogłoski, złośliwe plotki i dziennikarze. Kiedy więc Basil wtargnął, nie zapowiedziany, do jego gabinetu, w pierwszej chwili był zdziwiony i gotów kazać wyprowadzić go z budynku.

Pośpiesznie wypowiedane przez Burke słowa szybko jednak przykuły jego uwagę. Słuchał ze wzrastającą konsternacją relacji policjanta. Mimo to z charakterystyczną dla polityków ostrożnością obiecał tylko, że zajmie się bliżej sprawą i da znać o wynikach dochodzenia.

Wtedy Burke chwycił stojący na biurku prokuratora okręgowego telefon i zaczął nim potrząsać niczym egzorcysta Biblią.

- Albo zadzwoni pan do prokuratora generalnego, albo ja to zrobię. Nie robi mi to żadnej różnicy, panie Littrell. Właściwie to kurtuazyjna wizyta. Chciałem dać panu szansę, żeby pan pokazał, po której jest pan stronie.

Littrell zatelefonował do prokuratora generalnego. Z jego błogosławieństwem sprawy zaczęły się toczyć z szybkością przyprawiającą o zawrót głowy. Właśnie dzięki tej szybkości, doskonałej koordynacji i szczęściu dopadli Barda.

Burke wstał i uściśnął dłoń Ruby Bouchereaux.

- Dziękuję za drinki i proszę wybaczyć pośpiech, ale chciałbym być obecny przyaresztowaniu Duvalla.

- Dzisiejszego wieczoru? Och, szczerze wątpię, panie Basile, żeby to się wydarzyło akurat dzisiaj.

- Dlaczego?

- Przecież są ostatki.

- A więc?

- A więc jedyne wieści, jakie wyjdą z domu Duvalla, będą dotyczyć balu kostiumowego, który wydaje. Prawdę mówiąc, wpadło już do nas kilku dżentelmenów, którzy przyszli wprost z przyjęcia u Duvalla. Z tego, co mówią, właśnie zaczyna się rozkręcać i zanoszą się na wspaniałą zabawę.

Burke wpatrywał się w nią i powoli zaczynało do niego docierać, co może wyniknąć z sytuacji, którą zarysowała. Sprawdził pager. Działał, nie było komunikatu o konieczności naładowania baterii. Remy nie zadzwoniła, czyli coś musiało pójść nie tak. Spytał, czy może skorzystać z telefonu.

- Mówi Basile - powiedział natychmiast, gdy podniesiono słuchawkę. - Czy mamy już Duvalla?

Odsyłano go do trzech kolejnych osób, aż wreszcie trafił na kogoś, kto odważył się przekazać mu wiadomość, która zniweczyła jego nadzieje.

- Aresztowanie tak znanego w mieście człowieka, jak Duvall, to delikatne przedsięwzięcie, zwłaszcza jeśli ma być przeprowadzone dyskretnie. Wiąże się z tym kupa biurokracji. Jeśli ma dojść do procesu, musimy się ściśle trzymać procedury.

Może to potrwać kilka dni... - Dni! - wykrzyknął Burke. - Kompletnie wam odbiło?

- Robimy, co do nas należy, panie Basile. Wymyślanie... - Chodzi o życie człowieka, idioci! - Może udałoby się nam to przeprowadzić dzisiaj wieczorem, ale...

- Albo dzisiaj wydacie i dostarczycie nakaz aresztowania, albo postaram się, żeby Littrell i prokurator generalny dobrali się wam do dupy i w dodatku osobiście pofatyguję się wypruć wam flaki! - Z trzaskiem odłożył słuchawkę - Muszę się tam natychmiast dostać.

Dni! Remy nie może czekać, aż biurokraci uporządkują swoje papierki! Wiadomość o śmierci Barda natychmiast zaalarmuje Duvalla. Na razie myśli, że Bardo jest w hotelu i pozbawia dziewictwa Flarrę. Kiedy się dowie prawdy, zacznie kombinować i w końcu połączy to z Remy.

- Panie Basile! - Ruby Bouchereaux złapała go za rękaw, gdy mijał ją nieomal w pędzie. - Od razu będzie się rzucać w oczy, że jest pan nieproszonym gościem, jeśli pojawi się pan u Duvalla w tym stroju. Pozwoli pan, że wypożyczę panu kostium?

Burke nie miał ani chwili do stracenia, ale uznał propozycję za rozsądną. Poczekaj, aż Ruby znajdzie mu jakieś przebranie. Przemierzał niecierpliwymi krokami jej biuro, przeklinając system, który zawiódł go raz jeszcze, i błogosławiąc go zarazem.

Zwłoka dawała mu szansę na coś lepszego niż aresztowanie Duvalla. Zabije drania.

Promieniujący na plecach przenikliwy ból stępszał nieco. Na policzku Remy zaczął się rozlewać siniak, ale opuchlizna była minimalna. To akurat mogła znieść. Nie mogła natomiast ścierpieć nawet myśli o Flarze wykorzystywanej przez Barda.

Burke przysięgał, że przede wszystkim zatroszczy się o bezpieczeństwo Flarry, jeszcze zanim aresztuje Pinkie. Na pewno, o ile może, dotrzyma obietnicy. Ale jeśli mu się nie powiodło? Ona, Remy, zawiodła. Pinkie bez trudu zorientował się w jej grze. Może Burke nie miał więcej szczęścia niż ona. Może nie przekonał prokuratora okręgowego ani generalnego, że trzeba działać szybko.

Dopóki nie ma innych wiadomości, musi założyć, że Burke się nie udało, a to znaczy, że uratowanie Flarry zależy wyłącznie od niej samej. Telefon. Niczego więcej jej nie potrzeba. Sprostowała pierwszemu zadaniu - znalazła sposób wydostania się z sypialni, miała klucz. Teraz musi znaleźć telefon.

Posłużyła się kluczem, gdy tylko nabrała pewności, że może to zrobić. Zamek otworzył się z ledwie dosłyszalnym trzaskiem. Zamarła, nasłuchując, ale nie usłyszała nic poza własnym walącym w piersi sercem, uchyliła więc drzwi.

Korytarz był pusty. Spojrzała na stolik na podeście, gdzie zwykle stał aparat telefoniczny, ale jej mąż nie przeoczył, oczywiście, i tego szczegółu.

Poszła skradając się korytarzem, ale zanim dotarła do podestu przystanąła, żeby się zastanowić, co się stanie, jeśli natknie się na kogoś ze służby. Na pewno okażą jemu, a nie jej lojalność, zwłaszcza że wszystkich ich kiedyś uchronił od długoletnich wyroków, jeśli nie od celi śmierci. Nikt nie spełni żadnej jej prośby, nie zapytawszy przedtem o pozwolenie pana domu.

Errol? A jeśli spotka jego? Czy uda się jej go przekonać albo zwieść, żeby jej pomógł? Nie był zbyt inteligentny. Może da radę tak nim pokierować, że pomoże się jej wykraść? Nie zapomniała, jaki los spotkał poprzedniego ochroniarza, za to że dał jej uciec do Galveston. Myśl o okpieniu Errola nie była zbyt pociągająca, ale robi to, skoro musi, a potem się o niego zatroszczy.

Zebrała się na odwagę i stanęła u szczytu schodów.

Zmartwiała. U ich stóp stał na straży mężczyzna, nie był to jednak Errol.

Umknęła, zanim zdążył ją zauważyć. Gdzie jest Errol? Dlaczego ktoś inny go zastąpił? I nagle pojęła. W Crossroads zawiódł w wypełnianiu swoich obowiązków. Zapłacił za to życiem?

W tej chwili jednak miała inny problem. Dałoby się skłonić pochlebstwem nowego ochroniarza, by jej pomógł, czy okaże się niewzruszenie lojalny wobec Pinkie? Uznała, że to drugie. Dopiero zaczął pracować. Na pewno aż się palił, żeby wyrzucić jak najlepsze wrażenie na szefie.

Miała nad nimi tylko jedną przewagę: nie wiedzieli, że może się wydostać z sypialni. Ale jak długo jeszcze będzie się tym cieszyć? Kiedy Pinkie odkryje, że nie ma klucza w kieszeni? Musi do tego czasu coś wymyślić. Usiłując zwalczyć ogarniające ją poczucie przegranej, wycofała się na palcach do sypialni i zamknęła drzwi na klucz.

Ile czasu Burke potrzebuje, żeby otworzyć tę puszkę Pandory, która zniszczy Duvalla? Ile czasu minie, zanim go aresztują? I co się stanie z Haną do tej pory?

Gdyby chociaż wiedziała, że Flarra jest bezpieczna... Nie

jest. Gryzła się tym, gdy nagle usłyszała czyjeś kroki. Szybko ułożyła się na łóżku, podciągając kolana pod brodę - Zapatrzyła się bezmyślnie w przestrzeń, jakby straciła wszelką nadzieję. Pinkie wpadł do pokoju i zatrzymał się zaskoczony; kiedy zobaczył ją leżącą jak w letargu. Zauważył, że nie ma klucza? Spodziewał się, że uciekła? Chyba tak, bo na jej widok zniknęła pionowa zmarszczka na jego czole i uśmiech rozjaśnił mu twarz, podszedł do łóżka i spojrzał na nią - Zgadnij, z kim rozmawiałem? - Remy nie odpowiedziała, nie poruszyła się nawet, jakby go nie słyszała, mówił więc dalej tym samym uprzejmym tonem: - Z siostrą Beatrice. Telefonowała ze szkoły, że Bardo przyjechał po Flarrę zabrać ją do nas na bal ostatkowy. Pewnie do tego czasu wprowadził już twoją ukochaną siostrę w tajniki rozkoszy. A do rana... kto wie? Bardo czasami nie jest w stanie zapanować nad namiętnością.

Podciągnęła mocniej kolana do piersi i schowała twarz w poduszce. Pinkie, śmiejąc się cicho, poszedł do swojej garderoby i zamknął za sobą drzwi na klucz. Po dwudziestu minutach wyszedł w stroju Henryka VIII.

- Nie wyglądasz na osobę w nastroju do zabawy. Przepraszę w twoim imieniu gości. - Przystanął w drzwiach. - Zapomniałem ci powiedzieć, że złapanie twojego kochanka to tylko kwestia czasu. Złapanie, bo przykazałem, żeby go nie zabijali. Umrze w twojej obecności, ale najpierw będzie się

przyglądał, jak cię pieprzy personel policji na moich usługach, czyli cała armia mężczyzn i kobiet. Zaręczam ci. Znosi się na wspaniały wieczór.

Najwyraźniej rozum mu odebrało. Stracił poczucie rzeczywistości i uznał, że jest nietykalny, że nic ani nikt nie może mu przeszkodzić - typowa reakcja człowieka z zawyżonym poczuciem własnej wartości, upajającego się władzą na własną zgubę. Remy nie miała zamiaru ani mu tego uzmysławiać, ani rozwiewać niedorzecznych wyobrażeń, ani ostrzegać go przed upadkiem jego imperium. Udawała, że jest całkowicie odrętwiała i że wcale do niej nie dotarły przerażające wizje, jakie roztoczył na temat przyszłości Basile'a i jej samej.

Ledwie usłyszała obracający się w zamku klucz, zsunęła się z łóżka. Pinkie, całkiem niechętny, podsunął jej pewien pomysł.

Klown Bozo przeciskał się przez tłum rozbawionych gości. Podziękował za szampana kelnerowi w masce, w kowbojskich butach i kapeluszu, w skórzanych osłonach na nogi. Na jednym z obnażonych pośladków widniało wytatuowane czerwone serce.

Nikt nie dorównywał Pinkie Duvallowi w organizowaniu przyjęć. Jedzenia i alkoholi starczyłoby, aby zaopatrzyć okręt wypływający na oceany w zamorską podróż. Specjalnie udekorowane na tę okazję ściany domu rozbrzmiewały wesołością, muzyką, śmiechem. Kobiety i mężczyźni w maskach gorączkowo starali się czerpać jak najwięcej uciech z zabawy, która miała się skończyć z wybiciem północy i nadejściem Środy Popielcowej.

Bozo dostrzegł wreszcie króla Henryka VIII, flirtującego z rusalką, której koniuszki piersi okryte były złocistymi blaszkami. Podeszedł bliżej, akurat na czas, by usłyszeć:

- ... pokołysać ogonkiem.

Rusalka żartobliwie pacnęła wysadzaną kamieniami różdżką jego wyciągającą się rękę i odpłynęła w tłum.

- Wspaniałe przyjęcie, Wasza Królewska Mość - powiedział Bozo.

- Dziękuję - odparł Duvall z roztargnieniem, patrząc za rusalką.

- O ile wiem, Wasza Królewska Mość szuka Burke Basile'a. Król natychmiast skoncentrował wzrok na klownie. Spojrzał mu w oczy, usiłując go rozpoznać poprzez makijaż. - Jezu... - wysyczał. - Co...

- Nie tutaj. Chyba że chcesz sceny na oczach wszystkich.

Duvallowi poczerwieniała twarz pod piórami, którymi był przybrany aksamitny берет. Ruchem głowy pokazał klownowi, żeby siedł za nim. Weszli do gabinetu i klown zamknął drzwi. - O co chodzi? - zapytał adwokat, idąc w stronę biurka.

Bozo wystrzelił z pistoletu, celując w nerki Duvalla. Adwokat zachwiał się. - Druga kula utkwiała dokładnie między łopatkami. Pinkie opadł na biurko.

Doug Patout naciągnął pośpiesznie rękawiczkę z cienkiego plastiku na bawełnianą, tę od kostiumu klowna. Podeszedł w groteskowo dużych czerwonych butach do Duvalla, który leżał z ramionami wyciągniętymi na biurku. W otwartych oczach adwokata zastygł wyraz zdziwienia, jakie musiał poczuć, umierając tak nieoczekiwanie i niechlubnie, zabity strzałem w plecy jak pierwszy lepszy głupiec.

Patout otworzył boczną szufladę biurka. Na plastikowej tacy leżała obok spinaczy, długopisów i karneciku znaczków pocztowych trzydziestka ósemka z krótką lufą.

- Broń bez klasy dla faceta bez klasy - wyszeptał Duvallowi do ucha.

Wyjął rewolwer z szuflady i włożył w dłoń adwokata, zaciskając na nim palce, jakby tamten przed śmiercią szykował się do strzału. Odszedł kilka kroków i rozejrzał się dokoła. Niczego nie przeoczył? Jest coś, co by go zdradziło? Duvall miał tabuny wrogów, każdy z nich mógł przyjść na bal w przebraniu, ściągnąć go do gabinetu i zastrzelić, gdy podczas kłótni, która się między nimi wywiązała, adwokat sięgnął po broń.

Minęło może piętnaście sekund, od kiedy weszli do gabinetu.

Słaby odgłos oddanych przez tłumik strzałów z pewnością nie dotarł do niczyich uszu w hałaśliwie rozbawionym tłumie. Nikt też nie będzie pamiętał przebrania ostatniego gościa, z którym rozmawiał Duvall, a nawet gdyby - nigdy nie zidentyfikują mężczyzny w kostiumie klowna.

Patout zdjął rękawiczkę z plastiku, usatysfakcjonowany, że nie przeoczył żadnego szczegółu, który by go zdradził, wepchnął ją do kieszeni i ruszył do drzwi.

Nagle przystanął. Zdał sobie sprawę, że coś jednak przeoczył: z Duvalla nie wypłynęła ani kropla krwi.

Bozo odwrócił się gwałtownie, kropki na tafcie kostiumu zafalowały, gdy Duvall wystrzelił z trzydziestki ósemki.

Splaszczona kula utkwiała w podbrzuszu Patouta. Upadł na podłogę, przytrzymując rękami brzuch.

- Zawsze z czystym sumieniem polecam kamizelki kuloodporne - adwokat podchodził do policjanta, uważając, żeby nie zabrudzić krwią czarnych aksamitnych pantofli. - W końcu nigdy nie wiadomo, czy jakiś tchórzliwy zdrajca nie strzeli człowiekowi w plecy. - Wycelował broń w głowę Patouta.

- Panie Duvall! - Ktoś zapukał energicznie do drzwi i nie czekając na odpowiedź otworzył je. - Uciekła, panie Duvall! - Co?!

- Właśnie sprawdziłem sypialnię, tak jak pan kazał. Drzwi były zamknięte na klucz, ale w środku nikogo nie ma. - Patrzyłeś na balkonie?

- Nie mogła wyjść tamtędy, proszę pana. Okna są wciąż pozamykane.

- To niemożliwe.

- Przepraszam, proszę pana, ale...

- Zejdź mi z drogi. - Pinkie odepchnął mężczyznę. Skończ z nim.

Powiewając piórem przy berecie, król Henryk VIII puścił się na poszukiwanie żony.

Doug Patout spojrział w twarz człowieka, którego nigdy przedtem nie widział, a który - był tego pewien - jest ostatnim człowiekiem, jakiego widzi w życiu.

Rozdział czterdziesty drugi

Burke w przebraniu pirata Jeana Lafitte'a trzymał się w cieniu, dopóki nie dotarł do trawnika na tyłach domu. Spojrzał na altanę, w której po raz pierwszy ujrzał Remy. Pod zarośniętą winoroślą kopułą obmacywała się jakaś para; nawet nie zauważyli, że przeszedł przez płot. Burke wziął porzucony kieliszek z resztką wina i szedł powolnym krokiem, jakby właśnie wybrał się zaczerpnąć świeżego powietrza. W pokojach tłoczyli się ludzie, Wszyscy w kostiumach i maskach. Wyłuskał z tłumu kelnera - kulturystę zażywającego steroidy, jak ocenił w przepasce zawodnika sumo. Musiał krzyczeć, żeby tamten usłyszał go poprzez wrzawę.

- Pan Duvall szuka żony. Widziałeś ją?

- Chyba jeszcze nie zeszła.

Basile wzniosł do nieba oczy osłonięte wąską czarną maseczką - SzeF się zdrowo wkurzy, jeśli ona wreszcie nie ruszy tyłka i nie zejdzie, zanim ten cały bal się skończy.

Dzięki. Poklepał umięśnione ramię kulturysty.

Pamiętał z poprzedniej wizyty rozkład domu i pilnując się, żeby nie wpaść na Duvalla lub któregoś z ochroniarzy, zaczął sobie torować łokciami drogę do głównych schodów, przy których zresztą kłębił się naj gęstszy tłum. Spodziewał się, że na piętrze nie zostanie już nikogo, ale na korytarzu stali balowicze, czekając na swoją kolejkę do łazienki.

Burke, udając, że również po to tam zabrnął, zaczął się nonszalancko przechadzać korytarzem, przyglądając się obrazom na ścianach, podziwiając meble, aż doszedł do drzwi sypialni państwa domu. Wydało mu się, że był tu w innym życiu - jako ksiądz, który przyszedł zainstalować podsłuch. To znaczy zanim naprawdę poznał Remy. Kiedy patrzył na nią z pogardą. Kiedy jej nie kochał.

Drzwi były uchylone. Popchnął je, zajrzał do środka. Pokoje były puste.

- Cholera!

- Coś nie tak?

Odwrócił się - Uśmiechała się do niego wróżka. Platynowe blond loki okalały kusząco jej twarz, prowokująca mina szła w parze z prowokująco wezbranym nad głęboko wyciętym stanikiem biustem.

- Uhm, tak. Pan Duvall posłał mnie po żonę. Nie ma jej tu, gdzie miała być.

- Co za przykrość - powiedziała wydymając wargi. - Ty zgubiłeś ją, a ja moje owce. - Wyciągnęła rękę i pogłaskała skórzaną pochwę przytroczoną do boku Burke. - Niezły miecz.

- Dziękuję.

- Widziałaś ją?

- Taki długi i sztywny.

- Widziałaś ją? - zapytał z naciskiem po raz drugi.

- O Boże! - Ręka jej opadła. - Można się z tobą ubawić, człowieku.

- Może kiedy indziej. Wywalą mnie z pracy, jeśli nie znajdę pani Duvall.

- No dobra., Widziałam ją w grupie gości schodzących na dół, kiedy czekałam w kolejce do łazienki. W każdym razie wydaje mi się, że to ona. Była ubrana jak Maria Antonina.

- Dzięki. - Burke wyminął ją i popędził na dół. Zatrzymał się na przedostatnim stopniu i omiół wzrokiem morze ludzi, próbując wyłuskać z tłumu nieszczęsną francuską królową. Nie zobaczył nikogo takiego, więc rzucił się w tłum, roztrącając niegrzecznie ludzi i zagładając do każdego zatłoczonego pokoju. Goście Duvalla bawili się, jakby oszaleli, zdecydowani wycisnąć jak najwięcej przyjemności z ostatnich minut tłustego wtorku.

Walet kier szarpał się z chichoczącą Cyganką. Pijany mim uchwycił się obiema rękami miecza Burke, a pokaźnej tuszy kobieta w todzie koniecznie chciała z nim zatańczyć.

- Zadanie wreszcie wykonane? - zagadnął go ktoś z tyłu.

Burke odwrócił się i zobaczył uśmiechającego się zapaśnika sumo. Trzymał na ramieniu tacę z drinkami. - Jak widzę, udało ci się w końcu sprowadzić ją na dół. Niedługo po rozmowie z tobą widziałem, jak tędy przechodziła.

- Jesteś pewien? Maria Antonina?

- No tak, jestem pewien. Ten sam kostium, co w zeszłym roku.

- W którą stronę poszła?

Turniura ledwie mieściła się w przejściach szklarni. Idąc w ciemnościach, Remy przygniatała boki sukni rękami. Nie miała wielkiej nadziei, że jej plan się powiedzie, wiedząc, że Pinkie porozstawiał ludzi przy każdym wejściu, bała się też na niego natknąć, toteż odetchnęła dopiero, gdy ruszyła biegiem w stronę szklarni i oddaliła się spory kawałek od domu.

O przechowywanym w głębinach szafy (wraz z białą peruką, maseczką, butami, fałszywą biżuterią, nawet muszką na policzek) kostiumie Marii Antoniny przypomniała sobie, gdy Pinkie wyszedł z garderoby w przebraniu Henryka VIII. Włożyła kostium i poczekała, aż przy łazience na piętrze zgromadzi się tłumek, co było nieuniknione przy tylu gościach w domu. Wyśliznęła się z sypialni nie zauważona i dołączyła do grupy pań schodzących na dół.

Nowy ochroniarz, pochłonięty pełną dwuznaczną aluzją konwersacją z wróżką, nie zaszczycił Remy spojrzeniem. Prawdopodobnie widział tylko jej zdjęcie i nie uprzedzono go, że ma uważać na Marię

Antoninę.

Nie było sensu próbować rozmawiać przez którykolwiek telefon z domu. We wszystkich pokojach tłoczyli się pijani goście. Nawet gdyby udało się jej wykręcić 911, musiałaby krzyczeć do dyżurującego policjanta, i niewątpliwie zwróciłaby na siebie uwagę. Ale był jeszcze telefon w szklarni. Na tyłach, w małym pomieszczeniu z aparaturą kontrolną. Pinkie nie dopuszczał tam prawie nikogo. Wystarczy jej tylko jedna rozmowa. Jedna. Wystukać siedem cyfr.

Otworzyła drzwi prowadzące do pomieszczenia z aparaturą. - Witaj, Remy.

Pinkie klęczał nad czymś, co przypominało podziemny sejf, ukryty pod płytkami podłogi, o którego istnieniu nie miała pojęcia.

Zamarła. Ale tylko na ułamek sekundy. Natychmiast odwróciła się i rzuciła do ucieczki. Schwycił ją za nadgarstek, wykręcił jej rękę na plecy, jednocześnie podnosząc się na nogi. Potem brutalnie wypchnął ją przez otwarte drzwi do cieplarni.

Oddychał ciężko, aksamitny beret mu się przekrzywił, sztuczna broda zaczęła się odklejać pod

wpływem gorąca.

- Rozkoszna Maria Antonina - wydyszał jej do ucha.

Podobno również była dziwką. Wiedziałaś o tym, Remy? - Nie jestem dziwką. - Jałowa dyskusja, moja droga. Obawiam się, że nie mam teraz na takie czasu. Dziękuję ci, że tak to zaaranżowałaś, dogodnie dla mnie. Miałem się zabrać za ciebie, jak się tylko pozbędę pewnych papierów z tego sejfu.

Wyszarpnęłaby pewnie w końcu ramię, ale nawet nie próbowała, czując chłód pistoletu na skroni. Gdyby się poruszyła, zabiłby ją bez najmniej szych skrupułów.

- Jeden z moich najważniejszych ludzi w policji próbował kilka minut temu mnie zabić - mówił Pinkie. - Zacząłem więc podejrzewać, że chciał się pozbyć tego, kto może świadczyć o jego zdradzie. Czyli mnie. Łatwo było wydedukować, że szykują na mnie banię z gównem, żeby to ująć obrazowo.

- Nie zdajesz sobie sprawy nawet z połowy tego, co cię czeka.

- Basile?

- On, prokurator okręgowy Littrell, prokurator generalny.

- Twój kochanek to pracowity chłoptaş.

- Nic ci nie pomoże, że mnie zabijesz.

- Nie. Ale Basile nie weźmie łupu.

Trzy doniczki tuż koło Pinkie eksplodowały, wokół rozprysły się grudki ziemi, części korzeni, fragmenty medalowych orchidei.

- Następną kula dla ciebie, Duvall. Rzuć broń i puść ją.

Burke wybiegł z domu i rozejrzał się po ogrodzie za domem.

Para z altany zniknęła. W ogóle nikogo nie było w zasięgu wzroku. Czy kelner pomylił się, udzielając informacji, że Remy tędy właśnie wyszła, czy chciał go zwieść? Czy to było ukartowane?

Rozejrzał się po ogrodzie jeszcze raz i wtedy dostrzegł szklarnię, o której Remy tyle razy wspominała. Omijając wyłożoną płytkami ścieżkę, poszedł do budowli przez trawnik.

Wieczór był dość chłodny i ściany szklarni zaparowały.

Zdawał sobie sprawę, że to nierozsądne: wtargnąć do środka, nie mając najmniejszego pojęcia, na co się można natknąć. Otworzył drzwi i wbiegł do wnętrza. Zrazu nic nie widział, ale usłyszał pełen przerażenia okrzyk Remy. W sekundę potem Duvall wypchnął ją przez drzwi jakiegoś małego pomieszczenia.

Basile'owi nawet przez głowę nie przemknęło, żeby wzywać pomocy i czekać na wsparcie. Nie liczył na pomoc systemu ścigania - zbyt wiele razy przedtem go zawiódł.

Nawet gdyby do szklarni wtargnęła brygada antyterrorystyczna i aresztowano by tego drania, ściśle przestrzegając procedury, Duvall postarałby się zapewnić sobie pomoc adwokata równie pozbawionego skrupułów jak on sam. Z pewnością zgromadzono by przeciwko niemu stos dowodów, a zmęczeniu długotrwałym więzieniem świadkowie w rodzaju Rolanda Sachela zgodziliby się świadczyć przeciwko niemu w zamian za obietnicę złagodzenia wyroku. Ale tylko od kompetencji prokuratora, postawy sędziego i składu ławy przysięgłych zależałoby to, czy przypadkiem nie wyjdzie z sali sądowej wolny, jak to się zdarzyło z Bardem.

Nawet gdyby został mimo wszystko skazany i zamknięty w więzieniu, dalej terroryzowałby Remy i Flarrę. Nieważne, czy z okratowanej celi, czy ze swojego ekskluzywnego biura - z obu tych miejsc równie łatwo przysłoby mu wydać polecenie: zabić.

Już tylko z tych powodów dobrze byłoby poradzić sobie z Duvalliem samemu. Ale istniał znacznie poważniejszy. Tej nocy, gdy Burke poprzysiągł zemstę za śmierć Keva Stuarta, nie przysięgał, że dopilnuje, aby sprawiedliwości stało się zadość. Tylko że sam ją wymierzy.

Przykucnął więc, tak że znalazł się na poziomie naj niżej położonych metalowych stelaży, i szedł w kucki, aż osiągnął najlepszy według niego punkt obserwacyjny. Wtedy wystrzelił trzy razy w doniczki, ale nie chodziło mu o oddanie strzałów ostrzegawczych; nie chciał przestrzegać praw ustanowionych przez człowieka, nie chciał przyznać Duvallowi prawa do obrony. Przeciwnie, ze wszystkich sił pragnął go zabić. Ale musiał zyskać czas, aby obronić Remy.

Duvall oczywiście doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Roześmiał się w odpowiedzi na jego dramatyczne ostrzeżenie.

- Nie żałuj sobie i strzelaj, Basile. Ona umrze pierwsza.

- Nie licz na to, że mnie powstrzymasz.

- Ja nie liczę. Ja wiem, że myśl o tym powstrzymuje cię od naciśnięcia spustu. A może wolisz, żeby się powtórzyła sytuacja ze Stuartem?

Fala bezbrzeżnej wściekłości zamgliła oczy Basile'a. Zaciśnięte na pistolecie palce pobieleły. Niczego nie pragnął bardziej, jak dopaść tego sukinsyna, który odarł Remy z poczucia godności własnej, pozbawił nadziei na niezależne życie, zakuł w kajdany strachu i beznadziejności.

- Skończyłeś się, Basile. Padło ci na głowę.

- Zamknij się!

- Nie mam nic przeciwko zabijaniu dziwek - powiedział Duvall swobodnym tonem. - Zasługują na to. Ale ty nie masz zamiaru brać sobie kolejnego bałaganu na sumienie, co, Basile? Więc odłóż grzecznie pistolet, a wtedy ją puszczę.

- Nie! - krzyknęła Remy. - Rób, co uważasz za słuszne!

- Jeśli przez ciebie coś się jej stanie, palniesz sobie w łeb, mam rację, Basile? Nie będziesz mógł żyć ze świadomością, że twój kolejny błąd ją zabił, jak pierwszy zabił Stuarta.

- Powiedziałem ci, żebyś się zamknął! - Pot ściekał po czole Burke, wpadał piekącymi kroplami w oczy, zaburzał ostrość widzenia. Z trudem zaciskał na pistolecie spocone dłonie.

Źrenice Duvalla się zwężyły, palce zacisnęły mocniej na rewolwerze. Burke był pewny, że człowiek tak całkowicie pozbawiony sumienia jak Pinkie Duvall wykorzysta sytuację. Skoro znalazł słabe miejsce przeciwnika, będzie w nim drążył, dolewał oliwy do ognia aż do skutku.

- Stuart zapaskudził sobie spodnie, kiedy go zastrzeliłeś. Wiedziałeś o tym? Mnie powiedział Bardo.

- Zamknij się! - wykrzyknął Burke; głos mu się łamał.

- Twierdził, że Stuart umarł, śmierdząc jak skunks. Ostrzegam cię, Duvall.

- Bardo mówił, że smród był naprawdę odrażający.

- Zamknij się, zamknij! - W głosie Burke pojawiła się błagalna nuta.

- Czujesz się dumny, Basile, że przez ciebie przyjaciel umierał w ten sposób?

- Przestań!

- Miał całkiem miłą żonę. Widziałem ją na procesie. Zrobiłeś z niej wdowę. A teraz zobaczysz,

jak umiera Remy.

- Nie! - Burke upuścił pistolet i podniósł ręce do uszu.

Zatoczył się na metalowy słupek podtrzymujący półki z orchideami i zaszlochał.

- Wiedziałem, że jesteś bez jaj. Stuart zginął, bo...

Urwał w pół słowa. Wywrócił oczami, jakby chciał zobaczyć otwór po kuli między nimi. Drugi wykwitł tuż nad pierwszym i Duvall padł na podłogę.

Basile podniósł się z przysiadu, podbiegł i przestąpił trupa.

Spojrzał w martwe oczy adwokata.

- Kev umarł, bo ja nie pułuję. Właśnie to przeoczyłeś, półgłówku.

Remy wreszcie się poruszyła. Objął ją - Flarra jest bezpieczna - powiedział. - Bardo nie zdążył...

- Nawet jej nie dotknął.

Oślabła z ulgi. Przez chwilę stali przytuleni do siebie, potem Burke skierował ją ku drzwiom.

- Muszę zadzwonić.

Spojrzała na Duvalla i natychmiast odwróciła wzrok. - Bogu dzięki, że uwierzył w twoje załamane nerwowe. - Wiedziałaś, że udaję?

- Oczywiście. Trochę się przestraszyłam, gdy upuściłeś broń. - Sam się tego bałam. Ale musiałem zaryzykować.

Przeszli przez ogród, trzymając się za ręce, i weszli do domu. Nikt z gości nie zwrócił na nich uwagi. Wszyscy byli całkowicie pochłonięci zabawą - chcieli wykorzystać maksymalnie te parę minut, które zostały do północy.

- Tylko gabinetu nie udostępniono gościom - powiedziała Remy, przekrzykując gwar.

Dał znak ruchem ręki, by prowadziła. Otworzyła drzwi i cofnęła się na widok leżącego na podłodze kłowna w kałuży krwi. Burke pociągnął ją z powrotem do holu.

- Zadzwon pod dziewięćset jedenaście. Powiedz, żeby się skontaktowali z Littrellem.

Skinęła głową i zaczęła się przedzierać przez tłum. Burke wszedł do gabinetu i zamknął drzwi na klucz, żeby żaden z gości nie zaplątał się tu przypadkiem i zobaczywszy ciała, nie wzbudził paniki wśród tłumu.

Podszedł szybko do młodego mężczyzny w ciemnym garniturze i spróbował wyczuć puls. Mężczyzna nie żył. Potem przykucnął nad kłownem. Ból wyłobił bruzdy w grubo nałożonej białej szmince. Podkreślone przesadnym makijażem oczy były zamknięte, powieki nieruchome. Czerwona szminka rozmazała się i wymalowany nią uśmiech wyglądał groteskowo.

Burke nie był pewien, czy kłown żyje, gdy ten nagle otworzył oczy. Jego wargi poruszyły się i powiedział słabym głosem:

- Basile?

Burke odetchnął głęboko.

- Cześć, Doug.

- Chyba się wykrwawiam...

Burke spojrzał na rękę Patouta. Biała rękawiczka nasiąkła krwią, podobnie jak obszerny kostium kłowna; wokół jego ciała rozlewał się czerwony ocean.

- Tak.

- Duvall... - mówił Patout słabym głosem. - Ale przynajmniej jednego wyeliminowałem.

Pistolet, z którego zastrzelił człowieka Duvalla, wciąż spoczywał w jego bezwładnej ręce. Basile niczego nie ruszał. Zostawi miejsce przestępstwa, jak je zastał.

Klown zamknął z powrotem oczy.

- Boże... Dzwon... po pomoc.

Burke wstał i podszedł do drzwi. Ale nie otworzył ich, nie wzywał pomocy. Przez chwilę zaciskał dłoń na klamce, potem zdjął z niej rękę zdecydowanym ruchem, wrócił do Patouta i znowu koło niego ukucnął.

- Pomóż mi, Burke.

Burke delikatnie zdjął z głowy Patouta czerwoną kluchę nosa i płomiennorudą perukę.

- Nie mogę, Doug.

Zamglone oczy poszukały jego wzroku. Wpatrzyły się w spokojną twarz Basile'a. Z ust płytko oddychającego Patouta wydobywał się cichy świst.

- Wiedziałeś?

- Że jesteś kapusiem? Tak.

- Od kiedy?

- Od dnia, w którym zamordowałeś Maca. Bo to było morderstwo, Doug. Mac nie przyszedł, żeby mnie przekazać Duvallowi, jak to twierdziłeś. Przyszedł powiedzieć, że jest lepsza, pewniejsza droga, aby się dostać do Duvalla, muszę tylko okazać trochę cierpliwości. Zagrałem va banque dziś rano i okazało się, że miałem rację. Rozmawiałem z Littrellem i prokuratorem generalnym. Ten ostatni, gdy tylko przejął urząd, powołał specjalną ekipę do walki z korupcją w policji. Mac do niej należał. Przeszedł cały program w akademii policyjnej, ale przygotowano go do infiltracji wydziału i odkrycia zdrajcy. Ciebie, Doug. Jeszcze chwila i Mac by cię przygwoździł. Musiałeś wyczuć, że robi się gorąco, i zastrzeliłeś go, zanim zdążył podzielić się ze mną podejrzeniami. Może i sięgał wtedy po broń, ale nie po to, żeby mnie zabić. Chciał mnie sprowadzić do miasta i z błogosławieństwem prokuratora udzielić poufnych informacji. Chciał mnie powoli przygotować na wiadomość, że człowiek, którego uważam za przyjaciela, jest sprzedajnym gliną. Wiesz, co jest najgorsze, Patout? Co uważam za najobrzydliwsze? Że obciążyleś swoimi przestępstwami Maca. - Burke zbliżył twarz do konającego. - Dlaczego, Doug? Dlaczego akurat Duvall, na litość boską? Dla pieniędzy?

- Z tchórzostwa - wycharczał Patout.

- Nie jesteś tchórzem.

- Zastrzeliłem faceta. Pamiętasz?

- Nasze aspiranckie czasy? - Burke ledwie pamiętał tamten incydent. - Był uzbrojony i sięgał po broń, gdy go miałeś aresztować. Czysta sprawa.

Patout poruszył nieznacznie głową-

- To była mistyfikacja. Spanikowałem i wystrzeliłem za wcześnie. Ukryłem to... - Przerwał na kilka świszczących oddechów. - Był człowiekiem Duvalla. Używał noża. Duvall wiedział, że nie mógł umrzeć z pistoletem w dłoni. Miał mnie. - Łza żłobiła drogę po białej szmince. - Byłem dobry. Chciałem być szefem.

- Nigdy by do tego nie doszło, Doug - powiedział Burke ze smutkiem. - Jeśli nie Mac, ktoś inny by cię rozszyfrował.

- Ty.

- Może i ja. Za późno na to wpadłem.

Patout rozchylił palce, pistolet wysliznął mu się z dłoni.

Z największym wysiłkiem złapał za luźną piracką koszulę.

- Jak... się... domyśliłeś...?

- Nie domyśliłem się. Sam mi powiedziałeś.

W zamglonych oczach pojawiło się niedowierzenie.

- Po śmierci Maca powiedziałeś mi, że namierzono rozmowy z handlarzami narkotyków i ślad prowadził do niego. Także tej nocy, kiedy zginął Kev. Kłamałeś, a ja wiedziałem o tym. - Pochylił się, żeby Patout usłyszał każde słowo. Handlarze narkotyków to ścierwa. A glina, który gra po ich stronie, to ścierwo do kwadratu. Gangsterzy rolowali policjantów na każdym kroku, bo jeden z nas im pomagał. Wydział Wewnętrzny miał to w dupie, bo sami są przeżarci korupcją. Prokurator okręgowy zajmuje się polityką i wygłaszaniem kwiecistych przemówień. Ekipa prokuratora okręgowego pewnie podchodziła do tego na serio, ale działali ściśle tajnie, wyglądało więc na to, że nic się nie robi, żeby złapać łajdaka, który nas sprzedawał. Ile jeszcze obław mogło spalić na panewce, zanim ktoś wreszcie będzie musiał coś zrobić? Dziesięć, pięć? A może właśnie tylko ta jedna. Oczywiście, kto mógł przewidzieć, że ta jedna będzie kosztowała życie Keva? Ja z pewnością nie. Widzisz, Doug - głos Burke brzmiał teraz ciszej - kłamałeś, gdy mi powiedziałeś tamtego wieczoru w chacie, że Mac dał cynk handlarzom. Wiedziałem, że to nie on. Bo to byłem ja.

Patout jęknął. Głowa poleciała mu bezwładnie na bok, ale nie odwrócił wzroku od Burke.

- Dałem im cynk, bo myślałem, że jeden więcej schrzaniony nalot, nawet na główniany magazyn, wystarczy, żeby ktoś wreszcie wdrożył dochodzenie. Mój wspaniały plan zawiódł na całej linii. Nie mogłem wiedzieć, że Bardo jest w środku. Raz odstąpiłem od swoich zasad, raz zagrałem nieczysto i Kev Stuart zginął. - Przysunął się blisko do konającego przyjaciela i wyszeptał: - Będę musiał żyć z tym ciężarem na sumieniu do końca moich dni. - Rozgiął zaciśnięte na swojej koszuli palce i położył rękę Patouta na podłodze. - A ty umrzesz z tym ciężarem.

Patout zajęczał.

Burke spojrział na zegar.

- Dwie minuty do północy, Doug. Umrzesz, zanim nadejdzie Środa Popielcowa. - Odchrząknął i otarł łzy z oczu. A ja będę pokutował.

Epilog

- Jest urocza, Burke. - Rzeczywiście jest.

Siedzieli z Nanci Stuart na huśtawce na ganku Dredda. Był gorący, parny Dzień Pracy, wrześnie powietrze stało nieruchome. Oboje odpoczywali w cieniu, a na końcu mola Dredd uczył resztę towarzystwa łowić ryby.

Burke zastanawiał się, skąd Dredd wziął kawałek mięsa, który właśnie krajał na przynętę.

- O ile im było wiadomo, nikt nie poszukiwał dwóch rewolwerowców wysłanych przez Duvalla z Gregorym Jamesem.

- Mówiąc urocza, miałam na myśli, że wewnętrznie droczyła się Nanci.

- Ja też. Przecież wiem, co miałaś na myśli.

Roześmiała się, co przypomniało mu dni, kiedy Kev żył i siadywali we trójkę u nich w kuchni, popijając kawę i dokuczając sobie przyjaźnie.

- Ale nie powiesz, żeś nie zauważył, że twoja narzeczona jest olśniewająca.

Uśmiechnął się z zawstydzaniem i dumą, jak mały chłopiec, któremu właśnie udał się pierwszy wspaniały rzut w baseballu - w okno sąsiadów.

- Nie. Nie powiem.

Patrzył, jak Remy wsłuchuje się uważnie w słowa Dredda, a następnie wypełnia jego instrukcje z gorliwością neofitki. I uśmiecha się uszczęśliwiona, słysząc pochwały.

Boże, jak ją kochał. Tak bardzo, że aż go to przerażało.

Czasami sprawiało ból. Każdy dzień zacierał pamięć o Duvallu. Wkrótce miał stać się tylko mrocznym wspomnieniem. Remy zmieniała się, stawała się coraz pewniejsza siebie i miłości Burke.

- Zdaje się, że bardzo lubi pracę w galerii - powiedziała Nanci.

- Uwielbia ją. I jest dobra. W zeszłym tygodniu uczestniczyłem w prywatnym pokazie. Za cholere nie wiedziałem, o czym mówi, kiedy dyskutowała o obrazie z klientami, ale oni praktycznie chłonęli każde jej słowo.

- Czujesz się dumny?

- Cholernie - przyznał uczciwie i dodał: - Dziękuję, że się z nią przyjaźnisz, Nanci. To wiele znaczy dla Remy. Nigdy dotąd nie miała przyjaciółki.

- Nie traktuję tego jako obowiązku. Lubię ją.

Burke pochylił się, odstawił pustą puszkę po coli na stojącą obok beczkę, i stracił przy tym na deski podłogi całą kolekcję pocztówek.

- Dredd nawiązał korespondencyjną znajomość? - zapytała Nanci.

- Nie, to taki sposób rozmawiania. To nasz stary przyjaciel. Kartki przychodziły z rozmaitych miejsc w kraju, mniej więcej co tydzień. Żadna nie była podpisana. Wszystkie od Gregory'ego Jamesa. Zawierały jedno, dwa zdania, niezrozumiałe dla tego, kto nie znał okoliczności ucieczki młodego człowieka z Nowego Orleanu. Napomykały także o śmierci Duvalla i uldze, z jaką tę wiadomość przyjął. Gregory sygnalizował, że jest bezpieczny i rozmyśla nad sposobem na dalsze życie.

Ostatnia nosiła stempel Santa Fe i było na niej napisane:

„Św. Łukasz 15; 11-24”. Dredd zajrzał do Pisma Świętego i znalazł przypowieść o synu marnotrawnym.

- M usiał na jakiś czas wyjechać - Burke uśmiechnął się - ale mam przeczucie, że pracuje nad tym, aby do nas wrócić.

- Złapałam! Złapałam!

Okrzyk zwrócił ich uwagę na molo, gdzie Flarra demonstrowała zdobycz innym wędkarzom - niech zazdroszczą i podziwiają. David, starszy syn Nanci, zaofiarował się, że zdejmie za nią rybę z haczyka. Flarra zdołała porządnie nadwątlić przekonanie synów Nanci, że wszystkie dziewczyny są zarozumiałe, brzydkie i głupie.

- Zanim ją poznali, zarzekali się, że nigdy w życiu nie będą mieli nic do czynienia z osobami płci przeciwnej. Widzę, że ich determinacja mocno osłabła - wyznała Nanci.

- Oni jej się też chyba spodobali. Biedna mała, poza Remy nie ma żadnej rodziny. Ale jest naprawdę wspaniała. Szczwana jak lis. Zabawna. Nie może się doczekać jesieni i koedukacyjnej szkoły. Lubi nawet mnie - roześmiał się. - Nęka mnie, bez przerwy się dopytując, kiedy Remy będzie w ciąży.

- Remy zwierzała mi się, że macie dziecko w planach.

- Robimy, co w naszej mocy - powiedział, a jego usta znowu ułożyły się do uśmiechu. Właściwie to śmieszne tak często się uśmiechać.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwy, Burke.

- Dziękuję.

- Jeśli już o tym mówimy... - zagryzła wargę - - Spotykam się z kimś.

- Nie bujasz? To... to cudownie, Nanci.

- Naprawdę tak myślisz? - zapytała nieśmiało.

- Jeżeli rzeczywiście na ciebie zasługuje, tak.

- No, nie wiem, czym sobie ten biedak na mnie zasłużył - powiedziała z przesadną skromnością, ale nie wytrzymała długo; jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. - Jest przemiły. Dobrze prosperujący biznesmen. Jego żona umarła kilka lat temu na raka. Kochał ją, jak ja Keva, a to dobrze wróży, nie sądzisz?

- Zdecydowanie. Jak się odnosi do chłopców?

- Jak dotąd dobrze. I świetnie wygląda z tyłu w dżinsach...

- Nie mów!

- Tak czy owak zamierzam go poddać surowemu testowi.

- Nie śmiem pytać jakiemu.

- Spotka się z tobą - odpowiedziała.

Żartobliwy uśmieszek powoli zniknął z jego twarzy. Mówiła na serio. - Dlaczego moja opinia o nim ma być ważna?

Wzięła go za rękę i uściśnęła ją-

- Remy jest moją nową przyjaciółką, ale moim najlepszym przyjacielem ty. Twoja opinia wiele dla mnie znaczy. - Popatrzyli na siebie, a potem Nanci podniosła się i otrzepała siedzenie lnianych szortów. - Widzę, że Peter stracił humor. Czas na podnoszącą na duchu rozmowę.

Odeszła, żeby się przyłączyć do gromadki na molo, a Burke milczał, poruszony. Pod pozorem, że chce wziąć jeszcze jeden napój w puszcze, wszedł do sklepu i oparty dłońmi o ladę zapatrzył się przez zamglone szkło w przykurzone batoniki i paczuski suszonej wołowiny.

Po chwili skrzypnęły drzwi.

- Burke? - Remy stanęła za nim i objęła go rękami w pasie. - Wszystko w porządku?

Odwrócił głowę i uśmiechnął się. Uśmiech był jednak blady, nie zdołał też ukryć wyrazu oczu.

- Coś nie tak? - zapytała zatrwożona.

- Nie, nic.

- Jesteś smutny?

- Przeciwnie, szczęśliwy. - Otarł wilgotne oczy rękawem i opowiedział jej o adoratorze Nanci.

- Rozłożyło mnie, że ceni sobie moją opinię.

- Nadzwyczaj. Dokładnie to samo mi powiedziała któregoś dnia przy lunchu.

Wiadomość o śmierci Duvalla wywołała oddźwięk daleko poza granicami stanu. Podobnie jak szeroko przytaczane raporty o korupcji w wydziale i władzach miasta, a także informacje o grupie do specjalnych zadań, która te fakty ujawniła. Kiedy wieści dotarły do Joe, zadzwonił do Burke, a ten potwierdził, że właśnie o tę tajną policyjną sprawę chodziło, i powiedział, że brat i Nanci z rodzinami mogą wracać do domu. W przeddzień pogrzebu Patouta Burke wyznał Nanci, że jest współwinny śmierci Keva. Płakali oboje, a potem Nanci podziękowała mu, że zdecydował się jej o tym opowiedzieć. Dla obojga było to niezwykle, oczyszczające życiowe doświadczenie. Nie znaczyło to oczywiście, że Burke przestała nękać świadomość tego, co uczynił.

- Po tym, co zrobiłem - powiedział teraz - nie mogę kompletnie zrozumieć, jak Nanci była w stanie mi przebaczyć, a w dodatku dalej uważać mnie za przyjaciela.

- Burke - Remy stanęła przed nim i objęła go. - Tylko ty sam sobie możesz wybaczyć. Prokurator

generalny dał ci carte blanche na działania prowadzące do wykrycia korupcji w nowoorleańskiej policji. Littrell nie robi kroku, żeby się z tobą nie skonsultować. Jesteś człowiekiem szanowanym i podziwianym. - Położyła dłonie na jego piersi. - I głęboko kochanym.

- Chcę cię przy sobie poczuć - wyszeptał, przyciągając ją mocniej do siebie i opierając brodę na jej głowie.

- Jeśli ja mogę sobie wybaczyć lata spędzone z Duvallem, to chyba ty tym bardziej możesz wybaczyć sobie jeden błąd?

Uniósł jej twarz i całował ją, smakując jej usta, rozkoszując się ciepłem jej warg, aż przekrzywiła głowę i powiedziała niewyraźnie:

- Kochaj się ze mną.

Spojrzał ponad jej ramieniem przez okno na molo, gdzie wesoło bawiła się reszta towarzystwa.

- Co? Teraz?

- Uhum.

Nie potrzebował specjalnej zachęty. Pociągnął ją przez dziwacznie urządzone pokoje Dredda i wkrótce leżeli na wąskim łóżku, które ona już знаła, a ich ubrania piętrzyły się na kupce jak góra rumoszu po przejściu huraganu. Całował jej usta, szyję, piersi. Ale gdy chciał w nią wejść, zaskoczyła go, przejmując inicjatywę i robiąc coś, czego nigdy dotąd nie robiła.

Z początku próbował wyszeptać coś w słabym proteście, ale szybko przestał, pochłonięty niezwykłymi doznaniem. Wyjęczał jej imię i zanurzył palce w jej włosach. Pieściła go, a jego ręka powtarzała ruchy jej głowy.

Usiadła na nim, przyjmując go głęboko i ruchy jej bioder, jej pośladków opadających na jego uda przyprawiały go o szaleństwo. Ich usta stopiły się ze sobą i oboje eksplodowali.

Leżeli spokojnie w błogim rozleniwieniu, choć wiedzieli, że powinni wstać, przyłączyć się do innych, zanim ich obecność zostanie zauważona.

- Słyszałeś, tak? - zapytała łagodnie.

- Hmm? - wymamrotał, nadal cały w doznanej rozkoszy, niezdolny do rozmowy.

- Podśluchiwałeś Pinkie i mnie.

Oprzytomniał w jednej chwili i poczerwieniał ze wstydu. Odchrząknął i przyznał się:

- Tak. Podłożyłem pluskwę w sypialni.

- Dlaczego?

- Wmawiałem sobie, że mogę się dowiedzieć czegoś o planach Duvalla. Prawda jest taka, że już wtedy byłem tobą opętany. Nienawidziłem myśli, że z nim sypiasz. A jednocześnie było to dla mnie jak namiastka... Jezu! - westchnął z niesmakiem. - Jestem głupim chorym zboczeńcem.

- Nie, nie jesteś. - Przytuliła się do niego mocniej i jakiś czas leżeli milcząc.

Wreszcie zapytał, jak to odgadła.

Uniosła głowę i popatrzyła na niego bacznie, jednocześnie bezwiednie odgarniając wilgotne kosmyki z jego czoła.

- Unikałeś pewnego rodzaju intymnych kontaktów, bo myślałeś, że wzbudzą we mnie odrazę. Obawiałeś się, że to mi się skojarzy z Pinkie. - Uśmiechnęła się smutno. - Posłuchaj, Burke. Nic, cokolwiek razem robimy, nie skojarzy mi się z Pinkie ani z tym, czego byłam świadkiem czy doświadczyłam sama u Angel. Teraz jest inaczej. Wszystko robię po raz pierwszy. Wszystko jest dla mnie nowe. Czyste. Szczere. Czerpię radość z tego, że się z tobą Kocham. To dla mnie coś zupełnie nowego.

Ujął jej dłoń i przycisnął do ust.

Chciał jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha, ale po raz drugi tego popołudnia był zbyt wzruszony, aby mówić.

A zresztą, przecież wiedziała.